

Kot

alchemika

Baśń kulinarna z Camonii

Gofida Letterkerla

Opowiedziana na nowo przez

Hildegunsta Rzeźbiarza Mitów

Przekład z camońskiego i ilustracje

Walter Moers

Przekład z Waltera Moersa bez ilustracji

Katarzyna Bena

Wydawnictwo Dolnośląskie





Tytuł oryginału

Der Schreckenmeister

Projekt okładki

Walter Moers i Oliver Schmitt

Layout

Oliver Schmitt, Mainz

Redakcja

Barbara Majewska

Korekta

Anna Kurzyca, Magdalena Fortuniak

Redakcja techniczna

Jolanta Krawczyk

Copyright © 2007 by Piper Verlag GmbH, München

Copyright © for the polish edition by Publicat S.A. MMX

ISBN 978-83-245-8791-9

Wrocław

Wydawnictwo Dolnośląskie

50-010 Wrocław, ul. Podwale 62

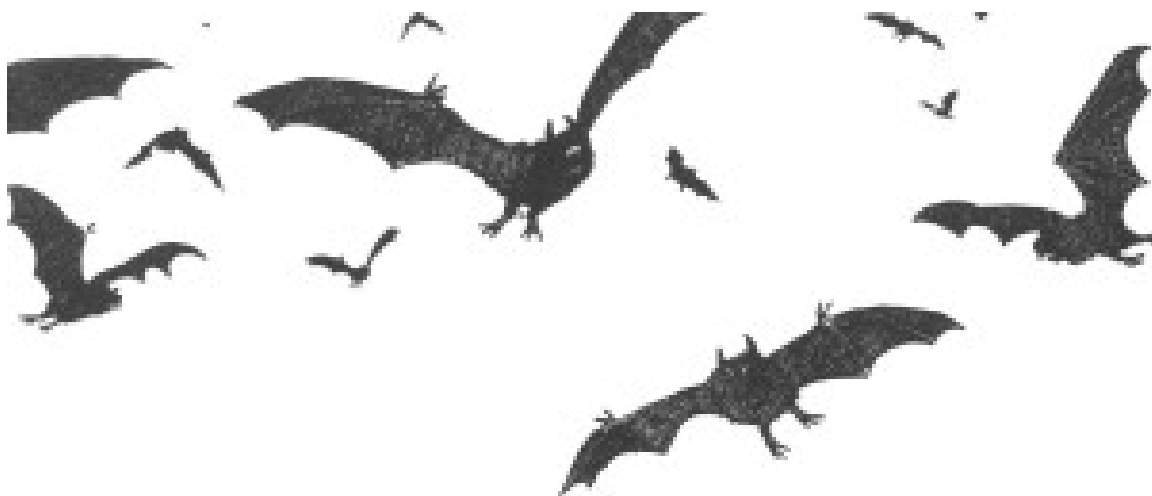
oddział Publicat S.A. w Poznaniu

tel. 071 785 90 40, fax 071 785 90 66

e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

www.wydawnictwodolnoslaskie.pl





„Góra jest dołem, a brzydkie jest piękne“.

Motto skóroperzy



**To co było, choć już nie jest
Niech na nowo się zadzieje
Czego nie ma już - a było
Znów w wywarze będzie żyło
Na dnie kotła się pojawi
By alchemii stawę stawić**



Sis treści

Sis treści	6
Echo	8
Eisspin bardzo przestraszony	10
Dom przeraźnika	14
Warsztat Eisspina	18
Tłuszcz	24
Mistrz i przeraźnice	30
Bromes knilsza i niewidzialny jesiotr	32
Skórzane Mauzoleum	39
Dach nad dachami	54
Jak ugotować upiora	65
Krot i przeraźnik	74
Koszula	79
Najmniejsza opowieść Camonii	83
Księżyc przeraźnic	91
Eisspinowska sala tortur	97
Doradztwo prawne	103
Wąchacja, słuchacja, smakowatsja	106
Drzewo Orzechowienia	116
Atrament Cienia	120
Ucieczka	130
Spiżarnia tłuszczu	135
Śnieżnobiała Wdowa	142
Przeraźnicoznawstwo	145
Złota Wiewiórka	149
Kaszanka i krwawa zachcianka	155
Głód	167
Zaułek Przeraźnic	169
Śmiertelni przyjaciele	177
Rdzawe Gnomy	179
Ostatnia przeraźnica	182

Drugi orzech.....	187
Żelazne Miasto.....	189
Chleb pszczeli.....	194
Stół biesiadny.....	202
Ogród przeraźnicy.....	210
Krocimiętka.....	227
Muzeum sera.....	237
W Kumaczym Lesie.....	244
Alchemia i przeraźniczym.....	253
Dużo zamków.....	257
Napój miłosny czyni żalonym.....	263
Eisspin tańczy.....	267
Zielony dym.....	269
Czerwone wino.....	271
Suknia ślubna.....	275
Mistrz i przeraźnica.....	277
Uczta weselna i ostatnia wieczerza.....	280
Ostatnie śniadanie.....	289
Złoto.....	292
Prawdziwa miłość.....	297
Niewłaściwe serce.....	302
Rewolucja.....	308
Odroczenie.....	311
Demony.....	314
Taniec śmierci.....	321
Muzyka Domów.....	330
Droga Izanueli.....	338
Miłość od pierwszego wejrzenia.....	342
Sledwaya się budzi.....	345
Posłowie.....	349
Uwagi od tłumacza.....	351
Tłumaczki tłumacza słów kilka.....	353

Echo

Wyobraźcie sobie najbardziej schorowane miejsce w całej Camonii! Małe miasteczko o pochyłych uliczkach i krzywych domach, nad którym króluje przerażający czarny zamek na ciemnej skale. Miasteczko, w którym występują najradsze bakterie i najdziwniejsze choroby: kaszel mózgu i migrena wątroby, świnka żołądkowa i katar jelitowy, szum uszny i depresja nerkowa. Krasnoludzka grypa dopadająca jedynie osoby poniżej metra wzrostu. Ból głowy godziny duchów, rozpoczynający się wraz z wybiciem północy i znikający punkt pierwsza, zawsze w pierwszy czwartek każdego miesiąca. Fantomowy ból zębów, dotykający wyłącznie ludzi, którzy noszą już sztuczne szczęki.

Wyobraźcie sobie miasto, w którym aptek i sklepów zielarskich, konowałów i cyrulików, stolarzy wyrabiających kule i tkaczy bandażów było więcej niż gdziekolwiek indziej na kontynencie! W którym witano się, jęcząc: „Ojojoi!”, żegnano zaś słowami: „Szybkiego powrotu do zdrowia!”. Cuchnące eterem i wydzielinami ropnymi, tranem i środkami na wymioty, jodem i śmiercią.

Miasto, w którym się nie żyło, lecz jedynie wegetowało. Nie oddychało, lecz rzęziło. Gdzie nikt się nie śmiał, a każdy tylko biadolił.

Wyobraźcie sobie miejsce, w którym domy wyglądały na równie chore, jak ich mieszkańcy! Domy o przygarbionych dachach i brodawkowatych fasadach, z których odpadały gonty i sypał się tynk. Wsparte o siebie niczym gruźlicy, broniący się przed upadkiem. Z trudem utrzymywane w pionie przez rusztowania niczym przez kule.

Potraficie to sobie wyobrazić? Dobrze. A zatem jesteście w Sledwai.

W owym czasie w mieście tym mieszkała stara kobieta ze swoim krotkiem* o imieniu Echo. Nadała mu to imię, ponieważ w przeciwieństwie do wszystkich zwyczajnych kotów, które posiadała wcześniej, on odpowiadał jej ludzkim głosem.

Gdy stara kobieta umarła - swoją drogą ze starości, całkiem spokojnie i we śnie - było to pierwsze prawdziwe nieszczęście, jakie dotknęło krotka w jego dotychczasowym życiu. Do tej pory prowadził wygodny żywot kota domowego, otrzymywał regularnie posiłki z dużą ilością świeżego mleka, miał dach nad głową i zadbaną, czyszczoną dwa razy dziennie kuwetę.

Teraz Echo znalazł się na ulicy, wyrzucony za drzwi przez nowych właścicieli domu, którzy absolutnie nie zaliczali się do wielbicieli kotów. I nie trzeba było wiele czasu, aby

* Krotek to camońska odmiana kota domowego. Od innych kotów odróżnia się jedynie umiejętnością mówienia i tym, że posiada dwie wątroby. Przyp. Walter Moers.

krotek, któremu całkowicie brakowało kryminalnego zacięcia, by zaistnieć w bezlitosnym środowisku ulicy, potwornie zmarniał i schudł. Przepędzany ze wszystkich progów, pogryziony i poszarpany przez włóczące się psy, stracił radość życia, zdrowe instynkty, nawet swe lśniące futerko - wyglądał już niemal jak mara kota. Kiedy siedział żałośnie na chodniku, z brudną, wyliniałą sierścią, błagając przechodniów o coś do jedzenia, zrozumiał, że sięgnął dna swojej egzystencji.

Niestety, istoty zamieszkujące Sledwayę, nieważne, czy to ludzie, półkrasnołudy, czy też liczyburaki, przesuwały się obok krota mechanicznie i obojętnie niczym lunatycy. Ich skóra była blada i niedokrwiona, oczy otaczały ciemne kręgi, spoglądali, nie widząc, oczami szklistymi i pozbawionymi radości. Szli z opuszczonymi głowami i przygarbionymi ramionami, a niektórzy sprawiali wręcz wrażenie, że za chwilę wyzioną ducha. Wielu z nich potwornie kaszłało, charczało lub kichało, smarkało w wielkie, często zakrwawione chustki do nosa, niektórzy owinęli szyje ciepłymi szalami. Widok ten nie był wcale czymś wyjątkowym. W Sledwai wszyscy wyglądali tak co dzień, a przyczyna tego znajdowała się tuż za rogiem.



Eisspin bardzo przestraszony

Albowiem, jak gdyby ta ponura scena wymagała jeszcze zwieńczenia, drogą zbliżał się miejski przeraźnik Eisspin. Gdyby koszmar zechciał kiedykolwiek przybrać jakąś formę i przespacerować się po świecie rzeczywistym, wybrałby jego postać. Staruch był chodzącym strachem na wróble, monstrum zbiegłym z tunelu strachów, przed którym uciekało wszystko, co żywe - od najmniejszego chrząszcza po najsilniejszego wojownika. Wyglądał, jakby maszerował w rytm potwornej muzyki, którą słyszał jedynie on sam. Każdy umykał przed jego palącym spojrzeniem, by nie zostać oślepionym, przeklętym lub zahipnotyzowanym. Eisspin maszerował, mając pełną świadomość, że wszyscy go nienawidzą i się go boją. Upajał się tą wiedzą i nie przepuszczał żadnej okazji, by siać strach i trwogę na ulicach Sledwai.

Podeszwy podbił żelaznymi płytkami, aby jego prężny krok był słyszalny, kiedy on sam znajdował się jeszcze parę ulic dalej, a jego kościany łańcuch urzędowy klekotał niczym szkielet wisielca na wietrze. Otaczał go jadowity odór, przypominający zapachem żółć, będący esencją wszystkich ekstraktów, kwasów i ługów, których używał do przeprowadzania swych niecznych eksperymentów. Te zapachy, doprowadzające każdego, prócz samego Eisspina, do dusznicy i mdłości, wydobywały się nieprzerwanie z jego ubrań i wyprzedzały go tak samo jak ten stukot, niczym straż przednia złożona z niewidzialnych żołnierzy, torujących drogę przeraźnikowi.

Wszyscy uciekli z ulicy, jedynie wychudzony krotek siedział wytrwale, nawet wtedy, gdy przerażający Eisspin wyłonił się zza rogu i wbił swe przenikliwe spojrzenie w jedyną istotę, która odważyła się stanąć mu na drodze. Echo nie przestraszył się jednak jego wzroku, wszelki strach z niego uleciał, prócz strachu przed śmiercią głodową, który wpływał teraz na wszystko, co robił. Nawet gdyby zza rogu miała się wyłonić teraz sfera liściołaków pod dowództwem Pajęcznej Królowej, Echo trwałby w bezsensownej nadziei, że któreś z nich rzuci mu coś do jedzenia.

A Eisspin zbliżał się coraz bardziej. Zatrzymał się wreszcie przed krotkiem, pochylił i patrzył na niego długo i bezlitośnie. Wiatr bawił się jego kościanym łańcuchem, a oczy błyszczały mu nieskrywaną radością, czerpaną z cierpienia istoty, która była tak blisko śmierci. Odór amoniaku i eteru, siarki i ropy naftowej, a także wapna do posypywania trupów niczym ostre igły wtargnął w delikatny nosek Echa, lecz mimo to krot nie cofnął się ani o krok.

- Miłosierdzia, panie przeraźniku - zakwilił żałośnie Echo. - Jestem straszliwie głodny.

Wzrok Eisspina zapłonął jeszcze diaboliczniej, a na bladej gębie pojawił się szeroki uśmiech. Przeraźnik wyprostował długi, cienki palec wskazujący i podrapał Echa po wystających żebrach.

- Potrafisz mówić? - zapytał. - W takim razie nie jesteś żadnym zwyczajnym kotkiem, tylko krotkiem! Jednym z ostatnich z tego gatunku.

- Oczy Eisspina zwęziły się teraz ledwo zauważalnie. - Co powiesz na sprzedaż swojego sadła?

- Potwornie śmieszne, panie miejski przeraźniku - odpowiedział uprzejmie Echo. - Proszę, strójcie sobie, panie, żarty z kogoś, kto stoi już jedną łapką w grobie, lubię bowiem czarny humor. Wybaczcie mi jednak, że chwilowo nie będę się z nich śmiał. Śmiech uwiązał mi w gardle, więc go połknąłem, bo tak bardzo jestem głodny.

- Nie żartuję! - powiedział ostro Eisspin. - Ja nigdy nie żartuję. Nie mówię też o tłuszczu, którego *nie masz* w tej chwili na żebrach, a jedynie o tym, którym się napchasz.

- Napcham? - zapytał Echo poirytowany, lecz pełen nadziei. Już samo to słowo wydało mu się pożywne.

- Rzecz ma się następująco... - powiedział Eisspin, a ton jego głosu zmienił się do tego stopnia, że brzmiał niemal uprzejmie. - Kroci tłuszcz uchodzi w alchemii za bardzo skuteczny środek. Konserwuje zapach dzumy trzy razy lepiej niż psi tłuszcz. Naoliwia perpetuum mobile lepiej niż jakikolwiek olej do maszyn. Zaimpregnowany krocim tłuszczem cierpiący człek przeżywa dwa razy dłużej niż te zwyczajne.

- Miło słyszeć, że mój gatunek zdolny jest do wytworzenia produktu tak wysokiej jakości - wyszeptał ledwo słyszalnym głosem Echo. - Jednak chwilowo nie mogę służyć nawet jednym, jedynym jego gramem.

- Sam to przecież widzę - powiedział znów ostro i wyniośle Eisspin. - Utuczę cię.

- Utuczę - powtórzył Echo. To słowo wydało się mu jeszcze bardziej sycące niż *napcham*.

- Nakarmię cię tak, jak jeszcze nigdy dotąd cię nie karmiono. Osobiście będę przyrządzał dla ciebie potrawy, jestem bowiem nie tylko wirtuozem alchemii, lecz również mistrzem patelni. Mówię tu o najbardziej wyrafinowanych smakowitościach, a nie ordynarnej karmie dla krotów. Mówię o parfetach i sufletach. Poszetowanych przepiórczych jajach i galarecie z ropuszych języków. O tatarze z tuńczyka i zupie z ptasich gniazd.

Echo poczuł, że ślina napłynęła mu do pyszczka, mimo że nigdy nie słyszał o takich potrawach. - A co muszę zrobić w zamian?

- Jak już wspominałem: tłuszcz. Nam, alchemikom, jest on potrzebny, jednak jego działanie jest skuteczne jedynie wtedy, gdy otrzymujemy go dobrowolnie. Nie możemy, ot tak, po prostu, wyjść i załatwić parę krotów. Niestety - Eisspin westchnął i wzruszył spiczastymi ramionami.

- Tak, Niestety - powtórzył krotek. Nie miał pojęcia, do czego przeraźnik zmierza.

- Zawrzemy umowę, my, dwaj przyjaciele nocy. Dzisiaj jest pełnia. Zobowiązuję się do czasu kolejnej pełni - księżycy przeraźnic, że będę cię tuczył, i to na najwyższym poziomie. Parfety i suflety. Poszetowane przepiórcze jaja i...

- Zrozumiałem - przerwał Echo. - Przejdźcie, panie, proszę, do sedna.

- No cóż, a potem przyjdzie kolej na *ciebie*, byś wywiązał się ze swojej części umowy. Niestety, nie wynaleziono jeszcze innej metody na usunięcie tłuszczu z krota, niż... no wiesz.

Eisspin przesunął po gardle długim paznokciem palca wskazującego, markując cięcie.

Echo przełknął ślinę.

- Ale mogę ci zagwarantować jedno! - przekonywał Eisspin. - Czas pozostały do księżycy przeraźnic będzie najpiękniejszym okresem w twoim życiu! Otworzę przed tobą świat smaków, którego nie spenetrował jeszcze żaden krot. Wzniosę cię na szczyty smakowitości, skąd będziesz mógł spoglądać jak na robactwo na wszystkich swoich pobratymców i inne zwierzęta domowe, które muszą zreć mielonego sztokfisa z miski. Pokażę ci mój tajemny ogród, rozpościerający się na najwyższym dachu w Sledwai, gdzie znajdziesz najbardziej ponętne zakątki i kryjówki, jakie mógłbyś sobie tylko wymarzyć. Tam będziesz mógł odbywać swoje poobiednie spacerki i skubać zioła na niestrawność, jeśli żołądek rozstroi ci się nagle od nadmiaru dobrego jedzenia, tak, aby niezwłocznie kontynuować ucztowanie. Rośnie tam również przepyszna krocimiętka.

- Krocimiętka - jęknął pożądliwie Echo.

- Lecz to jeszcze nie wszystko. O nie! Będziesz spał na największych poduszkach za najcieplejszym piecem kaflowym w mieście. Zadbam o twoje dobre samopoczucie pod każdym względem. Jak również o twoją rozrywkę! Przyrzekam ci, że będzie to najbardziej emocjonujący czas w twoim życiu. Pełen przygód. Nad wyraz pouczający. Będziesz mógł przypatrywać mi się podczas pracy, nawet podczas najbardziej tajemnych eksperymentów. Wtajemniczę cię w wiedzę tak ekskluzywną, że nawet najbardziej doświadczonym alchemikom na myśl o niej leci ślinka. Tobie i tak do niczego się nie przyda. - Eisspin roześmiał się okrutnie. Po czym ponownie skierował swój świdrujący wzrok na krota. - No - powiedział - co jest?

- No nie wiem - ociągał się Echo. - Jestem dość przywiązany do życia...

- Mówi się, że wy, krotki, macie ich przecież osiem - uśmiechnął się Eisspin, obnażając przy tym swe jadownicie żółte uzębienie. - Ja pragnę tylko jednego.

- Proszę wybaczyć, ale wierzę w tylko jedno *życie* przed śmiercią. A nie w jakiegokolwiek po niej - powiedział Echo.

Przeraźnikiem wstrząsnął dreszcz, wyprostował się, klekocąc jak drewniany manekin.

- Marnuję tu mój czas - kłapał zębami. - W tym mieście są jeszcze inne zrozpaczone zwierzęta. Do widzenia! Nie - do niewidzenia! Adieu! Życzę ci powolnej i bolesnej śmierci głodowej. Trzy dni na moje oko. Góra cztery. W najgorszej z agonii. Będzie tak, jakbyś pożerał samego siebie od środka.

Echo odnosił takie wrażenie już od wielu dni.

- Chwileczkę... - powiedział - pełna aprowizacja? Do następnej pełni księżyca?

Eisspin zastygł, następnie obrócił się na pięcie i spojrzał raz jeszcze przez ramię.

- Dokładnie! Do następnego księżyca przeraźnic! - wyszeptał uwodzicielsko. - Kuchnia dla konesera. A co tam: dla największego konesera wśród koneserów! Ocean mleka pełen smażonych ryb. Menu z taką ilością dań, że nie spamiętasz ich liczby. To moja ostatnia propozycja.

Echo zastanowił się. Cóż miał do stracenia? Umrzeć w ciągu trzech dni z pustym żołądkiem lub w ciągu trzydziestu z pełnym brzuchem - innego wyboru nie było.

- Krocimiętka? - zapytał cicho.

- Krocimiętka! - obiecał Eisspin. - W pełnym rozkwicie.

- Zgoda - powiedział Echo i podał przeraźnikowi drżącą łapkę.

Dom przeraźnika

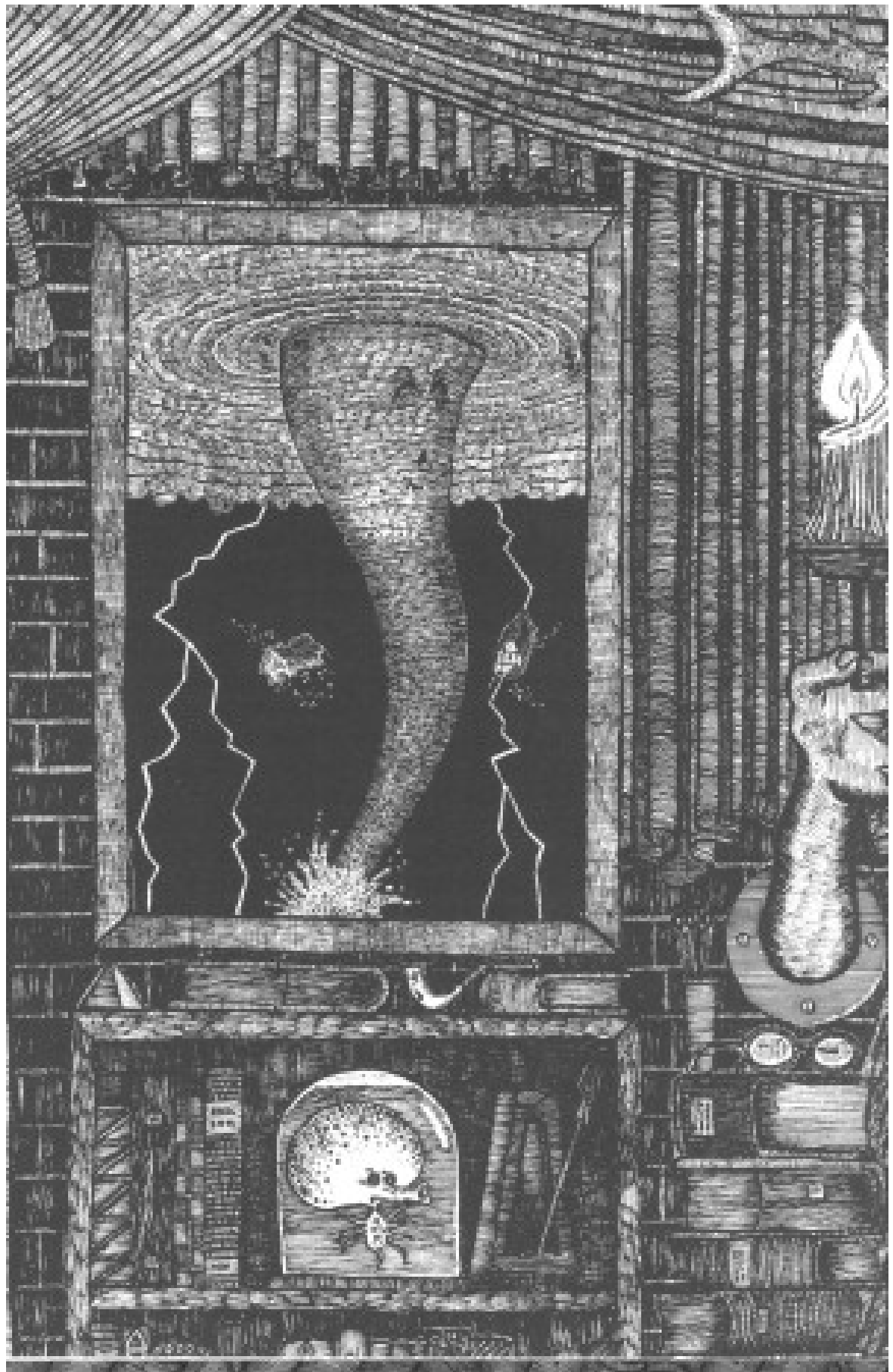
Miasto Sledwaya pełne było przedziwnych domów, w których rozgrywały się przedziwne wydarzenia. Najosobliwiej prezentował się jednak dom miejskiego przeraźnika Eisspina i najprzedziwniejsze działy się tam rzeczy. Wybudowano go w zamierzchłych czasach na wzgórzu, teraz więc wznosił się nad miastem niczym orle gniazdo. Widać było z niego całą Sledwayę, a w mieście z każdego miejsca, można było oglądać to mroczne zamczysko - wieczny monument wszechobecności przeraźnika.

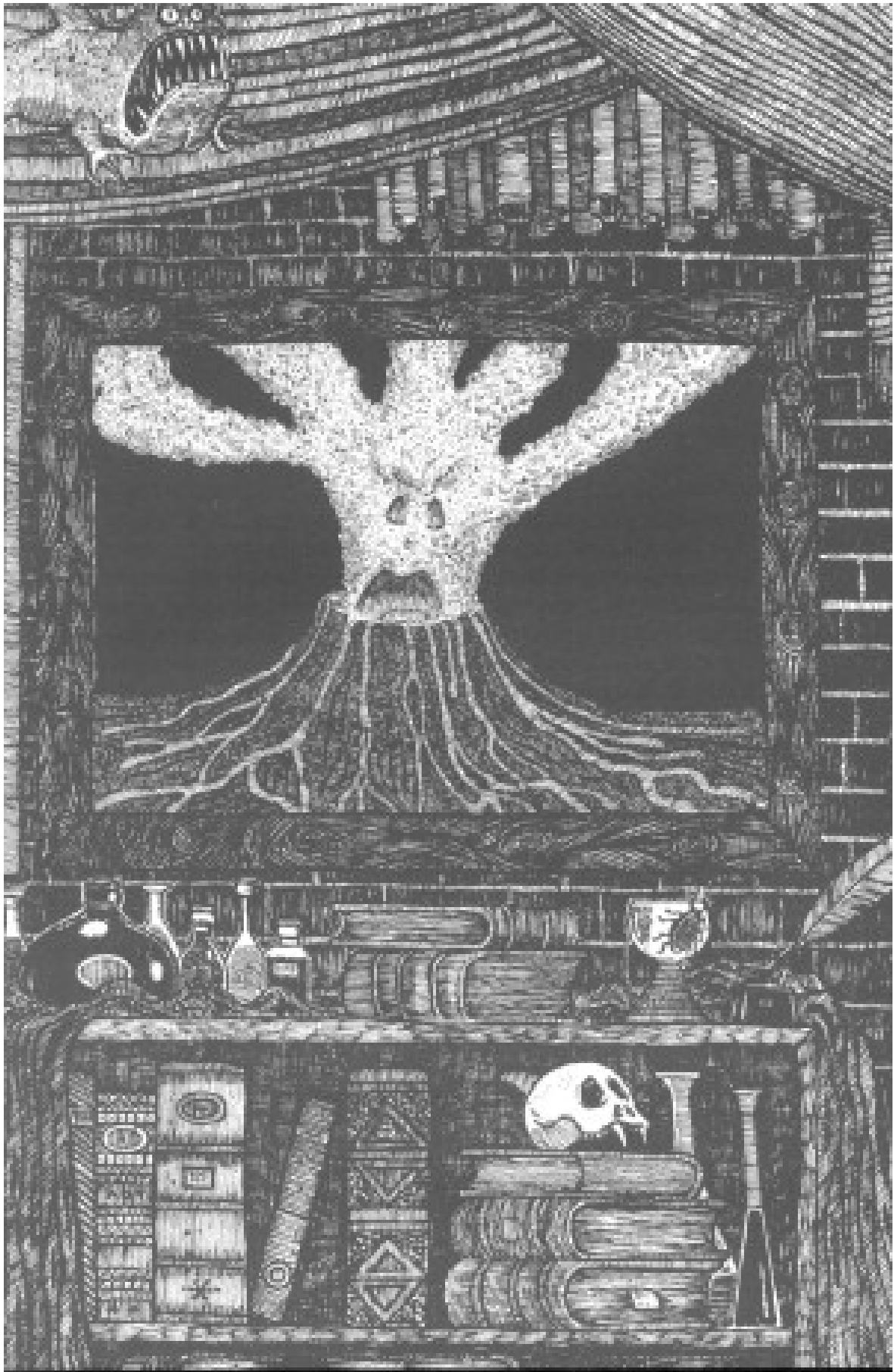
Zamek wzniesiono z czarnego kamienia, wyrwanego - jak mówią - z serca Mrocznych Gór. Był tak pokrzywiony, że wydawał się nie z tego świata. We wszystkich oknach brakowało szyb. Eisspin nie odczuwał chłodu i uwielbiał, kiedy wiatr hulał po jego zamku nawet podczas najcięższych zim, grając na nim jak na flecie demonów. W ciemnych otworach okiennych stały dziwaczne koślawe teleskopy, przez które przeraźnik był w stanie zajrzeć w każdą dziurę w Sledwai, kiedy tylko miał na to ochotę. Mieszkańcy twierdzili, że Eisspin w tak wyrafinowany sposób oszlifował soczewki swych teleskopów, że mógł zaglądać w zaułki, do wnętrza izb przez dziurki od klucza, a nawet przez kominy.

Aż trudno uwierzyć, że ta spiętrzona pozornie bez ładu i składu kupa kamieni nie zaważyła się przez te wszystkie stulecia. Ale mając świadomość, że budowniczości zamku wnieśli też prastare domostwa buchemiczków przy uliczce Czarnego Człowieka w Księgogradzie, stawało się jasne, że budowla ta przetrwa wiecznie. Zamek stał tu bowiem w czasach, kiedy nie było jeszcze miasta o nazwie Sledwaya.

Eisspin schował wyciężonego krota pod płaszcz i poniósł go krętymi uliczkami w górę do zamku. Kiedy dotarli na miejsce, przeraźnik wy dobył z kieszeni zardzewiały klucz i otworzył potężne, żelazne drzwi wejściowe. Potem pośpieszył z lekkim niczym piórko Echem, śpiącym z wyczerpania, wysokimi korytarzami, oświetlonymi świecami i pochodniami, przyozdobionymi obrazami w pokrytych kurzem drewnianych ramach. Przedstawiały one, bez wyjątku, same klęski żywiołowe: wybuchy wulkanów, gigantyczne fale, trąby powietrzne, mielsztromy, trzęsienia ziemi, pożary i zejścia lawin, wszystko malowane olejami z najwyższą starannością i dbałością o szczegóły, jednym bowiem z licznych talentów Eisspina było malarstwo katastroficzne.

Kiedy wkroczył w kolejny korytarz, oczekiwały go tam trzy przerażające postaci: szary żniwiarz, wiedźma leszczynowa i mumia cyklopa. Były to trzy najniebezpieczniejsze





monstra, jakie zrodziła camońska przyroda, a prawdopodobieństwo napotkania ich w jednym i tym samym miejscu było równie duże, jak szansa na bycie trafionym przez piorun, meteoryt i ptasią kupę jednocześnie. Eisspin jednak nie zwrócił na nie uwagi i popędził dalej, powiewając peleryną. Nic dziwnego - były one martwe i z mistrzowską wprawą wypchane, albowiem również grozotaksydermia, sztuka wypychania najbardziej przerażających istot wszelkiego autoramentu, była jednym z wielu hobby Przerożnika. Niejeden mroczny zakamarek posiadłości zaludniały podobne, sprawiające wrażenie nad wyraz żywych, potwory, których nie chciałoby się spotkać ani w ciemnościach, ani tym bardziej w świetle dnia, nawet w z mumifikowanej formie. Eisspin cenił jednak nade wszystko ich milczące towarzystwo i stale dodawał do swojej kolekcji nowe egzemplarze.

Wbiegł na kręte kamienne schody, pośpieszył przez bibliotekę wypełnioną zatęchłymi buchemicznymi książkami, a potem holem pełnym mebli okrytych prześcieradłami. W niespokojnym świetle migoczących świec zastygły one niczym duchy foteli i szaf. Eisspin przemierzył opustoszałą jadalnię, w której pod wysokim sklepieniem prezentowały swe kunsztowne loty stada skóroperzy*. Przerożnik nie zwrócił uwagi również na tych posępnych lokatorów i wszedł na kolejne kamienne schody, które doprowadziły go do pełnego przeciągów holu z wszelkiego rodzaju klatkami: od bambusowych i z drutu na ptaki, poprzez klatki dla psów z dębiny, aż po klatki dla niedźwiedzi z polerowanej stali. Im wyżej wchodził Eisspin, tym silniej dmuchał przez okna wiatr, nieustannie powiewając zasłonami i wzbijając kurz. Z kominów dochodziły co chwila jęki i wycie, jak gdyby zamkowa psiarnia dokonywała żywota, torturowana w tajemnych lochach.

Wreszcie przerożnik dotarł do kamiennej, pokrytej alchemicznymi symbolami bramy - było to wejście do wielkiego laboratorium, w którym spędzał większość czasu. Tutaj, jak przebąkiwano, tworzył złą pogodę, która tak często panowała w miasteczku, tu hodował zarazki grypy i chorób dziecięcych, krztuśca i pokrzywki, którymi zatruwał potem studnie. Tu stały worki pełne pyłków trujących roślin, które rozsypywał z okien swego zamku, by przyprawiać ludzi o bóle głowy i koszmary. Tu układał kłątwy i tworzył cierpiących człeków jedynie po to, by ich torturować. Tu komponował przerażającą muzykę, która dobiegała nocami z jego domostwa, pozbawiając śledwaian snu, a czasem też rozumu - ponoć byli i tacy, którzy, permanentnie niewyspani, wieszali się, aby wreszcie odnaleźć spokój.

* Skóroperz to camoński krewniak nietoperza, z wyglądu wykazujący doń niewielkie podobieństwo. Skóroperz ma myszo- lub szczuropodobną głowę o powalającej brzydocie, a zamiast sierści skórzasty naskórek. Jeżeli chodzi o zwyczaje żywieniowe i zachowania stadne, to są one u nietoperzy i skóroperzy podobne. Łączy je również mało przyjemna skłonność do popijania krwi. Przep. Walter Moers.

Eisspin był bowiem prawdziwym władcą miasta, jego niekoronowanym tyranem, mrocznym sercem i chorym mózgiem zarazem. Burmistrz zaś, cała rada miasta oraz wszyscy mieszkańcy Sledwai byli jedynie bezwolnymi marionetkami, wiszącymi na sznurkach pociąganych przez przeraźnika.

Warsztat Eisspina

Echo obudził się dopiero wtedy, gdy Eisspin wyciągnął go spod płaszcza, i wciąż jeszcze zaspany, ujrzał niezwykle laboratorium. Pomieszczenie rozświetlały uroczyście niezliczone świece, płonące pomiędzy probówkami i żelaznymi kociołkami, na stosach książek i w wieloramiennych świecznikach, rzucając na ściany długie cienie. W powietrzu nieprzerwanie unosiły się wielogłosowe westchnienia i jęki. Echo nie był w stanie dostrzec żadnej żywej istoty, która mogłaby wydawać takie dźwięki. Dlatego też przypisał je wpadającemu przez okno wiatrowi.

Laboratorium znajdowało się na najwyższym poziomie zamku. Na środku pomieszczenia nad żarzącymi się węglami wisiał potężny, czarny od sadzy miedziany kocioł, gotująca się w nim zupa wyrzucała grube pęcherze powietrza, roztaczając nieprzyjemny zapach. Krzywe i pochylone ściany przysłonięte były częściowo zatechłymi drewnianymi regałami, przeładowanymi aparaturą naukową, książkami, pergaminami i wypchaną zwierzyną. Tu i ówdzie na ścianach wisiały również Eisspinowskie dzieła malarstwa katastroficznego lub pokryte alchemicznymi znakami łupkowe tabliczki, a także karty z konstelacjami astronomicznymi i matematycznymi diagramami. Nad tym wszystkim rozpościerało się drewniane sklepienie, które z powodu dymu i unoszących się latami oparów chemicznych wypaczyło się i zafarbowało, tworząc rozfalowane czarne morze. Zwisiały z niego na sznurach i łańcuchach różnej wielkości planety i księżyce, przyrządy do pomiarów astronomicznych, wypchane ptaki i spreparowane gady. Wszędzie dookoła poniewierały się stare grube księgi o okładkach z przerdzewiałymi metalowymi zamkami. Z wielu z nich wystawały karteczki z notatkami, a wszystko pokrywał kurz i pajęczyny. Pośród nich stały niezliczone puste lub wypełnione najróżniejszymi barwnymi płynami lub proszkami szklane pojemniki wszelkich kształtów i rozmiarów. W niektórych znajdowali się cierpiący człecy, pukający o ściany swych szklanych więzień. Nad całym tym bałaganem wznosił się zardzewiały piec alchemiczny, niczym metalowy wojownik czuwający na polu bitwy.

Kiedy Eisspin postawił krota na podłodze, Echo nie wiedział zupełnie, w którym kierunku spojrzeć i czego się najpierw przestraszyć. Nigdy jeszcze nie widział pod jednym dachem tylu osobliwych i przerażających rzeczy naraz. Nagle na jednym z dolnych regałów spostrzegł wypchanego lisa karłowatego, szczerzącego zęby. Wystraszony krot skoczył jak oparzony, postawił ogon, wygiął grzbiet i zaczął prychać.

Eisspin roześmiał się. - On nie może ci już nic zrobić - powiedział. - Wypatroszyłem go, wygotowałem jego tłuszcz, wypchałem trocinami i wiórami, a potem zaszyłem. Wykonałem siedemset szwów. Aby uzyskać taki wyraz pyska, musiałem umieścić w szczęce konstrukcję z drutu. Twoje prychanie jest dowodem, że nieźle mi to wyszło.

Echa zmroziła myśl, że przeraźnik również jego rozetnie, wypatroszy, wygotuje i napelni trocinami, gdy tylko księżyc znajdzie się w pełni. Być może i w nim umieści konstrukcję z drutu, by zaprezentować go z postawionym ogonem i wygiętym grzbietem dla upamiętnienia tej chwili.

- A teraz umowa - powiedział Eisspin i wyciągnął ze stosu papierów pergamin pokryty alchemicznymi znakami. Wziął atrament, umoczył w nim pióro i skrzypiąc nim po papierze,



zaczął gryzmolić po jego czystej stronie. Obserwowanie go w trakcie sporządzania umowy nie sprawiało Echu żadnej przyjemności. W oczach preraźnika skrzyła się tak bezczelna złośliwość, że z pewnością nie zapisywał tam niczego, co działałoby na korzyść krotka. Mamrotał pod nosem z rozkoszą każde słowo, a Echo co chwila wyłapywał sformułowania typu „zobowiązuje się nieodwołalnie”, „nierozzerwalna więź prawna”, „bezlitośnie ścigany karnie” i tym podobne.

Ale właściwie było mu całkowicie obojętne, o jakich niedopuszczalnościach pisał preraźnik, teraz chciał tylko jak najszybciej dostać coś do jedzenia.

- Tu - wskazał wreszcie Eisspin - podpisuj!

Podsunał mu poduszczkę do stempli z czerwonym tuszem. Echo położył na niej swą łapkę, a następnie odcisnął ją pod tekstem umowy. Nim zdołał choć rzucić okiem na to, co tam napisano, Eisspin wyrwał mu papier i umieścił w szufladzie.

- Rozejrzyj się - to teraz twój dom! - zakomenderował, wskazując pomieszczenie wokół dramatycznym gestem. - Twój ostatni dom w tym życiu, a więc radzę ci, abyś świadomie i intensywnie rozkoszował się każdą chwilą. Wyobraź sobie po prostu, że jesteś umierający, lecz bez jakichkolwiek nieprzyjemności związanych ze straszną chorobą, bez bólu i wyniszczenia. Umierając, będziesz mógł jeść, co tylko zechcesz. Możesz uznać się za



szczęściarza, tylko nielicznym dana jest tak piękna śmierć. Gdy nadejdzie ta chwila, postaram się zrobić to szybko i bezboleśnie. Mam w tym doświadczenie - spojrzął w zadumie na swą chudą dłoń, którą uniósł niczym kat, prezentujący delikwentowi narzędzie śmierci - A więc przejdźmy od razu do tuczenia, nie chcemy przecież marnować już ani jednej sekundy twego cennego czasu.

Echo zadrżał, słuchając bezlitosnej przemowy Eisspina, ale uczynił, jak mu nakazano, i rozejrzał się po swoim nowym - i ostatnim! - domu. Starał się panować nad uczuciami i obawami, aby nie okazywać przerażnikowi już więcej słabości. Chciał przyjrzeć się wszystkiemu jak najdokładniej, wiedział bowiem z własnego doświadczenia, że strach znika szybciej, jeśli spojrzy się w twarz rzeczom, których się obawiamy.

Kiedy tak błędził wzrokiem, spostrzegł, że cienie na ścianach zmieniły swe położenie. Chociażby potężna sylwetka pieca alchemicznego, która jeszcze przed chwilą przesłaniała regał z książkami, kładła się teraz na szarej tablicy łupkowej, pokrytej bazgrołami matematycznych formuł. Jak to możliwe? Czy cienie w królestwie Eisspina żyły własnym życiem? W tym najdziwniejszym z domów w Sledwai wszystko jest możliwe - pomyślał



Echo, ale jak każdy krot charakteryzował się trzeźwym umysłem, postanowił więc zbadać to gruntownie. Czy źródło światła poruszane jest w jakiś mechaniczny sposób? Wspiął się ostrożnie na toczony przez robaki księgi, precyzyjnie się między stertami pośliskłych papierów, przyklejając się do zakurzonych brzuchów szklanych butli. Skradał się coraz bliżej jednej ze świec, gdy nagle zatrzymał się przed stojącą na ziemi lupą wielkości talerza. Echo zeszywniał. Jego postanowienie, by nie okazywać więcej strachu, uleciało natychmiast. To bowiem, co ujrzał przez tę brudną soczewkę, było tak nieoczekiwane, tak przerażające i nierealne zarazem, że przerastało wszystkie sensacje laboratorium Eisspina: zobaczył groteskowo powiększoną świecę i woskowe łyzy na wykrzywionej bólem twarzy. I ku swemu ogromnemu przerażeniu spostrzegł, jak ta ledwo zauważalnie wzdycha i jęczy, pełznąć przed siebie z wysiłkiem w ślimaczym tempie.

- Bolejąca świeca - wyjaśnił nie bez dumy w głosie przeraźnik, mieszając w wielkiej misce - jedna z moich drugorzędnych alchemicznych kreacji. Tworzy się ją poprzez wolne gotowanie na małym ogniu wosku, cierpiącego człeka i ślimaka z gargylleńskiej czaszki Bollogga. Pewną rolę odgrywa też parę innych alchemicznych składników. Knot to kręgosłup padalca opleciony systemem nerwowym żaby wołowej. Ta świeca bardzo intensywnie odczuwa ból swego spalania i spędza cały żywot w nadzwyczajnych mękach. Wyobraź sobie, że twój ogon stoi w płomieniach przez całe twoje życie. Taki rodzaj bólu mam na myśli.

- A co się stanie, gdy zgasi się płomień? - zapytał Echo, przyglądanie się bowiem udręczonej świecy wywoływało w nim nieprzyjemne uczucia. Zobaczył teraz, że wiele świec w laboratorium porusza się z równie wielką udręką, a gdy nadstawił dobrze uszu, zewsząd słyszał ich ciche jęki.

- Wtedy naturalnie już by nie cierpiała - odpowiedział szorstko Eisspin - Ale co mi po świecy, która się nie pali? A jaki pożytek z bolejącej świecy, która nie jęczy porządnie z bólu?

Zapytał takim tonem, jak gdyby Echo miał nie po kolei w łebku, i kręcąc głową, postawił przed nim miskę, w której dopiero co mieszał. Była wypełniona słodką śmietanką. Wziął z regału fiolkę i upuścił z niej na śmietanę jedynie parę kropeł krystalicznie przejrzystej substancji, a od razu zapachniała cudownie wanilią. Nawet ta prosta sztuczka wydała się Echu magią. Oderwał wzrok od bolejącej świecy i rzucił się na miskę niczym konający z pragnienia.

- Ostrożnie, ostrożnie! - ostrzegł Eisspin, gdy krotek upił parę łyżek. - Nie za dużo na pusty żołądek! Śmietana ma służyć jedynie pobudzeniu apetytu - zabrał miskę z powrotem i postawił ją na wysokim regale.



- Pójdziemy do tego systematycznie. Wszystko można zmienić w naukę, nawet tuczenie. A więc, wymień mi najpierw swoje ulubione potrawy, we właściwej kolejności. Numer jeden - co lubisz najbardziej?

Eisspin wziął kartę papieru i ołówek, po czym spojrzał na Echo z surową miną. Krotek zmarszczył czoło, szukając w pamięci swych ulubionych potraw.

- Najbardziej? - zapytał. - Pieczone mysie pęcherze. Najbardziej lubię pieczone mysie pęcherze z sikumyszy.

- Dobrze - powiedział Eisspin i zanotował: pieczone mysie pęcherze z sikumyszy. - Niezbyt wyszukane. Co jeszcze...?



Tłuszcz

Jako miejski przeraźnik, Eisspin zarządzał przeraźnicami w Sledwai. Jego pochodzenie było nieznane i owiane legendami. Niektórzy twierdzili, że urodził się na Cmentarnych Bagnach, dziecko mroku wyrosłe na trupim kompoście. Niektórzy wierzyli, że jest jednym z tajemniczych nieumarłych mieszkańców cmentarnego miasta Dullsgard, którego bram nie mógł przekroczyć nikt żywy, nie zamieniając się w chodzącego trupa. Krążyła plotka, że jest on owym legendarnym piątym Jeźdźcem Apokalipsy, który odłączył się od pozostałych czterech, aby działać na własną rękę. Niektórzy przysięgali, że nie pochodzi w ogóle z Camonii, a przybył z obcego kontynentu, przelatując nad morzem na swych czarnych skrzydłach, które rozkłada jedynie wtedy, kiedy nikt nie widzi. Inni z kolei twierdzili, że Eisspin pochodzi wprost z Podświata, owego legendarnego, skrytego pod Camonią królestwa mroku, z którego wyszedł na powierzchnię, by przygotować grunt pod inwazję zła, jaka miała wkrótce nastąpić. Chociaż teorie o pochodzeniu Eisspina były różnorodne, miały jedną cechę wspólną: żaden z mieszkańców Sledwai nigdy nie odważyłby się wypowiedzieć którejkolwiek z nich w obecności przeraźnika.

Najwięcej plotek krążyło jednak o legendarnej kolekcji tłuszczów Eisspina. Nie były to tłuszcze roślinne, żadne tam oliwy z oliwek ani oleje szafranowe, ani te z orzechów, rzepaku, trójziela, rafunkla czy ziaren księżycownika - tłuszcz, aby mógł znaleźć się w kolekcji Eisspina, musiał pochodzić z istoty żywej, ale to nie wystarczyło. Eisspin był bardzo wybredny. Nadaremno szukać by można w jego kolekcji zwykłego świńskiego tłuszczu, łoju wołowego czy smalcu z gęsi. Dla Eisspina wartość miały jedynie tłuszcze tych potworów i kreatur, których konsumpcji powszechnie nie akceptowano. A im większa była dezaprobata i im rzadsze stanowiły okazy, tym namiętniej pożądał ich przeraźnik.

Chyba nikt nie pomyślałby, że pająk ropuszy* może mieć jakiś tłuszcz, a zwłaszcza że można z niego cokolwiek wytopić. Wyobrazenie sobie jednak tego proceduru wywołuje w każdym prawdziwe obrzydzenie. Jeśli uzmysłwić sobie, że coś takiego i stokrotnie potworniejsze rzeczy należały do codziennych zajęć Eisspina, tym łatwiej uwierzyć, że wydarzenia w domu przeraźnika należały do najdziwniejszych w całej Sledwai.

Miejski przeraźnik był w posiadaniu tłuszczu rzadkich motyli i muchów, trollowych prosiąt, liścio- i wilkołaków, szponamandry, świecących mrówek, śnieżnych jaskółek,

* Pająk ropuszy to bardzo nieprzyjemny gatunek camońskiego pajęczaka, który wygląda dokładnie tak, jak się nazywa. Przyp. Walter Moers

słonecznych robaczków oraz mondliszek, norowych krokodyli, ropuch kraterowych, gwiazd oceanicznych, meduz źródlanych, smoków tunelowych, mumiovych kleszczy i śmierdomisiów, ubufantów i comingów. Wystarczyło jedynie wymienić nazwę zwierzęcia, którego obecność na karcie dań jakiegokolwiek restauracji wywołałaby ogólne oburzenie, a można było być pewnym, że Eisspin jest w jego posiadaniu. Znał on niezliczone metody pozyskiwania tłuszczu, od odsysania alchemicznego, poprzez amputację chirurgiczną, aż po prymitywną, mechaniczną prasę do tłuszczu. Ale najmilsze było mu wygotowywanie. I tak dzień i noc w jego laboratorium bulgotał potężny kocioł z tłuszczem, wypełniając bez ustanku dom mało apetycznymi zapachami.

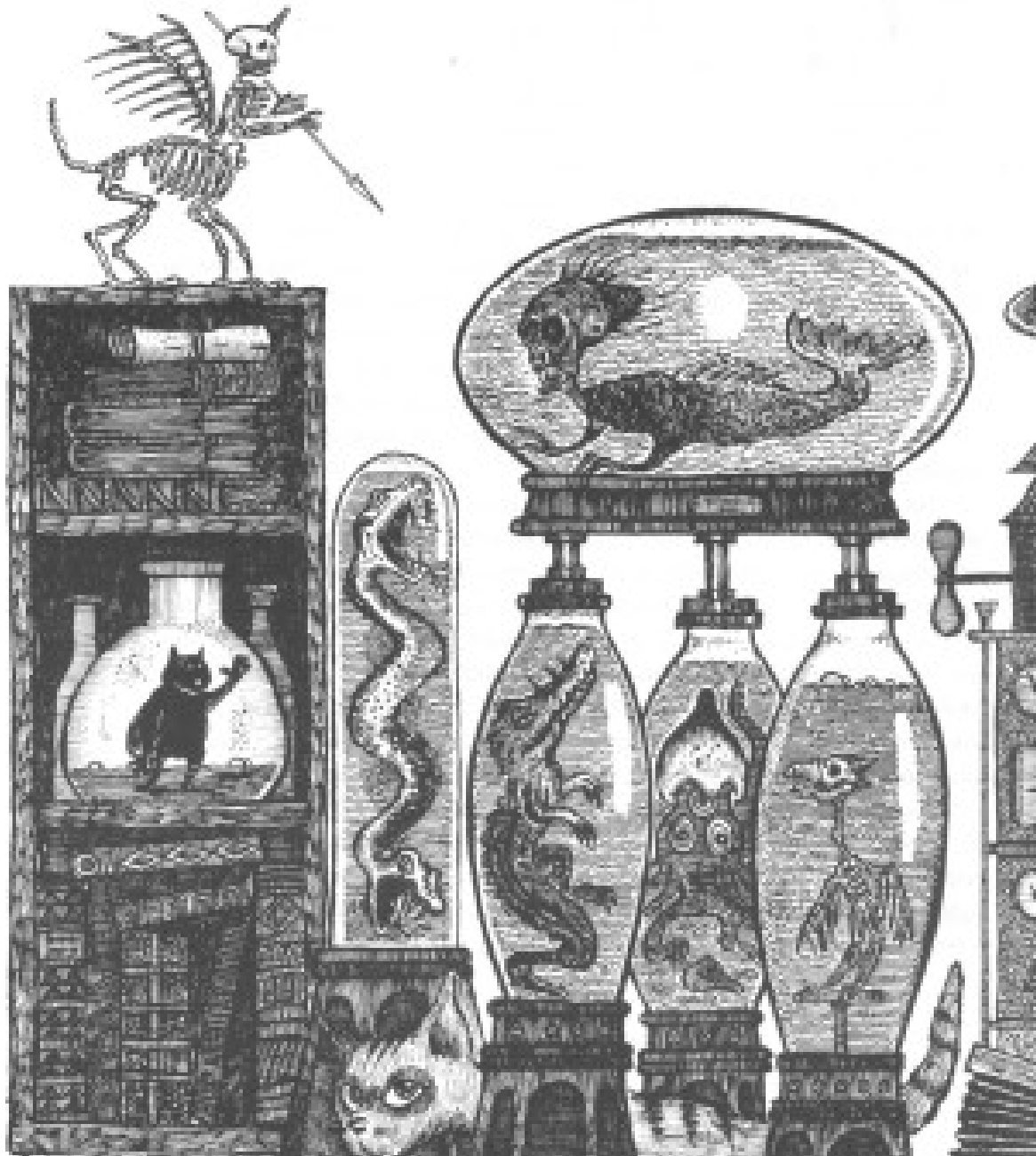
Przeraźnik potrzebował tłuszczu głównie do konserwowania wysoce ulotnych substancji. Prócz zapachów należały do nich jeszcze para, mgła, dym i gazy. Również opary - tę mglistą mieszaninę pary i tłuszczu, która nieustannie wydobywała się z jego kotła - Eisspin mógł w razie potrzeby złapać i zakonserwować za pomocą swej alchemicznej aparatury. Posiadał odessane próbki niesławnej meduzy z Mgławy, które zakonserwował w komarzym łoju; w jego zbiorach znajdował się trupi gaz z Cmentarnych Bagien, cząsteczki aury błędnych ogników, odór z paszcz sztolniowych trolli i pierdnięcia siarkumaków. Eisspin pochwyił tysiące ulotnych substancji, a każdą zakonserwował w jego zdaniem najodpowiedniejszym tłuszczu.

Na drewnianym podeście, na który wchodziło się po paru schodkach, stał najbardziej imponujący przyrząd w laboratorium - śmiała konstrukcja szklanych balonów, wypełnionych albo bulgoczącymi substancjami, albo preparatami ze zwierząt. Składał się on z miedzianych spiralnych rur, trzeszczących baterii alchemicznych, palników, srebrnych i złotych armatur, kraników i zaworów, mosiężnych zbiorników, baro- i higrometrów, szybkowarów, miechów. Był to Eisspinowski Konserwator, jego dotychczas największe odkrycie, za pomocą którego łapał, kondensował i wreszcie otulał tłuszczem substancje lotne.

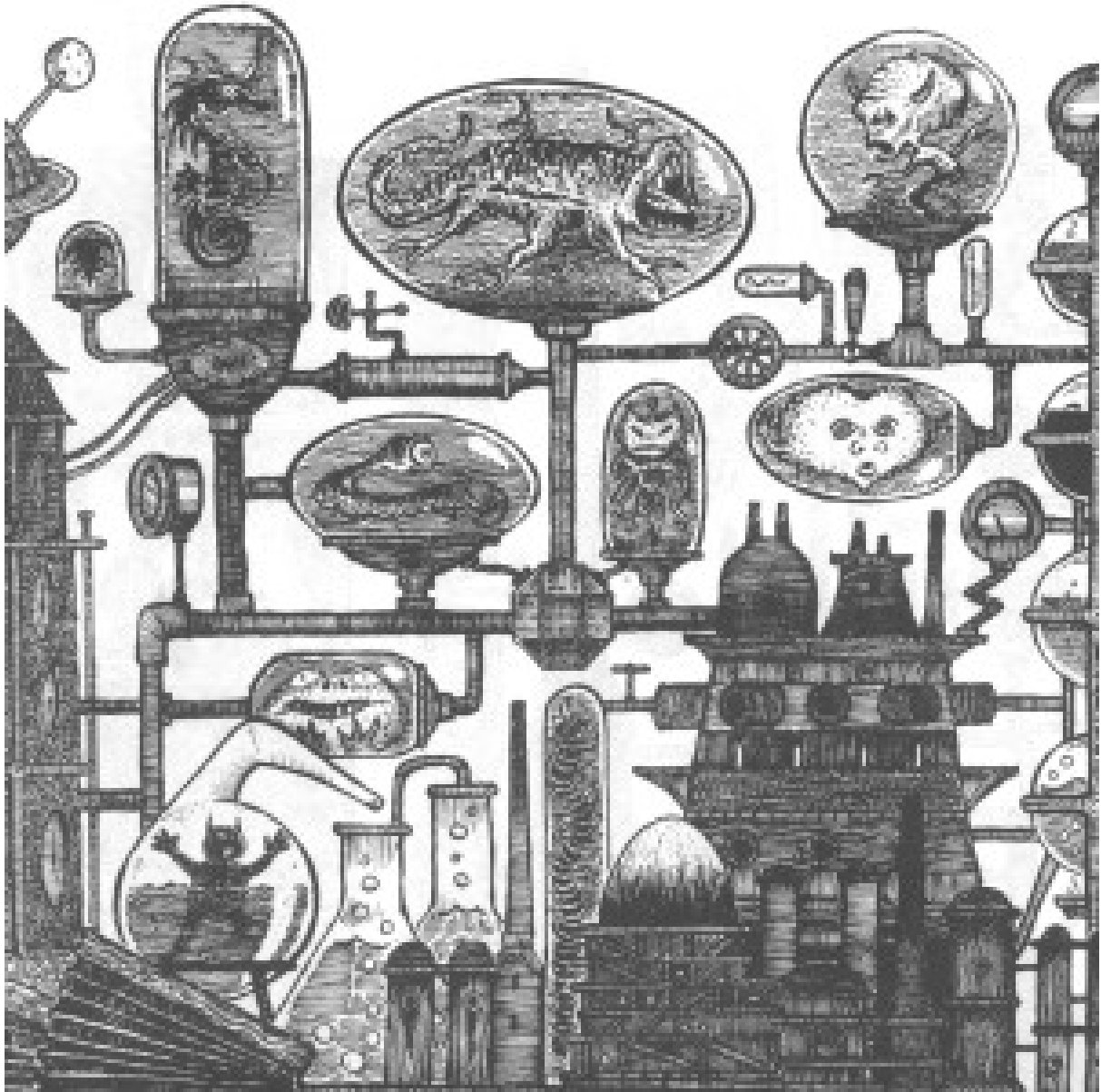
Za każdym razem, gdy alchemik konserwował nowy preparat, maszyna rzęziła i kaszłała przez parę minut, a na koniec wypluwała kulę tłuszczu wielkości mniej więcej pomarańczy. Eisspin znosił ją uroczyście do piwnic zamku po kamiennych schodach, gdzie znajdowało się niskie, lecz długie i zimne niczym grób pomieszczenie. Tam na murowanych regałach składował starannie uporządkowane kule tłuszczu, niczym winiarze swe szlachetne trunki.

Echo słyszał plotki o tej kolekcji, ale chwilowo próbował o niej nie myśleć, a zwłaszcza o tym, jak ekskluzywne miejsce sam wkrótce w niej zajmie. Na razie wygłodniały, zaciekawiony i zdumiony szwendał się po laboratorium, podczas gdy Eisspin manipulował

przy swych alchemicznych przyrządach. Echo starał się ignorować bolejące świece, ponieważ ich widok przyprawiał go o dreszcze. Wolał się nie przyglądać tym godnym ubolewania nieszczęśnikom, bo wtedy znów wydawały się niemal zwykłymi świecami, poruszały się bowiem do tego stopnia powoli, iż nieuważny obserwator zupełnie tego nie dostrzegał, jedynie ich ciche westchnienia i jęki docierały sporadycznie do uszu Echa, jeśli nastawił je pod odpowiednim kątem.



Ileż jeszcze innych rzeczy jest do odkrycia w tym najdziwniejszym pomieszczeniu najprzedziwniejszego domu w Sledwai - pomyślał Echo i zaczął się przyglądać uważniej jednemu z zagraconych regałów na książki.



Pergaminy, listy, karteczki z notatkami, książki i preparaty zwierzęce piętrzyły się tu bez ładu i składu, a ponieważ jego pańcia dość wcześnie nauczyła go camońskiego alfabetu, bez trudu mógł odczytać tytuły książek z najniższej półki:



Rektyfikacja dla zaawansowanych

Siódemka sublimacji

Piece duszy

Sulfur, saletra, salmiak - trzy wielkie S sztuki alchemicznej

Ciasto z golema i zapiekanka z mandragory - najpiękniejsze receptury

na piec alchemiczny

Antymon - najgorsza trucizna i najlepsze lekarstwo

Zoltep Zaan - życie i twórczość

Mit „Prima Caterii”

Metale czułe na ból i subtelne z nimi obchodzenie

Camomin - przekleństwo czy dobrodziejstwo?

Nagle Echo zatrzymał się. Przeczytał:

Palenie przeraźnic. Temat tabu

- autorstwa Sukkubiusa Eisspina

Książka, którą napisał sam Eisspin? O tam, jeszcze jedna.

Wór wyznania win i Rozpalony Gustaw.

Najlepsze techniki przesłuchiwania upartych przeraźnic

- autorstwa Sukkubiusa Eisspina

Myśl, że przeraźnik ma jakieś imię, nigdy nie przyszłaby Echu do głowy, wszyscy nazywali go zawsze Eisspin. W rzeczy samej, niewiele wiedział o swym niesamowitym gospodarzu. Ale jeszcze mniej wiedział o przeraźnicach.

Mistrz i przeraźnice

Każde większe miasto w Camonii ma przeraźnika, regulującego sprawy związane z przeraźnicami. Wydaje on przyjezdnym przeraźnikom pozwolenia na wrózenie (lub też nie), regularnie kontroluje księgi rachunkowe osiadłych przeraźnic, szczepi je przeciwko grypie przeraźnicowej, chorobie dotykającej jedynie przeraźnice, podczas której na całe tygodnie pograżają się w profetycznej ekstazie, przepowiadając same najgorsze rzeczy, o których tak naprawdę nikt nie chce wiedzieć. Przeprowadza też coroczne ich odwszawianie i pobiera podatek od przepowiedni. Eisspin czynił to wszystko z największą gorliwością, a poza tym z czystej złośliwości zamykał regularnie kilka z nich w miejskiej Wieży Przeraźnic, aby całymi dniami maltretować je muzycznymi popisami na Wyjącym Flecie i Dudach Grozy.

Eisspin był również fanatycznym zwolennikiem palenia przeraźnic, owego wytrzebionego na szczęście od dawnego średniowiecza barbarzyńskiego obyczaju, który kosztował życie tak wiele niewinnych przeraźnic. Ku jego wielkiemu oburzeniu camońskie przepisy nie dopuszczały palenia przeraźnic. Bez ustanku pisał więc wnioski do natiftofskiego Ministerstwa Sprawiedliwości w Atlantydzie o ponowne jego wprowadzenie, zbierał podpisy przeciwników przeraźnic, założył nawet partię, której jedynym członkiem był on sam. Jednym z jego głównych celów było stworzenie w każdym mieście żeliwnego stosu przeznaczonego wyłącznie dla przeraźnic, który zwał dumnie Eisspinowskim Grillem na Przeraźnice.

Napisał nawet książkę, w której objaśnił budowę grilla i swe techniki palenia. Wyjątkowo dumny był z wibrującej kraty, przez którą popiół pozostały po spalonej przeraźnicy spadał prosto do popielnika. Jego autorstwa jest też dzieło o sposobach przesłuchiwania przeraźnic, dalece prześcigających w okrucieństwie i pomysłowości metody tortur z Mrocznej Epoki. Drobiazgowo objaśniał w nim działanie swych instrumentów męki, choćby Wyciskarki Przeraźnic, Rozpalonego Gustawa oraz elektrycznego bicia z miedzianego drutu na baterii alchemicznej. Albo hermetycznego Eisspinowskiego Wora Wyznania Win z wydrowej skóry, wypełnionego ostami i pokrzywami, w którym zaszywano przeraźnice razem ze żmiją, wściekłym lisem i kogutem do walk i trzymano do czasu, aż przyznała się do winy. Wielu oświeconych obywateli Camonii było oburzonych faktem, że akurat ten znany przeciwnik przeraźnic objął urząd ich miejskiego pełnomocnika, ale istniała również wystarczająca liczba osób popierających trzymanie tych szwendających się wróżbiarek silniejszą ręką.

A to Eisspin był w stanie zagwarantować. W żadnym innym mieście Camonii przeraźnice nie miały tak utrudnionego życia i wykonywania zawodu jak w Sledwai. Tylko tutaj istniał obejmujący osiemset punktów **Młot na przeraźnice**, podręcznik naszpikowany biurokratycznymi i prawnymi podłościami, autorstwa samego mistrza. Ustalano w nim między innymi, o jakiej porze dnia i pod jakimi, często absurdalnymi, warunkami mogą uprawiać one swe rzemiosło oraz jakie kary czekają je w razie naruszenia tych warunków. I tak przeraźnice nie mogły praktykować ani w nocy, ani w południe, ani po południu, nigdy podczas mgły lub księżycy przeraźnic, ani podczas dni świątecznych, ani przy określonym ciśnieniu powietrza lub gdy temperatura spadnie poniżej zera. Poza tym jedynie w domach, które nie miały prawa posiadać piwnicy, w tak zwanym Zaułku Przeraźnic, które nie miały prawa posiadać piwnicy. Cztery razy w roku wymagano złożenia przeraźnicowej deklaracji podatkowej, która była tak skomplikowana i miała tak małe kratki, że doprowadziłaby do szaleństwa nawet dyplomowanego natiftofskiego doradcę podatkowego. Przeraźnice mogły robić zakupy tylko o określonych godzinach, a wszystkie godziny obejmowały ich przepisowy czas pracy, jednak chodzenie do sklepu w czasie pracy było im zabronione.

Za nieprzestrzeganie tych ustaleń czekały je w najlepszym razie dotkliwe kary pieniężne, a w najgorszym wielomiesięczna ciemnica, wygnanie na Cmentarne Bagna lub przymusowe roboty w kopalniach siarki w Przepaści Demonów. Przeraźnice w Sledwai nieustannie poruszały się po cienkim lodzie nielegalności. Podręcznik Eisspina był bowiem tak wyrafinowany, że każdej przeraźnicy o każdej porze dnia i nocy można było udowodnić wykroczenie, nawet jeśli spała w łóżku. Skutek był taki, że Sledwaya stała się najpierw miastem o najmniejszym odsetku przeraźnic w Camonii, a ostatecznie niemal całkowicie od nich wolnym, bo większość wróżbiarek wolała życie w innych miastach lub w najbardziej niebezpiecznej dziczy. Siłą rzeczy z Eisspina spadły niemal wszystkie obowiązki zawodowe i jeszcze intensywniej mógł się on poświęcać swym mrocznym badaniom. Dokładnie tak, jak zawsze planował.

Bromes knilsza i niewidzialny

jesiotr

- Gotowanie jest alchemią, a alchemia jest gotowaniem - powiedział Eisspin, gdy zabrał się za przyrządzanie jedzenia dla Echa. - Łączenie ze sobą znanych elementów, by stworzyć z nich coś całkiem nowego, oto istota zarówno sztuki kulinarnej, jak i alchemii. W obu dyscyplinach garnek i płomień odgrywają bardzo istotną rolę, chodzi o dobieranie dokładnie wymierzonych składników, redukcję substancji, łączenie rzeczy od dawna znanych z przełomowo nowatorskimi. O powodzeniu lub niepowodzeniu mogą zdecydować maleńkie różnice w ilości składników lub sekundy wrzenia. Ugotowanie dobrego jedzenia uważam za równie istotne, jak wynalezienie nowego lekarstwa. Każdy posiłek jest przecież środkiem przeciwko umieraniu, czyż nie? A czyż porządny rosół nie jest najlepszym lekarstwem na niektóre choroby?

Eisspin przeniósł się na resztę wieczoru do swojej kuchni. Znajdowała się ona na jednym z niższych pięter i wydała się Echu całkowitym przeciwieństwem chaotycznego i niesamowitego laboratorium. Tu wszystko było czyściutkie, porządnie poukładane, jasne i przyjazne. Nie było żadnych niesamowitych preparatów zwierzęcych, żadnych tajemniczych instrumentów, żadnych zapleśniałych ksiąg i bolejących świec. Na środku znajdował się wielki, czarny piec żeliwny ze stojącymi na nim wypolerowanymi miedzianymi kociołkami, patelniami i garnkami; olbrzymi stół z wieloma krzesłami dookoła przykrywał czysty biały obrus, na którym były starannie ułożone talerze, srebrne sztuce, kieliszki do wina i wody, jak gdyby przygotowane na przyjęcie wielu gości.

Patelnie, garnki i inne przyrządy kuchenne, wszelkiego rodzaju trzepaczki, chochle, tasaki, szumówki, sita, wałki do ciasta wisiały na hakach przy ścianach lub zwisały z sufitu. Na pięknych ciemnych drewnianych regałach piętrzyły się naczynia we wszystkich możliwych barwach i kształtach. Zlewozmywak lśnił śnieżną bielą, wielki regał zastawiony był niezliczonymi słoiczkami z wysuszonymi ziołami, pomiędzy którymi leżakowały butelki wina, a obok nich stały książki kucharskie. Kolejna szafa składała się z małych szuflad, na których poprzyczepiano ręcznie wypisane etykiety: „mąka”, „cukier”, „kakao”, „wanilia”, „cimpinella” lub nazwy innych apetycznych produktów.

Meble i przedmioty w tym pomieszczeniu nie miały żadnych złych bądź niebezpiecznych zamiarów, służyły bowiem wyłącznie przygotowywaniu jedzenia.

Jedzenie - cóż to za niewiele mówiące, niemal obraźliwie puste słowo na określenie tego, co Eisspin zaserwował Echu tego wieczoru. Co prawda u starej pańci krotkowi nie było źle, ale do jedzenia dostawał ciągle to samo: mleko i czasem jakąś rybę czy kawałek kury. Do dziś Echo uważał, że miska pieczonych mysich pęcherzy była szczytem wszelkich kulinarnych smakowitości. Nie miał przecież zielonego pojęcia, że kucharzenie można wynieść na wyżyny sztuki, co właśnie udowadniał mu Eisspin.

Przeraźnik zaserwował w pierwszej kolejności małego, tyciego wręcz klopsa, pływającego w przezroczystym czerwonożółtym bulionie. Echo, który siedział sobie bezceremonialnie na stole, pochylił się z zaciekawieniem nad swoim talerzem.

- Szafranowa esencja pomidorowa - tajemniczo wyszeptał Eisspin. - Uzyskuje się ją, obdzierając ze skóry wyłącznie najdelikatniejsze, dojrzałe w słońcu pomidory i kładąc je na rozpiętej nad garnkiem chuście. Przez kolejne trzy dni jedynie przyciąganie ziemskie dba o to, by miąższ oddawał swe płyny garnkowi, kropla po kropli, przefiltrowane dokładnie przez płótno. Tak uzyskuje się najczystszy smak ich pomidorowej duszy! Potem nieco soli i naprawdę jedynie parę kryształków cukru w liczbie dwunastu - koniecznie dwunastu! - dodajemy nitki szafranu i dusimy delikatnie przez cały dzień na maleńkim płomieniu, nie wolno jej zagotować, inaczej pomidorowa dusza opuści płyn i będzie już smakował niczym! Nie ma innego sposobu na uzyskanie tej czerwonożółtej barwy.

Echo zdumiał się, ile cierpliwości i wysiłku kosztowało Eisspina przygotowanie samego tylko bulionu. Pachniał wspaniale.

- A teraz klopsik! Jego mięso pochodzi z gatunku łososia żyjącego w najczystszych potokach Camonii, tych z Wielowody. Ich woda jest najniebezpieczniejsza na całym kontynencie - jest tak czysta, że często się jej nie zauważa do chwili, gdy się do niej wpadnie i zacznie topić. Łososie uchodzą za tak szczęśliwe, że podobno słychać, jak śmieją się podczas pełni, wyskakując z rzecznych nurtów, by sięgnąć księżyca. Odżywiają się wyłącznie małymi rakami rzeczными, które z kolei same uchodzą za rarytas, w sezonie są niemal na wagę złota, mają bowiem słodki owocowy smak i aromat brzoskwiń.

Eisspin mlasnął cicho i zamknął oczy, zdawał się przywoływać w myślach smak tych raków.

- Z mięsa łososia przyrządzam farsz - kontynuował. - Doprawiam go odrobiną soli i paroma ziołami oraz jak najmniejszymi kosteczkami zeszlonej cebuli, po czym formuję klopsa w papierze ryżowym tak cieniutkim, jak oddech na szybie. Tego klopsa wiem na

nitce nad garnkiem subtelnej, błękitnej herbaty, która delikatnie paruje. Klops z łososiowym farszem wisi w tym bladoniebieskim oparze dokładnie siedem tysięcy uderzeń serca - wtedy jest idealnie sposzetowany. Uwalniam go z papieru ryżowego, wkładam do bulionu - i gotowe! No dalej, spróbuj!

Gdy Echo wgrzył się delikatnie w pięknie pachnącego klopsa, wydarzyło się coś zdumiewającego. Cały świat wokół niego zniknął, laboratorium razem z Eisspinem rozplynęło się, lecz nie, nie w powietrzu, *rozplynęło się w wodzie!* Czuł ją całym swoim ciałem, widział unoszące się przed oczami pęcherzyki powietrza, szare kamienie na dnie potoku i wielkie, tłuste łososie, które pływały obok niego. Woda zaś była nie tylko dookoła, lecz także w *nim* samym, w jego pyszczku, gardle - naprawdę nią oddychał. I wtedy zrozumiał nagle, że i on jest łososiem. Świadomość tego stała się tak realna, że zaskoczony pisnął, co sprawiło, iż z pyska wyleciały mu wielkie pęcherze powietrza, przysłaniając widok. A potem, równie nieoczekiwanie jak zniknęło, wszystko nagle się pojawiło: znajome otoczenie, kuchnia i przerożnik. Echo był tak zaskoczony, że odskoczył od talerza, usiłując strzepać wodę z futerka. Ale ani jedna kropla nie spadła. Był suchy jak polano w kominku.

- Czyżbyś przez parę chwil był rybą? - zapytał Eisspin i nie czekając na odpowiedź, kontynuował - nie jakąś tam rybą, tylko łososiem! Czułeś wodę w skrzelach, prawda? Mimo że wcale nie masz skrzeli.

- W rzeczy samej. Byłem rybą tak bardzo, jak tylko jest to możliwe. *Oddychałem wodą* - odpowiedział wciąż jeszcze oszołomiony Echo, próbując wyciągnąć łapką kroplę ze swego prawego ucha, lecz było ono równie suche, jak reszta futerka.

- W takim razie trzymałem się przepisu dokładnie. Pochodzi od największego kucharza w Wielowodzie. Całe życie wzbraniał się przed przyrządzaniem czegokolwiek oprócz łososi, a to był jego ulubiony przepis. Częstuj się!

Echo wahał się przez chwilę, nim dokończył klopsa i natychmiast znalazł się z powrotem pod wodą. Krotek, choć wody raczej unikał, wiedząc, że to iluzja, wręcz rozkoszował się tą kulinarną sztuczką. Poniósł go nurt, dziki wir słodkiej wody i pęcherzyków powietrza porwał w dół, potem wynurzył na chwilę głowę z rzeki, ujrzał błękitne i słoneczne niebo - i nagle znów siedział na kuchennym stole Eisspina.

- To było świetne! - zawołał zachwycony i znów się otrzepał. - Że też można osiągnąć coś takiego, zjadając klopsa, to niesamowite - dziwił się, chlepcząc pyszną pomidorową esencją.

- To Posiłek Przemian - wyjaśnił Eisspin - alchemiczna gałąź sztuki kulinarnej, pielęgnowana już w początkach alchemii. Współcześnie zakazana przez natiftofskie

Ministerstwo Zdrowia, mam nadzieję, że nie doniesiesz na mnie władzom - mistrz wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Halucynogenne działanie wynika po części z zastosowania bardzo rzadkiego gatunku błękitnej herbaty, rosnącej jedynie na krańcach Słodkiej Pustyni. I jeszcze paru innych ziół dodanych do łososiowego farszu: fantastycznego ziela, śpiętruszki i hypnianu. Gdybym zwiększył ilość herbaty i ziół, mógłbyś godzinami czuć się jak ryba.

- Naprawdę?

- Bez problemu. Ale nie o to przecież w tym chodzi, żebyś przez parę godzin tarzał się po stole, wierząc, że jesteś łososiem. Wszystko jest kwestią proporcji. Zupę można też przesolić.

- Rozumiem - skinął głową Echo. - Czy udaje się to tylko z łososiem?

- Och nie! Z każdym gatunkiem ryb. Z każdym gatunkiem zwierząt. Udaje się nawet z roślinami. Kurą. Królikiem. Dzikim. Ze wszystkim, co można zjeść! Mogę zamienić cię w borowika, jeśli chcesz.

- Jestem pod wrażeniem! Obiecywałeś wiele, ale to przerasta wszelkie moje oczekiwania.

- To jeszcze nic, mały - machnął ręką Eisspin - to dopiero początek. Przystawka. Jedna z wielu.

Sprzątnął wylizany talerz i postawił przed nim nowy. Zdumiony Echo poczuł, że dobiega z niego urzekający zapach, choć talerz był pusty.

- Niewidzialny kawior - wyjaśnił Eisspin - z niewidzialnego jesiotra. Najdroższy i najrzadszy kawior na świecie. Spróbuj złapać kiedyś niewidzialną rybę - i to ręką, bo tylko w taki sposób wolno łowić niewidzialne jesiotry. Udało mi się zdobyć tylko jedno jedyne jajeczko, a muszę ci powiedzieć, że musiałem uruchomić moje najbardziej wątliwe znajomości w półświatku Sledwai. To jajko jest zbrukane krwią!

Echo odsunął się od talerza.

- Nie jajo *bezpośrednio* - uspokajał Eisspin - w przenośni. Właściwie było zarezerwowane dla cana* Floryntu. Ale w ruch poszło parę florynckich szklanych sztyletów, w zupie utopiono paru kuchcików i przekonano w końcu nadwornego kucharza do oszukania swego pana. Przechytrzył go, serwując mu zwyczajne jajeczko kawioru, które ten musiał zjeść z zawiązanymi oczami, bo rzekomo zyskiwało dzięki temu intensywniejszy smak. Z canem Floryntu można robić tego typu numery, odkąd na głowę spadł mu kawałek pałacowej sztukaterii.

□ Car i chan zarazem. Przyp. Katarzyna Bena.

Echo ponownie zainteresował się kawiozem, zdobytym w tak brawurowy sposób i zaczął krążyć językiem po talerzu w poszukiwaniu niewidzialnego jaja. Nagle na jego podniebieniu doszło do małej eksplozji smaku, która przeszła go błogim dreszczem.

- Hmm... - jęknął Echo. - A więc tak smakuje kawior niewidzialnego jesiotra. Niebiańsko.

- A teraz popatrz na swój język - rozkazał Eisspin i położył przed krotkiem srebrną łyżkę, aby mógł się w niej przejrzeć. Echo pochylił się nad nią, z rozbawieniem spojrzął na swą wykrzywioną w łyżce mordkę, otworzył pyszczek i potwornie się przeraził. Nie miał już języka!

- Nie - wyszczerzył zęby uradowany Eisspin. - Wcale nie zniknął. Jest tylko przejściowo niewidzialny. Pojawi się ponownie, gdy uleci już posmak kawioru.

Echo spoglądał w łyżkę z rozwartym pyszczkiem, odrętwiały z przerażenia. Krocie życie bez języka byłoby równie niewyobrażalne jak życie bez ogona. A jeśli Eisspin się mylił? Lecz istotnie, im bardziej ulatywał posmak, tym wyraźniejszy stawał się język, aż w końcu pojawił się cały. Echo odetchnął z ulgą.

- Prawdziwa rozkosz powinna iść czasem w parze z pewnym dreszczykiem emocji - powiedział Eisspin, który znów zaczął przygotowywać kolejną potrawę na żeliwnej patelni. - Czym byłaby konsumpcja pszczelego chleba bez ryzyka natknięcia się na niepozobawioną żądla pszczołę? Czym byłaby duszona ryba ćwikłowa, gdyby nie trzeba było uważać na zranienie się jej śmiertelnie trującymi ościami? Czujesz tę radosną ulgę, że odzyskałeś swój język? To również jest rozkosz. I to bezcenna.

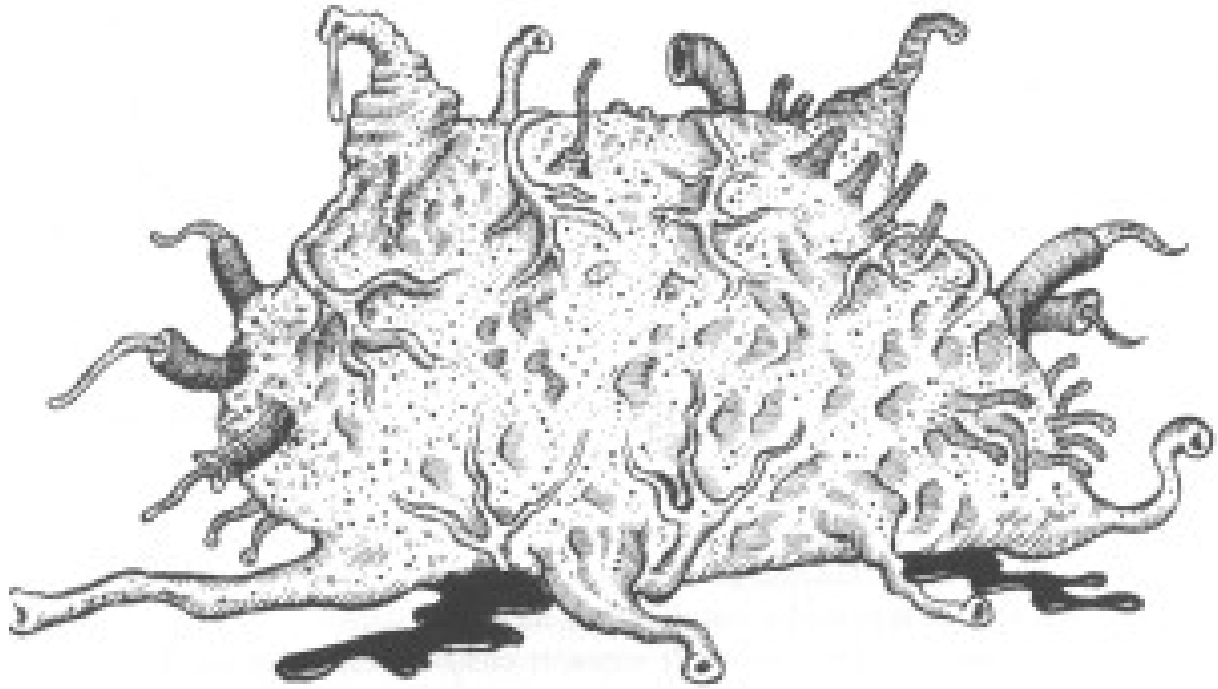
Eisspin postawił przed Echem nowy talerz.

- Bez strachu, nie wypadną ci od tego włosy ani nie wyrosnie ci na głowie żaden róg. To pieczony bromen knilsza.

Echo spojrzął nieufnie na nowe danie.

- Co to za przeproszeniem ten bromen? Knilsza też nie znam.

- Knilsz jest zwierzęciem występującym wyłącznie w kanalizacjach, a odżywia się rzeczami, o których nie będę lepiej wspominał przy stole, tak samo jak o jego wyglądzie. Z uwagi na dramatyczne warunki życiowe knilsz ma jeden organ, który trawi niczym żołądek, odkaża jak wątroba i filtruje niczym nerki - jest to bromen. Ale to jeszcze nie wszystko, wyobraź sobie, że knilsz również *myśli* za pomocą bromena! To superorgan, który nie ma odpowiednika w camońskiej biologii. Świeży bromen knilsza jest delikatesem, o który już nie raz i nie dwa dochodziło na targach do pojedynków na kuchenne noże pomiędzy szefami kuchni.



Echo czknął głośno i poczuł lekką niestrawność. Usiłował wyobrazić sobie knilsza, ale gdy jawiło mu się monstrum o sfilcowanej sierści i mięsście różowych czułkach, wołał dać sobie z tym spokój.

- Dlaczego akurat rzeczy budzące wstręt są dla smakoszy największymi przysmakami?
- zapytał Eisspin. - Żywe ostrygi, schorowane wątroby utuczonych gęsi, mózgi małych cielaczków? Nienarodzone rybce dzieci? Bromen knilsza?

Przeraźnik sam udzielił od razu odpowiedzi.

- To urok przewycięzania samego siebie. A przewycięzanie norm to największa siła napędowa alchemii. Nie tylko gotowanie, również jedzenie jest pokrewne alchemii. Zjedz tego bromena, przeanalizuj językiem i podniebieniem cząsteczki jego smaku, a będziesz bliski stania się adeptem alchemii! Zamknij oczy!

Echo usłuchał, wgrzył się w ten dziwny organ i zaczął żuć w skupieniu. Nie miało to żadnego smaku, który byłby w stanie zidentyfikować. Nic, co przypominałoby mu jakąkolwiek potrawę. Czuł się tak, jakby jadł danie przygotowane na obcej planecie.

- Nie czuję niczego, co do tej pory poznałem. Pachnie obco. Smakuje obco. Wszystko jest niezwykle. I jednak interesujące.

Eisspin wskazał na niego palcem i triumfował.

- W takim razie jesteś smakoszem! Urodzony gourmet oraz alchemik!

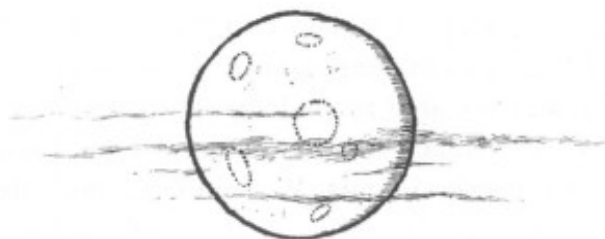
- Jestem?

- Bez cienia wątpliwości. Kulinaryny ignorant natychmiast wypłułby bromen knilsza, bo niewiele potraw smakuje tak niesamowicie. Ignoranci szukają znajomych smaków -

najchętniej cały czas jedliby to samo. Ale gourmet spróbowałby nawet pieczonej parkowej ławki tylko po to, żeby przekonać się, jak smakuje. Oto istota bycia alchemikiem. Nic obcego, nic nowego, nic zaskakującego nie jest w stanie go przerazić. Wręcz przeciwnie, on sam tego szuka. Jesteś gotowy na kolejne danie?

I tak trwało to przez cały wieczór; makaron zapiekany pod płytkami złota, sumik karłowaty w maśle z krewetek, kurki w dwunastu sosach, krab w cukrze paprykowym, nagład w płatkach z cukinii, homar sauté w łódeczce z bakłażana, cynaderki pardwy błotnej w esencjonalnym sosie ze smardzów, gołąbki z likierem ziołowym w botwinie, język migdardzkiego królika w sosie lawendowym, nadziewany ogon świni błotnej na liściu błękitnego kalafiora, skrzydełka w melisowej galarecie, zupa-krem z ogórków morskich z poszatkowanymi ogonami langust - zawsze w maleńkich porcjach, często tylko na ząb, tak aby nie mijała ochota na kolejne dania. A potem dopiero desery! Eisspin serwował fantastyczne pyszności, jedna za drugą, a przy każdej pojawiała się wiele wyjaśniająca informacja, pasjonująca historia czy też jakaś szalona legenda. Echo jeszcze nigdy w życiu nie bawił się tak dobrze, objadając przy tym wykwintnymi daniami. Z równie wielką fascynacją przyglądał się krzątającemu przy piecu przeraźnikowi, jak też przysłuchiwał jego wywodom, pochłaniając kolejne dania. Tyran Sledwai pokazał mu całkiem nowe oblicze: doskonałego gospodarza oraz uroczego gawędziarza i znawcy, który z łatwością przygotowuje jedną kulinarną sensację za drugą, serwując je następnie z doskonałymi manierami kelnera wykwintnej restauracji. Wszystko było idealnie dogotowane, perfekcyjnie doprawione, miało jedyną właściwą temperaturę i leżało na talerzu w aranżacji tak harmonijnej, jak floryncki bukiet na wiosennym jarmarku. Echo był oczarowany. Myśli o pełni księżyca, krocim tłuszczu i rychłym zgonie całkowicie uleciały. Jeszcze do późnej nocy Eisspin serwował danie za daniami, aż w końcu Echo musiał błagać o litość.

Na koniec mistrz kuchni zaniósł na wpół omdlałego już krotka, ważącego teraz drugie tyle co jeszcze przed paroma godzinami, do pokoju, w którym stał wielki, roztaczający przyjemne ciepło piec. Przygotował mu do spania wspaniałą, wyścielony grubymi poduszkami koszyczek, w którym Echo zasnął, mrużąc cicho.



Skórzane Mauzoleum

Następnego dnia rano do wyspanego i ciągle sytego krota wróciły mroczne myśli o kontrakcie, księżycu przeraźnic, krocim sadle, wygotowywaniu, wypychaniu. Echo wygrzebał się z koszyczka i zaczął przemykać po niesamowitym domostwie Eisspina.

Na najwyższym poziomie nie było ani wypchanych demonów zbożowych, ani wiedźm leszczynowych, ale jak na gust Echa panowała wystarczająco nieprzyjemna atmosfera. Światło słoneczne, które wpadało przez wysokie okna, zdawało się tracić swoją moc, zniechęcone rozpraszało się i ginęło w niekończących się korytarzach. Dopiero teraz zauważył nieprzyjemną nieobecność gwaru, do którego tak przywykł w mieście. Tutaj żył jedynie kurz, tańczący z prądami powietrza w rytm melancholijnej muzyki.

Echo wkroczył do wielkiego holu z klatkami, zmroził go widok tego więzienia wypełnionego długimi, smukłymi cieniami rzucanymi przez kraty. Przebiegł pomiędzy nimi ze skuloną głową. Klatki były puste, jednak każda z nich opowiadała historię jednej z ofiar Eisspina - żadna nie miała szczęśliwego zakończenia. W niektórych drewnianych kratkach tkwiły nadal zęby i pazury, świadcząc o rozpaczliwych próbach ucieczki, do żelaznych krat przywarła zaschnięta krew. Wszyscy więźniowie, czy to tryskający siłą niedźwiedź czy barwny rajski ptak, czy to wąż czy tchórzofretka, ubufant czy coming, przeszli swą ostatnią drogę poprzez kocioł do tłuszczu i Eisspinowski Konserwator, a teraz spoczywają w piwnicach posiadłości, zredukowani do zamkniętego w tłuszczu zapachu. Echo nie był w stanie wyobrazić sobie gorszego miejsca. Wszystko przypominało tu o śmierci.

A mimo to odczuwał głód. I choć zasypiając, przysięgał sobie, że przez kolejne trzy dni niczego nie zje - teraz wszystkie potrawy zostały już strawione, a obfite menu Eisspina tak potężnie rozepchało mu żołądek, że wydawał się jeszcze bardziej pusty niż wcześniej. Echo pojął, że głód o wiele lepiej znosi się z wyposzczonym żołądkiem.

- Ach, tu jest mój łakomeczuch! - zawołał pogodnie Eisspin, gdy Echo nieśmiało wśliznął się do laboratorium. Manipulował przy pewnej wadze alchemicznej, na której maleńkimi ołowianymi odważnikami odmierzał jakiś złoty proszek. - Dobrze się spało? Co powiesz na porządne śniadanie?

- Miło, że pytasz - odpowiedział Echo. - Wyspałem się doskonale. I rzeczywiście mógłbym już coś zjeść. Pomimo wczorajszej obfitej biesiady.

- Jaka tam biesiada! - machnął ręką Eisspin. - To było jeszcze nic. Jedynie uwertura. Parę przystawek.

Echo kręcił się onieśmielony po laboratorium. W kotle gotował się wielki ptak, z bulgoczącej brei wystawały jego zakrzywione pazury.

- To jest dododo - wyjaśnił Eisspin, gdy zobaczył przycupniętego przy kotle krotka. - Czy też raczej: to *był* dododo. Obawiam się, że ostatni z tego gatunku.

- Może ja też jestem ostatni z mojego gatunku - powiedział cicho Echo, odwracając wzrok od tego potwornego widoku.

- To wielce prawdopodobne - zawołał Eisspin. - Wielce prawdopodobne!

Echo zaczął rozumieć charakter Eisspina. Przeważnie nie przeszło nawet przez myśl, że jego bezlitosne uwagi mogą urazić uczucia rozmówcy. Uczucia te były mu absolutnie obojętne. Mówił, co myślał, niezależnie od tego, jak bardzo było to ohydne.

Eisspin zrobił w zeszycie parę notatek, zaczął przy tym mruczeć, a następnie klepać alchemiczne formułki jedna za drugą, zdawałoby się, całkowicie zapominając o Echu. Ten zastygł na chwilę w uprzejmym milczeniu, by nie rozpraszać swego gospodarza. Nagle jednak jego mały żołądek zaburczał tak głośno, że słychać było w całym laboratorium, przez co Eisspin oderwał się od swej litanii. Spojrzał w kierunku Echa.



- Wybacz, proszę! - Praca! Mam dzisiaj parę rzeczy do nadrobienia, z tego powodu... Słuchaj, co powiesz na samoobsługę podczas śniadania? Musisz jedynie pójść na dach, na którym zaaranżowałem wszystko dla twojej przyjemności.

- Na dach? - zapytał Echo.

- Pogoda jest piękna, świeże powietrze jest zdrowe. Krotki chętnie łążą po dachach, prawda?

Eisspin skinął ostrożnie głową.

- Tak - powiedział - Lubię dachy.

- Ale jest pewna sprawa... pewna... formalność.

- Formalność?

- Skóroperze.

- A co z nimi?

Eisspin utkwiał wzrok w suficie laboratorium.

- Strych mojego domu należy w pewnym stopniu do skóroperzy. Cicha umowa. Ja pozwalam im tam spać. One w zamian wyświadczają mi od czasu do czasu... przysługi.

- Lubisz ubijać interesy ze zwierzętami - stwierdził Echo.

- Jeśli chcesz dostać się na dach - kontynuował Eisspin - musisz przejść przez strych, a to jest królestwo skóroperzy. Musisz poprosić je o pozwolenie, by móc przejść przez ich włości. To wszystko. Pewien wyraz respektu. A może się ich boisz?

- Nie, to przecież tylko myszy. Myszy ze skrzydłami, no i co z tego?

Echo nie obawiał się ani ich pomarszczonych mord, ani pazurów, ani ostrych zębów. Krot sam był wyposażony w pazury i zęby o wiele skuteczniejsze niż te u latających myszy. Niech tylko spróbują wyssać mu krew, a on już wyjaśni im kwestię różnicy w hierarchii między myszą a krotem.

- Nie - powiedział Echo - nie boję się.

Eisspin pociągnął za łańcuch z kości, który dyndał pod sufitem, po czym jeden z regałów na książki wraz z rupieciami zanurzył się ze skrzypieniem w podłodze, odsłaniając widok na stare, wychodzone, drewniane schody, prowadzące do góry w ciemność.

- To jest droga na poddasze - powiedział. - Droga do Skórzanego Mauzoleum, jak sam je nazywam, ma w sobie coś z grobowca. To już dość zmurszałe bestie. Przekaż im ode mnie pozdrowienia!

Eisspin odwrócił się z powrotem do swojego proszku.

- Ty możesz sobie z nimi porozmawiać - ja, niestety, nie. Jak ja ci zazdroszczę, że możesz rozmawiać ze zwierzętami! Ileż tajemnic natury mogłyby mi zdradzić.

Tak, podobałoby mu się, gdyby umiał rozmawiać ze zwierzętami - pomyślał Echo. Prawdopodobnie rozciągnąłby je na katowskiej ławie i dokładnie przesłuchał, za pomocą garoty i zgniatacza kciuków.

- Wchodź bez obaw - zawołał Eisspin. - Baw się dobrze na tym dachu.

Echo stał teraz przed wejściem i wpatrywał się w ciemność. Prastare drewniane schody były spróchniałe i mocno wytarte. Wyglądały mało zachęcająco, każdy stopień był na swój sposób pogięty i wychodzony. W tym wątłym świetle wydawały się potworem z rozwartą paszczą o złym, przeszywającym spojrzeniu. Musiał zmusić się do wejścia na pierwszy stopień, który zaskrzypiał z udręką, gdy tylko dotknął go łapką.

- Idź spokojnie! - zapewniał Eisspin. - Skoro wytrzymują moje ciężkie kości, ty ze swoją muszą wagą nie musisz się niczym przejmować.

Echo wszedł z wahaniem na schody. W istocie pachniało tu jak w jakimś starożytnym grobowcu, którego nie wietrzono całą wieczność, tysiąc lat starego powietrza i gnijących trupów. Ale wspinał się dzielnie, stopień za stopniem, a im wyżej wchodził, tym bardziej robiło się mrocznie i zatęchle, do czego dołączył się wkrótce jeszcze jakiś świdrujący zapach. Usłyszał, jak Eisspin pociąga na dole za kościany sznur i regał wrócił ze skrzypieniem na swoje miejsce.

- Nie bój się! - zawołał przerażnik. - One gryzą tylko nocą!

A potem zrobiło się całkowicie ciemno.

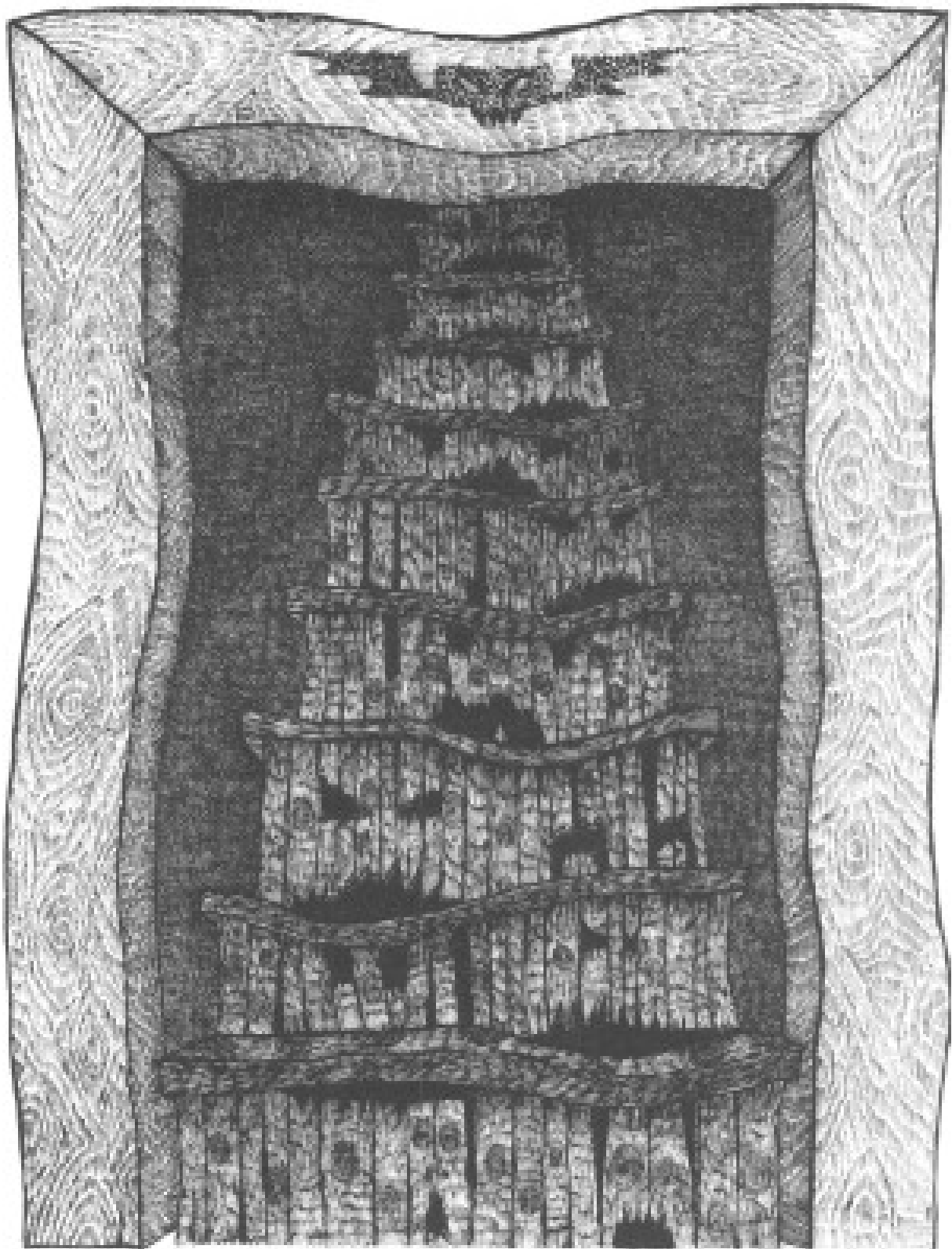
Echo poczuł ucisk w gardle, a łapki ogarnęło lekkie drżenie. Wspinał się jednak dalej, ostrożnie wymacując kolejne stopnie. Chciał mieć jak najszybciej za sobą ten wyraz respektu, jak określił to Eisspin. A tak właściwie to bezczelność! - złościł się. - Żeby trzeba było rozmawiać z pospolitymi skóroperzami, aby dostać się do własnego jedzenia, o tym nigdy nie było mowy.

Kwaśny odór stał się teraz tak ostry, że aż go zemdlilo.

- Skóroperze?! - zawołał.

Echo wszedł już na ostatni schodek, bo nie wyczuł już kolejnych. Podłoga pod jego łapkami sprawiała wrażenie nierównej i kamienistej.

Ponad nim sklepał się chyba wysoki sufit, tyle przynajmniej był w stanie dostrzec w tym słabym świetle, jakie miał do dyspozycji. Tylko nieliczne promienie słońca przeszywały ciemnozieloną kopułę niczym srebrne igły.



- Skóroperze?! - zawołał raz jeszcze. - Czy w ogóle tu kiedykolwiek były? A może to jedynie kiepski żart Eisspina, chcącego wystawić mnie na próbę. Ale Eisspin przecież nie lubi żartów.

Echo nadstawił uszu. Nie, jednak coś tu jest. Lub ktoś. Usłyszał zwielokrotniony hałas przywodzący na myśl bardzo powolne kartkowanie księgi o posklejanych stronach. Tu szelest. Tam syk. Gdzie indziej ciche fuknięcie.

- Skóroperze?! - zawołał po raz trzeci.

- Powtarzasz się - odpowiedział ostro i wrogo głos w ciemnościach. - Tak, są tu skóroperze. Czego od nas chcesz?

Echo nie zastanawiał się długo. - Przysyła mnie przeraźnik Eisspin. Muszę się dostać na dach. Aby to zrobić, mam otrzymać od was pozwolenie.

- Ach tak? - ta odpowiedź brzmiała zarazem groźnie i szyderczo.

- Tak - odpowiedział Echo.

Zdecydował się na dziarskie i śmiałe wystąpienie. Nie okazuj słabości! Bezczelność zwycięża.

- Ale jeśli mam być szczery - kontynuował - to gwizdę na wasze pozwolenie. I tak, i tak pójdę na dach. Nie potrzebuję na to przyzwolenia od żadnej myszy.

- Nie jesteśmy myszami. Jesteśmy skóroperzami.

- Myszy, skóroperze, co za różnica? - zapytał lekceważąco Echo.

- Potrafimy latać.

- Potrafimy gryźć.

- Potrafimy wysysać krew.

Tym razem Echo odniósł wrażenie, że odpowiedziały mu trzy różne głosy. Jego oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności i mógł już dostrzec coraz więcej. Na górze coś się poruszało, a właściwie poruszał się cały sufit! W pierwszej chwili myślał, że to rozwieszzone tu przez Eisspina na sznurach, schnące, unoszące się na wietrze skóry martwych zwierząt. Lecz to było coś żywego. Rozkładało długie skórzaste skrzydła, wysuwało ostre pazury, obnażało zęby, wpatrywało się w niego z ciemności małymi złymi oczkami. Wampiry wisiały nad nim niczym jeden olbrzymi potwór, gęsto stłoczone, wszystkie głową w dół. Echo oczekiwał, że będzie ich co najmniej kilkadziesiąt, być może i kilkaset.

Ale teraz, ku swemu przerażeniu, zauważył, że do obelkowania strychu przywarło ich tysiące.

Jego oczy przyzwyczaiły się wreszcie do nowych warunków światła. Zobaczył teraz również, co było przyczyną tego ostrego smrodu - twarde, kamienisty grunt pod nim był w

rzeczywistości zaschniętymi ekskrementami skóroperzy. Echo stał wszystkimi czterema łapkami w największej kloace w całej Sledwai.

- A co zrobisz, jeśli odmówimy ci pozwolenia? - zapytano z góry.

Złapię jednego skóroperza i przetrzępię go porządnie na oczach pozostałych - taki właśnie Echo miał plan. Ukarać jednego dla przykładu, krótko i bardzo boleśnie, a wtedy pozostali położą uszy po sobie. Teraz jednak musiał przyznać, że nie pójdzie mu tak łatwo. Wcale a wcale. Potrzebował pilnie nowej strategii.

- No - zapytał jeden ze skóroperzy - odebrało ci mowę?

Echo starał się zachować spokój. Byle nie stracić głowy! Czy była to pułapka? Jakiś rytuał? A może miał być prezentem od Eisspina, ofiarą złożoną mieszkańcom poddasza? Był absolutnie pewien, że w starciu z nimi nie ma najmniejszych szans. Rzucą się na niego wszystkie, przygniotą swą kościstą masą i okryją niczym skórzaną płachtą na zwłoki. Wbiją w niego ostre zęby i wysą krew w ciągu paru sekund. Jeśli uczyni jeszcze jedną opryskliwą uwagę czy jakiś fałszywy ruch, zostanie po nim tylko ogołoczone i podziurawione futerko. Nie wiedział, gdzie znajduje się wejście na dach, a drogę powrotną miał odciętą. Wszedł prosto w pułapkę, jak głupi szczur, który nie potrafi trzymać łap z dala od sera. Śniadanie na dachu! To Echo miał być tutaj śniadaniem.

- Czekamy na odpowiedź! - wysyczano groźnie z ciemności.

Echo musiał się bardzo dokładnie zastanowić, co powiedzieć. Jak rozmawiać z tyloma wampirami, które właśnie śmiertelnie się obraziły? Służalczo? Zuchwale? Szczerze? Obłudnie? Pewien był jedynie tego, że w jego przemowie musi się pojawić przeraźnik. Jeśli skóroperze miały przed kimkolwiek odrobinę respektu, to na pewno przed swoim gospodarzem. A teraz jeszcze mu się przypomniało, że ma przekazać im pozdrowienia.

- Jak już mówiłem, przysłała mnie Eisspin - zawołał - przeraźnik Eisspin, wasz gospodarz. Potężny Eisspin, pod którego opieką się znajduję. Jestem w drodze na jego polecenie. Mam was od niego pozdrowić - Echo starał się, by jego głos brzmiał równie pewnie co wcześniej, ale niezbyt mu się to udawało.

- Tak, już o tym wspominałeś - odpowiedział jeden ze skóroperzy.

- To bardzo wspaniałomyślne z jego strony - uzupełnił drugi.

- Wspaniałomyślne? - zapytał ostrożnie Echo - Pozdrowienia? W jakim sensie?

- Nie pozdrowienia.

- Tylko?

- Tylko ty.

- Ja jestem wspaniałomyślny? - zapytał tępo Echo.

- Nie, to wspaniałomyślne z jego strony, że cię przysłał.

- Dlaczego?

- Dawno nie mieliśmy już miauczącego deseru.

Rozległ się szyderczy syk, uchodzący wśród skóroperzy zapewne za śmiech. Echo skulił instynktownie łapki, stłumił jednak impuls, by nastroszyć się i prychnąć. Teraz musiał działać głową, nie pazurami! Wykorzystać tę subtelną różnicę między krotem a kotem. Myślenie zamiast czynów. Dyplomacja zamiast wojny.

- Deser? - zapytał - tak wcześnie rano?

- Dla nas jest późny wieczór. Z nocy robimy dzień, a z dnia noc. Mamy właśnie za sobą uroczystą orgię krwi z mieszkańcami Sledwai, deser teraz będzie więc w sam raz.

Jeden ze skóroperzy bezceremonialnie czknął.

Echo skulił się jeszcze bardziej. A więc naprawdę miał być ofiarą! Eisspin tylko z tego powodu podkarmił go wczoraj raz jeszcze. Cała ta gadka o tuczeniu była zwodzeniem. Był tylko pieczenią świąteczną, którą po raz ostatni wypchano.

- Rozumiem - powiedział cicho.

- Nie, nie rozumiesz. Nikt nie rozumie skóroperzy.

- Tak właśnie jest, bracie! - zawołał inny wampir - nikt nie rozumie skóroperzy!

- Nikt!

- Nikt!

- Nikt!

Krotkowi nie pozostało teraz nic więcej, jak zyskać na czasie i nadzieja, że z pomocą przyjdzie mu opatrzność lub przypadek. Może trzeba zacząć głośno miauczeć, wrzeszczeć, aż Eisspin usłyszy? - zastanawiał się. - Nie. Wtedy bezzwłocznie się rzucą z góry. Ale co poza tym? W świecie zwierząt istniały zazwyczaj tylko dwie możliwości zachowania w obliczu niebezpiecznego przeciwnika: albo się przed nim uciekało, albo go atakowało. W tym przypadku obie nie wchodziły w rachubę. Ale jest jeszcze trzecia możliwość. Z pewnością jestem pierwszą z danin ofiarnych Eisspina, mogącą porozmawiać ze skóroperzami. Należało wykorzystać tę wyjątkową szansę.

- Czy przeraźnik jest wam coś dłużny? - zapytał. - Czy z tego powodu zostałem ofiarowany?

- A co cię to obchodzi? - warknął jeden z wampirów.

- Cóż, to wprawdzie marna pociecha, ale jeśli muszę już umrzeć, to chciałbym przynajmniej wiedzieć dlaczego.

- Nie możesz tu stawiać żadnych żądań!

Echo zawahał się. Jeszcze nigdy się nad tym nie zastanawiał. Doprawdy nie była to odpowiednia chwila, by podkreślać swoją nienawiść do myszy. Spróbował zmienić temat, odpowiadając pytaniem na pytanie.

- A co takiego pożytecznego robicie dla Eisspina, że składa wam za to ofiary?

- On zostawił nam poddasze, abyśmy mieli gdzie spać w ciemnościach. Z innych miejsc by nas wykurzono. W zamian dręczymy odrobinę mieszkańców Sledwai.

- Pijemy ich krew.

- Sikamy im do studni.

- Fajdamy do kominów.

Parę wampirów roześmiało się upiornie.

- Infekujemy ich chorobami, żeby pozostali słabi i nie mogli powstać przeciwko Eisspinowi. To nasza działka.

- Jesteśmy mistrzami wojny bakteriologicznej.

- Wirtuozami infekcji.

- Jesteśmy prawdziwą zarazą.

Znów rozległy się ze wszystkich stron pełne aprobaty syknięcia.

Echu przyszła do głowy pewna myśl. Skóroperze zdawały się mieć naprawdę wygórowane mniemanie o własnej niegodziwości. Może tego się trzymać?

- Jesteście najwyraźniej bardzo kreatywni w reprezentowaniu interesów Eisspina.

- Zgadza się - zawołał jeden ze skóroperzy. - Czyścimy sobie zęby gównem kumaka przed wyruszeniem na polowanie.

- Pijemy z cementarnych kałuż, zanim wysikamy się w studniach.

- Gryziemy krowy w wymiona i zatruwamy ich mleko.

- Teraz rozumiem, dlaczego przeraźnik tak was szanuje - powiedział Echo. - Bez was byłby jedynie w połowie tak potężny. Jednak... - przerwał.

- Co jednak?

- Nic. To naprawdę sensowna wspólnota celów. Każdy coś z tego ma. Tylko... - ociągał się z dokończeniem.

- No dalej, mówże!

- Co ci nie pasuje?

Echo odchrząknął.

- No cóż, to wspaniałe, że szerzycie wszystkie te choroby, strach i trwogę, no i inne takie. Bardzo pomysłowe. Efektywne. Ale zadaję sobie również pytanie, czy pomaganie

tyranowi w uciskaniu mieszkańców całego miasta jest naprawdę właściwe? Czy nie jest to wręcz złe?

Zapadło długie milczenie.

Trafiłem w samo sedno! - pomyślał Echo. - Oni są jak dzieci, które trzeba naprowadzić na to, że mają w ogóle coś takiego jak sumienie. I nic dziwnego, skoro nikt z nimi nie rozmawia.

Jeden ze skóroperzy odkaszlnął sucho i przemówił:

- Słuchaj, mały. Opowiemy ci teraz co nieco na temat tego, co jest właściwe, a co nie jest właściwe. Co jest słuszne, a co niesłuszne.

Drugi skóroperz mówił dalej:

- Skup się, śpijmy w dzień i żyjemy w nocy. Pijemy krew zamiast wody. I widzimy uszami.

- Tak, widzimy uszami - kontynuował trzeci. - Góra jest dla nas dołem, a dół górą.

- Góra jest dołem, a dół górą - skandowało coraz więcej wampirów naraz.

- Uważa się nas za brzydkie, my uważamy, że jesteśmy ładne. Wy macie siebie za ładnych, my mamy was za brzydkich.

Każdy ze skóroperzy wypowiadał tylko jedno zdanie, jak gdyby urządzili sobie sztafetę.

- Czy naprawdę dziwi cię to, że mamy inne zapatrywania na sprawiedliwość i niesprawiedliwość?

- Na dobro i zło?

- Na to, co właściwe i niewłaściwe?

- Jesteśmy wampirami, mój drogi!

- Nikt nie rozumie skóroperzy!

- Nikt!

- Nikt!

- Nikt!

- Niewłaściwe jest właściwe, a brzydkie jest piękne! - padło chórem.

- Ludzie nas nienawidzą, boją się naszego wyglądu.

- Wykurzają nas, gdy tylko nas znajdą.

- Rozpinają sieci i tłuką nas pałkami na śmierć, kiedy się w nie zaplątujemy.

- To jest *według nas* niesprawiedliwość!

- Nikt nie rozumie skóroperzy!

- Nikt!

- Nikt!

- Nikt!

Rozległ się pełen aprobaty syk i znów ucichł.

- Eisspin nas nie nienawidzi.

- Nie obawia się nas.

- Zapewnia nam miejsce do snu.

- Dbą o nasze przetrwanie.

- Dlaczego mamy go uważać za kogoś złego?

- Gotuje zwierzęta! - wtrącił Echo.

- No i co, ktoś tego nie robi?

- *Ja* tego nie robię! - odpowiedział twardo Echo.

- Nie? Jesteś wegetarianinem?

- Nie, nie jestem wegetarianinem. Ale nie gotuję zwierząt.

- Ale je jesz.

- No cóż, ech...

- Miałeś właściciela? Przed Eisspinem?

- Była pewna stara kobieta. Zmarła.

- Nasze kondolencje.

- No i? Nie gotowała i nie podawała ci od czasu do czasu jakiegoś zwierzęcia? Może łososia albo kurczaczka?

Echo zwiesił głowę.

- Tak. Owszem...

- No i? Czy w twoich oczach czyni to z twojej dawnej właścicielki złą osobę?

- Nie - musiał przyznać Echo.

- A ty? Zjadłeś to ugotowane zwierzę?

- Tak.

- Czy czyni to z *ciebie* złą osobę w twoich własnych oczach?

- Nigdy o tym nie myślałem.

- Najwyraźniej w ogóle nie lubisz myśleć.

- A zjadłeś kiedyś skóroperza?

- Nigdy! - zawołał zdecydowanie Echo.

- A mysz?

- Mysz... no tak. Ale żadnego skóroperza!

- Hej! Mysz, skóroperz - co za różnica?

Strych wypełniły pyskówki, a Echo pojął, że kontynuując tę rozmowę, pakuje się w coraz większe kłopoty. Ta odmiana myszy nie była w ciemną bitą i zdawało się, że przed przeprowadzeniem egzekucji wampiry upokorzą go jeszcze dla własnej przyjemności. Chciał sobie tego oszczędzić. Jeśli to ma się już zdarzyć, niech przynajmniej stanie się szybko.

- A teraz posłuchajcie - powiedział. Zrezygnował ze skulonej postawy i pewnie podniósł głowę. - Przykro mi, że zachowałem się niewłaściwie, kiedy tu przyszedłem. Bałem się, nie chciałem dać po sobie tego poznać. Myślałem, że mam z Eisspinem umowę, ale najwyraźniej się pomyliłem. Niczego wam nie zrobiłem, dlatego też nie pojmuję, z czego robić tu raban. A więc przestańcie wreszcie przesłuchiwać mnie jak kryminalistę i róbcie to, czego nie możecie sobie odpuścić! Chciałem was tylko poinformować, że sprzedam moją skórę tak drogo, jak będzie to tylko możliwe, i zabiorę ze sobą tylu z was, ilu dosięgnę. Może i jest was wiele, ale mimo że potraficie latać i wysysać krew, jesteście nadal, za pozwoleniem, wciąż tylko myszami.

Dobra mowa końcowa, mogło tak pozostać - pomyślał Echo. - Ten kawałek o myszach w ostatnim zdaniu był najlepszy.

- Masz umowę z mistrzem? - zapytał jeden ze skóroperzy po dłuższej pauzie.
- Na papierze - odpowiedział Echo.
- Papier? To poważne.
- Co macie na myśli?
- To, że *definitywnie* masz z nim jakąś umowę. Zauważysz to najpóźniej w chwili, kiedy spróbujesz ją zerwać.
- Jakiego rodzaju była to umowa? - zapytał jeden ze skóroperzy.
- Chce ode mnie kupić tłuszcz.
- Handlujesz tłuszczem?
- Chodzi o tłuszcz na moim ciele.
- Kłamiesz jak nakręcony. Przecież nie ma na tobie ani grama tłuszczu.
- Jeszcze nie. Eisspin chce mnie utuczyć. Do następnej pełni księżyca. Potem poderżnie mi gardło i wygotuje mój tłuszcz.

Na strychu znów zapanowała absolutna cisza. Żaden skóroperz się nie poruszył. Echo słyszał, jak na zewnątrz gwizdzą wiatr i stukocze dachówkami. Słyszał wrzask wrony. Całkowicie zapomniał, że istnieje coś jeszcze poza mrocznymi wnętrzami strychu.

- W takim razie nie powinieneś tracić ani chwili i iść na dach - wyszeptał jeden ze skóroperzy.

Echo myślał, że się przesłyszał. Mógł iść? Skóroperze były teraz całkowicie cicho.

- Chcecie dać mi pozwolenie na wyjście na dach?

- No jasne. To nigdy nie było problemem.

- Nie chcecie mnie już zabić?

- Nigdy tego nie chcieliśmy. Sam nas sprowokowałeś do strojenia sobie żartów. Nigdy nie zrobilibyśmy nic komuś, kto wchodzi tajemnym przejściem. Ponieważ oznacza to, że jest gościem Eisspina.

- Poza tym jesteś niejadalny.

- Niejadalny? Jak to? - Echo był całkowicie skołowany.

- Twoja krew niczym nie smakuje.

- Skąd to wiecie?

- Czujemy to.

- Twoje soki życiowe są do niczego.

- Zbyt czyste.

- Za mało cholesterolu.

- Musisz mieć dwie wątroby albo co.

- Powiedz no - zapytał skóroperz, który przerywał również na początku rozmowy - jak właściwie masz na imię?

- Echo.

- To naprawdę bardzo ładne imię.

- Racja! Racja! Racja! Racja! Racja! Racja! Racja! Racja! Racja! Racja! Racja!
Racja Racja! Racja! Racja! Racja! Racja! Racja! Racja Racja! Racja! Racja! Racja!
Racja! Racja Racja! Racja! Racja! Racja! Racja! Racja! Racja Racja! Racja! Racja! Racja!
Racja! Racja! Racja Racja! Racja! Racja! Racja! Racja! Racja! Racja Racja! Racja! Racja!
Racja! Racja! Racja! - Rozległo się ze wszystkich stron.

Echo był nadal zaskoczony tą nagłą zmianą sytuacji, szukał właściwych słów.

- Dziękuję - powiedział w końcu i dodał. - A, właśnie, jak wy się nazywacie?

Jeden ze skóroperzy odchrząknął i wychrypiął uroczyście: Nazywam się Vlad Pierwszy.

- Nazywam się Vlad Drugi - zawołał ten obok niego.

- Nazywam się Vlad Trzeci - wychrypiął kolejny.

- Nazywam się Vlad Czwarty.

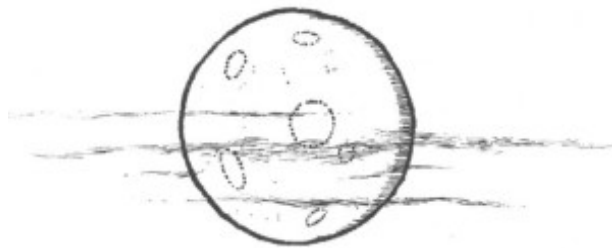
- Nazywam się Vlad Piąty.

- Nazywam się Vlad Szósty.

- Nazywam się Vlad Siódmy.

- Nazywam się Vlad Ósmy.
- Nazywam się Vlad Dziewiąty.
- Nazywam się Vlad Dziesiąty.

Kiedy przedstawił się Vlad Jedenasty, Echo pojął swój błąd. Żaden ze skóroperzy nie odpuścił sobie, by nie wymienić swego imienia. I dopiero gdy przedstawił się Vlad Dwa Tysiące Czterysta Trzydziesty Ósmy, wampiry pokazały krotkowi, który w tym czasie omal nie umarł z głodu, tajemną drogę prowadzącą na dach.



Dach nad dachami

Gdy Echo wszedł na dach, poczuł, że wkroczył w nowy o wiele większy świat. Z północy dął silny wiatr, mierzwiąc mu futro i niemal ścinając go z nóg - jeszcze nigdy nie stał tak wysoko. Widok zapierał dech w piersiach. Zamek Eisspina posłużył krotkowi za monumentalną wieżę widokową. Z tego miejsca cała Sledwaya wydawała się mała. To, co z perspektywy bruku było dla Echa gigantycznym labiryntem pełnym niemożliwych do sforsowania ścian, z góry skurczyło się do rozmiarów miniaturowego modelu, nieuporządkowanej kolekcji zabawek w postaci domków dla lalek i drewnianych klocków, pomiędzy którymi toczyły się maleńkie dorożki i powozy oraz pełzali ludzie, niczym pracownicy mieszkańcy mrowiska.

Echo pojął nagle, że jego wiedza o świecie, w którym żyje, jest zatrażająco mała. Ogarnęła go dzika tęsknota za zbadaniem królestwa skrytego za horyzontem, nad którym wisiało oślepiające słońce. Kraina pomiędzy miastem a dalekimi szaroniebieskimi górami, dzielącymi ziemię i niebo, rozciągała się nieskończoną zielenią. Lasy, łąki, pola, kobierzec spod ręki natury, trzeba byłoby miesięcy, by zbadać go we wszystkich szczegółach. Być może lat. Być może całego życia.

I w tym momencie krota dopadły znów troski. Miesiące! Lata! Całe życie! Jemu pozostały jedynie dni. Trzydzieści, nie, już tylko dwadzieścia dziewięć. Echo spojrzął w górę na księżyc. Perspektywa spoglądania przez cały miesiąc na monument swej śmierci była przerażająca. Echo strząsnął z siebie smutne myśli, niczym krople deszczu z futerka, i zabrał się za zwiedzanie dachu.

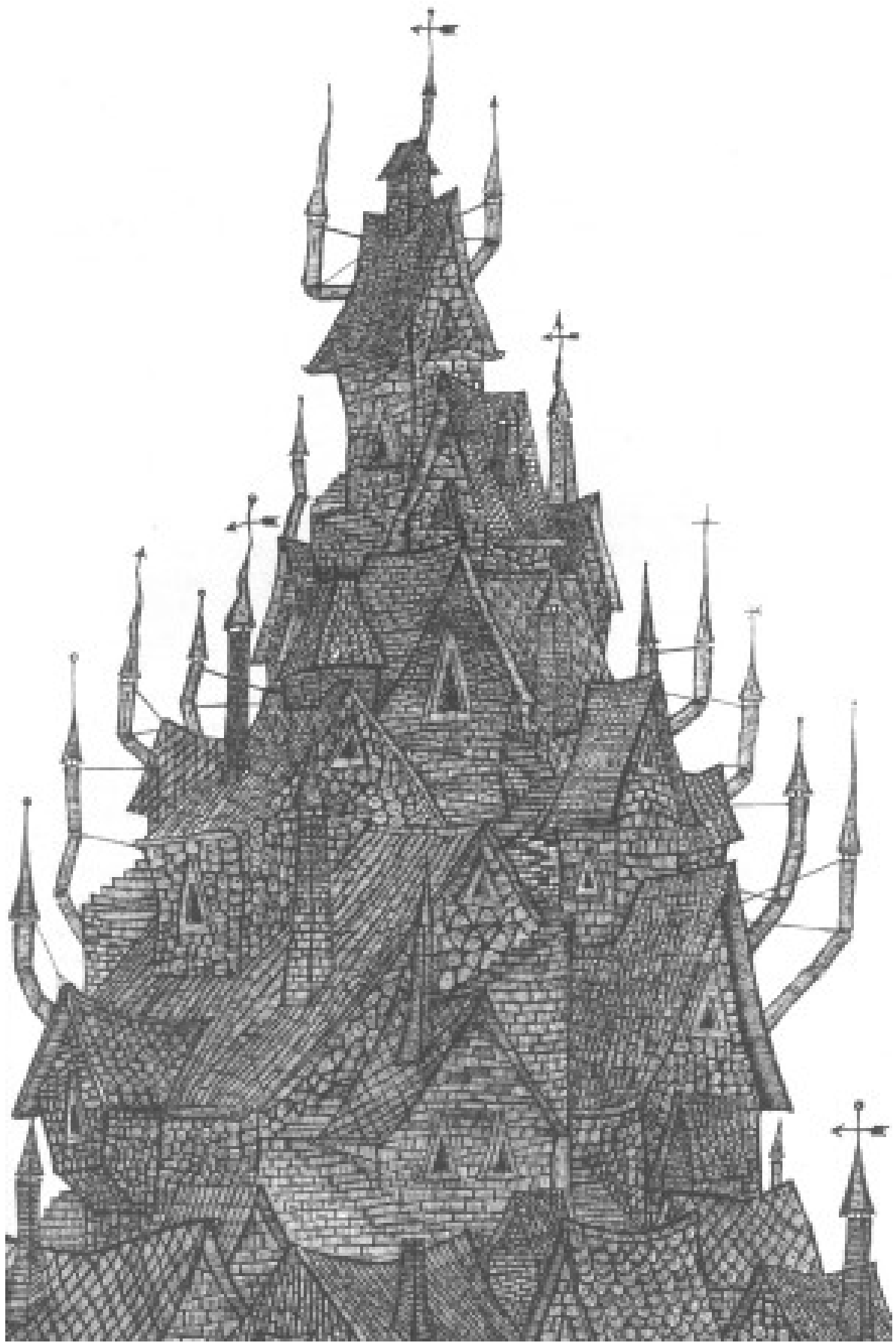
Był to dach dachów, zwężający się ku górze cud architektury, złożony z małych i dużych kalenic, kamiennych ścian i schodów, rozchodzących się w górę i w dół, pozornie bez sensu.

Nie był to pierwszy dach, na który się wspiał, lecz zdecydowanie był to dach największy, najwyżej położony, najosobliwszy i najbardziej kręty. Wznosiły się na nim dziesiątki kominów, niczym kamienne grzyby o blaszanych kapeluszach. Większość gontów nadal była położona tak starannie, jak tylko dekarz mógłby sobie wymarzyć. Jednak w niektórych miejscach sterczały krzywo i ukośnie, burząc porządek, jak zaniedbane zęby olbrzyma, szarpane i maltretowane przed wiatr od stuleci. Tam, gdzie brakowało gontów, zmytych z dachu przez deszcz, rozrastała się mała, dzika grządka, pełna ostów, ziół i stokrotek.

Same gonty sprawiały wrażenie niezniszczalnych. Wykonane zostały bowiem z twardego jak żelazo łupka, zdolnego przetrwać wieczność. Ich chropowata, pełna delikatnych żłobień i wypukłości powierzchnia zapewniała łapkom Echa wyśmienitą przyczepność. Jeden fałszywy krok, jeden błąd, potknięcie i runąłby jak kamień w dół do Sledwai, aż jego kości roztrzaskałyby się na tysiące kawałków na miejskim bruku. I nieważne, czy wylądowałby na czterech łapach, czy też nie, ponieważ przy upadku z takiej wysokości nie pomogłyby mu ani jego elastyczne kości, ani wyściełane poduszczkami łapki.

Znajdujące się tu schody również nosiły ślady wiatru i pogody, częściowo potrzaskane, częściowo zawałone. Echo musiał co rusz wykonywać śmiałe skoki, by pokonywać szczeliny. Jednak te właśnie niebezpieczeństwa: balansowanie na gontach, skoki z dachu na dach, w znacznej mierze stanowiły o uroku tego miejsca. Echo starał się jak najdokładniej przemyśleć każdy krok, by zawsze utrzymać doskonałą równowagę. Była to istota krociej egzystencji - on i jego pobratymcy znaleźli się być może na tym świecie tylko z tego jednego powodu: aby z gracją wędrować po dachach. Echo zawsze w ten sposób się poruszał, zarówno po szerokiej ulicy, jak i po wąskim murze - tak jakby balansował na stalowej linie, ponad ziejącą poniżej wielokilometrową otchłanią. Teraz to wszystko wydało mu się wielkim przygotowaniem na tę właśnie chwilę.

Dach zamku Eisspina dla Echa był jak marzenie, jakby skonstruował go jakiś fanatyczny wielbiciel krotów w jakiejś dawno zapomnianej epoce, a potem przez stulecia pozwolił mu malowniczo wietrzeć tylko po to, aby Echo mógł teraz z przyjemnością po nim spacerować. Krot ostrożnie badał drogę, sprawdzając wytrzymałość gontów. Gdy któryś zachrząścił lub zatrzeszczał, lub też osuwał się, Echo zatrzymywał się, zapamiętywał to miejsce i szukał innej drogi. Kiedy jednak znajdował stabilne oparcie, zdecydowanie na nim stawał. Czasami odważył się na mały skok, ale zaraz znów zastygł bez ruchu z nadstawionymi uszami, nasłuchując z ciekawością i wietrząc. Chwileczkę - czy to nie była przypadkiem krocimiętka? Powąchał raz jeszcze. - Tak, nie ma żadnych wątpliwości, był to czarowny zapach krocimiętki, najwspanialszego zioła na świecie! Echo z miejsca stracił głowę, zapomniał o wszelkiej ostrożności i wykonał kilka śmiałych skoków w górę dachu, zatrzymał się na wąskiej krawędzi kalenicy i zaczął się wpatrywać w miejsce na odległym podeście, gdzie stała wielka donica z bujnym krzewem krocimiętki w letnim rozkwicie, otoczona przez brzęczące trzmielce.



To, co tak zachwyca krotki w krocimiętce i w jednej chwili przeobraża je w mruczący kłębek szczęścia, pozostaje nadal jedną z nierozwikłanych tajemnic camońskiej biologii. Echo w każdym razie natychmiast zaprezentował wzorcowe zachowanie w obliczu tego cudownego ziela: zbiegł lekkim krokiem po gontach i zaczął krążyć wokół donicy z pochyloną głową, czając się i węsząc. Potem skoczył w górę, zaszył się głęboko w krzewie i zaczął obwąchiwać w ekstazie każdą łodygę, każdy listek, każdy kwiat, mrucząc rozkosznie. Potem jeszcze przez długi czas miauczał, jak gdyby śpiewał roślinie miłosną pieśń. Kiedy nasycił się cudownym zapachem, pomaszerował dalej, z jeszcze większą gracją niż poprzednio, wzmocniony i uskrzydłony, wywijając ogonem eleganckie floresy.

A więc przeraźnik Eisspin wcale go nie okłamał. Ten dach krył jeszcze inne smakowitości oprócz cudownej mięty. Echo nie tylko się tego domyślał - czuł to! Pieczone gołąbki i przepiórki, mleko z miodem. W powietrzu unosił się niewidzialny, suto zastawiony stół biesiadny. Mięta była jedynie wonnym pobudzeniem apetytu, prawdziwe przyjemności czekały gdzie indziej. Ale gdzie? Echo wspinał się coraz wyżej i wyżej po kalenicy, aż trafił na taras z mchu. Musiały się stąd kiedyś zsunąć dziesiątki gontów, niczym lawina w górach, a ktoś, przypuszczalnie Eisspin, założył tu ogród. Była to prawdziwa mała puszcza, ciągnąca się daleko w głąb strychu, z miękkim podłożem z mchu, z wysokimi trawami i chwastami. Echo przemykał na miękkich łapkach przez gąszcz, przyczajony jak myśliwy na łowach. Dwa zapachy wymieszały się i stały się dominujące: zapach mleka i miodu.

Nagle drogę zastawiły mu osty, lecz on rozerwał je na strzępy pazurami. Nic już nie mogło dzielić go od celu wyprawy, który musiał znajdować się teraz bardzo, bardzo blisko. Rozchylił łapkami bujne zarośla żółtej trawy - i wtedy ujrzał po raz pierwszy morze mleka! Śnieżnobiałą powierzchnię delikatnie marszczoną przez wiatr. Unosiły się na niej małe, uplecione z trzciny łódki, pasażerami były zaś chrupiące pieczone gołąbki i grillowane ryby. Siedziały prosto, poprzebierane w ubranka dla lalek i zaopatrzone w małe papierowe parasolki. Echo był zachwycony.

Przyczołgał się do brzegu mlecznego jeziora i zaczął pić z niego zwinnym języczkiem - rzeczywiście, dodano do niego miodu! Gdy Echo ugasił pierwsze pragnienie, z jednej z łodzi wyłowił łapką gołąbka, oswobodził go z ubranka dla lalek i zjadł całego, od chrupiącej skórki aż po kosteczki. Zjadł pierś, udka i skrzydełka, a potem zdarł swym ostrym języczkiem każde włókno mięsa, aż leżał przed nim już tylko czyściutki szkielet.

Potem Echo z westchnieniem położył się na mchu, by odbyć małą drzemkę. W zadumie przyglądał się białemu ptasiemu szkieletowi, dla zabawy przetaczając go łapką to w jedną, to w drugą stronę, ale ten widok skierował jego myśli w mroczną stronę. Przeraził się,



uświadamiając sobie, ile energii poświęcał Eisspin, żeby go utuczyć. Przeróżnik naprawdę przyniósł tutaj wannę, być może z narażeniem własnego życia. Umieścił ją w mchu i wypełnił mlekiem, wiadro za wiadrem. Przygotował nie tylko ten smakowity drób, zaopatrzył go jeszcze w ubranka dla lalek i sklecił łódeczki. Jak bardzo musiało to być dla niego ważne! Jak pożądliwie pragnął zobaczyć, że chudy krotek obrasta tłuszczem! Echo skoczył na równe łapy, nagle znów wrócił do rzeczywistości.

W nastroju pełnym przygnębienia, czując ciarki na grzbiecie, zaczął wspinać się dalej. Dokładne zwiedzenie dachu było praktycznie niemożliwe, schody prowadziły czasem w górę, potem bez powodu w dół lub znikaly za rogiem, by raptownie urwać się przed ceglana pochyłością. Wtedy pozostawało albo zawrócić, albo wspinać się po stromym dachu. Echo wpatrywał się tu i tam w trójkątne otwory okienne, lecz nie był w stanie dostrzec niczego oprócz głębokiego mroku. Czy tam, na dole, mieszkały skóroperze? A może pod tym szalonym dachem znajdował się jeszcze inny, właściwy strych, który chronił wampiry od deszczu i niepogody? Tu i ówdzie natykał się na wyryte w kamieniu osobliwe ornamenty, dziwaczne kamienne rzeźby i groteskowe gargulce. Czuł się jak badacz, który odkrył ruiny upadłej cywilizacji.



W powietrzu znów pojawił się apetyczny zapach! Czy to nie pieczone kiełbaski? Zraziki rybne? Grillowany drób? Echo podążał za tropem, prześliznął się za róg i natknął się na kolejne miejsce, w którym Eisspin stworzył kroczi raj. Był to metrowej wysokości komin z ciemnoczerwonej cegły, stojący na małym, lekko pochyłym daszku. Za pomocą drutu do kwiatów i naciętych gałęzi mistrz przeobraził go w parodię choinki, na której na cienkich nitkach zawiesił konkretne smakowitości: chrupiące pieczone kiełbaski, małe zraziki rybne, pachnące czosnkiem kotlety jagnięce, panierowane nóżki kurczaka i chrupiące skrzydełka. Pod spodem stał garnek ze świeżą słodką śmietaną.

Echo odetchnął głęboko. Nieprzyjemne myśli natychmiast uleciały, do pyszczka napłynęła mu ślinka. Zabrał się od razu do dzieła, strącając łapką małe przekąski, rozpoczął degustację. Wcale nie były tak proste, jak się wydawało na pierwszy rzut oka, lecz wyjątkowo

wyrafinowane. Eisspin naszpikował kielbaski małeńkimi krabami, siekaną cebulką, kawałeczkami jabłek oraz przyprawił szalwią, a nóżki kurczaka marynował najwyraźniej przez cały dzień w czerwonym winie, bo ich jasnoczerwone mięso rozpływało się na języku z miękkością masła. Kotlety jagnięce zawinał w surową szynkę, naszpikował rozmarynem i dopiero potem upiekł. Wszystko smakowało wyśmienicie.

- Smakuje? - zapytał nagle jakiś głos.

Echo przeraził się do tego stopnia, że z mordki wypadł mu kotlet jagnięcy. Rozejrzał się wokoło, lecz nikogo nie zauważył.

- Tu, na górze! - zawołał głos.

Echo spojrzął w górę na komin. Wystawała z niego głowa jednookiego puchacza, który gapił się na niego przenikliwie swym jedynym okiem.

- Pytałem, czy smakuje? - puchacz miał niski, dźwięczny głos. - W każdym razie niech atepyt ci dopisuje.

Atepyt? Czy ten ptak powiedział atepyt?

- Dziękuję. - Bardzo mi smakuje. Czy przypadkiem nie zabrałem ci jedzenia?

- Och, nie - odpowiedział puchacz. - Nie ruszam tych rzeczy. Ja tu tylko mieszkam: ten komin jest moim docymilem.

- Nie wiedziałem, że tu na górze jeszcze ktoś mieszka.

- To teraz wiesz. Zachowaj to jednak dla siebie, nie chciałbym, aby stało się to bupliczną tajemnicą. Za pozwoleniem. Nazywam się Fiodor F. Fiodor, ale możesz mówić mi Fiodor.

Echo nie odważył się zapytać o znaczenie tego F pomiędzy oboma Fiodorami. Być może był to skrót od Fiodora.

- Bardzo mi miło. Nazywam się Echo. Mieszkasz w tym kominie?

- Nie jest przecież używany. Ma daszek. To mi wystarcza - puchacz gapił się na Echo, milcząc. - Skoro jesteś w stanie ze mną rozmawiać, to musisz być krotkiem - powiedział po chwili.

- Zgadza się - potwierdził Echo.

- Wszystko jasne. Masz dwie wątroby, wiedziałeś o tym? Znam się odrobinę na biogolii.

- Chyba chodzi ci o biologię.

Fiodor zachowywał się tak, jak gdyby nie usłyszał tej uwagi.



- Inteserowałoby mnie, w jaki sposób przeszedłeś obok skóroperzy - powiedział. - Na tym dachu nie znalazło się jeszcze ani jedno zwierzę nieposiadające zdolności aeraunotycznych.

Inteserowałoby? Aeraunotycznych? Sposób, w jaki wystawiał się Fiodor, coraz bardziej irytował krota.

- Rozmawiałem z nimi - odpowiedział Echo.

- Aach - oto sztuka dyplocamji! - zawołał Fiodor. - Rozumiem, zmapinulowałeś je za pomocą armugentów, zgadza się?

Echo wreszcie pojął: Fiodor chętnie używał obcych słów, chociaż najwidoczniej miał z nimi problem. Albo broplem, jak sam by pewnie powiedział.

- Wolę używać mojego rozumu zamiast pazurów.

- Skominukowałeś się z nimi, zamiast walczyć! Jesteś facypistą! - zawołał Fiodor. - To przecież opmytalne, nasze podglądy nie mogłyby być bardziej zharzonimowane. Wszystko można przedystukować, też jestem tego zdania.

- Znasz naprawdę wiele obcych słów - stwierdził Echo.

- Można tak powiedzieć - odrzekł Fiodor i lekko się napuszył - jestem inletektualistą. Poniekąd enklycopedią słów obcych, aurytotetem pierwszej kagetorii. Nie idzie mi przy tym o

to, by przechwalać się mym uniserwalnym wykształceniem, lecz jedynie o przezyję językową. Nie trzeba do tego zaliczyć gimzanjum. Wystarczy własna iwincjatyna.

- W takim razie jesteś również jednym z lokatorów Eisspina?

- Udam, że tego nie słyszałem! Nie mam nic wspólnego z tym kryminalnym inwudidium. Zająłem ten komin, by zaprostetować przeciwko machinacjom Eisspina.

- Och, chyba go za bardzo nie lubisz?

- I pewnie nie jestem jedyny! On jest pażosytem tej społeczności! Przywarł do tego miasta jak czaryk, inkefuje wszystko swą tynarią. Dopóki Eisspin utrzymuje swą daktyturę, nie ma szans na rewankolescencję. Potrzebujemy relowucji! Relowucji protelariatu Sledwai.

Echo rozejrzał się mimowolnie dookoła, jakby ktoś mógł podsłuchiwać.

- Czy nie jesteś odrobinę nieostrożny w swych poglądach? - zapytał cicho. - Chodzi mi o to, że jestem ci całkowicie obcy, a ty...

- Wiem wszystko - uspokoił go Fiodor. - Nie jesteś dla mnie nikim obcym. Jesteś ofiarą almiciecznych machinacji Eisspina. Chce dokonać na tobie egzukecji, a potem odtłuścić.

- Skąd to wiesz?

- Po pierwsze, dlatego że robi tak ze wszystkimi zwierzętami oprócz skóroperzy. Wiem wszystko. Wszystko! Obwersuje ten budynek już od wielu lat. Znam każdy komin. Każde tajne przejście w murach. Widziałem je, te zwierzęta w klatkach. Widziałem, jak zre kudował je do kulki tłuszczu. Teraz zostały jedynie klatki.

- Czołgasz się tutaj kominami? - zapytał Echo. - Dlaczego to robisz?

- Śledzę Eisspina i jego machlojki. Jestem wszędzie i nigdzie. Nikt mnie nie widzi, ale ja widzę wszystko. Byłem świadkiem wielu samotnych molonogów Eisspina. Znam jego ambitne plany. Jego tatolitarne sny.

- Czy to nie jest zbyt niebezpieczne? - zapytał Echo. - Wiesz, bo jeśli cię kiedyś przyłapie...

Puchacz zignorował również to pytanie. Pochylił się nad krotkiem, otworzył szeroko oko, niżył głos i wyszeptał:

- Słuchaj chłopcze, jesteś w wielkim niebezpieczeństwie. Eisspin nie dąży do niczego innego, jak tylko do zapanowania nad życiem i śmiercią. Choć brzmi to jak urojenia, jest tego bliski. A ty jesteś ostatnim brakującym kóleczkim w jego myszanerii.

- Skąd to wiesz?

Ptak znów odrobinę się napuszył.

- Może to jedynie ponadprzeciętne zdolności kombanicyjne. Może zmysł dewitektystyczny. Instywtokne przecucie - jak dla mnie możesz zwać to intucją. W ostatnim czasie wiele wskazuje na to, że zmierzamy do akopalipycznego filanu. Przeróżnicowy scenariusz niesłychanych rozmiarów! A odkąd tutaj jesteś, rzeczy toczą się szybciej. Eisspin jest weselszy niż kiedykolwiek. Powinieneś zobaczyć go wczorajszej nocy podczas eksmerypentów. To była czysta aksteza!

Echo nabierał powoli nieufności. Skąd mógł wiedzieć, czy ten dziwaczny ptak mówił prawdę? Być może był sprzymierzeńcem Eisspina, który miał go sprawdzić.

- Powiedz, dlaczego właściwie mi to wszystko opowiadasz?

- Ponieważ jesteś jedynym, który może go powstrzymać - wyszeptał puchacz.

- Jak mam to rozumieć?

- Już od dłuższego czasu przeraźnik gotuje rzadkie zwierzęta ze względu na ich tłuszcz, przechowując w nim ich wonną duszę. I co rusz miesza te tłuszcze i zapachy, ponieważ wierzy, że otrzyma pramaterię, z której stworzy nowe życie. Prami Cetarię! Wydaje mi się, że jest już blisko tego celu, że zamyśla osiągnąć go podczas następnej pełni księżyca. Potrzebuje do tego tłuszczu i duszy jednego, jedyne zwierzęcia - krotka, jak wnoszę po twojej obecności. Według mnie jesteś ostatnim emelementem jego planu. Twój tłuszcz jest jedynym indegredientem, którego mu jeszcze brakuje. Teraz możesz mu to wszystko spartaczyć.

- Ach tak? A niby jak mam to zrobić? - zapytał Echo.

- Całkiem łatwo: uciekając. Przez parę dni napchaj sobie jeszcze porządnie żołądek, a potem po prostu zwiewaj! W daleki świat, tam na zewnątrz. Pozbaw go swego tłuszczu.

- Ale zawarłem z nim umowę.

- Umowę? - puchacz spojrzał na Echo z przerażeniem. - Dukoment jyrustyczny? Naprawdę? To niedobrze.

- Tak - westchnął Echo. - Umów trzeba dotrzymywać.

- Bzdura, umowy są po to, aby je łamać! Ale umowa z Eisspinem to już zupełnie inna sprawa.

- Co masz na myśli?

Teraz to ptak rozejrzał się z przestachem.

- Eisspin ma swoje sposoby, abyś jej dotrzymał.

- Jakie sposoby masz na myśli?

- Zorientujesz się, kiedy spróbujesz złamać ten kantrokt.

- Coś podobnego powiedziały mi też skóroperze. Też jesteś zdania, że nie mam szans wyjść z tego żywy?

- Tego nie powiedziałem. Jestem właściwie opymistycznego usposobienia. Nadzieja to moje motto. Ale twój przypadek jest naprawdę skomplikowany. Muszę zastanowić się nad nim nieco dłużej.

Uderzenie wiatru zaszeleściło listowiem wokół komina. Echo rozejrzał się. Z oddali nadciągały grube, burzowe chmury.

- Warunki klamityczne ulegną wkrótce rakydalnej zmianie, a wtedy tu na górze zrobi się doprawdy mało przyjemnie - powiedział puchacz. - Atmosfera naładowała się erektylnością, ciśnienie barometryczne rośnie - z tego będzie burza. Udaj się do piwnicy, aby złapać parę myszy. Niestety sam muszę orgazmować sobie jedzenie.

- Weźże parę tych kiełbasek - zaproponował Echo.

Puchacz przybrał oburzoną minę.

- Nie, nie, nie, z zasady nie ruszam niczego, co wyszło z diabelskiej kuchni Eisspina! Jest to jedna z moich najważniejszych zasad!

- Jak tam chcesz - powiedział Echo. - Ale sporo tracisz.

- Radzę ci, abyś również znalazł sobie suchy kącik - powiedział Fiodor.

- Zrobię to. Dziękuję bardzo za miłą konwersację i dobre rady.

- To nie była żadna miła konwersacja, to było spotkanie konspiracyjne. I również nie były to żadne dobre rady, tylko rozważania strategiczne. Od teraz jesteśmy zespołem.

- Zespołem?

- Związkiem przeznaczenia. Braćmi w duchu. Towarzyszami w bitwie. Wkrótce zobaczymy się ponownie.

Fiodor F. Fiodor zamknął oko i zanurzył się powoli w kominie.

Krotek obrócił się i spojrzął w niebo. Nad Błękitnymi Górami piętrzyły się grube deszczowe chmury, a ciepły, wilgotny wiatr dął coraz mocniej, więc Echo zaczął powoli czuć się nieswojo - naprawdę nie chciał być wystawiony tu w górze na nawałnicę. Przez gadanie Fiodora i jego poprzekęcane obce słowa czuł zamęt w głowie, był też zmęczony z przejeżdżenia. Postanowił więc wrócić do domu i trochę pospać, aby przetrwać to, co usłyszał, i to, co zjadł. Ostatecznie był to doprawdy bogaty w wydarzenia poranek.



Jak ugotować upiora

Echo nie był w stanie uwierzyć, że udało mu się uciec Eisspinowi. Umowa pozostała po prostu umową, a on wysliznął się z zamku i przebiegł przez całą Sledwayę, by po raz pierwszy w swym życiu przekroczyć granicę miasta. Obawiał się, że przeraźnik powali go zdalnie sterowanym piorunem albo zamieni go w kamień, lecz nic takiego się nie stało. Teraz znajdował się już w górach, które widział z dachu Eisspina. Po obu stronach wznosiły się wysoko szare kamienne ściany, o wiele wyższe niż mury w uliczkach Sledwai, wyższe nawet niż zamek przeraźnika.

Wokół nagle zaklekotało i zastukało, pomiędzy górskimi ścianami zaczął wzbijać się hałas marszowego kroku i grzechotu kości. Echo rozpoznał natychmiast, kto wywołuje ten dźwięk. Był to złowieszczy rytm wystukiwany przez przeraźnika żelaznymi podeszwami. Wraz z nim rozprzestrzeniał się zapierający dech w piersiach smród siarki i fosforu. Potem nad całymi górami zapadła ciemność, jak podczas pojawiającej się zniecka burzy, Echo spojrzął w górę, obawiając się najgorszego. Nad wszystkim, potężniejszy niż same góry, stał Eisspin w czarnym stroju, urósłszy do rozmiarów olbrzyma, tysiącokrotnie większy niż wcześniej. Pochylił się i niedbałym ruchem ręki strącił szczyt jednej z gór, który zwałił się z łoskotem, roztrzaskując na tysiące kawałków, spływał na krotka lawiną nie do powstrzymania. Echo chciał uciekać, lecz nogi miał ciężkie jak ołów, nie mógł wręcz oderwać ich od ziemi. Lawina grzmiała coraz bliżej i bliżej, obok niego przetoczyły się pierwsze kamienie, a gdy przyjrzał się im dokładniej, stwierdził ku własnemu przerażeniu, że nie były to okruchy skał, tylko toczące się głowy, a wszystkie miały twarz przeraźnika. „Zobowiązuje się nieodwołalnie!” - krzyczała jedna z nich. „Nierozzerwalna więź prawna!” - wołała następna, „Bezlitośnie ścigany kamień!” - kolejna.

Echo obudził się. Leżał w swoim koszyczku za piecem Eisspina w nad wyraz nienaturalnej pozycji, z kocykiem owiniętym wokół ciała tak mocno, że jego nogi były dosłownie skrępowane - musiał stoczyć z nim podczas snu intensywną walkę. Postępując i wzdychając wydostał się z koszyczka.

Burza szalała nad zamkiem, gdy Echo przemyskał korytarzem do laboratorium Eisspina. Deszcz wpadał przez otwarte okna, a błyskawice oświetlały korytarz tak jasno, że Echo musiał mrużyć oczy. - Zamknięte okna - mruzczał Echo, kuląc głowę. - Przydałyby się teraz zamknięte okna.

Eisspin już go oczekiwał. Dramatyczne warunki atmosferyczne stały się dla niego okazją do zademonstrowania krotkowi pewnego spektakularnego eksperymentu alchemicznego. A cóż nadawało się ku temu lepiej niż laboratorium o wysokich, ostrych oknach, za którymi przesuwają się ociążałe deszczem góry chmur? Cóż nadawało się lepiej na tło muzyczne niż niebezpiecznie bliski grzmot? W całym pomieszczeniu płonęły dziesiątki bolejących świec, zapewniając swym niestabilnym światłem i cichymi jękami niezbędną nieprzyjemną atmosferę.

Przeraźnik miał na sobie krwistoczerwoną jedwabną togę ze złotymi aplikacjami i trójgraniasty kapelusz z czarnych jak smoła kruczych piór, który sprawiał, że wyglądał jeszcze bardziej demonicznie niż zazwyczaj. Stał nad swoim kotłem do tłuszczu, pod którym jak zwykle palił się porządny ogień, lecz tym razem nie gotowało się w nim żadne egzotyczne zwierzę. To, co w nim bulgotało i kipiało, wyglądało na zwyczajną wodę.

- Jak było u skóroperzy? Czy śniadanie na dachu spełniło twoje oczekiwania? - spytał Eisspin.

- Nie mogę narzekać - odpowiedział Echo. - Dach jest świetny, ale do skóroperzy trzeba się przyzwyczaić. - Spotkanie z Fiodorem F. Fiodorem jednak celowo przemilczał.

- Wydaje mi się, że już trochę przytyłeś.

W chmurach potężnie zagrzmiało, aż Echo zadrżał. Odkąd wyrzucono go z własnego domu, nauczył się respektować burzę. Nie była to zwykła bojaźliwość, która kazała mu drżeć przy każdym grzmocie czy błyskawicy, lecz najzupełniej uzasadniona obawa, że może się wydarzyć coś katastrofalnego. Widział potężne miecze światła rozłupujące dęby i podpalające stodoły. Laboratorium znajdowało się na dużej wysokości, pośród grubych deszczowych chmur, napierających przez otwarte okna. Wszędzie piętrzył się sprzęt laboratoryjny ze srebra, miedzi i stali, niebezpieczny cel burzowych wyładowań. W tym pomieszczeniu znajdowało się tak wiele łatwopalnych i wybuchowych materiałów i proszków, że jedna jedyna błyskawica wystarczyłaby, aby wysadzić cały zamek w powietrze - lecz przeraźnik uwijał się bez cienia strachu, jak gdyby upajał się grozą tej sytuacji. Echo podejrzewał go nawet, że potajemnie kieruje tą burzą.

- Słuchaj uważnie - powiedział Eisspin, pompując podręcznym miechem powietrze pod kocioł - chcę najpierw wpoić ci nieco podstawowej wiedzy alchemicznej.

- Podstawowej wiedzy? - zapytał rozczarowany Echo. - Myślałem, że dowiem się czegoś o ostatnich objawieniach w alchemii? Tajemnicach, których pożądliwie pragną nawet najbardziej doświadczeni alchemicy i inne takie tam.

- Ten, kto chce zmierzyć wszechświat, musi się najpierw nauczyć, ile jest dwa razy dwa - odpowiedział Eisspin w akompaniamencie potężnego grzmotu. - Kto chce napisać powieść, musi najpierw opanować alfabet. Kto chce skomponować symfonię, powinien umieć czytać nuty. Co mogę ci powiedzieć o Prima Caterii, skoro nawet nie wiesz, jak ugotować upiora?

Echo nadstawił uszu.

- To dziś zrobimy? Gotujemy upiora?

- Może. Zobaczymy. Prawdopodobnie. Możliwe. Albo i niemożliwe. Nie udaje się za każdym razem. Alchemia jest nauką, lecz niestety nie jest nauką ścisłą. Jest tak bliska sztuce, jak tylko może być nauka. A sztuczki czasami się nie udają.

Echo z ciekawości podszedł bliżej i zaczął krążyć wokół nóg Eisspina.

- Zrobimy sztuczkę, wielki mistrzu?

- To właściwie tylko żart - powiedział Eisspin. - Studencki kawał.

- Myślałem, że w ogóle nie żartujesz.

- *Kto* tak twierdzi? - Eisspin zdumiony spojrzał z góry na krotka.

- Ty tak twierdziłeś.

- Ja? Naprawdę? Czegóż to się nie opowiada... Zawsze lubiłem żartować.

- Proszę, proszę. A kiedy to ostatnim razem? - zapytał podstępnie Echo.

Eisspin musiał się zastanowić.

- To było... ech, to było... ostatnim razem... ech...

- No...?

- To było... - Eisspin zastanawiał się z widocznym wysiłkiem. - To było... do licha, to było za czasów studenckich!

Echo po raz pierwszy dostrzegł na twarzy Eisspina minę, która nie miała nic wspólnego z wewnętrznym zinnem i opanowaniem. Był to wyraz szczerzej konsternacji. Jednak zniknął tak szybko, jak się pojawił, ustępując miejsca tradycyjnemu grymasowi autorytetu i silnej woli.

- No więc co teraz? - prychnął. - Mam gotować tego upiora czy nie?

Na dźwięk ostrego głosu Eisspina Echo skulił się jak przed ciosem miecza.

- Proszę o to - powiedział cicho.

Przeraźnik odłożył na bok miech i zakasał rękawy.

- Alchemicy od wieków dokonywali wszelkich możliwych i śmiechu wartych prób przekształcenia materii - powiedział. - Ołów w złoto, krew w wino, wino w krew, drewno w chleb i chleb w diamenty. Kiedyś za wielce profesjonalne uchodziło pryskanie przez

alchemika namagnetyzowaną rtęcią podczas pełni księżyca kamienia, który miał się zamienić w marcepan.

- Ale ołów w złoto można, prawda? - zapytał ostrożnie Echo. - Słyszałem kiedyś o czymś takim.

Eisspin westchnął zatroskany.

- Widzę już, że jeśli chodzi o alchemię, jesteś na poziomie głupka wioskowego. Muszę więc zacząć od samego początku.

Krotek skulił się ponownie, lecz tym razem nie z powodu uderzenia pioruna. Przeróżnik potrafił bardzo ranić swą szczerością. Zrobił więc obrażoną minę i odszedł na bok.

- Złoto i ołów! - krzyczał za nim szyderczo Eisspin. - Dawni alchemicy musieli wybrać sobie do przemiany akurat dwie najbardziej zwarte materie.

Echo zaszył się za stosem kruchych foliałów.

- No i co? - zawołał z ukrycia. - Dlaczego by nie?

- Im gęstsza masa, tym mniejsza zdolność do przemiany! - odpowiedział Eisspin. - Równie dobrze mógłbyś spróbować nauczyć latać cegłę. Nasza nadzieja leży jedynie w ulotnej materii, potwierdzi to każdy oświecony alchemik.

Przeróżnik odkorkował butelkę zawierającą czerwonawą substancję, uwalniając maleńką różaną chmurkę. Echo mógłby przysiąc, że chmurka kichnęła, gdy zamieniała się w parę. Zaciekawiony wyszedł znów z ukrycia.

Eisspin stał właśnie przed obrazem olejnym, który przedstawiał imponujący wybuch wulkanu.

- Lata studiów nad malarstwem katastroficznym nauczyły mnie czegoś ważnego - powiedział zatopiony w rozmyślaniach. - Ten, kto uważnie przyglądał się, w jak systematyczny sposób pożoga pochłania miasto czy jak wulkan planowo zalewa wioskę lawą, kto obserwował cyklon spadający na wyspę, czy też żądzę mordy, z jaką fala powodziowa pochłania wybrzeże z całym dobytkiem, nie będzie już w stanie uwierzyć, że te siły natury działają na oślep. To myślące istoty, jak ty i ja!

Jakby na potwierdzenie jego śmiałej tezy na zewnątrz zapłonęła potężna błyskawica i prawie jednocześnie rozległ się bliski grzmot.

- Taka błyskawica nie może chyba mieć zbyt ładnych myśli - powiedział Echo ze skuloną głową.

- Naturalnie, że nie - szorstko odparł Eisspin. - Siły natury myślą tylko o sile i brutalności. To istota ich istnienia, ich cel, ich przeznaczenie myśli o niszczeniu. Oczyszczyć ziemię ze wszystkiego, co zbędne. Bez chwili zastanowienia, bez utraty choćby kwantu

energii na litość czy współczucie. Oto wielka, doskonale czysta myśl - prerażnik nie przestawał się gapić na obraz. - Najistotniejsze jest jednak pytanie - podjął po chwili - w jaki sposób manifestuje się ta myśl?

Echo usiłował sobie wyobrazić, jak też mogą wyglądać myśli pożaru lasu, lecz nie starczyło mu wyobraźni. Widział jedynie falujące płomienie i zwęglone drzewa.

- Tam, gdzie jest ogień, jest również dym - powiedział Eisspin. - Jeśli będziemy w stanie pojąć, że dym to manifestacja myśli ognia, smród siarki to koszmary śniące się wulkanom, a para to pomysły gejzeru, dojdziemy szybko do wniosku, że cała ziemia jest żyjącym, ziejącym i myślącym Czymś.

Echu nie podobał się kierunek, jaki obrała rozmowa, nie pasował mu również coraz groźniejszy ton, jaki zaczął rozbrzmiewać w monologu Eisspina. Kolejna błyskawica rozświetliła laboratorium, a potężne uderzenie pioruna wprawilo wszystkie naczynia w drzenie.

- Jeśli ziemia jest taką żyjącą i myślącą istotą - zawołał donośnym głosem Eisspin przekrzykując szalejącą burzę - i jeśli dowiem się, jak manifestują się te myśli, to niech mnie wszystkie prerażnice porwą, jeśli nie uda mi się znaleźć drogi, by się do nich podłączyć. Odczytać je. Rozszyfrować. A ostatecznie nawet na nie wpływać!

Przez okno laboratorium wpadł wiatr, który wprawil bolejące świece w dzikie migotanie i wydobyl z nich jęk, rozbrzmiewający nadzieją na zgaśnięcie. Kartki z notatkami wzbily się w powietrze, a w zwierzęcych szkieletach rozdzwoniły się kości. Potem wiatr znów ucichł, płomienie bolejących świec się wyprostowały, a one kontynuowały swe zwykłe, ciche pojękiwania.

- Tak! - wołał Eisspin. - Mógłbym wtedy zamieszać w procesie tworzenia! W wiecznie kreatywnym postępie natury, nieustannie tworzącym nowe życie!

Wokół wieży eksplodowało pół tuzina błyskawic jednocześnie. Zrobiło się jasno niczym w dzień, a na ścianach laboratorium położył się zwielokrotniony cień prerażnika. Echo wskoczył prerażony pod taboret, przeczekał, aż przetoczy się grzmot, i zapytał prerażnika drżącym głosem:

- Kiedy zrobimy naszą sztuczkę, mistrzu?

Eisspin spojrzal na Echo mętnym wzrokiem, jak ktoś cierpiący na zaniki pamięci, kto próbuje przypomnieć sobie imię osoby stojącej naprzeciwko.

- Hm? - wydobyl z siebie i spojrzal w stronę wielkiego garnka.

- Upiorna breja jest wystarczająco gorąca - mrucał. - Naładowanie elektryczne atmosfery i wysoka wilgotność powietrza nie powinny mieć szkodliwego wpływu na

powodzenie eksperymentu... warunki wręcz idealne. Dobrze, zaczynamy. Ugotuję upiora. Pomożesz mi?

- Pod warunkiem, że nie będę musiał go zjeść! - odpowiedział Echo.

Eisspin roześmiał się ochryple.

- Bez strachu! Możemy zaraz zaczynać. Wszystko już przygotowałem.

Eisspin podszedł do żelaznej szafy i otworzył ją. Wypłynęła z niej gęsta lodowa mgła, otulając niemal całkowicie przeraźnika, który wyciągnął z szafy dwie kulki tłuszczu i uniósł je ku światłu świec.

- Trupi gaz i mgielna meduza - powiedział - więcej nam nie trzeba. To będzie bardzo prosty upiór.

Zamknął szafę, pomaszerował w kierunku kotła i wrzucił jedną z kul do wywaru. Gdy roztapiała się we wrzącym płynie, wydobyło się z niej przeciągłe, ciche westchnienie, które niemal zmroziło Echu krew w żyłach.

- To był gaz z Bagien Cmentarnych koło Dullsgardu - wyjaśnił Eisspin. - Nieistotne, z jakiej byleż istoty żywej pochodzi. Najważniejsze, że ona nie żyje.

Echo zebrał się na odwagę i wskoczył na stół, by lepiej obserwować zjawiska zachodzące w garze.

Eisspin wrzucił do roztworu drugą kulę. Tłuszcz roztopił się, wysliznął się z niego cienki, biały wąż, pływał przez chwilę po wrzącej powierzchni i zanurzył się w wywarze.

- To była próbka mgielnej meduzy z Mgławy - wyjaśnił przeraźnik. - Niewiarygodne, co jest w stanie znieść ta półorganiczna substancja. Możesz gotować ją w wodzie, nawet w płynnym ołowiu albo kwasie solnym. Możesz wrzucić ją do pieca alchemicznego i rozpalić go do białości. Możesz zamknąć ją w lodzie na rok. Zamarynować w rtęci. Zamknąć w próżni. Walić w nią młotem kowalskim. Nic sobie z tego nie robi. Ale uważaj na to...

Eisspin wyjął z za pazuchy flet. Potem przystawił go do ust i zaczął grać prosty melodyjny fragment, brzmiący jak dziecięca piosenka. Biały mgielny wężyk wynurzył się z brei, wijąc się jak robak na haczyku.

- Muzyka. Muzyka doprowadza ją do szaleństwa - powiedział.

- Próbką mgły nie jest w stanie znieść innej muzyki jak trąbuzonowa. Jak gdyby ta była nie wiadomo jak piękna. Widzisz - umiera. Zabija się sama, rozpuszczając się w wodzie. Łączy się z trupim gazem. To etap drugi.

Echo obserwował zafascynowany, jak mgielny wąż poddaje się wodzie i rozpuszcza się w niej. Usłyszał odgłosy stukania i spojrział w kierunku cierpiących człeków, którzy z jakiegoś powodu zaczęli w tym momencie hałasować w swych butelkach, tłukąc piąstkami o

szklane ściany. Niewzruszony Eisspin sięgnął do kieszeni swej peleryny i wydobył z niej czarny proszek, który następnie wrzucił do gara. Substancja zareagowała w zdumiewający sposób, stała się najpierw zielona, potem czerwona, następnie purpurowa, a na koniec znów zielona.

- Suszone odchody ślimaków czasu - powiedział mimochodem Eisspin, jak gdyby dodał jedynie szczyptę pieprzu. - To, co teraz nastąpi, ma w zasadzie niewiele wspólnego z nauką. Ważne jest jedynie pokonanie czasu, jakiego wymagają chemiczne i międzywymiarowe zjawiska zachodzące w garze. A teraz wypowiemy parę tradycyjnych zaklęć. Nic one nie działają, ale nie potrafię się powstrzymać, lubię to stare hokus-pokus.

Odchrząknął, uniósł ręce w górę i zakrzyknął:

*To, co było, choć już nie jest
Niech na nowo się zadzieje
Czego nie ma już - a było
Znów w wywarze będzie żyło
Na dnie kotła się pojawi
By alchemii sławę sławić.*

Echo obserwował wszystko bardzo uważnie ze swego wysokiego stanowiska. Breja w garze zmieniała wielokrotnie kolor i wypuściła z siebie mieniące się wszystkimi barwami tęczy bańki, które unosiły się po laboratorium. Eisspin deklamował dalej:

*Trupi gaz i tuman mgielny
Gotuj warze się piekielny!
Camomin, tłuszcz z karaluchów
Z katafalku wstawaj duchu!
Wzleć nad wrzące z kotła pluchy
Tamtej strony zrzuć łańcuchy!*

Substancja kipiała, unosząc się i opadając, tu i tam powstawały wiry, ciągnąc unoszące się bąble powietrza z powrotem w głębiny gara. Echo jeszcze nigdy nie widział cieczy poruszającej się w tak dziwaczny sposób. Im dłużej się w nią wpatrywał, tym bardziej wydawało mu się, że dostrzega pod jej powierzchnią niepokojące cienie i kształty, jak gdyby gar był oknem z widokiem na inny, niesamowity świat. Potem wywar uniósł się w wielu miejscach jak chusta, pod którą coś się porusza. Z głębin gara wydobył się grzmot, brzęmiący

jak ryk dzikiego zwierzęcia, szykującego się, by za chwilę się wynurzyć. Echo odskoczył instynktownie kilka kroków.

*Duchu, wiem ja, iż mnie słyszysz
Daj przywołać się wśród ciszy
Opuść zimnych łez królestwo
I przez ciasną bramę przestąp
Której miano tkwi w niebycie
Między śmiercią gdzieś a życiem.*

Wywar stał się teraz zminiaturyzowanym morzem z potężnym sztormem i wieloma maleńkimi falami, z których każda podążała w kierunku środka. Tam ciecz się uniosła, spieniona i biała niczym śnieg, i wzbijała się w górę, na przekór wszelkim prawom przyrody. Eisspin ponownie uniósł ręce i zawołał:

*Duchu - twórz i formuj się!
Acz nie przesadź z tym, o nie!
Nie za wiele miej szczegółów
Zasadniczo tylko tułów
Z rąk czy nóg pożytki żadne
Bądźże lnianym prześcieradłem!*

Kipiel zawirowała wysoko niczym trąba powietrzna, zapadła się znów w siebie, rozpoczęła od początku, unosząc się nieustannie. Echo cofnął się, potknął się o starą książkę i o mały włos nie spalił sobie ogona w płomieniu jednej z bolejących świec. Wir przeistoczył się w bezkształtny zarys, rozciągający się wzdłuż i wszerz. Jakież rozmiary przybierze ten upiór? - zastanawiał się strwożony Echo. Już teraz osiągnął wzrost przeraźnika, a rósł coraz bardziej. Wyglądał jak niesiona wiatrem sztuka jedwabiu, utkana z lśniących nici, materia duchów poruszająca się zgodnie z regułami innego świata. Nierealnie powoli powiewała nad garem, z którym łączyło ją jedynie cienkie pasmo.

*Raz, dwa, trzy, uwolnij się!
Bo jak nie, zezłóścisz mnie
Oddziel się od świata swego
Nie masz w nim już szukać czego
Wkrocz niniejszym w wymiar mój*

W nim się jak u siebie czuj.*

Świecące Coś wydawało się rzeczywiście posłuszne rozkazom Eisspina. Poruszyło się najpierw w lewo, potem w prawo, wyprężyło do przodu i nagle zerwało spienioną wstęgę, która przykuwała je jeszcze do gara. Teraz kręciło się swobodnie po laboratorium.

Wyczerpany Eisspin opuścił ramiona. Na zewnątrz huczał już jedynie daleki grzmot. Burza pociągnęła dalej, aby wyszaleć się gdzie indziej - jakby obrażona, że nie była w stanie konkurować z wydarzeniami rozgrywającymi się w domicylu Eisspina.

- Oto on! - zawołał z ulgą w głosie przerażnik. - Gotowany Upiór. Popularny żarcik adeptów alchemii.

Upiór krążył dookoła niczym kłęb mgły, pozornie bez celu i bez wyczucia kierunku. Krążył wzdłuż regałów i nad Konserwatorem Eisspinowskim i nagle obrał kurs na Echo.

Krotek zeskoczył jednym susem ze stołu i, przerażony, zaczął uciekać przed upiorem po całym laboratorium, lecz ten uparcie deptał mu po piętach. Echo uciekał po ławkach i pod stołami, pomiędzy stosami książek i nogami od krzeseł, lecz upiór nie zgubił jego tropu. Eisspin głośno się roześmiał.

Krotek przykucnął wreszcie pod jednym z krzeseł, całkowicie straciwszy oddech, podczas gdy upiór unosił się w powietrzu nad meblem, powiewając niczym prześcieradło na sznurze do bielizny.

- Co mam teraz zrobić, mistrzu? - jęczał Echo. - Czego to ode mnie chce?

- Najlepiej, żebyś po prostu się do tego przyzwyczaił - powiedział Eisspin. - To wprawdzie upiór, ale całkowicie nieszkodliwy. Nie może cię ani zobaczyć, ani usłyszeć. Ale ponieważ gotowane upiory sporadycznie przejawiają pewien rodzaj słabości wobec istot, które były obecne podczas ich tworzenia, zakłada się, iż posiadają jakieś uczucia.

- Twierdzisz, że mnie lubi?

- Można tak powiedzieć. Chociaż nie wiadomo, czy to prześcieradło wie, co to takiego sympatia. Jest właściwie niczym. Nie odczuwa żadnego bólu. Nie ma również rozumu ani żadnych zamiarów - ani dobrych, ani też złych - tak przedstawia się przynajmniej aktualny poziom wiedzy alchemicznej na ten temat. Nie może ingerować fizycznie w nasz wymiar ani też nic z naszego wymiaru nie jest w stanie dotknąć upiora. Będzie teraz już zawsze dryfował po naszym świecie i z pewnością przerazi sporo ludzi. Ten, kto nie ma pojęcia o alchemii, przerazi się potwornie, gdy upiór wpłynie nagle poprzez ścianę jego sypialni z jednej strony, a z drugiej znów wyleci. Niektórzy prawdopodobnie umrą ze strachu. Albo stracą rozum. -

□ Przekład wiersza - Grzegorz Żak.

Eisspin wyszczerzył zęby ze złośliwą satysfakcją. - Przy czym jest równie niegroźny jak chmurka na czystym niebie.

- Dlaczego po prostu sobie nie odleci? - zapytał ze swego ukrycia Echo.

- Zdaje się, że mu się tu podoba. Z jakiegoś powodu gotowane upiory trzymają się chętnie w pobliżu starych murów. Być może lubią uczucie przenikania przez stare kamienie. W taki sposób powstają bajeczki o zamkowych upiorach, o niespokojnych duchach umarłych przodków.

Echo spojrział w górę na upiora, który nadal się nad nim unosił. Był to właściwie bardzo piękny upiór - szata utkana ze światła i srebrnego blasku w harmonijnym ruchu. Nagle wydało mu się, że w powiewającym zjawisku dostrzegł na mgnienie oka twarz lub jakiś grymas, a to przeraziło go tak bardzo, że jeszcze mocniej skulił się pod krzesłem.

- Jeśli chcesz, mogę go przepędzić - powiedział Eisspin.

- Możesz? W takim razie zrób to! Spraw, proszę, żeby to sobie poszło!

Eisspin nie zrobił nic prócz tego, że uniósł ręce i przeszedł kilka kroków w kierunku upiora - ten zakręcił się wokół własnej osi, zaczął się miotać po laboratorium, zanurzył się pomiędzy dwa regały w czarnym murze i zniknął.

- Z jakiegoś powodu działam odstrasząco na gotowane upiory - westchnął Eisspin. - Ani jeden jeszcze mi nie zaufał. Czy to nie dziwne?

- Tak - powiedział Echo - to jest dziwne.

Krot i przeraźnik

Echo był pełen entuzjazmu. Sprawa z Gotowanym Upiorem obudziła w nim ogromną ciekawość sztuk przeraźnika. Nie wiedział jednak, że była to prastara sztuczka, którą miał w swoim repertuarze każdy doświadczony alchemik pragnący pozyskać ucznia.

Plan Eisspina był zarówno prosty, jak i perfidny. Do eksperymentów potrzebował skondensowanego ujęcia swej wiedzy alchemicznej oraz tej ogólnej. Niestety, nie wystarczyło wrzucić do kotła z tłuszczem leksykonu pojęć alchemicznych i własnych naukowych notatek, a potem ugotować to wszystko razem, jak pewnie zrobiliby dawni alchemicy. Według wyliczeń przeraźnika wiedza ta musiała odbyć drogę duchową z głowy do głowy - musiał więc osobiście, w staromodny sposób, wbić ją całą do tej krociej głowy, z której będzie mógł ją później ponownie wygotować. W całej Sledwai jedynie Echo był w stanie zrozumieć Eisspina i wchłonąć jego tajemną wiedzę jak gąbka. Z tego tylko powodu

przeraźnik powierzał krotkowi coś tak pieczołowicie strzeżonego, jak podstawowe tajemnice alchemii, połączone z jego własnymi odkryciami.

Echo tymczasem wierzył, że wszystko działo się jedynie dla odwrócenia jego uwagi i zapewnienia rozrywki. Kiedy nie zajmował się akurat jedzeniem lub spaniem, prześladowały go mroczne myśli o przeznaczeniu, dlatego cieszył się z każdej okazji, gdy Eisspin uszczęśliwiał go swoją obecnością i fascynującą wiedzą. Myślał, że staruch czyni to również z próżności i potrzeby dzielenia się, jaką zaczął odczuwać przez lata samotności.

A jedno trzeba było Eisspinowi przyznać - przekazywać wiedzę to on potrafił. Gdy przeistaczał się dla Echa w wyrozumiałego, wszechwiedzącego mistrza, jego zachowanie zmieniało się diametralnie. Cała demoniczność, władczość i szorstkość opadała z niego niczym szpetny kokon. Jego głos zniżał się z wysokiego dyszkantu do melodyjnego szeptu, znikła despotyczna gestykulacja, a bezlitosna gęba zamieniała się w dobrotliwe oblicze.

Nigdy nie dał Echu odczuć, że go czegoś uczy, że wbija mu coś do głowy. Lekcje Eisspina miały zawsze charakter przyjacielskiej pogawędki, która tylko przypadkowo zahaczała o najistotniejsze zagadnienia alchemii, a Echo odgrywał przy tym beztruską rolę naiwnego zadawacza pytań. Całego wysiłku duchowego, jak wierzył Echo, dokonywał Eisspin, który musiał wygrzebać tę wiedzę ze skrzyń swego ogromnego skarbcza wiedzy i jakoś ją przekazać. Ale w rzeczywistości to Echo wyteżał głowę, bo po raz pierwszy w życiu wykorzystywał w pełni swój kroczi rozum.

Eisspin wiedział wszystko na temat mózgu krotów. Wiedział, że stworzenie posługujące się bezbłędnie wszystkimi językami Camonii, także zwierzęcymi, jest geniuszem mogącym jeszcze wiele dokonać. Mózg Echa był suchą gąbką chciwie łaknącą wchłaniania, pełną nieużywanych przestrzeni i synaps, ze świeżymi komórkami i młodą tkanką, trzeszczącą od mentalnych wyładowań. Można było odczytać Echu rejestr urodzin miasta Atlantyda albo fundamentalne dzieło na temat pramatematyki camońskiej, a on zapamiętałby je w całości i na życzenie powtórzył nawet wspak - nie miał jednak pojęcia o swym talencie. W krótkim żywocie krotka jego mózg nie był jeszcze zbyt eksplloatowany i stanowił idealne naczynie na całą wiedzę, którą przeraźnik zamyślał przekazać, lub przynajmniej jej kwintesencję skoncentrowaną w zwartym systemie poręcznych formuł i twierdzeń.

Wykład Eisspina o powłokowym modelu wszechświata czy o mowie diamentów, o buchemicznej hipnozie literami, czy też wrażliwości na ból różnych metali dla Echa był niczym muzyka, która, jak mu się wydawało, wlatuje jednym uchem, by wylecieć drugim. Wystarczała mu melodyjność głosu mistrza, która zawsze niezawodnie tłumiała jego własne mroczne myśli. Nie miał przy tym najmniejszego pojęcia, jak wiele zapamiętywał z tego, co

usłyszał, i jak wiele zatrzymywało się w przestrzeni między jego uszami. Rozum Echa, o czym dobrze wiedział przeraźnik, posiadał jedyną w swym rodzaju zdolność magazynowania tej rozległej wiedzy, przy czym nie stawała się ona dla krotka obciążeniem, ba, nie domyślał się nawet, że nauczył się czegoś istotnego - zgodna koegzystencja ignorancji i inteligencji, która może panować jedynie w krocim mózgu.

A Eisspin uczył podopiecznego poprzez zabawę nie tylko teoretycznych podstaw alchemii, lecz również tych praktycznych. A czynił to, zapewniając mu po prostu stały dostęp do laboratorium, pozwalając na kręcenie się między nogami i paradowanie po stole, podczas gdy on oddawał się codziennej pracy. Echo nie przeoczył przy tym ani jednego ruchu ręki mistrza, kolejności kroków w eksperymencie. Wolno mu było nawet czytać notatki Eisspina, ba, nawet wpisy w jego pamiętniku. Nie dostrzegał jednak faktu, że wszystkie te liczby, badania i formuły, odmierzanie proszków i ogniskowe, logarytmy i dane barometryczne, okresy gotowania i stopnie topliwości lub cokolwiek tam jeszcze, że to wszystko pozostawało już w jego pamięci.

Echo mógł również patrzeć przez wszystkie lupy, mikroskopy i lunety, przyglądać się każdemu preparatowi za szkłem, być obecnym przy rozpalaniu pieca alchemicznego, a nawet uczestniczyć we wszystkich etapach pracy przy Eisspinowskim Konserwatorze. Wolno mu było obwąchiwać proszki i ługi, tajemne mikstury i balsamy, esencje i kwasy, zapamiętywać ich zapachy, nazwy i skład. Na ścianach laboratorium wisiały wielkie tablice z tabelami alchemicznymi, oznaczeniami pierwiastków i związków chemicznych, które przestudiował z góry do dołu. Czytał fragmenty prastarych, niezwykle cennych dzieł alchemicznych, które Eisspin przynosił mu z biblioteki. A wieczorami, po długim dniu pracy i wielodaniowym menu, mistrz osobiście odczytywał mu swe tajne pisma, w których opisywał najodważniejsze eksperymenty. To wszystko gromadziło się w malej główce krotka, składając się na być może największy skarb camońskiej alchemii, który on beztróska ze sobą nosił.

Czasami Echo budził się w nocy, kiedy jedzenie leżało mu na żołądku, i wałęsał się po starym zamku, żeby się wymęczyć. Niekiedy spotykał wówczas Eisspina, który zdawał się nigdy nie spać. Chował się wtedy szybko za jakimkolwiek meblem i z ukrycia obserwował przeraźnika podczas jego nocnych działań, które, jak Echo szybko odkrył, były mało tajemnicze i bardzo przewidywalne. Eisspin siadał na przykład w oknie i szpiegował miasto przez lunetę albo udawał się do biblioteki z oszołamiająco pachnącymi książkami, gdzie zaczytywał się, mrużąc sobie pod nosem. Naturalnie pracował również w laboratorium, a ponieważ w nocy nie czuł się obserwowany, czynił to bez wytchnienia i z o wiele większą gorączkowością niż za dnia. Rozpalał piec alchemiczny, kontrolował bieżące eksperymenty

albo stukał w butelki z cierpiącymi człękami. Potem pędził w stronę wielkiej szarej tablicy łupkowej, zmywał gąbką kilka wzorów i dopisywał nowe. Robił krok do tyłu. Dostawał ataku szału, ryczał na tablicę i ciskał kredę w ogień. Niezwłocznie się uspokajał i z największym opanowaniem przeprowadzał żmudny eksperyment chemiczny. Albo biegał pomiędzy stołami w jedną i w drugą stronę, klepiąc pod nosem niezliczone ciągi liczb i formułek. Uzupełniał dziennik. Czyścił probówki i zawory. Zszywał rozerwany preparat zwierzęcy. Garbował skórę. Pracował nad jednym z obrazów. Szorował podłogę. Czyścił kominek. I tak dalej, i tak dalej - stary nigdy nie stał spokojnie, nigdy nie odpoczywał, nigdy nawet nie siadał.

Echo przypomniał sobie, jak kiedyś wspiał się po bluszczu porastającym fasadę domu wariatów w Sledwai. Z dachu tej mało lubianej instytucji miał widok na jej dziedziniec. To, co tam ujrzał, było zdumiewające. Wariaci znajdujący się na dole zachowywali się tak, jak gdyby oddawali się niezwykle ważnym sprawom w całkowicie normalnym świecie. Jeden zbierał liście i gromadził je w jednym z kątów dziedzińca, by potem ze zdecydowaną miną strzec ich przed kradzieżą. Jeszcze inny tłukł głową w ścianę z regularnością zegarka, odliczając przy tym na głos. Inny z żarliwością wygłaszał swemu towarzyszyowi kazanie o nadchodzącej inwazji z kosmosu. Odkąd Echo to zobaczył, zrozumiał, że szaleństwo nie popycha większości swych ofiar do podbijania kontynentów czy palenia ich stolic, lecz w stronę małych codziennych czynności, wcale nieróżniących się znacząco od tych, które wykonują zdrowi. Eisspin przestał być wkrótce dla niego niebezpiecznym szaleńcem, za jakiego uchodził w Sledwai. Zdawał się raczej ucieleśnieniem wszystkich tych nieszkodliwych wariatów, których zobaczył wówczas Echo. Dręczony przez swój niespokojny, wiecznie nieusatysfakcjonowany geniusz, odcięty od świata rzeczywistego w dobrowolnie wybranym przez siebie odizolowaniu, pracował nad dziełem swego szaleństwa, które prawdopodobnie nigdy nie zostanie ukończone. I tak postać przeraźnika Eisspina, potwora w oczach Echa i wszystkich pozostałych mieszkańców Sledwai, przy bliższym poznaniu kurczyła się do znośnych rozmiarów. Echo naturalnie nie polubił mistrza, nie było mu również żal tego starego despoty, kata zwierząt i dręczyciela ludzi, który za parę tygodni poderżnie mu gardło dla głupiego eksperymentu. Jednak Echo nauczył się zachowywać wobec Eisspina coraz swobodniej, czasami wręcz rozkoszował się jego obecnością. Wydało mu się to rozsądniejsze niż spędzanie swych ostatnich dni w nieustannym strachu.

Również Eisspin po paru dniach patrzył na Echo całkiem innymi oczami. Dość szybko doszedł do wniosku, że krotek wpływa na swego właściciela o wiele subtelniej niż jakiegokolwiek inne zwierzę domowe. Pies słuchał wszystkich poleceń i pilnował domu, ptak

radował swoim śpiewem - krot jednak wydawał się nie robić niczego oprócz uszczęśliwiania swoją obecnością i pozwalania na karmienie. W towarzystwie wiernego i silnego psa można było czuć się potężnym i bezpiecznym zarazem - z obecności krota należało się cieszyć, że w ogóle jest się tolerowanym. Pies płaszczył się przed swoim właścicielem, wielbił go, dawał się wiązać na smyczy i uczył się idiotycznych sztuczek. Pozwalał mu się nawet stłuc, choć mógłby go rozerwać na strzępy. Psa można było przegonić kopniakiem do kąta, a po paru godzinach już o tym nie pamiętał i przynosił z wdzięczności pantofle. Krotek jednak przez wiele dni traktowałby kogoś takiego z góry, nawet jeśli tylko przez przypadek nadepnąłby mu na ogon. Przed krotom nie odczuwało się strachu, lecz respekt. Psa można było się bać, lecz nie szanować. Gdyby Eisspin rzucił Echu kijek, ten popatrzyłby na niego, jakby mistrz stracił rozum, i odmaszerował, kręcąc głową.

Od chwili, kiedy Eisspin zaczął obserwować Echo, szczególnie zafascynowała go jego niemal nadnaturalna zwinność. Uwierzyłby nawet, że jest w stanie przejść po ostrej jak brzytwa krawędzi, nie zacinając się, albo wędrować po deszczowej chmurce, nie zapadając się w niej. Że lekkim krokiem przekroczy kałużę, nie mocząc nawet łapek, że przejdzie po płycie kuchennej bez oparzeń. Prawa grawitacji zdawały się tyczyć Echa w małym stopniu. Pies, chcąc się dostać na dach, byłby skazany na niepowodzenie. Echo zaś bez trudu sunąłby po rynnie w górę, jak gdyby miał u łapek przyssawki. Spadający z dachu krotek ląduje bez szwanku na cztery łapy. Pies, który spada z dachu, jest martwy.

Echo działał uspokajająco na Eisspina swą cichą, dyskretną obecnością i arystokratyczną aurą, jaka mu towarzyszyła. Był ucieleśnieniem opanowania i spokoju, dzięki swej wewnętrznej, a także zewnętrznej równowadze, przemyślanym płynnym ruchom, zabawnej potrzebie snu i instynktownej niechęci do gorączkowych działań. Eisspin szczególnie podziwiał sposób, w jaki Echo układał się do snu. Nie było to zwykłe położenie się, lecz taneczny hołd złożony nocy. Gdy nadchodził ten czas, Echo udawał się do swego koszyczka niedbałym krokiem lwa zmierzającego do wodopoju. Wspiąwszy się na niego, zaczynał mrużyć i krążyć majestatycznie w kółko, ugniatając poduszki. Ziewając, wyciągał przednie łapy i rozciągał całe ciało, by potem wprost je rozpuścić, płynnym i zarazem powolnym ruchem, oddając podłożu. Na koniec układał w półkole swój ogon, starannie wylizywał łapki i ziewał po raz ostatni. Główka mu opadała, oczy zwięzały się do szparek i wkrótce, dzięki regularnie unoszącemu się grzbietowi, Eisspin widział, że cały i zdrow dotarł do krociego raj, krainy snów.

Przeraźnik za to spał tyle co nic. Siadał co najwyżej czasem na jakimś krześle, by zapaść na godzinę w niespokojną drzemkę, pełną koszmarów, w których ścigany przez

plonące przeraźnice uciekał niekończącymi się korytarzami albo przeżuwała go ośmiornica. Potem znów się zrywał i rzucał bez wytchnienia w wir pracy.

Eisspin w ostatnim czasie otaczał się jedynie skóroperzami, lecz dopiero teraz zdał sobie sprawę, jak wielki wpływ miało na niego ich zachowanie. Był bardziej aktywny nocą niż za dnia, do tego nerwowy i roztrzepany. Wyostrzył mu się słuch i każdy szmer powodował, że rozglądał się podejrzliwie. Owijał się peleryną niczym wampiry skrzydłami i tak samo jak one najchętniej zaszywał się w ciemnościach.

- Jeśli nie będę się pilnował - myślał Eisspin - wkrótce zacznę też zwisać głową w dół z belki na strychu i wydawać z siebie nieme krzyki. Doprawdy, powinienem brać przykład z Echa.

Zaczął w nim kielkować szacunek dla krota. Z zadowoleniem myślał, że wybór tego zwierzęcia do zwieńczenia eksperymentów był naprawdę dobrym pomysłem. Jego tłuszcz może zawierać to brakujące spoiwo, które umożliwi stopienie wszystkich pozostałych substancji razem. Najwięcej radości sprawiał mu jednak fakt, że Echo został zaprzęgnięty do walki ze swym naturalnym lenistwem i niezależnością, nawet się tego domyślając. Było to znęcanie się nad zwierzętami na najwyższym poziomie.

Koszula

Echo był na zamku przeraźnika dopiero od paru dni, a znalazł już dwóch przyjaciół: zwariowanego ptaka Fiodora i Gotowanego Upiora. W tych murach trudno było o lepsze towarzystwo, musiał się zadowolić takim, jakie jest. A że krotki również przestrzegały zasady, iż przyjaźń zobowiązuje, Echo czuł się zobligowany do pielęgnowania tych oryginalnych znajomości.

Po tym, jak Eisspin przepędził Gotowanego Upiora, ten zniknął na wiele dni. Musiał jednak pozostawać gdzieś w zamku, bo nagle znów się pojawił. Z początku zachowywał się nieśmiało i bojaźliwie, z czasem jednak stał się bardziej ufny, o ile można tak w ogóle powiedzieć o duchu. Wyraźnie lubił przebywać w towarzystwie Echa, który na początku potwornie się bał, kiedy migoczące prześcieradło wypływało bezgłośnie z masywnego kamiennego muru albo wylaniało się z podłogi jak postać w teatrze lalek. Jednak z czasem przyzwyczał się do tego. Upiór nigdy nie podchodził do niego za blisko, jedynie trzymał się w pełnej szacunku odległości, kiedy Echo przechadzał się korytarzami. Gdy się zatrzymywał, Upiór również zastygał, powiewając dyskretnie, i cierpliwie czekał, aż ten pobiegnie dalej. I

to wszystko; ich kontakty ograniczały się do tej cichej obecności, a Echo zadawał sobie czasem pytanie, jakie Upiór ma z tego korzyści.

Zaczął nazywać go „koszulą”, z czego można wywnioskować, że niezbyt go już przerażał. Echo niemal całkowicie pozbył się początkowego strachu, zrozumiał, że Upiór nie jest niebezpieczniejszy od powiewającej zasłony. Czasami jednak jego widok mroził mu krew. Zdarzało się tak, gdy na powiewającej duchowej materii pojawiała się coś na kształt twarzy. Działo się tak jedynie przez parę chwil i wyglądało, jak gdyby wewnątrz pojawiała się odcisnięta twarz, upiorna maska z otwartymi ustami i bez oczu. Echo chętnie oduczyłby go tego złego nawyku, lecz niestety nie władał językiem Gotowanych Upiorów.

Koszula podążała za Echem nawet na dach, gdzie potrafiła wyrosnąć nagle spomiędzy gontów i godzinami unosiła się za krotkiem chodzącym po schodach, w górę i w dół. Wieczorami zastygała często obok koszyczka Echa, dopóki ten nie zasnął, a rankami, kiedy się przebudzał, czasami nadal tam była.

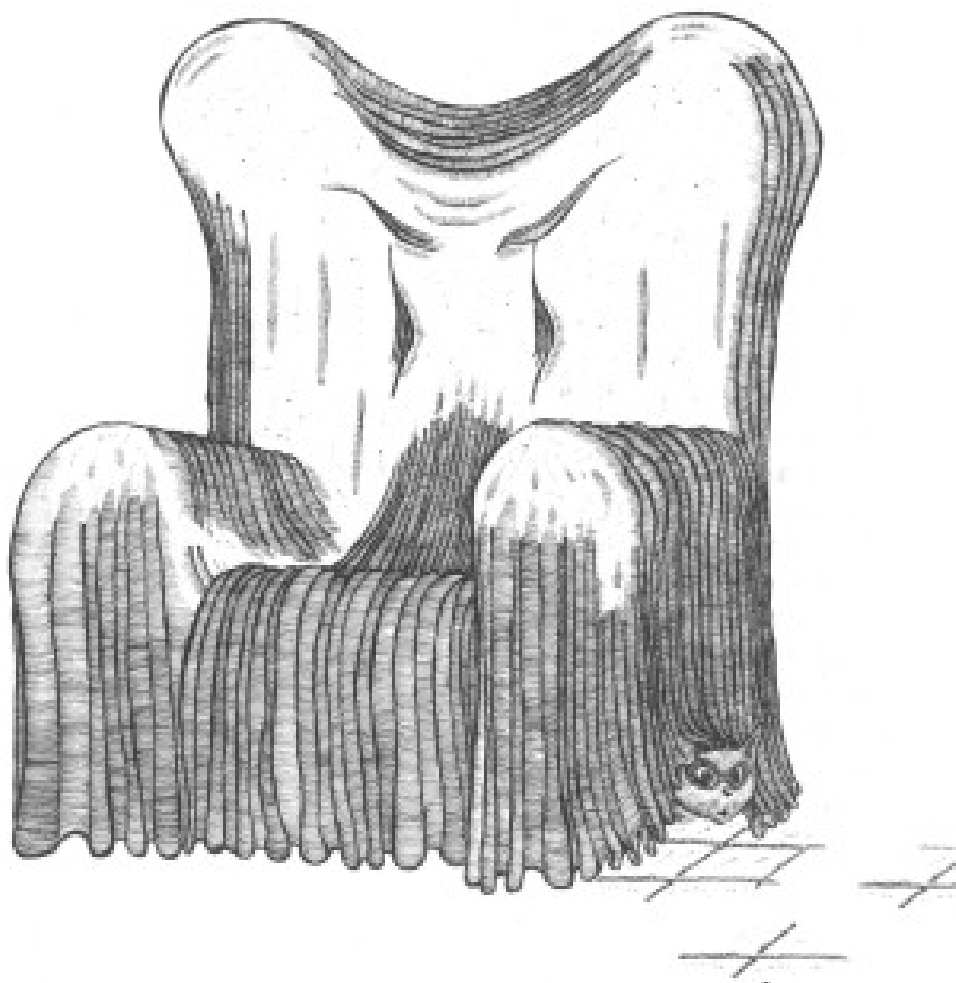
Przeraźnika za to koszula lękała się równie mocno, jak ludzie w Sledwai. Gdy tylko Echo słyszał stukot jego obcasów, duch znikał momentalnie w jakiegokolwiek ścianie, obrazie lub w podłodze, po czym długo się nie pokazywał. Eisspin nie wiedział nawet, że nadal kręci się po zamku. Echo z jakiegoś bowiem powodu, którego sam nie byłby w stanie określić, przemilczał przed przeraźnikiem swoją przyjaźń z koszulą, tak samo jak przyjaźń z Fiodorem F. Fiodorem.

Pewnego razu podczas swojej nocnej wędrówki do sali z pozakrywanymi meblami znów towarzyszyła mu koszula. Lecz kiedy dotarli do sali, duch nagle się zatrzymał, zaczął łopotać i krążyć dookoła jak spłoszony ptak, po czym uciekł w kierunku, z którego przybyli.

Echo wbiegł głębiej do sali, postanowił bowiem, że nie będzie już łamał sobie głowy motywami kierującymi jego nowym przyjacielem. Koszula nieustannie się pojawiała, ukazywała się Echu o najróżniejszych porach dnia, po czym znikwała równie niespodziewanie z przyczyn, które pozostawały nieznanne. Zbliżający się Eisspin nie mógł jednak być tym razem tego powodem, inaczej Echo już dawno usłyszałby jego trudny do pomylenia krok.

Pokój ten stanowił dla krotka jedno z najbardziej niesamowitych pomieszczeń w całym zamku, choć nie było w nim nic zatrważającego. Jednak nocą pozasłaniane meble tak mocno oddziaływały na wyobraźnię Echa, że pod każdym z prześcieradeł mógł bez trudu wyobrazić sobie jakiegoś niebezpiecznego potwora, który czaił się, czekając tylko, by wyskoczyć i go dopaść. Tam - czy nie poruszyła się przypadkiem jedna z fałd? Tutaj - czy płótno nie wybrzusza się, jak gdyby coś pod nim oddychało? A może to tylko wiatr, który wyduł materiał? Nieważne, Echo chciał przejść przez tę salę tak szybko, jak będzie to

możliwe, dreptał slalomem wokół wszystkich szaf, komód, wielkich foteli i sof, wyglądających jak przysypane śniegiem olbrzymy. Jakże długo już tu stoją, jakie formy rozkładu kryją? Co znajdowało się w szafach i komodach? - zastanawiał się i wyobrażał sobie, że roi się w nich od robaków i korników, lecz myślał również o szufladach pełnych zasuszonych oczu lub zmumifikowanych dłoni. Regałach, na których piętrzyły się czaszki. Kufrach pełnych wyszczerzonych szyderczo zębów. Rzucał nerwowe spojrzenia na boki, przygotowany na to, że jedno z prześcieradeł rozerwie się i wyjdzie z niego szkielet z rozżarzonymi węgielkami w oczodołach i zębami ociekającymi krwią. Dotarł już niemal do samych drzwi, lecz drogę zastawiał mu ostatni zamaskowany kolos. Może pod pokrytą kurzem materią znajdowała się jedynie masywna szafa dębowa, a może jednak była to gilotyna, pod którą nadal jeszcze leżał bezgłowy delikwent. Na miękkich nogach przebiegł wokół zwalistego mebla, a drzwi wyjściowe znalazły się już w zasięgu wzroku, kiedy usłyszał coś zdumiewającego.



Echo zatrzymał się. Nasłuchiwał.

W tym pomieszczeniu był jeszcze ktoś.

Zjeżyły mu się włosy na grzbiecie. Hałas nie był głośny, przerażający czy groźny, lecz przeciągły, stłumiony i przeraźliwie smutny. Ktoś tu płakał.

Po chwili Echo wiedział już, kto płakał, dopadł go bowiem dobrze znany i mało przyjemny zapach, do którego już przywykł - zapach alchemicznych perfum przeraźnika.

Echo wśliznął się z powrotem do sali, cały strach uleciał, teraz kierowała nim tylko ciekawość. Zatrzymał się za fotelem. Wśliznął się pod mebel i ostrożnie wyjrzał ze swego ukrycia.

Oto i on. Eisspin. Przeraźnik siedział na jednym z foteli. I płakał.

Echo myślał przez chwilę, że może jednak się śmieje, chichocząc cicho pod nosem. To zdecydowanie bardziej pasowałoby do starucha - siedzenie w ciemnościach i chichotanie nad jakimś diabelstwem, które właśnie uknuł. Ale nie, on bez wątpienia płakał. Niezwykle było również to, że przeraźnik siedział. Echo zdał sobie nagle sprawę, że do tej pory widział jedynie, jak Eisspin stoi lub chodzi, nigdy jednak jak siedzi, a tym bardziej, jak leży. Zapadnięty w sobie i drżący na całym ciele nie miał już nic z demoniczności, zdało się, że cała jego siła i energia uleciały, był teraz wyłącznie kupką nieszczęścia. Siedział, jak gdyby powietrze ciążyło mu niczym ołów, ramiona miał opuszczone, głowę pochyloną, a całym ciałem wstrząsały spazmy płaczu.

Widok płaczącego Eisspina był dla Echa nie tylko zdumiewający - był wstrząsający, również dlatego że nigdy nie uważał przeraźnika za zdolnego do takich poruszeń. Widok ten wzruszył go tak mocno, że sam utoczył łzę i cicho zaszlochał, czego od razu pożałował. Eisspin bowiem błyskawicznie wyskoczył do góry jak diabeł z pudełka i trwał tak sztywno, chuda smuga cienia przed jednym z okien. Prychnął w ciemność: Ktoś tu jest?

Słowa te dosłownie eksplodowały w głowie Echa, wystrzelił ze swego ukrycia i pognął do drzwi, jak gdyby ktoś podpalił mu ogon. Mknął niczym rakieta poprzez pokoje i korytarze, w dół po schodach i dopiero trzy piętra niżej, w pachnącej zimnym popiołem z kominka bibliotece, pełnej prastarych foliałów, odważył się zatrzymać. Wcisnął się pod nadzarty przez korniki pulpit do czytania i nasłuchiwał z dziko bijącym sercem, czy przeraźnik za nim podąża. Ale słyszał jedynie szelest skrzydeł skóroperzy, które wykonywały pod sufitem swoje nocne rundki.

Najmniejsza opowieść Camonii

Kiedy następnego ranka Echo wśliznął się do laboratorium, ziewając i co chwila się przeciągając, przeraźnik pochylał się nad stołem i wpatrywał intensywnie w mikroskop. Zatopiony w obserwacjach, które najwyraźniej ogromnie go fascynowały, nie zauważał krotka.

Echo był niewyspany i drażliwy, przez pół nocy nie zmrużył oka i gubił się w domysłach: dlaczego Eisspin tak się zachowywał? Do tego dochodziło jeszcze niepokojące pytanie, czy mistrz go przypadkiem nie zobaczył. Podbiegł z opuszczoną głową do miski ze słodkim kakao i zaczął pić.

- Wybacz, proszę - powiedział dopiero po dłuższej chwili przeraźnik, nie podnosząc wzroku - badam właśnie liść z Małego Lasu, a to wymaga najwyższej koncentracji. Jest tak maleńki, że nawet pod mikroskopem ledwo go widać.

- Z Małego Lasu? - zapytał pomiędzy dwoma łykami Echo. - Słyszałem coś o Wielkim Lesie, ale niczego o Małym.

Eisspin zmienił ostrość obiektywu.

- Nieliczni camońscy naukowcy - mruzczał - uzbrojeni w najsilniejsze okulary i największe lupy, wiedzą, że obok Wielkiego Lasu znajduje się jeszcze inny zagajnik, który nazywa się Małym Lasem. To najmniejszy las w Camonii. Mały Las jest tak maleńki, że nawet owady odczuwają w nim ograniczoną swobodę ruchu. Największe z jego drzew są tak mizerne, że z jednego z nich można zrobić co najwyżej jedną wykałaczkę. Jedynymi istotami żywymi, które mogą go zamieszkiwać, nie cierpiąc na lęk przestrzeni, są korzeniaki.

Dopiero teraz Echo się dobudził. Wylizał sobie pyszczek do czysta, odwrócił się od miski, podszedł do Eisspina i położył się u jego stóp. Ulżyło mu, że nie było mowy o wydarzeniach ostatniej nocy.

- W takim razie te korzeniaki muszą być naprawdę maleńkie - powiedział.

Tym razem mistrzowi udało się oderwać wzrok od mikroskopu i skierować go na krotka. Przetarł oczy.

- Mały i duży to cechy względne - stwierdził filozoficznie przeraźnik. - Ja wydaję ci się pewnie dość duży, ale dla liczyburaka jestem karłem. Ty wydajesz mi się, za pozwoleniem, raczej mały, ale dla myszy jesteś olbrzymem.

Eisspin rozejrzał się, po czym sięgnął po coś, co leżało przed nim na stole, i podsunął Echu przed nos. Był to kawałek starego wyschniętego chleba, typowe pożywienie przeraźnika.

- Powiedziałbyś pewnie, że to jeden duży kawałek chleba, prawda?

Echo przez chwilę się zastanawiał i skinął głową.

- Jasne - odpowiedział.

Na co Eisspin zacisnął dłoń w pięść, zamieniając kruche krawędzie w wiele okruszków.

- W rzeczywistości to jednak wiele małych kawałków - otworzył dłoń i okruszki spadły na stół. Potem wybrał jeden z nich i zacisnął go między kciukiem a palcem wskazującym.

- A ten okruszek tutaj - też powiedziałbyś, że to jeden jedyny okruszek, czyż nie?

Echo ponownie skinął głową, tym razem nieco dłużej się wahając. Eisspin roztarł pomiędzy palcami okruszek chleba na proch.

- On jednak również składa się z wielu mniejszych kawałków. I tak zachowuje się cała materia. Wszystko, co tu widzisz: stół, krzesło, mikroskop, książki, szklane pojemniki, całe laboratorium, nawet ty i ja, składa się z maleńkich części, które trzymają się razem w cudowny sposób. Dlatego my, alchemicy, badamy to, co jest małe. Najmniejsze. Ponieważ wierzymy, że gdzieś tam w mikrokosmosie drzemie potężna siła.

- Jak w czymś małym może tkwić potężna siła? - zapytał Echo. - Czy to nie sprzeczność sama w sobie?

Przeraźnik zdawał się przez chwilę rozważać, czy powinien dalej zajmować się pracą, czy raczej lukami w wykształceniu Echa.

- Uważaj! - powiedział po chwili. - Opowiem ci historię. Traktuje ona o Małym Lesie, lecz również o alchemii. Interesuje cię to?

Echo skinął głową.

- Każdy adept sztuki alchemicznej musi nauczyć się tej opowieści na pamięć i bezbłędnie opowiedzieć ją podczas obrony pracy dyplomowej. Nawet dziś pamiętam ją słowo w słowo.

- W takim razie musi to być ważna opowieść - powiedział Echo.

- I tak też jest. A ponieważ rozgrywa się w Małym Lesie, nie będziesz, mam nadzieję, oczekiwał po niej wielkich uczuć, epickiego zadęcia, a zwłaszcza żadnych olbrzymów. To najmniejsza opowieść Camonii. Potrafisz się z tym pogodzić?

- W porządku - odparł Echo. - Lubię małe rzeczy.

- A widzisz. Czyż nie czujemy się przyjemniej, gdy chodzi o rzeczy małe? Kiedy nie ma cienia rzucanego przez potwornie wielkie zdarzenia? W wąskich, aczkolwiek przejrzystych warunkach wydarzają się rzeczy tak mało obszerne i ograniczone, że poradzi sobie z nimi nawet korzeniak. Czyż to nie jest w kojący sposób urocze?

- O tak - odparł Echo.

- A więc korzeniaki są tak małe, że nie da się ich nawet zaliczyć do rodziny krasnoludów, tylko cwergli, do której zalicza się wszystkie formy życia mniejsze niż kasztan: peple, orzeszniki, mrówczaki, impfy i tak dalej. Ale korzeniaki są najmniejsze, impfowi sięgają dokładnie do kolan. A wiesz przecież, jak mały jest impf.

- Nie - powiedział Echo. - Nie wiem.

- No cóż, orzesznik jest mniejszy niż pepel, ale większy niż mrówczak, a impf to połowa mrówczaka. Wszystkie trzy, postawione jeden na drugim, przy krasnoludzie wyglądać będą jak kura przy słońcu.

- Acha, już wiem.

- Skoro wyjaśniliśmy sobie kwestię proporcji, może zacznę wreszcie opowieść. A więc wszystkie korzeniaki są równe. Równie wielkie, ewentualnie równie małe, równie kochane, równie odważne, równie strachliwe, równie tego i równie tamtego. A ponieważ wszystkie są równe, nie potrzebują żadnego imienia. Wyrastają wiosną z ziemi Małego Lasu, każdego roku dokładnie dwanaście sztuk, i żyją dosyć długo, o ile nie zdarzy się jakiś wypadek. Ich zadaniem jest ochrona i uprawa Małego Lasu, utrzymują jego glebę w ruchu, grabią ją, obcinają martwe gałęzie i doją mszyce. No cóż, właśnie tego typu sprawy.

Eisspin skrzyżował palce, rozciągnął ramiona i potwornie zatrzeszczał stawami - było to jedno z jego przyzwyczajzeń, którego Echo głęboko nienawidził. Po czym kontynuował:

- Nasza opowieść rozpoczyna się w chwili, gdy jeden z korzeniaków, który znajdował się daleko od swych pobratymców, plewił chwasty na polanie, na bardzo małej polanie, zaznaczmy, i dokonał nagle odkrycia w leśnej glebie. Było to naczynie, w którym tkwił korek.

Zaciekawiony korzeniak wykopał je i stwierdził, że to gliniana butelka. Była ona mniejsza niż korzeniak, słusznie więc można by było nazwać ją małą, lecz z drugiej strony była tak duża, że sięgała korzeniakowi prawie do ramion, więc ten pomyślał: Ho, ho, to dopiero wielka butelka! Wygląda na starożytną lub coś w tym rodzaju, w każdym razie jest niesamowicie stara. Jeżeli w środku znajduje się coś do picia, smakuje pewnie okropnie.

Korzeniak otworzył ostrożnie butelkę i obwąchał ją - a z szyjki wyleciała chmura o jadowym zapachu. Myślał już, że to stara ciecz przemieniła się w gaz, lecz chmura stawała się coraz większa i większa, barwiąc się na czerwono niczym lawa wyrzucana szerokimi strumieniami w niebo. Podniósł się ryk, głośny jak wycie setek demonów, a gdy wreszcie powróciła cisza, korzeniak był ledwo żywy ze strachu, nad Małym Lasem zaś unosiła się



postać sięgająca niemal chmur. Był to krwawoczerwony olbrzym o złym, przeszywającym spojrzeniu czarnych oczu i o włosach z płomieni, który zawołał grzmiącym głosem:

- Wolny! W końcu wolny!

- Chwileczkę - przerwał Echo. - Powiedziałeś przecież, że nie występują tu żadne olbrzymy!

- Zgadza się - przyznał Eisspin. - Błędnie cię poinformowałem, żeby zwiększyć efekt zaskoczenia. Mam przestać?

- Nie, nie! - zaprotestował Echo. - Opowiadaj dalej!

- Hmm... - mruknął Eisspin - korzeniak zrozumiał oczywiście od razu, że uwolnił Wszechniszczącego Demona z Butelki, i przeraził się, rzecz jasna słusznie, jeszcze bardziej.

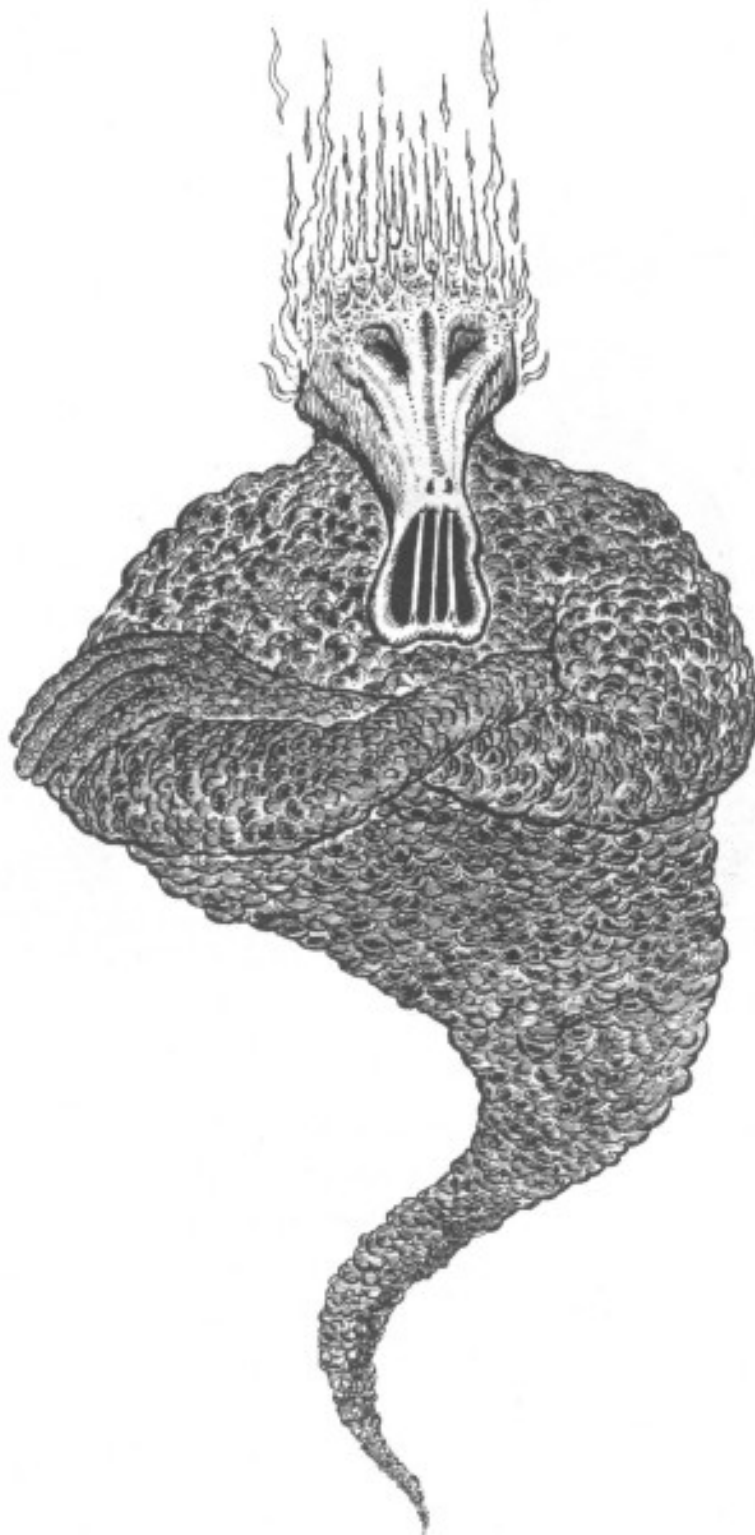
- W końcu, w końcu wolny - krzyczał olbrzym. - Teraz mogę się mścić! Rozerwę ten świat jak kawałek papieru! Podpalę go smagnięciem mych włosów i zatruję tchnieniem mego oddechu! Przez tysiące lat moja nienawiść stała się tak wielka, że nie poprzestanę na zniszczeniu tylko tej jednej planety. Nie, zniszczę wszystkie planety i zgaszę wszystkie słońca, obrócę całe to przeklęte uniwersum w proch! A potem zapoluję na ten przeklęty czas, który tak dręczył mnie w niewoli, dopadnę go i zakatuję na śmierć!

- O cholera! - zaklął korzeniak. - Co ja dobrego narobiłem?! I co teraz?!

Eisspin chwycił się za głowę i przybrał zmartwioną minę.

- Przydałaby się dobra rada! - zawołał. - Jak opanować taką sytuację, mając jedynie ograniczone możliwości korzeniaka?

- Trzeba użyć rozumu - stwierdził Echo.



- Dobrze! - powiedział Eisspin. - Dokładnie tak też zrobił. „Skoro olbrzym wy dostał się z butelki, zmieści się też z powrotem” - pomyślał. - „Muszę przekonać go, żeby powrócił do butelki. Potem znów wetknę korek i zakopię w lesie tak głęboko, jak tylko będzie to możliwe”.

- Dobry pomysł - stwierdził Echo.

Eisspin odchrząknął.

- Korzeniak zwrócił się cichutko do olbrzyma: Proszę wybaczyć, panie olbrzymie...

- Niczego nie wybaczam! - ryknął kolos. - Czego jeszcze chcesz w godzinie swej śmierci?

Ludzik przełknął ślinę.

- Tak tylko się zastanawiałem, skąd tak szybko się tutaj wziąłeś.

- No, z tamtej butelki, którą właśnie otworzyłeś. A że jestem ci bardzo wdzięczny, zmiążdżę cię jako pierwszego.

- Och, to zbyt łaskawe - powiedział korzeniak. - Nie mogę uwierzyć, że tak potężny olbrzym mieści się w tak małej butelce.

- Co? - zagrzmiął olbrzym. - Nie wierzysz? Przecież sam widziałeś, jak z niej wychodziłem.

- Niestety, nie widziałem. Ze strachu miałem zamknięte oczy.

- I co? Nie wierzysz mi, że byłem w butelce?

To działa! - ucieszył się ludzik i odpowiedział:

- Nie, szczerze mówiąc, uważam to za całkowicie niemożliwe.

- Mam ci to udowodnić? - zapytał olbrzym.

Działa! Działa! - myślał ludzik.

- Och, wcale tego nie potrafisz. Niby jak?

- Wlatując do tej butelki jak piorun do komina! Co jest? Mam ci to udowodnić, czy nie?

Działa! Działa! Działa! - myślał ludzik.

- Możesz sobie próbować. Ale i tak nigdy ci się nie uda.

Olbrzym z butelki spojrział z politowaniem na korzeniaka.

- A *ja* nie jestem w stanie uwierzyć - powiedział wreszcie - w to, że naprawdę próbujesz najstarszego triku w historii schwytanych demonów. Prastary numer pod tytułem Nie Uda Ci się Wejść z Powrotem do Butelki. Naprawdę martwię się o twój rozum, ptasi mózdzku. To wszystko, co potrafisz?

Korzeniak przełknął ślinę. Naprawdę uważał swój pomysł za wybitnie sprytny i oryginalny.

Olbrzym roześmiał się głośno.

- To jedna z opowieści, którą butelkowe demony od milionów lat śpiewają nad kołyską. Podstawowa wiedza: nigdy nie wracaj do warunków, z których przed chwilą uciekłeś! Tylko butelka wraca z powrotem do swojej butelki! Nigdy nie próbuj zaimponować

ludziom mniejszym od siebie! Uczysz się tego w szkole dla butelkowych demonów jeszcze przed lekcją rozrywania planet. Tak robią tylko idioci.

- Dobrze - powiedział ludzik - obraziłem twoją inteligencję. Przepraszam za to. Ale proszę cię - zanim mnie zmiażdżysz, rozerwiesz planetę, spalisz uniwersum i zakatujesz czas na śmierć - abyś odpowiedział mi na jeszcze jedno jedyne pytanie. Bądź co bądź to ja zwróciłem ci wolność. Mógłbyś się odwdziaczyć.

- Jak więc ono brzmi?

- Jak to jest, że ja - mimo że jestem taki mały i bezradny - umiem coś, czego ty nie potrafisz, chociaż jesteś taki wielki i potężny? - powiedział korzeniak, chcąc podrażnić ambicje demona.

- A co to niby jest? - zapytał ten z góry.

- Cóż, uda mi się wcisnąć do tej butelki, do której się nie mieścisz.

- Chwiiiiiiiileczkę - powiedział olbrzym. - Nie powiedziałem, że *nie mogę* wśliznąć się do tej butelki, ja tylko tego *nie chcę*. A w to, że się tam zmieścisz, uwierzę dopiero wtedy, jak zobaczę.

- No dobrze - powiedział ludzik, podszedł do butelki i z wielkim wysiłkiem wcisnął się do środka. - No - stęknął - też tak potrafisz?

- Nie - powiedział olbrzym - rzeczywiście nie. Bo jesteś teraz w środku, a dla nas obu naprawdę nie ma już miejsca. I zakorkował butelkę, a korzeniak niestety się uduził.

Butelkowy demon za to rozerwał świat na małe kawałeczki i spalił go swymi płomiennymi włosami, by rozpocząć potem podróż przez uniwersum, gasząc swym śmiertelnym tchnieniem słońce za słońcem, aż pozostało jedynie lodowate zimno wszechświata, w którym katował czas na śmierć.

Eisspin westchnął i odwrócił się znów w stronę mikroskopu.

- Och! - Koniec był dość niespodziewany - powiedział przejęty Echo.

- No cóż, to była camońska opowieść, a one tradycyjnie już kończą się tragicznie. Czego się spodziewałeś? Że dobro wygra ze złem, małe zatryumfuje nad dużym, urocze nad obrzydliwym? To nie była bajka na dobranoc.

- Nie do końca zrozumiałem, co ta historia ma mieć wspólnego z alchemią.

- Najważniejsze w niej jest to, że jeszcze się nie wydarzyła. Nie byłoby nas obu. Nie byłoby całego wszechświata. Mówi ona młodemu alchemikowi, że ciąży na nim potężna odpowiedzialność. Badając rzeczy małe, może znaleźć coś bardzo wielkiego. Siłę potężniejszą od wszystkiego, co znamy. A wtedy powinien dobrze się zastanowić, czy naprawdę może ją uwolnić.

- Lecz jeśli alchemik przez całe swoje życie poszukuje tej siły i któregoś dnia naprawdę ją odnajdzie, to jak ma oprzeć się pokusie jej uwolnienia?

- Tym pytaniem - powiedział Eisspin - położyłeś łapkę na wiecznie jęczącej się ranie alchemii. To w istocie jest problem. Co powiesz teraz na obfite śniadanie?



Księżyc przeraźnic

Noce robiły się coraz bardziej parne i Echo po swych obfitych posiłkach coraz więcej czasu spędzał na wędrówkach po zamku niż w koszyku. Często wymykał się na górę na dach przez stale otwarte już tajemne drzwi od laboratorium i opustoszałe Skórzane Mauzoleum, nocą bowiem wampiry polowały.

Tam udawał się prościutko do domostwa Fiodora, żeby pogawędzić ze starym puchaczem, o ile ten nie straszył akurat w systemach kominowych zamku albo nie łowił w lochach myszy. Był zdecydowanie bardziej interesującym partnerem do rozmów niż milcząca koszula. Jego szerokie zainteresowania obejmowały zarówno historię posiadłości Eisspina, historię Sledwai, jak i biologię camońską, dawne i nowe języki, odrobinę astronomii, prawa, przeraźnicoznawstwo i wszystko inne po trochu. Jego ukochanym, a zarazem najbardziej znieawidzonym obiektem studiów był jednak Sukkubius Eisspin, przeraźnik we własnej osobie.

- Jestem naukowcem uniserwalnym - zwykł mawiać Fiodor. - Zapytaj mnie o coś, o ile jesteś w stanie znieść odpowiedź.

Echo był w jednym ze swych melancholijnych nastrojów. Usiadł na dachu i ze smutną miną spoglądał na księżyc, który w ostatnim czasie przybrał o wiele za dużo jak na jego gust. Pod tym względem on i satelita mieli, niestety, wiele wspólnego.

- Co wiesz na temat Księżycy? - zapytał Echo, aby przegnać smutne myśli.

- Hmm... - zastanowił się Fiodor. - Właściwie to wszystko. Jak myślisz, jak bardzo oddalony jest od nas Księżyc?

- To łatwe - powiedział Echo. - Mniej więcej tak bardzo, jak te góry tam daleko.

Puchacz popatrzył uważnie na krota.

- Jak do tego doszedłeś? - zapytał w końcu.

- Najbardziej oddaloną rzeczą, jaką widzę, są góry. Księżyc wisi dokładnie nad nimi, a więc jest tak samo daleko jak góry.

Puchacz znów spojrział uważnie na Echo.

- Taki jest twój obraz świata? - zapytał.

- Cóż, nie jestem wszechstronnie wykształconym puchaczem, tylko głupim krotkiem. Wiem tylko tyle, ile opowiadała mi moja pańcia, i to, co wyczytałem w książkach, a one nie były zbyt grube i zazwyczaj zawierały obrazki śmiesznych zwierząt. Od Eisspina uczę się dużo na temat alchemii, ale niczego o astronomii. On woli badać rzeczy małe.

- Rozumiem - powiedział Fiodor. - A gdybym ci powiedział, że droga do Księżyca jest mniej więcej dwadzieścia tysięcy razy dłuższa niż do gór?

- Wtedy uznałbym cię za niezłego blagiera. Nikt nie potrafi patrzeć tak daleko.

- Uf - stęknął Fiodor. - W takim razie musimy zacząć od samego początku. A więc... Księżyc jest położonym najbliżej naszej Ziemi ciałem niebieskim. Porusza się średnio w odległości 385 080 kilometrów od Ziemi równej jej 60,27 promieniom, w czasie 29 dni, 12 godzin, 44 minut i 11,5 sekundy, obracając się z nią równocześnie wokół Słońca. Jego orbita kosmiczna jest z tego powodu leżącą częściowo w obrębie orbity ziemskiej, a częściowo poza nią, ecypkloidą, zwróconą do Słońca „pustą” stroną. Ponieważ ekstremalność jego orbity wynosi 0,05491, jego odległość od Ziemi waha się między 407 110 a 556 650 kilometrami. Jesteś w stanie to zapamiętać?

- Na pewno nie - zaśmiał się Echo.

- Spróbuj to powtórzyć!

- Eeee... Księżyc jest położonym najbliżej naszej Ziemi ciałem niebieskim. Porusza się średnio w odległości 385 080 kilometrów od Ziemi równej jej 60,27 promieniom, w czasie 29 dni, 12 godzin, 44 minut i 11,5 sekundy, obracając się z nią równocześnie wokół Słońca. Jego orbita kosmiczna jest z tego powodu leżącą częściowo w obrębie orbity ziemskiej, a częściowo poza nią, ecypkloidą, zwróconą do Słońca „pustą” stroną. Ponieważ ekstremalność jego orbity wynosi 0,05491, jego odległość od Ziemi waha się między 407 110 a 356 650 kilometrami.

- No proszę! - powiedział Fiodor. - A jednak można.

- No proszę! - zawołał zaskoczony Echo i zasłonił łapką pyszczek. - Ja to potrafię?

- Potrafisz o wiele więcej. Pojemność krociego mózgu jest ogromna. Powiedz, jak myślisz, jak bardzo są oddalone od nas te gwiazdy w górze? Czy są tak samo daleko jak Księżyc, czy są bliżej Ziemi?

- Masz na myśli te dziury w niebie? Człowiek na Księżycu zrobił je swoją księżycową igłą, żeby Słońce, które śpi z tyłu, mogło przez nie prześwitywać.

Fiodor jęknął.

- O tym też czytała ci pańcia?

Echo kiwnął głową.

- I jesteś zapewne przekonany - zapytał Fiodor - że na Księżycu znajduje się jakiś człowiek?

- A nie powinienem być? - zapytał nieśmiało krotek.

- Księżyc nie ma atmosfery!!! - zawołał puchacz. - Tam, w górze, nie ma powietrza! Twój człowiek na Księżycu przecież by się udusił!

Echo zastanawiał się z wysiłkiem.

- To kto w takim razie zrobił te dziury w niebie?

Puchacz zasłonił oczy skrzydłem i w uciszającym geście uniósł drugie. Brakowało mu słów.

- Mówisz, że na Księżycu nie ma człowieka? - zapytał zatroskany Echo.

- Nie! - wrzasnął Fiodor. - Krotów na Księżycu też nie ma! Ani cielaka! Nie ma krasnoludów w wulkanach, smoków w kraterach i księżycowych igieł! Księżyc wcale nie świeci tak ładnie dlatego, że jest ze srebra i przypudrowano go diamentowym proszkiem!

- Nie? - zapytał Echo. - To dlaczego tak świeci?

- Widzę już - stęknął Fiodor - że musimy zacząć od fundamentów. O rety!... Ale od czego?

- Wiem tak niewiele o świecie tu w dole - westchnął Echo - ale o tym w górze jeszcze mniej.

- A więc - rozpoczął Fiodor - najpierw dziury. To nie są żadne dziury. To gwiazdy. Słońca. Tak jak nasze, tylko bardzo oddalone. Jasne?

- Słońca - powiedział Echo. - Jasne.

- Dobrze. To właśnie *jest* w naszym uniserwum. Słońca. Plateny. Gaktalyki - wszystko, co da się zobaczyć. Wszystko, co da się zmierzyć. Wszystko, co istnieje.

- Wszystko, co istnieje - powtórzył Echo.

- A widzisz to coś pomiędzy gwiazdami? - Fiodor objął skrzydłem cały nieboskłon.

- To czarne? Tak, widzę.

- Ale tam niczego nie ma. Jak w takim razie możesz to zobaczyć?

- Nie wiem... - odpowiedział niepewnie Echo. - Po prostu widzę.

- No, właśnie. To nic, a jednak to widzisz. Tam jest wszystko to, co mogłoby się znajdować w uniserwum. To, czego nie da się zmierzyć. Niewiadome. Istnieje na to wiele określeń. Przeznaczenie. Miłość. Śmierć...

- Śmierć... - powtórzył ponuro Echo.

- Ale o to na razie się nie martwmy. Trzymajmy się tego, co na pewno istnieje we wszechświecie. Trzymajmy się lepiej światła, a nie ciemności. Trzymajmy się gwiazd.

- W zasadzie nie interesuję się tak bardzo gwiazdami - powiedział Echo. - Raczej księżycem. Nim już bardziej.

Puchacz rzucił krotkowi spojrzenie z ukosa.

- Wiesz, dlaczego krotki tak bardzo interesują się księżycem? A szczególnie pełnią księżycy? Księżycem przeraźnic? - zapytał złowieszczko.

- A właściwie dlaczego pełnia księżycy to księżyc przeraźnic? - odpowiedział pytaniem na pytanie krotek. - Co przeraźnice mają wspólnego z księżycem?

- Właściwie to nic. To średniowieczna bzdura, która przetrwała po dziś dzień. Wiesz przecież, że podczas pełni księżycy dzieją się czasem dziwne rzeczy. Ludzie popełniają czyny, których zwykle nigdy by się nie dopuścili. A że w Camonii od dawna wszyscy zwalali wszystko na przeraźnice, stwierdzono, że to przeraźnice zaczarowują księżyc podczas pełni - dlatego nazwano go księżycem przeraźnic. A księżyc przeraźnic, jak mówią, zaczarowuje z kolei ludzi. Każę robić im szalone rzeczy. W średniowieczu mogłeś robić, co chciałeś: podpalić dom sąsiada, pomalować jego krowę na kolorowo i tańczyć goły po dachu - winne były zawsze przeraźnice, jeśli tylko robiłeś to podczas pełni księżycy.

- Szczerze mówiąc - powiedział Echo - podczas księżycy przeraźnic też odnoszę czasem wrażenie, że mnie oczarowuje.

- I tym samym wracamy do mojego pytania! Dlaczego, twoim zdaniem, krotki tak bardzo fasnycuje pełnia księżycy?

- Nie wiem dokładnie..., ale kiedy księżyc jest w pełni, wtedy... wtedy robię się dość... no, taki drażliwy.

- Czujesz wtedy wyjątkowe ożywienie, to chcesz powiedzieć?

- O tak. Niemal w ogóle wtedy nie śpię, a jeśli już, to miewam dziwne sny. I ogarniają mnie jakieś dziwne uczucia.

- Dziwne sny, dziwne uczucia, no proszę, proszę - powiedział Fiodor. - I tym samym znaleźliśmy się w sferze rzeczy, które *mogłyby* się przydarzyć. To czarne pomiędzy gwiazdami. W tym wypadku miłość. Czasami cię w życiu dopada. Albo i nie.

- Miłość? - zapytał Echo. Była to jedna z tych rzeczy, na których się nie znał.

- Jesteś jeszcze bardzo młodym krotkiem. W okresie dojrzewania.

- Dojrzewania?

- No cóż, jak to powiedzieć... - Fiodor zaciął się. Pomyślał, że posunął się najwidoczniej za daleko. Echo nie był jeszcze gotowy na tę rozmowę. - Cóóó - zapytał przeciągle - twoja pańcia cię nie uświadomiła?

- Uświadomiła?

- No... nie mówiła ci o... *tych sprawach*.

- Sprawach? Jakich znowu sprawach?

- Mówię o miłości, krocia sieroto!

Fiodor zrozumiał, że wkroczył na kruchy lód,

- Powiem krótko... To ma coś wspólnego z krocicami - wyrzucił z siebie i odetchnął z ulgą, jak gdyby powiedział tym samym wszystko.

Lecz Echo nie odpuszczał.

- Krocice? - zapytał.

- Tak. Samiczki krotków.

- Istnieje jeszcze inny rodzaj krotów?

- Och tak. W rzeczy samej. Całkiem inny rodzaj. Czy ty nie masz żadnego pojęcia, jak przyszedłeś na ten świat?

- Mam. Pańcia opowiadała mi, że zerwała mnie z krzaka krocimiętki.

- Tego tylko brakowało... - stęknął Fiodor.

- Chcesz powiedzieć, że mnie okłamała?

- Tak. Nie. Tak! To znaczy... słuchaj, nie będę teraz wchodził w te wszystkie szczegóły biogoliczne, tylko wyłożę ci wszystko, powiedzmy, w dużym skrócie. Skoncentruję się na najważniejszym!

- Jasne - Echo nadstawił uszu.

- To jest tak. Tu w Sledwai nie ma już żadnych krocic. Ale tam daleko, daleko, za hozyrontem, po tamtej stronie gór - być może jeszcze jakieś istnieją. I to one mają odpowiedź na wszystkie twoje pytania dotyczące miłości.

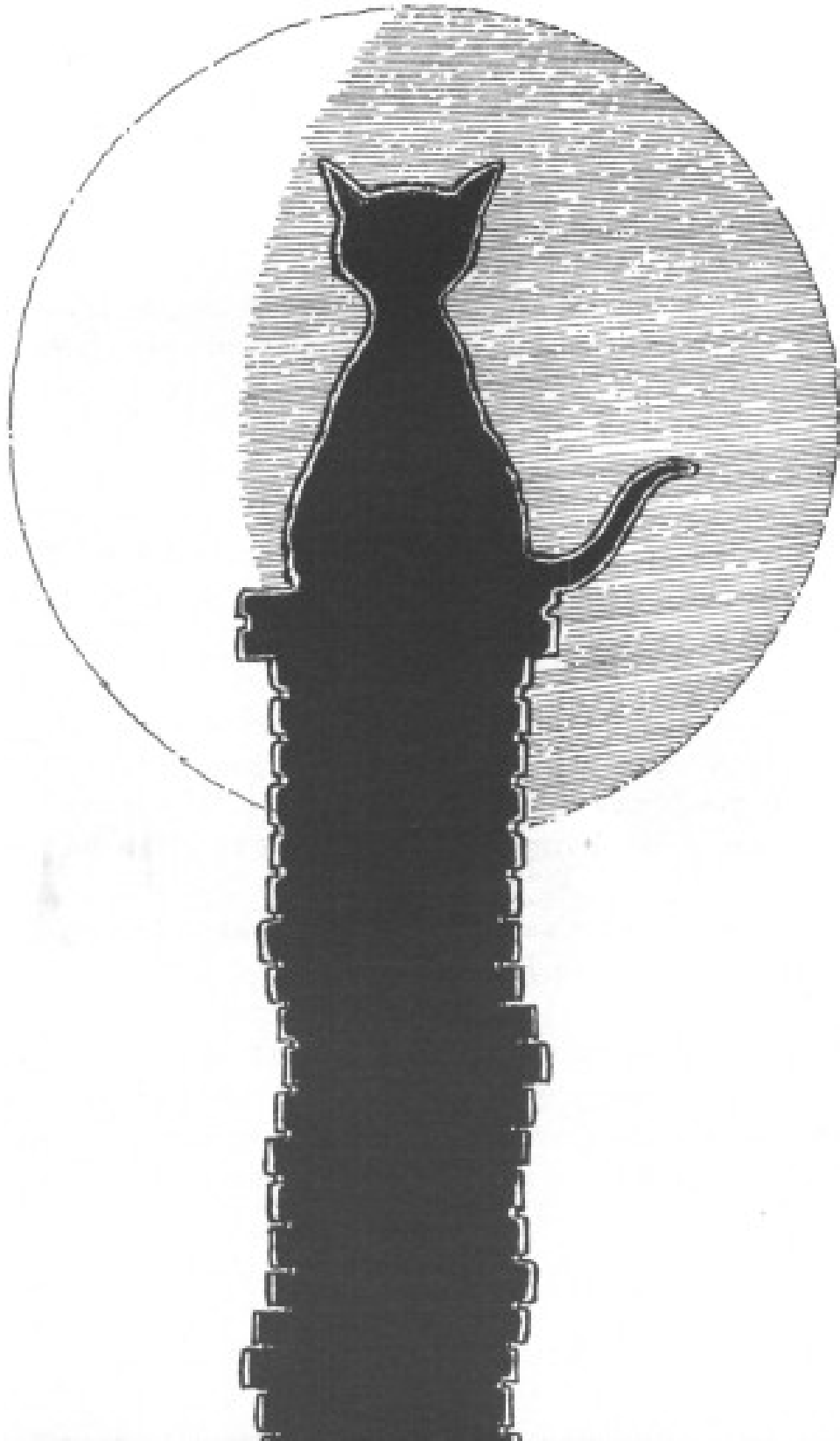
- W takim razie nigdy się tego nie dowiem - powiedział smutno Echo i ponownie spojrzał na księżyc. - Eisspin podetnie mi wcześniej gardło.

Puchacz, dla którego ta rozmowa stawała się coraz bardziej nieprzyjemna, zamachał skrzydłami i uniósł się w powietrze.

- Nocy czas! - zawołał. - Łowów czas! Jak już wspominałem, muszę niestety sam ornazizować sobie jedzenie.

A potem rzucił się w otchłań głową w dół.

Echo siedział jeszcze długo na dachu i spoglądał na Błękitne Góry na horyzoncie, których szczyty wyłuskało z ciemności skąpe światło księżyca. Czy tam za nimi naprawdę istnieje inny rodzaj krotów? Taki, który będzie w stanie uwolnić mnie od niepokoju, ogarniającego zawsze przy pełni księżyca? - zastanawiał się coraz bardziej zaintrygowany. Popatrzył znów na księżyc i choć ten od dawna nie był już w pełni, musiał przezwyciężyć impuls, by nie zamiauczeć długo i przejmująco.



Eisspinowska sala tortur

Za każdym razem, kiedy Echo przyglądał się Eisspinowi podczas gotowania, ogarniała go fascynacja, na którą składały się zdumienie, podziw i przerażenie. Eisspin był potężnym tyranem. Sledwaya była jego królestwem, zamek - twierdzą, laboratorium - salą tronową, a kuchnia - salą tortur. Tasaki i noże do filetowania, tłuczki do mięsa i do ziemniaków, patelnie pełne wrzącego oleju, one były narzędziami tortur, artykuły żywnościowe to bezwolni niewolnicy, wchodzący dla niego do gotującej się wody i rzucający się na rozżarzony ruszt. Jaja czekały pokornie na dekapitację, drób na odrąbanie nóg lub poćwiartowanie, mięso bez oporu pozwalało się rozbić na miękko, a homar pragnął zostać ugotowany żywcem.

- Ubij mnie! - krzyczała śmietana.

- Zetnij mnie! - sapał sos.

- Dopieprz mi! - stękała sałatka.

Eisspin, krojąc pieczeń czy ugniatając ciasto z wielkim oddaniem, zachowywał się tak, jakby miał do czynienia z istotami żywymi. Niczym kat śpieszył od jednego narzędzia tortur do kolejnego, od grilla do pieńka do rąbania, od pieńka do gara, aby podgrzać delikwenta, porąbać go na kawałki bądź wrzucić do wrzątku. Dzikie języki płomieni lizały zachłannie patelnie, podpalając gorący olej. Żółte płomienie wybuchały na wysokość metra, oświetlając przeraźliwym blaskiem. Wiatr wpadał przez otwarte okna, obrywając mgłę wypływającą z garnków i wydymając szaty Eisspina - stary mógl spokojnie występować w cyrku ze swoim numerem przy piecu.

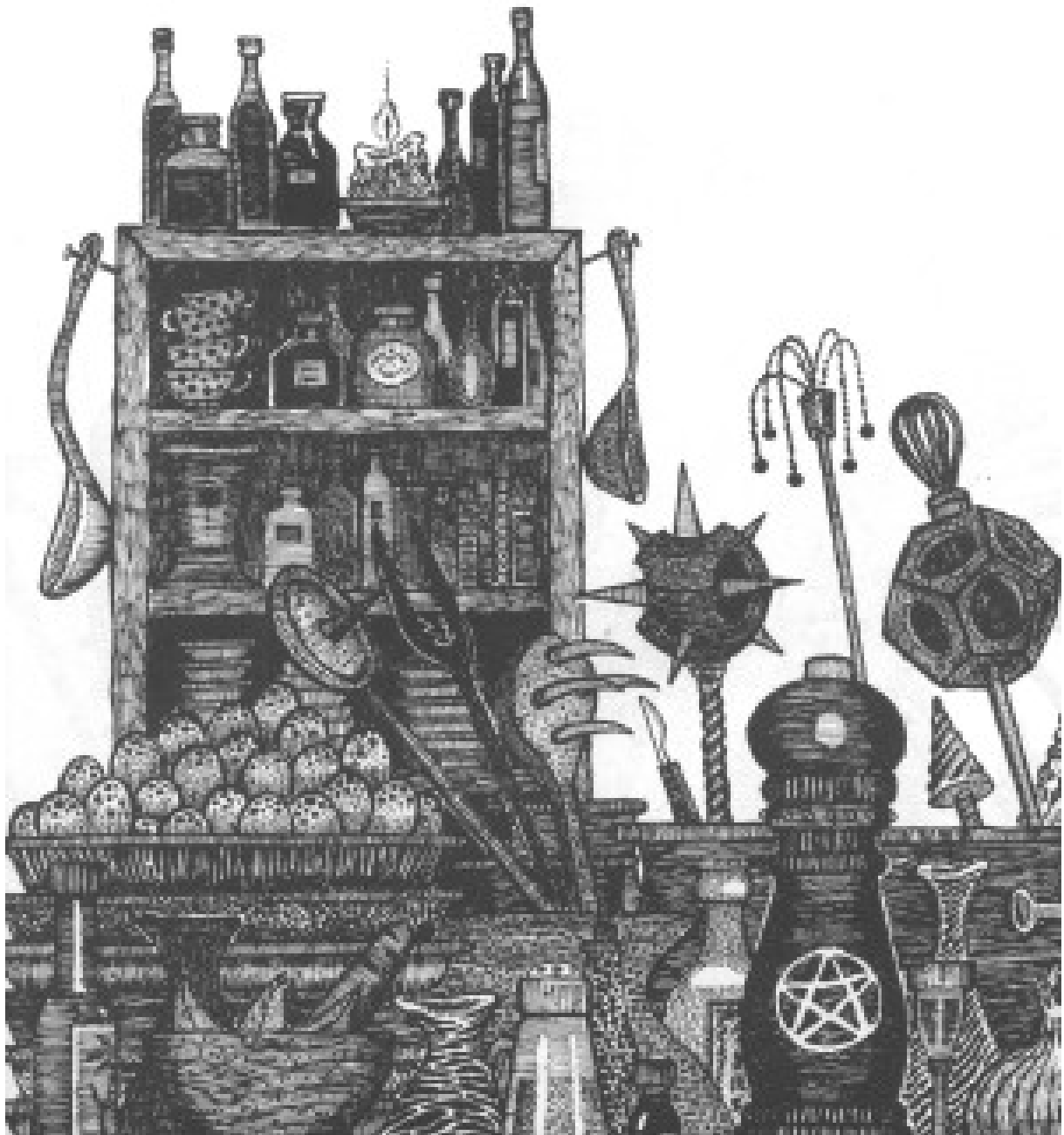
- Ten, kto nie potrafi znieść żaru - krzyczał ponad fukającymi płomieniami - nie ma czego szukać w kuchni. - Nieosłoniętymi dłońmi wyciągał z pieca piekielnie gorące serowe roladki, moczył palce w gotującej się zupie, aby jej spróbować, gołymi rękami wyciągał z wrzącego oleju smażące się ziemniaki.

- Naturalnie, że odczuwam ból - powiedział, kiedy spostrzegł przerażone spojrzenie krotka - ale go nie respektuję.

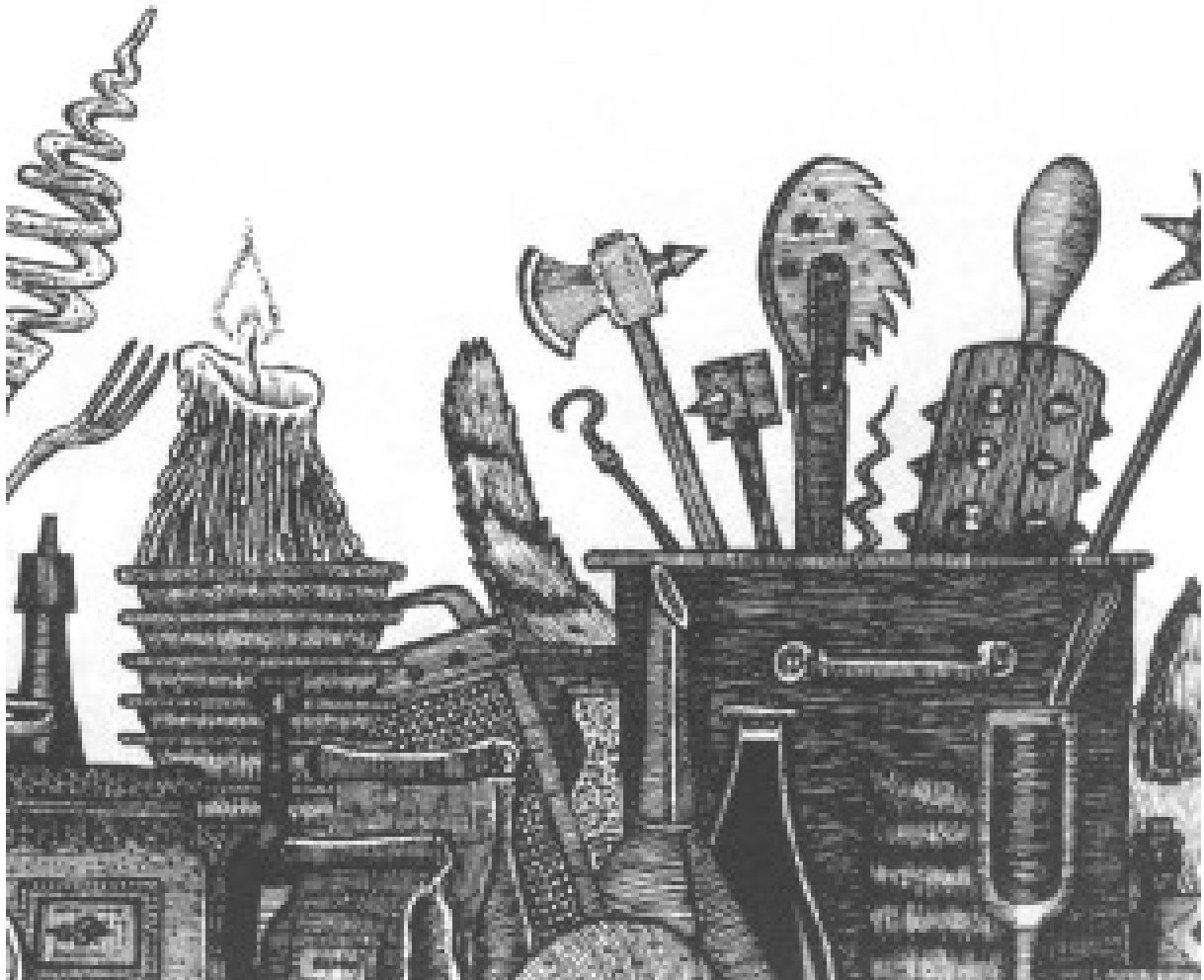
I gdy Eisspin śpieszył z jednego miejsca zdarzeń na kolejne - śpieszył, zaznaczmy, a nie gonił - nie wykonywał przy tym ani jednego zbędnego ruchu czy też kroku. Nigdy nic się nie przypaliło, nigdy nic nie wykypiało. Przeraźnik był równocześnie mistrzem kuchni, sosjerem, kelnerem, kredensarzem i pomywaczem w restauracji „U Eisspina”, a wszystkie czynności wykonywał z taką samą gorliwością, starannością i perfekcją. Kiedy coś kroił, robił to zazwyczaj tak szybko, że niemal się tego nie zauważało. Rozlegało się w kuchni staccato

klingi na desce krajalniczej i już gotowy był stosik cebuli posiekanej w cieniutkie krążki, kupka szczypiorku milimetrowej grubości czy perfekcyjny tatar z tuńczyka.

Gotową pieczeń tranżerował ze spokojem i precyzją chirurga, nie upuszczając ani kawałka mięsa. Obracał omlety w powietrzu z wprawą jarmarcznego żonglera, nawet na nie nie patrząc. Wrzucał posiekane zioła do garnka z niebotycznej wysokości i ani jeden listeczek tymianku nie chybił celu. Echo widział pewnego razu, jak kroił w plasterki ząbek czosnku, używając do tego skalpela i diamentowej lupy. Ogolił brzoskwinie, używając do tego brzytwy i bitej śmietany, bo jej skórka wydała mu się zbyt szorstka. Był też świadkiem, jak mistrz piekł pod mikroskopem rybnie jajo, używając w tym celu rozżarzonej igły.



W kuchni Eisspina panowała dyscyplina niczym w księgowrodzkiej straży pożarnej, precyzja zakładu zegarmistrzowskiego i higiena sali operacyjnej. Noże były nieskazitelnie czyste, wysterylizowane i ostre jak brzytwy. Każdy widelec do mięs, każda trzepaczka, każdy miedziany kociołek był wypolerowany na wysoki połysk i błyszczał w świetle świec. Obrane kartofle w garnku z wodą były do siebie podobne jak jajo do jaja, dymka pocięta w idealnie równe kosteczki czekała na swoją kolej, pojemniki na zioła były zawsze wypełnione i prężyły się, stojąc w rzędzie niczym ołowiane żołnierzyki. Jeść z podłogi? - w kuchni Eisspina w istocie było to możliwe, bo trudno by tu było znaleźć jedną bakterię. Jakikolwiek zarazek czułby się tu jak samotna pchła na obcej planecie, impregnowanej środkiem owadobójczym. Kamienną podłogę nawoskowano, a zlew, deski do krojenia i każdy centymetr kwadratowy blatu wyszorowano roztworem octu i salmiaku. Eisspin uwijał się tu równie niestrudzenie jak w laboratorium. Mieszał zioła, ucierał pieprz w moździerzu, przyrządzał sosy do sałatek, gotował buliony na kościach lub ościach, solił masło, ubijał śmietanę, odtłuszczał sos z pieczeni, poszetował jaja na zapas - nigdy nie pozwalając sobie na przerwę.

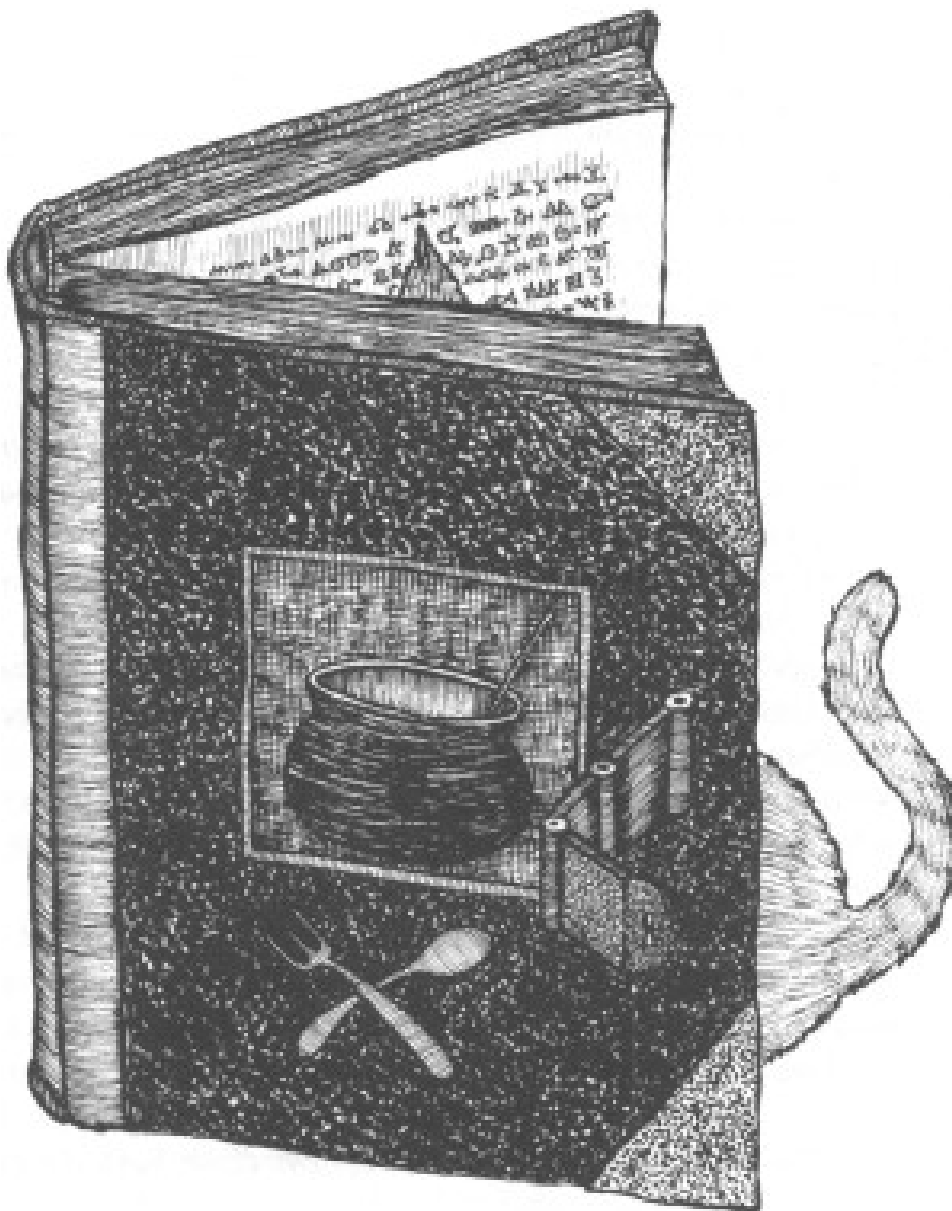


Kiedy Eisspin był w trakcie przygotowywania menu, jego ruchy stawały się tak płynne, iż niemal taneczne. Odgłosy, które go otaczały - gardłowy śpiew zupy, prychające płomienie, skwierczenie pieczeni, sos spadający z sykiem na rozgrzany tłuszcz - jednoczyły się ze stukotem jego kroków w rytmiczną melodię, tworząc muzykę kulinarną, porywającą pokrywki od garnków do tańca.

Echo jednak wprawiał w zdumienie jeden fakt; właściwie nigdy nie widział, aby przeraźnik cokolwiek jadł. Eisspin nadgryzał co najwyżej od czasu do czasu jakieś jabłko czy piętke czerstwego chleba, nie kosztował nawet potraw, które przyrządzał swemu gościowi. Na jego ciele nie było ani grama tłuszczu, jak gdyby odmawiał sobie substancji, której tak bardzo pożałował u innych istot żywych.



Za to w teorii zajmował się każdym aspektem konsumpcji i sztuki kulinarnej. Był chodzącą encyklopedią. Znał niezliczoną ilość przepisów, czasy gotowania, zawartość witamin, techniki tranżerowania, wiedział, jak przechowywać artykuły żywnościowe, pielęgnować noże, znał się na ziołarstwie, marynowaniu, melanzowaniu i macerowaniu. I mimo skrzętnego uwijania się między piecem a stołem przeraźnik zawsze znajdował sposobność, by zabawić Echo jakimś pouczającym wywodem. Krotek dowiedział się, że artykuły żywnościowe można panierować, odparowywać, passerować, poszerować, pralinować, pikować i ucierać. I że przybieranie kury nie oznacza, że na rozkaz przybiera ona na wadze, lecz jedynie nadaje się jej za pomocą nici kuchennej kształtów odpowiednich do przyrządzenia w piecu. Echo nauczył się wszystkiego na temat pielęgnacji naczyń



miedzianych, a także subtelnej sztuki przyrządzania sufletów oraz wczesnocamieńskich technik gotowania na parze w glinianych naczyniach z wodą. Żaden temat nie był zbyt dziwny, żaden artykuł żywnościowy zbyt nieciekawym, żadne zagadnienie zbyt nudne, aby Eisspin nie był w stanie wykrzesać z niego zajmującej iskierki. I zbierał tę wiedzę, wszystkie swoje receptury i pomysły, swe przemyślenia o sztuce kulinarnej i łakomstwie, pisząc grubą księgę, oprawioną w wędzoną skórę świni błotnej. Gdy Echo nie przyglądał się akurat przeraźnikowi podczas gotowania, wertował z upodobaniem to arcydzieło sztuki kulinarnej pełne przepisów, od których ślinka leciała krotkowi z ust.

Ktoregoś wieczoru, a stali akurat przed jedną z kuchennych szafek, Eisspin przerwał nagle obieranie jaja ze skorupki. Odłożył je na bok i pochylił się nad krotkiem. Potem otworzył jedno z dolnych drzwiczek w szafce.

- Mógłbyś do niej zajrzeć i powiedzieć, co znajduje się w środku? - zapytał nakazującym tonem. Krotek wsunął głowę i dostrzegł jedynie nieład trudnych do zidentyfikowania przyrządów kuchennych, pokrytych grubą warstwą kurzu.

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Echo. - Jakież rupiecie.

- Oto - rzekł dudniącym głosem Eisspin - lochy bezsensownych instrumentów kuchennych. Taki loch istnieje zapewne w każdej dobrze urządzonej kuchni. Są w nim przetrzymywani niczym więźniowie wyjątkowo niebezpieczni pacjenci domu wariatów.

Eisspin sięgnął do szafki i wyciągnął z niej dziwnie uformowany przyrząd kuchenny.

- Któryż kucharz - zawołał - *nie* jest w posiadaniu takiego nożyka, przekształcającego rzodkiewki w miniaturowe róże?! Nabytego na niedzielnym targu w chwili niepożyteczności, kiedy po prostu nie jesteś sobie w stanie wyobrazić życia bez nożyka do miniaturowych różyczek.

Cisnął przedmiot w ciemność i wydobył inny na światło dnia.

- Albo ten tutaj, który zamienia ziemniaka w pięciometrową spiralę! Albo ta tutaj praska do wyciskania soku z kalarepy! Albo ta patelnia, na której upieczesz kwadratowe naleśniki.

Eisspin wyciągał przyrządy z szafki, jeden za drugim, podsuwał je Echu pod nos i łykał na nie złowrogo.

- Co skłania do zakupu takich rzeczy? Co zrobić z ziemniaczanej tasiemki, którą dałoby się ozdobić salę balową? Jakież głos obłądu podpowiada, że być może zjawia się kiedyś u nas goście opanowani wilczym apetytem na pięciometrowe ziemniaki, kwadratowe naleśniki i sok z kalarepy?

Przepełniony odrazą Eisspin cisnął przyrzady z powrotem do ich więzienia. Wzbił się kurz, aż Echo kichnął.

- Powstaje teraz pytanie, dlaczego po prostu nie wyrzucić tego wszystkiego na śmietnik? Odpowiem ci i na nie. Zatrzymuje się je z jednego jedynego powodu: z zemsty! Trzymamy je niczym średniowieczni książęta głodzący swych przeciwników w wieżach. Szybka śmierć na stercie śmieci byłaby zbyt łaskawa. Nie, niech gniją w ciemnicy, przekłęci na wieczną bezczynność. To jedyna sprawiedliwa kara dla praski do kalarepy.

Mówiąc te słowa, Eisspin zatrzasnął drzwiczki i przekręcił trzykrotnie klucz w zamku. Potem wrócił znów do kucharzenia, jak gdyby nic się nie wydarzyło.

Od tego dnia Echo patrzył na kuchenną szafkę, a szczególnie jej najniższą część, całkiem innymi oczami. Nie była to już żadna szafka, lecz średniowieczne zamczysko, którego lochy skrywały straszliwą tajemnicę. Często przemykał obok niej, a gdy było całkiem cicho, przytykał ucho do drzwiczek i nasłuchiwał. I czasami wydawało mu się, że słyszy ciche kwilenie godnych ubolewania więźniów Eisspina, błagających swego kata o łaskę rdzewienia na wysypisku.

Doradztwo prawne

Echo na dobre zadomowił się w zamku przeraźnika. Niemal nie myślał już o tym, aby uciec. Był zbyt zajęty jedzeniem, piciem, długimi poobiednimi drzemkami lub przyglądaniem się eksperymentom Eisspina w kuchni i laboratorium. Nie starczało mu nawet czasu na spacerek po mieście, bo sama stara forteca oferowała mnóstwo atrakcji i długich wycieczek.

Jedynie gdy siedział z Fiodorem na dachu i błędził wzrokiem po rozciągającej się w dole krainie, dopadała go czasem tęsknota za tajemniczym królestwem za górami, gdzie miał żyć ten inny gatunek krotów, o którym tak tajemniczo napomknął mu puchacz.

- Powiedziałeś kiedyś, że umowy są po to, aby je łamać - przypomniał sobie Echo podczas jednego z ich konspiracyjnych spotkań. - Co właściwie miałeś na myśli?

Fiodor uniósł ospale powiekę.

- No cóż, dokładnie to, co powiedziałem - odparł.

- Ale to byłoby nielegalne, prawda?

- Naturalnie. Ale najpierw należałoby rozważyć, co jest gorsze: los, który czeka tego, kto dotrzymuje umowy, czy kara, która czeka tego, kto ją złamie.

- Dokładnie o tym samym myślę - powiedział Echo. - Los, jaki czeka mnie po dotrzymaniu umowy, to podejrzenie gardła.

- A jest on nieodpowiedni w świetle dotrzymania umowy - mruknął puchacz - wręcz niesprawiedliwy. A właściwie to niesprawiedliwy jako kara za jakiegokolwiek wykroczenie, które jestem sobie w stanie wyobrazić.

- W rzeczy samej. Zadaję sobie pytanie, jaka kara mnie czeka, jeśli zerwę umowę z Eisspinem? Czy może być równie straszna?

- Hmm - powiedział Fiodor. - Mogę ci to nawet dość dokładnie powiedzieć. Jak sam wiesz, znam się co nieco na justyryce. Istnieje mianowicie precedens w sprawach przeraźnik kontra krotek. W sprawie, którą rozpatrywano przed sądem w Gralsundzie przed dwustu pięćdziesięcioma laty. W tamtym przypadku krotek zobowiązał się poprzez umowę, że do końca życia będzie łowić myszy u pewnego przeraźnika. Lecz u krotka z czasem rozwinęła się alergja na myszy i nie był w stanie wywiązywać się dłużej ze swoich obowiązków. Przeraźnik zaciągnął go przed sąd. Obawiam się, że ta grupa zawodowa generalnie przejawia skłonności do takiego pieniactwa.

- Czy to porównywalny przypadek? - zapytał Echo.

- Można tak powiedzieć. Takie same okoliczności - zerwanie umowy. W twoim przypadku dodatkową okolicznością łagodzącą byłby na pewno fakt, że gra toczy się o twoje życie. A w ciągu ostatnich dwustu pięćdziesięciu lat prawodawstwo stało się nieco bardziej librealne. Nie wiem nawet, czy legalne jest dzisiaj to, czego wymaga od ciebie Eisspin.

- Jak skończyła się ta sprawa?

- Krotek został skazany.

- A więc jednak! Na jaką karę?

- Tydzień w klatce w schronisku dla zwierząt. O chlebie i wodzie.

- To wszystko? Tylko na jeden tydzień?

- To była klatka dla psów.

- Och - jęknął Echo.

- No cóż, dobra wiadomość jest taka, że krotek przeżył. Brakowało mu potem jednego ucha, nogi i ogona, ale żył jeszcze do późnej starości. Jak wspominałem, to wydarzyło się już jakiś czas temu. To były barbarzyńskie czasy, które znacznie przyczyniły się do zdziesiątkowania twojego gatunku. A w twoim przypadku istotne są również okoliczności łagodzące - jak chociażby stan osłabienia, w którym znajdowałeś się podczas podpisywania umowy, a być może nawet stan niepoczytalności. W rachubę wchodziłby nawet wyrok

uniewinniający. Bardzo wątpię, aby w dzisiejszych czasach znalazł się w ogóle jakikolwiek sędzia, chcący wszcząć postępowanie z takiego powodu.

- I mówisz mi to dopiero teraz? - zawołał Echo. - Co ja tu jeszcze robię? Dlaczego po prostu nie zwieję?

Fiodor rozłożył skrzydła.

- No cóż, jesteś tutaj, żeby napchać sobie żołądek, jak mniemam. Najwyraźniej sprawia ci to niewymowną przyjemność.

- Tak, tak - Echo machnął łapką z zakłopotaniem. - Wiem, że przybrałem trochę na wadze. Nie musisz ciągle robić do tego przytyków.

- Jeśli chcesz kiedykolwiek wyplątać się z tych tarapatów, byłoby lepiej dla ciebie, abyś był w formie. Może nadejść taka chwila, kiedy będziesz musiał być mocny w nogach i dysponować dobrą kyndocją. Umowa nie mówi przecież nic o tym, że musisz zjadać wszystko, co podsuwa ci Eisspin, prawda?

- Nie - przyznał z zawstydzeniem Echo.

- No właśnie. Pożuj znów trochę ziółek! Zrezygnuj z tłustych rzeczy, jedz tylko zdrowe przystawki! Też nie należę do najszczuplejszych, ale przynajmniej żywię się rozważnie. Chociażby śniadanie jem zawsze tylko wetegariańskie. Jedną jagodę jałowca, parę źdźbeł trawy, orzecha laskowego i trzy poziomki. Okazało się, że ten zdrowy początek dnia dobrze wpływa na mój sestym trawienny.

- Zapamiętam to sobie - obiecał Echo.

- Straciliśmy wątek - powiedział Fiodor. - Pytasz mnie, dlaczego by po prostu nie zwiać? Dlaczego by nie gwizdnąć na umowę i nie uciec w szeroki świat?

- Właśnie! Co mnie przed tym wstrzymuje?

- Możesz przecież spróbować - wyszeptał Fiodor.

- Dlaczego spróbować? Co może być w tym trudnego? Nie jestem w zamknięciu. Mogę w każdej chwili wziąć nogi za pas, kiedy Eisspin będzie zajęty.

- W takim razie spróbuj!

- Mówisz to takim dziwnym tonem.

- Życzę ci dużo szczęścia!

- A co niby mógłby zrobić? - zapytał Echo. Przecież nie potrafi czarować ani nic podobnego. Jest tylko przeraźnikiem. Nie rozumiem nawet, dlaczego wszyscy tak śmiertelnie się go boją. I nawet jeśli przytyłem parę funtów, to nadal jestem szybszy od niego. Szybszy niż ktokolwiek w Sledwai.

- W takim razie koniecznie powinieneś spróbować. Masz moje błogosławieństwo.

- Zniknę pod osłoną nocy, a potem pójdę przez góry.

- Pozdrów je ode mnie!

Echo spojrział na Fiodora podejrzliwie.

- Znów się pojawiła ta dziwna nuta w twoim głosie.

- Mówię jedynie - odpowiedział Fiodor - że ma on swoje sposoby i nic nie wskórasz ani swoją wolą, ani życzeniem. Nie oznacza to, że nie powinieneś spróbować.

- Zwieję! Jeszcze zobaczymy, prawda? - powiedział hardo Echo.

- Musisz zrobić to, czego nie możesz odpuścić - powiedział Fiodor i westchnął raz jeszcze głęboko. Puchacz długo patrzył na Echo swym wilgotnym spojrzeniem i dodał - lecz czasami musisz odpuścić to, czego nie jesteś w stanie zrobić.

Wąchacja, słuchacja, smakowatsja

Gdy Echo wszedł tego wieczoru do kuchni, najpierw rzuciły mu się w oczy poustawiane gęsto na stole pootwierane butelki wina i szklanki. Równie niezwykle był fakt, że piec stał nieużywany i nie było też talerzy z parującymi potrawami, jedynie parę deseczek z najróżniejszymi rodzajami sera i chleb. Poza tym Echo zauważył delikatną czerwień na policzkach Eisspina, która nadała mu nieco mniej upiorny wygląd, niż miał zazwyczaj.

- Pokażę ci dzisiaj, jak degustować wino! - powiedział Eisspin. Mówił nieco głośniejszym głosem niż zwykle, również o wiele wolniej, niemal tak, jakby mówienie kosztowało go dziś o wiele więcej wysiłku. - Jeśli masz stać się smakoszem, musisz również znać się nieco na szlachetnym soku winorośli - wziął jedną z otwartych butelek i nalał z niej odrobinę czerwonego wina do jednej z siedmiu kryształowych salaterek, jakie stały na stole. Potem wziął drugą butelkę i nalał nieco białego wina do drugiej salaterki.

- Nigdy jeszcze żadnego nie piłem - odpowiedział Echo po wskoczeniu na stół. Z ciekawością obwąchał podane wino. - Nie wiem nawet, czy jestem w stanie to przeżyć.

- Krotki mają dwie wątroby. Dasz radę - powiedział Eisspin i kontynuował napełnianie salaterek winem, każdą innym gatunkiem.

- Co to właściwie za sok? - zapytał Echo. - Moja pańcia nigdy takiego nie piła. Dlaczego jest czasem jasny, a czasem ciemny? Jak coś może być tym samym, jeśli tak bardzo się od siebie różni?

- Wino - powiedział uroczyście Eisspin - jest płynnym słońcem do picia. Wino jest najpiękniejszym wiosennym dniem twojej młodości, zamkniętym w jednej butelce. Wino

może być muzyką w kieliszkach. Ale czasami wino jest tylko kwaśnym octem w zatęchłej dętce. Jesiennym deszczowym wieczorem w brudnym kubku. Zakorkowanym konduktem żalobnym na poparzonym języku.

Wino może być najwyraźniej wieloma rzeczami - pomyślał Echo.

- Wino - ciągnął Eisspin - może ofiarować ci najbardziej upajające natchnienie twego życia, może jednak również całkowicie pozbawić cię rozumu. Z całą pewnością o winie można powiedzieć jedno.

- A mianowicie?

- To, że dobre wino jest dość drogie! - roześmiał się Eisspin. - Do dzieła! Rozpoczynamy degustację.

Bez względu na to, co Eisspin mówił o winie, jedno było pewne - już go trochę wypił. Ten szczególny sok zdawał się go w jakiś sposób zmieniać, Echo nie wiedział jednak jeszcze, czy na lepsze, czy na gorsze. W głosie przeraźnika rozbrzmiało coś nieobliczalnego, co zupełnie nie pasowało do jego tradycyjnego opanowania.

Eisspin napełnił kieliszek czerwonym winem i podniósł go do góry.

- Po pierwsze: obserwacja! - zawołał i przysunął kieliszek bardzo blisko twarzy, wlepił w nie wzrok, mrużąc lewe oko.

- Oko pije razem z nami! - powiedział. - Znaczący może dzięki temu wywnioskować, czy chodzi o czerwone, czy o białe wino. Główna zasada: jeśli wino jest przezroczyste i lekko złotawe, wtedy może wchodzić w rachubę wino białe. Jeśli jest jednak atramentowe, czerwone i nieprzeniknione dla wzroku, ewentualnie może to być wino czerwone. Jeśli zaś jest różowe i jasne, mamy do czynienia z winem różowym - hermafrodytą wśród win.

Wino zdawało się mieć dobry wpływ na przeraźnika. Po raz pierwszy chyba nie zachowywał się w obecności krotka całkiem poważnie.

Echo obwąchał wino w pierwszej salaterce. Było ciemnoczerwone i pachniało oszałamiająco. Wsadził w nie język, chcąc upić łyczek, ale odskoczył jak oparzony.

- Faj! - powiedział i skrzywił pyszczek.

- Co jest? - zapytał Eisspin.

- To smakuje dziwnie. Tak kwaśno.

- Kwasota i na ucztę ochota! Można się do tego przyzwyczaić. Pierwszy łyk wina nigdy nie smakuje. Najważniejsze to się przełamać. Do dna! Pragnienie przyjdzie w miarę picia!

Echo wypił z obrzydzeniem parę łyżek. Broman knilsza też z początku smakował dziwnie, a potem... zrobiło mu się ciepło, najpierw w żołądku, potem w głowie. To było piękne. Posłusznie wychłptał salaterkę do dna.

- Po drugie: wachacja. - Eisspin włożył swój ostry nochal do kieliszka i sapnął z rozkoszą. - Teraz następuje olfaktoryczna analiza wina. Aaaach! Aaach! Czy pachnie kwiatami brzoskwini, rzuconymi w gaj oliwny powiewem wiosennego wiatru? Świeżo rozkrojonym grejpfrutem? Ciastem z bakaliami i musem waniliowym, jak to tutaj? Twoja pańcia wiele straciła, rezygnując całkowicie z wina. Nie sądzisz?

- W rzeczy samej! - potwierdził Echo, który dotarł już do drugiej salaterki. Wino nie smakowało już tylko i wyłącznie kwasotą. To kolejne było raczej owocowe, jak słodki kwasek dojrzałych malin. Teraz ciepłe były również jego uszy.

- I jak? Już lepiej smakuje? - zapytał Eisspin.

- Szmakuje przepysznie! - powiedział Echo. Szmakuje? Czy powiedział właśnie smakuje?

Eisspin wychylił swój trunek jednym haustem i od razu nappełnił nowy kieliszek winem z kolejnej butelki. Znów włożył do niego nos, wciągając jego aromat. Jednakże szybko odsunął naczynie, wykrzywiając się z obrzydzeniem.

- A może pachnie toczoną kornikami strugnicą? Albo ścierką do butów marynowaną w maślanie? Skarpetką chorego na grzybicę żołnierza piechoty bagiennej? Albo potem spod pach martwego leminga, jak ta tutaj pomyłka? Niszczy aromaty wtórne. Świadczy o kiepskiej fermentacji. Precz z tym! - I przeraźnik wylał wino na podłogę.

Echo dziwił się rosnącemu rozswawoleniu Eisspina. Staruch jeszcze nigdy nie zachowywał się tak swobodnie.

- Aromty wtórne? - zapytał Echo i zdumiał się, że niektóre litery najwidoczniej przyklejają mu się do podniebienia.

- Aromaty podstawowe są aromatami własnymi wina - wykladał Eisspin. - Aromaty wtórne powstają podczas fermentacji. A aromaty trzeciorzędne podczas dojrzewania w beczce. Wszystkie razem tworzą jego bukiet. Jego kwiat.

Wino ma też swój kwiat? - zdumiał się Echo. Naprawdę był to wszechstronny napój. Im więcej wychłptał z salatek tego czerwonego soku, tym większy spokój i zrelaksowanie odczuwał, co przypominało mu przyjemną fazę tuż przed zaśnięciem. Z tą różnicą, że nie odczuwał teraz potrzeby zaśnięcia. Czuł się rześki.

- A teraz - powiedział Eisspin - przechodzimy do słuchacji. Wziął czysty kieliszek, rzucił wybrednym wzrokiem na etykiety butelek stojących na stole i nalał sobie wyjątkowo

ciemnego czerwonego wina.

- Wino powierza swe najskrytsze tajemnice prawdziwemu znawcy - wyszeptał i pstryknął palcem w wypełniony do połowy kieliszek. Rozległ się wysoki dźwięk.

Eisspin uniósł naczynie blisko ucha i słuchał z uwagą.

- To wino pochodzi z Winal, największego obszaru upraw winorośli w Camonii. A mianowicie z pewnej góry, która cieszy się złą sławą.

- To ci właśnie powiedziało? - Echo nasłuchiwał przy swojej salaterce, ale niczego nie słyszał.

- Nie tylko to! - wyszeptał Eisspin. - To wino zna mroczne tajemnice. Złe, złe rzeczy. Jego pamięć sięga wielu stuleci wstecz. Przypisuje mu się pokrewieństwo z legendarnym Winem Komety*.

Eisspin jeszcze mocniej przycisnął ucho do kieliszka.

- Słuchaj, słuchaj! - wołał - Otchłanie winnego wzgórza, na którym wyrastało, skrywają straszliwą tajemnicę.

Echo podbiegł do krawędzi stołu i o mało nie upadł, gdyż z jego zmysłem równowagi nie było tak dobrze jak zazwyczaj. Cofnął się o krok od skraju stołu i nadstawił uszu.

- Już od dawna - rozpoczął niskim głosem Eisspin - zadawano sobie w tych stronach pytanie, gdzie też znikają kobiety zbierające winogrona, które ledwo rozpoczynając pracę, najwyraźniej rozplywały się w powietrzu. W ciągu paru lat zniknęło ich kilkadziesiąt. Przebąkiwano o Straszliwym Winogrońcu, istocie będącej w połowie drapieźnikiem, w połowie rośliną, która krążyła po wzgórzu po zmierzchu, porywając bezbronne zbieraczki. To tu, to tam znajdowano kosze z winogronami, ale po pracownikach nie było ani śladu. Zaczęto więc polować na Winogrońca. Rozkładano pułapki na wilkołaki, kopano doły, w których rozmieszczano ostre włócznie, a po zmroku wzgórze patrołowały uzbrojone oddziały. Przeszukano wszystkie jaskinie w okolicy. Jednak nie znaleziono Straszliwego Winogrońca ani żadnych ciał czy śladów. Spalono parę przeraźnic - były to jeszcze chlubne czasy palenia przeraźnic! - rozmarzył się Eisspin - lecz to również nie pomogło, pracownice w dalszym ciągu znikły bez śladu.

Eisspin zamilkł.

- No i? - zapytał zaciekawiony Echo.

- Nic i. Oto ta historia.

- A tajemnica? A straszliwa tajemnica?

* Patrz *Miasto Śniących Książek*, rozdział „Koncert trąbuzonowy”. Przep. Walter Moers

- Chwileczkę! - powiedział Eisspin i uniósł rękę w uspokajającym geście, ponownie nasłuchując z uchem przy kieliszku. - Wino właśnie mi ją opowiada.

Eisspin długo milczał, od czasu do czasu poważnie kiwał głową, a na koniec zerwał się przerażony.

- Nie! - zakrzyknął.

- Co się stało? - wysapał Echo, biegnąc w podnieceniu po stole. - Co powiedziało? Co? Co?

Eisspin zasłonił sobie ręką usta i zdawał się oniemieć ze strachu.

- Nie wiem - powiedział po chwili - czy mogę ci to opowiedzieć. To zbyt przerażające.

- A co tam! Opowiadaj! Zrób to! Proszę! - błagał Echo.

- No dobrze, jak chcesz, ale ostrzegałem, że nie jest to piękna historia.

Eisspin odstawił kieliszek.

- A więc... - rozpoczął wreszcie - tajemnicę owego niesławnego winnego wzgórza zna jedynie to oto wino. Roślina, z której go wytłoczono, jest pamięcią tego wzgórza. Jego mózgiem. Systemem nerwowym. Wino niczego nie widzi, ani nie słyszy, lecz jego winorośle odczuwają każde poruszenie, a jego korzenie badają wnętrze wzgórza. Czuje ręce pracownic, uwalniające je od ciężaru winogron, zna każdego robaka w swym podziemnym królestwie. Rozpoznaje ręce właściciela winnicy, które zawsze muskały jego liście, aby sprawdzić, czy są wolne od szkodników. Swymi korzeniami spijał spadający na ziemię deszcz, a któregoś dnia - napił się krwi.

- Krwi? - zapytał Echo.

- Tak, krwi. Na wzgórzu rozlano jej całe litry. A przy winoroślach działy się dziwne rzeczy. Tam, gdzie zazwyczaj pilne ręce zrywały winogrona, dochodziło nagle do walki.

- Walki? Jakiej walki?

- No cóż... ciała dociskano do winorośli, dłonie chwytały w rozpaczny pędów - wino ani tego nie widziało, ani nie słyszało, ale czuło, że zaraz w pobliżu jego liści ktoś został zamordowany. A potem znów krew, litry krwi.

Eisspin teatralnie odwrócił się plecami do Echa.

- I tak działo się latami. Co rusz walka wśród pędów latorośli, a potem litry krwi, wsiąkającej w ziemię. Następnie długi spokój, całymi miesiącami, a potem znów walka i krew. Wino przez cały ten czas wypełniało jednak swe roślinne obowiązki, rozrastało się, wyciągało pędy, wypełniało swe owoce sokiem, spijało deszcz, a czasem krew. A pod ziemią królestwo jego korzeni sięgało coraz szerzej i głębiej. Tak głęboko, że któregoś dnia dotknęło tego, co stanowiło najstraszliwszą tajemnicę winnego wzgórza.

Eisspin ponownie się odwrócił. Jego oczy patrzyły nieruchomo.

- Były tam trupy kilkudziesięciu kobiet, w najróżniejszych stadiach rozkładu - zamordowanych zbieraczek winogron. Zagrzebane w winnym wzgórzu, jedna obok drugiej.

Echo przysiadł na tylnych łapach. Zrobiło mu się niedobrze.

- A wino rozmyślało i rozmyślało, zastanawiało się nad tą potworną zagadką. Aż któregoś dnia pomiędzy winoroślami znów rozgorzała walka. Ktoś chwycił za jego liście i wino rozpoznało jedną z kobiet, która często oswobadzała go z przejrziałych winogron. Jej uchwyt był z początku silny, pełen rozpaczy, potem rozluźnił się, stał się wiotki - i ponownie któraś została zamordowana! Potem jednak to samo miejsce uchwyciła inna ręka, a wino rozpoznało w niej chropowatą łapę właściciela winnicy. I tak wszystko złączyło się w całość: To właściciel winnicy, pan winnego wzgórza we własnej osobie krążył tu i mordował. A gdy chwilę później w ziemię ponownie wsiąknęła krew, wino domyśliło się również motywu. Właściciel winnicy nawoził ziemię krwią i trupami, aby osiągnąć lepsze zbiory.

Echo zaciekawiony nie mógł usiedzieć na miejscu.

- I co dalej? Co dalej? - ponaglał przeraźnika.

- Cóż - westchnął posępnie Eisspin. - Cóż mogło zrobić wino? Było jedynie nieszkodliwą rośliną użytkową, produkującą winogrona, rodzącą pędy i listowie i wspinającą się po tyczkach. Jednak nieustannie zastanawiało się, w jaki sposób może pomóc, bo przecież tylko ono znało okoliczności i być może było w stanie przerwać spiralę przemocy i krwi. A częstotliwość mordów nie osłabła, zdarzały się wręcz coraz częściej.

Echo zamknął oczy, aby wyobrazić sobie krajobraz winnego wzgórza, ale zakręciło mu się w głowie, dlatego otworzył je ponownie.

- Im bezwzględniej właściciel winnicy mordował, im bardziej nawoził ziemię krwią, wino odczuwało coraz mocniej, że samo zaczyna ulegać przemianie. Rosło szybciej i było coraz wytrzymalsze, ku radości swego krwiożerczego właściciela rodziło coraz więcej, dając coraz okazalsze i słodsze winogrona. Jego pędy stawały się mocniejsze, liście większe, tłoczone wino coraz lepsze i lepsze, a właściciel coraz bogatszy. Choć jego plan wydawał się szalony, najwyraźniej się powiódł. Krew zamordowanych zbieraczek pulsowała w winoroślach. Ale też - o czym morderca nie miał pojęcia - z dnia na dzień rósł w nich w siłę łaknący zemsty duch. Winorośla obrosły wzgórze niczym puszcza. Nie nadążano już ze stawianiem coraz większych tyczek, aby sprostać żądzy wzrostu tej rośliny. Wino wyrzucało pędy w powietrze i przeszywało korzeniami ziemię. Dróżki zarosły, a pracownicy z trudem przeciskali się między liśćmi, zrywając dorodne owoce. Skryty w gąszczu morderca miał coraz więcej swobody w podstępym mordowaniu i zagrzebywaniu swych ofiar. Na

przeklętym wzgórzu pracowały jedynie najbiedniejsze z biednych, którym nie pozostało już nic innego, a niemal każdego tygodnia znikła kolejna kobieta.

Eisspin zamilkł na chwilę, jak gdyby musiał zaczerpnąć sił przed przedstawieniem kolejnych, jeszcze bardziej przerażających szczegółów.

- Winnicznik wybrał się któregoś dnia ponownie na łowy. Był ostatnią osobą, którą ktokolwiek mógłby podejrzewać, zbyt przekonująco uważał się publicznie nad utratą siły roboczej, a nikt nie domyślał się straszliwego związku pomiędzy morderstwami a rozwojem winorośli. Zapadał zmierzch. Winnicznik wszedł na wzgórze. Ucieszył się niezmiernie, widząc, że rośliny rozrastają się bujniej niż kiedykolwiek. Zerwał owoc i skosztował go, był jędrny, słodziutki i dwa razy większy niż zwyczajne winogrona. Potem pogładził dłonią liść, by sprawdzić, czy nie ma szkodników. Wydawało mu się, że roślinę przebiegł lekki dreszcz w chwili, kiedy jej dotknął, ale odsunął od siebie tę myśl. Roślina nie poruszała się tak szybko, aby można było to dostrzec. Uniósł parę liści, żeby sprawdzić, czy przypadkiem jakieś zwierzę nie spowodowało tego ruchu, ale niczego nie było.

Eisspin zaczął teraz przechadzać się w tę i z powrotem.

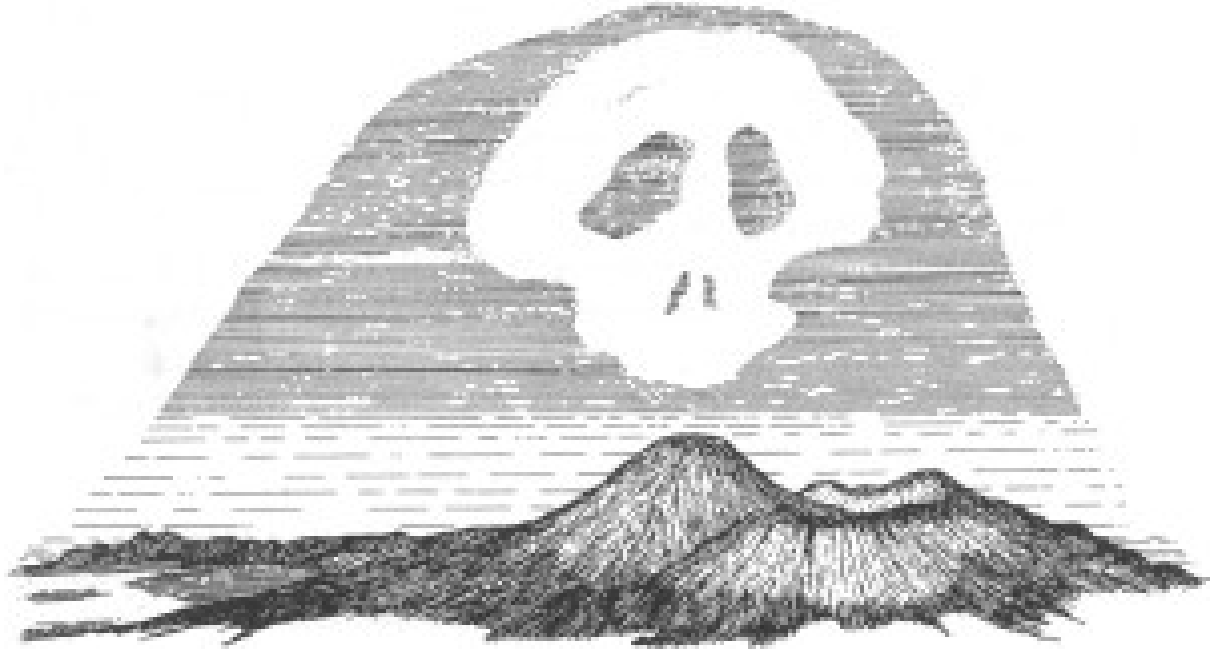
- Morderca z zadowoleniem wszedł wyżej na wzgórze, coraz bardziej zanurzając się w cieniu zmierzchu i poszukując kolejnej ofiary. I szybko ją znalazł, młodą zbieraczkę pracującą u szczytu wzgórza, wystarczająco daleko od pozostałych, aby mógł w spokoju dokonać swego krwawego dzieła. Drgnęła z przestachu, gdy się przed nią pojawił, ale widząc pracodawcę, spokojnie wróciła do pracy. Winnicznik zerwał parę pędów, by ukreślić je w powróż, którym zamierzał udusić swą ofiarę - perfekcyjne narzędzie zbrodni, które wystarczyło później tylko wrzucić w zarośla. Nagle stopa zaplątała mu się w bujnie rozrośniętą winorośl. Zniecierpliwiony szarpnął nogą, aby się uwolnić.

Pędy naprężyły się jednak coraz mocniej, a kolejne owijały się wokół jego kostki. Pojął wreszcie, że coś jest nie tak. Wydał z siebie przerażający krzyk. Zbieraczka uniosła głowę w przestachu. Gdy zobaczyła swego chlebodawcę z pętlą w ręce, rozpoznała w nim poszukiwanego mordercę. Zerwała się na równe nogi i uciekła. Winnicznik chciał za nią pobic, ale pędy trzymały go mocno niczym żelazne kajdany. Winorośl owijała się już wokół nadgarstków, jego ramion i nóg, a wyjątkowo silny powróż okręcał się wokół jego gardła. Pod nim, niczym grób, otworzyła się ziemia. Korzenie wiły się w górę, na ustach mordercy wylądował wielki liść, aby zdusić jego wrzaski. Porwało go w dół, spadł na niego deszcz ziemi i liści, kamyków i gałęzi, a korzenie owinęły się wokół niego niczym kokon.

A potem mordercy ukazały się zamordowane kobiety. Wynurzyły się z ziemi niczym ze wzburzonego morza, w najróżniejszych stanach rozkładu. Korzenie unosiły i opuszczały

ich ciała, wymachując ich kończynami. Odnosiło się wrażenie, jakoby znów ożyły. Właściciel winnicy pojął, że dosięgnęła go zemsta. Coraz bardziej pogrążał się w narastającej wokół ciemności, aż tłusta ziemia zamknęła mu wreszcie oczy.

Eisspin zamilkł.



- To wszystko opowiedziało ci wino? - zapytał Echo.

Przeraźnik chwycił odstawiony kieliszek i uniósł go w górę.

- Tak, to właśnie zrobiło - powiedział. - To bardzo chętne do rozmowy wino. Była to wprawdzie dość okropna historia, co wcale nie oznacza, że wino musi być równie złe.

Mówiąc te słowa, Eisspin wychylił zawartość szkła. Echo udał się w kierunku swojej salaterki, aby również nieco się wzmocnić. Mdłości, które go ogarnęły, uleciały całkowicie.

- A teraz - zawołał wesoło Eisspin - kontemplacja. - Napełnił winem kolejny kieliszek.

- To jeszcze nie wszystko? - zdziwił się Echo.

- Teraz nawiążemy z winem kontakt telepatyczny! I wyszarpiemy mu ostatnie tajemnice! Poznamy jego zalety filozoficzne. Dowiemy się, czy to trunek optymistyczny, czy raczej pesymistyczny. Błyskotliwy czy ograniczony. Twórczy czy tępy. W co wprowadzi cię jego spożycie - w afirmującą życie euforię czy melancholijne dywagacje? Czy to jedno z tych podsuwających precyzyjne przemyślenia o logice ostrej jak brzytwa? Czy raczej budzących tłumione żądze, mogące znaleźć finał w knajpianej bijatyce? Na to pytanie może odpowiedzieć jedynie najbardziej ulotny składnik wina - jego dusza. Alkohol.

Spojrzenie Eisspina zamglilo się i zachwiało się lekko. Wrócił znów do rzeczywistości i swego ulubionego tematu substancji ulotnych. Echo miał już obawy, że za chwilę rzuci się z powrotem w wir pracy. Lecz zamiast tego wypił po prostu swój kieliszek do dna.

- Aach! - sapnął. - Jednoznacznie optymistą z tego wina! Pięknoduch i wolnomyśliciel. Parę jego skrzynek wstawiłoby się chętnie do piwnicy - powiedział, a potem z rozmachem rzucił kieliszek w kominek, gdzie roztrzaskał się wśród płomieni.

Tu naprawdę robi się wesoło - pomyślał Echo i uraczył się zawartością kolejnej salaterki. Jego uczucie podekscytowania przeradzało się już niemal w euforię.

Eisspin nalał sobie ciemnego czerwonego wina tak hojnie, że się przelało.

- A teraz - zawołał - smakowacja!

Wypił je szybko jednym haustem, a ściekający po kołnierzu czerwony płyn wcale mu nie przeszkadzał, by je smakować. Jeden łyk zatrzymał w ustach na chwilę, przesadnie długo przeżuując.

- Aaaach! Dość młode, ale już ma charakterek! Mocny kręgosłup orzechowo-truskawkowy - mdławce, ale w szlachetny, ziemisty sposób. Nuta lukrecji rozbrzmiewa długo na czubku języka, żeglując następnie w głąb przełyku. Dojrzały ton smakuje niczym dobrze znana melodia wykonana na starych skrzypcach. Nieodłączna brzoskwinia, czająca się w każdym rodzaju czerwonego wina, ale panierowana w kruchym keksie. Jest i wosk. Świeży śnieg. Korzenne herbatniki. Niewiele finezji, za to czupurny kwas, nieco barczysty na krawędzi, ale prawidłowo wbity w drewno. Czuję młodą skórę, zardzewiałe żelazo, mokry dywan, kit do uszczelniania okien i jodłowe igły. Czuję też pieczeń z gęsi i pudding jeżynowy mojej zmarłej babci. Ciało ma objętość, nie określiłbym go jednak słowem grube, raczej korpulentne, z o wiele za dużymi stopami. Finisz wygładzony śladem oliwy, tak szerokim i długim niczym dźwięk prastarego dzwonu umarłych, rozbrzmiewający pod podziemnym sklepieniem katakumb, w których pości siedmiuset nagich krasnoludów.

Eisspin cisnął w ogień również ten kieliszek i chwycił - najwyraźniej kierowała nim spontaniczność - za leżące na regale dudy. Ustawił się wraz z instrumentem przed jednym z otwartych okien i zaczął napompowywać worek powietrzem. Kuchnię wypełniły pierwsze jęczące dźwięki.

Echo przygotował się na najgorsze. Przebieg zdarzeń groził zwrotem w dość nieprzyjemnym kierunku. Jeszcze w Sledwai Echo był zmuszony przecierpieć niejedną z takich koncertów przeraźnika. Nawet z tamtej odległości były one nie do zniesienia. Teraz jednak będzie musiał wytrzymać to z bliska i poważnie obawiał się o swój rozum.

Po pierwszych dźwiękach obawy Echa się rozwiały. Były tak czyste, tak piękne i melodyjne, iż krotek nie mógł wprost uwierzyć, że wydobywają je z siebie dudy. Eisspin wycisnął z tego instrumentu dźwięki pasujące raczej do fletu poprzecznego, a niektóre niemal do harfy. Echo zaczął tańczyć na stole, nie był w stanie dłużej się powstrzymać. Również Eisspin zaczął poruszać stopami, stukając do taktu żelaznymi płytkami, przymocowanymi do spodu jego butów.

Echo zeskoczył ze stołu i razem z przeraźnikiem zaczęli skakać i pisać po całej kuchni, oddając się dzikiemu i swawolnemu tańcowi. Gra Eisspina stawała się coraz głośniejsza, stukot jego butów coraz dynamiczniejszy, a Echo podskakiwał niczym szalona sprężyna. Tańczyli swą szaloną tarartelę, aż Eisspin niespodziewanie przerwał grę i całkowicie wyczerpany opadł na krzesło. Echo także poczuł, że nadwerżył siły. Położył się na podłodze jak długi, przekręcił na plecy i gapił w sufit. Dziwne - pomyślał - pokój powoli się obraca.

Po krótkim odpoczynku Eisspin zerwał się gwałtownie, popatrzył na krotka szklistym wzrokiem i chwiejąc się, potoczył w stronę wyjścia.

- He! Gdzieśz idziesz miszczuniu? - bełkotał Echo. - Dopieroższ co zrobiło się weszło.

- Oddalam się na tę część degustacji, podczas której nawet najbardziej towarzyski znawca win musi przebywać sam - odkrzyknął Eisspin.

- To jest jeszcze jakaś część? - zapytał Echo.

- Tak, ubikacja! - wychrypiał przeraźnik i powiewając peleryną, zniknął w drzwiach kuchennych.

Echo pozostał na podłodze i szczerząc idiotycznie zęby, przysłuchiwał się śmiechowi oddalającego się Eisspina. Ten stary sęp nie wydaje się wcale taki zły - pomyślał jeszcze, zanim opadły mu powieki i zapadł w pijacki sen, pełen słodkich jak winogrona marzeń.

Drzewo Orzechowienia

Echu z ogromnym trudem udało się otworzyć posklejane oczy, a gdy wreszcie zaczął widzieć wyraźniej, zobaczył wpatrującego się w niego bez wyrazu i w milczeniu Eisspina. Przez kuchenne okno wpadało jasne światło słońca, był wczesny ranek. Przeraźnik stał nieruchomo, jakby go zamurowało. Wyglądał jak jedna z jego wypchanych mumii. Rozbudzony tym niesamowitym widokiem, Echo przekręcił się na bok - i w tej samej chwili tego pożałował. Całą noc przeleżał na plecach, dokładnie tak jak zasnął, i wszystkie mięśnie i ścięgna zareagowały na ten gwałtowny ruch skurczem oraz bólem. Ociężale zaczął się zbierać z podłogi.

- Zakładam, że chwilowo nie masz za bardzo ochoty na jedzenie? - pozdrowił go zimno Eisspin. Znów wśliznął się w skórę niedostępnego przeraźnika i wyglądał, jak gdyby pijatyka nie skutkowała w jego przypadku żadnymi objawami. - Dlatego przygotowałem ci jedynie skromny posiłek, mam nadzieję, że ci podejdzie.

- No dobrze - stęknął Echo, któremu kołysała się podłoga pod nogami, kiedy próbował poruszać się po kuchni. - Nie jestem głodny.

- Tak przy okazji, to, co właśnie przeżywasz, nazywane jest porządnym kacorem - powiedział Eisspin.

Echo nie odpowiadał. Głos przeraźnika brzmiał w jego uszach nieprzyjemnie głośno.

- Śniadanie stoi na stole. Radzę ci, abyś w ciągu dnia, kiedy wróci ci apetyt, obsłużył się sam na dachu. Muszę dzisiaj wykonać parę ważnych, niecierpiących zwłoki eksperymentów.

- No dobrze - mruknął Echo i z trudem wspiął się po krześle na stół, zamiast wskoczyć, tak jak zwykle, jednym wysokim susem. Kiedy stękając, dotarł na górę, stał tam jedynie talerz z trzema pokurczonymi orzechami i miseczką ciepłego mleka.

- Orzechy? - zapytał naburmuszony Echo.

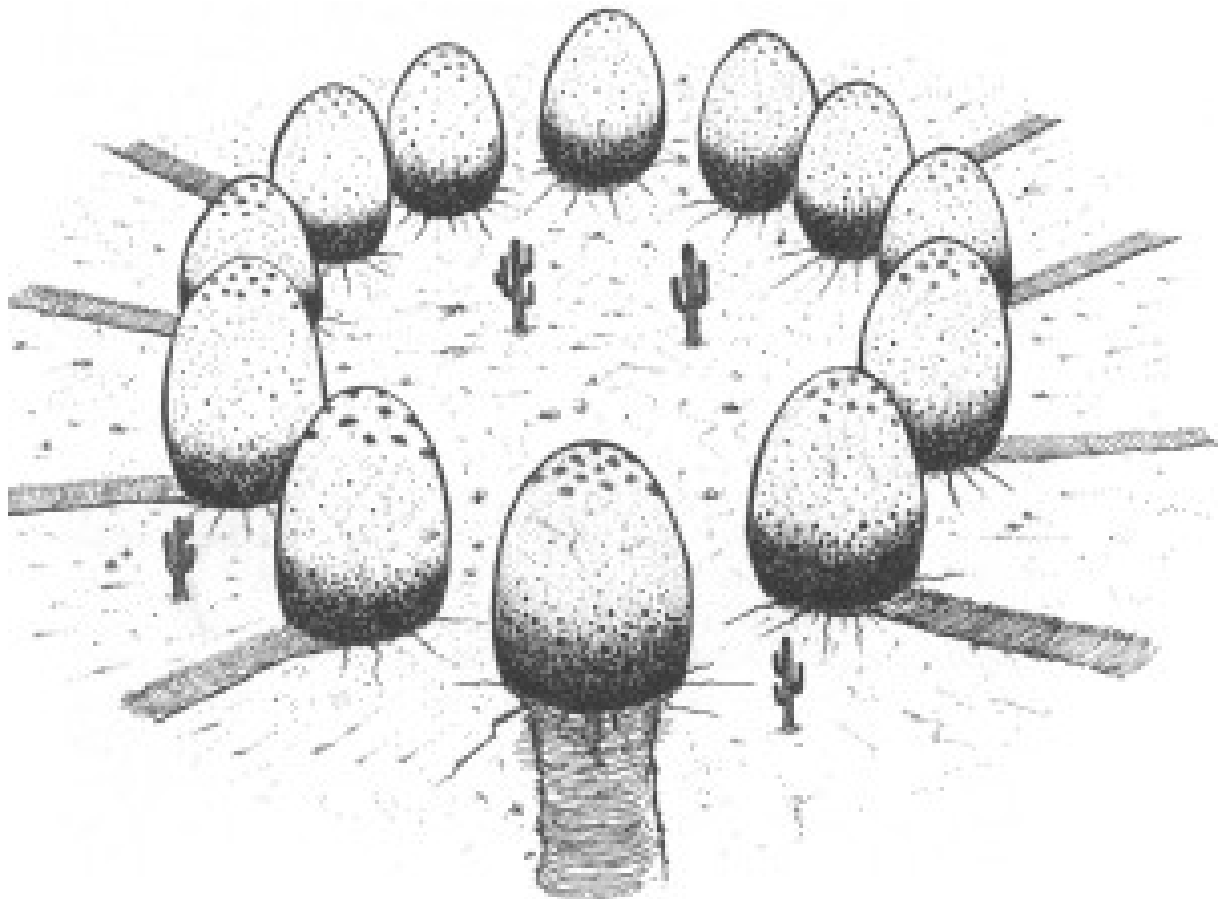
- To nie są żadne zwyczajne orzechy - odpowiedział Eisspin. - To orzechy orzechowienia. Z Drzewa Orzechowienia.

- Acha - powiedział Echo i niechętnie zaczął je przeżuwać. Nie smakowały niczym, nawet orzechami.

- Drzewo Orzechowienia rośnie w Dolinie Dumających Jaj - wyjaśnił Eisspin. - To zbliżona wyglądem do pustyni nizina w pobliżu Gór Demonów. Dokonuje się na niej

pomiarów najwyższych temperatur w Camonii - o ile jest się na tyle szalonym, żeby przekraczać ją latem. Dokładnie na środku doliny stoi dwanaście olbrzymich jaj, sięgających wyżej niż korony drzew. Stoją w idealnym okręgu, a jak twierdzą niektórzy astronomowie, za pomocą jego koordynat można zmierzyć cały wszechświat.

Nikt nie wie, w jaki sposób znalazły się tam jaja, lecz długie ślady, które zostawiły w piasku pustyni, podpowiadają, że poruszały się o własnych siłach. Ornitologiczna teoria natomiast głosi, że złożyły je gigantyczne ptaki i że któregoś dnia wykluje się z nich coś nieprzewidywalnego. Jaja wydają z siebie mruczenie, jak gdyby bardzo intensywnie się nad czymś zastanawiały. Stąd też ich nazwa.



- A co mają wspólnego z orzechami? - zapytał Echo po przełknięciu suchych okruchów.

- Cóż, przypuszcza się, że intelektualne promieniowanie, jakie bije od Dumających Jaj, dosłownie nawoziło spore obszary doliny. Niektóre z żyjących tam zwierząt mówią tak dobrze jak ty. Mam kaktusa pochodzącego z tamtej okolicy, z którym telepatycznie grywam w szachy, a on wygrywa za każdym razem! Na twórczą glebę spadł więc któregoś dnia

orzech. Nikt nie wie, skąd się wziął, być może upuścił go wędrowiec albo przelatujący ptak. Może zaś był małym meteorytem z kosmosu. Wiadomo jedynie, że musiało wówczas porządnie padać, ponieważ zapuścił w glebie pustyni korzenie i rozwinęło się z niego Drzewo Orzechowienia. Jest to drzewo o krwawoczerwonym drewnie, niemające odpowiednika w całej Camonii. Rozrosło się potężnie wzdłuż i wszerz, i wypuściło śnieżnobiałe liście, które bardzo orzeźwiają umysł, kiedy się je żuje. Drzewo zasiedlili druidzi i żyją wśród jego gałęzi. To osmagani pogodą nadzy faceci o metrowej długości włosów i brodach oraz szalonym spojrzeniu. Wspinają się jak małpy i wrzeszczą jak kakadu. W wyniku konsumpcji orzechów stali się tak mądrzy, że do komunikacji nie potrzebują już języka, porozumiewają się między sobą jedynie telepatycznie. Naukowcy, artyści i politycy z całej Camonii pielgrzymują do tego drzewa za każdym razem, kiedy stają przed nierozwiązywalnym problemem. Zapisują swe problemy na kartkach i wkładają je do koszyków, które na sznurach opuszczają z góry druidzi. Kosze wciągane są na górę i z reguły chwilę potem opuszczane na dół z rozwiązaniami w środku. Dzięki propozycjom mieszkańców Drzewa Orzechowienia zakończono na przykład Florynckie Wojny Śpiewaków, wynaleziono Barograf Aeromorfowy i złamano Kryptogram Rehbergera.

- Acha - powiedział Echo. - A w takim razie, jak znalazły się tutaj te orzechy, skoro zjadają je druidzi?

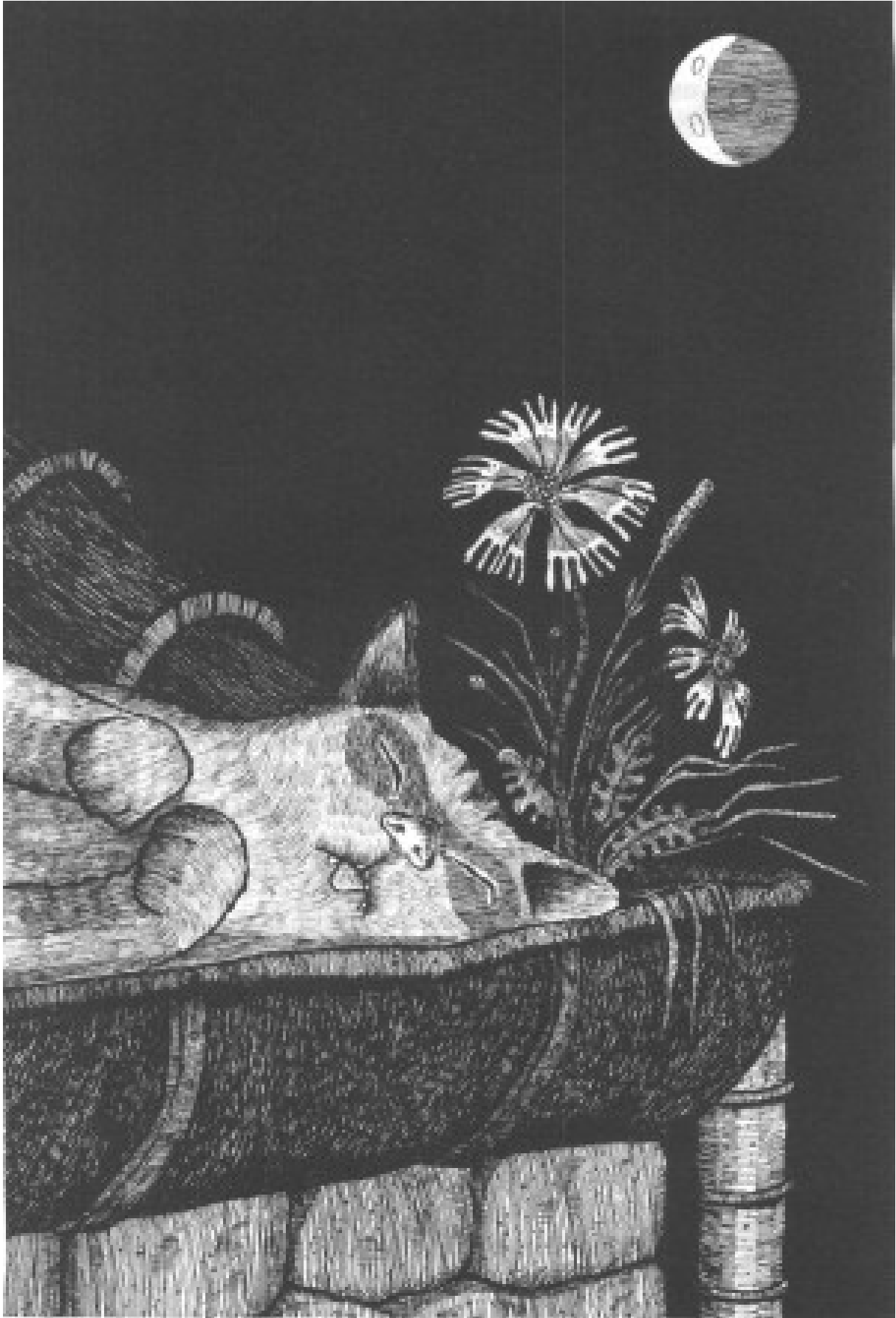
- Od czasu do czasu parę spada na ziemię, a druidzi są zbyt leniwi, żeby je pozbierać. Następnie zbierają i spożywają je pielgrzymi, ale parę z nich trafia na rynek. Każdy z tych orzechów prowadzi do wstrząsającego dogłębnie poznania.

- Niczego nie zauważyłem - mrukliwie odparł Echo.

- One nie działają w ten sposób. Mają opóźnione działanie. Uwierz mi, poznanie nadejdzie. Albo nawet trzy poznania. Jedno na każdy orzech. Oświecenie gwarantowane. Czasami trwa to parę dni.

- To tak, jak gdyby zjeść coś, czym nasycisz się dopiero w przyszłym tygodniu.

- Ty to powiedziałeś! - Eisspin zakasał pelerynę i szykował się do odejścia. - A teraz wybacz mi, proszę, mam robotę w laboratorium. Jak już wspominałem, reszta pożywienia czeka na ciebie na dachu.



Dalszą część przedpołudnia Echo spędził, biegając bez celu. Był w kiepskim humorze. Zaszywał się w najciemniejszych kątach i czekał z niecierpliwością, aż jego ciało znów odzyska równowagę, a uciążliwy ból głowy ustąpi. Wczesnym popołudniem podjął się wycieczki na dach i uraczył się tam pasztetem z ryby i ciastem czekoladowym, chociaż jedzenie nie sprawiało mu żadnej radości. Ale posiłek tak go zmęczył, że położył się w rynnie, pozwalając słońcu opromieniać futro, aż wreszcie się zdrzemnął i przespał tak dalszą część popołudnia i połowę wieczoru.

Kiedy się przebudził, słońce dawno już zaszło, a on czuł się znów całkowicie na chodzie, niemal jak nowo narodzony. Był w wyśmienitym humorze i nawet wpadł mu do głowy swawolny pomysł. Postanowił, że zagra przeraźnikowi odrobinę na nerwach.

Atrament Cienia

- Nudzę się - powiedział Echo w najbardziej wyniosły sposób, do jakiego był zdolny, wchodząc do laboratorium. Po czym bez skrupowania przeciągle ziewnął.

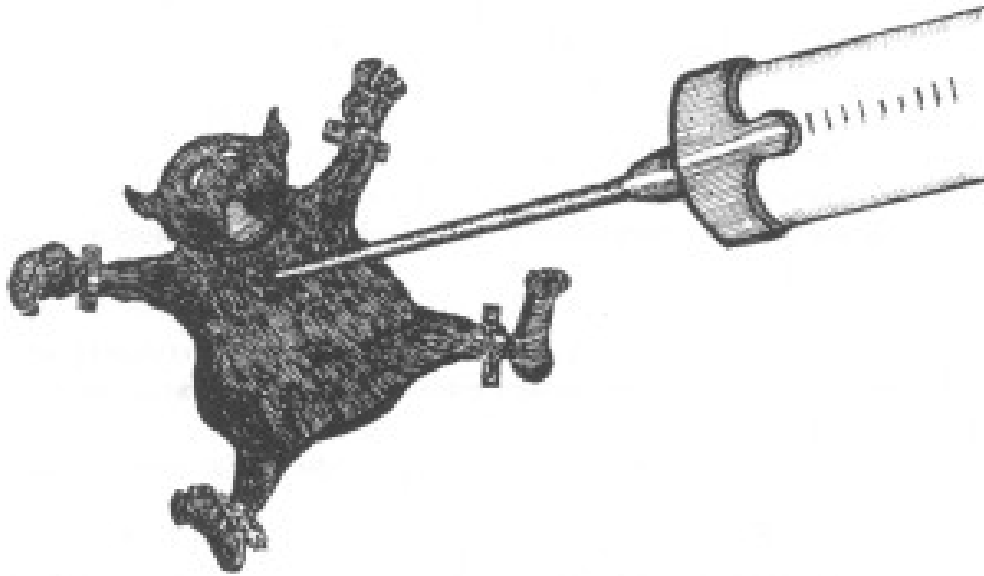
Przeraźnik był pochłonięty eksperymentem nad cierpiącym człekiem przymocowanym do drewnianej płyty. Za pomocą strzykawki aplikował w małe ciało zieloną substancję, po czym zafascynowany obserwował drgawki, jakie wstrząsały alchemicznym tworem.

- Hm? - zapytał prawie nieobecny. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że nie wywiązujesz się z określonych w umowie zobowiązań - kapryśił Echo. - Skoro się nudzę, oznacza to, że twój wkład w moją rozrywkę jest niewystarczający. No już, zabaw mnie!

W następnej chwili żałował już swego aroganckiego żądania, ponieważ twarz przeraźnika pociemniała, jego oczy przerażająco wyszły z orbit, podczas gdy kąciki ust i brwi opadły, a dolna warga zaczęła drżeć. Szykował się najwidoczniej do obrzucenia Echa stkiem wyzwick. Krotek skulił głowę i spodziewał się najgorszego. Ale Eisspin nagle się powstrzymał i ponownie rozluźnił. Burzowa mina zniknęła, a na jego twarzy pojawił się łagodny uśmiech.

- Masz całkowitą rację! - ku wielkiej uldze Echa powiedział Eisspin. - Opuściłem się. Praca powoli zaczyna mnie pożerać, za co błagam o wybaczenie! Twoja rozrywka to istotny



element naszej umowy, a każdej jej klauzuli należy surowo przestrzegać. Jaki rodzaj rozrywki chodzi ci po głowie?

Jakby jeszcze tego było mało, Eisspin wykonał uniżony ukłon.

- Och - powiedział całkowicie zaskoczony Echo. - Ja, no cóż, nie wiem... co powiesz na jakąś grę?

- Grę? Hm... - Eisspin zastanawiał się z wyraźnym wysiłkiem. - Szczerze mówiąc, nie znam zbyt wielu gier.

- No dobrze - Echo machnął łapą. - W zasadzie chciałem tylko...

- Ale zaczekaj! - zawołał Eisspin. - Jest jedna taka gra! Jestem w niej naprawdę dobry.

- Ach tak? A jaka? - zapytał trwożliwie Echo.

- Daj się zaskoczyć! - odpowiedział mistrz. Odłożył strzykawkę na bok, rzucając ostatnie sceptyczne spojrzenie na targanego drgawkami człowieczka. Potem wybiegł z laboratorium.

- Chodź ze mną! - zawołał. - Potrzebujemy do niej jak najciemniejszego pokoju bez okien.

Echo podążał za nim z ociąganiem. W jakiej to grze przeraźnik mógłby być „naprawdę dobry”? Miał wątpliwości, czy rzeczywiście mu się spodoba, i przeklinał swoją lekkomyślność. Mógł przecież spędzić taki spokojny wieczór na dachu, z sałatką śledziową, mlekiem z miodem, przy intelektualnej dyspacie z Fiodorem F. Fiodorem. Ale nie, musiał przecież koniecznie sprowokować przeraźnika i grać z nim teraz w tajemniczą grę. I to w „jak najciemniejszym pokoju bez okien”. Po prostu świetnie!

Powiewający peleryną Eisspin maszerował korytarzem w stronę uchylonych drzwi nieoświetlonego pomieszczenia, do którego Echo do tej pory jeszcze nie wchodził. W skąpym

światle, jakie wpadało z korytarza, krot widział parę skrzynek z gratami, wielki kominek i opartą o ścianę miotłę. Poza tym pokój był całkowicie pusty.

- Tu będzie kiedyś magazyn, ale nie skończyłem go jeszcze remontować - powiedział przeraźnik. - Na nasze potrzeby jest idealny, bo ma białe ściany i nie ma okien. Zaczekaj tutaj, potrzebuję jeszcze paru rzeczy! Zaraz będę z powrotem.

Pełen niepokoju Echo wśliznął się do tajemniczo wyglądającego pokoju, podczas gdy Eisspin pośpieszył w drugą stronę. W jakie gry można zagrać w pustym pokoju? Jeśli drzwi się zamkną, nie ma ucieczki z tego pozbawionego okien więzienia. Rozwój wypadków coraz mniej mu się podobał i zastanawiał się, czy nie zasymulować jakiejś niedyspozycji, żeby wybrnąć z tej sytuacji.

Ale Eisspin szedł już z powrotem, ciągnąc za sobą krzesło. Postawił je na środku pomieszczenia, zza pazuchy wyjął bolejącą świecę i zapalki, postawił ją na krześle i zapalił. Świeca od razu rozpoczęła swą stłumioną skargę.

- Wymaga to żywego światła bolejącej świecy - wyjaśnił Eisspin. - O resztę zadba atrament cienia.

Sięgnął znów do peleryny, wyciągając coś, co wyglądało jak mała maselnica, i postawił to na krześle.

Echo krążył wokół siedziska i spoglądał podejrzliwie na znalezisko Eisspina.

- No - powiedział przeraźnik i wziął się pod boki. - Teraz mamy wszystko, by zainscenizować porządną grę cieni.

Gra cieni! Kamień spadł Echu z serca. Niewinna dziecięca rozrywka. Ptaki trzepoczące skrzydłami na ścianie. Strzygący uszami króliczek. Pies, który przemienia się w łabędzia i tego typu historie. Puste pomieszczenie od razu spodobało mu się o wiele bardziej.

Eisspin sięgnął do małej beczułki i zaczął wcierać w rękę czarną pastę, która była w niej zawarta. W mgnieniu oka stały się czarne jak węgiel.

- Nazywam tę substancję Atramentem Cienia - wyjaśnił. - Uzyskałem ją z kamieni w murze piwnicznym. Musisz wiedzieć, że kamienie te zaczynają topnieć w bardzo niskiej temperaturze, jaką osiągnąć można tylko w piecu alchemicznym. A kiedy raz już się stopią, pozostają w stanie ciekłym. Tak powstaje Atrament Cienia. Radzę ci nigdy go nie dotykać! Jest zimny jak przestrzeń kosmiczna. Potrzebowałem wiele czasu, żeby przywyknąć do bólu.

Tak, pewnie - pomyślał Echo. - Piec, który zamraża. Kamienie topiące się od zimna. W ustach Eisspina najbardziej szalone rzeczy brzmiały jak oczywistość. Prawdopodobnie był to najzwyczajniejszy w świecie atrament. Albo pasta do butów.

Eisspin obserwował swoje ręce.

- To dość szczególny ból, całkiem nie z tego świata. Jak gdyby moje ręce oszalały. Uwierz mi, najchętniej bym je sobie teraz odrąbał. Lecz nauczyłem się również ignorować ten ból.

I faktycznie - jego twarz nie zdradzała najmniejszego poruszenia.

Eisspin pokręcił dłońmi w świetle świecy, a Echo zobaczył, że czarna substancja w istocie była czymś szczególnym. To nie była zwyczajna pasta do butów. Echo jeszcze nigdy nie widział czegoś tak doskonale czarnego.

- Trzeba ci wiedzieć, że ten kamień pochodzi z samego serca Mrocznych Gór, którym z kolei przypisuje się pochodzenie z krańców wszechświata. Być może są to minerały z jakiejś obcej planety. Być może też pochodzą z innego wymiaru.

Eisspin pochylił się nad bolejącą świecą i zaczął wykręcać ręce w jej niespokojnym świetle. Na ścianie pojawił się duży, niekształtny cień.

- Zobaczmy - mruczał Eisspin. - Co zrobimy? Coś dużego? Nosorożca? Robaka z Midgardu? Słonia?

Eisspin zamachał dłońmi, wyprostował palec wskazujący, a cieniowi wyrosła trąba i olbrzymie uszy.

- Och nie! - westchnął. - Zbyt ociężały. Za gruby. Lepiej coś lekkiego. Coś nieważkiego.

Skrzyżował ręce i zahaczył o siebie kciuki. Na ścianie ukazała się sylwetka motyla. Eisspin wprawił dłonie w drzenie, a motyl zaczął trzepotać skrzydłami.

- A może zbyt łagodne jak dla ciebie? Co? Co powiesz na coś większego? Może coś opierzonego?



Eisspin rozstawił nieco palce i przybliżył dłonie do płomienia. Cień stał się większy i przeobraził się w ptaka.

Echo był zachwycony. Staruch naprawdę opanował tę sztukę! I to całkiem nieźle. Cieniowy ptak wyglądał bardzo realistycznie. Przeraznik błyskawicznie odsunął ręce od płomienia, lecz ku wielkiemu zdumieniu Echa sylwetka ptaka pozostała na ścianie, jakby została tam namalowana.

- Hej! - zawołał krot. - Jak to zrobiłeś?

- Ja? Ja niczego nie robię! - Eisspin uśmiechnął się, szczerząc zęby. - To atrament cienia - pstryknął trzykrotnie kruczoczarnymi palcami i zawołał: - Leć, cieniowy ptaku! Leć!

Sylwetkę przeszył dreszcz, przypominający kręgi rozchodzące się po kałuży. Po czym ptak zaczął tłuc mocno skrzydłami na białej ścianie, przelatując to w jedną, to w drugą stronę. Echo słyszał wręcz szum skrzydeł.

- To przecież niemożliwe! To jakieś czary!

- Żadne czary - zaprzeczył Eisspin. - Alchemia. Alchemia na najwyższym poziomie.

Klasnął dwukrotnie w dłonie, a ptak usiadł na gzymsie kominka. Zaczął na nim świergotać i szczebiotać niczym zakochany słowik.

- Co to za ptak? - zapytał Echo.

- Cóż - powiedział Eisspin - nie wiem za bardzo. To ty powinieneś zdecydować! Na razie to jeszcze słowik. Ale być może bardziej odpowiadałaby ci mewa?

Pstryknął palcami, a cień rozpląnął się w czarnych smugach, uformował się na nowo i przybrał kontury silnego morskiego ptaka o krzywym dziobie. Mewa wydała z siebie przeszywający wrzask.

- O nie! - krzyknął Eisspin. - Mewa to ordynarne i irytujące bydlę o paskudnym głosie. Obrzydliwy padlinożerca wylupujący oczy martwym marynarzom. Co powiesz na coś dostojniejszego? Majestatycznego?

Pstryknął ponownie czarnymi palcami. Cień rozpląnął się, rozciągnął i urósł po wielekroć - na gzymsie kominka siedział nagle kolosalny orzeł, powoli i władczo kręcąc głową, jak gdyby wypatrywał ofiary w bezkresnej przestrzeni.

Na widok potężnego orła Echu zabrakło tchu. Do tej pory ptaki były dla niego ofiarami, on zaś myśliwym. Jednak teraz sytuacja się odwróciła - czuł się ofiarą króla przestworzy. Jeszcze nigdy nie był w pobliżu tak ogromnego ptaka.

- Nie bój się! - powiedział Eisspin, jak gdyby czytał myśli Echa. - To jeszcze jedynie cień.

Zanim Echo zdołał się zastanowić, o co też chodziło z tym „jeszcze”, mistrz zawołał:

- Dość już tych głupich ptaków! Potrzebujemy odmiany! Nie szczędzę trudu, gdy chodzi o rozrywkę dla mojego wielce szacownego gościa.

Pochylił się ponownie nad płomieniem i zaczął zagniatać dłonie. Tym razem trzymał je jednak niżej, przez co cień padał u dołu ściany. Echo rozpoznał najpierw kurę. Ona przeobraziła się szybko w króliczka, na chwilę w szympansa, stając się ostatecznie nerwowym gryzoniem.

- Ach! - zawołał Echo. - Mysz!

- Nie - zaprzeczył Eisspin. - Szczur! Jest widocznie zbyt mizerny, skoro wzięłeś go za mysz.

Przybliżył ręce do płomienia, dzięki czemu cień powiększył się pięciokrotnie.

- No - powiedział zadowolony Eisspin - tak jest zdecydowanie lepiej. Błyskawicznie odsunął ręce z powrotem, tak jak za pierwszym razem, a cień, jak poprzednio, pozostał tam, gdzie się znajdował. Eisspin pstryknął palcami i przez ciało szczura, który urósł teraz do rozmiarów bulteriera, przebiegł dreszcz. Następnie klasnął w dłonie, a szczur, fukając, zaczął bez wytchnienia biegać wzdłuż ściany w tę i z powrotem, jak gdyby uwięziono go w klatce.

Echo poczuł się nieswojo, bo szczur był od niego dwukrotnie większy. Eisspin wprowadził do tej niewinnej gry dość niepokojące akcenty. Lecz ostatecznie był to jedynie cień, przytwierdzony do ściany, na której powstał.

Przeraźnik skrzyżował ponownie swe długie czarne palce.

- A co powiesz na zwierzę, na którego widok serce zaczyna szybciej bić? - wyszeptał. - Zwierzę, które wzbudza tak wielkie przerażenie, że nie ma żadnych naturalnych wrogów. Coś *rzeczywiście* niebezpiecznego,

Echo chciał zagrać Eisspinowi na nerwach, a to przeraźnik grał na jego. Krotkowi nie pozostało nic innego, jak okazywać jak najmniej strachu.

- No pewnie! - potwierdził Echo, starając się zachować zimną krew. - Coś *rzeczywiście* niebezpiecznego. Czemu nie? Co możesz zaproponować?

- Zobaczymy... - mruczał Eisspin. - Cóż mogę zaproponować?

Przeraźnik skrzyżował ręce i zahaczył o siebie kciuki. Następnie wykręcił nadgarstki w tak nienaturalny sposób, że sprawiło to obserwującemu go krotkowi niemal fizyczny ból. Zbliżył wykrzywione kończyny do świecy, a na ścianach dookoła roztańczyły się długie cienkie cienie, być może odnóża o wiele za dużego owada, osiem sztuk. Otoczyły pomieszczenie niczym kraty, wywołując w Echu wrażenie, że ściany zблиżają się powoli w jego stronę. Na ścianie wysoko nad nim złowieszczo unosił się czarny korpus, przypominający kształtem chleb. Nie sposób było powiedzieć, gdzie znajduje się tył tego potwora, a gdzie przód.

Eisspin odsunął ręce od płomienia, a cień znów pozostał na ścianach i suficie, jak gdyby był tam namalowany od zawsze.

- Muszę przyznać, że w przypadku tego monstrum pozwoliłem sobie na pewną swobodę - powiedział Eisspin. - Wynika ona z tego, że nurnę* znam jedynie z opowiadań i

□ Patrz *Rumo i cuda w ciemnościach*, s. 350.

starodawnych rycin. Niewielu spotkało ją na wolności, a jeszcze mniej przetrwało to spotkanie, aby o niej opowiedzieć.

Echo nie miał najmniejszego pojęcia, czym była nurna, ale sam jej cień wystarczył, by napędzić mu śmiertelnego strachu. Jedyńm powodem, dla którego nie uciekł z pokoju, prychając, był przeraźnik we własnej osobie, który odcinał mu drogę do drzwi.

Eisspin klasnął w ręce i cień zaczął się poruszać, potykając się i zataczając. Pomieszczenie wypełnił szelest przypominający szum wiatru w koronie drzewa.

- Bardzo ładnie - powiedział przeraźnik zacierając ręce. - Orzeł, szczur i nurna. Ptak, ssak i hybryda. Jakiego gatunku nam jeszcze brakuje?

- W zasadzie już mi wystarczy - odważył się wtrącić Echo. - Nie moglibyśmy poprzestać na tej trójce? Uważam, że przedstawienie było już wystarczająco imponujące.

- Ależ skąd! - odparł ze śmiechem Eisspin. - Nie znasz granic swoich możliwości. Jest jeszcze wiele miejsca na zabawę. Przecież chciałeś się bawić, prawda?

Echo wolał milczeć. Każde kolejne słowo jedynie zachęcałoby przeraźnika do tworzenia jeszcze większych i bardziej przerażających potworów.

- Powiedziałeś, że nudzisz się. Co jest przeciwieństwem nudy? - zapytał. - Podniecenie? Przygoda? Napięcie? Strach? Zwątpienie? Śmiertelne przerażenie? Jesteś jeszcze bardzo młody, nie poznałeś korzyści, jakie niesie nuda. Gdybyś dożył mojego wieku - co się nie zdarzy! - nauczyłybyś się ją doceniać. Ale skoro jednak nie będziesz żył aż tak długo, udzielę ci teraz lekcji, która wzbudzi twój szacunek do nudy.

Eisspin ukląkł przed bolejącą świecą i uniósł lewe ramię. Zgiął nadgarstek i złączył wszystkie palce. Na białej ścianie ukazał się cień o długiej szyi i płaskiej głowie.

- O, łabędź! - zawołał z ulgą Echo.

- Nie - zaprzeczył Eisspin. - Ptaka już przecież mamy. Brakuje nam jeszcze gada.

Zacisnął oczy i ledwie zauważalne ruchy jego palców oraz nadgarstka wystarczyły, aby przekształcić łabędzia w węża. W czarnego gada z wysoko uniesionym łbem i długim ciałem przechylonym lekko do tyłu.

Przeraźnik pochylił się do przodu i ustawił rękę tak blisko świecy, że nieomal się oparzył, wtedy ciało węża urosło na ścianie wielokrotnie. Oderwał rękę od świecy, pstryknął palcami i zaklaskał w dłonie - wszystko w jednym błyskawicznym ruchu. Potem uniósł się z kolan.

Echo był jak zahipnotyzowany. Cień na ścianie kołysał swym potężnym gadzim cielskiem to w tę, to w drugą stronę, po czym otworzył pysk o zębach tak wielkich i ostrych

jak sztylety. Wąż zasyczał przejmująco, co wyrwało krotka z transu i pozwoliło mu szukać schronienia pod krzesłem.

- Każda rzecz - szeptał Eisspin - ma cień. Cień jest mroczną stroną każdego z nas. Dopóki jest do nas przykuty, pozostaje naszym niewolnikiem, jednak gdy uwolnimy cienie od ich właścicieli, ukazują nam swą prawdziwą naturę. Stają się złe, dzikie i niebezpieczne. No, masz teraz tę swoją rozrywkę, masz jej tak dużo, że moja obecność stała się wręcz zbędna. Życzę ci udanego wieczoru.

Zanim Echo zdołał cokolwiek odpowiedzieć, staruch stał już za drzwiami i zamykał je za sobą.

Krotek był całkowicie zaskoczony.

- Co to miało być, jakiś sprawdzian? - zastanawiał się poirytowany. - Jeśli tak, to jaka umiejętność miała zostać tu sprawdzona. Może opuszczenie pomieszczenia o własnych siłach? W takim razie już oblałem, bo nie potrafię otworzyć drzwi, a zwłaszcza zamkniętych na klucz. Nie, to nie zabawa, to nie żaden sprawdzian - to kara.



Echo wychylił się spod krzesła, by rozejrzeć się w sytuacji. Czarny orzeł przysiadł na gzymsie kominka. Szczur biegał wzdłuż ściany w tę i z powrotem. Olbrzymi wąż na przeciwległej ścianie kołysał się całym ciałem niczym metronom. A nad wszystkim chwiała się nurna na swych długich szczudłach.

Echo uspokoił się trochę i zaczął zastanawiać: droga przez drzwi jest zablokowana, dopóki nie wróci Eisspin. Innej drogi nie ma, żadnej dziury w ścianie czy w podłodze, przez którą można się przecisnąć. Żadnych okien. Zaraz, a co z kominkiem? Jeśli kłapa od wyciągu dymu jest otwarta, można przecież wspiąć się na górę szybem. Zakładając, że ściany komina oferowały wystarczająco dużo nierówności, które dadzą oparcie pazurom. Po wejściu na dach pozostanie jedynie zejść z powrotem przez Skórzane Mauzoleum.

Byłaby to jednak wyczerpująca, ciernista i bynajmniej nie najbezpieczniejsza droga. Echo mógł utknąć w kominie i się udusić albo runąć w dół i połamać sobie wszystkie kości. Komin mógł zwężać się ku górze i w końcu stać się zbyt wąski. Wtedy zejście groziłoby złamaniem karku, ponieważ wejść jest zawsze łatwiej, niż zejść.

Wygodną alternatywą byłoby pozostanie pod krzesłem i czekanie, aż powróci przeraźnik. Być może mógłby nawet uciąć sobie drzemkę, o ile udałoby mu się przywyknąć do obecności zwierząt z cienia. Echo zwinął się w kłębek, usiłując zignorować syczenie oraz prychnania.

W tym samym momencie orzeł wydał z siebie ochrypy wrzask, zatrzepotał skrzydłami i uniósł się w powietrze. Wtedy wydarzyło się coś, co zdumiało Echa bardziej niż wszystkie poprzednie wydarzenia. Ptak z sekundy na sekundę przestał być płaskim cieniem, a stał się masywnym ciałem. Echo był jak sparalizowany i poruszył się dopiero wtedy, gdy orzeł z wrzaskiem runął w jego kierunku i wylądował na siedzisku krzesła, dziobiąc w nie w poszukiwaniu Echa. Krotek cofnął się i uderzył głową o nogę od krzesła. Ból wycisnął mu łzy z oczu i skłonił do opuszczenia niepewnej kryjówki.

Echo sięgnął łapką w bolące miejsce z tyłu głowy. Poczuł coś mokrego i lepkiego - rzeczywiście, to była krew! Skaleczył się uderzeniem? Czy dopadł go ten ptak? Czy potwory z cienia były nagle w stanie sprawić mu ból i uszkodzić cieleśnie?

W górze rozległ się szum, jak gdyby przez las przeszedł podmuch wiatru, więc Echo uniósł głowę. Nurna potrząsała swym cielskiem jak oszalała i chodziła po całym pomieszczeniu niczym na szczudłach. Również i ona nie była już cieniem, przeobraziła się w trójwymiarową istotę, rzeźbę z czarnego jak smoła drewna, która nagle przebudziła się do życia. Czy Echo obudził w niej zapachem swojej krwi zew łowcy? Nurna uniosła nogę, ugięła



ją i wycelowała wprost w krota. Echo zdołał uskoczyć na bok i długa noga wbiła się w podłogę.

Z cielska nurny opadły długie macki i z groźnym trzaskiem jęły przesywać powietrze, poszukując ofiary. Echo skakał zygzakami po pomieszczeniu pomiędzy elastycznymi powrozami i szczudłowatymi nogami nurny.

Chciał właśnie wykonać zbawienny skok do ciemnego kominka, gdy nagle szczur, teraz też o masywnym cielsku, rzucił się, blokując mu drogę. Echo spojrzał szybko do tyłu. Jakby jeszcze było mało, w jego stronę sunął potężny wąż. Został zablokowany, nie mógł się ruszyć ani naprzód, ani do tyłu.

Pomoc nadeszła nieoczekiwanie z góry. Niczym mokra lina opadła macka i trafiła w szczura. Nurna nie była wybredna w łowieckim szale, jaki ją ogarnął, i opuściła pół tuzina kolejnych macek, które błyskawicznie owinęły się wokół gryzonia i porwały go w górę. Popiskując ze strachu, szczur zniknął w szeleszczącym cielsku nurny.

Droga była wolna. Echo wykonał odważny skok do kominka. Szary popiół wzbil się grubą chmurą i otulił go na parę chwil, co dało mu okazję do wytchnienia. Przez parę sekund był równie niewidoczny dla zwierząt z cienia, jak one dla niego.

Potem pył zaczął opadać, a Echo stwierdził ku swemu ogromnemu przerażeniu, że komina nie wymurowano z kamieni, lecz jest to okrągła i idealnie gładka rura, która absolutnie nie nadaje się do wspinania.

Poprzez coraz bardziej przerzedzającą się kurtynę pyłu Echo zobaczył, jak przed kominkiem unosi się potężny czarny łeb węża, który otworzył paszczę i odchylił się niedbale do tyłu, jak gdyby biorąc zamach przed chapnięciem swej ofiary.

Nad głową krotka coś zaszeleściło. Czy to nurna? - przestraszył się. - Niemożliwe, była o wiele za duża, aby zmieścić się do kominka. Nie, to nie był szelest, to szum skrzydeł. Pewnie podczas ogólnego zamieszania, kiedy chmury pyłu były najgęstsze, orzeł wleciał do kominka, a teraz unosił się tam, by w dogodnym momencie runąć na swą ofiarę.

Wtedy Echo został pochwycony boleśnie za kark. Silne szpony porwały go w górę. Krot próbował gryźć i drapać, ale jego zęby i pazury trafiły w pustkę. Szpony trzymały go pewnie i nietrudno było odgadnąć, co ich właściciel zamierza. Może unieść krotka wysoko w przestworza, a potem rzucić niczym worek, by roztrzaskał się na bruku Sledwai.

Echo poczuł nagle świeży podmuch wiatru na swym futerku, a głęboko w dole ujrział nocne światła Sledwai. Był znów na zewnątrz.

Szpony zwolniły uścisk na karku, lecz Echo nie runął w dół w kierunku miasta, tylko spadł z około metra i wylądował na bezpiecznym dachu dachów. Chwilę później usiadł koło niego Fiodor F. Fiodor.

- Fiodor? - Echo przetarł ze zdziwienia oczy. - Co ty tutaj robisz?

- A na co to niby wygląda? - zapytał puchacz, strząsając ze skrzydeł sadzę. - Ratuję ci skórę, mój młody przyjacielu. Szczęśliwy finał niebezpiecznej przygody to może i dobre zakończenie dla literatury tawrylnej, ale kto by chciał czytać ciągle tragodie?

Ucieczka

Wreszcie Echo wśliznął się do swego koszyczka. Przez pół nocy nie mógł jednak zasnąć. Nie dawały mu spokoju wieczorne wydarzenia. Dlaczego Eisspin przez drobnostkę naraził go na takie niebezpieczeństwa? Ze zwykłej złości? Niejasnych kalkulacji? Czystego szaleństwa? Istniały w zasadzie tylko dwie przekonujące możliwości. Pierwsza: o żadnej niebezpiecznej sytuacji nie było w ogóle mowy. Cienie nie mogłyby mu niczego zrobić, ponieważ były jedynie projekcjami jego własnych lęków. Alchemiczne czary-mary, równie niegroźne jak Gotowany Upiór. Szaleńcze wizje wywołane oparami czarnej mazi, którą wtarł

sobie w ręce przeraźnik. Możliwość druga: staruch miał już po prostu nierówno pod sufitem i był jeszcze bardziej nieobliczalny, niż Echo sądził.

Krot zapadł w sen dopiero nad ranem. Gdy przebudził się parę godzin później, jego decyzja była stanowcza: ucieknie jeszcze dziś. Zakradł się na dach, aby tam nad morzem mleka jeszcze raz porządnie napchać sobie żołądek. I to tak, żeby dopiero za parę dni zacząć myśleć o jedzeniu. Objedzony udał się do laboratorium, przechodząc przez Skórzane Mauzoleum, a potem schodami na dół. Ulżyło mu, gdy nie natknął się nigdzie na przeraźnika. Nie zwiertzył jego zapachu ani nie słyszał stukających butów.

Dotarłszy do drzwi, zatrzymał się raz jeszcze i wsłuchał w samego siebie. Czuł strach? Strach przed wolnością? Przed własną odwagą? Naturalnie, że się bał. Po raz pierwszy w swym życiu opuści Sledwayę, zamieni swój dom na cały świat. Echo był zwierzęciem miejskim, całe dotychczasowe życie spędził w Sledwai, nie kwestionując tego ani razu. Lubił wybrukowane ulice i chodniki, ochronne mury i dachy, piece i ciepłe jedzenie, gwar ludzki i uliczne latarnie. Opuścić miasto to jak wskoczyć do dzikiej rzeki, nie potrafiąc pływać. Był oswojonym, rozpieszczonym krotom domowym, który, zdany całkowicie na siebie, wprost z cywilizacji pragnął wejść w nieobliczalną, camońską dzicz. Dicz pełną niebezpieczeństw najróżniejszego rodzaju, złośliwych zwierząt i innych form życia, trujących roślin i podstępnych zjawisk przyrodniczych. To wszystko było podobno tam, na zewnątrz. Wystarczyło opuścić mury miasta, by się z tym skonfrontować. Na polach grasowały dzikie psy, o wiele niebezpieczniejsze i brutalniejsze od psów miejskich. Echo często słyszał ich wycie. Węże, skorpiony, wściekłe lisy, liściołaki, Cienie Księżycowej Poświaty - to wszystko nie były żadne istoty z bajki, tylko prawdziwi mieszkańcy camońskiej przyrody.

Najpierw będzie musiał przejść przez hałdy śmieci przed miastem, w których prawdopodobnie aż roiło się od szczurów. Potem przez łąny zboża, które przemierzały żytnie zmory, wsadzające do czarnych worów wszystko, co żywe i topiące je w stawach. Potem będzie zmuszony przemierzyć Bagno Dzikich Korzeni, wraz z korzeniami dusicielami i wysysającym bagnem, w którym na dodatek żyje podobno Żółty Ghoul. Dopiero potem pojawią się góry wraz drapieżnymi ptakami i padlinożercami, przepaściami i szczelinami w lodowcach, mgielnymi wiedźmami i demonami.

A potem - nieznane. Echo nie miał najmniejszego pojęcia, co oczekiwało go za górami - o ile kiedykolwiek uda mu się dotrzeć aż tak daleko. Być może pustynia bez wody, morze bez brzegu albo przepaść bez dna.

Czy czuł strach?

W rzeczy samej.

Czy to go powstrzyma?

Nie - nagle bowiem zerwał się w stronę wyjścia z zamku, podążając za nagłym przyływem odwagi w dół krętą uliczką, wprost w serce Sledwai.

Sledwaya - pomyślał. - Jak dawno tutaj nie byłem.

Ale czy aż tak bardzo za nią tęsknił, za tą niezdrową atmosferą miasta, z chronicznie chorymi mieszkańcami, powietrzem brzemienym w zarazki, wiecznym charczeniem i kaszlem, krwawymi chusteczkami do nosa i zaropiałymi wacikami w rynsztokach. Oto ulica Apteczna, pulsująca promenada miasta. Było tu wszystko, czego pożywał typowy mieszkaniec Sledwai: apteka przy aptece, witryna przy witrynie pełne butelek z syropami na kaszel i tabletek na grypę, preparatów witaminowych i pastylek na gardło, termometrów i bandaży, kropeł do uszu i pigułek na przeczyszczenie, plastrów z torfu i maści na ugryzienie skóroperza. Mieszczanie rozplaszczali nosy na szybach bądź wychodzili ze sklepów z koszami pełnymi medykamentów, pokazywali sobie najświeższe wrzody lub pooperacyjne blizny i kichając oraz pociągając nosem, rozmawiali o swych chorobach lub najnowszych lekarstwach. Latający handlarze sprzedawali ciepłą herbatę cytrynową lub rumiankową, krasnoludzy druidzi oferowali bukiety ziół leczniczych, a wędrowni lekarze, drąc się na całe gardło, oferowali pomiary temperatury bądź niedrogie badanie pracy serca wraz z natychmiastową diagnozą. Było oczywiste, że te konowały były w zмовie z aptekarzami. Po szybkim badaniu ich klienci podejrzanie często śpieszyli do pierwszej lepszej apteki, aby obkupić się drogimi medykamentami.

Echo biegł slalomem pomiędzy człapiącymi i kulejącymi nogami. Szybko się zorientował, że całkowicie wypadł z formy. Zaczął żałować, że tak bardzo napchał sobie brzuch. Co chwila dosięgał go obcas, czubek buta lub ktoś stawał mu na ogonie - wcześniej nigdy mu się to nie zdarzało. Wręcz przeciwnie, osiągnął wielką wprawę w prześlizgiwaniu się pomiędzy mieszkańcami Sledwai. Teraz jednak kopano go i deptano jak sflaczałą piłkę. Był zbyt wolny i nie mieścił się już w wąskich przestrzeniach, jakie tworzą się dla krota w gorączkowym ruchu pieszych na głównej ulicy. Jakiś but trafił go w głowę, a koń nadepnął mu na ogon. Echo wyłożył się jak długi i trzy osoby przeszły wprost po nim, jak gdyby był wycieraczką do butów. Udręczony zajęczał, przetoczył się pod mury miejskie i ciasno do nich przywarł.

Chciałbym się przedrzeć przez Kumaczy Las - pomyślał Echo - a nie potrafię nawet przejść ulicą Apteczną. Muszę znaleźć sobie spokojniejszą drogę przez skraj miasta. Ale tam są przecież psy!

Te dzikie uliczne kundle, których nie tolerowano w obrębie śródmieścia, wałęsały się po obrzeżach i Echo nieraz zbierał od nich baty. Jego kondycja nie dawała mu nawet cienia szans na ucieczkę przed nimi. Wychudzone kundle były niezłymi biegaczami, a Echo nie był już w stanie wejść na żadną rynnę.

Zrezygnowany skierował się w stronę spokojniejszych ulic. Minął brązowy pomnik Bezinteresownego Lekarza, który walczył z dziką śnieżycą, przedzierając się do pacjenta, szedł przez Via Dementia, którą zamieszkiwali doktorzy od głowy, przeciął plac Siedmiu Maści i ruszył w dół uliczką Ospową. Nadal żadnych psów? Wspaniale. Może oddawały się swym tępych przyjemnościom, gryzły się nawzajem na śmietniku albo ścigały jakiegoś kociego nieboraka przez miejską kanalizację.

Szedł więc dalej długą, ponurą aleją wierzb płaczących, prowadzącą prościutko do południowej bramy miasta. Teraz już jedynie od czasu do czasu natknął się na jakiegoś mieszkańca, w sklepach kolejno gasły światła. Echo odetchnął. Wkrótce ucieknie z obszaru władztwa przeraźnika. A jeśli chodzi o tę camońską dzicz, chciał się najpierw sam o tym przekonać. Być może były to tylko plotki, rozsiewane po świecie przez wędrowców, popisujących się niesamowitymi opowieściami. Nomadzkie legendy, brednie starych bab, folklor obozowego ogniska. Takie rzeczy opowiada się dzieciom, żeby ze strachu trzymały się blisko domu i podwórka i zajmowały się krowami, kiedy rodzice zrobią się na to za starzy. Korzenie dusiciele? W takim razie będzie trzymał się z dala od drzew. Liściołaki? Na pewno nie zainteresuje ich mały krotek. Echo skręcił w uliczkę, na której praktykowali nocni lekarze, otwierający swoje przychodnie dopiero teraz, chociaż ulica ta prowadziła go w przeciwnym kierunku, coraz dalej od granic miasta. Echo zadawał sobie pytanie, dlaczego zdecydował się na tę okrężną drogę? Ale nie wiedział. Po prostu mu pasowała! Potem pomknął uliczką, przy której znajdowały się tkalnie bandaży, gdzie krosna hałasowały nawet nocą. Przeciął plac Monokla, przy którym były wyłącznie gabinety okulistów i optyków. Znajomy teren, jego dawna dzielnica. A potem jego uliczka, dom, w którym dorastał. Świeciło się w nim światło, nowi właściciele już się w nim najwidoczniej zadomowili. Lecz musiał iść dalej, ciągnęło go w kierunku - no właśnie, w zasadzie to gdzie? Może do restauracji „Upust Krwi”, przed którą w koszach na śmieci znajdował czasami tak przepyszne odpadki? Nie, dalej, dalej! Przez ulicę ze Szpitalem Kamienia Żółciowego, z którego okien dobiegały zawsze mrozące szpik w kościach wrzaski. Nie, naprawdę nie miał zamiaru tutaj zabawić, szybko dalej, w uliczkę Dentystów z olbrzymimi zębami i obcęgami nad drzwiami, reklamującymi bogate w ból rzemiosło ich mieszkańców. Ale to również nie było miejsce dla Echa. Szybko, byle minąć fabrykę eteru, przy której zawsze tak oszałamiająco pachnie, już teraz zaczynało mu się kręcić

w głowie. Potem przez pachnące zdecydowanie lepiej kolonie ogrodów zielarskich lekarzy medycyny naturalnej. I oto już było ją widać, długą krętą drogę do posiadłości Eisspina, ścieżkę przeraźnika. Echo nie mógł się doczekać, kiedy dotrze do zamku, biegł tak szybko, jak tylko potrafił.

Wreszcie w domu! Eisspin stał w wejściu i przyświecał latarnią.

- Oczekiwałem już ciebie - powiedział, gdy Echo wśliznął się obok niego przez drzwi.

Krotek zatrzymał się dopiero w środku. I rozejrzał zdumiony dookoła.

- Co ja *tutaj* robię? - zapytał niczym przebudzony ze snu.

- Trzymasz się ustaleń naszej umowy - odpowiedział Eisspin i zgasił latarnię.



Spizarnia tłuszczu

- Wiem, że obsłużyłeś się już dzisiaj na dachu sam - powiedział Eisspin, krocząc przed wlekącym się za nim, przygarbionym Echem. - Dlatego zrezygnujemy z kolacji, o ile się na to zgodzisz. Ale chętnie pokazałbym ci coś jeszcze, zanim pójdziesz spać.

Echo, który czuł się nadal zamroczony, nie odpowiadał. Łamał sobie głowę nad tym, co się wydarzyło. Zrobił coś wbrew własnej woli, co go denerwowało i przerażało zarazem. Czuł się tak, jakby chwilowo stracił rozum.

- Dlatego musimy zejść do piwnicy! - zakomenderował Eisspin i ruszył schodami w dół do podziemi zamku. - Wydaje mi się, że to obszar, który jest ci jeszcze nieznany, czyż nie?

Nie, tej części zamku Echo jeszcze nie poznał. Z własnej woli i samotnie nigdy nie zszedłby po tych szerokich starych schodach na spotkanie chłodu i mroku. Do piwnicy - pomyślał - czyż nie chodzi się tam najchętniej z kimś, kogo chce się ukatrupić od tyłu łopata do węgla? Albo utopić w beczce ogórków? Albo zamurować żywcem? Czy Eisspin nie był przypadkiem tak przesadnie uprzejmy tylko dlatego, że za chwilę zamierzał równie nieuprzejmie wymierzyć karę za próbę ucieczki?

Gdy dotarli na dół, przeraźnik wziął lampę i postukał paznokciem w jej szkło, uniosła się w niej chmara maleńkich błędnych ogników, kłębiąc się i tworząc wielobarwne, nierzeczywiste światło, które jeszcze bardziej wzmogło u Echa uczucie niepokoju. Droga wiodła teraz przez chłodną, pustą piwnicę, zamieszkaną przez chmary owadów. Kiedy Eisspin pojawiał się ze swą upiorną latarnią, czarne chrząszcze o mocnych nogach uciekały w ciemność, klnąc pod nosem w swym trzeszczącym, owadzim języku. Pająki spuszczały się po niciach z sufitu i zataczały, pijane snem, po nierównej kamiennej podłodze. Szczypawki długości padalców znikwały w załomach korytarzy, trzaskając ogonami. Nad nimi jęczały stare mury, jak gdyby przez te wszystkie stulecia zmęczyło je długie dźwiganie własnego ciężaru.

- Dokąd idziemy, mistrzu? - zapytał lękliwie Echo.

- Chciałbym najpierw pokazać ci spizarnię tłuszczu - odpowiedział Eisspin. - To miejsce, w którym przechowywany będzie twój tłuszcz, dopóki go nie przetworzę.

Echo odniósł wrażenie, jakby przebiegł właśnie po własnym grobie. Wizja skończenia w tym miejscu była nie do zniesienia. Obojętność Eisspina odebrała mu mowę.

- No to jesteśmy na miejscu - powiedział staruch.

Przeraźnik zatrzymał się przed wysokim kamiennym łukiem okalającym ciężkie, żelazne drzwi, zabezpieczone siedmioma zamkami. Odstawił lampę i zabrał się za zasuwy.

- Patrz na te zamki, weźmiesz mnie pewnie za przesadnie ostrożnego, ale dla mnie pokój ten skrywa najcenniejsze rzeczy, jakie kiedykolwiek posiadałem. Ten tu na przykład to Akustyczny Zamek Pierwiastkowy - powiedział Eisspin, wskazując najwyższą zasuwę. - Nie różni się od koncepcji antycznych zamków na zakłęcie, reaguje jedynie na wymienienie określonych nazw pierwiastków we właściwej kolejności. A poza tym ma fenomenalne zabezpieczenie nie do złamania nawet dla kogoś, kto zna formułę. Uważaj!

- Bizmut, niob, antymon! - zawołał... i zamek się otworzył. Potem zaryglował go ponownie i rozkazał Echu, żeby go naśladował.

- Wermut, nobi, montyna! - zawołał Echo, chociaż dokładnie zapamiętał sobie słowa: bizmut, niob, antymon.

- Spróbuj raz jeszcze - powiedział Eisspin.

- Mzibut, boni, tynamon! - zawołał Echo. - Cholera! Znam te słowa, ale przekręcają mi się na języku.

- Cóż, sam nie wiem, jak to działa! - zaśmiał się Eisspin. - Jeden ślusarz alchemiczny wykuwa takie rzeczy w największej tajemnicy pod górami Włochatek. Bizmut, niob, antymon!

Zamek znów się otworzył.

- Spróbuj raz jeszcze, teraz, kiedy zamek jest otwarty.

- Bizmut, niob, antymon! - zawołał Echo. - Zabawne, teraz się udało.

- Tak, za późno - wyszczerzył zęby Eisspin. - A popatrz na to tutaj, to Niemuzykalny Zamek z Jodłowanej Stali.

Z kieszeni wyciągnął flet i zagrał parę całkowicie nieharmonijnych dźwięków, które wbiły się boleśnie w uszy niczym igły. Zamek otworzył się sam.

- Tak, złej gry na flecie też trzeba się nauczyć - powiedział Eisspin, umieszczając instrument z powrotem w swej pelerynie. - Naturalnie muszą być to właściwe fałszywe dźwięki.

I tak otwierał jeden zamek za drugim, każdy w całkowicie inny sposób, chociażby klepiąc nieskończenie długi ciąg liczb albo używając niewidzialnego klucza, którym majstrował całymi minutami. Echo pojął, że każdy, kto usiłowałby wtargnąć tu nieproszony, z góry skazany był na porażkę. Gdy opadł wreszcie ostatni łańcuch i otworzył się ostatni zamek, Eisspin pchnął z impetem ciężkie żelazne drzwi i skinął na Echo.

Podłużne pomieszczenie z niskim sufitem sprawiało całkiem odmienne wrażenie niż ciemne i zwietrzałe piwnice. Było czysto otynkowane gipsem, absolutnie niegrożące zawaleniem i całkowicie pozbawione owadów. Było w nim przyjemnie chłodno.

- To spizarnia tłuszczu - powiedział Eisspin. Machał dumnie latarnią nad niezliczonymi regałami, zanurzając je w wielobarwnym świetle. - To musiała być kiedyś piwnica na wina, ale tak dawno, że znalazłem jedynie puste butelki z rozpadającymi się korkami i osadem czerwonego wina w środku. Wyremontowałem to pomieszczenie od podstaw, otynkowałem, wyjodowałem, wysterylizowałem i zeisspinałem. Złożone są tutaj najcenniejsze alchemiczne ingrediencje w całej Camonii, nawet potężny Zoltepp Zaan nie dysponował zapasami tego rodzaju. Gromadzę tu wszystkie istotne pierwiastki, moje zbiory gazów i zapachów, rzadkie metale ziemskie, starożytne i nowoczesne alchemiczne substancje. Na górze w laboratorium znajdują się jedynie rzeczy, którymi posługuje się każdy zwyczajny alchemik. Tu znajduje się materiał, o którym ci partacze mogliby tylko pomarzyć. Wszystko otulone płaszczkiem tłuszczu rzadkich zwierząt, w każdej chwili gotowe do natychmiastowego zużycia w kotle.

Pomieszczenie wyglądało zupełnie nietypowo. W zasadzie jak piwnica z winami, w której zamiast butelek leżakowały kule tłuszczu wielkości jabłek. Pod każdą kulą na regale znajdowała się mała miedziana tabliczka, na której wygrawerowano nazwę jej zawartości. Wkrótce będzie tu leżała kolejna kula, na której szyldziku będzie napisane: „kroci tłuszcz”.

Eisspin płonął z dumy.

- Na tym regale składuję camońskie pierwiastki: lit, potas, rubid, ont, gofor, cesium, skandim, knoton, zorfium, nikel, krypton, knobalt - i tak dalej, i tak dalej. Same w sobie nie są niczym szczególnym - jedyne w swym rodzaju są mieszkanki, które z nich utworzyłem. Tu permie z xylotonem, tam surziom z hexagamem, śmiałe zaślubiny pierwiastków, na które nikt przede mną się nie odważył. Potrzebowałem lat, żeby obliczyć właściwe proporcje. I nie zawsze wszystko szło gładko, możesz mi wierzyć. Zdarzały się i trujące chmury i pożary pomieszczeń, całkowicie nieoczekiwane reakcje chemiczne, a raz nawet potężna eksplozja. Wiedziałaś, że mam drewnianą nogę?

Eisspin postukał we wspomnianą nogę. W piwnicy rozległ się głuchy dźwięk.

- Tych rzadkich metali, o tam, na próżno szukałbyś w zwyczajnym laboratorium: latan, samarium, prazeodym, ytterbium, gelfensilber, kronosit.

Wskazał ostrym palcem w stronę kul, które wyglądały dokładnie tak samo, jedynie nieco różniły się kolorem.

- Tam z tyłu, na wszystkich tych regałach spoczywają zapachy: ropa przeraźnicy i pot zmory, zapach włochatek i jesienna woń liściołaków. Siedem razy po siedemset najróżniejszych zapachów rozkładu, uporządkowane alfabetycznie, w siedmiu stadiach rozkładu: świeżo martwy, wczorajszo martwy, przedwczorajszo martwy, śmierdząco martwy, bardzo śmierdząco martwy, cuchnąco martwy, robaczany. Tam znajdują się gazy i mgły: gaz cementarny i mgielna meduza, wyziewy bagienne i jaskiniowe opary. A tam całkiem z tyłu, tam znajdują się naprawdę rzadkie rzeczy, myśli wulkanów i sny ognia. I naturalnie na honorowym miejscu najrzadszy camoński pierwiastek ze wszystkich: camomin.

Eisspin odwrócił się i wskazał na kolejny regał. - A to tutaj to, ech, to są ostatnie tchnienia. Starłem się uchwycić ostatnie oddechy wszystkich moich delikwentów. Nie udało mi się to za każdym razem, to delikatna i subtelna sztuka. Finalne tchnienie umierającego jest nietrwałe i niezwykle lotne! Czasami złapie się przedostatnie, czasami przegapi się to właściwe, a nierzadko siedzi się godzinami, a cholerna bestia nie ma zamiaru zdechnąć. Ale złapałem ich dużo. Dużo.

Przeraźnik zrobił krótką przerwę, jak gdyby oczekiwał współczucia ze strony Echa, iż jego delikwenci nie umierali wystarczająco sprawnie.

- Ech! - westchnął Eisspin. - Mógłbym godzinami opowiadać o moich skarbach, ale to jeszcze nie wszystko, co chciałem ci pokazać. Chodźmy dalej!

Echo właściwie miał już dość. Chciał wyjść z tej lodowatej piwnicy pełnej rzeczy, które jedynie szalony alchemik mógłby uznać za cenne czy zasługujące na przechowywanie. Był zmęczony swą wyczerpującą próbą ucieczki, skołowany i przestraszony. Chciał teraz tylko do swego koszyczka, a potem spać, spać, spać. Strzegł się jednak, by o to nie prosić. Wystarczającym szczęściem było to, że przeraźnik nie przymierzał się do skręcenia mu karku. Echo przypomniał sobie, jak jeszcze niedawno robił sobie żarty z Eisspina. Jakże całkowicie błędnie go ocenił! Tutaj, w piwnicy, objawiał się prawdziwy przeraźnik. Sama jego obecność, wypowiedane uprzejmym tonem uwagi na temat wszystkich jego okropieństw - wystarczyło to całkowicie, by wtrącić Echo w stan bojaźliwej służalczości. Dreptał więc za nim grzecznie, czekał cierpliwie, aż ten zarygluje na powrót swój skarbiec, i podążał za nim krok w krok, gdy z latarnią błędnych ogników w dłoni, coraz głębiej zanurzał się w królestwie piwnic.

Dotarli wnet do szerokiego pomieszczenia, w którym leżały stosy rupieci: roztrzaskane beczki, rozpadające się meble, stare olbrzymie obrazy olejne w złotych ramach pokrytych kurzem, skrzynki z potłuczonymi naczyniami i zatęchłe księgi handlowe, zardzewiałe narzędzia i niemal skamieniałe drwa na opał. Za szczególnie godne uwagi Echo uznał to, że w pomieszczeniu było kilkadziesiąt drzewi.

- Zdziwiłbyś się, ile rzeczy skrywa się za wszystkimi tymi drzwiami - powiedział Eisspin. - A ja też nie palę się do tego, by otwierać każde z nich. Niektórych drzwi lepiej nie otwierać, możesz mi wierzyć. Gdy otworzyłem kiedyś te z przodu, wypadł na mnie olbrzymi owad. Zniknął w ciemnościach i czai się być może nadal gdzieś tu w dole. Za niektórymi drzwiami znajdują się nagrobki, a inne skrywają cuda. Tu szkielety, tam starożytne preparaty zwierzęce. Jedno pomieszczenie jest pełne muszli. Nie jestem w stanie zidentyfikować ani jednej z nich. Jeśli chodzi o preparaty zwierzęce, niektóre zabrałem na górę i odrestaurowałem, moje pierwsze wypchane mumie demonów znalazłem również tutaj. Za niektórymi drzwiami skrywa się parę małych, ale zacnych bibliotek, nawet najlepszym antykwariuszom w Księgogradzie pocięłaby ślinka.

Eisspin, ku uldze Echa, nie przejawiał zamiaru otwarcia którejkolwiek drzwi, tylko przeszedł, świadomy celu, przez duże pomieszczenie.

- Mówi się, że strych budynku jest jego pamięcią - zawołał - a piwnica systemem trawiennym. Jednak w przypadku tego domu jest zgoła odwrotnie. Za tymi drzwiami skrywają się resztki jego podłej i chorej historii - Eisspin zaśmiał się cicho.

- To bardzo ciekawe - powiedział Echo. - Wiem przecież tak niewiele na ten temat. Fiodor odrobinę mi opowiedział, ale... - ugryzł się w język. Cholera! Teraz jeszcze wymknęło mu się imię Fiodora.

- Fiodor? - zapytał podejrzliwie Eisspin. - Kimże jest Fiodor? Echo zastanawiał się rozpaczliwie. - Och, Fiodor, to... lub lepiej, Fiodor *był*, eeee, parobkiem mojej pańci. Niestety umarł. Ciężka choroba.

- Ach tak... - mruknął Eisspin - i ten parobek miał jakieś pojęcie o historii mojego zamku?

- Och, niezbyt wielkie, jak już wspominałem. Bajki i historie o duchach. To, co krąży po Sledwai. Sam znasz te historie.

- Tak, dużo się mówi na mieście. Większość to bzdury. Na przykład to, że zamek wyrósł z ziemi w ciągu nocy, niczym wrzód. Nie wybudowały go też duchy ani nie był zamieszkiwany kiedykolwiek przez smoki. Nie jest też istotą żywą. Jednak ja też nie jestem niestety w stanie powiedzieć, w jaki sposób powstał. Pewne jest jedynie to, że zbudowali go ludzie, którzy znali się dość dobrze na wznoszeniu trwałych murów. Oni byli pierwszymi mieszkańcami. Po nich pozostało najmniej świadectw, parę prymitywnych narzędzi, gliniane skorupy, nieforemne meble. Nie sądzę, aby potrafili pisać, w każdym razie nie ma żadnych przekazów pisemnych. Kolejnymi mieszkańcami byli chyba żołnierze, zapewne żołdacy. Nie byli na pewno zbyt wrażliwymi, szturmowali domy i zabijali wszystko, co znaleźli w

środku. Mieszkali w nim przez parę generacji, razem ze swoimi rodzinami, i organizowali stąd wyprawy wojenne, oblężenia i tego typu historie - cóż, słowem wszystko, w co zazwyczaj pakują się żołdacy. Ściągali tutaj ogromne łupy: dzieła sztuki, broń, biżuterię, obrazy, naczynia, meble. Tu na dole składowali do wyschnięcia czaszki swych wrogów, aby latem grać nimi w kręgle, a zimą opałać w piecu. Potem któregoś dnia po prostu musieli zniknąć. Pociągnęli pewnie na wojnę wraz z całym dobytkiem i nie skończyła się ona dla nich zbyt dobrze, albo utopili się na jakichś bagniskach.

Wreszcie dotarli do końca pomieszczenia i Eisspin otworzył niezaryglowane drzwi, za którymi znajdowały się schody prowadzące w dół. Przeraźnik kroczył przodem, a Echo ostrożnie podążał za nim. Ściany nie były już murowane, jedynie wyciosane bezpośrednio w skale. Najwidoczniej droga prowadziła jeszcze bardziej w głąb góry, na której królował zamek.

- Potem - kontynuował Eisspin - budynek znów stał przez długi czas pusty lub służył za przejściowe miejsce zamieszkania różnej pełzającej i latającej gadzinie. Zapewne nikt pobłogosławiony odrobiną zdrowego rozsądku nie wprowadzałby się do domu należącego do armii brutalnych żołdaków, którzy prawdopodobnie w każdej chwili mogą wrócić. Dopiero gdy minęło wystarczająco dużo czasu, aby wykluczyć tę możliwość, przybyli tu koczowniczy krwiopijcy.

Wspaniale! - pomyślał Echo. - Do tego wszystkiego jeszcze krwiopijcy! - Marzył, aby tak samo jak oczy, był w stanie zamykać uszy, wtedy nie musiałby wysłuchiwać tej okropnej historii.

- Krwiopijcy to oprócz Zarazy Przeraźnic jedna z największych plag w historii camońskiej. Była to liczna sekta, wierząca, że można żyć wiecznie, pijąc krew innych. A pewna ich grupa, zwana Ludźmi Gromu, polowała na krew tylko podczas burz. Wzięła ten zamek w posiadanie na setki lat, terroryzując okoliczną ludność. Gdy przetaczały się grzmoty i zacinął deszcz, ich ofiary nie słyszały, jak otwierali drzwi i okna, wdzierając się do domostw, by dokonać swego przerażającego dzieła. Z pokolenia na pokolenie stawali się coraz bardziej szaleni i żądni krwi, aż zaczęli wzajemnie się zabijać. I tak wszyscy wyginęli.

Eisspin dotarł już do końca schodów i wkroczył w ciemny korytarz. Po obu jego stronach znajdowały się niskie, drewniane drzwi o zardzewiałych zamkach.

- Oto lochy domu. Jego więzienie. Jego karcer. I cmentarz - powiedział Eisspin. - Niemal za każdymi drzwiami tkwi szkielet. Niektóre cele są tak małe, że uwięzieni w nich nie byli w stanie ani stać, ani siedzieć, ani też leżeć. Możesz sobie wyobrazić, jak to jest być tak osadzonym całymi latami, a często i dekadami?

Echo nie mógł i nie chciał sobie tego wyobrazić. Do czego zmierzał Eisspin ze swym przerażającym wykładem? Przeróżnik kontynuował bezlitośnie, krocząc dalej korytarzem:

- Następnie zamek stał znów pusty przez sto lat, wierzono bowiem, że straszą w nim duchy rodziny krwiopijców. Wieśniacy wciąż jeszcze barykadują swoje drzwi, kiedy nadciąga burza. Uzbrajają się po zęby i trwają tak do czasu, aż ucichnie ostatni grzmot. W czasach, gdy historia ta stała się już legendą, wokół tych starych murów stopniowo zaczęło powstawać miasto Sledwaya. Ciągłe cieszyły się one złą sławą i nikt, kto nie był do tego zmuszony, nie chciał w nich zamieszkać. Stąd też mieszkańcy miasta używali zamku jako więzienia i zakładu dla obłąkanych, dla szczególnie niebezpiecznych przestępców i nieuleczalnych wariatów. Z całej Camonii przysyłano beznadziejnie chorych i kryminalistów, by zamknąć ich w tych celach.

Echo sam czuł się już jak kandydat do wariatkowa. Podłoże, na którym stawał łapki, stało się omszałe i wilgotne, co chwila trafiał na małe kałuże. Czasem przepłaskał coś żywego, co zrywało się do lotu ze świstem lub prześlizgiwało się, sycząc. Podziemny trakt zdawał się nie mieć końca, choć Eisspin poruszał się sprawnie, kontynuując swą przygnębiającą opowieść.

- Potem wydarzyły się rzeczy bardziej szalone niż w domu wariatów. Pacjenci uchodzący za nieuleczalnie chorych z dnia na dzień nagle zdrowieli, a zdrowi jak rydze lekarze tracili rozum. Notoryczni przestępcy, uważani do tej pory za zdrowych psychicznie, raptem wariowali, stając się niebezpieczniejszymi niż kiedykolwiek. Strażnicy oraz pielęgniarze otwierali cele, bratając się z wariatami i mordercami. *Zapanował* zupełny chaos. Przypisywano go nieznannej epidemii, uzdrawiającej chorych, a zdrowych pogrążającej w chorobie. Po Sledwai krążyła plotka, że powróciły duchy rodziny krwiopijców, ponownie przejmując władzę nad domem wariatów. Po jakimś czasie nie sposób było odróżnić chorych od zdrowych, przestępców od ich strażników. Pielęgniarze, medycy i strażnicy, ci, którzy jeszcze byli w stanie to zrobić, otworzyli w końcu wszystkie cele i uciekli, gdzie pieprz rośnie, pozostawiając posiadłość i jej więźniów samym sobie. Później wydarzyły się tu ponoć rzeczy bezprecedensowe. Wariaci usiłowali leczyć ludzi zdrowych nieopisywalnymi metodami, udokumentowano nawet wieloletnie rządy pewnego króla wariatów. Czytałem jego biografię, którą spisał odrąbaną ręką swego ulubionego lekarza. To właśnie on kazał usunąć z budynku wszystkie szyby z okien, tak aby mógł w każdej chwili bez przeszkód ulecieć w kosmos, kiedy nadejdzie odpowiedni rozkaz od mieszkańców księżycy Jowisza - Harpalyke. Gdy któregoś dnia wydało mu się, że słyszy właśnie ten rozkaz, wyskoczył z okna. Król wariatów nie wylądował jednak na księżycu Harpalyke, tylko głęboko w dole na

bruku Sledwai, pozostawiając po sobie plamę, którą widać po dziś dzień, a do historii miasta weszła ona pod nazwą „Plamy Harpalyke”.

Echo był wyczerpany zarówno psychicznie, jak i fizycznie, jego nogi odmawiały już niemal posłuszeństwa, a umysł nie był w stanie chłonąć dłużej tej przerażającej historii. Ale Eisspin nie przejawiał zamiaru zakończenia marszu i kontynuował swój wykład.

- Pozostali pacjenci stopniowo wymierali, a dom stał pusty przez dwieście pięćdziesiąt lat. Głównie z powodu obaw, że ta tajemnicza choroba psychiczna nadal się w nim czai. Przejściowo zamieszkała w nim tylko wataha wilkołaków, do czasu aż pewien, jak na warunki Sledwai, wyjątkowo sumienny burmistrz rozkazał je stąd wykurzyć. Postanowiono zapieczętować budynek i pozostawić go własnemu losowi. Skoro najwyraźniej żadnemu z mieszkańców niczego dobrego nie przyniósł, powinien obrócić się w gruzy.

Eisspin przerwał niespodziewanie. Stali przed starymi, porośniętymi pleśnią drzwiami, sprawiającymi wrażenie, iż rozpadną się, kiedy tylko się ich dotknie.

- I w ten sposób te solidne mury stały się w końcu moją własnością. Gdy obejmując urząd przeraźnika, zrezygnowałem ze wszelkich uposażeń, żądając tu jedynie darmowego pokoju, myśleli, że mam nie po kolei w głowie. Nie tylko pozwolono mi zamieszkać tu za darmo, wręcz uroczyście przepisano na mnie cały zamek. I tak pozbyto się go przynajmniej symbolicznie.

Eisspin roześmiał się ochryple. Nacisnął klamkę i pchnął drzwi kanciastym ramieniem.

Śnieżnobiata Wdowa

- Drzwi nie są zamknięte - powiedział Eisspin - nie ma takiej potrzeby. Gdyby wtargnął tutaj ktoś, pragnąc ukraść to, co kryje się w środku, pożałowałby wkrótce tak, jak jeszcze nigdy niczego nie żałował - dodał szczerząc zęby.

Weszli do mrocznej celi. Mistrz uniósł latarnię i wielobarwne światło rozjaśniło nieco ciemność: w środku pomieszczenia stało coś, co wyglądało jak kopuła małego namiotu z czerwonego płótna. Miała mniej więcej dwa metry średnicy i półtora metra wysokości.

- Co to jest? - zapytał trwożliwie Echo.

- Masz wszelkie powody, aby się obawiać - wyszeptał Eisspin. - Strach bywa czasem bardzo zdrowy.

Echo nie miał zamiaru zbliżyć się do tej rzeczy, czymkolwiek ona była.

- Skoro to takie niebezpieczne, może powinniśmy lepiej sobie stąd pójść - zaproponował żalonym głosem.

- Dotarliśmy tak daleko - powiedział Eisspin - i mielibyśmy teraz zawrócić? Nie spoglądając ani razu na to, co skrywa się pod suknem? Mój młody przyjacielu, rozczarowujesz mnie! Gdzie podział się twój duch odkrywcy? Dusza alchemika?

- Duch odkrywcy nie jest na tyle wielki, abym ryzykował dla niego własnym życiem.

- No i przecież nie chcemy wcale ryzykować twoim życiem - powiedział poważnie Eisspin. - To, co chcę ci pokazać, kryje w sobie wielkie niebezpieczeństwo. Lecz zapewniam cię, ten widok jest jedyny w swoim rodzaju. Jest tak niezwykły, że nigdy nie będziesz w stanie go zapomnieć. Naturalnie to twoja decyzja. Jeśli wolisz pójść, to pójdziemy.

Echo wahał się. Propozycja przeraźnika sprawiała wrażenie naprawdę poważnej. A teraz zaczęła go jeszcze gryźć ciekawość. Jeśli pójdzie w tej chwili, nie zaglądając pod płótno, widok otulonej czerwienią kopuły i pytanie, co też się pod nią skrywa, będzie prześladował go nawet we snach.

- Dobrze - powiedział. - Pokaż mi!

Eisspin uśmiechnął się.

- No! Wreszcie powrócił stary dobry duch odkrywcy!

Uniół sukno i odsłonił dzwon z przezroczystego szkła. Z zewnątrz wzmocniony był kunsztowną złotą siatką, przypominającą kosztowną klatkę dla ptaków. W metalowej plecionce znajdowały się miedziane zawory, tu i ówdzie ze szklanego klosza wychodziły mosiężne rury. Słysząc było ciche gwizdy i szum, jak gdyby gotującej się w kociołku wody. W klatce siedziała najbardziej zdumiewająca istota, jaką Echo spotkał w swym dotychczasowym życiu.

- Oto ona! - westchnął przejęty Eisspin. - Śnieżnobiała Wdowa! Czyż nie jest przepiękna?

Nie! - pomyślał Echo sparaliżowany od czubka nosa po czubek ogona. - Nie, wcale nie jest! Wręcz przeciwnie, gdybym chciał znaleźć kreaturę, której pośród wszystkich istot żywych najmniej przysługuje wyróżnienie *przepiękna*, byłaby nią ta tam, w szklanej klatce. Nie znaczyło to, że była ohydna. Ale Echo nigdy wcześniej nie odczuwał takiej grozy w obecności istoty żywej.

Najbardziej przerażające w Śnieżnobiałej Wdowie było nie to, co widoczne, lecz to, czego się *nie* widziało. Otaczała ją zasłona śnieżnobiałych włosów, które całkowicie osłaniały jej ciało. Wyglądała jak peruka złożona z długich jedwabistych pasm, niby odcięta głowa skazańca, która stanęła na końcówkach włosów i uniosła się, by przerazić swego kata na

śmierć tym straszliwym baletem. Zdawałoby się, że Śnieżnobiała Wdowa porusza się pod wodą lub w atmosferze jakiejś obcej planety, rządzonej innymi prawami przyrody. Tu i ówdzie od włosów oddzielały się pojedyncze pasma, powiewały tak nierzeczywiste i bezwładne, jak gdyby istniały w zupełnie innym czasie.

- Tak, ona jest naprawdę niebezpieczna - wyszeptał przejęty. Ostrożnie manipulował przy zaworach, aż szum ustał. - Jej jad jest dziesięć tysięcy razy skuteczniejszy od jadu najbardziej jadowitego skorpiona. Skacze na małe odległości szybciej niż błyskawica. Śpiewa w ciemnościach, a gdy raz już usłyszysz ten śpiew, nie będziesz w stanie nigdy go zapomnieć. Nigdy.

Śnieżnobiała Wdowa wykonała pod swym kloszem parę gwałtownych ruchów, tak szybkich, że oko nie było w stanie ich dostrzec. Wyglądało to, jak gdyby wyczarowała się nagle w innym miejscu, po czym zniknęła i wyczarowała się z powrotem. Echo pragnął znaleźć się jak najdalej od tego niesłychanego stworzenia, lecz równocześnie nie był w stanie się poruszyć. Wszystkie jego mięśnie zeszywniały i zaczęła go potwornie boleć głowa.

Eisspin podszedł bardzo blisko klatki.

- Kiedy cię użądli - powiedział - albo ujmując to lepiej, kiedy w ciągu sekundy stukrotnie przesyje cię końcówkami swych włosów, jesteś niechybnie martwy. Nie istnieje żadne antidotum, ponieważ codziennie zmienia skład swego jadu. A to, co ta trucizna robi z twoim ciałem, nie ma precedensu w świecie substancji toksycznych. Śmierć zadana przez Śnieżnobiałą Wdowę jest najpiękniejsza i najstraszliwsza zarazem, jest największą męką i najwyższym zachwytem. Ciało uwalnia powódź hormonów szczęścia, by zwalczyć cierpienie, a to wprawia cię w agonię szczęścia, w ekstazę bólu, którego nie sposób życzyć żadnej istocie. Twoje włosy stają się białe jak śnieg, tak jak jej. A potem, gdy serce pęka ci wreszcie z bólu, twoje ciało rozpada się w biały proch.

Ruchy Śnieżnobiałej Wdowy stały się bezwładne i płynne niczym u meduzy w oceanie. Rzucała swymi pasmami we wszystkich kierunkach, na jedną fascynującą chwilę zastygała z nimi w locie, by za moment z równie rozdzierającą powolnością je opuścić. Echo był do tego stopnia zafascynowany jej tańcem, że nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Powiadają, że Śnieżnobiała Wdowa pochodzi z planety, na której mieszka tylko śmierć - wyszeptał Eisspin - i że to sama śmierć ją stworzyła, by dowiedzieć się, jak to jest, gdy odczuwa się strach. To naturalnie bzdura! Śmierć mieszka w nas wszystkich i nigdzie więcej. Jednemu jednak nie da się zaprzeczyć, ona jest królową strachu.

Echo nieomal by zaprzeczył, ale poczuł, że pragnienie zbliżenia się do szklanego klosza, by wszystko dokładniej obejrzeć, jest coraz silniejsze, a wraz nim narasta strach.

Jeszcze nigdy żadne stworzenie nie oczarowało go do tego stopnia, równocześnie odstręczając.

Ostrożnie stawiał łapkę za łapkę i sunął pochylony, zbliżając się coraz bardziej do klatki, niczym podczas polowania na ptaki.

Śnieżnobiała Wdowa wykonała mały, powolny i niemal kokieteryjny skok, jak gdyby pragnęła jeszcze bardziej zwrócić na siebie uwagę Echa. Przez chwilę unosila się nad podłogą, obracając się przy tym wokół własnej osi, wytworna niczym umierająca roślina wodna opadająca na dno.

- Zdarzali się i tacy, którym Śnieżnobiała Wdowa ukazała swoje prawdziwe oblicze - opowiadał Eisspin. - Ponoć potem nie byli już tacy sami jak wcześniej. Niektórzy z nich spędzili życie, siedząc w kącie i bredząc pod nosem. I za każdym razem, kiedy zbliżało się do nich coś mającego włosy, zaczynali krzyczeć.

- Ona jest naprawdę piękna - wyszeptał Echo. Stał już przy samym kloszu, prawie dotykając nosem szklanej szyby. Jego strach niemal uleciał. - Jej ruchy są jak...

Nagle we włosach Śnieżnobiałej Wdowy coś się poruszyło. Dwa pasma rozdzieliły się niczym kurtyna, zza której ktoś rzuca dyskretnie spojrzenie na publiczność. Powstał owal, przez który wpatrywało się w niego oko. Echo wiedział, że było to oko, mimo iż nie miało ani tęczówki, ani źrenicy. Jednak czuł, że coś się w niego *wpatruje*, że za tymi włosami czai się coś złego i właśnie najskrupulatniej go studiuje. To lodowate spojrzenie powiedziało mu wyraźnie, że gdyby nie istniał oddzielający ich szklany klosz, byłby niechybnie martwy.

Echo zadrżał, jakby trafił go piorun, prychnął dziko, nastroszył ogon i jednym susem skoczył wprost w ramiona przeraźnika. Ten złapał go tak umiejętnie, jak gdyby właśnie na to czekał, i skrył krotka w swym szerokim rękawie.

- Popatrzyła na ciebie - powiedział Eisspin do skulonego krotka, który najchętniej nigdy nie opuszczałby już tej bezpiecznej ciemności. - Nigdy nie stało się to moim udziałem. Musi cię bardzo lubić. To naprawdę miłość od pierwszego wejrzenia.

Przeraźnicoznawstwo

Następnego ranka Echo nie był w stanie sobie przypomnieć, w jaki sposób wylądował w koszyczku. Musiał zwyczajnie zasnąć z wyczerpania w rękawie przeraźnika, co nie było niczym dziwnym po tych wszystkich męczących wydarzeniach. Chociaż przespał wiele godzin, czuł się całkowicie rozbity, a kończyny bolały go od zakwasów.

Eisspin przyszykował mu obfite śniadanie: miskę kakao, talerz jajecznicy z chrupiącym boczkiem i pieczonymi kielbaskami, jak również trzy wypełnione miodem rożki, które położył obok jego posłania. Echo natychmiast się na nie rzucił, nie pozostawiając ani okruszka, a następnie udał się na dach, aby omówić z Fiodorem F. Fiodorem wydarzenia ostatniej nocy.

Przeraźnik krzątał się po swoim laboratorium i był całkowicie pogrążony w pracy. Zwracał na Echo równie niewiele uwagi jak skóroperze, które popiskując i pochrapując, trawiły wypitą krew. Po wszystkich tych przytłaczających i posępnych przeżyciach Echo rozkoszował się świeżym powietrzem i widokiem z dachu. Tutaj można było odetchnąć. Udał się do donicy z krocimiętką, którą obwąchiwał tak długo, aż poczuł jej kojące i wprawiające w euforię działanie. Potem wspiął się do góry na komin Fiodora.

- Mówiłem ci, że on ma swoje drogi i sposoby - przypomniał mu Fiodor, kiedy krotek zdał mu relację ze swej nieudanej próby ucieczki i spotkania ze Śnieżnobiłą Wdową.

- Ale w jaki sposób to zrobił? - zapytał Echo. - No bo przecież nie potrafi czarować ani nic podobnego. A mimo to byłem jak zaczarowany. Przybiegłem do niego z powrotem, jak gdyby ciągnął mnie na długiej niewidzialnej smyczy. Jakbym lunatykował w biały dzień.

- Nie wiem, w jaki sposób to funkcjonuje, ale najwyraźniej funkcjonuje. Ma swoje drogi i sposoby. Drogi i sposoby.

- No to świetnie! Byłem już niemal jedną nogą za miastem. I co mam teraz zrobić? Eisspin wie już, że chcę zwać. Być może właśnie z tego powodu zabije mnie wcześniej, żeby uniemożliwić mi kolejną próbę. Przed chwilą w laboratorium traktował mnie, jakbym był powietrzem.

- To racja, wasze wzajemne zaufanie zostało nadwerężone. Mleko się rozlało, że tak powiem.

- Naprawdę nie widzę już dla siebie ratunku. Nie mogę zrobić nic innego, jak tylko czekać, aż mój czas dobiegnie końca.

Fiodor popatrzył na krotka z takim politowaniem, że temu zrobiło się aż nieprzyjemnie.

- Słuchaj, mój chłopcze! - powiedział po chwili. - Myślałem nad twoim broplemem.

- Ach tak? I z jakim skutkiem?

- Z takim, iż doszedłem do wniosku, że należy opowiedzieć ci nieco o przeraźnicach.

Echo machnął łapką.

- Nie chcę wiedzieć niczego na temat przeraźnic. Zawsze schodziłem im z drogi.

- A dlaczego to robiłeś?

- No cóż... nieprzyjemnie pachną.
 - To dopiero armugent! Przeraźnice w istocie wydzielają zapach, do którego trzeba się przyzwycząić. Ale z jakiego powodu jeszcze?
 - One, eee, podobno przynoszą nieszczęście.
 - Wierzysz w takie rzeczy?
 - Nie, pewnie że nie! - powiedział Echo. - Ale nie wierzę też w to, że przejście pod drabiną przynosi pecha. A mimo wszystko pod nimi nie przechodzę. Stare przyzwyczajenie.
 - Można to również nazwać zabobnem. Czary-mary.
 - Zwij to, jak chcesz.
 - A jak myślisz, co robią przeraźnice, o ile akurat nie zajmują się przynoszeniem nieszczęścia? - zapytał Fiodor.
 - Kradną małe dzieci i gotują z nich zupę.
 - Co proszę?
 - To był tylko żart. One, o, przepowiadają przyszłość.
 - Aha. I co jeszcze?
 - Przyrządzają balsamy i napoje przeciw chorobom, bólom zębów, kurzajkom i takim tam.
- Fiodor uniósł prawe skrzydło.
- Podsumuję: przepowiadają ludziom przyszłość i pomagają im miksturami przeciw chorobom.
 - Właśnie.
 - A dlaczego schodzi się im z drogi?
 - Nie mam pojęcia. Nie wiem. O rany, nie mam nic przeciwko przeraźnicom! Tylko nie bardzo lubię je wachać.
 - A skoro nie robią właściwie nic złego, jedynie rzeczy dobre lub przynajmniej niegroźne, to dlaczego twoim zdaniem są tak źle traktowane w Sledwai?
 - A skąd mam to wiedzieć? - jęknął Echo.
 - No, z powodu Eisspina! Bo podburza przeciw nim ludzi.
 - Ach tak. Tak, może tak być. Píše nawet książki na ten temat.
 - Prawda. A dlaczego podburza ludzi przeciwko przeraźnicom?
- Echo stęknął.
- No stary, czy to przesłuchanie? Przecież to ja zadaję zawsze pytania!
 - No dobrze, powiem ci: ponieważ Eisspin boi się przeraźnic.
 - Trudno mi to sobie wyobrazić. On się niczego nie boi. Nawet Śnieżnobiałej Wdowy.

- Każdy się boi. Być może przeraźnice wiedzą coś na temat Eisspina. Albo on wie na ich temat coś, co go przeraża. Czy nie byłoby ciekawie się tego dowiedzieć?

- No dobrze, być może boi się przeraźnic. A jeśli nawet! W jaki sposób ma mi to pomóc?

- Jeśli ktokolwiek w Sledwai łamał sobie głowę nad tym, w jaki sposób poradzić sobie z Eisspinem, były to przeraźnice. Być może są twoją jedyną nadzieją.

Echo zamyślił się.

- Cóż, a w mieście są jeszcze w ogóle jakies przeraźnice? Od wieków żadnej nie widziałem.

- W rzeczy samej, przeraźnikowi udało się przepędzić ze Sledwai większość przeraźnic. Odwalił dobrą robotę. Ale jest jeszcze jedna, wiem o tym. Od czasu do czasu widuję ją podczas moim lotów zwiadowczych, jak zbiera zioła w Kumaczym Lesie.

- I w jaki sposób mam ją znaleźć? - biadolił Echo. - Nie byłem jeszcze nigdy w Kumaczym Lesie.

- Ale ona tam nie mieszka. Tylko w samym środku Sledwai. W Zaułku Przeraźnic.

- Jesteś pewien?

- Przeraźnicom nie wolno mieszkać gdzie indziej. To całkiem proste: ponieważ wszystkie przeraźnice wywędrowały oprócz właśnie tej jednej, musisz jedynie udać się nocą do Zaułka Przeraźnic. W domu, w którym będzie się paliło światło, mieszka ona.

- Twierdzisz, że mam iść w środku nocy do Zaułka Przeraźnic? - Echa przeszły ciarki.

- Znasz historie, które opowiadają o tej dzielnicy?

- Tak, znam je. Złe historie.

- Łagodnie mówiąc. Wystarczająco złe, by unikać tego zaułka podczas nocy. Moja łapka jeszcze tam nigdy nie powstała.

Fiodor spojrział poważnie na krotą.

- Twoja nadzieja w ostatniej przeraźnicy w Sledwai. Obawiam się, że tylko ona może cię uratować.

- No dobrze - powiedział Echo, by zakończyć ten nieprzyjemny temat. - Być może masz rację. Warto byłoby spróbować.

- A więc nie zwlekaj zbyt długo! - zalecił Fiodor. - A teraz opowiedz mi więcej o Śnieżnobiałej Wdowie! Czy to, co widziałeś, było naprawdę okiem? Inteserujące, inteserujące.

Złota Wiewiórka

Od czasu swej nieudanej ucieczki Echo zdawał się tracić wszelką odwagę. Za to jego zamięłowanie do jedzenia i spania rozrosło się do budzących obawy rozmiarów. Do przytłaczających przemyśleń na temat przyszłości, które ciągle musiał w sobie tłumić, dołączył jeszcze deprymujący obraz Śnieżnobiałej Wdowy. Porządne posiłki i odrobina snu najlepiej pomagały mu o tym zapomnieć.

Przeraźnik dbał o jego wygody, jak tylko mógł. W całym domu porozmieszczał małe przekąski, tu talerz z kielbasą jagnięcą, tam miseczkę ryżu z mlekiem. Coraz częściej używał masła i śmietany, cukru i sera, mąki i smalcu, rezygnując za to ze zdrowego jedzenia - owoców, sałatek i warzyw. Gęsia wątróbka lub kaszanka, metka wieprzowa albo ciasto czekoladowe, boczek bądź wędzona makrela - Echu było wszystko jedno, żarł wszystko, co znalazło się na stole. Jego żołądek rozciągnął się tymczasem niczym bukłak i był równie twardy jak blaszana puszka. Mądre nawyki żywieniowe ruchliwego krotka dawno już ustąpiły miejsca żarłoczności niedźwiedzia szykującego się do zimowego snu.

Jego gwałtownie postępująca otyłość była również jednym z powodów, dla których coraz rzadziej udawał się na dach. Balansowanie po stromych gontach i wspinanie się po schodach stawało się coraz większą mordęgą. Któregoś razu stracił nawet równowagę i zsunął się po skosie, a od upadku w przepaść uratowało go jedynie złapanie się komina. Od tego incydentu w ogóle nie wchodził na dach, przez co od wielu dni nie miał kontaktu z Fiodorem.

Trudną wyprawę do Zaułka Przeraźnic przesunął na jakąś inną okazję. Wolał pozostać w zamku i przechadzać się ociężale po korytarzach, zazwyczaj w poszukiwaniu czegoś do jedzenia. Jego jedynym towarzyszem był Gotowany Upiór, a to Echu bardzo odpowiadało, ponieważ ten nie stawiał mu żadnych skomplikowanych ani niewygodnych pytań i nie naciskał, żeby w godzinie duchów szwendać się po osławionym Zaułku Przeraźnic. W towarzystwie koszuli odważył się na zwiedzanie niemal wszystkich pięter zamku, nawet tych najniższych, gdzie znajdowała się większość niesamowitych mumii Eisspina.

Którejś nocy wędrowali właśnie razem po parterze, gdy Gotowany Upiór, wbrew swemu zwykłemu zachowaniu, wysunął się nagle na prowadzenie. Powiewał nerwowo z przodu, najwyraźniej, by ponaglić Echo.

- Hej! Dokąd ci tak spieszno? - zawołał Echo i nie czekając na odpowiedź, przyśpieszył kroku. Nie chciałby stracić tu, na dole, towarzystwa. Znajdowali się bowiem w najbardziej niesamowitej części zamku, w starych salach dla chorych z czasów, kiedy dom

był jeszcze zakładem dla obłąkanych. Śpieszyli wysokimi i przestronnymi pomieszczeniami o pobielonych wapnem ścianach i sufitach, oświetlonymi jedynie skąpym światłem księżyca, wpadającym sporadycznie przez okna. Pokoje dla chorych zastawione były zardzewiałymi łózkami, z których nadal zwisały kajdany do pętania pacjentów. Z sufitów zwisały olbrzymie, pozbawione ozdób świeczniki, niektóre z nich spadły i leżały na zakurzonej podłodze niczym truchła padniętych ptaków. W powietrzu unosił się delikatny świst, którego pochodzenia Echo nie był w stanie wyjaśnić.

Pomyślał o tajemniczej chorobie umysłowej, która, być może, nadal się tutaj czai. Wyobrażał ją sobie jako chudy cień na cienkich nóżkach, który może spaść na niego z ciemności niczym podstępny drapieżnik. Echo jeszcze bardziej postarał się, by dotrzymać kroku koszuli i jak najszybciej mieć już za sobą sale dla chorych. Wkrótce dotarli do obszarów, w których doktorzy praktykowali swe średniowieczne metody, będące często o wiele bardziej szalone niż symptomy, które miały zwalczać. Były tu zardzewiałe aparaty i maszyny przypominające raczej instrumenty tortur niż narzędzia medyczne. Widział olbrzymie baterie alchemiczne pokryte śniegami, do których podłączano pacjentów. Były tam żelazne klatki, które umieszczano w basenach, wypełnianych wówczas zimną wodą. Pordzewiałe wiertła, piły z zaschniętą krwią. Echo nie śmiał sobie wyobrażać, co też wariaci robili z tymi narzędziami, gdy przejęli już władzę.

Wreszcie pomieszczenia stały się mniejsze, przejrzystsze i mniej przygnębiające. Tu zamieszkiwał personel, znajdowały się sypialnie i jadalnia, podniszczona kuchnia szpitalna osnuta pajęczynami. Wtedy Gotowany Upiór nagle się zatrzymał, powiewając przez chwilę jak chorągiew podczas burzy, wleciał w sam środek murów i zniknął.

Pozostawiony nagle samemu sobie Echo uległ przytłaczającej mocy strachu. Jeszcze nigdy nie był w tej części zamku, nie wiedział też, jak stąd wyjść. Chyba że sam pokona drogę powrotną przez upiorne sale chorych.

Jakby tego było jeszcze mało, Echo usłyszał nagle wiele żalonych, przesywających go do szpiku kości odgłosów. - Dlaczego brzmiały one tak znajomo? Może były to duchy szalonych pacjentów, którzy tu umarli? Do jakich okropności byłby zdolny duch, który stracił nie tylko swe życie, lecz również rozum? A może sam zwariowałem, zainfekowany tajemniczą chorobą, która nawiedziła to miejsce?

- Światło! - zawołał. Z sąsiedniego pomieszczenia przez uchylone drzwi wydostawał się blask i wcale nie był to blask księżyca. Przypominał raczej blask ognia na kominku. Echo prześliznął się z bijącym sercem i zajrzał ostrożnie do środka.

Zobaczył zatęchłą bibliotekę, zapchaną starymi książkami i oświetloną uroczyście wieloma świecami. Na środku pomieszczenia, nad wysokimi stosami foliałów, unosił się Gotowany Upiór. Echu spadł kamień z serca. Usłyszał zwielokrotniony jęk i pojął, że nie były to zwyczajne świece, lecz bolejące, w ilości, jakiej nigdy jeszcze nie widział w żadnym pomieszczeniu.

Wszystko było teraz jasne: Eisspin niedawno tutaj był, Echo zwiertzył jego nieprzyjemny zapach i widział ślady stóp odcisnięte w kurzu. Księgozbiór składał się z literatury fachowej dla psychiatrów. Były tu książki objaśniające, w jaki sposób odvodnić mózg albo wyssać komuś demona przez ucho, jak leczyć urojenia upuszczaniem krwi czy histerię piciem herbatki z bielunia. Przerożnik zapalił wszystkie bolejące świece, by przestudiować stare tomiszczą z trudnymi do odszyfrowania, naniesionymi ręcznie notatkami, a następnie opuścił pomieszczenie, nie uwalniając świec od ich męki.

I choć Gotowany Upiór nie miał zmysłu słuchu, jednak wydawał się zdolny do odczuwania bólu, jaki przeżywały bolejące świece. Upiór nie mógł najwidoczniej dłużej znieść męczarni alchemicznych stworzeń, powiewał bowiem teraz niespokojnie, jak jeszcze nigdy wcześniej, co chwila pokazując swe upiorne oblicze. Echo zrozumiał, że prosił go o uwolnienie bolejących świec od cierpienia.

Krot zabrał się natychmiast do pracy. Wspinał się na góry foliałów, wdrapywał na stoły i krzesła, na pulpity do czytania i regały, gasząc łapką płomień za płomieniem. Jak zwykle objedzony, z trudem sprostał swemu zadaniu, łapiąc ciężko oddech, lecz w końcu w bibliotece zaczęło się robić coraz ciemniej, żalosne jęki stawały się rzadsze i słabsze. Zamiast nich słychać było westchnienia ulgi. Wreszcie pozostał tylko jeden płomień. Kiedy się nad nim pochylał, dostrzegł kolejną bolejącą świecę, której dotychczas nie zauważył. Po chwili poznał, że nie była to prawdziwa świeca, tylko jej odbicie w srebrnej tacy opartej o regał. I w tym zakurzonej zwierciadle Echo zobaczył również, po raz pierwszy od długiego czasu, siebie samego.



Własny widok wcale go nie ucieszył. Był wręcz przerażony i zawstydzony. W zwierciadle zamiast krota Echo ujrzał karykaturę przypominającą nadmuchany balon. Czy to krzywe lustro? - zdziwił się i odsunął od świecy.

- Do stu myszy! - wydyszał. - To ja tak wyglądam? Nagle pomieszczenie rozświetlił oślepiający blask. Echo przeraził się, myśląc, że w bibliotece wybuchł pożar, ale światło nie wytwarzało ciepła i nie pochodziło od płomieni. Towarzyszyło mu głębokie, kojące mruczenie, a na środku pokoju ukazała się wiewiórka, świetlista niczym płynne złoto. Uśmiechnęła się przyjaźnie do Echa.

- Wiem, co sobie teraz myślisz - pisnęła wiewiórka - i od razu mogę cię uspokoić. Nie, nie jestem chorobą umysłową, w którą właśnie popadasz. Łatwo o taką myśl w tych pomieszczeniach, to przecież było wariatkowo, prawda?

Oszołomiony Echo skinął głową.

- Nie, jestem tylko przejściową halucynacją albo ujmując to precyzyjniej: projekcją telepatyczną wytworzoną przez siłę duchową najwyższego formatu - mówię tu o Dolinie Dumających Jaj. Coś ci świta? Jestem pierwszym oświeceniem spływającym na ciebie w wyniku konsumpcji owocu z Drzewa Orzechowienia.

Echo starał się uspokoić. Orzechy z Drzewa Orzechowienia - całkowicie o nich zapomniał.

- Wyjaśnianie ci teraz, czym są Dumające Jaja, to zbyt wiele - paplała wiewiórka. - Po pierwsze, nie da się tego wyjaśnić, po drugie, nie chodzi tutaj o nie, lecz o ciebie.

- Rozumiem - powiedział Echo.

- Nie, nic nie rozumiesz. Pozwól mi się wygadać, bo z tego powodu tutaj jestem. Aby wszystko ci wytłumaczyć, żebyś w pełni to zrozumiał. A więc nigdzie indziej w Camonii, nawet w mózgach Eydetów nie myśli się tak precyzyjnie i z taką koncentracją, jak w Dolinie Dumających Jaj. Nie, słowo „myślenie” nie jest właściwym określeniem na to, co tak naprawdę robią te olbrzymie jaja. Ich myślenie jest do tego stopnia głębokie i ciężkie, że właściwie trzeba by je nazwać mięśnieniem. To nie myślenie, tylko mięśnienie. Nie ma znaczenia, skąd przybyły jaja. O wiele istotniejsze jest, dokąd pójdą, kiedy zakończą swą telepatyczną dyskusję i proces filozoficznego poznania. Ponieważ wówczas rozstrzygną się losy Camonii - ni mniej, ni więcej.

Echo starał się okazać stosowne zainteresowanie.

- To była informacja wyższego szczebla - powiedziała wiewiórka i zamachała łapkami w powietrzu. - A teraz wróćmy do twego osobistego oświecenia. Dumające Jaja wiedzą o

wszystkim - bez wyjątku o wszystkim: co dzieje się w Camonii, co się wydarzyło i co się wydarzy. Również o twoich małych osobistych problemach.

Echo wcale nie uważał swoich problemów za małe, ale uznał, że to nieodpowiednia chwila, aby zaprzeczać.

- A więc obraz w lustrze pokazał ci, że nie tylko odrobinę przybrałeś, ale że uległeś fundamentalnej przemianie. Czy to prawda?

- Można tak powiedzieć - Echo spuścił oczy.

- Tak, można. Ale to byłoby zbyt dyplomatyczne, sformułowane niewystarczająco dosadnie. Zmieniłeś się w inną osobę, i to wcale nie lepszą. Wyglądasz jak salceson w krociej sierści, jak karykatura krota. Wszystko, co wyróżniało cię do tej pory jako krotka dzięki cechom fizycznym, twoja niemal pozaziemska elegancja, aerodynamiczna anatomia, twoja lekkość, twoja równowaga - wszystko ustąpiło nieforemnej masie, workowi pełnemu tłuszczu.



Po ciele Echa przebiegł dreszcz. Ta milusia wiewiórka potrafiła ranić mocniej niż przeraźnik - pomyślał.

- Tłuszcz. Niechętnie słuchasz tego słowa, przypomina ci bowiem o czymś bardzo nieprzyjemnym. Przeraźnik wyrył ci na ciele swą żądzę tłuszczu. Gromadzi się on na twoich żebrach i zwisa z ud. To ten tłuszcz, który on chce wygotować z twego ciała. Jesteś chodzącym ucieleśnieniem umowy z Eisspinem. Jesteś swoim własnym wyrokiem śmierci. Czy *teraz* wyraziłam się wystarczająco niedyplomatycznie?

- Tak - powiedział bezbarwnie Echo.

- Dobrze. Ponieważ oświecenie, którego pragną udzielić ci Dumające Jaja, jest nie tylko obiektywnym stwierdzeniem, że stałeś się za gruby, lecz także wnioskiem, jaki masz z tego wyciągnąć.

- Muszę schudnąć - wyszeptał Echo.

- Dokładnie! - zawołała wiewiórka i klasnęła w łapki. - Nie jest to wyjątkowo złożony wniosek, lecz fundamentalny. Wpłynie pozytywnie na twoje życie.

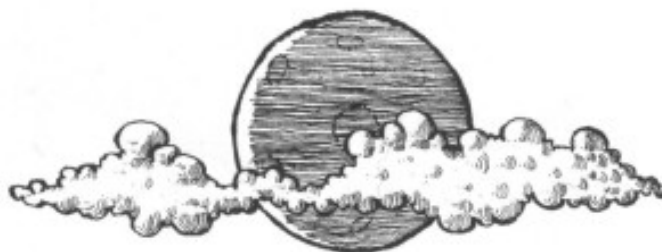
Światło osłabło, a Złota Wiewiórka stawała się coraz bledsza.

- I to wszystko na dzisiaj - powiedziała. - Zobaczymy się wkrótce znowu, przy drugim oświeceniu. Do tego czasu zalecam ci jak najwięcej ruchu.

Czarowne światło wygasło do końca i wiewiórka zniknęła.

Echo zbliżył się do bolejącej świecy i rzucił ostatnie spojrzenie na swe lustrzane odbicie. Ociężały, skruszały, gotowy do zarżnięcia - takie słowa przychodziły mu na myśl, gdy spoglądał na swe tłuste ciało.

Echo zgasił łapką płomień ostatniej bolejącej świecy i całkowicie ciemną już bibliotekę wypełniło głębokie westchnienie ulgi.



Kaszanka i krwawa zachcianka

- Przydałoby mi się nieco ruchu - powiedział mimochodem Echo, gdy następnego dnia przeraźnik przygotowywał kolację. - Trochę lżejsze pożywienie też by mi dobrze zrobiło. Mógłbyś dziś nie uwzględniać masła i słodkości?

Eisspin nadstawił uszu.

- A dlaczego? - zapytał. - Już ci nie smakuje?

- Wręcz przeciwnie i na tym polega problem - odpowiedział Echo.

- Smakuje mi za bardzo. Robię się za gruby.

- Ale taki bardzo mi się podobasz - powiedział Eisspin. - Do twarzy ci z krągłościami.

- Nie wątpię, że podobają ci się moje krągłości. Ale czuje się nieprzyjemnie. Nie odważam się już nawet wychodzić na dach, bo boje się, że spadnę na dół. Nie umawialiśmy się, jak bardzo mam być gruby. Wydaje mi się, że tyle już wystarczy.

Eisspin zdjął z ognia ciężką żeliwną patelnię.

- Jak sobie życzysz! - powiedział. - Jakość twego tłuszczu zależy też od twego osobistego samopoczucia. Przecież wiesz, że szczęśliwe kury znoszą lepsze jaja. Chcę, abyś czuł się dobrze, kiedy będziesz umierał.

Echo westchnął. Eisspin miał dobry humor i znów było mu wszystko jedno, co mówi. Najwyraźniej powiodły mu się eksperymenty, które jeszcze bardziej przybliżyły krokta do grobu.

- Ale małą kaszaneczkę chyba jeszcze wciśniesz - zapytał przekaźnik - skoro już ją upiekłem? Co?

- No dobrze - odpowiedział Echo, czując, że robi się głodny.

Eisspin przyprawił ją porządnie curry i zaserwował. Echo natychmiast się na nią rzucił i połknął w trzech kęsach.

- Niezła - pochwalił.

- Powiedz mi - zapytał przeraźnik - czy śniło ci się może kiedyś, że jesteś skóroperzem?

- Skóroperzem? Dlaczego miałbym śnić o byciu akurat tak obrzydliwym zwierzęciem?

- Echo wylizał sobie łapki do czysta.

- Skóroperze uważane są za brzydkie tylko przez inne istoty. Gdybyś był skóroperzem, uważałbyś, że jesteś piękny.

- Tak, wiem - powiedział Echo. - Góra jest dołem, a brzydkie jest piękne.

- Skóroperze potrafią latać - stwierdził Eisspin.

Echo zawahał się.

- Racja - przyznał - robiły przecież coś jeszcze prócz zwisania głową w dół na strychu.

Gdybym chciał być innym zwierzęciem, to na pewno takim, które potrafi latać.

- I potrafią orientować się w ciemnościach. Polować w całkowitym mroku. Niewiele zwierząt potrafi takie rzeczy.

- To prawda. To dość osobliwe ptaszki.

- Żadne ptaszki, tylko wampiry! To jest w nich właśnie najlepsze - powiedział Eisspin - że skóroperze są wampirami.

- Co ma być w tym dobrego? - zdziwił się Echo.

- No daj spokój - wyszczerzył zęby w uśmiechu Eisspin. - Jesteś młody. W twoim wieku każdy chciałby być wampirem. Latać! Pić krew! Być postrachem wszystkich! Samym szumem skrzydeł mógłbyś siać wśród ludzi strach i przerażenie.

Eisspin mógł mieć rację. Trzeba przyznać, że myśl o byciu postrachem wszystkich była pewnego rodzaju pokusą.

- Racja - powiedział Echo. - Mogłoby być przyjemnie.

- Zakładałem, że będziesz zainteresowany - powiedział z uśmiechem przeraźnik. - Jesteś już, że tak powiem, na dobrej drodze.

- Na dobrej drodze? - zapytał Echo. - Dokąd?

- Do towarzyszy nocy. Do wampirów. To, co zjadłeś, to kaszanka ze skóroperza.

Echo odskoczył od talerza.

- Co? - zawołał przerażony. - Zabijasz skóroperze?

- Nigdy bym tego nie zrobił - machnął ręką Eisspin. - Ale skóroperze umierają tak samo, jak inne istoty żywe. Czasami jakiś spada z belki. Potem je zbieram.

Echu zrobiło się niedobrze.

- To obrzydliwe - powiedział.

- Wcale nie. Nawet całkiem ci smakowało. Przyznaj się!

Trudno było Echu skłamać w tej materii po tym, jak z taką rozkoszą delectował się tą kiełbaską.

- W zasadzie to wszystko smakuje dobrze - powiedział Eisspin - jeśli przyprawimy to curry. Nie używam tej przyprawy zbyt często, po prostu za bardzo ułatwia sprawę. Mógłbym przygotować kit do okien z curry i też by ci smakował. Swoją drogą marynowałem to mięso przez tydzień w błękitnej herbacie z ziołem obłędu i hypnianem. Działanie metamorfozujące pochodzi więc od niegorszych rodziców i powinno wielokrotnie przewyższyć oddziaływanie

łososiowego klopa. Pozdrów ode mnie skóroperze! Zaczynasz już wykonywać te swoje ruchy.

- Co? - zapytał Echo. - Co się ze mną dzieje?

Twarz Eisspina rozciągnęła się i zniekształciła, zamieniając się w wirującą spiralę, kręcący się wir, który porywał za sobą wszystko, meble, całe pomieszczenie - a wreszcie samego krota.

Przez parę chwil otaczała go absolutna czerń. Szum wiatru. Zimno. Potem Echo zebrał się wreszcie na odwagę, by otworzyć oczy.

Znajdował się wysoko, wysoko w powietrzu. Pod nim, w dole, rozciągała się Sledwaya, w wielu domach paliło się światło. Wszędzie dookoła niego, na tle księżyca i pędzących po nocnym niebie chmur, przelatywały setki małych błyskawic - byli to jego towarzysze, skóroperze.

Jestem skóroperzem - pomyślał Echo. - I potrafię latać.

Na wieczorne niebo z otworu w dachu zamku wylała się rzeka wampirów.

- Nocy czas!

- Łowów czas!

- Krwi czas!

- Strzeżcie się zasłon! - wychrypiał jeden frunący tuż obok Echa, a ten dziwnym trafem był pewien, że to Vlad Osiemset Osiemdziesiąty Siódmy.

- Tak, strzeżcie się zasłon! - krzyknął kolejny.

Następnie, niczym na tajemny znak, cała sfora runęła w dół na miasto.

Echo jeszcze nigdy w swoim życiu nie czuł się tak wolny. Ujęto mu ziemskiego ciężaru, cały jego tłuszcz zniknął. Był teraz za to zwinnym skóroperzem o potężnych skrzydłach. Skrzydła! Posiadał skrzydła i sama ta myśl wypełniała go głębokim uczuciem szczęścia. Wydawały się działać same z siebie, były regularnie w górę i w dół. Naturalnie - pomyślał Echo. - Ja też nie muszę przecież stale mówić moim nogom, co mają robić. Nie muszę uczyć się latać. Już to umiem.

Sledwaya wyglądała z góry niczym rozbita na setki małych kawałeczków dachówka. Szczeliny to uliczne wąwozy miasta, oczekujące, aby je zbadać. Echo odczuwał dziką przyjemność, nurkując w tych wąwozach, żeglując pomiędzy narożnikami oraz zakrętami i wypróbować swą nowo nabytą sztukę latania w labiryntach miasta.

Z drugiej strony, czyż nie była to idealna okazja do ucieczki. Z tymi skrzydłami dostać się tam, w góry, w ciągu paru minut to pestka - planował - a potem jeszcze dalej. Ale Echo za bardzo stał się już skóroperzem, wampirem, aby wciąż myśleć swoim kroczym rozumkiem.

Znalazł się tutaj z bardzo konkretnego powodu - aby pić krew. Jako wampir znał bowiem naturalne przyczyny swej żądzы krwi. Gdyby nie przestrzegał wiecznego cyklu picia i trawienia czerwonego soku życia, jego komórki rozpadłyby się, a on umarłby bolesną śmiercią. Był to wystarczający powód, aby podążać za nowymi pobratymcami.

Echo złożył skrzydła i zaczął lecieć w dół niczym kamień. Swobodne spadanie dla stworzeń niezdolnych do latania byłoby absolutnie przerażającym przeżyciem. Skóroperzom zaś dawało poczucie swobody wolnej od myśli o poranieniu czy śmierci. Był to też najprostszy sposób na jak najszybsze pokonanie przestrzeni. Echo poczuł, że może spotęgować uczucie swobodnego spadku, przyspieszając lot kilkoma silnymi uderzeniami skrzydeł. Zwierzęta ze skrzydłami muszą być naprawdę szczęśliwymi stworzeniami - pomyślał absolutnie upojony własną śmiałością.

Ledwie parę metrów nad dachami rozłożył skrzydła, wyhamował i pozęglował lotem ślizgowym pomiędzy kominami i wiatrowskazami, słupami dymu i drzewcami chorągwi. Teraz władał całym miastem! Z góry mógł zaglądać na tylne podwórka, do ukrytych ogrodów, poprzez okna w dachu w oświetlone izby. Mógł wybrać każde miejsce w świecie dachów Sledwai i uczynić z niego swe lądowisko. Każda wieża, każdy komin, każdy wierzchołek drzewa należały do niego. Nie musiał już z takim trudem się wspinać. Teraz mógł na nie po prostu opaść. Ale o tym na razie nie myślał. Kto by chciał siedzieć, skoro może latać?

Echo eleganckim łukiem zanurzył się w ulicę Apteczną, która teraz, już po zamknięciu sklepów, pogrążona była w ciemnościach. Wysoko w górze starczało mu światło księżycy i jego własne oczy, jednak tu, wśród nocnych cieni ulicznych wąwozów, potrzebował szczególnego zmysłu orientacji - tu musiał patrzeć uszami! Zamknął oczy, ufając całkowicie swym zdolnościom. Nie był już krotem przemienionym chwilowo w skóroperza, o nie, był w pełni skóroperzem. Wampirem i zawadiaką, krwio pijcą i demonem nocy, który ledwie pamiętał, że był kiedyś krotem. Umysł, słuch, wewnętrzne oko, skrzydła, zmysł równowagi - wszystko to funkcjonowało w doskonałej harmonii, niezakłóconej jakimikolwiek wątpliwościami, jakimikolwiek strachem.

Wydał cztery, pięć krótkich dźwięków, niesłyszalnych dla większości uszu, które w jego wewnętrznym oku rozświetliły ulicę Apteczną magicznym blaskiem wielokrotnie odbitego echa. Widział jej całą powierzchnię, ulicę, bruk, krawężniki, chodniki, mury domów, ich okna, drzwi i dachy, wygaszone latarnie uliczne i tablice reklamowe na aptekach, wszystko w jednym jedynym kolorze: świetlistym błękicie.

Echo, jakże teraz pasowało do niego to imię, lepiej niż kiedykolwiek wcześniej! Nie dostrzegał jedynie tego, co skrywało się za wielkimi witrynami aptek i za pozostałymi oknami, rejestrował bowiem jedynie powierzchnię tego wszystkiego, na czym załamywał się dźwięk. Okna w szybach jawiły mu się jako świecące niebieskie czworoboki, niczym ciche powierzchnie wody w kwadratowych zbiornikach. Na chodnikach dostrzegł swym uchem ludzi: dwóch strażników, paru chorych w drodze do nocnej apteki, powracających do domu pracowników tkalni bandaży, niektórzy nieśli latarnie. Echo czuł prawdziwą radość z tego, że ich widzi, choć dla nich jest niewidzialny. Mógłby zaraz się na nich rzucić i wgrzyźć w szyje. Nim usłyszeliby szum jego skrzydeł, byłoby i tak za późno. Ale na razie chciał jedynie poprzestać na samej radości myślenia o tym.

O wiele bardziej pragnął teraz latać, tylko latać. W dół ulicy Aptecznej, a potem skręcić w inny korytarz z domów - to, co krotkowi na czterech nogach wydawało się niebezpieczną przygodą, teraz było jedynie kwestią paru niedbałych ruchów skrzydłami. Opuścił prawe skrzydło, uderzył silniej lewym i już z szumem skręcał niczym na niewidzialnych szynach.

Dostrzegł w dole psy. Całą sforę, pięć sztuk - duże groźne bydlaki, pokryte bliznami dzikie kundle o zmierzwionej sierści. Z pewnością wybrały się na poszukiwania jakiegoś mniejszego, słabszego zwierzęcia, aby je zaszczuć i rozszarpać na strzępy.

Psy - pomyślał Echo - a wcale nie wzbudzają we mnie strachu. Gdybym znajdował się teraz w dole jako krotek, byłbym załatwiony. Nie uszedłbym cało nawet do końca ulicy.

Nie zastanawiając się długo, Echo przestał machać skrzydłami, ustawił je poziomo i wyhamował lot. Następnie przeszedł w korkociąg, kierując się w dół na psy.

Byłoby zabawnie trochę je pogonić - pomyślał. Dwa kundle nawet znał, raz o mało nie zaszczułyby go na śmierć, gdyby nie uratował się ucieczką na dach.

Echo wpadł pomiędzy psy i świsnął niczym uderzenie bicia. Niczego im nie zrobił, nawet ich nie dotknął, fuknął tylko dziko i uderzył skrzydłami. Jednak to w zupełności wystarczyło, by olbrzymie bestie rozbiegły się we wszystkich kierunkach, ujadając dziko. Echo poszybował w górę, by przyjrzeć się ich ucieczce.

Psy biegały w panice po całej ulicy, kręciły się dokoła bez celu i po chwili ponownie zbiegły się w to samo miejsce.

- Co to było? - ujadął jeden z nich.

- Cholerny skóroperz - zawołał drugi. - Pojawił się znikąd!

- Przeklęte bydlaki! Przenoszą niebezpieczne choroby. Mój brat został pogryziony przez jednego z nich i od tej pory gada same bzdury.

Echo zwinął skrzydła, rzucił się w dół i gdy znalazł się nad psami, rozłożył je, gwałtownie hamując i robiąc przy tym sporo huk. Sfora ponownie rozbiegła się, ujadając, a Echo podążył za jednym z psów. Był to jeden z tych, które go wówczas goniły, wielkie muskularne bydlę z potężną szczęką. Niewiarygodne - pomyślał Echo - on się boi myszy! Odnosił wrażenie, że pies porusza się w zwolnionym tempie. Z łatwością deptał mu nieustannie po piętach. Echo podleciał bardzo blisko jego ucha i wysyczał: - Jestem tuż za tobą!

Pies zaskomlał ze strachu, pognął jeszcze szybciej, próbując się przy tym odwracać i chapnąć prześladowcę zębami. Z perspektywy Echa przebiegało to tak powoli, że mógł z łatwością umknąć oślinionym szczękom i zniknąć wśród nocnego nieba. Pies nabrał jednak takiego rozpędu, że nie był w stanie się zatrzymać, kiedy spostrzegł, że biegnie wprost na mur. Płasnął o niego niczym wór kości i padł nieprzytomny na bruk.

Echa ogarnęła ogromna radość. Pogonił psa! Przeraził całą sforę! Uliczne kundle najgorszego gatunku, prawdziwych kilerów! To było istne krocie marzenie. Pomyśl Eisspina, by przekształcić go w skóroperza, naprawdę mu się spodobał. Te bydlaki mają teraz za swoje - ta świadomość sprawiła mu piekielną frajdę! A noc dopiero się rozpoczęła.

Echo stłumił pragnienie dalszego męczenia psów. Było to kuszące, ale jego wampirza egzystencja nie będzie trwała wiecznie, nie chciał zmarnotrawić jej na kilka głupich kundli. Skręcił więc w ulicę Szpitalną, położoną w jego dawnym rejonie. Przez okna znajdujących się przy niej szpitali dolatywały osobliwe zapachy. Co prawda dla krotka były zawsze bardzo nieprzyjemne: środki do dezynfekcji, eter, ropa, jod, ale dla skóroperza to niebiańskie wonie. Wskazywały bowiem drogę do bezbronnych ofiar, leżących w łózkach, pogrążonych w omdleniu lub we śnie, otępiałych i na wpół martwych. I owszem, był tam również zapach krwi. Ogromnych jej ilości. Kleiła się do wszystkiego: skalpeli, fartuchów i prześcieradeł. Stała w wiadrach i wannach w salach operacyjnych, ściany były nią całe zbryzgane. Szpital to oprócz Skórczanego Mauzoleum najpiękniejsze miejsce w Sledwai, skóroperze serce biło właśnie dla wszystkich tych rzeczy, jakie można było tu znaleźć.

Echo poszybował jednak dalej, najpierw chciał zwiedzić miasto. Jego nieme krzyki zanurzały całą Sledwayę w upiornym błękiecie. Miasto wyglądało jak zbudowane z nieprzezroczystego szkła, rozświetlane od środka. Żeglował rozżarzonymi wąwozami, omijał zgrabnie rozpięte sznury z praniem, rejestrując wszystkie zapachy unoszące się z domów, ale w zupełnie nowy sposób. Zmysł węchu skóroperza był również innej natury niż węch krotka. Czuł chleb wypiekany w piekarni podczas nocnej zmiany, syrop na kaszel z fabryki syropu, zapach chmielu wydobywający się z browarów, jednak dla wampirzego nosa były to zapachy

zupełnie bez znaczenia. o wiele bardziej interesujący wydawał mu się teraz zapach życia zamieszkującego te domy. Zapach potu i oddechów, napierający z kominów i otwartych okien, unosił się w górę i jednoczył z nocnym powietrzem, tworząc aromat, który otulał miasto niczym dzwon. Krążenie pod tą niewidzialną kopułą pobudzających apetyt zapachów życia to, oprócz picia krwi, najważniejsza rzecz w życiu każdego skóroperza.

Teraz musiał wybrać swą ofiarę na tę noc. Wyizolować trop zapachu, za którym podąży aż do jego źródła.

Pod nim rozciągała się dzielnica drogistów. Echo wydał parę krótkich krzyków i oto rozświetliły się pod nim schludne wille niczym szklane pałace-zabawki. Przestał machać skrzydłami i ruszył korkociągiem w dół. Dostrzegł piękną wielką willę, lecz na jej werandzie gawędzili ludzie. Dalej, dalej! Kolejny dom. Całkowicie cichy, lecz wszystkie okna są zamknięte. Dalej! Z następnego domu dobiegała muzyka, brzdąkanie na fortepianie. Tam też jeszcze nie śpią.

Nareszcie dom z dużą ilością otwartych okien, skryty w wielkim ogrodzie. Żadnych głosów, żadnych dźwięków - i nagle smuga zapachu, która zmusiła Echo do wielokrotnych okrążeń domu. Tam poczuł, że w środku znajdowało się życie, świeżo umyte, lekko uperfumowane życie. Mleczne mydełko, subtelnie przesiąknięte nocnym potem - czyżby młoda dziewczyna, rozgorączkowana i pogrążona w koszmarze?

Echo poszybował szerokim łukiem, by zebrać się na odwagę, i pożeglował z powrotem, wprost w stronę okna, z którego unosił się zapach. Powiewające zasłony wyciągnęły się w jego kierunku niczym długie ramiona upiorów, pragnące wziąć go w objęcia. Co takiego mówił jeszcze o zasłonach jeden ze skóroperzy, nim rzucili się na miasto? Nieważne. Echo był w pełnym pędzie, gnał wprost na okno. Przechylił ciało i skrzydła do pozycji pionowej, przeleciał przez wąską szczelinę pomiędzy pasmami materiału i wylądował pewnie na parapecie, jak gdyby robił to już tysiące razy. Nie mógł się powstrzymać od komplementowania samego siebie za niezłe zdolności do latania. Otworzył oczy.

Pierwsze, co zobaczył, to jego własne oblicze, odbijające się w świetle księżyca na jednej z szyb otwartego okna. Przeraził się porządnie tej pomiętej gęby, lecz potem przyjrzał się jej bliżej. Pomięta, owszem, ale w jakimś stopniu zuchwała, czyż nie? Na pewno żyłasta i szczupła. Niebezpieczna. Przerażająca. I w pewien sposób również... atrakcyjna, prawda?

Echo uważał się za przystojnego. Góra jest dołem, a brzydkie jest piękne. Nikt nie rozumie skóroperzy.

Nocy czas.

Łowów czas.



Krwi czas.

Sfrunął z parapetu do wnętrza pokoju i wylądował na drewnianym oparciu u stóp dziewczyny. Pod nim rozciągały się wzgórza świeżego białego lnu, którego środek unosił się i opadał. Spała. Czuł ją. I słyszał. A wkrótce również jej posmakuje.

Echo przeraził się nagle swą własną żądzą. W zasadzie to nie do pomyślenia: chciał ugryźć w szyję młodą dziewczynę i wypić jej krew - i było to jego najgorętszym pragnieniem! Resztkę krociego umysłu broniła się z całych sił przed tą myślą. Czyż to nie najpotworniejsza rzecz, jakiej można by było sobie życzyć? Nie - pomyślał. - Nie była. Były gorsze. Męczył myszy, torturował owady, stłukł chomika i wepchnął do potoku ślepego kreta. A co zrobił kiedyś temu kanarkowi ze sparalizowanym skrzydłem, nie chciał się nawet nad tym zastanawiać. W porównaniu z tym ugryzienie w szyję śpiącej dziewczyny było czymś zupełnie nieszkodliwym. Właściwie dlaczego nie? Tylko jeden raz! - Ostatecznie nie chcę jej

przecież zabić. Tylko troszkę nadgryźć. Upić łyżeczek krwi. Cóż w tym złego? W całej Sledwai odbywa się właśnie istna krwawa pijatyka, orgia wampiryzmu. Dlaczego ma być jedynym wampirem, który zostanie na czczo? Podczas prawdopodobnie jedyne dnia w życiu w skórze skóroperza? Poza tym to wszystko jest czymś w rodzaju snu, czyż nie? Bardzo realistycznego snu, trzeba przyznać, ale to przecież nie może być prawda. To wszystko rozgrywa się jedynie w jego wyobraźni! A więc będzie tak, jakby przyśniło mu się gryzienie dziewczyny. A cóż można poradzić na swoje sny?

Echo zeskoczył na łóżko, uniósł wysoko skrzydła i zaczął iść chwiejnym krokiem poprzez wzgórze Inu. Na myśl o tym, że wygląda teraz jak postać z camońskiej literatury grozy, zaczął krztusić się ze śmiechu.

- Uuu - wyszeptał - nikt nie rozumie skóroperzy.

W tym momencie dziewczyna uniosła się na łóżku.

Otworzyła oczy.

Ujrawszy skóroperza, wrzasnęła ze wszystkich sił.

Echo fuknął ze strachu. Dziewczyna zaczęła wrzeszczeć jeszcze głośniejsze. Uniósł się w górę, tłukąc panicznie skrzydłami, podczas gdy w sieni domu rozbrzmiewały coraz głośniejsze krzyki. Dziewczyna wrzeszczała teraz tak głośno, że bolały go uszy. Frunął to tam, to tu i nagle pomieszczenie wydało mu się potwornie ciasne. Wszędzie dookoła stały masywne meble, zwisały lampy i rozkładały się bukiety kwiatów. Zderzył się z klatką dla ptaków i o mało nie zaplątał się w jej kraty. Potem poleciał wprost na księżyc, trzasnął jednak głową w lustro, które wziął za okno. Na zewnątrz rozległ się łoskot. Drzwi wypadły z zawiasów, do środka wpadło dwóch silnych chłopów z pałkami w rękach.

Echo był właśnie w drodze do okna. W tym samym momencie przeciąg wessał do wnętrza zasłony. Znow sięgnęły po niego białe ramiona upiorów - i tym razem wpadł w ich sidła. Jedwab i pazury spotkały się razem i splątały, a dzikie bicie skrzydłami nie poprawiało bynajmniej sytuacji. Oto zwiślał już z zasłony głową w dół, schwytyany niczym mucha w pajęczą sieć.

Strzeżcie się zasłon! To właśnie mówił skóroperz.

Dziewczyna przestała wrzeszczeć, zaczęła za to błagać siłaczy, żeby zabili tego paskudnego skóroperza. Ci nie kazali się długo prosić, podeszli szybko w stronę Echo i zaczęli przymierzać się do zaatakowania go kijami.

Echo wstrzymał oddech. Dziewczyna zamilkła, aby nie zakłócać egzekucji. A obaj kaci zatrzymali się na tę chwilę, którą wszyscy kaci ofiarowują skazanym.

- Zrzuńcie zasłony - wycharczał wśród ciszy Echo.

Była to najlepsza rzecz, jaka przyszła mu do głowy i od razu też wydała mu się głupia, jednak jej działanie było zdumiewające. Obaj krzepcy mężczyźni mimowolnie się przed nim cofnęli, ściskając mocniej swe pałki.

Echo pojął dopiero teraz, że uczynił jedyną właściwą rzecz - przemówił. Najwyraźniej nie miało żadnego znaczenia, czy powiedział coś oryginalnego, najważniejszy był fakt, że ani te osiłki, ani dziewczyna, nikt w całej Sledwai nie słyszał jeszcze nigdy gadającego skóroperza. Musieli uważać go za jakiegoś potężnego demona lub coś w tym stylu.

Swe kolejne słowa Echo musiał jednak dobrać z większym namysłem, to było pewne. Ich strach był jego jedyną bronią, bezradnego wampira przyklejonego niczym owad do lepu na muchy. Musiał powiedzieć im coś, co wzbudzi w nich jeszcze większy strach, tak potężny, by uciekli za drzwi. Kogo ludzie w Sledwai najbardziej się bali? Naturalnie! Kogóż by innego.

- Postradaliście rozum? - prychnął Echo. - Nie wiecie, kim jestem?

- Nie... - odpowiedział powoli jeden z osiłków.

- Jestem Eisspin! Sukkubius Eisspin! - zaskrzeczał Echo. - Jestem waszym przeraźnikiem!

To, że Eisspin był zmiennokształtny i pod wieloma postaciami szpiegował miasto, było starą plotką, którą stale w Sledwai odgrzewano. Niektórzy rozpoznawali go w szczurze, inni w czarnym kocie. Jeden nawet we własnej teściowej. Wariant skóroperzowy był równie świeży, jak skuteczny.

O tym, że istotnie dobrze dobrał słowa, Echo przekonał się, kiedy dziewczyna jednym susem wyskoczyła z łóżka i rzuciła się za drzwi, podczas gdy obaj mężczyźni cofnęli się jeszcze dalej. Ale pałki wciąż tkwiły w ich rękach.

- Za sam zamiar ubicia mnie przeklinam was na sto lat! - wychrypiał Echo. - Tak, przeklinam was! Eee... przeraźnicy kupą i picem na wodę, siarką, bizmutem i antymonem... - improwizował, lecz i to wystarczyło, aby obu przepędzić za drzwi. Potem usłyszał tupot stóp, krzyki strachu, trzaśnięcie drzwiami - i Echo został w domu sam.

Ale nadal był spętany. Być może ci ludzie wybiegli jedynie po to, żeby zwołać posiłki. Zamienić pałki na siekiery i noże. W każdym razie musiał zmywać się stąd jak najszybciej. Zaczął się obracać i wić. Jednak z każdym ruchem materiał coraz ciaśniej i mocniej zaplątywał się wokół niego, jego pazury nie były wystarczająco ostre, by go rozerwać.

Gdybym był krotem - pomyślał - byłby to drobiazg.

Ale był skóroperzem. Krwawy nowicjusz w wampirzym fachu, który zlekceważył najważniejszą z zasad: Strzeżcie się zasłon!

Jeszcze raz podjął próbę uwolnienia się. Już po paru obrotach i skrętach opuściły go siły. Dopiero teraz spostrzegł, jak bardzo wyczerpało go latanie. Również jako lotnik popełnił błąd początkujących, marnotrawiąc swoją energię na pogoń za psami. Tak, był skóroperzem, lecz całkowicie niedoświadczonym, który znalazł się teraz w najgłupszej sytuacji, w jakiej może się znaleźć skóroperz. Skrzydła Echa były ciężkie jak ołów i bezsilne, ogarnęło go ogromne zmęczenie.

Odpuścić tylko chwilę - pomyślał. Przestał walczyć z zasłoną. Jego oddech stawał się regularny, bicie serca coraz powolniejsze. Zebrać siły - myślał.

Nagle wśród nocy dobiegły nawoływania i hałas. Echo nadstawił uszu. Co to? Gwar na ulicy. Tupot kroków, tumult. Zbliżał się tłum. Szczęk ostrzy. Nóż ostrzony na osetce.

- Eisspin! - wysyczał ktoś.

- Teraz albo nigdy! - powiedział kolejny.

Echo wpadł w panikę. Wrócili, żeby go zatłuc, z posiłkami i skuteczniejszą bronią. Najwidoczniej nie dobrał właściwych słów.

- Raz na zawsze! - zawołał jeden.

- Chciał wypić moją krew! - był to głos dziewczyny.

- Zawsze wiedziałam, że jest wampirem - zaskrzeczała jakaś stara kobieta. - Zatłuczcie go na śmierć! Nigdy nie będziemy mieć lepszej okazji!

Echo starał się wgrzyźć w materiał, by rozerwać go zębami, jednak im bardziej starał się wyciągnąć głowę, tym mocniej zaciskał się jedwab splątany wokół jego szyi i odcinał mu powietrze.

Nie wydostanę się stąd! - myślał z rozpaczą. - A na pewno nie żywy.

Zaskrzypiały zawiasy w drzwiach, w sieni rozległ się tupot. Weszli do domu.

- Przeróżniku! - zawołał ktoś. - Teraz nam zapłacisz!

Echo zebrał ostatnie siły i zaczął rzucać się na wszystkie strony, lecz zasłona zacisnęła się wokół jego ciała jeszcze mocniej. Jak to możliwe? - pomyślał. Jedwab zaciskał się coraz bardziej, jakby czynił to z własnej woli niczym wąż dusiciel zaciskający swój uchwyt.

Nie! - przeleciało Echu przez głowę. - To nie materiał się zaciska. To ja się rozciągam! Rosnę!

Istotnie, odczuwał to we wszystkich członkach - jego ciało rozciągało się i wyciągało. Co się z nim działo? Czuł, że coś się w nim zmienia, jego ciało, jego członki, nawet jego umysł i postrzeganie. Poczul się nagle o wiele silniejszy.

Echo sięgnął raz jeszcze w stronę zasłony, by ją rozerwać. Tym razem udało się to niemal bez trudu - dzięki czterem ostrym krocim pazurów.

Przemieniam się na powrót - pomyślał. - Znów zamieniam się w krotka.

Na schodach słyhać było tupot spiesznych kroków. Ostrza uderzały o siebie ze szczękiem.

- Te drzwi z tyłu! - zawołał ktoś. - Tam jest sypialnia.

Echo zaczął się wic z siłą i zwinnością krota. Stawał się coraz cięższy i większy, gryzł i drapał wokół siebie. Nitki się rwały, materiał pękał - i w końcu zwałił się jak kłoda na parapet. Echo wstał. Stanął na krocich łapach, skrzydła zniknęły, ogon znów się pojawił. Przemiana była zakończona.

Do środka wpadło światło. Gwar głosów. W drzwiach ukazała się banda mężczyzn uzbrojonych w siekiery, noże i kosy. Zanim ktokolwiek zdołał wpaść do środka, Echo się wyprężył. Postawił ogon. I prychał najmocniej, jak potrafił.

Zapadła cisza. Nikt nie przemówił, nikt nie odważył się wejść do pomieszczenia. Eisspin zmiennokształtny - teraz było to pewne. Oczekiwali skrępowanego skóroperza, a zastali prycającego krota. W co przeobrazi się za chwilę? W drapieznego wilkołaka?

Echo wykorzystał sprzyjający moment. Odwrócił się, zeskoczył z parapetu i wylądował miękko na trawie. Prześliznął się między sztachetami w płocie i uciekał brukowaną uliczką tak szybko, jak tylko potrafił, w kierunku zamku przeraźnika.



Głód

Kiedy następnego dnia Echo otworzył oczy, czuł się jak przepuszczony przez wyżymaczkę. Przez chwilę nie wiedział ani kim jest, ani gdzie się znajduje. Nadal był skóroperzem? Czy już krotem? Leżał w swoim koszyku? Czy zwiślał wplątany w zasłony? Odsunął kocyk. Był cały i zdrowy i leżał w swoim koszyczku. Spojrzał po sobie: cztery łapki i kroci ogon. Znow był krotem.

Potem przypomniał sobie, że ledwo udało mu się dotrzeć do koszyka. Przedzierał się przez nocną Sledwayę przepelniony strachem przed psami, nad którymi nie miał już mocy skóroperza. Wspiął stromą ścieżką do zamku, a potem jeszcze po tych wszystkich schodach. Na wpół omdlały pogrążył się we śnie. Czy to wszystko naprawdę się wydarzyło?

Jakkolwiek było - teraz chciało mu się jeść, wręcz umierał z głodu! Była to najbardziej wyczerpująca noc w jego życiu. I nie napił się nawet jednego łyżeczka krwi.

Z wysiłkiem wygrzebał się z koszyczka i udał na poszukiwania czegoś do jedzenia. Kuchnia była wysprzątana i lśniąca. Echo stwierdził, że całe jedzenie uprzątnięto, a szafy zostały zamknięte na klucz. Na wierzchu nie leżało nawet jabłuszko.

W laboratorium kocioł do tłuszczu stał nieużywany. Przeraźnika nie było. Niezwykłe jak na tę porę dnia. W Skórzanym Mauzoleum wampiry smacznie pochrapywały po nocnych ekscesach. Na dachu nie było nawet zapachu jakiegokolwiek jedzenia. Jezioro mleka wyschło, małe łódki leżały puste w trawie. Tak pięknie udekorowany zazwyczaj pysznościami komin świecił pustką. Fiodor gdzieś poleciał. Echo westchnął i wrócił z powrotem do zamku.

Czy Eisspin zrobił sobie jedną z rzadkich wycieczek do miasta? Ale dlaczego nie przygotował niczego do jedzenia? - zastanawiał się krot. Wtedy sobie przypomniał: sam zabronił mistrzowi gotowania i zarządził surową dietę. Ale nie miał na myśli aż tak surowej! Śniadanie przecież zjeść trzeba! Choćby tylko miseczkę mleka. Plasterek kielbasy!

Echo bez wytchnienia przemierzał zamek w poszukiwaniu jedzenia. Spiżarnie, stojące zazwyczaj otworem, były zaryglowane. Dochodziły z nich najprzepyszniejsze zapachy, ale sprawcy tych podniecających apetyt woni byli nieosiągalni.

Głód! - zaburczał żołądek Echa. Czyżby sam musiał złović sobie mysz? Nie miał dziś na to najmniejszej ochoty. Łapy bolały go tak, jakby przebiegł wiele kilometrów.

Nagle Echo poczuł zapach pieczonego mięsa! Nie dochodził jednak ze spiżarni. Nie dochodził też z kuchni. Echo pobiegł za następny narożnik - i ujrzał tam schludnie

udekorowany stoliczek. Był dopasowany do jego rozmiarów, z białym obrusem, paroma kwiatkami, a przede wszystkim z upieczonym na chrupko ptakiem na porcelanowym talerzu. Echo obwąchał go. Był to dziki ptak, zwykle takich nie jada, woli udomowiony drób, ale teraz było mu naprawdę wszystko jedno: czuł głód!

Echo chciwie pożarł ptaka, od nóżek poprzez pierś, na skrzydełkach kończąc. Nadal jednak był głodny.

Pozostały wnętrzności. Również i one nie należały do jego przysmaków, ale dzisiaj nie miał zamiaru być wybredny. Pożarł nerek i wątrobę, a nawet łykowane serce. Potem zabrał się za żołądek. Najpierw sprawdzimy, czy nie ma w nim czegoś nieapetycznego. Co takiego zjadł ten ptak? - zastanawiał się i sprawnie niczym chirurg przeciął pazurami żołądek.

Jako pierwsza wypadła z niego jagoda jałowca. Nic dziwnego w przypadku leśnego ptaka, pomyślał Echo. Przetoczył na bok niestrawiony owoc i badał dalej. Ukazał się orzech laskowy. Jeszcze odrobinę otworzył żołądek i odkrył maleńką, dokładnie splecioną wypluwkę z delikatnych źdźbeł. Jagoda jałowca, orzech laskowy i trawy - zdziwił się. - Dlaczego wydaje mi się to znajome?

I wtedy mu się przypomniało. Apetyt minął mu błyskawicznie, a całe ciało przeszły lodowaty dreszcz. Głos kogoś, kogo dobrze znał, rozbrzmiewał w nim niczym głos ducha:

„Na śniadanie jadam zawsze to samo. Jedną jagodę jałowca, parę źdźbeł trawy, jednego orzecha laskowego i trzy poziomki. Okazało się, że ten wetegariański początek dnia dobrze wpływa na mój sestym trawienny”.

Echo podskoczył jak oparzony. Patrzył strwożony na obgryziony szkielet. Tak, proporcje by się zgadzały... istniał tylko jeden sposób odkrycia prawdy. Echo drżącymi łapkami otworzył żołądek do końca. Leżały w nim trzy dzikie poziomki. Ogarniało go na zmianę gorąco i zimno, dopadły potworne mdłości. Uciekł od stołu, na którym spoczywały resztki jego potwornego posiłku.

- Nie, to niemożliwe!

Na niepewnych łapach potoczył się w stronę okna. Wskoczył na nie, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Lecz również to nie przyniosło mu żadnej ulgi. Wręcz przeciwnie, mdłości się nasiliły. Zwymiotował.

- To nie może być prawda - wyszeptał. A jednak wiedział, że w swym bezgranicznym łakomstwie spożył właśnie przyjaciela, Fiodora F. Fiodora.

Echo zbliżył się chwiejnie do krawędzi parapetu i spojrzał w dół na miasto, które zdawało się kręcić pod nim niczym bąk. Potem wymiotował w otchłań, aż uznał, że wyrzucił na zewnątrz wszystko, co miał w żołądku.

Zaułek Przeróżnic

Zaułek Przeróżnic wyglądał podejrzanie. Wzdłuż krętej drogi stały domy przypominające wielkich zbójników w szpiczastych czapkach, zaczajonych na przechodniów. Kiedy Echo przemykał pomiędzy nimi, ogarnęło go niepokojące uczucie, że olbrzymy podniosą się zaraz na tajemny sygnał i zaatakują go maczugami. Zdawały się zwykłymi domami, lecz równocześnie emanowały czymś żywym, co nieprzyjemnie przypominało mu wypchane postacie w domostwie Eisspina, do których równie niechętnie odwracał się plecami, jak do domów przy tej uliczce. Wkroczył na smutną ziemię niczyją, zawieszoną pomiędzy tym a tamtym światem.

Gdy postawił łapkę na drewnianym chodniku, rozległo się udręczone westchnienie. Echo przeraził się i wrócił szybko na nierówną drogę bez nawierzchni, prymitywniejszą niż brukowane ulice w pozostałej części miasta. Pełzały po niej grube chrząszcze i inne małe zwierzątka, a jednak na jej środku Echo czuł się nieco pewniej niż w bezpośredniej bliskości mrocznych domostw.

Dookoła, niczym gotowane upiory, tańczyły strzępki mgły, otulając to tu, to tam nawet cały budynek. Puszczycy rozpoczął nawoływania, a krota przeszył dreszcz, bo brzmiało to niemal tak, jakby Fiodor wołał go po imieniu:

- E-cho! E-cho!

Co ja tu właściwie robię? - zadał sobie pytanie, rozglądając się trwożliwie dookoła. - Żadna rozsądna istota nie wybiera się nocą do przeklętego Zaułka Przeróżnic. Musiałem stracić rozum. Dlaczego nie przyszedłem tutaj w dzień?

A potem znów mu się przypomniało: bo jedynie nocą światła wskażą, który z domów jest zamieszkały - tak mówił Fiodor. Z całym szacunkiem dla puchacza, ale nawet najbardziej zuchwałe wśród wałęsających się po Sledwai psów i kotów nie odważyłyby się na coś tak szalonego. Krążyło wiele opowieści o śmiałkach, którzy wkroczyli w ten zaułek nocą jedynie po to, by marnie dokonać żywota. Jak na przykład o Bezgłowym Kocie, który ukazuje się ponoć w rocznicę swej śmierci na uliczkach Sledwai, kiedy wybije północ. Chodzi wyprostowany na dwóch nogach, niosąc w łapkach własną płaczącą głowę.

Albo opowieść o czterech nieustraszonych ulicznych kundlach. Założyły się, że pójdą w nocy podczas pełni księżyca do Zaułka Przeróżnic. Następnej nocy powróciły, ale wszystkie razem jako jedna postać! Przecięto tych nieszczęśników w połowie i zszyto razem poniżej klatki piersiowej, tworząc w ten sposób przerażającą hybrydę o czterech głowach na

ośmiu nogach. Najstraszniejsze w tej historii było jednak to, że każdy z czterech psów chciał pędzić jak oszalały w inną stronę świata, aż rozerwały się i dosłownie rozćwiartowały, wydając przy tym potworne dźwięki.

Echo przypomniał sobie straszną opowieść o Słodkiej Syjamancie, żarłocznej syjamskiej łakomczusce, która zwiedzała Zaułek Przerażnic w trakcie swych niezmordowanych poszukiwań słodkości. Ponoć krąży od wieków nocą po Sledwai, z ciałem odartym z futra, upieczona na chrupko od łapek po głowę, z nożem w brzuchu i widelcem do mięs w plecach.

Ale to nie bujdy dla dzieci przysparzały Echu w tym momencie trosk, lecz konkretna obecność domów przerażnic. Domy te wzbudzały taki respekt, że nawet Eisspin nie odważył się ich zniszczyć, kiedy przepędzono wszystkie właścicielki. Sękate domy miały w sobie coś, co w niewytłumaczalny sposób nadawało im status nienaruszalności. Tworzyło wokół nich aurę niezniszczalności i prastarej godności. A za ciemnobrązowymi fasadami z drewna czaiło się coś jeszcze, co niczym przenikliwy zapach nie dawało się przepędzić ani naginaniem przepisów, ani samowolą władz. Była to sama istota przerażnicyzmu, wyczuwalna moc, którą przesiąknięta była cała uliczka, skuteczna niczym zła klątwa.

Oświetlanie ulic w Zaułku Przerażnic było ustawowo zabronione, jedyne źródło światła stanowił księżyc, który odbijał się w kałużach. Echo zatrzymał się przy jednej z nich, w skąpym oświetleniu wyglądała jak plama krwi.

Dotarł już do końca uliczki, lecz w żadnym z domów nie płonęło światło.

No pięknie! Nikt tutaj nie mieszka. W takim razie zmywam się stąd. Chciał właśnie zawrócić, gdy nagle, jedynie parę kroków od niego, wiatr porwał w górę strzępek mgły, niczym chustę uniesioną ręką magika. Tam, gdzie jeszcze przed chwilą unosiła się mgła, stanął nagle jedyny na całej ulicy oświetlony dom.

Echo nie poruszał się i spoglądał wrogo na wyrosły najwyraźniej spod ziemi budynek. Jeszcze przed chwilą mógłby się stąd ulotnić z wymówką, że nie znalazł tego sakramenckiego domu pośród mgły. Ale teraz stał przed nim i mógłby przysiąc, że czuje na sobie jego spojrzenie. Dom był trochę większy niż pozostałe i jako jedyny stał niepodpierany przez inne domy. Za okopconymi szybami migotało niespokojne światło świecy. Echo słyszał też muzykę, cichą, osobliwą melodię. Ktoś mrucał głębokim głosem w rytm monotonnego stukania. Wydało mu się, że to odpowiednie tło muzyczne do rytualnego zszywania psów albo obdzierania krotów z futra.

Jednak dom przyciągał krotka do siebie w niewytłumaczalny sposób. - Przydałoby mi się trochę maści na kurzajki - mrucał pod nosem, drepcząc przed siebie - i może parę klątw

przeraźnicowych o zredukowanym działaniu. O czym ja gadam? Maść na kurzajki? Klątwy przeraźnicowe o zredukowanym działaniu? Dlaczego pragnę nagle rzeczy, o których przeznaczeniu nie mam najmniejszego pojęcia? I dlaczego tak bardzo ciągnie mnie, by wspiąć się po schodach werandy? I co tu właściwie tak śmiesznie pachnie? - zastanawiał się.

Nim się obejrzał, siedział już na werandzie na wprost drzwi do domu przeraźnicy. W mizernym świetle padającym przez okopcone szyby z trudem odczytał napis na przymocowanych do drzwi tablicach.

W ofercie

Klątwa przeraźnicowe o zredukowanym działaniu

Przepowiednie bez gwarancji spełnienia

oraz

Maść na kurzajki

(w dyskretnym woreczku jutowym)

A więc to były te usługi, które przeraźnice mogą oferować mieszkańcom Sledwai. Eisspin sporo się napracował, by utrudnić im wykonywanie zawodu i używanie swoich wyjątkowych zdolności.

Kolejny szyld ostrzegał:

Uwaga!

Wkraczasz do domu przeraźnic na własne ryzyko!

Spożywanie przeraźnicowych leków może poważnie zaszkodzić Twojemu zdrowiu, nawet gdy ich działanie jest zredukowane! Nie wierz w żadne słowo przeraźnicy, szczególnie gdy mowa o przepowiedniach! A jeśli masz problem z kurzajkami, skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą!

Sukkubius Eisspin

Miejski przeraźnik

Na kolejnym widniało:

Ten lokal rozrywkowy obowiązują przepisy

Młota na przeraźnice

Jeśli zauważą Państwo naruszenie któregoś z przepisów lub zasad w nim zawartych, proszę niezwłocznie zwrócić się do najbliższego przeraźnika!

Wkroczenie zostanie ukarane w trybie natychmiastowym.

Na życzenie w Państwa obecności.

Lektura tych szyldów wywołała w Echu przekonanie, że życie zawodowe żyjącej tu przeraźnicy musi być smutne. Poczuł nagle głębokie współczucie. Poza tym pragnienie zakupu maści na kurzajki wzrosło w nim niebotycznie. Postanowił, że w końcu zwróci na siebie uwagę. Ale w jaki sposób najlepiej zwrócić na siebie uwagę przeraźnicy? Zadzwoić? Zapukać? Podrapać w drzwi? Echo zdecydował się na rozwiązanie, z którego rzadko robił użytek. Zamiauczał, i to tak żałośnie i płacząco, jak tylko było to możliwe. Spotkanie wynikłe ze wzajemnego współczucia miało chyba największe szanse, aby nie przerodzić się z miejsca w coś mało przyjemnego.

Drzwi otwały się niemal w tym samym momencie, ale tak cicho, że Echu wydawało się to całkiem niemożliwe. Oczekiwał bolesnego skrzypienia zardzewiałych zawiasów, lecz drzwi otworzyły się bezgłośnie jak kielich kwiatu. Przez chwilę nic się nie działo, a potem przemówił głos, w którym rozbrzmiewała stuletnia konsumpcja niezdrowych, odurzających substancji:

- Wchodź, jeśliś nie jest przeraźnikiem.

Echo wśliznął się ostrożnie przez szparę w drzwiach. Wejście ze świeżego nocnego powietrza wprost do izby wypełnionej żarem pieca, parującą zupą i innymi egzotycznymi zapachami przypominało wsadzenie nosa w mokrą watę. Przeraźnica stała przy kuchni, oświetlona pulsującym blaskiem z pieca, i była zwrócona do krotka plecami. Dziwaczna muzyka umilkła.

- Musisz być naprawdę głodny, koteczku, skoro przychodzisz żebrać w środku nocy akurat do Zaułka Przeraźnic - mruknęła głębokim basem. - Nie mówił ci nikt, że krąży tu Bezgłowy Kocur?

- Nie jestem głodny - powiedział Echo - i nie jestem też kotkiem.

Przeraźnica obróciła się gwałtownie, a Echo z całych sił musiał zwalczyć w sobie impuls prychnięcia i ucieczki z tego domu. Echo widział już kilka prawdziwych przeraźnic, gdy w Sledwai jeszcze parę ich było. Jednak zawsze z daleka, emanował z nich bowiem specyficzny zapach, który wrażliwe organy węchowe krotka ledwo tolerowały. Wyobraźmy

sobie wydrążony, wilgotny pień drzewa, w którym zdechła i zgniła cała rodzina tchórzofretek, a ku ich pamięci ktoś zapalił kilka kadzidełek - w ten sposób zbliżymy się chyba najbardziej do zapachu przeraźnicy. Stąd też wszystkie przeraźnice, które do tej pory spotkał, widział z daleka i z powodu odległości, nieostro. Teraz jednak na wprost niego stała przeraźnica o twarzy ucieleśniającej sprzeciw wobec wszelkich zasad harmonii. Jej nos musiał rosnąć kiedyś najpierw w prawo, potem w lewo, a potem znów w prawo, by zakończyć się wreszcie ostrym szpicem, oszpeconym trzecią dziurką. Pozostałe otwory nosowe miała tak nienaturalnie ukształtowane, że patrząc z góry, można było zajrzeć w nie głęboko do środka. Wyrastały z nich grube i tłustawe pęczki włosów, niczym przegniłe wodorosty z podmorskich jaskiń. Oczy były różnej wielkości, a źrenice różnej barwy, grube usta absurdalnie pomalowane na czarno, a uszy odstawały jej bardziej niż skóroperzowi. Ze skóry pokrytej kraterami niczym księżyc, tu i tam wyłaniał się szczeciniasty rdzawy włos. Resztę jej ciała skrywała litościwie długa suknia z grubego, czarnego lnu, przewiązana sznurem. Na głowie miała kapelusz z grzyba ośmiorniczego.

- Potrafisz mówić? - zdziwiła się. - W takim razie nie jesteś kotkiem, tylko krotkiem. Myślałam, że w Sledwai nie ma już ani jednego.

Echo zaczął się uspokajać. Mimo brzydoty nie wydawała się groźna. Być może wygląd przeraźnic najlepiej można wytłumaczyć, zakładając, że camońska przyroda chciała sprzeciwić się pięknu odrobiną czarnego humoru.

- Co cię tu w takim razie sprowadza, skoro nie jest to głód?

- Szczerze mówiąc, to nieodparta potrzeba zakupu tubki maści na kurzajki. Ale nie mam w ogóle pieniędzy - powiedział bez ogródek Echo.

Zachowanie przeraźnicy zmieniło się diametralnie. Jeszcze szerzej otworzyła swe wielkie oczy i zezowała na Echo, wykonując rękami nerwowe ruchy. Potem rzuciła się w stronę stojącego na piecu garnka i przykryła go pokrywką. Następnie zamachała rękami, jak gdyby odganiała dookoła siebie robactwo.

- Nieszczęście! - zawołała. - Że też musiałam zostawić przeraźnicową zupę bez przykrycia! Ale ze mnie gapa! Jej opary wywołują potrzebę zakupu przeraźnicowych wyrobów, co naturalnie oraz słusznie jest najsurowiej zabronione - powiedziała przejęta, racząc krota uśmiechem, który niemal przepędził go znów za drzwi. Jej zęby wyglądały jak dzieło dentysty, który na jednej jedynej szczęce, ku przestrodze, przedstawić chciał wszystkie rodzaje schorzeń uzębienia.



- Ale, jak wspominałam, to z przeoczenia. Żaden powód, aby od razu alarmować przeraźnika, prawda? Pragnienie zresztą pewnie już uleciało.

Echo potrząsnął głową, był lekko skołowany. Rzeczywiście, pragnienie zakupu maści na kurczaki uleciało, tak samo jak ten dziwny zapach.

- Nie, nie! - zaprzeczył Echo. - Nie chcę nikogo alarmować. Dopiero teraz udało mu się oderwać wzrok od przeraźnicy i przyjrzeć się wnętrzu domostwa. Przypominało bardziej jaskinię niż mieszkanie, coś, w czym mógłby raczej żyć niedźwiedź niż jakaś ludzka istota. Dało się jednak zauważyć rozmaite ślady cywilizacji, jak nieforemny piec z żelaza, drewniana szafa kuchenna, stół i krzesła czy regał z książkami. Pomiędzy nimi rozrastały się grube ciemnobrązowe wyrostki przypominające korzenie. Te korzeniopodobne elementy wyrastały też z wilgotnych, gliniastych ścian, zwisały z sufitu - gdyby Echo nie miał pojęcia, gdzie jest, pomyślałby pewnie, że pomieszczenie znajduje się pod lasem.

- Czego chcesz w takim razie? - zapytała przeraźnica nieufnym tonem. - Co skłoniło cię do wałęsania się w środku nocy akurat po Zaułku Przeraźnic? Nie szpiegujesz przypadkiem dla Eisspina?

Echo nie chciał zbyt długo owijać w bawełnę. Przeraźnica sprawiała wrażenie, że będzie w stanie znieść prawdę.

- A więc, mam na imię Echo i zawarłem umowę z przeraźnikiem. Ponieważ jest ona dla mnie bardzo niekorzystna, chciałem cię poprosić, abys pomogła mi ją zerwać.

Zapadło długie milczenie. Przeraźnica zaskoczona wlepiała oczy w Echo, który nie wiedział, jak odczytać jej spojrzenie. Była zmieszana? Rozzłoszczona? Rozbawiona?

- Pytasz - powiedziała wreszcie, przeciągając sylaby - czy pomogę ci zerwać umowę z przeraźnikiem?

- Tak - wyszeptał Echo i opuścił wzrok, zawstydzony własną śmiałością. Co właściwie dawało mu prawo, by pojawiać się w środku nocy i stawiać żądania tego rodzaju? Gdy ponownie podniósł oczy, zauważył pęk czarnych gałązek mknących w jego stronę. Po chwili poczuł, że leci szerokim łukiem w powietrzu. Zderzył się z drzwiami i spadł na podłogę. Zanim zdołał uczynić jakąkolwiek uwagę, czy wydać z siebie krzyk bólu, przeraźnica uniosła prawą rękę we władczym geście, który sprawił, że drzwi otworzyły się do środka, z całym impetem uderzając krota. Echo potoczył się do stóp staruchy, która ponownie machnęła miotłą i w ten sposób wyprawiła krota za drzwi, które z hukiem się zamknęły.

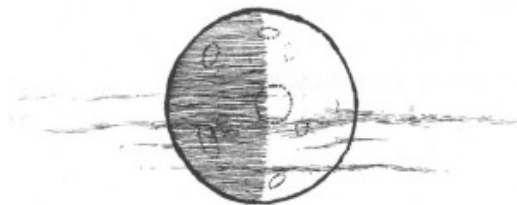
Echo pozbierał się, postępując. Co za idiotyczny pomysł, by pokładać nadzieję akurat w przeraźnicy! - złościł się. Miał szczęście, że wykpił się z tego tak małym kosztem.

Odetchnął głęboko, zszedł powoli po schodach i przebiegł parę kroków w dół uliczki, skąd przyszedł. Potem zatrzymał się kierowany nagłym impulsem i obrócił się raz jeszcze.



Dom przeraźnicy stał na końcu tej ulicy, czarny i przerażający, niczym obcięta głowa olbrzyma, w której oczach gasły ostatnie ogniki życia. Znowu dobiegała z niego hipnotyczna muzyka. Wreszcie i w oknach pociemniało, a przygnana wiatrem mgła otuliła dom przeraźnicy niczym trupi całun.

Echo spojrział w górę na księżyc, wiszący teraz nad zamkiem przeraźnika za cienką warstwą chmur. Był już w połowie pełny.



Śmiertelni przyjaciele

Po powrocie do zamku Echo - zmęczony i smutny z powodu swej bezsensownej wycieczki - wyczuł obecność przeraźnika, zanim przekroczył próg drzwi. Eisspin bez wątpienia już wrócił, chociaż krot ani go nie widział, ani nie słyszał, ani nie wyczuwał. Dom, kiedy mistrz w nim nie przebywał, był martwy, cichy i nieporuszony, tak jak na mury przystało. Kiedy jednak Eisspin był obecny, zdawał się budzić tajemne życie, co Echo wyczuwał czymś w rodzaju dodatkowego zmysłu. Słyszał postękiwania kamieni i jęki mebli. Widział, jak dywan dostawał gęsiej skórki, a tapety przenikały najdelikatniejsze fale. Tu kominek ziewnęła, tam postać na obrazie poruszyła się ledwie zauważalnie. Wiry kurzu tańczyły swawolnie wzdłuż korytarzy, ręce duchów wydymały zasłony - całą budowlę przepęlniała nieziemska aktywność. W powietrzu unosił się cieniutki śpiew i słycać było tajemnicze szepty i nachalne syczenia, ucichające natychmiast, gdy skupić nanich swą uwagę. Można by je przypisać wiatrowi lub innym naturalnym przyczynom, lecz Echo miał świadomość, że chodzi tu o coś jeszcze. Podejrzewał, że między tymi starymi murami a przeraźnikiem istniała jakaś niezdrowa więź.

Echo wyobrażał sobie siebie jako aktora grającego na scenie teatru, którego trybuny wypełniały niewidzialne duchy. Nikogo nie było widać, lecz słycać było tłumione kasznięcia i szeptanie, towarzyszące dramatowi, w którym on i Eisspin dawali z siebie wszystko. A nadal nie był do końca pewny, jakie role w nim odgrywali. Byli przeciwnikami w nad wyraz przeciągającym się pojedynku czy może śmiertelnymi wrogami? Nienawidzić kogoś aż do śmierci? Nie - Echo odrzucił tę myśl. - Do tego brakowało mu talentu. Być może określenie *śmiertelni przyjaciele* byłoby trafniejsze.

Echo wbiegł na górę po schodach i przeklinał sam siebie za brak dyplomacji. - Musiałem ją wyprowadzić z równowagi spóźnioną prośbą o pomoc w przechytrzeniu przeraźnika. Przeraźnice były gnębione i uciskane przez Eisspina już od dłuższego czasu, dlatego więc jedna z nich miałaby pomóc przybłąkanemu krotu i ściągnąć na siebie zemstę tego starego demona?

Przeraźnica - musiał przyznać - w pewnym sensie mu się spodobała. Co prawda była okropnie paskudna i pachniała jak wór martwych żab, ale czuł do niej sympatię. Inaczej nie powiedziałby jej tak naiwnie wszystkiego prosto z mostu. Zrobiła na nim wrażenie, ale nie wyglądem, lecz zachowaniem. Chciała dać coś do jedzenia wałęsającemu się kotkowi, miauczącemu nocą u jej drzwi. Nie pasowało to zupełnie do powszechnego wyobrażenia o

przeraźnicach. Był niemal pewny, że wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby nie zachował się tak niezręcznie. Lecz na rozważania tego typu było już za późno. Gdyby jeszcze raz zadrapał do jej drzwi, prawdopodobnie od razu wsadziłaby go do pieca.

Echo przechodził właśnie obok sali z poprzykrywanyimi meblami, gdy nagle zwietrzył Eisspina. Krot nie do końca pozbył się strachu przed tym pomieszczeniem, lecz tym razem, kiedy usłyszał szlochającego przeraźnika, wiedział od razu, na czym stoi. Echo nie był już w stanie czuć wobec niego współczucia. Jego pierwszą reakcją była chęć natychmiastowej ucieczki. Zatrzymał się jednak, zastanowił przez chwilę, obrócił i wszedł do środka. Ten dzień był już i tak zepsuty. Dlaczego więc nie dołożyć jeszcze tego i nie zażądać od przeraźnika wyjaśnień?

Echo wszedł do sali i zamiauczał donośnie. Dało to Eisspinowi możliwość zachowania twarzy i otarcia łez, zanim spojrzeli sobie w oczy. Krotek kroczył z podniesioną głową pomiędzy meblami obwieszonymi prześcieradłami, aż stanął u stóp przeraźnika.

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał szorstko Echo. - Myślałem, że to sprawa między tobą a mną. Dlaczego musisz zabijać też moich przyjaciół?

Eisspin patrzył na niego w osłupieniu.

- O czym ty mówisz? Co niby zrobiłem?

- Mówię o Fiodorze.

- Fiodor? Kim jest Fiodor?

Echo przeraził się. Do tej pory nie przyszła mu nawet do głowy możliwość, że martwy ptak wcale nie musiał być Fiodorem. Jeśli to prawda, swoją głupią paplaniną naraził go właśnie na największe niebezpieczeństwo. Echo zdecydował, że po prostu będzie milczał.

- Chwileczkę - powiedział Eisspin. - Fiodor, czy to nie imię parobka twojej zmarłej właścicielki?

Echo milczał zawzięcie. Jeśli staruch udawał, robił to świetnie. Przeraźnik zmarszczył czoło, jak gdyby pracował nad rozwiązaniem trudnej kwestii, do którego chciał dotrzeć sam.

- Teraz rozumiem! - zawołał wreszcie Eisspin. - Czy nie mówiłeś przypadkiem, że umarł? Na straszliwą chorobę? Ależ naturalnie, w takim razie *muszę* mieć go na sumieniu! - uderzył się ręką w czoło. - Tak, jak czyni się mnie odpowiedzialnym za niemal każdy śmiertelny przypadek w Sledwai. Łącznie ze zgonami ze starości i samobójstwami. Hee, hee!
- przeraźnik zaśmiał się jak koza.

- Nie chcę na ten temat rozmawiać - mruknął Echo i odszedł. Dziękował losowi, że tak łatwo wybrnął z tej drażliwej sytuacji.

- No, daj spokój! - zawołał za nim Eisspin. - Nie jesteś przypadkiem zły o tę historię ze skóroperzami?

Echo zatrzymał się i odwrócił.

- Nie. Mówiąc szczerze, było to interesujące doświadczenie. Byłoby jednak miło, gdybyś wcześniej mnie poinstruował.

- I na tym właśnie polega problem! - westchnął Eisspin. - Wtedy zazwyczaj to nie działa. Tester blokuje się, świadomie lub też nieświadomie, i nie dochodzi do pełnego przeobrażenia. Tylko do dzikich halucynacji.

Echo musiał przyznać, że nigdy nie czuł się równie żywy jak w skórze skóroperza.

Eisspin roześmiał się pobłaźliwie. A potem zrobił coś, czego nigdy do tej pory nie robił. Poklepał się ręką po udzie, zapraszając Echo do wskoczenia mu na kolana i umoszczenia się na nich.

Krotek cofnął się o krok. Nie, tego już za wiele. Kwestia z Fiodorem nadal nie była wyjaśniona, a poza tym pozwolenie własnemu katowi, by drapał cię za uchem, naprawdę nie wchodziło w rachubę!

Eisspin wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- No chodźże! - zachęcał.

Echo zrobił znów krok do przodu. Być może z taktycznego punktu widzenia, stworzenie z Eisspinem pewnej relacji zaufania nie było wcale takie złe. A poza tym minął już szmat czasu, odkąd ktoś go drapał za uchem. Chodziło o jedną z podstawowych potrzeb krotka, zaraz po jedzeniu i spaniu. Musiał jedynie się przełamać i znieść zapach, który zamieszkiwał ubrania przeraźnika. Lecz i do niego był już od dawna przyzwyczajony. Co mi szkodzi? - pomyślał i wykonał wielki skok na kolana Eisspina. Po czym położył się i spojrzał na starego w oczekiwaniu. Ten z początku zwlekał i zastygł z ręką uniesioną w powietrzu. Ale wreszcie opuścił ją i zaczął drapać krotka po karku. Echo mruczał z początku cicho, a potem coraz donośniej. I tak trwali jeszcze długo w tej niesamowitej sali, krotek i przeraźnik, ofiara i kat, dwaj śmiertelni przyjaciele zgodnie zastygli pośród nocy.

Rdzawe Gnomy

Od tej chwili Echo bardzo poważnie podszedł do kwestii zrzućcia wagi. Uznał, że niejedzenie tłustego to za mało. Nie wystarczyły też tylko zdrowe przystawki. Równie istotne było zapewnienie sobie odpowiedniej ilości ruchu.

Zamek przeraźnika stanowił ku temu idealne miejsce. Nigdzie indziej w Sledwai nie znalazłby tylu schodów, po których mógłby bez wytchnienia biegać w górę i w dół. Prastare nierówne mury były stworzone do wspinaczki. Duże pomieszczenia nadawały się najlepiej do swawolenia z Gotowanym Upiorem. Na dachu trenował równowagę, ćwiczył rozciąganie ścięgien i obciążanie stawów. Pędząc po pustych salach zamku, Echo wyobrażał sobie, że ścigają go klęski żywiołowe z obrazów Eisspina, pożogi, trąby powietrzne i fale powodziowe. Czasem schodził na dół do wycpanych mumii i ożywiał je w swojej wyobraźni, by potem uciekać przed nimi w dzikim popłochu przez cały zamek. Był osławionym królem złodziei i mistrzem włamywaczy, który pokonywał mury zamku, by przedostać się przez otwarte okna i wykraść Eisspinowi najpilniej strzeżone alchemiczne tajemnice. Polował na kłaczki i roztańczone wiry kurzu, wspinał się na zasłony u okien i kraty, po których wił się bluszcz, po szafach na ubrania i regałach z książkami, tapetach i przykrytych materiałami fotelach. Pozwalał sobie jedynie na tyle snu, ile było mu niezbędne.

Teraz często chodził znów do krocimiętki, której zapach miał zbawienny wpływ na jego nastrój, a żute liście zapewniały wyposzczonemu żołądkowi niezbędne ciepło. Ilekroć tam szedł, czasami parę razy w ciągu dnia, zaglądał do komina Fiodora, lecz starego puchacza nigdzie nie było widać.

Echo zwiedzał stary system wentylacyjny, przenikający cały zamek niczym system krwionośny, w którym godzinami mógł się przeczołgiwać i wspinać. Mieszkały w nim budzące strach owady i tłuste szczury, lecz nie powstrzymały one Echa przed wykonywaniem rygorystycznych ćwiczeń. Pewnego razu odkrył szkielety pewnej rasy krasnoludów o rdzawoczerwonych brodach, którzy do miedzianych pasów mieli przytroczone dziwaczne nieznanne mu narzędzia. Obok niektórych leżały książki zawierające rzędy liczb i rysunki projektów tajemniczych maszyn.

Echo ustalił, że szyby wentylacyjne przenikały nie tylko ściany zamku, lecz prowadziły również w głąb ziemi, głębiej jeszcze niż przerażające piwnice. Tutaj w jaskiniach znajdował kolejne szkielety rdzawobrodych krasnoludów i ich przedmioty, małe kuriozalne maszyny z drewna i metalu, których przeznaczenie pozostawało tajemnicą. Czasami potrafił którąś z nich łapką, uruchamiając ją tym samym i powołując do krótkiego mechanicznego życia. Kręciła się wówczas z piskiem po korytarzu, dopóki nie rozpadła się ze starości. Jedna z maszyn przez godzinę stukała i klekotała, wypływając z siebie cudownie wygrawerowane płytki metalu. Inna pomaszzerowała przed siebie i zaczęła wiercić dziury w kamiennej ścianie. Kolejna zaczęła recytować mechanicznym głosem rzędy liczb, aż z rżeniem padła.

Im głębiej Echo schodził, tym bardziej robiło się niesamowicie i mało przyjemnie. Z wnętrza Ziemi ciągnęły parne wiatry, niosące zapachy, które nie zwiastowały niczego dobrego. Krot rejestrował dźwięki, które poruszały jego najgłębiej skrywane lęki. Te korytarze prowadziły do świata, który był być może jeszcze bardziej niebezpieczny niż ten na górze. Echo nie miał zamiaru ryzykować i tam schodzić.

Przez kolejne dni krot bez ceregieli wyrzucał przez okno tłuste potrawy, które w dalszym ciągu serwował mu Eisspin. Wrócił do samodzielnego zdobywania jedzenia i gonił myszy po systemie wentylacyjnym, stając się dla nich postrachem. Gryzonie prowadziły sobie dotąd spokojny żywot bez naturalnych wrogów i były zawsze dobrze zaopatrzone, dzięki obficie wypełnionym spiżarniom Eisspina. Teraz jednak zaczął się czaić na nie ten uzbrojony w pazury potwór.

Którejś nocy, czołgając się w wyjątkowo wąskim szybie wentylacyjnym, Echo odkrył dziurę, przez którą zobaczył niemal całą kuchnię i Eisspina przygotowującego wystawne menu. Zwietrył pikantną zupę, chrupiącą pieczeń ze świni, grillowaną rybę i sos borowikowy. W piecu znajdował się suflet, a na płycie bulgotał pudding waniliowy.

Ledwie przed paroma godzinami przygotowywał jedzenie dla Echa. Dla kogo szykował tak obfity posiłek? Dla siebie samego na pewno nie gotował. Oczekiwał gości? Eisspina przecież nikt nigdy nie odwiedzał.

Przeraźnik najwyraźniej nie podejrzewał, że jest obserwowany, gadał bowiem sam do siebie. Echo nie rozumiał, co mówi, zbyt głośno bulgotało w garnkach, zbyt głośno syczał tłuszcz i postukiwały podeszwy Eisspina. Nagle staruch odwrócił się tak, że Echo mógł ujrzeć jego twarz - i przeraził się, dostrzegając w niej szaleństwo. Był to wyraz zamętu i bezradności.

Eisspin niewzruszenie kontynuował swe tajemnicze zajęcia, a krotek musiał pełznąć dalej, bo korytarz zaroił się od obrzydliwych żyjatek. Jeśli zaś chodzi o jedzenie, które przeraźnik przygotowywał, Echo nigdy go już nie zobaczył.

Krot zrzucił kilka kilogramów i był już w lepszej formie. Przejaśniło mu się również nieco w głowie, bo im mniej krwi potrzeba ciału na procesy trawienne, tym więcej ma jej do dyspozycji mózg. Echo znów zaczął spędzać wiele czasu na obmyślaniu swej ucieczki. Wpadł nawet na pomysł, aby raz jeszcze spróbować porozmawiać z przeraźnicą. Tym razem nie będzie walił prosto z mostu ani nie przyjdzie z pustymi łapkami.



Ostatnia przeraźnica

Idąc nocą Zaułkiem Przeraźnic, Echo czuł się niemal równie nieprzyjemnie, jak za pierwszym razem. Lecz teraz miał przed oczami jasny cel i niemal coś na kształt planu, co dodawało mu odwagi, by przemierzyć szpaler prastarych domostw i wkroczyć na werandę ostatniej przeraźnicy w Sledwai.

- Czego tu znowu chcesz? - zapytał głęboki i nieprzyjazny głos z wnętrza domu.

Echo cofnął się o krok. Skąd wiedziała, że to on? Skradał się najciszej, jak mógł, i nie wypowiedział jeszcze ani słowa. Może jednak umiała przepowiadać przyszłość? Albo obserwowała go po prostu przez dziurkę od klucza?

- Chciałbym złożyć pewną propozycję - powiedział tak głośno i pewnie, jak tylko potrafił.

- Propozycja? Jakiego rodzaju?

- Cóż, zacna przeraźnico, gdy nie tak dawno wyrzuciłaś mnie za drzwi, nie miałem czasu nadmienić, że w zamian za mile widzianą pomoc mam do zaoferowania coś nad wyraz wartościowego.

Przeraźnica długo milczała, po czym odezwała się jeszcze bardziej nieobecny głosem:

- Nie robię żadnych interesów na niekorzyść Eisspina.

- Nie powiedziałem przecież, że nasz interes działać ma na niekorzyść Eisspina. Chciałem cię jedynie poprosić, abys potraktowała mnie jak całkiem normalnego klienta, szukającego porady u przeraźnicy. Krótka rozmowa. W zamian, jak już wspominałem, mam również coś do zaoferowania.

Przeraźnica wydała kilka dźwięków, których Echo nie był w stanie sobie wyjaśnić.

- Pomijając to - powiedziała po chwili - że z zasady nie robię interesów, które mogą wpędzić mnie w kłopoty z prawodawstwem Sledwai, cóż takiego masz mi do zaoferowania?

Echo odchrząknął.

- No cóż, na przykład poufną wiedzę na temat zamku przeraźnika. Szczególnie na temat jego laboratorium, łącznie z inwentarzem, od pieca alchemicznego, przez Eisspinowski Konserwator, na zawartości każdej pojedynczej próbówki kończąc. Wiem dokładnie, w jaki

sposób przeprowadza się eisspinowanie albo rektyfikację wrażliwych na ból metali, co zrobić, aby cierpiący człek przetrwał latami. Jak uzdatnić do picia rtęć. Wiem wszystko o przekształcaniu gazów. O konserwowaniu w tłuszczu substancji lotnych każdego rodzaju. Wiem, jak przyrządzić siedemset rodzajów naleweczki z omana i na jakie kalectwa je stosować. Ach, no i mam pełną wiedzę na temat destylacji prawoskrętnych myśli oparów. Znam zawartość wszystkich alchemicznych dzienników Sukkubiusa Eisspina. Jego tabele chemofilozoficzne są mi również znane wzdłuż i wszerz. Wiem niejedno o analizie pryzmatów, terapii ałunem i konserwacji eteru. A to jedynie niewielki ułamek mojej oferty. Wiem, jak ugotować upiora.

Znów zaległo długie milczenie, w które wmieszało się astmatyczne pokasływanie.

- W jaki sposób ustawia się Barograf Aeromorfowy? - zapytała po chwili przeraźnica.

Echo nie musiał się długo zastanawiać.

- Kalibruje się go za pomocą kamertonu Fasolatiego na 100,777 eumów, potem przydymia się jego soczewki drewnem świerkowym, aż będzie można bez oślepięcia skierować je na słońce.

Przez chwilę, która wydawała się nie mieć końca, nie wydarzyło się nic. Wreszcie drzwi otwały się, równie bezdźwięcznie i powoli, jak za pierwszym razem.

- Wejdz do środka - chrząknęła przeraźnica.

Echo wśliznął się do domu przez szparę w drzwiach.

Tropikalna atmosfera przeraźnicowej jaskini chwyciła ciało Echa niczym mokra pięść. W połowie ciepłarnia, w połowie sauna, z jednej strony ziemiste i zgniłe wyziwy, z drugiej gęste i ciepłe powietrze, które można było niemal ciąć. Tak musi się czuć ktoś pogrzebany żywcem na Cmentarnych Bagnach Dullsgardu pośród bagiennych trupów. Pragnął wrócić niezwłocznie do pełnego przeciągów zamku. Tylko zwierzęta z dżungli czułyby się tutaj dobrze i nie zdziwiłyby się wcale, gdyby z mroków pomieszczenia wyskoczył jakiś liściołak.

- Schudłeś od ostatniego razu - powiedziała przeraźnica. - Ale nadal jesteś jeszcze tłusty.

- Wiem - westchnął Echo. - Pracuję nad tym.

Przeraźnica gapiała się na niego tak otwarcie, jak gdyby nie miała najmniejszego pojęcia o swej brzydocie. Echo próbował spojrzeć jej w oczy, lecz opuścił głowę i patrzył w podłogę.

- Gadaj więc! - rozkazała ostro. - Czego naprawdę ode mnie chcesz?

- To w zasadzie bardzo proste. Pani przeraźnico... - rozpoczął.

- Izanuela. Izanuela Anacaci. Możesz mówić mi Iza.

- Bardzo mi miło. Nazywam się Echo.

- A teraz gadaj!

- A więc zawarłem kontrakt z Eisspinem, w którym stoi, że ma mnie on tuczyć do następnego księżycy przeraźnic. W zamian za co może poderznąć mi gardło i wygotować tłuszcz.

Przeraźnica opadła na przeżarte przez korniki krzesło, które stęknęło i zatrzeszczało pod jej ciężarem. - Czy to prawda? - zapytała. Z jej głosu zniknęła wszelka oschłość.

- Byłem w ciężkiej sytuacji. Omal nie umarłem z głodu.

- A dlaczego po prostu nie zwiejesz?

- Próbowałem, ale to niemożliwe. Nie mam pojęcia, w jaki sposób to zrobił.

Krzesło podziękowało pełnym ulgi skrzypnięciem, kiedy przeraźnica uniosła się ponownie.

- Ale *ja* wiem, jak - powiedziała i uniosła brwi, a jej nabiegłe czerwienią gałki oczne wypłynęły jeszcze bardziej.

- Naprawdę? - Echo nadstawił uszu.

- Czy spałeś kiedyś w ramionach Eisspina?

- Tak, zaraz na początku. Zaniósł mnie do swojego zamku.

- No i masz. Rzucił na ciebie urok. Nic nie można na to poradzić.

- Co?

- Urok. Jedna ze specjalności Eisspina. To nie czary. Rozkaz posthipnotyczny. Bardzo skuteczny. Wyszeptał ci go podczas snu.

- I nie można nic na to poradzić?

- Właściwie można. Mogłabym zahipnotyzować cię raz jeszcze. I wymazać urok.

- To możliwe?

- Tak. Chyba że Eisspin stworzył blokadę mentalną. W takim przypadku każda kolejna hipnoza wywoła u ciebie psychozę. Co oznacza, że do końca życia będziesz myślał, że jesteś szklanką mleka albo ratuszem we Floryncie.

- W takim razie lepiej to zostawmy - szybko zdecydował Echo.

- Też bym ci to odradzała. Zbyt ryzykowne. Eisspin jest mistrzem hipnozy i jest zbyt ostrożny, aby rezygnować z zabezpieczeń.

Echo był pod wrażeniem pewności siebie, jaka emanowała z przeraźnicy. Nie była to brzydota skrywająca się pod wielkim kapeluszem czy chowająca się w ciemnych pomieszczeniach. Była to dumna brzydota bez zahamowań, obracająca swe działanie na

własną korzyść. Była to brzydota, która domagała się szacunku. Góra jest dołem, a brzydkie jest piękne - pomyślał Echo.

- Twierdzisz, że to niemożliwe, abym uciekł o własnych siłach? - zapytał po chwili.

- Tak. Taki urok wygasa dopiero wtedy, gdy umrze jego twórca. Musiałbyś zabić Eisspina, żeby uwolnić się od klątwy - powiedziała cicho Izanuela.

Tak jak oczywista stała się dla Echa myśl, że Eisspin chce go zabić, tak potwornością wydał mu się pomysł wyprawienia przeraźnika na tamten świat.

- Nie potrafię tego zrobić - powiedział.

- Byłoby to jednak najprostsze rozwiązanie. Tam, na górze, w laboratorium, musi być wystarczająca ilość trujących rzeczy, żeby ukatrupić całą kompanię przeraźników. Odrobina czegoś do kawy i pffffff! - wykonała gest, jak gdyby zdmuchiwała z ręki piórko.

- To wbrew mojej naturze. Niemożliwe - zdecydował Echo.

- I dlatego też wy, krotki, wkrótce wymrzecie - westchnęła przeraźnica. - Jesteście zbyt miłe na ten świat.

- A dlaczego ty właściwie jeszcze tutaj jesteś? - zapytał Echo. - Kiedy wszystkie pozostałe przeraźnice się wyniosły? Też ciąży na tobie klątwa?

- Nie - Izanuela gapiła się na niego, zezując przy tym w trudny do zniesienia sposób.

- Dlaczego po prostu nie opuścisz Sledwai, skoro Eisspin tak bardzo utrudnia ci życie?

- Cóż, dlaczego? Powiem ci. Kiedy wszystkie przeraźnice się wyniosły, zrozumiałam, co oznacza brak jakiegokolwiek konkurencji. Wcześniej zabierałyśmy sobie tu w Zaułku Przeraźnic chleb od ust, a nagle stałam się najbardziej wziętą znachorką w Sledwai. Ludzie walą do mnie drzwiami i oknami. Nie wyobrażasz sobie, jak wielkie jest zapotrzebowanie na medycynę alternatywną w mieście pełnym chorych ludzi.

Przeraźnica znów zaczęła pożerać Echa oczami, machając przy tym uszami, na zmianę to prawym, to lewym.

- A Eisspin w zasadzie daje mi spokój. Wie, jak ważna jest dla niego moja obecność. Jakemu miastu potrzeba przeraźnika, jeśli nie ma w nim już żadnych przeraźnic?

- Rozumiem - powiedział Echo, wpatrując się jak urzeczony w falujące uszy.

- I nie myśl sobie, że przeraźnicom, które się wyniosły, wiedzie się lepiej. Większość z nich wałęsa się po całej Camonii, ciągnąc od jarmarku do jarmarku z oślim zaprzęgiem i kotłem do gotowania, śpią pod gołym niebem i żyją w ciągłym strachu przed jakimiś demonami zbożowymi albo liściołakami. Ja mam dach nad głową i stałą klientelę. Czego chcesz więcej?

Izanuela przestała machać uszami.

- Ale wracając do ciebie! - powiedziała. - Co takiego sobie wyobrażałeś, jak miałabym ci pomóc?

- Och, nie wiem! - powiedział Echo. - To był właściwie pomysł mojego przyjaciela. Myślał, że wy, przeraźnice, wiecie o czymś lub posiadacie coś, czego boi się Eisspin.

Przeraźnica obdarzyła Echa spojrzeniem zarezerwowanym dla niepełnosprawnych umysłowo. Albo dla małych dzieci, które powiedziały coś bardzo głupiego.

- A jak ten twój przyjaciel na to wpadł? - zapytała ze współczuciem. - Dlaczego Eisspin miałby się bać akurat nas, przeraźnic?

- Nie mam pojęcia! - odpowiedział Echo. - Jak już mówiłem, to nie był mój pomysł. Być może myślał, że mogłybyście uwarzyć jakąś miksturkę.

- Och, skoro chodzi jedynie o to. To naturalnie żaden problem. Miksturka! Może taka, która go skurczy? Aż stanie się tak mały jak mysz? Albo taką, która rozpuści go w powietrzu?

- Potrafisz takie rzeczy? - zdumiał się Echo.

- Naturalnie, że nie! - tupnęła nogą przeraźnica. - Do kata, jakież wyobrażenia masz o moich możliwościach? Rozejrzyj się dookoła! Najskuteczniejszy środek, jakiego wolno używać przeraźnicom, to herbata z rumianku!

Echo załamał się.

- W takim razie znowu przyszedłem na darmo - westchnął.

Przeraźnica wzruszyła ramionami, aż trzasnęło.

- Cóż mogę poradzić? Słuchaj mały, przeraźnice i Eisspin mają się do siebie tak, jak pokrzywa do pożaru lasu. Nieszkodliwa wiedza o ziołach przeciw najgroźniejszej alchemii. Herbata z kopru wobec dżumy. Mogłabym od razu pokłócić się z Wolpertingiem, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

- Tak, zrozumiałem - powiedział Echo. - Mimo wszystko, dzięki, że mnie wysłuchałaś.

Odwrócił się w stronę drzwi, które otwarły się, gdy przeraźnica pstryknęła palcami.

- I dlaczego gryzie mnie teraz sumienie? - zawołała i przewróciła oczami - dlatego że nie chcę ukłócić sobie sama stryczka wokół szyi? Że nie jestem jeszcze zmęczona życiem? Albo tak szalona jak ty, żeby zadzierać z przeraźnikiem?

- Już dobrze - powiedział Echo, schodząc po schodach. - Jak już wspominałem, to nie był mój pomysł. Życzę dobrej nocy.

- Zaczekaj - zawołała przeraźnica.

Echo zatrzymał się na najniższym stopniu i odwrócił się. Zakiełkowała w nim iskierka nadziei.

- Chodzi o to - powiedziała przeraźnica - że istnieje jeszcze jeden powód, dla którego

nadal przebywam w Sledwai.

- Jaki powód?

- Jestem najgorszą przeraźnicą w Camonii.

- Co?

- Tak po prostu jest. Nie potrafię przepowiadać przyszłości. Nie umiem sporządzać wywarów miłosnych. Nie umiem nawet czytać z kart. Nie mam żadnych przeraźnicowych zdolności.

- Czy to prawda?

Izanuela wzruszyła ramionami.

- To wyszło na jaw jeszcze w szkole dla przeraźnic.

- Istnieją szkoły dla przeraźnic? - zapytał Echo.

- No jasne. Z każdego przedmiotu byłam ostatnia w klasie. Naiwnie wybrałam sobie najgorszą przeraźnicę w całej Camonii. Dlatego tutaj jestem. Na wolnym rynku nie miałabym żadnych szans. Gdy pozostałe jeszcze tu były, utrzymywałam się z jałmużny.

- A co z twoją klientelą? Dlaczego do ciebie przychodzą, jeśli niczego nie potrafisz?

- Sprzedaję im leki roślinne, a one składają się w jednym procencie z medycyny, a w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach z nadziei. Im bardziej w nie wierzysz, tym bardziej ci pomagają. Ja tylko trochę przewracam przy tym oczami.

Echo westchnął i chciał już odejść.

- Przykro mi - powiedziała przeraźnica. - Możesz wpadać, kiedy tylko chcesz, mały. Znaczy, jeśli będziesz chciał się wygadać albo coś - najwidoczniej ulżyło jej, że przyszło jej do głowy jeszcze coś na pocieszenie.

- Dziękuję - powiedział Echo, biegnąc w dół ulicy. - Być może tak zrobię.

- Musisz mi jeszcze wyjaśnić jedną rzecz - zawołała za nim Izanuela. - Skoro on i tak zabije cię za dwa tygodnie, dlaczego jesteś teraz na diecie?

- Nikt nie rozumie skóroperzy - odkrzyknął jej Echo.

Przeraźnica przechyliła głowę.

- Skóroperze? - zapytała. - Co do kata mają z tym wspólnego skóroperze?

Echo nie odpowiedział, tylko zniknął w ciemnościach.

Drugi orzech

Echo był znów skazany na samego siebie. Musiał więc użyć głowy, żeby obmyślić nową

strategię. Po wyczerpującym maratonie w górę i w dół po zamkowych schodach odpoczywał w swoim koszyczku, prowadząc monolog.

Jaki jest słaby punkt Eisspina? - zastanawiał się. - Czym można go zranić? Uśmiecha się, śmieje się, żartuje - czasami nawet płacze. Musi więc mieć jakieś uczucia jak każda inna istota.

Echo odwrócił się na grzbiet i gapił w sufit.

Skąd bierze się jego namiętność do gotowania? Ktoś, kto wkłada tyle miłości w sztukę sprawiającą przyjemność innym, musi przecież być zdolny do miłości wobec bliźniego. Czy udałoby mi się obudzić w nim współczucie? Ale w jaki sposób?

Sufit nad jego głową rozświetlił się złotym światłem, a w środku zmaterializowało się coś, co wypełniała jeszcze większa jasność. Echo myślał, że to Gotowany Upiór, potem jednak poznał Złotą Wiewiórkę z Drzewa Orzechowienia.

- Witam ponownie! - pisnęła wiewiórka. - Czy jesteś gotowy na moją pomoc przy najistotniejszych procesach poznawczych?

Echo gapił się w zdumieniu na zjawisko. Odczuwał przy tym ciepło wypełniające całe ciało spokojem i błogością.

- To wibracje sympatetyczne, promieniujące od Dumających Jaj - powiedziała. - Potężne drgania, które przesyłają mi z Doliny Dumających Jaj, abym mogła przekazać je tobie. Jestem, rzecz można, ich telepatycznym posłańcem.

- Drgania? - zapytał Echo.

- Tak. Może po prostu nazwać to zaufaniem. Jest potrzebne, aby nie stracić rozumu, przeżywając takie wizje, jak ty w tej chwili.

- W zasadzie nie martwię się o mój rozum - odpowiedział Echo - lecz o moje życie.

- Dlatego też tu jestem. Wymyślasz nową strategię?

- Zastanawiałem się, w jaki sposób mogę wzbudzić jego współczucie.

- To nie będzie proste. Ma serce z lodu.

- Ale czasami płacze.

- Może wpadło mu coś do oka. Albo bolały go zęby.

- Nie, ten ból miał inne pochodzenie.

- Dobrze - powiedziała wiewiórka. - To punkt zaczepienia. Zaczynaj najlepiej od siebie samego. Czy badałeś własne życie w poszukiwaniu czegoś, co głęboko cię poruszyło? Wzbudziło twoje współczucie?

- Nie - odpowiedział Echo.

- W takim razie zrób to! Przeszukaj swoją pamięć!

Echo posłuchał. Hm - zastanawiał się. Współczucie. Wzruszenie. W swym krótkim życiu miał jeszcze niewiele okazji do porywów uczuć tego rodzaju.

- Współczucie odczuwam co najwyżej wobec samego siebie.

- To się nie liczy! - zawołała wiewiórka. - Pomyśl! Może coś jeszcze znajdziesz.

Echo zastanawiał się z wysiłkiem.

- Kiedy zdarzyło ci się płakać? Nie nad swoim własnym losem, lecz nad losem innych? - pomagała wiewiórka.

Echo przypomniał sobie scenę wepchnięcia ślepego kreta do strumienia. Ale wtedy nie płakał, tylko się śmiał.

- To była radość z czyjegoś nieszczęścia! - zgaśniła go wiewiórka. - Żadne współczucie, tylko jego przeciwieństwo.

- Wiem - powiedział Echo. - Nie mam pojęcia, dlaczego akurat to mi się przypomniało.

- To część procesu poznawczego - wyjaśniła wiewiórka. - Twój mózg przeszukuje twoje życie w poszukiwaniu pasujących przeżyć. Badaj dalej! Cofnij się tak bardzo, jak będzie to możliwe!

Wtedy krotkowi coś zaświtało. Wydarzenie, o którym niemal zapomniał.

- Wydaje mi się, że coś mam - powiedział. Na samo wspomnienie do oczu napłynęły mu łzy. - To historia, którą słyszałem, będąc małym krotkiem.

- To właśnie to! - triumfowała wiewiórka. - Strzał w sedno! Gratuluję, mój drogi! To był właśnie drugi orzech orzechowienia. Zobaczymy się jeszcze tylko jeden raz.

Blask zamierał, a wiewiórka robiła się coraz bardziej blada.

- Hej! - zawołał Echo. - Nie chcesz wysłuchać tej historii?

- Nie! - zawołała z bardzo daleka wiewiórka. - To nie mnie musisz opowiedzieć tę historię, tylko Eisspinowi.

Żelazne Miasto

- Mistrzu! - powiedział Echo po skonsumowaniu przepysznego fileta z ryby. - Chciałbym się wreszcie zrewanżować. Dzisiaj to *ja* zapewnię ci rozrywkę. Opowiem ci coś.

Eisspin wyszczerzył zęby w uśmiechu i zaczął nabijać fajkę.

- Nie wiedziałem nawet, że to potrafisz.

- Sam tego też nie wiem - odpowiedział Echo. - Ale chciałbym przynajmniej

spróbować.

- Ciągłe mnie zaskakujesz. Co to za historia?

- Miłosna.

- Ach - powiedział Eisspin i zrobił minę, jakby przed chwilą połknął chrząszcza.

- Bez obaw - uspokajał Echo. - To absolutnie tragiczna historia miłosna.

Najtragiczniejsza, jaką znam.

Twarz Eisspina ponownie się rozjaśniła.

- Do dzieła! - rozkazał i zapalił fajkę. - Lubię tragiczne historie.

Echo usiadł wygodnie na kuchennym stole.

- Najpierw chciałbym zaznaczyć, że wszystko jest w niej prawdą. To opowieść o przepięknej dziewczynie.

Eisspin kiwał głową i wypuścił z ust parę grubych obłoczków dymu.

- Wyobraź sobie, mistrzu, najpiękniejszą dziewczynę, jaką jesteś sobie w stanie wyobrazić. W młodości była tak piękna, że w obliczu mych miernych zdolności narracyjnych najmniejszego sensu nie miałaby nawet próba uchwycenia jej piękności słowami. Ja w każdym razie zupełnie bym temu nie sprostął, dlatego pominę milczeniem, czy była blondynką czy brunetką, czy miała rude włosy czy kręcone, długie, krótkie, kędzierzawe czy jedwabiste gładkie. Powstrzymam się również od pospolitych porównań jej skóry z mlekiem, aksamitem, jedwabiem, brzoskwinia, miodem czy kością słoniową. Zamiast tego zdam się całkowicie na twoją wyobraźnię, byś w tym pustym miejscu umieścił obraz twego ideału kobiecego piękna.

Spojrzenie Eisspina skierowane było w dal, a z wyrazu jego twarzy dało się wywnioskować, że spełnił już życzenie Echa. Na jego cienkich ustach pojawił się ten rzadki uśmiech, który czynił go niemal sympatycznym. Fakt, że Eisspin w ogóle posiada jakikolwiek ideał kobiety, dodał Echu otuchy.

- Ta przepiękna dziewczyna - kontynuował - żyła kiedyś w Żelaznym Mieście.

- Żelaznym Mieście? - przerwał zdumiony Eisspin.

- Tak. Coś nie pasuje z Żelaznym Miastem?

- Ach... nie, już dobrze... - Eisspin machnął ręką i zaciągnął się fajką. - Opowiadaj dalej!

- Cóż, Żelazne Miasto jest, jak wiadomo, najbrzydszą i najbrudniejszą, najniebezpieczniejszą i najbardziej zniechęconą metropolią w całej Camonii. Miasto zbudowane całkowicie z metalu, z porzewiałego żelaza i ciężkiego ołowiu, pokryte nalotem miedzi i mosiądzu, ze śrub i nakrętek, maszyn i fabryk. Tak, powiada się, że całe miasto jest

jedną olbrzymią maszyną, która bardzo, bardzo powoli porusza się w stronę nieznanego jeszcze celu. Ma tam swoją siedzibę większość metalowego przemysłu przetwórczego i nawet tworzone przez nich produkty są paskudne: broń i drut kolczasty, garoty i Miedziane Dziewice, klatki i kajdany, zbroje i miecze katowskie. Ci, którzy tam mieszkają, gnieźdzą się przeważnie w blaszanych chałupach, trawionych przez padające niemal nieustannie kwaśne deszcze, poczerniałych od pyłu węglowego. Ci, których na to stać, ołowiani i złoci baronowie, handlarze bronią i fabrykanci armat, mieszkają w stalowych twierdzach, w ciągłym strachu przed swymi przymierającymi głodem i niezadowolonymi podwładnymi oraz robotnikami. Żelazne Miasto - poprzecinane potokami kwasu i oleju. Wiecznie zadaszone kopułą złożoną z sadzy i chmur burzowych, przesywanych nieustannie błyskawicami i dudniących grzmotami. Pełne sadzy powietrze wypełnia stukot i syk, skrzypienie porzdewiałych zawiasów i brzęk łańcuchów. Wielu mieszkańców jest maszynami. Podłe miasto. Być może najpodlejsze w całej Camonii.

Eisspin ponownie pokiwał głową.

- Całkiem dobrze ci to wychodzi - powiedział. - Bardzo klimatycznie. Dokładnie tak tam wygląda.

- Znasz Żelazne Miasto? - zapytał Echo.

- Oczywiście. Ale opowiadaj dalej!

- A teraz wyobraź sobie ten kontrast: dziewczyna piękna jak z obrazka i obrzydliwe miasto. Piękna i bestia. Niewinność i moloch ze stali.

- Jestem w stanie to sobie wyobrazić - powiedział Eisspin. Jego wzrok znów się rozpromienił.

- Jest córką barona ołowianego i żyje w twierdzy z rdzewnej stali. To całkiem wyjątkowy gatunek metalu, który koroduje na powierzchni, podczas gdy pod tą zwodniczą warstwą skrywa się nieprzenikniona stal. Zamiast okien były tam jedynie otwory strzelnicze. Zamiast drzwi mosty zwodzone, wiodące nad fosami pełnymi kwasu.

Echo przerwał na chwilę. Całkiem nieźle wychodziło mu to opowiadanie. Wyglądało na to, że wzniecił u Eisspina iskrę zainteresowania.

- Nasza piękność wkroczyła wreszcie w odpowiedni do ożenku wiek, a baron ołowiany ogłosił zawody, w których każdy młodzieniec z miasta mógł starać się o rękę jego córki - o ile dysponował odpowiednim majątkiem. Jak wszystko w Żelaznym Mieście, również te zawody kręciły się wokół metalu. Kto najmocniej zegnie żelazne sztaby, najszybciej doprowadzi ołów do wrzenia, wykuje najlepszy miecz, wystrzeli najdalej złotą kulę, no cóż, właśnie tego typu rzeczy. Pod koniec pozostało trzech konkurentów. Teraz

miały zdecydować przymioty duchowe. Nasza piękność zastrzegła sobie, że zada każdemu z nich po trzy pytania, a ten, który odpowie na nie najmądrzej, otrzyma jej rękę.

Eisspin zamilkł. Nie pociągał już nawet fajki. Wpatrywał się jedynie w Echo z trudnym do określenia wyrazem twarzy.

- Ale pytania były tak szczone i wyrafinowane, że żaden z konkurentów nie był w stanie znaleźć na nie rozsądnej odpowiedzi. Ołowiany baron był zrozpaczony, a widzowie zawodów sarkali. Czuli się oszukani przez mądrą piękność, która zdawała się niegotowa na ofiarowanie swego serca.

Echo uczynił dramatyczną pauzę.

- Na arenę zawodów wkroczył nagle młody mężczyzna. Przeprził za swe spóźnienie i wykonał pierwszą część rywalizacji w zawrotnym tempie: najmocniej wygiął żelazne sztaby, najszybciej doprowadził ołów do wrzenia, wykuł najkunsztowniejszy miecz i najdalej wystrzelił złotą kulę - no cóż, sam wiesz. W końcu stawiał czoła pytaniom naszej piękności.

Eisspin położył na stole ostygłą fajkę. Historia zdawała się poruszać go bardziej, niż Echo się spodziewał. A nie dotarli nawet jeszcze do punktu kulminacyjnego.

- Cóż - kontynuował Echo - nikomu na sali nie umknął fakt, że nasza piękność znalazła upodobanie w tym młodym konkurencie. Wyglądał bowiem bardzo przystojnie - i również w jego przypadku chciałbym powstrzymać się od opisów. Pomyśl po prostu o najpiękniejszym młodzieńcu, jakiego możesz sobie wyobrazić.

- To proste - powiedział Eisspin dziwacznie bezbarwnym głosem.

- Ach tak?

- Muszę jedynie wyobrazić sobie przeciwieństwo samego siebie.

Echo był zdumiony daleką od próżności samooceną Eisspina, wziął to jednak za dobry omen.

- Nasza piękność zadała pierwsze pytanie. Brzmiało ono: ile jest jeden plus jeden?

Przez salę przetoczył się pełen aprobaty szept, stało się oczywiste, że upodobała sobie tego młodego mężczyznę i pragnie ułatwić mu drogę do swego serca.

- Dwa - powiedział młodzieniec.

- A ile daje dwa podzielone przez dwa? - zapytała piękna.

- Jeden - odpowiedział.

Paru ludzi w pomieszczeniu zaśmiało się, a ołowiany baron odsapnął z ulgą. Nasza piękność zadała trzecie pytanie: Jeśli poproszę cię o wielką przysługę, która odbierze ci to, czego pożądasz najmocniej - czy uczynisz ją dla mnie?

Znów podniósł się szept, a ołowiany baron rozejrzał się dookoła w zmieszaniu. Co to za dziwaczne pytanie?

- Naturalnie - odpowiedział poważnie młody człowiek.

- W takim razie chodź za mną! - Nasza piękność wzięła go za rękę i wyprowadziła z sali, pozostawiając za sobą tumult i gwar. Zatrzymała się dopiero w odległej części twierdzy i spojrzała mu w oczy.

- Wysłuchaj proszę! - poprosiła. - Muszę przyznać, że mi się podobasz. Nawet bardzo. Ale jestem już obiecana - moje serce należy do innego.

Młody człowiek milczał.

- Mój ojciec jeszcze o tym nie wie. Brałam udział w tych zawodach tylko po to, aby zyskać czas dla mego ukochanego, który aby poprosić o moją rękę, musi zdobyć sto tysięcy pyr. Ta suma jest, jak ci wiadomo, podstawowym warunkiem, by poślubić dziewczynę mego stanu. Nie udało mu się to jednak do tej pory, bo jest biedny.

Nasza piękność rozejrzała się trwożliwie, jak gdyby obawiała się, że ktoś ją podsłucha.

- Skoro już wiem - kontynuowała - że dysponujesz tą sumą, inaczej nie mógłbyś wziąć udziału w zawodach, pozwolę sobie na bezwstydną prośbę. Czy mógłbyś pożyczyć memu ukochanemu sto tysięcy pyr, aby mógł poprosić o moją rękę? Na pewno któregoś dnia to spłaci, z odsetkami i odsetkami od odsetek. A ty możesz być też pewien mej dozgonnej wdzięczności.

Młody człowiek cały pobladł, stał jednak mężny i opanowany. - Oczywiście - odpowiedział. - Na niczym nie zależy mi bardziej niż na twoim szczęściu.

Nasza piękność dała mu całusa.

- To takie bezinteresowne z twojej strony - powiedziała. - Musisz mi obiecać, że pozostaniemy dobrymi przyjaciółmi, że będziesz mnie ciągle odwiedzał.

- Tak uczynię - powiedział młody człowiek i pożegnał się. Następnego dnia przyniósł upragnioną sumę. Nasza piękność pocałowała go raz jeszcze i ponownie zmusiła do obietnicy rychłych odwiedzin. Potem pozwoliła mu odejść.

Gdy zniknął, przycisnęła do piersi sakiewkę z pieniędzmi. Była nad wyraz szczęśliwa. Nie miała bowiem żadnego innego ukochanego, chciała jedynie sprawdzić, jak wielka była miłość młodzieńca.

Eisspin jęknął, a Echo nie wiedział, czy miało to związek z jego opowieścią czy dolegliwościami fizycznymi. Mina przeraźnika w każdym razie zdradzała ból, który mógł mieć dwojakie pochodzenie.

- A więc - kontynuował krot - trudno było o większy dowód miłości. Potem nasza

piękność czekała, aż młody człowiek zgodnie z obietnicą pojawi się z wizytą, a ona wyzna mu prawdę o strasznej próbie i zwiąże się z nim na całe życie.

Echo westchnął.

- Ale on nie przyszedł. Minął tydzień, dwa tygodnie, miesiąc. Naszą piękność zaczął ogarniać strach. W końcu rozchorowała się ze zmartwienia, leżała w łóżku, obejmując sakiewkę z pieniędzmi, jak gdyby była jej ukochanym. A potem posłańcy przynieśli wiadomość: młody człowiek, opuściwszy twierdzę, odszedł z Żelaznego Miasta i zaciągnął się do armii żołdaków. Zginął krótko potem w bitwie w Górach Midgardu.

Eisspin wczepił swe chude palce w okrycie na wysokości serca, jego powieki drżały.

- Nasza piękność straciła niemal rozum, słysząc tę wiadomość. Podarła suknie, podrapała skórę i płakała przez cały miesiąc. Potem opuściła Żelazne Miasto, podróżowała bez celu przez całą Camonię, zmierzyła ją wzdłuż i wszerz, sakiewkę z pieniędzmi wrzuciła do Przepaści Demonów i osiadła w Sledwai, gdzie żyła w cichej żałobie. Wiodła samotne życie i rzadko wychodziła za drzwi, a jeśli już, otulała ją peleryna i kaptur. Jej piękność bowiem, nawet w podeszłym wieku, wciąż wywoływała poruszenie.

Eisspin zerwał się gwałtownie, co ogromnie przerażyło krotka.

- Co? - zagrzmiał przeraźnik. - Ona jest w Sledwai? Otworzył szeroko oczy, a dolna warga drżała mu z podniecenia.

- Nie, nie ma jej już w Sledwai. A przynajmniej nie żyje już w tym mieście, ponieważ niedawno zmarła. Trzeba ci wiedzieć, że była to prawdziwa historia, żadna bajeczka. To historia mojej pańci, którą opowiadała mi dawno temu.

Eisspin zataczał się po kuchni, jak gdyby ktoś zdzielił go potężnie w czaszkę.

- Przez cały czas była tutaj... w Sledwai - mruczał bardziej do siebie niż do Echa. Potem raz jeszcze spojrzął na krotka. Echo umknął przed tym wzrokiem, wyczytał w nim bowiem rozpacz graniczącą z szaleństwem. Z oka przeraźnika potoczyła się łza, chwiejnym krokiem podszedł w stronę drzwi.

- Była tutaj przez cały czas - wyszeptał raz jeszcze. Potem wybiegł na zewnątrz.

Echo nie liczył na taką eksplozję uczuć. Co oznaczały tajemnicze słowa Eisspina? Krotek zeskoczył ze stołu, uciekł z kuchni i na resztę wieczoru zaszył się w swoim koszyczku.

Chleb pszczeleli

Tej nocy Echo spał wyjątkowo niespokojnie. Miał sen, jak często zresztą, o przeraźniku, lecz również o Fiodorze F. Fiodorze, Gotowanym Upiorze i przeraźnicy. Śnił o swojej pańci, jako młodej, przepięknej dziewczynie, a później dobrotliwej staruszce. Śnił o skóroperzach i Śnieżnobiałej Wdowie, o bolejących świecach i łososiach, z którymi pływał. O cieniowych zwierzętach i cierpiących człękach. O dzikich psach, które ścigał, będąc skóroperzem, o wypchanych mumiach demonów, które ożyły w jego koszmarze. Jeszcze podczas snu Echo był świadomy, że śni mu się całe dotychczasowe życie w skróconej formie, lecz okropnie pomieszane, jak w scenariuszu sztuki teatralnej, w której poprzekładano kartki. Również aktorzy tej pogmatwanej sztuki zmieniali głosy i role wedle własnego upodobania. Przeraźnik przemawiał głosem przeraźnicy i na odwrót, Fiodor był skóroperzem, a Śnieżnobiała Wdowa jego pańcią. Wszyscy udzielali mu sprzecznych rad i prześladowali swą bezsensowną gadaniną, podczas gdy on bez wytchnienia błędził uliczkami Sledwai i korytarzami zamku w poszukiwaniu czegoś, ale nie pamiętał już czego. Potężny liściołak, któremu z otwartej paszczy kapłała żywica, wyszedł chwiejnie z ciemności. Przemówił głosem Złotej Wiewiórki: Nie wierz w żadne słowo przeraźnicy, szczególnie gdy mowa o przeraźniku! A jeśli masz problem z przeraźnikiem, skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą!

Echo przebudził się z tymi słowami rozbrzmiewającymi w uszach. Podniósł się całkowicie wykończony. Obok jego koszyczka stał talerz z chlebem miodowym, pocięty na apetyczne kawałeczki, miska zimnego mleka oraz leżała kartka:

*Mój drogi echo,
przykro mi, że nie Mogę cię poczęstować szczególnie
wystawnym śniadaniem, ale przez cały dzień
będę zajęty pracą badawczą. Za to miód na chlebie jest
wyjątkowy, pochodzi z Miodowej Doliny Demonicznych
Pszczół.*

*Nie przejmuj się martwymi pszczołami w miodzie, są
pozbawione żądeł i uprażone, nadają mu chrupkości.
Bądź jednak przezorny i przeżuwaj je ostrożnie. Zdarza
się to bardzo rzadko, ale może się tak stać, że jedna
z pszczoł nie będzie pozbawiona żądła. Jego kawałek
w podniebieniu czy w języku wprawdzie cię nie zabije, lecz
na pewno gwarantuje mało przyjemny czas. Powiada się,*

*że w tym ryzyku kryje się również część przyjemności
z palaszowania pszczelego chleba.*

Sukkubius Eisspin

Proszę, proszę - pomyślał sennie Echo. - Demoniczne pszczoły z Miodowej Doliny. Cokolwiek miałyby to być. Po tej nocy wsunąłbym nawet grillowanego knilsza z bromenem albo i bez. - Połknął szybko parę kawałków i upił nieco mleka. Mleko smakowało dziwnie, jakimś mydłem, dlatego chciwie pożarł kolejny kawałek pszczelego chleba, by przepędzić ten smak - i poczuł nagle kłujący ból w języku.

- Au! - krzyknął i nic więcej nie przeszło mu już przez usta. Pomieszczenie zaczęło się obracać, robiło się na zmianę to jasno, to ciemno, a potem runął w głąb szybu, który wkręcał się w głębię czarno-białą spiralą. Stracił przytomność.

Gdy się przebudził, miał wrażenie, że spogląda w rozbite lustro, które odbija obraz świata w wielu maleńkich kawałeczkach. Nie trwało to długo i oto maleńkie pojedyncze obrazki ułożyły się w jeden wielki, a Echo zobaczył, że nad nim znajduje się potężna kopuła, składająca się z żółtawych plastrów miodu. Stłumione światło, dobiegające z paru szczelin pomiędzy plastrami, z trudem oświetlało salę. Ale to nie pomieszczenie, w którym znalazł się Echo, wywarło na nim największe wrażenie, lecz raczej towarzystwo, w jakim przebywał. Spojrzał w prawo - same pszczoły. Spojrzał w lewo - też pszczoły. Był przekonany, że z tyłu również zobaczyłby pszczoły, gdyby tylko się obejrzał, lecz zabrakło mu odwagi. To były demoniczne pszczoły, wielkie jak wyrosnięte dogi. Musiały być ich tysiące.

Chwileczkę - pomyślał Echo - pszczoły wielkie jak psy? Zanim wpadnę w panikę, muszę się zastanowić. Co się działo przed utratą świadomości? Mleko smakowało dziwnie - Eisspin najpewniej czegoś do niego dodał. Ugryzłem pszczele żądło - na pewno umieścił je tam Eisspin. To może być tylko jedna z tych podróży w obce ciało, które tak hojnie funduje mi Eisspin. Posiłek Przemian.

Nagle zauważył, że z piersi wyrastają mu kłujące czarne włosy, a nogi - ma ich aż sześć! - czarne i błyszczące, są kończynami owada. A to, co tak dynda mu przed oczami, czy to czułki? Rzeczywiście. Jestem pszczołą - pomyślał. - Demoniczną pszczołą. A te bydlaki wcale nie są takie wielkie. To tylko ja zrobiłem się mały.

Echo starał się uspokoić. - To tylko podróż. Ona minie. Odpręż się! Rozkoszuj się nią! Ta ze skóroperzem ostatecznie też ci się spodobała.

A więc to tak wygląda ul od środka. Pachniało przyjemnie miodem. Miło tu w środku i ciepło. Dziwne, Echo czuł się jak w domu, lecz właściwie nie było to dziwne - przecież był pszczołą.

Rozluźnij się - myślał Echo. - Bądź pszczołą. Zobaczymy, co się stanie.

Nagle w jego głowie pojawiła się myśl, która tak naprawdę nie była jego myślą. To raczej myśl demonicznej pszczoły:

- Gnorkx jest bardzo wielki!

Zgromadzenie przeszył dreszcz i wszystkie demoniczne pszczoły zrobiły równocześnie krok w prawo, krok w lewo, a potem obróciły się wokół własnej osi. Echo wykonał dokładnie taki sam ruch i wiedział również, dlaczego tak zrobił. Te taneczne kroki były językiem demonicznych pszczoł. Wiedział też, co oznaczały. A mianowicie:

- Gnorkx jest bardzo wielki!

Echo wiedział nawet, kim był Gnorkx, wiedza ta była powszechna wśród demonicznych pszczoł. Gnorkx był nadnaturalną i godną szacunku istotą, która stworzyła wszystkie demoniczne pszczoły. Gnorkx mieszkał na słońcu i uchodził za nieśmiertelnego. Gdy umierała demoniczna pszczoła, udawała się do Gnorksa, by zamieszkać z nim na słońcu na wieki.

Do diaska - pomyślał Echo. - Nie tylko stałem się demoniczną pszczołą, myślę i czuję jak jedna z nich. I wcale nie czuję się dziwnie. Tylko raczej... normalnie. Mam wielką ochotę nabierać miodu. Odczuwam też niepohamowaną potrzebę, by oddać jeszcze nieco czci Gnorkowi.

Zrobił krok w prawo, krok w lewo i obrócił się wokół własnej osi. Pozostałe pszczoły poszły za jego przykładem. - **Gnorkx jest bardzo wielki!** - zatańczyły po raz wtóry.

Potem pojawiło się to satysfakcjonujące uczucie uwielbienia dla Gnorksa. Zapadła absolutna cisza. Pewna demoniczna pszczoła, która była nieco większa niż pozostałe, wspięła się na małe wzniesienie w pomieszczeniu.

To pewnie nasz przywódca - pomyślał Echo. W każdym razie czuł bezwzględne posłuszeństwo wobec tej pszczoły. Tak, był gotów spełnić bezwarunkowo każdy jego rozkaz.

Wielka pszczoła zaczęła wykonywać taniec. Kręciła się w kółko, świszcząc skrzydełkami, potrząsała czułkami i głową i mówiła:

- Gnorkx jest bardzo wielki! Gnorkx jest nieśmiertelny! My również jesteśmy nieśmiertelne, bo służymy Gnorkowi. Nawet kiedy umrzemy, będziemy nieśmiertelne i na wieki żyć będziemy z Gnorksem, który jest bardzo wielki, na słońcu!

Kryła się w tym, zdaniem krotka, bezwzględna logika. Słowa przywódcy były wyryte w kamieniu i niepodważalne. Nigdy nie przyszłoby mu na myśl, aby w nie zwątpić. Odczuł palącą potrzebę, by je potwierdzić.

- **Gnorkx jest bardzo wielki!** - zatańczył tłum, a on wraz z nim. Przywódca skrzyżował czułki, zaświszczał dwa razy skrzydełkami i kiwnął głową. Oznaczało to:

- **Dzisiaj mamy wyjątkowy dzień!**

To świetnie - pomyślał Echo. - Nie tylko uczę się życia demonicznej pszczoły, załapuję się jeszcze na wyjątkowy dzień. Może obchodzą jakieś święto albo coś w tym stylu.

- **Gnorkx jest bardzo wielki!** - zatańczył przywódca. - **Jego imię jest święte. Dlatego każdy, kto wypiera się Gnorkxa, musi zostać zniszczony.**

- Oczywiście - wtórował. - Każdy, kto wypiera się Gnorkxa musi zostać zniszczony. Jasna sprawa.

- **Nie znamy litości** - tańczył przywódca. - **Nie znamy współczucia. Bezlitośnie wycępiamy wszystkich ośmielających się sprzeciwić Gnorkxowi, który jest bardzo wielki.**

Tak jest! - zgodził się Echo. - Żadnego współczucia. Żadnej litości, jeśli chodzi o sprawy związane z Gnorksem. Wreszcie ktoś powiedział to na głos. Ten przywódca wyjął mu to z ust.

- **Oto powód** - tańczył przywódca - **dlaczego musimy dzisiaj umrzeć!**

- Co proszę? - przestraszył się krotek.

- **Wieczna wojna przeciw elfosom wymaga naszej ofiary, a my z chęcią oddamy nasze ziemskie życie, aby później móc żyć na wieki na słońcu z Gnorksem, który jest bardzo wielki.**

Chwileczkę - pomyślał Echo. - Nie mam nic do elfosów. I w zasadzie nie mam zamiaru umierać. O wiele bardziej wolę żyć, tak długo, jak będzie to możliwe. I jaki właściwie sens ma wojna, która trwa wiecznie? A tak w ogóle: co to za bzdura z tym słońcem? Nikt nie mógł żyć na słońcu. Tam można się jedynie spalić. - Ponownie odezwał się krotki rozsądek.

- **Elfosy latają w kierunku przeciwnym do słońca, a to oznacza, że wypierają się Gnorkxa!**

Najprawdopodobniej latają w tym kierunku, bo oślepia je słońce - przypuszczał Echo.
- To wcale nie takie głupie.

- **Posiadamy potężną broń - nasze żądła. Lecz każda z nas może użyć go tylko jeden raz, potem umiera! Żądlenie oznacza śmierć!**

- **Żądlenie oznacza śmierć!** - tańczył tłum. Echo również tańczył, trafiało mu to do

przekonania.

- **Gnorkx jest bardzo wielki i dlatego po śmierci zabierze nas do siebie, na słońce, gdzie będziemy żyć z nim wiecznie! Żądlenie oznacza śmierć, ale śmierć oznacza życie wieczne!**

- **Żądlenie oznacza śmierć, ale śmierć oznacza życie wieczne!** - tańczył cały rój.

Bzdura - pomyślał Echo. - Śmierć oznacza śmierć. Był jedyną pszczołą, która się nie poruszyła.

Nagle zapadła absolutna cisza. Żadna demoniczna pszczoła nie odważyła się poruszyć - poza Echem, który pojął, że ta sytuacja robi się dla niego coraz mniej przyjemna. Nerwowo zrobił krok w bok i potrząsnął czułkami. Niechący powiedział językiem demonicznych pszczół:

Gnorkx

Nadal nikt się nie poruszał. Echo zrobił krok do tyłu. Powiedział przez to:

nie jest

Potem obrócił się wokół własnej osi, aby sprawdzić, co zrobią pozostałe pszczoły. Oznaczało to:

wielki.

Wszystkie demoniczne pszczoły potrząsnęły z irytacją czułkami. Przywódca wyprostował się. To, co wytańczył Echo, było niesłychane. W ulu jeszcze nigdy nikt nie ośmielił się stwierdzić, że:

Gnorkx nie jest wielki.

Kolejna figura, jaką wytańczył przywódca, była dość skomplikowana. Potrząsnął skrzydłami, czterokrotnie obrócił się wokół własnej osi, wycesał czułki, wyprostował się, wielokrotnie potrząsając głową. Oznaczało to:

- **Obawiam się, że w naszych szeregach znalazł się niewierny. A kto jest niewierny, jest również przyjacielem elfosów. A co robimy z niewiernymi i zwolennikami elfosów w czasie Wiecznej Wojny?**

- **Poświęcamy ich Gnorkxowi!** - zatańczył tłum.

Echo nie tańczył. Najwyższy czas się stąd zmywać - pomyślał. - Zobaczymy, ile potrafią te wyrostki na moich plecach.

Zabrzączał skrzydełkami, unióś się w powietrze i śmignął nad długimi rzędami armii demonicznych pszczół, które nie odważyły się poruszyć, dopóki przywódca nie wyda rozkazu.

Idzie całkiem niezłe. Nauka u skóroperzy chyba się opłacała - pomyślał i wleciał w wąski tunel odchodzący od plastrowej pieczary.

Przywódca odtańczył figurę, oznaczającą: **Zabijcie go najboleśniej jak to tylko możliwe!** I nim zdołał dodać jeszcze: **Gnorkx jest bardzo wielki**, cały pszczeli rój wzbił się w powietrze i podążył za uciekinierem.

To pobzykiwanie nie jest jednak takie piękne jak lot skóroperzy - zauważył Echo pomimo paniki. - Ma w sobie coś mechanicznego.

Leciał wąskim tunelem, który pomieściłby ledwie dwie lecące obok siebie pszczoły. Wkrótce będzie się rozgałęział, a Echo musiał zdecydować, co dalej. Ale w jaki sposób zorientować się w ulu? Wybrał korytarz, w którym było jaśniej. W stronę słońca, no jasne, *właśnie* w taki sposób poruszały się demoniczne pszczoły. W kierunku Gnorksa.

Bzyczenie za jego plecami narastało, co oznaczało, że prześladowcy zbliżali się szybko. Echo chciał przyspieszyć, lecz musiał przyznać, że szybciej się nie da. Był pszczolą, a nie skóroperzem, teraz leciał małymi kroczkami. Na szczęście sfera podążająca za nim też nie mogła przyspieszyć. W kolejnym rozgałęzieniu było znów nieco jaśniej, więc Echo nim podążył. Na końcu tunelu widział już wpadające do środka słońce - wyjście było blisko.

Na zewnątrz na pewno coś przyjdzie mi do głowy - pocieszał się. - Muszą istnieć jakieś możliwości ukrycia się. A potem przeczekać, aż ta przeklęta podróż dobiegnie końca. Gdybym tylko nie był taki niemrawy!

Wściekle bzyczenie jego prześladowców stawało się coraz głośniejsze. Echo wyleciał na zewnątrz. Oślepiło go światło słońca, a wrażenie wywołane niespodziewanie rozszerzającą się przestrzenią było przytłaczające. Leciał nad ukwieconą camońską łąką, pomiędzy roztańczonymi pyłkami kwiatów. Wszędzie wokół życie tętniło barwami, po trawie kicały zajączki, nad kielichami kwiatów trzepotały motyle, w powietrzu bzyczały muchy. Echo spojrzął za siebie. Z ula wylewały się zastępy demonicznych pszczoł. Gdy się odwrócił, zauważył, że wprost na niego leci olbrzymi ptak.

Nie, to nie był żaden olbrzymi ptak, jedynie taki się wydawał. W rzeczywistości to całkiem mały jednooki puchacz. A gwoli ścisłości, Fiodor F. Fiodor, Echo poznał go po białej plamce nad okiem. Puchacz otworzył dziób i leciał prościutko na pszczolę, a właściwie krotka, aby go połknąć. Był na polowaniu.

Echo nie mógł się wycofać, nie było też drogi naprzód. Bił się z myślami: Czy Fiodor teraz połknie mnie za karę, że go zjadłem? Ale to nie ma przecież żadnego sensu, jeśli zjadłem puchacza, to on nie może zjeść mnie.

- Echo? - zawołał ktoś. - Echo? - Był to głos przeraźnika.

Echo zniknął w gardzieli Fiodora z własnym imieniem rozbrzmiewającym w uszach. Robiło się na zmianę to jasno, to ciemno, jasno i ciemno, po czym Echo pożegnał żywot demonicznej pszczoły.

Stół biesiadny

Echo otworzył oczy i spojrzał w oblicze przeraźnika. Eisspin kucnął obok koszyeczka i chował właśnie pod peleryną wielką strzykawkę.

- Teraz wiesz, co oznacza kolektywne szaleństwo - powiedział. - Takie doświadczenie też nie staje się udziałem każdego.

Echo przetarł oczy i ziewnął.

- Sprowadziłem cię z twej podróży przed czasem, bo zacząłem się martwić - powiedział Eisspin. - Jęczałeś, wzdychałeś i wierzyłeś jak oszalały.

- Byłem pszczołą - powiedział Echo tonem pełnym wyrzutu. - Demoniczną pszczołą.

- Owszem - przyznał Eisspin. - Tak musiało się niestety stać. Dlatego umieściłem w miodzie pszczołę z żądłem i dodałem do mleka błękitnej herbaty. Musiało to zaowocować oszalamiającą metamorfozą.

- Musiało się tak stać? - prychnął Echo. - Niby dlaczego?

- Z tego samego powodu, dla którego przemieniłem cię w skóroperza - powiedział przeraźnik, jakby obie te rzeczy były oczywiste.

- Istnieje jakiś powód? - zapytał Echo, z trudem gramoląc się z koszyka. - Niby jaki?

- Cóż, w moich zbiorach brakuje zarówno tłuszczu skóroperza, jak i tłuszczu demonicznej pszczoły, a nie zdołałem ich wytrzasnąć w tak krótkim czasie, jaki pozostał. W zasadzie jest to całkowicie niemożliwe.

- Dlaczego? Masz przecież cały strych skóroperzy? A w tym twoim miodzie są dziesiątki demonicznych pszczół.

- Aby uzyskać esencjonalny tłuszcz istoty żywej, muszę wygotować go w momencie jej śmierci. Chwilę potem te ciała do niczego się nie nadają. Kiedy znajdę czasem ciało skóroperza, ten nie żyje już zazwyczaj od paru godzin. Wtedy mogę co najwyżej zrobić z niego kaszankę. A dlaczego nie porywam się na żywe wampiry, wiesz przecież sam. Złapanie demonicznej pszczoły żywcem - kontynuował Eisspin - jest wielce trudnym i niebezpiecznym przedsięwzięciem, opanowanym jedynie przez pszczelarzy z Miodowej Doliny. Umieszczone w miodzie pszczele truchła są niestety do niczego.

- A jaki ma to związek z moimi przemianami? - zapytał Echo.

Eisspin uśmiechnął się.

- Kiedy nie jestem w stanie zdobyć czystego tłuszczu jakiejś istoty - wyjaśnił - chcę przynajmniej zakonserwować podstawowe cechy jej charakteru. Pełen sprzeczności upór

skóroperzy. Fanatyczny obłąd demonicznych pszczół. Używam w tym celu ciebie. Przeżyłeś oba stany. *Żyłeś* nimi! Tkwią teraz w tobie. W twojej głowie.

Eisspin postukał długim paznokciem po główce Echa.

- Muszę je tylko wygotować.

- Naprawdę chętnie ubijasz interesy ze zwierzętami. Szczególnie, kiedy nic cię to nie kosztuje - prosił ponuro Echo, dokonując porannej krociej toalety. Pięknie było znów być krotem. Do diabła z Gnorkxem!

- No daj już spokój! - powiedział Eisspin. - Na pewno było też interesująco! Naprawdę porozumiewają się poprzez ruch?

- Tak. Niemal nie pożarł mnie Fio... ee... jakiś ptak.

- Śmierć podczas przemiany jest niemożliwa - wyszczerzył zęby Eisspin. - Myślisz, że ryzykowałbym twoim cennym życiem?

- Miło dowiedzieć się o tym po fakcie - sarknął Echo.

- Mówiłem ci już kiedyś, że zbyt dużo informacji może zakłócić lub nawet zablokować efekt hipnotyczny. To musi nadejść niespodziewanie, bez żadnego przygotowania. A jak się teraz czujesz? Wstrzyknąłem ci roztwór alchemiczny, który przerwał podróż. Zneutralizował również pozostałe objawy pszczelej trucizny.

- Ujdzie - powiedział Echo. - Bywało, że czułem się lepiej. Ale nie jest tak źle, jak po mojej skóroperzowej podróży.

- Istnieją różnorodne sposoby przerywania takiej podróży - wyjaśniał Eisspin. - Najpopularniejszy jest posthipnotyczny rozkaz przerywania jej, gdy pojawia się niebezpieczeństwo. Wówczas albo popadasz w omdlenie, albo zmieniasz się z powrotem we właściwe ciało. Albo urządzam odwrót alchemiczny, jak w tym przypadku. Poznałeś wszystkie trzy metody.

- Nie wiem jednak nadal - powiedział Echo - czy naprawdę przeżyłem te rzeczy, czy tylko o nich śniłem.

- Dlaczego więc nie zadasz sobie pytania, czy pozostałych snów również nie przeżywasz naprawdę? - zapytał Eisspin. - Każdej nocy udajesz się w podróż i przeżywasz najdziwniejsze rzeczy. Skąd wiesz, czy nie rozgrywają się jedynie w twojej głowie?

Echo potrząsnął małą główką, w której huczało od skutków podróży i pogmatwanej przemowy przeraźnika.

- Ja w każdym razie mam dość - stwierdził. - Odmówię zjedzenia każdego kolejnego dania, jeśli mi nie obiecasz, że nie zaserwujesz mi już żadnych Posiłków Przemian. Wolę być krotem.

- Obiecuję! - powiedział Eisspin. - Mam już przecież to, czego potrzebowałem. Tu w środku - ponownie dotknął główki krotka, który z niechęcią strząsnął z siebie ten dotyk.

Przeraźnik wyprostował się i przybrał poważną minę.

- Dobrze! - powiedział. - A teraz z innej beczki. Twoja opowieść wczorajszego wieczoru... - uciął.

Echo nadstawił uszu.

- Tak? - zapytał - Co z nią?

- Z początku mnie zszokowała z powodu, który jeszcze poznasz. Ale miałem całą noc, by się nad tym zastanowić, i wróciłem do zdrowych zmysłów. Chciałbym podziękować ci za to, że otworzyłeś mi oczy. Naprawdę wyrwałeś mnie z paszczy szaleństwa.

- Zrobiłem to? - zdumiał się Echo.

- W rzeczy samej! Pokażę ci tego dowód. Ale najpierw chciałbym opowiedzieć ci moją wersję historii. Wszystko lepiej zrozumiesz. Chodź, muszę pokazać ci pewną część zamku, której jeszcze nie poznałeś!

Echo z wahaniem podążył za przeraźnikiem. Ostatnim razem, kiedy zaproponował mu coś takiego, udali się do piwnicy.

Eisspin śpieszył przodem, stukając obcasami, a Echo z trudem podążał za nim na swych obolałych łapkach. Zeszli parę schodków w dół i weszli w długi korytarz, do którego Echo nigdy się nie zapuszczał, bo dziwnie w nim pachniało.

- Być może zaskoczy cię informacja, że znam tę historię - powiedział Eisspin. - Traf tak chciał.

- W jakim stopniu? - zapytał Echo.

- Znałem tego młodego człowieka, o którym opowiadałeś. Był studentem alchemii i moim dobrym przyjacielem. Studiowaliśmy razem w Gralsundzie. Dlatego tak bardzo mnie to dotknęło.

- Nie miałem o tym pojęcia - powiedział Echo.

- Był jednym z najbardziej lubianych studentów swego rocznika i już za młodych lat utalentowanym alchemikiem. Gdyby właśnie *on* postanowił przemienić ołów w złoto, najprawdopodobniej by mu się to udało - zaśmiał się Eisspin.

- Byłem ogromnie dumny, że mogłem być jego przyjacielem. Jak już wspominałem: jeśli chcesz otrzymać dokładne przeciwieństwo jego urody, humoru i naturalnego wdzięku, musisz jedynie wyobrazić sobie mnie za młodu: brzydkiego, niezdarnego i stroniącego od ludzi.

Echo umiał to sobie wyobrazić aż nadto dobrze, ale strzegł się, by nie wypowiedzieć tego na głos.

- Czepiłem się go jak rzep psiego ogona. Imitowałem jego zachowanie, nosiłem takie same ubrania, kopiowałem jego studia, pielęgnowałem jego naukowe i kulturalne pasje. Rzec by można, że *stałem się* nim.

Droga wiodła krętymi schodami w dół, Echo zaczął się już obawiać, że prowadzą do piwnicy, lecz znaleźli się jedynie w innym skrzydle zamku. Zapach był tu jeszcze silniejszy i stawał się coraz mniej przyjemny. Parę wysokich i bardzo wąskich okien wpuszczało do środka nieco dziennego światła i świeżego powietrza.

- Po studiach udał się do Żelaznego Miasta - kontynuował Eisspin - aby eksperymentować tam na metalach. Z przyczyn finansowych musiałem pozostać w Gralsundzie. Ale utrzymywaliśmy kontakt i regularnie pisywaliśmy do siebie listy. Szczegółowo relacjonował mi swoje eksperymenty, a ja - w miarę moich skromnych możliwości - usiłowałem je zrozumieć. Naturalnie bezskutecznie, ale cieszyłem się, że nadal biorę udział w jego badaniach. Któregoś dnia napisał mi, że widział najpiękniejszą dziewczynę na świecie. Była córką potężnego barona ołowianego i mógł adorować ją jedynie z daleka. Dzięki udanym eksperymentom zbił już wówczas pewien majątek, ale finansowa arystokracja Żelaznego Miasta była niedostępną kastą. Potem, po roku skrytego uwielbiana, przysłał list, w którym tryskał optymizmem. Informował w nim o zawodach, jakie urządzono o rękę pięknej dziewczyny. Chciał wziąć w nich udział i włożyć w to całe swoje oszczędności. Doradziłem, aby to zrobił, a resztę historii przecież znasz. Ostatni list od niego informował, że chce dołączyć do armii najemników, aby wziąć udział w bitwie w Górach Midgardu. Odpisałem, błagając go, aby jeszcze raz to sobie przemyślał. Niedługo potem dowiedziałem się o jego śmierci.

Głos Eisspina stał się dziwnie cichy i niepewny przy tych ostatnich słowach. Smród był już tak przenikliwy, że Echa ogarnęły mdłości. Czy Eisspin zamurował tu truchła swoich zwierząt, czy ukrywa jeszcze coś gorszego?

Przeraźnik nagle się zatrzymał. Odwrócił się i spojrzał na krotą.

- Posłuchaj - powiedział. - Chcę opowiedzieć ci całą prawdę. Muszę się bowiem przyznać, że skłamałem w dość istotnej kwestii.

Echo właściwie nie chciał poznać prawdy. Nie chciał też spacerować dłużej z Eisspinem. Na końcu ich ostatniego spaceru czekała Śnieżnobiała Wdowa. Nieistotne, co wydzielalo z siebie ten smród, musiało to być coś przerażającego.

- Prawda jest taka: nie ma żadnego przyjaciela w tej opowieści. Kiedy powiedziałem,

że *stałem* się nim, nie było to do końca prawdą. Prawdą jest, że to *ja* nim byłem! Albowiem to ja jestem tym młodym człowiekiem, który starał się o rękę twojej właścicielki.

Echo popatrzył na przerażnika zdumiony.

- Ależ to niemożliwe! - powiedział. - On umarł.

- I tak też się ze mną stało, w każdym możliwym znaczeniu tego słowa - odparł poważnie Eisspin i pomaszerował dalej.

- Pozwól mi kontynuować od miejsca, w którym przyniosłem ukochanej pieniądze. Wewnętrznie byłem już wtedy martwy, lecz zewnętrzna powłoka miała się jeszcze o tym przekonać. Byłem wówczas postawnym chłopakiem, mogę chyba tak twierdzić, lecz w rzeczywistości żywym trupem. Obiecałem ukochanej, że wkrótce ją odwiedzę, i wprost od niej poszedłem do urzędu najemniczego, by zgłosić się na wojnę. Już następnego dnia pociągnęliśmy na bitwę w Górach Midgardu. Oszczędzę ci krwawych szczegółów, powiem tyle: pod koniec bitwy leżałem na stosie trupów, sam zarząłem niejednego żołnierza. Byłem pocięty od stóp do głów setkami uderzeń mieczy i toporów, ale nie umarłem. Stary alchemik, który dostał się przypadkiem w bitewną wrzawę, znalazł mnie, opatrzył i zabrał do swego laboratorium. A że znał się również trochę na chirurgii, prowizorycznie mnie pozszywał. Z naciskiem na prowizorycznie. Eisspin roześmiał się gorzko.



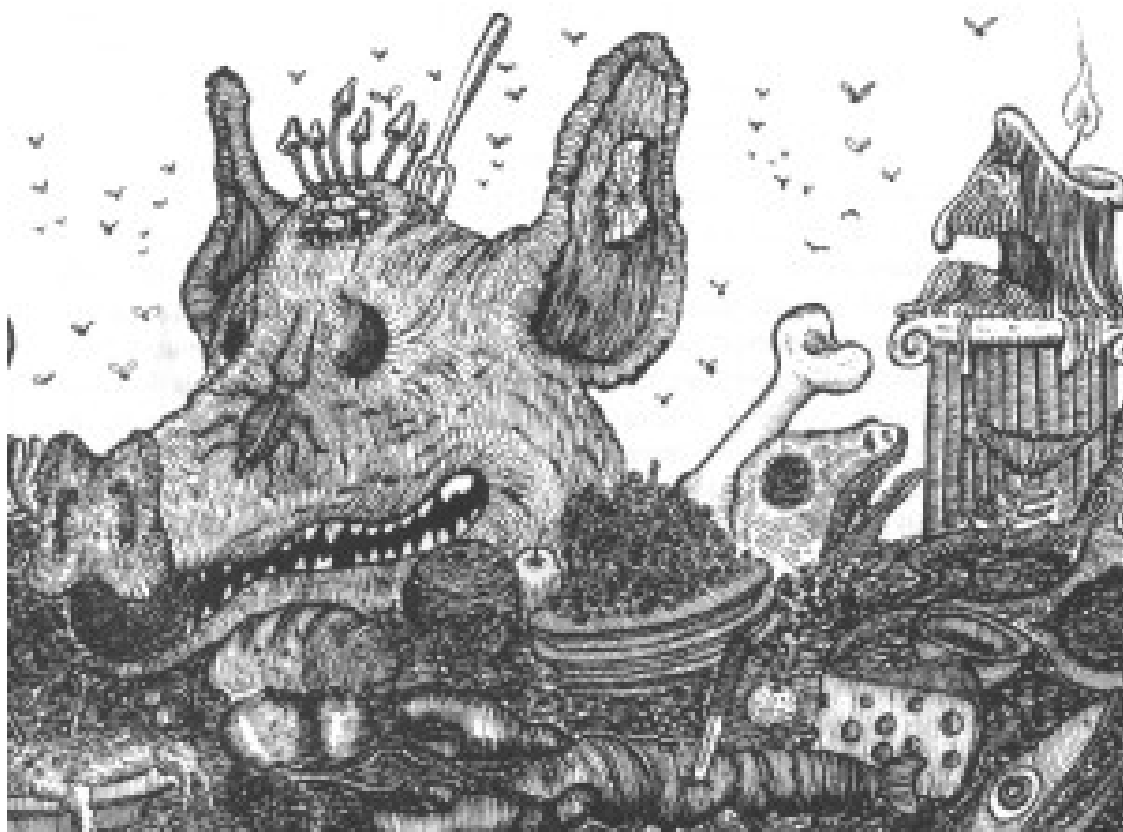
- Kiedy po raz pierwszy spojrzałem w lustro, uświadomiłem sobie, że stałem się kimś innym. Nikt mnie nie rozpoznał. Moja piękna niegdyś twarz zmieniła się w tę mordę. Zamiast pięknych blond włosów miałem łysą czaszkę. Ale zmienił się nie tylko mój wygląd zewnętrzny. Serce zmieniło się w bezduszny mechanizm zegarowy, który we mnie tyka. Bez troskie usposobienie ustąpiło niespokojnemu duchowi, który mną zawładnął.

Echo byłby niemal poruszony zdumiewającym wyznaniem Eisspina, gdyby tylko ten okropny zapach nie przybierał na intensywności, nie dopuszczając innych niż obrzydzenie uczuć.

- Lecz możesz mi wierzyć - powiedział Eisspin - że jednej rzeczy nigdy nie utraciłem, miłości do tej kobiety. Pozostałem przy alchemiku jeszcze przez parę lat, dopóki nie umarł. Nauczyłem się od niego niejednego, a potem odziedziczyłem jego skromny majątek. Pociągnąłem do Sledwai i zostałem przeraźnikiem.

Eisspin znowu się zatrzymał. Stali przed wielkimi drzwiami o dwóch dębowych skrzydłach i potężnych zawiasach zdobionych płatkami złota. Echo czuł, że przyczyna straszliwego smrodu musi skrywać się za tymi drzwiami.

- Nie było dnia - szeptał Eisspin - abym nie myślał o ukochanej. Karmiłem się nadzieją, że kiedyś stanie przed bramami zamku. A ogarnięty szaleństwem i potrzebą przygotowania się na to wydarzenie, urządzałem dla niej ucztę.



Eisspin otworzył drzwi.

Smród, jaki z nich uderzył, był tak szczypiący i obezwładniający, że Echu napłynęły do oczu łzy. Obrócił się i natychmiast zwymiotował.

Eisspin wkroczył jednak niewzruszony do sali. Nie było tu ani jednego okna. Oświetlało ją tylko parę bolejących świec. Jedyne meblami w środku był długi stół biesiadny i dwa krzesła, stojące u obu jego końców.

Z pustym żołądkiem krot zebrał się na odwagę, by zajrzeć do środka. Smród był nadal nieopisywalny, lecz mdłości zniknęły. Echo otarł łzy z oczu i podążył za Eisspinem, jednak tylko do progu pomieszczenia. To wystarczyło, by pojąć pełnię okropieństwa.

Stół był przeładowany pożywieniem bądź też, ujmując to precyzyjniej, tym, co po nim pozostało. W zasadzie obecności stołu można było się jedynie domyślać pod spiętrzoną górę gnijącego mięsa i ryb, wyschniętego chleba, uschniętych owoców, spleśniałych warzyw, talerzy, mis, kryształowych kielichów, waz, łyżek, noży i widelców.

- Oto ona! - zawołał Eisspin. - Uczta dla mojej ukochanej!

Z wyrazu jego twarzy trudno było odczytać, co w nim właśnie się dzieje. Czy kieruje nim rozum, czy szaleństwo.

Echo widział nagie kości i szkielety ryb, olbrzymią szynkę, z której wypęzły robaki, wciąż jeszcze możliwą do rozpoznania po kształcie. Cały świński łeb ze zmumifikowaną słonią i spleśniałą pomarańczą w pysku. Niemal skamieniały drób, wysuszone do rodzynek winogrona, skorupy muszli, rybie głowy we wszelkich stanach rozkładu. Wszędzie roiło się od owadów i robaków. Nad tą osobliwą ruiną sztuki kulinarnej unosiły się całe chmary much owocówek, zaś w oczodole czaszki cielęcina czaił się gruby pajak, by złapać je, kiedy tylko zejda niżej. Szczury obgryzały prastarą gomółkę sera, a myszy założyły gniazdo w górze kości. Echo w życiu nie widział czegoś równie obrzydliwego. Odwrócił się, nie mogąc już tego dłużej znieść.

- Za każdym razem, kiedy ogarniało mnie miłosne szaleństwo, przygotowywałem wielodaniowy posiłek - powiedział Eisspin. - Serwowałem go i pozwalałem mu zgnić raz za razem. Czy możesz sobie teraz wyobrazić, jak kiepsko było z moją psychiką?

Echo uciekał korytarzem w kierunku, z którego przyszli. Przerząźnik opuścił przerażającą ucztę, zamknął drzwi i podążył za nim.

- Kiedy opowiedziałeś mi wczoraj tę historię - wołał za nim - zdjąłeś ze mnie wieloletnią klątwę. Znów myślę jasno. Jutro pozbędę się tego potwornego bałaganu.

Znaleźli się już dostatecznie daleko, by Echo odważył się znów na regularny oddech.

- Cieszę się, że mogłem wyświadczyć ci przysługę - sapał. - Głównie dlatego, że

przyczyni się do zniknięcia tego wszystkiego.

- W pewnym sensie jestem twoim dłużnikiem - powiedział Eisspin.

- Masz prawo o coś mnie poprosić.

- Co powiesz na to, żeby zdjąć klątwę *ze mnie*? I puścić mnie wolno.

- No nie - Eisspin wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Nie będziemy przesadzać z tą wdzięcznością! Myślałem raczej o jakiejś pyszności. Co powiesz na smażone mysie pęcherze?

Echo westchnął.

- Przydałby ci się jakiś porządny posiłek - powiedział przeraźnik.

- Czy to możliwe, że w ostatnim czasie trochę schudłeś?

Wrócili do znajomej części zamku. A Eisspin przygotował obiecane mysie pęcherze, które Echo grzecznie zjadł, by znów napelnić swój mimowolnie opróżniony żołądek.

Gdy leżał tego wieczoru w swym koszyczku, myślał o wielu rzeczach. Jakkolwiek obrzydliwe, zaskakujące i poplątane byłyby wydarzenia dzisiejszego dnia, stały się powodem narodzin uzasadnionej nadziei. Tajemnica kunsztu kulinarnego Eisspina została wyjaśniona. Przeraźnik okazał się jednak całkiem zdolny do przeżywania uczuć, nawet miłości. I zmienił się jego ponury nastrój. Tak, teraz sprawiał wrażenie rozsądnego i przystępnego. Tej samej nocy Echo ułożył śmiały plan, do jego realizacji potrzebował jednak pomocy ostatniej przeraźnicy w Sledwai.



Ogród przeraźnicy

Echo ciągle nie przyzwyczał się do atmosfery panującej w Zaułku Przeźnic nocą. Chociaż wiedział, że stare sękaty domy nie są zamieszkane, nie mógł uwolnić się od wrażenia, że jest obserwowany, kiedy między nimi przemyka. Mgła zdawała mu się żywą istotą, olbrzymim wężem z wacianych oparów, wijącym się wokół drewnianych chatek. Szybciutko dotarł do domu Izanueli. Gdy wszedł na werandę, mógłby przysiąc, że poczuł pod łapką jej drzenie i że drzwi otworzyły się, zanim zdołał wydać jakikolwiek dźwięk.

Przeźnica siedziała przy kuchennym stole, wpychając szybko do ust coś, co wydało się żywe. Przełknęła pośpiesznie.

- Co za niespodzianka! Dobry wieczór! - pozdrowiła go, dławiąc się.

- Skorzystałeś z zaproszenia szybciej, niż przypuszczałam - powiedziała, czkając.

- Dobry wieczór - odpowiedział Echo. - Muszę dobrze rozplanować pozostały mi czas, nie mogę sobie pozwolić na przekładanie pewnych spraw w nieskończoność.

- Wiesz, jak wzbudzić w kimś wyrzuty sumienia, mały. Od twojej ostatniej wizyty mam kłopoty ze snem.

- Bardzo mi przykro - odparł Echo. - Nie będę też owijał zbyt długo w bawełnę. Chciałbym raz jeszcze poprosić cię o pomoc.

Izanuela posłała spojrzenie w sufit.

- Tak przypuszczałam - westchnęła.

- Mam pomysł, żeby połączyć zdolności nas obojga - zaczął Echo.

- Pomyślałem sobie...

- Nie posiadam żadnych zdolności - przerwała Izanuela. - O czym ty gadasz?

- Nie wierzę w to. Musisz wiedzieć cokolwiek na temat bycia przeźnicą. Chodziłaś do szkoły dla przeźnic. Rozwinęłaś kwitnącą praktykę.

- No i co z tego?

- Skoro Eisspin uniemożliwia wam pielęgnowanie waszych prawdziwych zdolności, musicie potrafić coś, czego on się obawia.

Izanuela stęknęła.

- Już raz to stwierdziłeś. Do czego zmierzasz?

- Wydaje mi się, że alchemia nie jest tak daleka od przeźnicyzmu. Jeśli twoja wiedza jest dziurawa, uzupełnij ją wszystkimi moimi wiadomościami na temat alchemii. Moglibyśmy połączyć wiedzę nas obojga. Być może razem coś osiągniemy.

- A co takiego chcesz osiągnąć?

Echo ociągał się.

- No więc, ee... co powiesz na wywar miłosny? Przerożnica uniosła się gwałtownie. -
Wywar miłosny?

- No cóż... na skutek pewnych wydarzeń w ostatnim czasie przekonałem się, że Eisspin wcale nie ma takiego zimnego serca, jak wszyscy sądzą. Jest nawet zdolny do miłości. No i pomyślałem sobie, że napój miłosny...

- Chwileczkę! - zawołała Izanuela. - W kim miałby się niby zakochać?

- No, we mnie - powiedział nieśmiało Echo.

Przerożnica opadła z powrotem na krzesło:

- I to ma być twój plan?

- Kiedy się we mnie zakocha, może nie będzie już chciał mnie zabić.

- Litości! - zawołała przerożnica. - Dlaczego w ogóle otworzyłam przed tobą te cholerne drzwi!

- To jedynie prośba, a nie żądanie - powiedział Echo. - Jeśli nie chcesz mi pomóc, będę musiał to zaakceptować. Pójdę sobie i już nigdy więcej się nie zobaczymy.

Krotek podreptał z powrotem do drzwi.

- Zaczekaj chwilę! - powiedziała przerożnica. - Mam chyba trochę czasu do namysłu?

Echo zatrzymał się.

- Zastanowisz się nad tym?

- W każdym razie nie mam ochoty na to, abyś prześladował mnie we snach przez całe życie. Tak jak ostatniej nocy. Trzymałeś swoją głowę w łapkach jak Bezgłowy Kocur.

Echo zawrócił parę kroków w kierunku stołu.

Przerożnica jęknęła.

- No to się zastanówmy... napój miłosny... no cóż, to podstawowa wiedza każdej przerożnicy. Ale nawet wiedza podstawowa jest w moim przypadku nędzna. Musiałabym poszukać w odpowiednich książkach dla przerożnic. Poza tym potrzebujemy wyjątkowego napoju miłosnego. Mamy do czynienia z Eisspinem. Czort jeden wie, na jakie rzeczy się uodpornił. Potrzebowalibyśmy bardzo potężnego napoju.

- Oto odpowiednie nastawienie - pochwalił Echo.

Przerożnica odchrząknęła.

- I jest jeszcze coś...

- Co takiego?

- Warunek.

- Warunek? Jaki znowu?

Przeraźnica zaczerwieniła się.

- No cóż... nie uważam tego za rozsądne, aby miał zakochać się w *tobie*.

- A w kimże innym?

- No... na przykład... we mnie!

- W tobie? - Echo był zdumiony.

- Ech... tak... jeśli zakocha się w tobie, być może nigdy nie pozwoli ci odejść. Jeśli zaś zakocha się we mnie, na pewno przekonam go, żeby puścił cię wolno. - Przeraźnica odkaszlnęła. Na jej czole pojawiło się parę kropelek potu.

- Brzmi dość przekonująco - powiedział Echo, badawczo przyglądając się przeraźnicy. - Ale jest coś jeszcze, prawda? Dlaczego jesteś taka czerwona na twarzy?

Przeraźnica wstała i zatańczyła wokół stołu niczym mała dziewczynka. Splotła dłonie i wbiła wzrok w podłogę.

- Spytałeś mnie kiedyś, dlaczego nadal żyję w Sledwai. A ja ci odpowiedziałam, że zostałam, bo nie mam już żadnej konkurencji. To była częściowa prawda. Cała prawda jest taka... - zacięła się.

- No jaka...?

Przeraźnica uniosła głowę i popatrzyła krotowi prosto w oczy.

- Jestem zadurzona w Eisspinie. No, wreszcie to powiedziałam!

Echo przysiadł. Przez chwilę czuł, że odjęło mu mowę.

- To nieprawda! Nabijasz się ze mnie! - wysapał.

- Cóż mogę poradzić! - zawołała Izanuela. - Po prostu kocham tego starego piernika. Niezbadane są ścieżki miłości! Ha, ha! To była miłość od pierwszego wejrzenia. Zarekwirował moją bibliotekę z klątwami przeraźnic, podwyższył podatek od przepowiedni o dwieście procent i zafundował tydzień ciężkiego więzienia, bo kasa stała w nieprzepisowej odległości od wagi na proszki. I to wszystko. Wzięło mnie na całego - westchnęła.

- Muszę przyznać szczerze, że z trudem wyobrażam sobie romantyczny związek pomiędzy jakąkolwiek przeraźnicą a przeraźnikiem Eisspinem - powiedział Echo. Nadal czuł się nieswojo.

- To również bardzo jednostronny związek. Ja go kocham, a on mnie nienawidzi. Ale tak było przez całe moje życie. Zawsze trafiam na tego niewłaściwego.

- Naprawdę potrafisz wyobrazić sobie życie z Eisspinem?

- Każdego wieczoru siedzę przy oknie, gapię się w górę na zamek i wyobrażam sobie, jak piorę mu skarpetki i inne takie. I to właśnie ja! A jestem zdeklarowaną przeraźnicą

feministką!

Izanuela wytrzeszczyła oczy i zrobiła straszliwego zeza.

- Przewodziłam wielkiemu marszowi przeraźnic feministek na magistrat w Buchtingu. Zrzuciłyśmy narzucone nam odgórnie kitle dla przeraźnic, spaliłyśmy je publicznie, a potem nago i ze śpiewem na ustach pomaszzerowałyśmy przez miasto.

Przeraźnica, najwyraźniej wzburzona wspomnieniami z młodości, uniosła do góry rękę zaciśniętą w pięść i zaśpiewała skrzeczącym falsetem:

*Przeraźnica to brzmi dumnie
Nieście drewno zaraz ku mnie!
Niech zapłoną jasno stosy
Nagie ciała, długie włosy
Zrzućmy odzież, spójrz w me lico
Cudnie jest być przeraźnicą!*

Gdy Echo pojął, że przeraźnica naprawdę przymierza się do zdarcia z siebie ubrania, zawołał szybko:

- No i co? Co stało się potem?

Przeraźnica zatrzymała się, opuściła rąbek sukni i roześmiała się zachwycona.

- No cóż, ludzie naturalnie wrzeszczeli z przerażenia. Wyobraź to sobie: tysiące nagich przeraźnic na ulicach, rozśpiewanych i roztańczonych!

Na samą myśl o tym krotkowi zjeżył się włos na karku.

- A potem nastał koniec kitli dla przeraźnic, możesz mi wierzyć. Od tego czasu przeraźnice mogą ubierać się, jak im się podoba.

- Zbaczamy nieco z tematu - wtrącił Echo.

- Chciałam jedynie zwrócić uwagę, że dla mnie to też coś sprzecznego z naturą. Ja i Eisspin! To jakby żaba zakochała się w bocianie!

- No dobrze - powiedział Echo. - To wprawdzie szaleństwo, ale cóż z tego? Skoro taki jest twój warunek, mogę go zaakceptować. Uwarzysz więc napój miłosny?

- Chwileczkę! Powiedziałam, że mogę spróbować. A do tego potrzebuję najróżniejszych rzeczy. Przede wszystkim twojej pomocy.

- W porządku. Co chcesz wiedzieć?

- Nie tak szybko. Najpierw musimy zejść do piwnicy.

Znowu! - pomyślał Echo. - Każdy chce chodzić ze mną do piwnicy. Ale chwileczkę! W książkach Eisspina na temat przeraźnic wyczytałem, że podpiwniczanie domów było przeraźnicom surowo zakazane. Jedna z bezsensownych szykan, z których staruch był tak dumny.

- Myślałem, że domy przeraźnic nie mają piwnic.

Izabela tylko wyszczerzyła krzywe zęby.

- Najpierw - zawołała, jakby nie usłyszała pytania - musimy przypieczętować nasz pakt! Przeraźnicowym sposobem.

Echo nastawiał się na jakiś barbarzyński rytuał.

- A jaki to sposób? - zapytał strwożony.

- Pocałujemy się! Ale tak naprawdę! Z języczkiem!

Echo rozważał przez chwilę, czy z miejsca nie zawrócić i nie zwać z tego Zaułka Przeraźnic. Po chwili przemógł się i wskoczył na stół, aby mieć to już jak najszybciej za sobą.

Przeraźnica oparła się o blat stołu i wystawiła w jego kierunku język. Był niewiarygodnie długi i lekko zielonkawy, pomiędzy krzywymi zębami wyglądał niczym wąż, wychylający się z zarośniętego zagajnika. Echo przydreptał jeszcze bliżej, zamknął oczy, otworzył pyszczek i marzył o tym, aby jego język zniknął tak, jak wtedy po zjedzeniu kawioru. Izabela przycisnęła swe usta do jego ust. Czuł się, jakby wepchnięto mu do pyska prastarą ścierkę, marynowaną przez noc w beczce ogórków. Ale wytrzymał.

- Od teraz jesteśmy jedną drużyną! - zawołała przeraźnica. - Echo i Iza, niepokonany duet! Idziemy do piwnicy!

Wkroczyła na środek pomieszczenia i tupnęła trzy razy nogą.

- **Krapstroprotznik jeckel tiesemeel!** - zawołała, unosząc ręce do góry w dramatycznym geście.

- Piwniczny ogrodzie, otwórz się? - przetłumaczył pytającym tonem Echo.

Izabela zdumiała się.

- Znasz praprzeraźnicowy?

- Znam wszystkie języki.

- Do diaska. Prawdziwy z ciebie kujon, mój mały!

- Nie musiałem się ich uczyć. Po prostu je znam.

Dom przeszło dudnienie i Echo pomyślał, że przeraźnica wywołała trzęsienie ziemi. A potem podłoga naprawdę się otworzyła! Nie była to żadna klęska żywiołowa, lecz drewniana podłoga, która sama posłusznie się rozstała, tworząc z powrozów korzeni pochyłe, prowadzące w ciemność schody.

- Czy to... jakiś mechanizm? - zapytał wielce zdumiony Echo. Czegoś takiego nie było nawet w zaklętym zamczysku Eisspina.

- Nie - odpowiedziała zwięźle Izanuela, jak gdyby tłumaczyło to wszystko. - Chodź ze mną. - Zeszła z godnością po nierównych stopniach, a Echo bojaźliwie podążał za nią.

Gdy dotarli na dół, klasnęła w ręce. Przebudziły się chmary robaczek świętojańskich i wzbily w powietrze, wypełniając wielobarwnym światłem pomieszczenie, które było co najmniej pięć razy większe od kuchni na górze.

- Gdyby Eisspin o tym wiedział, już dawno usmażyłby mnie na tym swoim grillu na preraźnice, niezależnie od tego, czy byłoby mu wolno to zrobić czy nie. Oto mój podziemny azyl. Mój ogród. Moje tajne królestwo.



Echo podziwiał przestrzenną pieczarę o ścianach, suficie i podłodze z wilgotnej gliny, poprzecinanej korzeniami. Piętrzyły się w niej przeżarte przez robaki stoły, stołki, regały,

krzesła i ławka, z których płátami odchodziła farba. Tu i ówdzie leżały stare książki, na podłodze stały porzewiałe konewki, o ściany oparto małe łopaty i grabie. Meble były przeładowane donicami na kwiaty i glinianymi naczyniami, misami i wazami, skrzynkami z terakoty i filiżankami z porcelany, głębokimi talerzami z drewna i blaszanymi wiadrami. Większość roślin, jakie tu rosły, była Echu nieznana, ale do paru z nich - dzikich róż, orchidei, paproci i kaktusów - potrafił dopasować prawidłową nazwę botaniczną. Ale większości grzybów, jagód, mchów, ziół i kwiatów, jakie rosły w tym podziemnym ogrodzie, nigdy w życiu nie widział. Przepych barw był równie przytłaczający, jak różnorodne zapachy, które wisały w powietrzu. Przerożnica przemierzała tanecznym krokiem wąskie ścieżki wśród roślinnego królestwa, wskazując ostrym palcem to tu, to tam.



- A więc tu mamy zwyczajne rośliny znane każdemu - szczebiotała, tryskającą dobrym humorem - czosnek niedźwiedzi i konwalię majową, przytulną wonną i jałowiec, lawendę i

mak lekarski, morowy korzeń i siedmiolud. Tu krwiściąg i mydlnica lekarska, srebrzak i oset szpadzi, petrozylia i miłek. Ta tutaj wygląda jak zwyczajna pokrzywa, ale parzy dziesięć razy mocniej. Tam żmijowiec dwujęzyczny, tu janowiec gamoniowaty, tam podbiał, a to niebiesko-żółte to trigonella. Tu rośnie nieco włosów Wenery i bagno zwyczajne - obie są trujące, więc łapki z daleka! Te dwie, o tam, to kocie łapki i psie jęczyczki. W zasadzie nie powinny w ogóle rosnąć obok siebie, absolutnie się nie znoszą.

Dookoła ze ścian i podłogi wypływały grube powrozy korzeni, niektóre zwisały spod sufitu. Echo czuł niewytłumaczalną obawę przed wchodzeniem na nie, dlatego stale próbował obchodzić je jak najdalej.



Przeraźnica skierowała się w stronę innego działu.

- Tu robi się bardziej interesująco, to rośliny grozy z Wielkiego Lasu, które mają okazję zobaczyć jedynie nieliczni. Nie uwierzysz, jak ciężko jest je dostać. Trawa upiorów, mech cmentarny, janowiec demoniczny, kapelusz czarownicy, trąby umarłych, krwawoczerwony topór kata, trawa grozy i zimny palusznik - od samych nazw można dostać gęziej skórki. Lecz da się z nich wydestylować najbardziej zdumiewające napoje, szczególnie z grzybów. Z tej trupiej gąbki na przykład zrobiłam syrop na kaszel, który wprawdzie za bardzo nie pomaga na kaszel, ale kiedy go zażywasz, włosy zaczynają śpiewać tak pięknie, że całkowicie zapomina się o kaszlu.

Echo był skołowany. Czy Izanuela nie mówiła przypadkiem, że najskuteczniejszym środkiem, jakim dysponuje, jest herbata z rumianku? Tutaj jednak znajdowały się rośliny, którymi odurzyć by można całą armię.

- Jak te wszystkie rośliny mogą tu rosnąć bez światła? - zapytał krot.

Izanuela zanurzyła obie ręce w donicy i podsunęła Echu pod nos odrobinę pulchnej ziemi do kwiatów. Wiły się w niej długie robaki, które świeciły jasną czerwienią.

- Robaki lawowe - powiedziała przeraźnica. - Wkładam je do każdej doniczki. Zapewniają ciepło i światło. Słońce nie robi wiele więcej. Zresztą co tam słońce, są lepsze niż ono, bo zawsze zapewniają ciepło, również w nocy. Co oznacza, że noc tutaj nie istnieje. Jak również nie ma zimy, chmur, nawałnic, gradu i mrozu. Po prostu brak złej pogody. To raj dla roślin. Elizjum dla wszystkiego, co posiada korzenie. Gdybym była kwiatem, chciałabym rosnąć tutaj i nigdzie indziej.

Podeszli do sękatego regału okrytego czerwoną aksamitną zasłoną.

- A chcesz zobaczyć coś naprawdę wyjątkowego? - zapytała.

Echo skinął głową.

- Naturalnie, że chcę.

- Oto mój roślinny teatr. Najwyższy poziom kultury roślinnej. Można by to również nazwać regałem ruchomych roślin, lecz byłoby to wprowadzające w błąd określenie. Tak naprawdę wszystkie rośliny się poruszają. Ale większość robi to tak wolno, że oko nie jest w stanie tego uchwycić. Te są nieco żwawsze.

Przeraźnica odsunęła na bok zasłonę i odegrała ustami fanfary.

- Pap-para-paaa! Czy mogę przedstawić? Oto tańcząca babka.

Roślina na najwyższym regale, na którą wskazała Izanuela, uczyniła zadość swej nazwie. Piękny kwiat o czerwonym kielichu, na długiej zielonej łodydze i o cienkich przezroczystych liściach wykonał elegancki taniec welonów.

- Ten obok to oset kobry - uważaj, kłuje błyskawicznie!

Kłujący chwast wykonał niemal niezauważalny ruch, przeszło go pełne napięcia drzenie, lecz Echo domyślił się, jak zaskakująco szybko byłby on w stanie ukłuć swymi trującymi kolcami.

- A to paproć dławiąca. Dusi zwierzęta do rozmiarów drozda. Mimo wszystko doradzam powściągliwość, krotka na pewno się nie przestraszy.

Paproć z trzaskiem bicza wyrzuciła w powietrze kilka swoich wąsów, a Echo cofnął się krok do tyłu.

- Na dolnym regale Rozedrgany Wituś. Jeśli przyrządzisz z niego sałatkę, nabawisz się tańca świętego Wita, tak jak on. Przetańczysz trzy dni, a potem padniesz martwy.

Roślina tak gwałtownie rzucała swymi wielkimi liśćmi to w przód, to w tył, to na boki, że chwiała się cała donica, a dookoła latała ziemia do kwiatów.

- On naprawdę ma fioła - wyszeptwała przeraźnica i postukała się w czoło. - A rozfalowane coś w zielonej donicy to trawa bryzowa. Chętnie się jej przyglądam, kiedy potrzebuję relaksu. Zasypiam po pięciu minutach wpatrywania się w nią.

Trawa poruszała się, jak gdyby przez jej źdźbła przechodziła delikatna bryza, choć tu na dole, w pieczarze nie wiał nawet wietrzyk. Echo stwierdził, że na niego działa również uspokajająco. Powoli zaczynał przyzwyczajać się do tego dziwnego otoczenia.

- W tym złotym garnku rośnie aplauzujący klaskacz. Nic na to nie poradzę, ta roślina jest dla mnie zbyt entuzjastyczna.

W chwili gdy przeraźnica wskazała na donicę, przypominający tulipana kwiat zaczął klaskać liśćmi jak oszalały.

- Uważam, że jest zabawna - powiedział Echo.

- Jego idealnym przeciwieństwem jest ten wstydlivy szparag. To również roślina z Wielkiego Lasu. Nieśmiała niczym podlotek.

Wyprostowany palec wskazujący Izanueli zmusił szparaga do niezwłocznego wsadzenia poczerwieniałej główki w omszałą glebę i zastygnięcia w tej pozycji.

Przeraźnica westchnęła.

- Ruchome rośliny stają się coraz modniejsze wśród ludzi, którzy uważają normalne rośliny za nudne, ale są zbyt leniwi, żeby mieć w domu zwierzaka. Uważam, że powinno się umieścić je pod ochroną, aby obronić przed tak ograniczonymi sadystami. Na pewno od razu próbowaliby nauczyć je jakichś sztuczek.

- A to możliwe? - zapytał Echo.

Przeraźnica zaczęła oglądać swe paznokcie.

- No cóż, muszę się przyznać, że nauczyłam co nieco tę paproć pnącą, tam w dole. Pokusa była zbyt silna.

Pstryknęła palcami, a paproć pnąca wyszła z doniczki, fiknęła koziołka, ukloniła się i wróciła z powrotem.

- Jeszcze raz! - zawołał zachwycony Echo.

- Nic z tego! - powiedziała przeraźnica. - Nie jesteśmy w cyrku, to poważny teatr.

Ponownie opuściła zasłonę i rozejrzała się wokół siebie.

- Zobaczmy... co tu jeszcze mamy.

Izauela pośpieszyła w kierunku długiej czerwonej ławy z drewna.

- Tu zebrane są rośliny o wyjątkowo przyjemnym zapachu: melisa cytrynowa i tymianek, rozmaryn i szalwia, mak pomarańczowy i kwiaty muszkatu, drzewko herbatnikowe i pędy wanilii. Kartofelki marcepanowe. Migdałowe kwiaty. Cynamotryna.

Echo pożądliwie wsadzał nosk to tu, to tam. Wszystkie pachniały niebiańsko.

Przeraźnica podeszła do masywnej szafy, całej porośniętej bluszczem, i otworzyła drzwi.

- Tutaj zamknęłam rośliny pachnące raczej nieprzyjemnie - z szafy uleciała chmura smrodliwych zapachów, które zmusiły krota do cofnięcia się o krok.

- Czośniak i serowe ziele, janowiec siarczany i tulipan potliwy, borowik końskie łajno i śmierzdel pospolity. Paproć popierdująca i pantofelek cuchnący. Fuj! - zaczęła wachlować w swoją stronę świeże powietrze. - Muszę przyznać, że zawsze nieco przyśpieszam w tym dziale roślin. - Izauela zatrzasnęła drzwi i podeszła do regału, który, w przeciwieństwie do innych, wykonano z bogato zdobionego srebrzystego metalu.

- Skupmy się lepiej na pięknościach: oto orchidee z kryształu.

Echo podziwiał przepiękne rośliny. Ich kwiaty wyglądały jak powiększone płatki śniegu, a każdy miał jedyny w swym rodzaju kształt.

- Proszę, miej się na baczności przy tym wspaniałym okazie kaktusa: Wprawdzie co sekundę przepięknie zmienia barwy, ale kiedy jest w złym nastroju, wystrzeliwuje w powietrze niczym strzały swe trujące kolce. Kiedyś trafił mnie w tyłek i przez trzy dni miałam zgagę. Ale piękny jest, prawda? Świeci w ciemnościach.

Wskazywała kolejno na pojedyncze doniczki i wymieniała nazwy: złoty blattling, kobiecy przyjaciół, miedziana róża, kielich słowiczy - on naprawdę potrafi śpiewać, kiedy ma na to ochotę - zachwyła się. Anielskie włosy. I księżniczka płowowłosa.

Zwróciła się w stronę kolejnej donicy, w której coś zdawało się płonąć.

Wprost z torfowej ziemi wydobywał się przepiękny niebieski płomień i migotał roztańczony.

- Ognik cmentarny - wyjaśniła szeptem Izanuela.

Gdy Echo wraz przeraźnicą nachylili się, aby przyjrzeć się bliżej, zobaczyli, że płomień ma twarz małego dziecka i szepcze coś pod nosem. Trwało to chwilę, nim oboje zdołali się oderwać od hipnotyzującego zjawiska.

- Tam, gdzie jest światło, jest również ciemność - wyszeptała Izanuela i skinęła na Echo. - Chodź, pokażę ci dział nie tak ładnych roślin jak te.

Poprowadziła go w kierunku masywnej ławy stojącej pod stołem.

- Muszę się przyznać, że nieco je chowam - powiedziała przeraźnica. - Ich widok czasem mnie przygnębia.

Echo spojrział na rośliny. Rzeczywiście, były imponująco nieatrakcyjne. Tam, gdzie zazwyczaj znajdowały się piękne kwiaty, wyrastały im ropiejące wrzody, ich szarobure liście były pomarszczone, a łodygi zarośnięte i kolczaste.

- Garbaty gnomuś, kiel, muchomor sromotnikowy, kurzaj korzeń, smardz gnilny, rdest szlamowaty i grzyb pączkujący. Naprawdę mogą wyrządzić komuś krzywdę, większość z nich została niemal wytępiona, tylko dlatego że są tak paskudne. Przy czym wykazują wysoką skuteczność leczniczą, jeśli właściwie się je dozuje. Ta tam pomaga na reumatyzm.

Echo nie był już w stanie dłużej się powstrzymać.

- Powiedziałas, że nie dysponujesz żadnym środkiem skuteczniejszym niż herbata z rumianku - wybuchnął. - A tu dookoła rosną same cudowne rośliny.

Przeraźnica spojrzała na niego ze współczuciem.

- Powiedziałam tak, żeby cię splawić. Naprawdę łatwo cię nabrać. Powiedziałam również, że jestem najgorszą przeraźnicą w Camonii. Co oczywiście też nie było prawdą.

- Ach tak? - Echo nadstawił uszu.

Izanuela wskazała na kawałek papieru wiszący w ramie za szkłem na ścianie.

- Widzisz ten dyplom? - zapytała. Jej głos drżał. - To z Galsunderskiej Akademii Przeraźnic. Jestem dyplomowaną przeraźnicą z pięcioma pentagramami. Wiesz, co to znaczy?

- Nie - odpowiedział Echo.

- To znaczy, że jestem dyplomowaną przeraźnicą z pięcioma pentagramami - tyle to znaczy! Pisałam pracę z systemu kapilarnego w grzybni kapelusza czarownicy. Studiowałam trzydzieści cztery semestry profozofii, czyli profetycznej filozofii - to przedmiot, który mogą studiować jedynie przeraźnice. Tylko co setna przeraźnica posiada pięć pentagramów. Moją promotorką była legendarna Beula Kropff, mój kochany. *Tyle to znaczy.*

Izabela sapnęła i wskazała na złote naczynie, stojące na regale.

- A widzisz ten puchar? To Zielony Kciuk z Wodnej Doliny, najbardziej pożądane wyróżnienie w dziedzinie botaniki florystycznej. Masz trzy próby, żeby odgadnąć, kto został do niego w sumie trzykrotnie nominowany i raz odznaczony! Dam ci wskazówkę: ta osoba stoi przed tobą, nosi moje imię i jest ostatnią przeraźnicą w Sledwai.

Izabela zrobiła ten wykład z wysoko podniesioną głową. Zezowała jak opętana i falowała uszami w podnieceniu. Zdawała się być nawet dumna z faktu, że w taki sposób dała Echu po uszach. Ale jego mogło to tylko ucieszyć. Lepsza przecież dyplomowana przeraźnica niż najgorsza w całej Camonii.

- Czy są jeszcze rzeczy, o których powinienem wiedzieć? - zapytał. Teraz, kiedy jesteśmy już partnerami?

Izabela spojrzała na Echo z góry i uśmiechnęła się.

- Muszę cię naprawdę pochwalić, mój mały - powiedziała łaskawie - za twoje dobre maniery. Pewne pytanie musi doprawdy palić cię w język.

- A jakież to? - zapytał Echo.

- No, pytanie o to, w jaki sposób działają schody. Ale nie ważysz się go zadać, prawda?

- Istotnie, interesowałoby mnie to - odparł Echo.

- W takim razie rozejrzyj się! Jak myślisz, co jest największą rośliną w tym pomieszczeniu?

Echo przesunął dookoła wzrokiem.

- Ten gruby niebieski kaktus, o tam - powiedział po chwili - On jest największy.

- Pudło.

- Ale nie ma nic większego.

- Nie patrzysz właściwie. Jak myślisz, skąd biorą się te grube korzenie w podłodze i suficie?

- No, zakładam, że od jakichś drzew.

- A widziałeś jakiegokolwiek drzewa w Zaułku Przeraźnic?

Echo musiał się zastanowić. Nie. W Zaułku Przeraźnic nie było w ogóle żadnych drzew.

- Najbliższe drzewa rosną w parku miejskim - zaśmiała się przeraźnica. - A ten leży sto metrów stąd. Żadne drzewo nie ma tak długich korzeni.

- Twierdzisz, że... - Echo spojrzał w górę.

- Otóż to - powiedziała przeraźnica. - Ten dom jest tu największą rośliną. Wszystkie

domy w Zaułku Przerożnic s roślinaami. I s żywe. Wręcz cholernie żywe.

Izanuela wzięła jedną z doniczek z kwiatami i rzuciła nią w gruby czarny korzeń, który wił się u jej stóp. Kora otworzyła się w kilku miejscach i ukazały się w niej wielkie smutne oczy.

- Dąb przerożnic - powiedziała Izanuela. - Jedna z najstarszych roślin w Camonii. Jedynie przerożnice wiedzą o istnieniu dębu. Co w pewnym sensie czyni z ciebie przerożnicę. Umiesz chyba zachować tajemnicę dla siebie?

- Naturalnie - śpiesznie zapewnił Echo.

- Dobrze. I nie chcesz nawet wiedzieć, co się stanie, jeśli to wypalasz?

Izanuela długo i przenikliwie patrzyła na Echo, który po raz pierwszy naprawdę poczuł przed nią strach. W jej spojrzeniu skrzyła się licząca tysiące lat moc przerożnic. Zrobiło mu się nagle potwornie zimno, jakby położył się na nim olbrzymi cień, i przez krótką chwilę zdawało mu się, że ponownie słyszy ową niesamowitą muzykę, która rozlegała się, gdy patrzył po raz pierwszy na dom przerożnicy. Spojrzenie niczym groźba, spojrzenie niczym przekleństwo. Echo zadrżał ze strachu.

Po chwili iskierki znów zniknęły, a przerożnica kontynuowała, zezując dobrodusznie.

- Te rośliny istniały już przed wieloma tysiącami lat, zanim założono Sledwayę. Przerożnice zorientowały się jako jedyne, że można w nich zamieszkać, były też jedynymi istotami zaakceptowanymi przez nie jako mieszkańcy. W ciągu stuleci drzewa coraz bardziej upodabniały się do domów, aż wreszcie nikt nie był w stanie się domyślić, że w rzeczywistości s to rośliny. Wokół kolonii przerożnic powstało miasto Sledwaya. Przerożnice jednak zachowały tę tajemnicę dla siebie i przekazywały ją z pokolenia na pokolenie.

Korzeń powoli zamykał oczy, jakby zasypiał.

- Powiem ci, że zamieszkiwanie żywej rośliny to nie jest bułka z masłem. Mają one swoje dziwactwa, humory, stany, przyzwyczajenia. Trzeba umieć je znieść, inaczej się zwariuje. Stale coś się zmienia. To przesuną się ściany, to okna zarosną. Korzenie pojawiają się nagle tam, gdzie wcześniej ich nie było, i można się nieźle przejechać. Wieczorami mruczą, dlatego noszę zatyczki do uszu.

Echo rozejrzał się strwożony. Znalezienie się w żywym organizmie to mało kojące uczucie. Poczul się, jakby połknął go olbrzym. Zrozumiał teraz, dlaczego instynktownie bał się tych domów.

- Nie bój się - uspokajała go Izanuela. - S absolutnie dobroduszne. Nie przypominam sobie, by kiedykolwiek się rozgniewały.

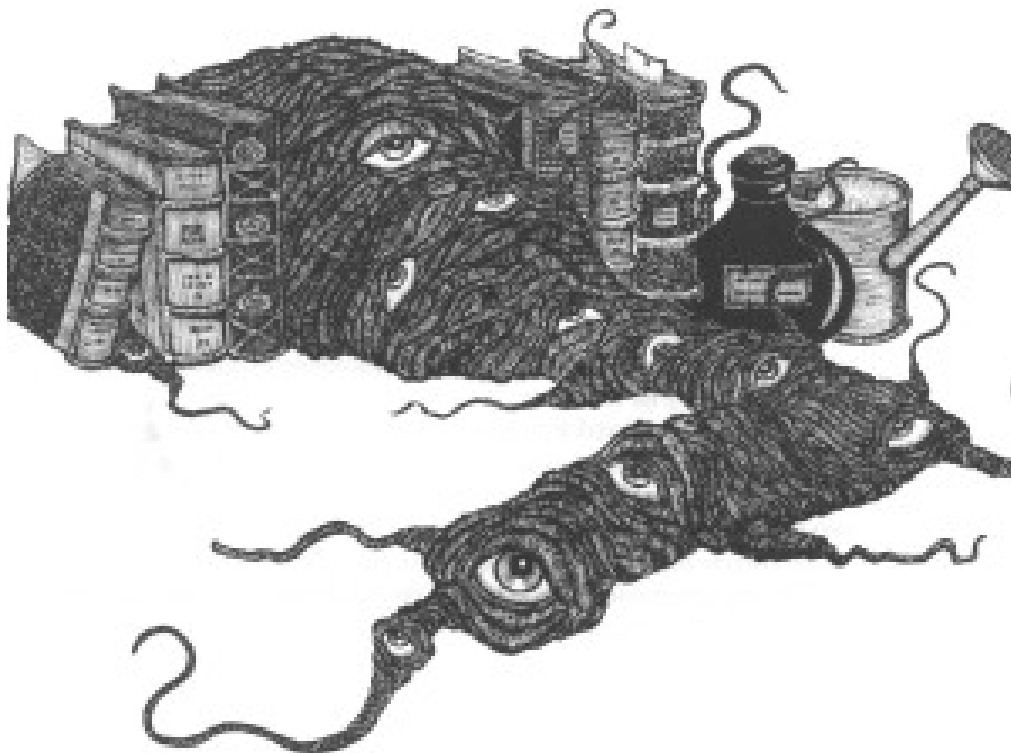
Przeszła nad korzeniem i podeszła do wielkiego stołu, uginającego się pod ciężarem licznych wypełnionych donic. Temat był najwidoczniej zakończony, chociaż Echo z chęcią dowiedziałaby się jeszcze więcej o żywych domach.

- Tu mamy dział medyczny - kontynuowała. - To ponownie błędne zaszeregowanie, ponieważ w pewnym sensie każdej rośliny można użyć do celów medycznych, nawet tej najbardziej trującej. Te tutaj są po prostu najbardziej skuteczne - od prymulki na kaszel po świrgórka. - Izanuela wskazała na ogórka, który w szalony sposób skręcał się sam w sobie. - Leczy się nim ciężkie choroby umysłowe. Ale można też je wywołać, jeśli zastosuje się niewłaściwą dawkę. Kiedy zamek Eisspina służył jeszcze za dom wariatów, karmiono tam nim pacjentów. Nic dziwnego, że skończyło się to tak, jak się skończyło.

Przeraźnica wskazała na parę niepozornych roślin.

- Tu mamy rdest dezynfekujący i gąbkę eteryczną. Za pomocą soku z tego kaktusa można zwalczyć wypadanie włosów, ale pacjentowi wyrastają potem kolce. Trawa ropna, oset jelitowy, czarny wujek - nie będę ci lepiej opowiadać, na jakie choroby są skuteczne.

Echo był zafascynowany. Pod każdym względem było to przeciwieństwo laboratorium przeraźnika. Tam upadłe królestwo Eisspina, pełne powypychanych trupów, niebezpiecznych chemikaliów, zarazków chorobotwórczych i kolekcji ostatnich technii. A tu święto życia, żywy, rozrastający się i oddychający świat, w którym wszystko służyło uzdrawianiu. U przeraźnika gryzące alchemiczne opary, tu wiosenny zapach kwiatów. Najchętniej od razu by się tutaj przeprowadził.



- Ale dość o chorobach - rozkazała przeraźnica - to nieprzyjemny temat.

Dotarli do dużego stołu zastawionego przyrządami, które spokojnie mogłyby pochodzić z laboratorium Eisspina: szklane butelki i probówki, fiołki i moździerze, wielobarwne płyny i proszki, mikroskopy i pincety. Jednakże w porównaniu z wyposażeniem przeraźnika wyglądało to jak zestaw małego chemika.

- To moja destylarnia - wyszczerzyła zęby w uśmiechu przeraźnica. Z pewnością daleko jej do laboratorium Eisspina, ale da się tu przyrządzić taki czy inny wywarek. A tak à propos maści na kurzajki - to nie jakieś tam placebo, to najskuteczniejsza maść w całej Camonii. Smarujesz nią kurzajkę, a następnego ranka ona odpada. Czegoś takiego nie ma na całej ulicy Aptecznej. Tu - środek na przeziębienie wydestylowany z prymulki na kaszel. Zażyjesz go i po pięciu minutach grypa znika. Chciałabym zobaczyć aptekarza, który jest w stanie sporządzić takie lekarstwo.

Przeraźnica uniosła w górę probówkę z zielonym proszkiem.

- Nie istnieje żaden środek na kaca, prawda? Trzeba go jakoś przeżyć, zgadza się?

Echo pomyślał o degustacji wina z przeraźnikiem i skinął głową.

- Żleeee! - zawołała przeraźnica. - Bierzesz ten proszek, dodajesz łyżkę do kawy i jesteś trzeźwy jak cała Liga Trzeźwości. Ta nalewka poradzi sobie z każdą migreną, a pigułka z każdym bólem zęba. Tutaj mamy likier, który likwiduje wrzody żołądka. Zapalenie wyrostka robaczkowego? Pożuj ten korzeń, a wyrostek sam się wyleczy. Odra? Wystarczy posmarować się moją maścią na odrę, a swędzenie minie w parę sekund. Żółtaczką? Wypij tę miksturkę, a twoja wątroba będzie jak nowa.

Izabela rozłożyła ramiona.

- Wynalazłam tutaj, na dole, lekarstwa na połowę chorób, które tam, na górze, wymyśla Eisspin. Prowadzimy wieczny pojedynek, my dwoje, tyle że on o tym nie wie.

- No to zaczynamy! - krzyknął Echo rozentuzjzmowany wykładem. - Kiedy uwarzymy nasz wywar miłosny? Teraz?

Przeraźnica uniosła ręce w uspokajającym geście.

- Nie tak szybko! - powiedziała. - Muszę najpierw zerknąć do odpowiedniej literatury na ten temat.

Sięgnęła pod stół i wydobyła spod niego potężne skórzane tomiszcze, które upuściła na blat z takim hukiem, że zabrzączało całe stojące dookoła szkło.

- Przeraźnicowa Księga Kucharska! - wyjaśniła. - Zapisano w niej wszystkie przeraźnicowe recepty. Po praprzeraźnicowemu.

Otworzyła pierwszą stronę i odczytała motto:

- Nyott stropstnopirni hapfel Zach hapfel Zach stropstnopirni! To też potrafiłbyś przetłumaczyć?

- Nie żyjemy po to, aby się uczyć, lecz uczymy się po to, aby żyć! - odpowiedział Echo.

- Prawidłowo - potwierdziła Izanuela. - No to popatrzmy... Długo kartkowała księgę.

- Zupa grzybowa z kapelusza czarownicy... hmm... rolada z szaleju... sok z czarciego ziela... woda pomyleńców... sałatka z ostu żmijowego z wymiocinami skowronka...

Wreszcie uderzyła ręką w jedną ze stron i krzyknęła triumfalnie:

- Jest! Przerażnicowy wywar miłosny, ekstramocny!

- Masz go? - pytał roztrzęsiony Echo. - Masz go?

- Hmmm... - przeraźnica mruczała pod nosem tak długo, że Echu wydało się to wiecznością.

- Cholernie mocna rzecz - odezwała się po chwili. - Potrzebujemy chrząstownika... facelię... renetę szampańską... borowika grubotrzonowego... paproć kolczastą... dwunastolistną koniczynkę... zawilca bagiennego... jaskra lodnikowego... muchomora twardawego... starca górskiego... funt glonów śrubowatych... Szpacze szparagi... Do licha, co jeszcze? Trąbka trolla lejkowego. Pszeniec leśny. Rdest bulwowy. Zaraza drobno-kwiatowa. Kapusta kwitnąca. Odnożyca jaskrowa. Dwie cebulki cieniste. Hmmm... hmm... hmm...

Przeraźnica uniosła wreszcie wzrok.

- Tego się obawiałam, mój grubutki, to nie będzie żaden spacerek. Dobrze, większość rzeczy mam na miejscu, a pozostałe mogę zamówić u zaprzyjaźnionych przeraźnic. Ale... jest jeden składnik, którego praktycznie nie da się załatwić. To pewna roślina, która niemal wymarła. Żadna przeraźnica nie wie, gdzie może ona jeszcze rosnąć.

W Echu zamarło serce. Cały entuzjazm uleciał.

- Jak ona się nazywa? - zapytał przybity.

- Krocimiętka - powiedziała przeraźnica. - Niewiarygodnie skuteczne ziele.

- Krocimiętka? - zawołał Echo. - Wiem, gdzie ona rośnie!

- Naprawdę?

- Na dachu u Eisspina. Wielki krzak. W pełnym rozkwicie.

- To cudownie. Myślałam, że już po wszystkim - powiedziała z ulgą przeraźnica.

- Mógłbym zerwać i przynieść kilka listków. Żaden problem.

Izanuela jeszcze raz spojrzała w księgę.

- Hmm... - zamruczała. - Parę listków nic nie pomoże. Nie trzeba mi martwych liści, potrzebuję całej żywej rośliny. Musisz wykopać ją razem z korzeniami.

- Ale przecież nie potrafię - biadolili Echo. - Ona jest ogromna. A ja jestem tylko małym krotkiem.

Przeraźnica spojrzała przeciągle na Echo. Przez chwilę panowało głębokie milczenie i zrobiło się tak cicho, że słycać było jedynie szepty cmentarnego ognika.

- Nie - powiedziała po chwili. - Nie mówisz chyba poważnie!

- A jednak - odparł Echo. - Nie ma wyjścia, musisz pójść ze mną na dach.

Krocimiętka

Istniała tylko jedna pora, kiedy Echo i Izanuela mogli w miarę bezpiecznie dotrzeć na dach dachów - podczas przygotowywania przez przeraźnika wieczornego menu. Był wtedy tak bardzo pochłonięty sztuką kulinarną, że mogli wśliznąć się do laboratorium bez obawy, że ich zauważy. Skóroperze wylatywały jeszcze o zmierzchu.

Następnego wieczoru Echo niecierpliwie wyczekiwał przeraźnicy przed drzwiami wejściowymi, aby poprowadzić ją przez zamek na dach. Przybyła mocno spóźniona, do tego wyglądała jakoś inaczej. Jej usta lśniły bardziej niż zazwyczaj, a cera wydawała się nieco mniej zielona.

- Gdzie się podziewałaś tak długo? - zapytał Echo.

- Trochę się stroiłam - odpowiedziała.

- Niby dla kogo? To nie będzie żaden wieczorek zapoznawczy. Chcemy wykraść roślinę.

- Przypomniało mi się to, jak byłam już niemal gotowa. Jeśli chodzi o Eisspina, zachowuję się nierozsądnie - westchnęła.

Echo biegł przodem, a Izanuela podążała za nim. Przechodzili przez pomieszczenie, w którym przeraźnik porozwieszał swe dzieła malarstwa katastroficznego. W szalonym migocie świec sceny wyglądały niemal jak żywe.

- Tu, w środku, jest jeszcze bardziej wariacko, niż wygląda to z dołu - stwierdziła przeraźnica. - Kto namalował te wszystkie obrazy?

- Eisspin - odpowiedział Echo.

- To mężczyzna o wielu talentach - wyszeptwała. - Nigdy bym nie pomyślała, że potrafi też malować. Te obrazy są naprawdę...

Echo zatrzymał się gwałtownie i odwrócił.

- Słuchaj! - powiedział. - Jesteś już zabujana w Eisspinie i nie przyszedłeś po to, żeby zakochiwać się w nim jeszcze bardziej. Jesteś tu po to, aby to *on* zakochał się w *tobie*. Czy moglibyśmy skupić się na rzeczach najistotniejszych? - Echo dopiero teraz spostrzegł, jak bardzo był spięty i rozdrażniony.

- No pewnie - powiedziała przeraźnica - ale te obrazy są naprawdę świetne.

Weszli na piętro, gdzie Eisspin porozkładał większość swych powypychanych mumii. Echo uznał za stosowne, by przygotować na to przeraźnicę.

- Nie przeraż się, kiedy skręcimy za następnym rogiem! - ostrzegł. Stoi tam żytnia zmora. Ale nie jest żywa. Jest wypchana.

- Eisspin wypycha żytnie zmory?

- Tak.

- To mężczyzna o wielu talentach - zachwyciła się ponownie - o wielu talentach.

Nad ich głowami rozległ się wielogłosowy szept, jak gdyby korytarzem przeleciała gromada niewidzialnych duchów.

- Czy coś z tym miejscem jest nie tak? - zapytała z drzeniem w głosie.

- Jest - odpowiedział Echo. - Ale można się do tego przyzwyczaić.

Gdy skręcili za rogiem, przeraźnica wydała z siebie ostry krzyk na widok zmory.

- Aaa!! - krzyk odbijał się od wysokich ścian.

- Zwariowałaś? - wysyczał Echo. - Przecież cię ostrzegłem!

- Ale ona wygląda zbyt prawdziwie - wyszeptała Izanuela, gdy przecisnęła się już obok wypchanego strasydła.

- Weź się w garść! Tych bestii jest tutaj więcej.

Przemykali obok liściołaków, wiedźm leszczynowych i demonów zbożowych, czyhających w niszach skrytych w murach czy na podestach, przyczajonych do skoku. Przeraźnica za każdym razem na widok któregoś z nich robiła udręczoną minę.

- Przecież to istny tunel strachów! - sapnęła. - To pierwsza rzecz, która stąd wyleci, kiedy Eisspin będzie już pod moim pantoflem.

Weszli schodami na piętro, na którym znajdowała się kuchnia. Już z daleka słychać było postukiwania pokrywek na garnkach, syczenie tłuszczu. Eisspin z pewnością był całkowicie pochłonięty pracą i nie usłyszał krótkiego krzyku Izanueli w hałasie bulgoczących potraw i buzujących płomieni. Teraz albo nigdy!

- Cichutko! - rozkazał Echo. - I możliwie jak najszybciej.

Teraz nadszedł krytyczny moment. Musieli przekraść się obok kuchni. Gdyby Eisspin akurat w tym momencie potrzebował czegoś ze swojej spiżarni i wyszedł na zewnątrz, byłby to koniec!

Echo dreptał przodem, a przeraźnica podążała za nim na paluszkach. Drzwi do kuchni były lekko uchylone, słychać było stukot kroków Eisspina. W powietrzu unosiły się smakowite zapachy. Pieczeń z gęsi. Czerwona kapusta. Muszkat. Echo spostrzegł zagłębienie w dywanie, przeskoczył przez nie lekko, miał właśnie ostrzec przeraźnicę, lecz było za późno. Potknęła się, zaczęła się chwiać, wiosłować rękami i położyła się jak długa. Gdy padała, rozległ się głuchy dźwięk.

- Uch! - sapnęła, a Echu wydało się, że w ciemnościach korytarza rozległ się cieniutki chichot.

Stukot kroków Eisspina zamarł. Przez parę uderzeń serca słuchać było jedynie bulgotanie garnków.

- Halo? - zawołał Eisspin. - Jest tam ktoś?

Przeraźnica drgnęła jak przeszyta błyskawicą.

- Halo? - zawołał raz jeszcze Eisspin.

- Miau! - miauknęła Echo. - Miauuu

Przeraźnik się roześmiał.

- Jeszcze trochę cierpliwości, Echo! - zawołał. - Przygotowuję tu dość skomplikowaną rzecz. Ale obiecuję, że warto będzie czekać.

Przeraźnica pozbierała się i pobiegli dalej w dół korytarza, a potem kolejnymi schodami w górę. Wkroczyli teraz do niesamowitego pomieszczenia z wieloma klatkami.

- Uważam, że ma bardzo przyjemny głos - powiedziała Izanuela, gdy mijali żelazne i drewniane klatki. - I gotować też potrafi.

- Zabujałaś się w kimś, kto kolekcjonuje klatki. Nie daje ci to nic do myślenia? - wysyczał Echo.

- Bo co? - zapytała. - Każdy potrzebuje jakiegoś hobby.

Kiedy weszli do laboratorium, przeraźnica zatrzymała się, jakby wrosła w ziemię. Wzięła się pod boki i rozejrzała.



- Do stu piorunów! - zdumiała się. - Największa świętość. Laboratorium Eisspina. Nie masz pojęcia, jak często o nim fantazjowałam. Do licha, on ma konserwator! I to jaki!

Izabela podeszła do alchemicznego urządzenia i zaczęła je obmacywać.

- Tak, tak - jęknął Echo. - Pośpiesz się! I niczego tutaj nie dotykaj! Musimy iść na dach.

Przeraźnica tańczyła po laboratorium.

- On tu pracuje! Tutaj bada! Że też tego dożyłam! - nie była w stanie uwolnić się od tego miejsca.



Przez otwarte okno wpadło uderzenie wiatru, zawirowało paroma kartkami na stole, przewróciło parę stron w otwartej książce, zamieniło niebieski proszek w roztańczoną chmurę, a potem z rykiem wyleciało z laboratorium przez komin. Wydawało się, że to Eisspin pojawił się w pomieszczeniu pod postacią ducha. Przeróżnicę ogarnęło błogie drzenie.

- No chodźże! - zawołał Echo, a przeraźnica podążyła za nim posłusznie do Skórczanego Mauzoleum po rozpadających się schodach.

- Jest o wiele bardziej wystrzałowe, niż sobie wyobrażałam w moich najśmielszych snach! - paplała podniecona. - Urządzone nie całkiem w moim guście, ale ma klasę. W tym domu na pewno potrzeba roślin! Jak najwięcej roślin! I liliowe tapety. Okna trzeba przeszklić, i to wszystkie! Przy tych przeciągach przecież zmarnieją mi wszystkie kwiaty. I potrzebujemy zasłon. Liliowych zasłon.

- To sypialnia skóroperzy - wyjaśnił Echo. - O tej porze już wyleciały. Napić się krwi.

- Nikt nie rozumie skóroperzy - wyszeptała przeraźnica na widok strychu. - Czy nie powiedziałeś tak kiedyś przypadkiem?

Echo nie odpowiadał. Wyszli z mauzoleum i dostali się na dach. Był ciekawy, jakie wrażenie wywrze na przeraźnicy ta fantastyczna panorama. Był wręcz dumny z tego widoku, tak jak gdyby te stare mury i dach należały tylko do niego.

- Ngh - stęknęła przeraźnica i zamarła.

- Super, prawda? - powiedział Echo i podbiegł aż do krawędzi gontów. - Widać stąd aż Błękitne Góry. Za nimi podobno żyją krocice. Popatrz tam, na dole, widać Sledwayę. Zabudowania wyglądają jak domki dla lalek.

Odwrócił się, bo nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Przeróżnica stała sztywna jak kij, z palcami zaciśniętymi na sukni na wysokości piersi. W jej oczach widać było panikę, a uszy powiewały na wietrze.

- Co jest? - zapytał Echo. - Co sądzisz o widokach?

- Ngh - ponownie stęknęła przeraźnica.

Echo przydreptał bliżej.

- Co się dzieje? - zapytał. - Źle się czujesz?

- Mam lęk wysokości - wycodziła przez zaciśnięte zęby Izanuela.

- Co?

- Lęk wysokości. Lęk przed dużą wysokością.

- Dlaczego nie powiedziałaś tego wcześniej? To najwyższe miejsce w całej Sledwai.

- Przecież sama nie miałam o tym pojęcia. Jeszcze nigdy tak wysoko nie byłam. Najwyższe miejsce, jakie znam, to weranda mojego domu. Możemy już iść?

- Jak to? - zapytał Echo. - Musisz mi pomóc w wykopaniu krocimiętki.

- To niemożliwe. Nie pójde ani kroku dalej. Nie miałam przecież pojęcia. Przykro mi. Ale to się nie uda.

Prawie nie poruszała ustami w trakcie mówienia, była niemal całkowicie sparaliżowana. Jedynie jej źrenice poruszały się to w jedną, to w drugą stronę, a powieki trzepotały niczym skrzydełka kolibra.

Echo absolutnie nie wziął tego pod uwagę. Ich drogocenny czas mijał. Eisspin poda wkrótce do stołu i droga powrotna będzie odcięta. Musiał jak najszybciej coś wymyślić.

- Słuchaj! - powiedział, starając się, by w jego głosie rozbrzmiewała stanowczość i pewność. - Jak oceniałabyś swój lęk wysokości w skali od jeden do dziesięciu?

- Co?

- Po prostu zrób to.

- Niech będzie. Ale nie pójde ani kroku dalej - przeraźnica stała jak wmurowana.

- Dobrze. Jeden oznacza niewielki lęk, dwa już trochę większy. I tak dalej. Dziesiątka to największy strach. Absolutna panika. Jasne?

- Jasne.

- Świetnie. Gdybyś musiała ocenić swój lęk w tej chwili, ile by wyszło?

- W okolicach dwunastu.

- Można tylko do dziesięciu.

- No dobrze. W takim razie dziesięć.

- Rozumiem. A teraz chwilę poczekajmy. Odetchnij głęboko!

- Nie mogę oddychać. Wolę wstrzymać powietrze.

- Daj spokój! Choć jeden raz głęboko odetchnij! Nie musisz się przecież ruszać!

- Hh... - sapnęła przeraźnica.

- No widzisz! Da się. A teraz jeszcze raz!

- Hhh... - sapnęła przeraźnica.

- Jeszcze raz!

- Haa... - przeraźnica otworzyła usta.

- Bardzo dobrze - pochwalił Echo - No. A teraz znów umieść swój strach na skali.

- Nadal dziesięć - powiedziała przeraźnica.

- Dobrze - odpowiedział Echo.

- Co w tym dobrego? To najwyższa wartość.

- Ale to wciąż dziesiątka. Dzięki temu zobaczysz, że strach nie może być większy. I że potrafisz go wytrzymać.

- Racja - powiedziała nieco skołowana przeraźnica.

- Jeszcze raz głęboko odetchnij!

- Haa... - sapnęła Izanuela. Lewa ręka rozluźniła się i opadła.

- A teraz? - zapytał Echo. - Gdzie umieściłabyś teraz swój strach? Ale bądź szczerą! W porównaniu ze stanem sprzed oddychania.

- Pff... - prychnęła. W jej głosie nie było słycać już takiej paniki, udało jej się również nie zaciskać zębów. - Powiedzmy... dziewięć?

- A więc jednak! - zawołał Echo. - Strach ustępuje. Dzieje się tak zawsze, kiedy się go przezwycięża. Prawa natury.

- Uważam, że dziewiątka to nadal dość wysoko - powiedziała przeraźnica.

- Słuchaj! Znam drogę do krocimiętki wiodącą wyłącznie po schodach. Jest nieco dłuższa niż ta, którą zazwyczaj chodzę, ale za to nie trzeba się wspinać po gontach. Są to absolutnie bezpieczne, solidne schody. Chciałbym, abyś podążała za mną tą drogą, obserwując przy tym natężenie swego strachu i oceniając go. Zrobisz to dla mnie?

- Nigdy nie powinnam była otwierać tych drzwi - wychrypiała Izanuela. - To był największy błąd w moim życiu.

- Załatwimy to błyskawicznie - powiedział Echo. - Musisz się jedynie przełamać.

Krotek wbiegł na górę po schodach.

- No chodź! Patrz tylko na mnie! Nie spoglądaj w dół! Nie obserwuj otoczenia! Obserwuj swój strach!

Przeraźnica podążyła za nim na drżących nogach, machając rękami.

- Oto koniec! - zawołała. - Widzę to wyraźnie. Ten dach to moja śmierć.

Echo czekał na nią na szczycie schodów.

- Udało ci się zrobić nie tylko jeden krok, pokonałaś całe schody. Jak tam lęk wysokości? Ile na skali?

- Uff! - sapnęła przeraźnica. Pot spływał jej po twarzy potokami. - Powiedzmy, że... osiem?

- Musimy się pośpieszyć - ponaglał Echo. - Mamy coraz mniej czasu.

Weszli na kolejne schody. Przeraźnica stękała, jęczała i potwornie przeklinała, jednak wytrwale podążała za krotem.

- A teraz? - zapytał Echo po trzech schodach.

- Siedem - odpowiedziała przeraźnica. - Nie, sześć.

Zerwał się wiatr i wydał suknię Izanueli, ona jednak dzielnie wspinała się dalej.

- Nie musisz już obawiać się Eisspina - powiedziała. - Kiedy to wszystko się skończy, sama osobiście ukręcę ci łeb.

- Jeszcze tylko jedne schody i zobaczysz krocimiętkę - kusił Echo. - Jak tam skala?

- Rzekłabym, że pięć. Albo raczej cztery.

- Widzisz? Strach znika.

Izabela gapiła się na Echo w zdumieniu, kiedy dotarli na najwyższy stopień. - Jak to zrobiłeś? Czy to jakiś trik, którego nauczyłeś się od Eisspina?

- To jedynie krotologia stosowana. Albo echoizm, jak wolisz.

- Teraz się ze mnie nabijasz. Rób tak dalej, to...

- Oto ona! - przerwał Echo. - Krocimiętka.

Roślina była nadal w pełnym rozkwicie. W świetle księżycy jej łodygi wyglądały na mlecznobiałe, a kwiaty jak ze srebra. Roślina wokół niej aktywny nocą owadzi tłumek, przyciągnięty jej zniewalającym zapachem.

- Jest cudowna! - westchnęła przeraźnica.

- Chyba wystarczy jej na wywar miłosny? - zapytał Echo.

- Nie będzie składnikiem napoju. To nie działa w ten sposób. Z niej będą moje perfumy.

- Twoje perfumy?

- Czar miłosny opiera się na dwóch komponentach. Sam napój sprawiłby jedynie, że Eisspin będzie zakochany. Może zakochać się w czymkolwiek. We mnie, w tobie, w drzewie. Dopiero perfumy, które wydestyluję z krocimiętki, wskażą mu drogę. Kiedy się nimi otulę, zabuja się we mnie po uszy.

- Rozumiem - skinął głową Echo. - W takim razie zabierajmy się do wykopywania.

Udali się w stronę donicy, Izabela wyciągnęła zza pazuchy podręczną łopatkę i zaczęła kopać.

- Zrobię to i uciekam - sapała. - Pachnie bosko. To najpiękniejszy roślinny zapach, jaki kiedykolwiek wahałam.

- Czuję to samo. Kocham ten zapach - powiedział uradowany Echo.

- Spójrz na te owady! Są bezgranicznie zadurzone w tej roślinie.

Chrzyszczce i ćmy, które latały wokół krocimiętki, w istocie zachowywały się jak oszalałe z miłości. Co rusz rzucały się w kielichy i kapały w kwiatowym pyłku.

- Lęk wysokości - przypomniał Echo. - Jak tam skala?

- Och, nie wiem - mruknęła nieobecny tonem przeraźnica. - Nie mam pojęcia. Jeden albo dwa.

Wykopała roślinę z chirurgiczną precyzją.

- Nie można skaleczyć nawet najmniejszego korzenia - pouczała. - Kwiaty nie czują wprawdzie bólu, tylko... W naszym języku nie ma na to określenia. Widać po tym, jakimi jesteśmy ignorantami w sprawach roślin. Roślinie można wyrządzić wiele cierpienia - uwolniła wreszcie krocimiętkę z donicy i uniosła ją w świetle księżyca.

- Kocham ten krzak. Mogłabym go obwąchiwać przez wieczność. Jest przepiękny.

- Musimy już iść! - upomniał Echo. - Jak tam lęk wysokości?

- Lęk wysokości? - zapytała przeraźnica. - Jaki lęk wysokości? Chcę tańczyć z tą rośliną w świetle księżyca. Chcę ją poślubić!

Przeraźnica przyciskała do siebie krocimiętkę i wciągała głęboko jej zapach.

- Ach! - zawołała. - Chodź, zatańcz ze mną!

Zatańczyła na czubkach palców niczym balerina i zbiegła ze schodów wprost na pochyle gonty. Krota ogarnął strach.

- Chodź już! - wysyczał. Izanuela była całkowicie upojona. Musiał koniecznie zaprowadzić ją z powrotem do domu, inaczej wydarzy się nieszczęście. - Chodź na schody! - rozkazał ostrym tonem.

- Lęk wysokości? - zawołała beztrosko przeraźnica. - Męstwo wysokości chciałeś chyba powiedzieć! Jestem wolna od jakiegokolwiek strachu. Jestem piórkiem na wietrze. Jestem nieważka!

Izanuela wykonała śmiały skok przez parę gontów. Gdy opadła całym ciężarem ciała, dachówki pokruszyły się niczym prastare pieczywo, lewa noga przebiła się do środka i zanurzyła aż po biodro.

- Au! - lamentowała. - Au, moja noga!

Echo wskoczył na dach i podbiegł do niej. - Mówiłem ci przecież, zostań na schodach! - wymyślał jej. - A teraz wylaż, musimy się stąd zmywać.

- Au! - krzyknęła otrzeźwiała już przeraźnica. - Moja noga ugrzęzła. Jedną rękę zacisnęła kurczowo wokół krocimiętki, a drugą zaczęła szarpać dachówki, w których tkwiła. Pierwsza z nich się uwolniła, potem kolejna, potem trzy, pięć - cały tuzin. Dach zaczął się ruszać, a Echo skokami próbował wydostać się w bezpieczne miejsce. Jednak było już za późno, równie dobrze mógłby skakać z kry na krę w samym środku wodospadu.

- Huha! - krzyknęła Izanuela, coś potężnie gruchnęło, a potem cała lawina dachówek wraz z krotkiem i przeraźnicą przelała się nad krawędzią dachu.

Swobodny upadek. Tym razem Echo nie miał skóroperzowych skrzydeł, z których mógłby zrobić zbawienny użytek w tej ostatniej chwili. Szybko, o wiele za szybko pędziła w

jego kierunku nocna Sledwaya, w ciągu paru sekund wszystko się skończy. Czy była to kara za to, że chciał wpłynąć na swoje przeznaczenie? Śmierć jeszcze szybsza niż ta z ręki Eisspina? - myślał w ostatniej chwili.

Spadał niemal równo z przeraźnicą w ławicy dachówek. Jej twarz nie wyrażała strachu, jedynie osłupienie.

Nagle wokół rozbłysnęły czarne błyskawice. Paskudne, pomarszczone gęby. Obnażone zęby. Skóroperze! Całe setki! Pazury chwyciły Echo za futerko, zęby wgrzyły się w jego ogon, coś chwyciło go silnie za kark.

Po chwili zauważył, że upadek staje się wolniejszy. Pomiędzy trzepoczącymi skrzydłami dostrzegł, że również przeraźnicę wampiry chwyciły zębami i pazurami, opuszczając powoli na dół.

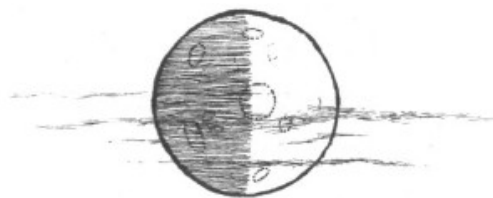
Echo opadł miękko na ścieżkę prowadzącą do zamku. Przeraźnica wylądowała obok niego, trzymając krocimiętkę w drżącej dłoni. Ponad nimi unosiły się wampiry, trzepocąc skrzydłami.

- Dlaczego to zrobiliście? - zawołał Echo. - Przecież służycie Eisspinowi. Nie rozumiem.

- Nikt nie rozumie skóroperzy! Nawet same skóroperze! - odkrzyknął jeden z nich, z pewnością o imieniu Vlad, po czym w zwartym szyku wzbiły się z szumem w niebo, przysyłając księżyc.

Echo obejrzał dokładnie swoje futerko. Nie miał najmniejszego zadrapania.

- Wybacz mi, proszę - powiedział po chwili do przeraźnicy. - Z pewnością Eisspin czeka na mnie z jedzeniem.



Muzeum sera

Gdy następnego dnia Echo udał się do domu Izanueli, drzwi otworzyły się, zanim jeszcze zdołał wejść na schody werandy. Zdawało się, że dom przeraźnicy rozpoznał go już z daleka i zapraszał do środka. Echu schlebiało, że cieszy się szacunkiem tej prastarej rośliny, więc starał się stąpać wyjątkowo ostrożnie, gdy przekroczył już próg. W kuchni przeraźnicy nie było, ale droga do tajnego ogrodu piwnicznego stała otworem. Dlatego zawołał:

- Halo! Iza? Jest ktoś w domu?

- Jestem tu, na dole! - odkrzyknęła przeraźnica. - Zejdź tutaj!

Echo odnalazł Izanuelę przy jej destylarni, otoczonej donicami z dziwną roślinnością. W szklanych pojemnikach bulgotały przezroczyste, wielobarwne płyny, a w powietrzu unosiło się wiele nowych zapachów.

- Ale mnie wkopałeś, mój mały - jęczała przeraźnica. - Wielkie dzięki! Wiesz, ile pracy zajmuje destylacja chlorofilu z ostu smoczego? Muszę przeraźnicować niemal każdą roślinę, to wyjątkowa delikatna metoda pojedynczego izolowania ich substancji czynnych. Masz pojęcie, ile to pracy? I właśnie padł mi sufragator. Wszystko muszę sufrażować ręcznie.

- No i jak postępy? - zapytał nieśmiało Echo.

Przeraźnica podparła się pod boki i obdarzyła Echa jednym ze swych najpiękniejszych zezów.

- Powiedz no, przyszedłeś tylko po to, żeby mnie poganiać? Znowu zaczniesz się starać śpiewka pod tytułem Zostało Mi Tak Mało Czasu? Numer z Bezradnym Krotkiem w Potrzebie? Możesz sobie tego oszczędzić, mój mały! Robię na akord. Przez całą noc nie zmrużyłam oka. Odkąd spadliśmy z dachu, serce uwięzło mi w gardle i nie przestaje mi tam tłuc. Czuję się, jakbym wypila pięćdziesiąt filiżanek kawy, a wcale kawy nie pijam.

- Ja przecież tylko pytam - powiedział Echo.

- W takim razie dzięki za zainteresowanie. Tak, idzie do przodu. Już od dwunastu godzin destyluję olejek z krocimiętki. Ta roślina jest zdumiewająco wydajna. To będą potężne perfumy.

Echo zobaczył krocimiętkę zanurzoną w jasnozielonej cieczy w wielkim szklanym balonie. Przesadzenie nie uszczknęło nic z jej piękności.

Przeraźnica stęknęła.

- Broussonetica Papyrifera jest już zeteryzowana, a mech kumaczy zamarynowałam w krokodylich łzach już poprzedniej nocy. Niedługo będzie bofelowy.

- Bofelowy? - zapytał Echo.

- Tak, bofelowy. Przeciwiństwo dofelowego. Nie chciałbyś chyba, żebym sufrażowała nasz wywar miłosny dofelowym mchem kumaczym, prawda?

- Nie - odpowiedział niepewnie Echo. - Naturalnie, że nie.

Przeraźnica wyszczerzyła zęby do niego.

- Nie masz najmniejszego pojęcia, o czym gadam, prawda? Pewnie dlatego, że to ja jestem dyplomowaną przeraźnica, a ty nie. Może i wpadło ci trochę wiedzy alchemicznej, jednak przeraźnicyzm jest nauką samą w sobie. Może i dzieje się tak, że Eisspin gotuje tam w gorze upiory albo zamienia cukier w sól czy co tam jeszcze. Ale porządny wywar miłosny, tego nie uda mu się osiągnąć. Nie jemu! Mogę ci również wytłumaczyć dlaczego. Bo alchemia ma gdzieś jakiegokolwiek uczucia, ot, dlaczego! Bo zbyt wiele czasu pochłania mu stworzenie perpetuum mobile albo znalezienie kamienia filozoficznego, by zajmować się czymś tak idiotycznym, jak miłość. Lecz serce wszechświata nie bije tutaj... - dotknęła skroni - ...lecz tutaj! - uderzyła się dwukrotnie pięścią w pierś.

Echo nie odpowiedział, lecz trudno mu było się nie cieszyć z pasji, jaka ogarnęła przeraźnicę. Pokazała mu, jak bardzo była zmotywowana.

- Chrząstownika i starcze ziele przyśle mi siostra Knofelia Okel z Floryntu - powiedziała. - Pszeńca leśnego i rdest bulwowy dostanę bezpośrednio z Gór Włochatek. Zarazę drobnokwiatową z Gralsundu.

- Chcesz sprowadzać rośliny z tak odległych rejonów? - Echo był zszokowany. - To przecież będzie trwało całe tygodnie! A tyle czasu...

- ...już nie masz! - przerwała mu przeraźnica i wywróciła oczy w stronę sufitu - Wiem, wiem. Mówię o poczcie przeraźnicowej.

- Poczta przeraźnicowa?

- Tak - powiedziała Izanuela. - To jedna z zalet bycia na ty z camońską przyrodą. Dysponujemy dobrze funkcjonującą pocztą lotniczą. Głównie gołębie i mewy, lecz także orły, sępy i jerzyki. Szpaki na krótkie dystanse. Kondory w przypadku ciężkich przesyłek.

- Macie tresowane ptaki?

- Nasze ptaki nie są tresowane! - odparła oburzona jego uwagą. - Pracują z nami dobrowolnie.

- Coś podobnego!

- Cóż, czasami tysiącletnia więź zaufania z naturą się opłaca - powiedziała przeraźnica.

- Nie zasmradzamy ptakom przestrzeni powietrznej oparami siarki i dymem z alchemicznych pieców. Leczymy je za darmo. Zimą wywieszamy im w lesie karmniki. W zamian przeniosą

czasem jakiś list polecony albo paczuszkę. Już jutro oczekuję dostawy.

- Och, w takim razie w porządku! - zawołał z ulgą Echo.

- A ty też mógłbyś się na coś przydać - zarządziła Izanuela. - Potrzebuję twojej pomocy.

- Chętnie! Dlatego też tu jestem. Co mam robić? Potrzebujesz wsparcia alchemicznego?

- Nie teraz. Tego zamarynowanego mchu kumaczego nie wystarczy, potrzebuję go więcej. Ale nie mam czasu, żeby szwendać się po Kumaczym Lesie. Mógłbyś załatwić to za mnie.

- Mam iść do Kumaczego Lasu po mech?

- Mech kumaczy, nie jakikolwiek tam mech. Tyle, ile jesteś w stanie unieść w pyszczku.

Echo przełknął ślinę.

- Jeszcze nigdy nie byłem tak daleko na zewnątrz - powiedział.

- Las Kumaczy leży jeszcze w obrębie terenów miasta Sledwaya - powiedziała przeraźnica. - A więc właściwie jest to cywilizacja. Ludzie unikają go jedynie dlatego, że żyją w nim nieuleczalni.

Nieuleczalni. Echu zrobiło się nieprzyjemnie. Do Lasu Kumaczego idzie się właściwie tylko wówczas, gdy cierpi się na śmiertelne schorzenie. Idzie się tam, aby umrzeć.

- *Jam chory śmiertelnie i umrę wczas, zmierzam dlatego w Kumaczy Las* - zadeklamowała przeraźnica. - Znasz ten wiersz Knulfa Spakkenhautha? - roześmiała się ochryple. - Mówiłam ci przecież, że to nie będzie żaden spacer, mój mały. A naprawdę potrzebujemy tego mchu.

- Rozumiem - powiedział Echo - już idę. Jak rozpoznam mech kumaczy?

- Po zapachu. Pachnie kumakiem. - Przeraźnica zdjęła pokrywkę z glinianego naczynia i podsunęła je Echu pod nos. Pływał w nim mech zanurzony w krokodylich łzach. Śmierdział koszmarnie.

- Już wiem, o co chodzi - powiedział przejęty dreszczem Echo.

- Znajdę go.

Przeraźnica odstawiła garnek z powrotem. - Pff! - sapnęła. - Przydałaby mi się przerwa. A mała przekąska też nie zaszkodzi. Chciałbyś coś zjeść?

- A co jest? - zapytał Echo.

- Ser - powiedziała przeraźnica i popatrzyła na niego w zdumieniu.

- Cóżby innego?

Echo pokręcił nosem.

- Ser to coś dla myszy! - powiedział lekceważąco. - Nigdy nie jadam sera.

Przeraźnica kroczyła przed nim po schodach do kuchni.

- Naprawdę? - zapytała. - Co takiego można mieć do sera?

- Śmierdzi - odpowiedział Echo. - I jest monotonnym pożywieniem.

Przeraźnica wyszła z piwnicznego otworu i podeszła do wielkiej kuchennej szafy. Krotek podążał za nią.

- Ser nie śmierdzi! - powiedziała Izanuela. - On pachnie. I nie jest monotony, to być może najbardziej urozmaicone jedzenie ze wszystkich. Wiesz, ile gatunków sera istnieje w Camonii?

- Nie.

- Ja też nie. Bo jest ich tak dużo, że nikt nie jest w stanie ich spamiętać. A każdego dnia dochodzą nowe. Nie jem nic innego prócz sera.

- Naprawdę?

Przeraźnica skinęła dumnie głową.

- Jestem zdeklarowaną serianką. My, serianie, wierzymy, że ser zawiera wszystkie najważniejsze składniki odżywcze. Tłuszcz, sól i wapń - więcej nie trzeba. Spójrz na mnie! Niemal przez całe moje życie jestem na ścisłej diecie serowej. Czy moje ciało sprawia wrażenie, że może on w jakikolwiek sposób zaszkodzić?

Echo musiał ugryźć się w język, żeby nie powiedzieć nic nieprzemysłanego, co mogłoby narazić na szwank ich dość świeżą przyjaźń.

- Nie jesz mięsa? - zapytał. - Ryb? Warzyw? Owoców?

- Nie byłabym w stanie zjeść zwierzęcia - powiedziała Izanuela i wykrzywiła się z obrzydzeniem. - I jak mogłabym spożywać rośliny, będąc laureatką Zielonego Kciuka? To myślące i wrażliwe istoty, jak ty i ja.

- A co z chlebem? Albo ciastem?

- Obie te rzeczy są z mąki. Mąka jest produktem powstającym na skutek rozcierania niewinnych roślin pomiędzy młyńskimi kamieniami. Czy możesz sobie wyobrazić potworniejszą metodę egzekucji? Nie, pozostaje mi jedynie ser. My, serianie, czcimy go niczym świętość - otworzyła oba skrzydła szafy. - Ave sezar! - zawołała.

Fala zapachu, jaka buchnęła z szafy, zaskoczyła krotka całkowicie. W porównaniu z nią szafa z nieładnie pachnącymi roślinami sprawiała wrażenie perfumerii. Jednak nie był to wyłącznie wywołujący wymioty smród, jak ten u stołu biesiadnego Eisspina. To, co wpływało z serowej szafy Izanueli, dowodziło całkiem wyjątkowej jakości i różnorodności.

Nie śmierdziało śmiercią i rozpadem, lecz życiem. Dość szczególną jego formą w każdym razie.

- W tej szafie dojrzewa trzysta sześćdziesiąt pięć gatunków sera - powiedziała drżącym głosem Izanuela. - Jeden na każdy dzień roku. A mimo wszystko ta wyborna kolekcja nie jest bynajmniej reprezentatywna. To bardzo subiektywny dobór. Ser to rzecz gustu.

Zaciekawiony Echo zajrzał do szafy. Zobaczył grube gomółki, ostre stożki, tłuste kule, piramidy i niezliczoną ilość kawałków sera różnorodnej wielkości. Niektóre z nich były zapakowane w papier woskowy, inne otoczone popiołem lub zapieczętowane lakiem. Wiele innych porastała pleśń lub pokrywały ziarna gorczycy. Istne muzeum sera.

Przeraźnica klasnęła z radości w ręce i nachyliła się do wnętrza szafy.

- Cóż dzisiaj wybierzemy? Leśnego skrzata z Baumingu? Camemberta z Gunkelstatt? Błękitny rożek z Blenheimu? Blagosio z Doliny Treli? Kwaśniaka z Twarogowa? Albo ser lilipuci z Gór Olbrzymich? Twaróg meduzowy z Mgławy? Flomontal de Florynt, rozplwający się niczym rtęć, kiedy dojrzeje? Albo może lepiej mocny ser cyklopi w popiele wulkanicznym? Panierowany ser kozi z Midgardu do smażenia? Ekstra ostry ser diabelski? Może czerwony ser druidzki w kapuzie? Albo może lepiej oscypka z Wodnej Doliny?

Przeraźnica wyszczerzyła w uśmiechu zęby, spoglądając przez ramię w stronę Echa.

- Czy nie mówiłeś przypadkiem przed chwilą, że ser to monotonne pożywienie? Wymień mi jakieś inne, które ma tyle wariantów.

- Już dobrze - machnął łapką Echo. - Zrozumiałem. Ser rządzi.

Przeraźnica wyciągnęła z szafy mały, szklany, zakręcany pojemnik.

- Oto Kopalniany Ser Gralsunderski - powiedziała z namaszczeniem. - Spójrz - podsunęła Echu pojemnik pod nos.

- Nic nie widzę. Pojemnik jest pusty.

- Ale on jest w środku. Tylko go nie widzisz.

- Jest niewidzialny? Jak kawior niewidzialnego jesiotra?

Przeraźnica obiema rękami uniosła uroczyście w górę pojemnik.

- Nie. Musisz wiedzieć, że Gralsunderski Ser Kopalniany występuje jedynie w Gralsundzie i istnieje tylko jeden jedyny jego kawałek, aczkolwiek dość spory. Gralsund to serowa metropolia Camonii, apetycznie pachnące centrum serianizmu.

Opuściła pojemnik, a jej wzrok błędził gdzieś w dali.

- Ach, Gralsund! Każdy serianin musi odbyć tam pielgrzymkę chociaż raz w życiu, by oddać cześć wielkiemu Serowi Kopalnianemu. Jest to ser monumentalnych rozmiarów, wielki niczym mnóstwo spiętrzonych na sobie domów.

Przeraźnica pokazała to rękami, a Echo wyobraził sobie ser sięgający nieba.

- Ser kopalniany musi naturalnie dojrzewać w kopalni, więc dawno temu wykopano największą kopalnię, jaka kiedykolwiek została wykopana. Dojrzewa w niej od ponad tysiąca lat i nadal jeszcze daleko mu do osiągnięcia całkowitej dojrzałości. Nikt nie może jeść tego sera, jest to zabronione pod karą śmierci! Ale można go wachać i - uwierz mi - to w zupełności wystarcza.

Pogrążona w myślach Izanuela uśmiechnęła się pod nosem.

- Kiedy odbyłam pielgrzymkę do Gralsundu, mogłam go wachać jedynie przez parę chwil, a całkowicie mnie to nasyciło, i to na kilka dni. Przytyłam wręcz parę funtów. Przez tydzień nie byłam w stanie spojrzeć na ser, tak bardzo się napchałam.

Odkręciła słoik.

- Nie można jeść Gralsunderskiego Sera Kopalnianego, ale każdy pielgrzym może sobie napęlić jego zapachem słoik i zabrać ze sobą. Masz, powachaj!

Krotek niechętnie powachał słoik. Izanuela natychmiast zakręciła go z powrotem.

Przez chwilę Echu wydawało się, że się udusi. Zapach był tak intensywny i materialny, że jego drogom oddechowym groziło zapchanie. Potem to zatrwajające uczucie ustąpiło, a Echo odniósł wrażenie, że jego żołądek wypełnił gorący olej. Zrobiło mu się ciepło i poczuł się ospały, jak po jednym z sutyh posiłków Eisspina.

- Be! - czknął. - No dzięki! Cofnęłaś mnie tym o tydzień w diecie.

Izanuela uśmiechnęła się.

- Tak, on ma coś w sobie. Jednak nadaje się tylko na święta - odstawiła słoik z powrotem. - Wydaje mi się, że pozwolę sobie dzisiaj na piątkę serową z Drobnozbożewa.

Przeraźnica wyciągnęła z szafy rustykalnie wyglądający ser, a Echu wydało się, że na jednym z regałów coś się poruszyło.

- Co to było? - zapytał.

Przeraźnica zamknęła błyskawicznie drzwi od szafy.

- Nie wiem, o czym mówisz - wymamrotała.

- Coś się tam poruszyło. W szafie.

Echo spostrzegł dopiero teraz, że masywny mebel wraz ze wszystkimi dziurami po kornikach sam przypomina olbrzymi ser.

- Tylko ci się zdawało - powiedziała Izanuela. Zakaszłała.

- Przestań! - zawołał Echo. - Co tam przede mną ukrywasz?

Przeraźnica zaczerwieniła się.

- Zupełnie nic - mruknęła.

- Coś tam się poruszyło. Widziałem wyraźnie.

Izabela przestępowała z nogi na nogę.

- Ale musisz mi obiecać, że nikomu nie powiesz - poprosiła.

- Obiecuję - Echo uniósł łapkę.

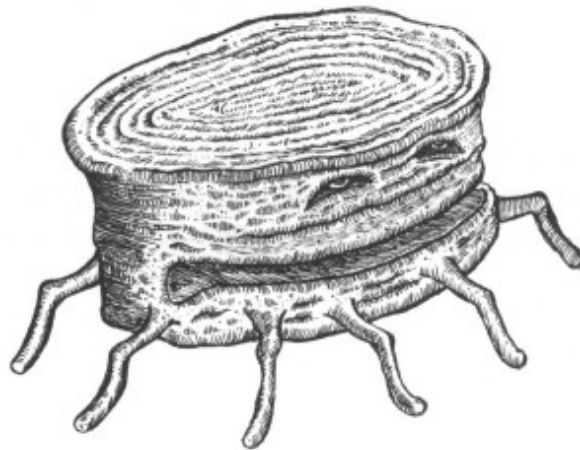
Przeraźnica odłożyła piętę serową na stół kuchenny i ponownie otworzyła szafę. Sięgnęła na regał, na którym Echo coś zobaczył.

- No, chodź tutaj, ty... - klęła pod nosem, łapiąc ręką coś, co zdawało się cały czas jej uciekać. - Mam cię! - zawołała wreszcie.

Odwróciła się w stronę Echa, podsuwając mu pod nos ser wielkości pięści. Miał liczne nóżki, którymi gwałtownie przebierał.

- Żywy... ser? - zapytał skonsternowany Echo.

Izabela wzruszyła ramionami.



- W zasadzie każdy ser jest żywy. To, co dojrzewa, jest żywe, tak to już jest. Ja jedynie nieco pomogłam sprawie, doprowadziłam ją do ostateczności. Powiedzmy, że z seriańską lekkomyślnością.

Trzymała przed oczami wierzgającą gomółkę sera. Z sera wydobył się jęk.

- Nazywam to animowanym Anacaci na moją własną cześć. Moja własna kreacja serowa. Jak się zapewne domyślasz, w grę wchodzi żywe kultury bakterii, ale też parę przeraźnicowych esencji, surowo zabronionych w *Młocie na przeraźnice*. He, he!

- Jak wpadłaś na ten pomysł?

Izabela westchnęła.

- Kiedy w tak rygorystyczny sposób rezygnuje się z pożywienia składającego się z istot żywych, któregoś dnia pojawia się pragnienie skonsumowania czegoś, co porusza się w trakcie jedzenia - przynajmniej ja je miałam.

- Rozumiem.

- Przyznałabym rację każdemu, kto stwierdziłby, że zbliżam się tym samym do poziomu Czarcih Cyklopów. Ale trzeba też wiedzieć, że ser niczego nie czuje w chwili, gdy jest zjadany. To podobna sprawa jak z cierpiącymi człękami - nie ma systemu nerwowego, nie można tym samym wyrządzić mu bólu.

Jak na ironię, ser wydał z siebie cichutki jęk. Przerożnica wsadziła go do ust i połknęła.

- Ach! - jęknęła i spojrzała na krotka. - Tak, to plama na moim przerożnicowym kitlu - wzruszyła ramionami. - Któż jednak jest wolny od winy?

- W tym domu wszystko jest żywe - powiedział Echo. - Nawet ser.

- Chcesz też jednego? - zapytała Izanuela. - W środku jest ich więcej. Smakują wybornie.

- Nie, dziękuję. Ser Kopalniany wystarczy mi w zupełności. Poza tym chciałbym załatwić tę sprawę z Lasem Kumaczym, zanim zrobi się ciemno. Jest już późno.

- *Jam chory śmiertelnie i umrę wczas...* - drżącym głosem zadeklamowała znów przerożnica.

Zmierzam dlatego w Kumaczy Las

W Kumaczym Lesie siedzę sam

Zaprawdę nikt nie przychodzi tam

Wilgotny grób wykopię sobie

I sam położę się w tym grobie.

Echo starał się jak najszybciej znaleźć za drzwiami.

W Kumaczym Lesie

Kumaczy Las był tak gęsty, że na wysokości poszycia panował wieczny półmrok. Poza tym widok pogarszała mgła wydobywająca się z bagien i stale otulająca prastare czarne drzewa cieniutką warstwą. Z głębi lasu dobiegały żalosne nawoływania ptaków.

Cóż, muszę to przejść - pomyślał sobie Echo. - Tak szeroko otwierałem gębę, a teraz będę ją musiał sobie napchać kumaczym mchem. Na szczęście już go czuję. Muszę iść w kierunku tych obalonych drzew.

Powalone pnie drzew wyglądały jak grzbiety olbrzymich jaszczurów, czających się w

trawie. Wszędzie dookoła rosnę kłujące zielsko i pokrzywy, które utrudniały poruszanie się.

Tak naprawdę to bezczelność wysłać małego krotka w taki gąszcz! - narzekał. - Ale przeraźnica ostatecznie ryzykowała życiem na dachu dachów. Muszę się zrewanżować. Powrót z pustym pyszczkiem byłby całkowitym blamażem. Muszę iść głębiej w las. Za mgłą.

Przed nim unosił się skrawek mgły i przypomniał mu o Gotowanym Upiorze i wspólnych wędrówkach korytarzami zamku. Ach, zamek Eisspina! Tu, na zewnątrz, niesamowite domostwo przeraźnika wydawało się luksusowym pensjonatem. Drzewa zdawały się przysuwać do siebie coraz bardziej, im głębiej Echo wdzierał się w las. Widział grube chrząszcze, stanowczo o wiele za duże mrówki i pająki pełzające po korze drzew.

Echo był w lesie pierwszy raz. Najwyraźniej jestem zwierzęciem miejskim - myślał. - Las zupełnie mi nie leży. Trzaski i szelest w podłożu. Garbate, pochylające się drzewa, wyciągające po niego sękaty gałęzie. Udręczony krzyk zwierzęcia z oddali. Kołatanie w wydrążonym pniu drzewa. A potem znów absolutna cisza. Nie rozumiem zupełnie, co takiego ludzie widzą w dzikim lesie - zastanawiał się Echo. - Wolę zadbane park miejski.

Usłyszał głęboki gardłowy dźwięk. - Może to jakaś gruba żaba - pomyślał. Dźwięk dochodził z kierunku, w którym prowadził go węch.

Jam chory śmiertelnie i umrę wczas

Zmierzam dlatego w Kumaczy Las...

W jego uszach rozbrzmiewały słowa przeraźnicy. Czy nieuleczalni naprawdę istnieli? A może to jedna z bajek wymyślona przez dorosłych po to, by dzieci nie zapędzwały się do lasu?

W Kumaczym Lesie siedzę sam

Zaprawdę nikt nie przychodzi tam

Dokładnie - pomyślał Echo. - Nikt nie chce tutaj być. A ja to już na pewno nie! Gdzie jest ten cholerny mech?

Wyciągnął głowę do przodu i wietrzył. Smuga zapachu mchu przybrała na sile. Po raz pierwszy przeklinał swój dobry nos, który prowadził go coraz głębiej w tę puszcę.

Wilgotny grób wykopię sobie

I sam złożę się w tym grobie.

Kiepskie te rymy! - pomyślał Echo. - Kopać swój własny grób. Cóż za zatrwazająca

myśl! Kto wymyśla takie rzeczy? Pisarze to dziwaczne stworzenia. Ten Knulf Spakkenhauth powinien przebadać się u doktora od głowy.

Robiło się coraz ciemniej, zapadał zmrok. W lesie pojawiły się też niepokojące istoty z cienia, przemykające wokół pni drzew i machające Echo z koron drzew. Nie - powiedział sobie dzielnie. - To jedynie wieczorny wiatr potrząsający gałęziami. Nie ma żadnych istot z cienia. Nie ma też żadnych nieuleczalnych - nieuleczalna była jedynie jego żywa wyobraźnia.

Z oddali dobiegł go znów głęboki, gardłowy dźwięk. Gąszcz nieco się przejaśnił i Echo znalazł wreszcie wąską dróżkę, wydeptaną ścieżynkę, prowadzącą w kierunku, z którego docierał zapach kumaczego mchu.

Ach, cywilizacja! - odetchnął z ulgą Echo. - Czegóż to nie można uznać za cywilizację w okolicy takiej jak ta, grząską dróżkę pełną kałuż i przeszkód w postaci korzeni i krzemieni. Ale przynajmniej nie było już ostów i pokrzyw. Odrobina pomocy w orientacji. Prawdopodobnie była to ścieżka, która zaprowadziła do kumaczego mchu również przeraźnicę.

Przeciągające się stukanie dzięcioła nawet uspokoiło krota. Tu są jedynie małe nieszkodliwe leśne zwierzęta - pomyślał. Dzięcioły i żaby. Chrząszcze i wiewiórki.

Podążył wijącą się ścieżką, biegnącą wokół potężnego dębu. To, co znalazł za nim, zatrzymało na chwilę jego serce i sparaliżowało całe ciało. O czarny dąb opierał się, siedząc, szkielet mężczyzny. Białe kości były objedzone do czysta przez mrówki i oplecione najdelikatniejszą pajęczą siecią. Pomiedzy żebrami wił się dziki bluszcz i janowiec, kości ud porastał mech. A w szczęce kwitła dzika róża. Echo nastroszył sierść i prychnął.

Jam chory śmiertelnie i umrę wczas

Zmierzam dlatego w Kumaczy Las

Na czaszce usiadł motyl i złożył skrzydelka. Był to nieuleczalny, bez wątpienia. Ale był martwy. To wprawdzie mało przyjemny widok - pomyślał Echo - ale bardziej uspokajający niż widok żywego z chorobą, która czała się w tym tutaj. - Nie miał nawet czasu, by wykopać sobie grób.

W Kumaczym Lesie siedzę sam

Zaprawdę nikt nie przychodzi tam

Śmierć tutaj wydała się Echo straszna. Tak całkiem sam w lesie - rozmyślał. - Ale czy nie jest straszna gdziekolwiek? I ostatecznie każdy jest w chwili śmierci sam.

Otrząsnął się z tych nieprzyjemnych myśli i pobiegł dalej ścieżką. Przeróżnica była naprawdę naiwna, nie ostrzegając go, że leży tu szkielet.

Jeden szkielet? - Echo zamarł ponownie. Parę metrów dalej leżał kolejny. Wymknęło mu się złąknione miauknięcie, lecz tym razem nie prychnął i nie stroszył się. Szkielet leżał jak długi w trawie. Wśród jego kości rosła cała grządka barwnych polnych kwiatów i ziół, ponad nimi pobzykiwały pracowite pszczoły i trzmiele. W zasadzie dość sielankowy widok - pomyślał Echo. - Dlaczego ludzie tak bardzo boją się szkieletów? Nic nie uczyni mniejszej krzywdy niż kościotrup. Wyjątkowo w tym przypadku śmierć była lepsza niż życie.

Pobiegł dalej, mając tym razem oczy szeroko otwarte, by nie przerazić się ponownie jakimś byłym nieuleczalnym. I dobrze, ponieważ już wkrótce ujrzał następnego. Leżał niczym złożony na marach na olbrzymim kamieniu bazaltowym, z oczami skierowanymi w baldachim liści i rękami skrzyżowanymi na piersiach. Być może ten nie miał ochoty, by porosły go kwiaty. Jednak mimo wszystko nie zdołał oprzeć się mchom, które porastając kamień, obrosły i jego.

Mech. Z jego powodu tu się znalazłem! Wcale nie po to, żeby podziwiać doczesne szczątki nieuleczalnych - przypomniał sobie. Jeszcze raz podjął trop, a zapach kumaczego mchu stawał się coraz intensywniejszy.

Ponownie, choć wyraźnie bliżej, w sercu lasu rozległ się głęboki gardłowy dźwięk. Bez wątpienia tam, gdzie znajdował się kumaczy mech, był też autor tych dźwięków. Echo pobiegł dalej ścieżką, nie zwracając już uwagi na szkielety leżące czy też siedzące to tu, to tam. Jeden siedział na wierzchołku ogromnego drzewa i gapił się na niego z góry. Kolejny zwisał z gałęzi na stryczku - ten nieuleczalny najwyraźniej wołał skrócić swoje cierpienia.

W tej części lasu rosły niemal wyłącznie wierzby płaczące, których listowie sięgało niemal ziemi. Zapach kumaczego mchu stał się już tak silny, że Echo czuł go przy każdym oddechu. Dołączyły do niego inne zapachy, bynajmniej nie przyjemne! Krot zwolnił więc kroku, wypatrując polany.

Słońce już zaszło, rozświetlało jednak jeszcze nieco niebo, na którym wisiał przybierający z nocy na noc księżyc. Echo zatrzymał się. Czy to polana? Tak, to polana, ale nie tylko to. Był to również cud natury.

Zamiast drzew rosły tu kamienie! Wysokie płaskie kamienne tablice, wystające z ziemi setkami, pochylone przez wiatr. Cóż to za dziwaczny las, w którym rosną kamienie? Czy zbliżanie się do nich było wskazane? Zapach kumaczego mchu dochodził dokładnie z kamiennego lasu.

Echo odważył się zbliżyć nieco do tablic. Wyglądały na stare i zwietrzałe, wiele z nich

porastała pnąca roślinność. Miały najróżniejsze kształty i kolory, były większe i mniejsze, jaśniejsze i ciemniejsze. Na niektórych widać było czarne lub czerwono-białe słoje. To gruby ciemnobrązowy kloc z porowatego kamienia, tam cienka płyta o białej, gładkiej jak lustro powierzchni. A teraz dostrzegł na niektórych napisy. - Nie, nie tylko niektóre, lecz wiele - wykrzyknął zdziwiony. - Być może wszystkie! Robi się coraz bardziej tajemniczo. Co tu może być napisane?

Echo przyjrzał się bliżej jednemu z monolitów. Czarny marmur. Wygrawerowane nazwisko. Data. Jeszcze jedna data. Na kolejnym inne nazwisko. I inna data. Krot zaczął wątpić w to, że kamienie tutaj wyrosły. Sądził, że ustawiono je tutaj, ale nie wiedział, kto to zrobił? I dlaczego? Czy to jakieś dzieło sztuki? Monument? Artefakt z dawnych czasów? - zastanawiał się i dziwił, że mógł wziąć te kamienie za rośliny.

Przeczytał jeszcze parę tablic. Były na nich tylko nazwiska i daty. Niektóre nazwiska znał ze Sledwai, widniały nad aptekami i piekarniami, w witrynach rzeźników i optyków. I wtedy Echo przeczytał napis, który poruszył go tak głęboko, że mimowolnie załkał:

FLORIA Z ŻELAZNEGO MIASTA

Było to imię jego pańci.

Wreszcie pojął: znajduje się na cmentarzu! Nie rozpoznał go od razu, bo nigdy na żadnym cmentarzu nie był, znał to niesamowite miejsce jedynie z opowiadań. Obywatele Sledwai na miejsca pochówków wybrali głęboki las, nie mogli bowiem znieść widoku mogił. Wystarczyło im już, że stale zmagali się z chorobami. Przypominanie sobie o śmierci było ponad ich siły. Przychodzili tu jedynie, by grzebać swoich bliskich, lecz nie po to, by ich oplakiwać.

Było to królestwo śmierci. Tam, w dole leżało butwiejące ciało jego pańci, a wraz z nim inne niezliczone trupy. Echo przeszedł dalej. Wiedział już, skąd pochodziły nieprzyjemne zapachy - wydobywały się z ziemi.

Potrafił też sobie wyobrazić, jak martwi wrywają się ziemi, niczym w opowieści Eisspina o przeklętej winnicy, aby schwycić go i pociągnąć za sobą w wilgotne, przeżarte robactwem królestwo. Trzeba się stąd zmywać! - postanowił. Znajdował się nadal w zewnętrznym okręgu cmentarzyska, wystarczyło tylko zawrócić. Lecz Echo się zatrzymał. Zapach kumaczego mchu był silniejszy niż dotychczas. Wabił go dokładnie ze środka kamiennego lasu.

Co robić? - Bezradnie przestępował z łapki na łapkę. - Czy ten cholerny mech musiał

wyrosnąć akurat na środku cmentarza? Dlaczego ta głupia przeraźnica nie mi o tym nie powiedziała? Nie zaszkodziłoby się przygotować na coś takiego.

Ale czy wtedy podjąłby się tego zadania? Izanuela widziała dobrze, co robi. Echo wziął się w garść. Chciała kumaczego mchu i dostanie kumaczy mech - zdecydował.

Nie chciał, by przeraźnica uznała go za krota o zajęczym sercu. Skoro ona przemaszerowała przez cmentarz bez żadnego uszczerbku, dlaczego miałoby się coś przytrafić krotkowi. Echo ruszył w stronę serca cmentarzyska.

Niektóre groby sprawiały wrażenie prastarych, inne całkiem świeżych, co widać było po stanie ziemi. Tu i ówdzie Echo znajdował pustą jamę bez kamienia, oczekującą na swego mieszkańca. W jednej z nich była wielka kałuża, w której odbijał się księżyc. Echo poczuł na całym ciele dreszcze.

Smród kumaczego mchu stał się teraz wyjątkowo silny. Cel wyprawy musiał więc znajdować się w najbliższej okolicy. Echo przebiegł jeszcze parę kroków. Rzeczywiście, przenikliwy zapach dochodził z pustego grobu. Krot podszedł do jego krawędzi i zajrzał do środka.

W grobie siedziała olbrzymia ciemnoczerwona ropucha o ciele pokrytym czarnymi brodawkami. Była tak wielka, że wypełniała go niemal do połowy. Gapiła się na Echo mętными żółtawymi oczami, otworzyła kleisty pysk i wydała z siebie ów gardłowy dźwięk, który wielokrotnie już słyszał.

- Kot? - powiedziała do siebie ropucha. - Skąd on się tutaj wziął?

- Nie jestem kotem. - Echo wykorzystał okazję do rozmowy. - Jestem krotem.

- Władasz moim językiem?

- Tak - powiedział Echo. - Naprawdę duża z ciebie ropucha.

- Ja też nie jestem tym, za co mnie uważasz. Nie jestem ropuchą. Jestem kumakiem.

Echo poczuł, że kręci mu się w głowie. Skoro był to kumak, być może nie było tu żadnego kumaczego mchu. Nie podązał za zapachem kumaczego mchu, tylko za zapachem kumaka. Logiczne. Co mogło pachnieć kumakiem bardziej niż sam kumak?

- Wybacz - powiedział oszołomiony. - Szukam kumaczego mchu. Pachniesz podobnie jak ta roślina, dlatego pomyślałem...

- Kolejny błąd - powiedział kumak. - Nie pachnę jak kumaczy mech. To kumaczy mech pachnie tak jak ja. A to różnica. Ten las nie nazywa się przecież Lasem Kumaczego Mchu. Tylko Kumaczym Lasem.

- Racja - powiedział uprzejmie Echo. - Jak mówiłem, pomyliłem się...

- Nie, to trzeci błąd. Nie pomyliłeś się.

- Nie? Jak to?

- Widzisz to zielone coś na moim grzbiecie? Jak myślisz, co to jest?

- Twierdzisz, że jest to...

- Kumaczy mech. Jedyne, jaki rośnie w Kumaczym Lesie.

Echo nie wiedział za bardzo, co ma o tym sądzić. Z jednej strony znalazł wreszcie mech, a z drugiej rósł on na grzbiecie monstrualnego i wyglądającego groźnie kumaka zamieszkującego grób. Wyobrażał sobie, że nabiera go gdzieś na skraju leśnej drogi. Ta sytuacja nie zapowiadała się bezproblemowo.

- Chciałbyś więc trochę mojego mchu, co? - zapytał kumak.

- Dokładnie tak! - zawołał Echo.

Ulżyło mu, że monstrum samo poruszyło ten temat.

- Bez mchu ni hu, hu, co? - zapytał kumak.

Echo zdobył się na wymuszony śmiech.

- Przykro mi - powiedział kumak. - Nie mogłem się oprzeć. To jedyny żarcik, jaki znam.

- Dobrze, już dobrze - odpowiedział Echo. - Trafiłeś niestety w sedno. Bez twojego mchu będę w ogromnych tarapatach. To dość kłopotliwe wyjaśniać wszystko w tej chwili, ale w konsekwencji stracę wkrótce życie, jeśli nie przyniosę do domu trochę tego mchu.

- Och - powiedział kumak - to przykre. To dla tej starej, która zbiera go zawsze z mojego grzbietu?

- Właśnie! Musisz ją przecież znać.

- W rzeczy samej znam ją. Pryska mi zawsze czymś w nos, zanim zacznie go zbierać. Głupieję od tego i potem całymi dniami kręci mi się w głowie. A tak naprawdę wcale to nie jest potrzebne, oddałbym go jej dobrowolnie. Jestem ogromnie szczęśliwy, że od czasu do czasu ktoś to ze mnie zrywa, bo strasznie swędzi. Ale nie mogę jej tego powiedzieć, bo nie mogę porozmawiać z nią tak jak z tobą.

- Mogę jej to przekazać - powiedział Echo.

- Zrobiłbyś to? - zapytał kumak.

- Jasne - odpowiedział Echo. - Czy miałbyś coś przeciwko temu, abym wziął sobie trochę tego mchu?

- A gdzie tam! - powiedział kumak. - Obsłuż się!

- Sugerujesz, że mam wskoczyć ci na grzbiet?

- Ja w każdym razie nie nabieram ci tego. Nie sięgnę - kumak przewrócił oczami w kierunku grzbietu i uniósł swe krótkie przednie łapki. Po czym zakumkał zmartwiony.

Echo zastanowił się: kumak był wielki i brzydki, ale czy z tego powodu był niebezpieczny? W każdym razie nie sprawiał wrażenia podstępnego. Z drugiej strony, jeśli rozpoznasz podstęp, to nie jest już on podstępem - westchnął.

- Co jest? - zapytał kumak. - Jednak już nie chcesz?

Co mam do stracenia? - pomyślał, dodając sobie animuszu. - Tak czy tak, będę musiał wkrótce umrzeć. Jedyna szansa na zmianę tej sytuacji rosła na grzbiecie tego pokrytego brodawkami monstrum. Wykonał więc śmiały skok do wnętrza grobu.

- Och! - jęknął błogo kumak. - Jak dobrze. Mógłbyś podreptać mi łapkami jeszcze trochę po karku? Wydaje mi się, że jestem nieco spięty.

Stare zwierzę z bliska śmierdziało absolutnie przerażająco. Echo wylądował dokładnie na jego grzbiecie, pomiędzy olbrzymimi brodawkami a kumaczym mchem. Wolałby mieć całą sprawę jak najszybciej z głowy, ale nie chciał być nieuprzejmy. Spełnił więc życzenie kumaka.



- Och! - jęknął znowu. - Nie masz pojęcia, jaką sprawia mi to ulgę. Jak właściwie masz na imię?

- Echo. A ty jak się nazywasz?

- Nazywam się Kumak. Jestem ostatnim kumakiem w Kumaczym Lesie, wiesz, więcej określeń i tak nie miałyby sensu.

- Rozumiem - powiedział Echo i przestał ugniatać go łapkami. - Chętnie zebrałbym teraz nieco mchu - poprosił. - Jeśli ci to odpowiada.

- Jasne - powiedział kumak. - Marnuję tylko twój cenny czas. Obsłuż się!

Echo wciągnął głęboko powietrze i wyrwał potężny kęs kumaczego mchu. Od razu ogarnęły go mdłości. To było ohydniejsze niż pocałunek przeraźnicy!

- No - powiedział kumak. - Teraz wiesz, jak smakuje kumaczy mech. Mam ci powiedzieć, czego *ja* chętnie bym się dowiedział?

- Hmm? - zapytał Echo z pełnym pyszczkiem.

- Chciałbym się przekonać, jak smakuje krotek.

Kumak otworzył na całą szerokość swój kleisty pysk, uwalniając z niego potężny język, trzy razy dłuższy niż on sam. Sięgnął nim ponad głowę w kierunku Echa, owinał go wokół niego, wciągnął krotka do swej przepastnej paszczy i zamknął ją - wszystko zdarzyło się w mgnieniu oka.

Podobnie jak w czasie upadku z dachu Echo był zbyt osłupiały, aby czuć strach - Eisspin będzie pewnie ogromnie rozczarowany - była to jedyna myśl, która wpadła mu do głowy.

Ale kumak go nie połknął. Otworzył szeroki pysk, wysunął z niego język razem z Echem, postawił go na krawędzi grobu i wsunął język z powrotem.

- Smakujesz niczym - powiedział z wyrzutem.

To samo mówiły skóroperze - pomyślał zbaraniały Echo. Od stóp do głów był pokryty śliną kumaka, a mech trzymał wciąż w pyszczku.

- W takim razie nic takiego mnie nie ominęło - powiedział kumak. - Wybacz mały, nie bierz tego do siebie! To był tylko eksperyment.

Echo dla pewności odszedł parę kroków od grobu.

- W takim razie powodzenia z tym mchem! - usłyszał wołającego jeszcze z dołu kumaka. - I zajrzyj do mnie kiedyś! Od czasu do czasu przydałby mi się masaż. Byłoby miło, gdybyśmy się jeszcze kiedyś spotkali.

Echo odwrócił się i pobiegł z powrotem tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to jego łapki.

Alchemia i przeraźniczym

Mistrz przeraźnik - człek już stary

W świat wyruszył, jest w podróży

Jego służy, duchy, mary

Mojej tetaz woli służą

Mistrza wszelkie czary

Znam - i zaklęć w bród

Dalej, duchy-mary

*Wraz uczynię cud**

Stary wiersz Ojahnna Golgo van Fonthewega, który zadeklamowała przeraźnica, nie mógł pasować lepiej. Echo dotarł z mchem do domu dopiero późnym wieczorem, by towarzyszyć Izanueli w ostatecznych przygotowaniach wywaru miłosnego.

Dzisiaj wywar ma być świeży

Przeraźnica każda bieży

Dziś z gorących czól

*Pot ma ściekać w dół!***

- zawołał Echo, któremu przypomniał się inny wiersz.

- Ach! - wykrzyknęła przeraźnica. - Znasz się na starych klasykach. To był fragment z *Zupy Freiherra von Dillschica*, prawda? Weselmy się! Spieszmy się! Nie ma nic istotniejszego podczas przeraźnicowego gotowania niż wibracje sympatetyczne.

Stali przy destylarni w tajemnym piwnicznym ogrodzie, gdzie przeraźnica skonstruowała aparaturę mogącą spokojnie konkurować z tą u przeraźnika. Echo wskoczył na krzesło, a następnie na stół. W szklanych balonach bulgotały ciecz o zielonej, żółtej, czerwonej, pomarańczowej i fioletowej barwie. Cienkie przewody z miedzi, srebra i szkła łączyły ze sobą te pojemniki, jasno płonęły karmione gazem płomienie. W zdumiewający sposób miech działał sam.

- W luźnym torfie, tam w środku, znajdują się dżdżownice - wyszeptła przeraźnica. - Należy korzystać z sił matki Ziemi. A przy okazji, dziękuję za przepis na cierpiącego człeka. Ożywiłam go, by wypróbować na nim działanie wywaru miłosnego.

□ Przekład wiersza Grzegorz Żak.

□* Przekład wiersza Grzegorz Żak.

W grubej brzuchatej butli siedział apatycznie cierpiący człek, pluskając stopami w substancji odżywczej. Echo nie poświęcił mu niemal w ogóle uwagi, był zbyt zaciekawiony, cóż takiego zmontowała przeraźnica. Biegał to tu, to tam, węszył i nie mógł opanować zdumienia. W wodzie o delikatnej różowej barwie unosiły się płatki fiołków i róż. W alkoholu tańczyła niebieska trawa morska. Nad palnikiem Bunsena bulgotała zawieszista ciemnozielona substancja. Pachniało jak na ukwieconej łące wiosną i podczas burzowej nocy w puszczy zarazem. Skoszoną trawą i polnymi makami, oszałamiającymi orchideami i tropikalną, trującą roślinnością. Różami w rozkwicie, melisą cytrynową i rozmarynem, świeżym torfem i mokrym sianem.

W szklanej spirali pełzały żarzące się na czerwono lawowe robaki, ogrzewając balon, w którym na wolnym ogniu buzował płynny chlorofil. Przez stół maszerowała karawana wielkich czarnych mrówek, transportując do mózdzierza drobne kawałki liści i korzeni. Chrząszcze jelonki ciągnęły ze sobą całe kwiaty i wrzucały je do kotła.

- Mamy naprawdę wielu pilnych małych pomocników - zauważył Echo.

- E, to zwykła pomoc sąsiedzka - machnęła ręką przeraźnica. - W zamian kradną mi cukier i wyżerają szpinak.

Korzenie w podłodze i ścianach opanowało niezwykle poruszenie. Oczy znajdujące się w otworach sęków co chwila otwierały się i zamykały, jakby wiedziały, że niebawem wydarzy się tutaj coś istotnego. Echo po raz pierwszy przyjrzał się bliżej kolorowym motylom, które fruwały w tym podziemnym świecie roślin.

- Co właściwie robią tutaj motyle? - zapytał, gdy jeden z nich usiadł mu na głowie.

- Odpowiednią atmosferę! - zawołała przeraźnica i rzuciła w powietrze garść kwiatowego pyłku. - Czy możesz sobie wyobrazić tworzenie wywaru miłosnego bez obecności motyli? Ja nie.

- Naprawdę pomyślałaś o wszystkim! - pochwalił Echo. - Kiedy zaczynamy?

- Zaraz - powiedziała przeraźnica. - Muszę jeszcze wyregulować dozownik chmielu - pokręciła przy drewnianych zaworach niekształtnej skrzyni, w której stukotało i grzechotało. - No! - zawołała i klasnęła w dłonie. - Teraz brakuje nam jedynie **Veitsmwtzki!**

- Muzyki? - przetłumaczył Echo.

Rozległ się upiorny, rytmiczny pomruk, który Echo słyszał już podczas pierwszego spotkania z domem przeraźnicy. Pojął teraz, że wydawał go z siebie sam dom, dochodził z otaczających go korzeni i roślinnych wypukłości.

- Śpiew dębu przeraźnic - Izanuela wpadła w zachwyty. - Nie ma nic lepszego. -

Postawiła na stole rozedrganego Witusia, który natychmiast zaczął chwiać się we wszystkie strony w rytm muzyki. Ożywił się również cierpiący człek. Powstał i zastukał w ściany swej butli.

- Atmosfera! - zawołała ponownie Izanuela. - Atmosfera! Zaczynamy więc!

Wyciągnęła spod stołu różnorodne szklane pojemniki z cieczami i ustawiła je obok małego żeliwnego garnuszka.

- Najpierw należy dokładnie wymierzyć sufrażowane esencje roślinne - powiedziała.

- Czy one również są bofelowe? - zapytał ostro Echo.

- Tak, są bofelowe - wyszczerzyła zęby przeraźnica. - Tak bofelowe, że nie jesteś w stanie sobie tego wyobrazić.

Czytała z przeraźnicowej księgi kucharskiej i wpuszczała do garnka krople esencji w maleńkich ilościach.

- Jeden przeraż chrzęstownika..., dwa przeraż facelii..., pięć przeraż borowika grubotrzonowego..., dwadzieścia cztery przeraż dwunastolistnej koniczynki..., tak, szczęście może nam się przydać...

- Dlaczego tak mało? - spytał Echo. - Dlaczego po prostu nie wrzucisz wszystkiego do środka? Im więcej, tym lepiej, prawda?

- Trzymaj się od tego z daleka! - syknęła. - Nie znasz się na tym zupełnie. Wszystko zależy od dokładnego dozowania. Jeden przeraż za dużo lub za mało i wszystko będzie spartaczone. Więc mi nie przeszkadzaj!

Echo ugryzł się w język.

- Osiemnaście przerażi jaskra lodnikowego... dwa przerażi starca górskiego... cztery i pół przerażi glonów śrubowatych... jeden przeraż szpaczych szparagów... dwa przerażi trąbki trolla lejkowego... sto siedemdziesiąt jeden przerażi rdestu bulwowego...

I tak to właśnie przebiegało, aż wszystkie esencje zastosowano w zgodnych z recepturą dawkach. Potem Izanuela postawiła garnek na małym ogniu i zawiesiła w nim termometr. - Teraz podgrzewamy! - zawołała - byle tylko nie zagotować! Musi mieć dokładnie siedemdziesiąt siedem przerażi.

- Czym właściwie jest przeraż? - zapytał Echo.

- Przeraż może być zarówno gramem, jak i miarą stopni. Czasami bywa też milimetrem. To zależy - powiedziała Izanuela. - A co?

- A nic - powiedział. Echo domyślał się już wcześniej, że przeraźniczym nie jest szczególnie ścisłą gałęzią nauki. Lecz teraz po raz pierwszy naszała go niepokojąca myśl, że padł ofiarą szarlatanki.

- Siedemdziesiąt siedem przerazi - szepnęła Izanuela, rzuciwszy wzrokiem na termometr. - Dokładnie tak - spojrzała do książki kucharskiej. - A teraz infuzja portulaki - wyciągnęła z szuflady wielką zardzewiałą strzykawkę i podeszła do szklanego balonu. Tam zatrzymała się jak rażona piorunem. Strzykawka upadła z brzękiem na ziemię.

- Na wszystkie przeraźnicowe klątwy! - zawołała. - O nie!

Echo podbiegł do niej.

- Co się dzieje? - spytał zatroskany.

Przeraźnica stęknęła.

- Portulaka się wywróciła. Jak mogło się to stać?

Substancja w szklanym balonie wyglądała na zgniłą i śluzowatą. Unosiły się w niej grube pęcherze powietrza. Na powierzchni, niczym topielcy, pływały zwiotczałe zielono-brązowe liście. Rytmiczna muzyka ucichła.

- Do licha - zmartwiła się przeraźnica. - Zostawiłam na noc zamknięte filtry. Portulaka się zmarnowała.

- I co teraz? - zapytał Echo. - To przecież tylko zielenina. Na pewno masz coś zastępczego.

- Właśnie że nie. To bardzo rzadka portulaka z Wyspy Łapicha. Wiesz jak to daleko? Sprowadzenie jej tutaj, nawet pocztą przeraźnicową, trwałoby tydzień. A esencje stracą do tej pory swoją moc. Nie rozumiesz? Teraz jest właśnie ta chwila, by przyrządzić wywar. Tutaj, dzisiaj, tej nocy! Teraz albo nigdy! Niech to szlag! - uderzyła pięścią w szklany balon.

Echo gorączkowo szukał rozwiązania w swoich wiadomościach na temat alchemii.

- Co znajduje się w tej roślinie? - zapytał.

- W zasadzie nic wyjątkowego. Żelazo, cynk, alkaloidy, magnez... to, co zazwyczaj znajduje się w roślinach, ale portulaka zawiera wyjątkowo skuteczną odmianę mucilago. To gumowy śluz, który zwiąże naszą zupę. To tak jak z sufletem, mały, jeśli nie trzymasz się dokładnie przepisu, wtedy... - przeraźnica opadła bezsilnie na krzesło.

Gastropoda - Echo usłyszał w głowie słowa przeraźnika. *Fossaria modicella*. *Radix auricularia*. *Stagnicola caperata*. *Aplexa elongata*. *Physella virgata*. *Gyraulus deflectus*. *Planorbella trivolvis*. *Planorbula armigera*.

- *Planorbula armigera* - zawołał Echo.

- Co proszę? - zapytała przeraźnica.

- Ślimak. Bardzo rzadki.

- Co z nim?

- Eisspin wygotował jednego z nich i zakonserwował w tłuszczu. W swojej piwnicy.

- Tak? I co z tego??

- Wygotowane substancje *Planorbula armigera* zawierają resztki śluzu, który wydzielany jest przez ślimaka w trakcie ruchu. A ten śluz ma taki sam skład chemiczny jak mucilago.

- Skąd to wiesz? - zapytała zdumiona przeraźnica.

- To część wiedzy alchemicznej, którą wbił mi do głowy Eisspin. Właśnie tu - postukał się łapką w łeppek.

- W takim razie do dzieła! - zawołała przeraźnica. - Biegnij do zamku i przynieś tłuszcz ślimaka! A ja tymczasem...

- Nie da rady! - powiedział Echo.

- Dlaczego?

- Spizarnia tłuszczu jest zabezpieczona wieloma zamkami. Sam ich nie otworzę.

Przeraźnica podniosła się z krzesła i stanęła prosto jak świeca.

- O nie! - powiedziała i skrzyżowała ramiona. - Jeszcze raz?! Beze mnie.

- Do Kumaczego Lasu poszedłem sam - powiedział Echo. - A ty nie ostrzegłaś mnie przed ropuchą. Jesteś mi coś winna.

- Wcale nie! - powiedziała przekornie przeraźnica.

- To dość wyrafinowane zamki - zastanawiał się Echo. - Ale razem powinniśmy je otworzyć.

Przeraźnica zamilkła.

- Zapomniałaś już, o czym przed chwilą mówiłaś? - zapytał Echo. - To ta chwila, kiedy możesz przygotować wywar. Tutaj, dzisiaj, tej nocy! Teraz albo nigdy!

Izabela westchnęła.

- Dzisiaj wywar ma być świeży, przeraźnica każda bieży! - zawołał Echo.

- Tak, tak - jęknęła przeraźnica. - Dziś z gorących czoł pot ma ściekać w dół!

- Oto właściwe nastawienie! - powiedział Echo. - Masz przypadkiem w domu flet? I wytrych? Świecy też potrzebujemy.

Dużo zamków

Kiedy Echo upewnił się, że przeraźnik jest zajęty w swym laboratorium, pośpieszył z powrotem do drzwi wejściowych zamku, gdzie czekała już na niego Izabela. Potem udali się do piwnicy.

- Muszę ci jeszcze coś powiedzieć - wyszeptał Echo, kiedy przemykali w dół długimi ciemnymi schodami.

- Co takiego?

- Na dole znajduje się Śnieżnobiała Wdowa.

Przeraźnica stanęła jak wryta.

- On ma Śnieżnobiałą Wdowę? - syknęła. - W tej piwnicy?

- Jest uwięziona. W szklanej klatce.

- Skąd to wiesz?

- Widziałem ją.

- Co za ulga! Wielkie dzięki, że mnie ostrzegłeś. Teraz od razu mi lepiej.

- Nawet nie znajdziemy się w jej pobliżu - wyszeptał Echo. - Jest w odległej części piwnicy.

Przeraźnica, ociągając się, ruszyła dalej.

- Do tego wszystkiego jeszcze Śnieżnobiała Wdowa! - warknęła. - Jeszcze przed paroma dniami wiodłam spokojne życie. Najgorsza rzecz, jaka mi się przytrafiła, to klient z reklamacją nietrafionej przepowiedni. A teraz regularnie włamuję się do zamku Eisspina i pracuję na akord nad wywarem miłosnym. Kradnę rośliny, omal się nie zabiłam i łamię przepis za przepisem. Wystawiam na szwank nie tylko moją przeraźnicową licencję, lecz również własne życie. I dla kogo to robię? Dla przybłąkanego krota. Czy możesz wymienić mi choć jeden jedyny powód, dlaczego to robię?

Dotarli do końca schodów.

- Potrzebujemy światła - powiedział Echo.

Izabela zapaliła przyniesioną świecę. Echo spostrzegł, że kruczoczarne kopuły wydawały się bliskie zaważenia, tak samo jak za pierwszym razem. Nigdy nie przypuszczał, że z własnej woli wejdzie raz jeszcze do tej części zamku, której tak bardzo nienawidził.

W milczeniu przemierzali przytłaczające piwniczne pomieszczenia, pełne stroniącego od światła owadziego motłochu, a krotkowi przypomniła się ponownie przerażająca historia tych murów, którą Eisspin opowiedział mu tak sugestywnie. Strzegł się jednak, by nie rozmawiać o niej z przeraźnicą, która ku jego zdumieniu milczała. Czy wynikało to z bliskości przeraźnika, czy atmosfery tego przytłaczającego miejsca, nie wiedział. Prawdopodobnie z wszystkiego po trochu: miłosne męki i respekt przed Eisspinem. W końcu dotarli do drzwi spiżarni z tłuszczem. Przeraźnica oświetliła świecą liczne zamki, chroniące pomieszczenie przed intruzami.

- Ten na górze to Akustyczny Zamek Pierwiastkowy - wyszeptał Echo, chociaż jak

okiem sięgnąć nie było nikogo, kto mógłby ich usłyszeć.

- To najprawdopodobniej najtrudniejsza sprawa.

- Znam takie rzeczy! - wyszczerzyła zęby przeraźnica. - Na uniwerku w Gralsundzie zabezpieczano nimi pomieszczenie, w którym przechowywano formularze dyplomowe przeraźnic. Otworzyć coś takiego to pestka.

- Chwileczkę - powiedział Echo. - Chcesz przez to powiedzieć, że ukradłaś swój dyplom?

Przeraźnica zrobiła się cała czerwona.

- Ups! Tak mi się wymknęło - odpowiedziała.

- Nikomu tego nie zdradzę - obiecał Echo. - Ale jeśli to otworzysz.

- Trzeba znać właściwe nazwy pierwiastków w odpowiedniej kolejności, a przecież ty na pewno je znasz, skoro Eisspin otwierał zamek w twojej obecności.

Echo wyszeptał przeraźnicy do ucha te nazwy.

- Bizmut, niob, antymon! - zawołała Izanuela i zamek odskoczył.

- Hej! - zawołał Echo. - Jak to zrobiłaś? U mnie słowa przekręcały się cały czas na języku.

- Sztuczka polega na tym, żeby przekręcić językiem na powrót poszczególne sylaby - powiedziała przeraźnica. - Wiesz przecież, co potrafię zrobić z językiem, prawda? - wysunęła swój długi zielony jęzor, a Echo zadrzał przerażony, przypominając sobie pocałunek.

- To Zamek Numeryczny - powiedziała, szarpiąc za kolejną zasuwę.

- W liczbach jestem kiepska.

- To coś dla mnie - stwierdził Echo. - Zapamiętałem liczby, kiedy je wypowiadał. Osiemnaście, dwanaście, sześćset sześćdziesiąt sześć, cztery tysiące sto dwa, siedem milionów osiemset osiemdziesiąt osiem tysięcy pięćset siedemdziesiąt cztery...

Bez trudu wyrecytował długi ciąg liczb. Kiedy skończył, zamek się otworzył.

- Masz naprawdę świetną pamięć - pochwaliła go przeraźnica. - Można by na niej zarabiać. Ja ledwie pamiętam datę własnych urodzin.

- Przy kolejnym zamku użył niewidzialnego klucza - przypomniał sobie Echo. - Skąd go weźmiemy?

- Nie potrzebujemy go. Takie zamki wciskają ludziom na jarmarkach obwoźni handlarze. To złom. Klucz jest niewidzialny, aby nikt nie widział, że ma jedynie dwa piórka. Poradzę sobie z nim wytrychem.

Wyciągnęła zza pazuchy narzędzie włamywaczy i podłubała nim w dziurce od klucza. Po chwili zamek ustąpił.

- Wspaniale - powiedział Echo. - Teraz potrzebujemy fletu. Następny w kolejności jest Niemuzykalny Zamek z Jodłowanej Stali.

- Łatwizna - machnęła ręką przeraźnica. Wyciągnęła flet i zagrała na nim te same nieharmonijne dźwięki, które krot słyszał w wykonaniu Eisspina. Zamek otworzył się sam.

- Skąd znasz tę potworną melodię? - zdziwił się Echo. - Myślałem już, że będziesz tu rzępoliła godzinami.

- To było łatwe - powiedziała Izanuela. - Eisspin nieraz znęcał się nade mną Dudami Grozy. To jego ulubiona melodia do maltretowania przeraźnic.

Zajęła się kolejnym zamkiem.

- Hmm... - mruknęła. - Zamek-widmo z Wodnej Doliny z trójzębnym zabezpieczeniem. To już zupełnie inny kaliber.

Przeraźnica zabrała się metodycznie do pracy z wytrychem. Po paru minutach pokonała również i ten zamek.

- Do diabła! - wykrzyknął Echo. - Gdzie się tego nauczyłaś?

- Słuchaj no, mały! - powiedziała Izanuela niskim głosem. Znów pojawiło się to niepokojące spojrzenie, które już raz tak bardzo przeraziło krot. - Jestem przeraźnicą. Ja i moje siostry jesteśmy ciężko doświadczoną nacją, której wszyscy się czepiają. Zamykano nas w wieżach przeraźnic, przykuwano do pręgierzy i owszem, palono nas, chociaż dziś niechętnie się już o tym mówi. Przez stulecia musiałyśmy przyswoić sobie pewne rzeczy, które niekoniecznie stoją w zgodzie z camońskim prawodawstwem. Pokonywanie zamków to wśród nich najmniej szkodliwa sprawa. A więc chcesz, abym otworzyła te drzwi, czy wolisz zadawać jołopowate pytania?

- Już dobrze - wymamrotał przestraszony Echo. - Będę już cicho.

Przeraźnica spojrzała na niego przenikliwie raz jeszcze i zabrała się do pracy. Czasami manipulowała wytrychem, czasami używała spinki do włosów, igły bądź drutu, które jakby wyczarowywała. Pod jej zręcznymi palcami zamek za zamkiem ustępował. Wreszcie otworzyła ostatni z nich.

- To byłoby wszystko - powiedziała. - Droga wolna.

Weszli do suchego, czystego, chłodnego i schludnie wyglądającego pomieszczenia. W długich rzędach leżakowały posortowane pedantycznie przez przeraźnika kule tłuszczu.

- To jest właśnie spizarnia tłuszczu. Tutaj Eisspin przechowuje ostatnie westchnienia i tłuszcz rzadkich zwierząt, które torturował i przegotował - powiedział Echo, przechadzając się wzdłuż regałów. - Co właściwie czujesz do niego, kiedy na to patrzysz?

- Na tym właśnie polega problem z uczuciami - westchnęła przeraźnica. - Ciężko

połączyć je z rozsądkiem. Uwierz mi, Eisspin przeraża mnie nie mniej niż ciebie. Tak naprawdę wolałabym go raczej otruć, zamiast przyrządzać dla niego wywar miłosny. Ale cóż mogę poradzić! - posłała spojrzenie w kierunku sufitu.

Echo odczytywał tabliczki z nazwami: *prophyrio veterum... numida meleagris... python molurus... nyctibius grandis... stenops gracilis... moloch horridus... testacella halotidea*. Aha, tu znajdują się ślimaki! I oto ona: *planorbula armigera*!

Przeraźnica chwyciła kulę tłuszczu i schowała ją za pazuchę.

- A jeśli on zauważy? - zapytała.

- Jest chwilowo zbyt zajęty, aby liczyć swoje kule tłuszczu - odpowiedział Echo - a nawet jeśli, co miałyby...

Zamilkł. Zaalarmował go jego wrażliwy słuch.

- Co jest? - zapytała przeraźnica.

- Eisspin nadchodzi! - odpowiedział Echo. Słyszał wyraźnie jego dudniący krok.

- Zwiewamy! - zdecydowała Izanuela, ale zaczęła wykonywać tak gorączkowe ruchy, jakby zamierzała uciekać we wszystkich kierunkach naraz.

- Za późno! On zaraz tutaj będzie.

- Co robimy? - wyszeptała trwoźnie przeraźnica. - Co teraz zrobimy?

- Musimy się tutaj schować. Zgaś świecę!

Przeraźnica zgasła świecę.

- Ale on przecież zobaczy, że ktoś się tutaj włamał. Drzwi są otwarte! Przeszuka to pomieszczenie.

- Zostaw to mnie! - rozkazał Echo. - Mam pomysł. Schowaj się za tamtym regałem! I siedź cicho!

Przeraźnica usłuchała i ukryła się za regałem. Teraz również i ona słyszała defiladowy krok Eisspina. Echo pobiegł w głąb pomieszczenia i przysiadł w kącie. W drzwiach ukazał się Eisspin, trzymający w ręce lampę z robaczków świętojańskich, a spiżarnia tłuszczu utonęła nagle w barwnym świetle.

- Kto tutaj jest? - zawołał twardo przeraźnik. - Jaka zmęczona życiem istota odważyła się wtargnąć do mojej spiżarni?

Przez chwilę panowała całkowita cisza. Serce Echa biło jak oszalałe. W końcu zebrał całą swoją odwagę i wyszedł.

- To tylko ja, mistrzu! - zawołał dziarsko. - Echo. Przydreptał w krąg światła rzucanego przez lampę.

- Co robisz tutaj na dole? - zapytał ostro. - W jaki sposób pokonałeś zamki?

- Jak miałem je niby pokonać? - zapytał bezmyślnie Echo. - Jestem małym krotkiem. Kiedy tędy przechodziłem, drzwi były otwarte na oścież.

- Były otwarte? - zapytał zbaraniały Eisspin.

- A jak inaczej bym tutaj wszedł? Myślałem, że zostawiłeś je otwarte dla mnie. Tak jak drogę na dach.

Eisspin zachwiał się, machając nerwowo latarnią. Wydawało się, że na chwilę stracił równowagę.

- Musiałem zapomnieć je zamknąć - wymamrotał zmieszany. - Wydaje mi się, że jestem przepracowany.

- Też mi się tak wydaje - powiedział Echo. - Prawie w ogóle się już nie pokazujesz.

Przeraźnikiem wstrząsnął dreszcz, a jego twarz znieruchomiała. Stał znów wyprostowany jak świeca.

- A ty czego tutaj szukasz? - fuknął na krotka. - Myślałem, że boisz się piwnicy.

- Ach! - westchnął Echo. - W obliczu ograniczonej przyszłości nie trwoni się czasu na niedorzeczne lęki. Niedawno byłem po raz pierwszy w Kumaczym Lesie i wpadłem tam na pewien pomysł. Nie wiem, co zamierzasz uczynić z moimi zwłokami, kiedy pozbawisz je tłuszczu, ale jedno jest pewne: nie chcę zostać pogrzebany w Kumaczym Lesie.

Mistrz opuścił lampę.

- Proszę, proszę - kiwał głową. - To gdzie w takim razie?

- No cóż, spiżarnia tłuszczu jest piękniejszym, bardziej czystym i chłodnym miejscem. Miejscem, do którego nie wejdą owady ani szczury. A skoro i tak będzie tu spoczywał mój tłuszcz, pomyślałem sobie... - Echo zamilkł.

- Chcesz zostać pogrzebany tutaj, na dole? - zapytał Eisspin.

- Tak. W pewnym sensie. Bo jeśli ci to nie przeszkadza, mógłbyś przecież wypchać mnie tak kunsztownie, jak robiłeś to z mumiami. Będiesz miał po mnie ładną pamiątkę. I nie zniknę całkiem z tego świata.

- Coś jeszcze? Sprawiasz wrażenie bardzo wymagających zwłok - uśmiechnął się Eisspin.

- Tak - odpowiedział Echo. - Jeszcze jedna rzecz, skoro już przy tym jesteśmy. Jest pewne określone miejsce, gdzie chciałbym zostać wystawiony. Chodź za mną, dobrze?

Teraz Echo musiał zwabić starucha jeszcze bardziej w głąb pomieszczenia, aby przeraźnica mogła zniknąć za jego plecami.

- Wiesz co? - mówił, biegnąc przed Eisspinem. - Nie chciałbym stać pomiędzy tłuszczami obrzydliwych zwierząt. Kwaczącymi wężami i diabelskimi pająkami, czy jak one

się tam zwał.

- To zrozumiałe - powiedział przeraźnik.

Echo spojrział za siebie i dostrzegł za regałem gruby tyłek przemykającej w kierunku drzwi przeraźnicy. Pomyślał, że pewnie umiera teraz ze strachu.

- Chciałbym bardzo stać tam z przodu, obok pierwiastków - kontynuował. - To piękne i pełne godności miejsce.

- Wydaje mi się, że da się to zrobić - powiedział Eisspin.

- Wyszukałem sobie również miejsce. Tam, dokładnie obok camominu.

Eisspin ponownie się zaśmiał, szczerząc zęby.

- Chcesz, żeby ustawić cię obok camominu? Niezbyt to skromne.

- Ale również nie nazbyt śmiało, mam nadzieję. Sam przecież mówiłeś, jak istotną rolę w camońskiej alchemii odgrywa mój tłuszcz, więc pomyślałem sobie...

Echo zadawał sobie wiele trudu, by biegać przed przeraźnikiem w taki sposób, aby ten nie patrzył w kierunku przeraźnicy. Mówił też tak głośno, jak było to tylko możliwe, aby zagłuszyć ewentualne hałasy.

- No cóż, wydaje mi się, że da się to zrobić - powiedział wspaniałomyślnie Eisspin - i nie jest to również pozbawione pewnej logiki.

Echo obejrzał się raz jeszcze. Przeraźnica znikła właśnie za drzwiami, mógł się już rozluźnić. Musiał teraz jeszcze przez chwilę przetrzymać Eisspina. Wyobrażał sobie, jak spocona i zdyszana Izanuela gna korytarzami, po stokroć go przeklinając. Miał nadzieję, że pilnuje dobrze zdobyczej kuli tłuszczu.

- Wiedziałeś - zapytał Echo - że w Kumaczym Lesie żyje w grobie olbrzymi obrzydliwy kumak? I że jest ostatni ze swego gatunku?

Napój miłosny czyni żałosnym

Dopiero o świcie Echo odważył się wyjść z zamku i pobiec do Zaułka Przeraźnic, aby asystować Izanueli podczas warzenia napoju. Drzwi znów otworzyła mu niewidzialna ręka. Zszedł do otwartej piwnicy, odnalazł przeraźnicę siedzącą przed destylarnią, chrapiącą, z głową złożoną na blacie stołu. Wokół niej panował chaos, wszędzie leżały lub stały dziesiątki szklanych buteleczek, probówek, fiolek i dozowników, płyny wyciekały i mieszały się, piły to lub kapały się w nich motyle. Szklany balon z chlorofilem prawie kipiał, dozownik chmielu turkotał, wyrzucając z siebie chmielowe cukierki, a na środku tego rozgardiaszu tańczył dziko

Rozedrgany Wituś.

Echo wskoczył na stół i podbiegł do Izanueli. Przerożnica mówiła przez sen.

- Nie... proszę nie!... Eisspin... niewinna... tylko nie grill... nie...

Echo stuknął ją delikatnie łapką w głowę. Przerożnica zerwała się i zamachała rękami.

Potem rozpoznała krota i uspokoiła się.

- Do stu tysięcy przerożnic... aaa... musiałam zasnąć na siedząco... to wyczerpanie...
aaa - ziewnęła przeciągle.

- Możemy kontynuować? - zapytał Echo.

- Kontynuować? Co? - zapytała pijana snem Izanuela.

- No, z wywarem miłosnym.

- Ach tak, wywar miłosny! Ha, ha, ha! - przerożnica wyszczerzyła zęby, śmiejąc się. -
Jest już gotowy!

- Zrobiłaś go beze mnie?

- No jasne, nie mamy przecież wieczności. Pracowałam przez całą noc. Cztery porażki.
W końcu pełen sukces. A potem padłam. Oto on - przerożnica wskazała na niepozorną
buteleczkę stojącą na stole, wypełnioną jasnozieloną przezroczystą substancją.

Zaciekawiony Echo obwąchał korek.

- Pachnie niczym i smakuje niczym - powiedziała przerożnica. - Ale wyrwie z ciebie
serce i przepuści trzykrotnie przez magiel. Jedna kropla i przez trzy kolejne noce miauczałbyś
do księżycy.

- I co z tym teraz zrobimy?

- My - przerożnica przerwała. - To znaczy ty zaaplikujesz go Eisspinowi. Cały
ładunek. Najlepiej do kieliszka z czerwonym winem. On pije chyba czerwone wino?

- Jasne - Echo wspomniiał ich pijatykę.

- Dobrze. Zmajstrowałam ci buteleczkę, którą będziemy mogli uwiązać ci wokół
brzucha. Zaraz przećwiczymy, w jaki sposób ją odetkasz. Wlej mu to wszystko do wina i nie
wpadnij przypadkiem na wariacki pomysł, żeby samemu tego skosztować!

- Nie jestem przecież głupi.

- Nie bądź taki pewny! Napój wprawdzie nie pachnie i nie smakuje niczym, ale ma
potężną siłę przyciągania, kiedy jest odkorkowany. Musiałam się naprawdę powstrzymać,
żeby go nie wypić. Zakorkowanie tej butelki kosztowało mnie wiele wysiłku.

Izanuela wstała i wyprostowała się. Odstawiła dozownik i ściągnęła z grzałki gotujący
się chlorofil.

- Niemal równie dumna jestem z delikatnych perfum, które wydestylowałam z

krocimiętki - wskazała na szklany balon, w którym znajdowała się mięta. Była całkowicie uschnięta, a jej poszarzałe liście zwisały zwiotczałe.

Przeraźnica wyciągnęła zza pazuchy flakon.

- Perfumy z krocimiętki. Najpotężniejsza rzecz na świecie. Zadziała jak księżyc na odpływ na kogoś, kto golnie sobie wywar miłosny. Niczym magnes na kawałek żelaza. Niczym krzak krocimiętki na krotka. Tylko sto razy silniej.

Postawiła flakon obok wywaru miłosnego.

- Oba razem - zawołała - tworzą prawdziwą wieczną miłość, zamkniętą w butelce.

- I jesteś tego całkowicie pewna? - odważył się spytać.

- Wątpisz? - spytała chłodno i spojrzała gniewnie na krotka. - Wykonajmy w takim razie test na cierpiącym człeku. Uważam to wprowadzić za marnotrawstwo, ale lepiej nie ryzykować. Nie będziemy zdawać się na przypadek.

Wzięła buteleczkę z wywarem miłosnym i podeszła do pojemnika z cierpiącym człkiem, który kucnął apatycznie w swej substancji odżywczej. Izanuela odkorkowała butelkę. Wyraz jej twarzy zmienił się błyskawicznie. Otworzyła szeroko oczy, jej usta drżały.

- Ooooch - jęknęła.

Tajemnicza siła przyciągania dotarła teraz do Echa. Niczego nie widział, niczego nie czuł, lecz mimo wszystko ogarnęło go palące pragnienie wyrwania butelki z rąk przeraźnicy i wychylenia jej do dna.

- Uuuch! - stęknęła Izanuela, upuszczając drżącą ręką parę kropel do szklanego pojemnika z cierpiącym człkiem.

Ponowne zatkanie butelki korkiem kosztowało ją wiele siły. Wyglądała, jakby zginała niewidzialną sztabę żelaza.

- Aaaach! - jęknęła, po czym umieściła wreszcie korek w otworze.

- Uuf! - zawołała przeraźnica. - To było niezłe! Również Echo odetchnął z ulgą.

Cierpiący człek podniósł się i zaczął brodzić ociężale w swojej substancji odżywczej.

- To chwilę potrwa - wyjaśniła przeraźnica - przyswaja napój stopami. Niedługo płyn dotrze do jego głowy.

Echo podszedł bardzo blisko pojemnika. Cierpiący człek zaczął coraz swawolniej pluskać nogami.

- Zaczyna działać - ucieszyła się przeraźnica. - A teraz wyobraź sobie, mój mały, że to przeraźnik.

Cierpiący człek zaczął tańczyć. Kręcił się nieporadnie w kółko i machał ramionkami.

- Wygląda jak pijany - zauważył Echo.

- Pijany miłością! - dodała przeraźnica. - Ale nie wie jeszcze, kogo ma kochać. Da się to zmienić.

Izauela wzięła flakon, odkręciła zakrętkę i ostrożnie maznęła szyję jedną jedyną kroplą perfum z krocimiętki. Pomieszczenie wypełnił natychmiast boski zapach, który przepełnił Echa głębokim uczuciem szczęścia, zmusił go do zeskoczenia ze stołu i ocierania się o nogi Izaueli.

- A nie skosztowałaś nawet wywaru miłosnego! - roześmiała się przeraźnica. - Chodź, popatrz sobie, co robi cierpiący człek.

Echo z wielkim trudem oderwał się od nóg przeraźnicy. Wskoczył na stół i spojrzał na człowieczka, który zachowywał się jak szalony. Co chwila nacierał głową na szklaną ścianę, aby dostać się do przeraźnicy. Parę razy również się zatrzymał, aby zaśpiewać jej swym wysokim cienkim głosem.

- Uległ mi całkowicie - powiedziała nie bez satysfakcji Izauela - a to przecież jedynie sztuczny alchemiczny byt, pozbawiony serca i bólu. Wyobraź sobie, co nasza naleweczka zrobi z prawdziwą wrażliwą istotą!

- To fantastyczne! - zachwycił się Echo. - To działa!

- Naturalnie, że działa - powiedziała wyniośle przeraźnica. - Mówiłam ci przecież, że marnowanie jej na cierpiącego człeka jest bez sensu. A teraz pokażę ci buteleczkę, którą zamajstrowałam, abyś mógł wlać Eisspinowi wywar miłosny do kieliszka z winem.

Był to mały bukłak na wino. Przeraźnica obszyła go dwoma rzemieniami ze skóry, które można było przewiązać wokół klatki piersiowej Echa.

- Gdy znajdziesz się przy kieliszku, musisz oprzeć się ostrożnie przednimi łapkami o jego krawędź, potem odkorkować bukłak zębami i wycisnąć jedną łapką napój miłosny - pouczała przeraźnica.

Echo stwierdził, że dla krota to wyczyn akrobatyczny. Kieliszek z winem mógł się przewrócić, a cenny napój rozlać. Dlatego ćwiczyli tę sztuczkę tak długo, aż Echo opanował ją bezbłędnie.

I tak nastał poranek. Chcieli raz jeszcze spojrzeć na cierpiącego człeka, o którym całkowicie zapomnieli. Pochylili się nad szklanym naczyniem. Cierpiący człek pływał bez ruchu na plecach w swej substancji odżywczej. Jego usta były szeroko otwarte.

- Rozwalił sobie czaszkę - powiedział Echo.

- Kochał mnie zbyt mocno - westchnęła Izauela.

Echo nie był pewien, czy w jej głosie rozbrzmiewa współczucie czy duma.

- No - powiedziała Izauela i wyprostowała się. - Wypełniłam swoją część umowy.

Uwarzyłam napój. Wydestylowałam perfumy z krocimiętki. Dostarczyłam dowód, że obie te rzeczy działają. Teraz twoja kolej, by dotrzymać obietnicy.

Echo skinął głową.

- W takim razie do dzieła - przeraźnica opadła na krzesło. - Opowiadaj! - rozkazała. - Co wiesz o destylacji prawoskrętnych myśli oparów. O konserwacji substancji lotnych. Chcę dowiedzieć się wszystkiego o alchemicznych sekretach Eisspina. Wszystkiego!

Eisspin tańczy

Podczas gdy księżyc z nocy na noc stawał się coraz okrąglejszy, Echo dzięki ścisłej diecie i wydarzeniom ostatnich dni znów stracił parę funtów. On i przeraźnica uzgodnili, że odczekają do ostatniego dnia przed pełnią. Moc wywaru miłosnego miała ogarnąć Eisspina w chwili, kiedy będzie miał pełne ręce roboty. Tym łatwiej pójdzie też Echu zaaplikowanie napoju przeraźnikowi.

Krotkowi pozostało więc jedynie zabijanie czasu niespokojnego oczekiwania. Włóczył się po zamku z Gotowanym Upiorem, wylegiwał się na dachu lub przesiadywał pod kominem Fiodora, czekając daremnie na jego powrót. Najchętniej jednak potajemnie obserwował przeraźnika podczas jego różnorodnych zajęć. Staruch coraz częściej biegał w tę i z powrotem pomiędzy laboratorium a piwnicami, taszczył kule tłuszczu i zagotowywał je, eisspinował lub łączył pierwiastki i gazy, esencje życiowe oraz ostatnie westchnienia. W jego warsztacie panowały zapachy, które Echo ledwie mógł znieść, tak jadowite i żrące były substancje, które tam przygotowywał. Samemu Eisspinowi zdawało się to nie przeszkadzać, wręcz przeciwnie. Im bardziej duszna i niezdrowa stawała się atmosfera, tym bardziej się ożywiał. Jego gorączkowość przeradzała się w szaleństwo, szął pracy w ekstazę. O ile w kuchni pomiędzy garnkami tańczył walca, o tyle wśród alchemicznej aparatury wykonywał tarantelę. Czasami Eisspin chwycił się nagle za głowę lub za serce, zataczał się i drżał, zdawało się, że za chwilę upadnie jak długi. Echo, widząc to, liczył, że mistrza z nerwów zaraz trafi szlag lub padnie na zawał serca. On jednak za każdym razem się opanowywał, brał się w garść i kontynuował, zatracając się w swym szale.

Echo uświadamiał sobie przy tym coraz bardziej, że dzieło życia przeraźnika nabiera kształtów tak samo jak księżyc. Eisspin przez całe życie polował i kolekcjonował, zabijał i mumifikował, konserwował i gromadził, systematycznie uporządkowywał i cierpliwie czekał. Teraz nadeszła ta chwila, wąskie okno czasowe, podczas którego należało stopić wszystkie

zbiory w jedyny właściwy sposób, skupiając je w owej prawdziwej substancji, Prima Caterii. Eisspin ponownie przeobraził się w mistrza kuchni, lecz zupa, którą przyrządził, zdecydowanie zdrowa nie będzie, a dla Echa już w najmniejszym stopniu.

Spizarnia tłuszczu, w której krotek bywał teraz częściej, ponieważ Eisspin zostawiał drzwi stale otwarte, pustoszała w oczach. Przeróżnik pędził schodami na górę z koszami pełnymi kul, aby przerabiać je w laboratorium. Najpotworniejsze było dla Echa wygotowywanie ostatnich westchnień, z garnków unosiły się wtedy dźwięki, które niemal łamały mu serce. Dla Eisspina była to jednak najpiękniejsza muzyka, przy której wykonywał coraz bardziej ekstatyczny taniec. O ile do niedawna staruchowi wystarczała odrobina snu, o tyle teraz już go zupełnie nie potrzebował. Im bardziej niepohamowanie szastał swą energią, tym więcej siły mu przybywało. Zagrzewał się najrozmaitszymi napojami, kawą i herbatą, winem i gorzką wodą, i co rusz warzył zawiesisty czarny sok, który chciwie popijał, po czym ze zdwojoną siłą rzucał się do pracy. Echo raz tego powąchał, sam zapach sprawił, że serce biło mu godzinami jak oszalałe. Pachniało to eukaliptusem i żywicą, eterem i naftą.

Przeróżnik już praktycznie w ogóle nie zwracał uwagi na swego więźnia. Rzucał mu jedzenie, zazwyczaj marynaty lub coś ugotowanego na zapas, i wcale go już nie obchodziło, czy zostanie to zjedzone czy nie. Pomagało to krotkowi w zdyscyplinowaniu i trzymaniu diety. Wciąż jeszcze nie wrócił do swej idealnej starej wagi, stał się jednak bardziej ruchliwy i wytrzymalszy.

Któregoś wieczoru Echo siedział na dachu i spoglądał z góry na Sledwayę. W domach zapalały się właśnie światła. Ci ludzie nie mają żadnego pojęcia o dramacie, który rozgrywa się tu, na górze - myślał. - Lecz ja również nie mam pojęcia, jakie dramaty rozgrywają się w tych domostwach. Ludzie umierają każdego dnia. A w końcu wszyscy zostaniemy pogrzebani w Kumaczym Lesie. Jaki to ma sens?

Jego wzrok przesunął się w stronę Kumaczego Lasu, który z góry wyglądał jak wielkie śpiące zwierzę. Gdzieś tam siedzi w grobie tłusty kumak i czeka na niego.

- I jeszcze sobie poczekasz! - zawołał z dachu Echo. - Nie skończę w Kumaczym Lesie! Ani w spizarni tłuszczu Eisspina! Dotrę do Błękitnych Gór. I jeszcze daleko poza nie.

Wykrzyczał to tak pewnym i twardym głosem, jak tylko potrafił, mimo że jego głos drżał.

Zielony dym

Któregoś poranka Echo ujrzał z dachu cienką zieloną smużkę dymu, unoszącą się w niebo z komina domu przeraźnicy. Był to umówiony znak, że właściwy dzień nadszedł. Echo natychmiast ruszył w drogę.

- Nie możemy już czekać dłużej - powiedziała przeraźnica, mocując krotkowi do ciała bukłak z wywarem miłosnym. - Jutro jest pełnia księżycy. Musisz dziś znaleźć okazję, by wlać mu to do wina. Wróć do mnie, kiedy ci się powiedzie. Uwolnię cię wtedy od bukłaka. Tylko nie daj się złapać, mały! Ani Eisspinowi, ani też komukolwiek innemu.

- Jest mi niedobrze - biadolił Echo. - Niedobrze ze strachu. Nie zaciągaj tak mocno rzemieni!

- A myślisz, że jak *ja* się czuję? - zapytała przeraźnica. - Przez całą noc nie zmrużyłam oka i ze stresu zżarłam całą gomółkę sera jaskiniowego. Co będzie, jeśli stanę przed Eisspinem, a perfumy zawiodą?



- I teraz to mówisz? - zapytał Echo. - Ostatnio byłaś przecież taka pewna.

- W życiu nic nie jest pewne. A my mamy ostatecznie do czynienia z Eisspinem. Do stu tysięcy przeraźnic! Na co ja dałam się namówić? Oboje skończymy na grillu na przeraźnicy - Izanuela zawachlowała nerwowo uszami.

- Naprawdę potrafisz dodać odwagi - powiedział Echo. - Przygotuj się i nie wychodź z domu! Nie mam pojęcia, kiedy wrócę. Może się to zdarzyć za godzinę albo dopiero wieczorem. W najgorszym razie wcale - powiedział i pobiegł w stronę drzwi.

Kiedy Echo skręcił z Zaułka Przeraźnic w kolejną uliczkę, zdecydował spontanicznie, że tym razem pójdzie skrótem. Długa droga ruchliwymi szlakami uchodziła wprawdzie za bezpieczną, lecz bukłak z winem był ciężki i rzucał się w oczy. Ktoś mógłby chcieć odebrać go krotkowi. Pobiegł więc tylnymi dziedzińcami ulicy Szpitalnej, na której zapach chorób był tak okropny, że prawie nikt tu nie chodził.

Echo pojął, że był to błąd, dopiero gdy skręcił z ulicy Szpitalnej w sąsiednią aleję. Za rogiem stały dzikie kundły, które Echo pogonił kiedyś jako skóroperz. Wszystkie prócz tego, który uderzył wówczas w ścianę. Być może dał sobie spokój z polowaniem na małe zwierzęta.

- Spójrzcie, koledzy! - zaszczekał przywódca sfory. Był kruczoczarnym bulterierem, masywnym jak kowadło. - Nasz obiad przyniósł ze sobą odpowiednie wino - pozostałe trzy kundły zaszczekały z aprobatą.

Echo nie zwlekał ani sekundy. Zawrócił i z miejsca pognał w ulicę Szpitalną.

- Dalej, za nim! - rozkazał czarny. Psy popędziły za krotkiem.

Echu zdawało się, że bukłaka z winem w ogóle już nie ma. Był zdumiony swoją zwinnością i dobrą formą. Trening najwidoczniej popłacał. Nie musiał wyobrażać już sobie, że gonia go dzikie psy. Dzikie psy goniły go naprawdę.

Biegł długimi susami w dół stromej uliczki, po czym zatrzymał się na chwilę. Echo zaczerpnął głęboko powietrza i trzema skokami, poprzez krawężnik, kosz na śmieci i niski murek, zanurzył się w zdziczałym ogrodzie. Psy zmuszone były zatrzymać się przed murem, kręciły się w kółko, poszczekując i złorzecząc. Po chwili wpadły na pomysł, żeby poszukać innego wejścia.

Echo rozejrzał się. Był to ogród szpitalny, w wysokiej trawie stały kosze na śmieci pełne krwawych opatrunków, wkoło kuśtykali o kulach nieliczni chorzy. Zauważył tylne wejście do szpitala! Ale było zamknięte. Jestem w pułapce - pomyślał.

Kundły znalazły drogę do ogrodu i przedzierały się z hałasem przez zarośla. Wpadły w kolczastą gęstwinę, co podwoiło ich wściekłość. Echo słyszał trzask i głosy. Obejrzał się w

stronę wejścia. Dwóch pielęgniarzy wynosiło właśnie chorego na noszach, drzwi były otwarte na oścież. To była jedyna okazja!

Echo paroma długimi susami wyskoczył z trawy na żwirową dróżkę i skulony przebiegł pod noszami, pomiędzy nogami pielęgniarzy, wprost do szpitala. Zapach, który go uderzył, kiedyś jako skóroperzowi wydawał mu się bardzo miły. Teraz niemal zmusił go do zawrócenia z drogi i rzucenia się psom na pożarcie. Krew, eter, jod, salmiak, ropa. Obrzydliwość! Z sal chorych dochodziły krzyki i jęki. Echo pobiegł jednak dalej, w głąb szpitala, między ludźmi poruszającymi się o kulach.

Psy gnały za nim. Wytrąciły pielęgniarzom z rąk nosze i wpadły hałaśliwe na korytarz niczym banda pijaków. Pacjenci rzucali się w panice na boki, jedna z siostr krzyczała, wzywając pomocy.

Echo pognął schodami wiedziony zapachem krwi. Psy pędziły za nim. Przewróciły jednego z chorych, który kuśtykał o lasce. Echo zatrzymał się przed drzwiami, z których wyszła siostra. Śmignął pomiędzy jej nogami wprost do dużego pomieszczenia.

Była to, jak słusznie przypuszczał, sala operacyjna. Zatrzymał się. Przy stole operacyjnym stali lekarze i pielęgniarki. Nim ktokolwiek zdołał go zobaczyć, wybuchł potężny tumult.

Psy przewróciły siostrę w drzwiach i wdarły się do największej świętości szpitala. Czy nie zauważyły szyldu nad wejściem, że wstęp jest im surowo wzbroniony? Może nie potrafią czytać? Echo wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Psy nagle się uspokoiły. Zobaczyły naprzeciw kilku lekarzy z krwawymi nożami, skalpelami i kleszczami. Nim pojęły rozmiar swego błędu, przez drzwi prowadzące do sali weszli pielęgniarze z miotłami i pałkami. Jeden miał nawet siekiere.

Echo skorzystał z zamieszania, by zniknąć w najbliższych drzwiach pomiędzy nogami szturmujących. Usłyszał jeszcze skowyczące z bólu psy, po czym podreptał schodami w dół, prowadzącymi do otwartego szeroko wyjścia.

Echo wyszedł na ulicę. Upewnił się, że bukłak z wywarem miłosnym jest nienaruszony. On sam również.

Czerwone wino

Eisspin przebywał w laboratorium i wertował kilka starych foliałów jednocześnie. Biegał podniecony pomiędzy rozłożonymi na stołach książkami, mrucząc pod nosem liczby i

formułki alchemiczne. Krotek ukryty obserwował go zza drzwi. Przerożnik nie pił akurat wina, pora byłaby zresztą na to niezwykła.

Echo pobiegł do odległego pomieszczenia, które Eisspin rzadko odwiedzał, i położył się na starym dywanie. Musiał być cierpliwy i upatrzeć sobie lepszy moment. Pogoń go wykończyła. Zamknął oczy. Parę minut później już spał.

Śniło mu się, że jest domem przerożnika i wprowadziły się do niego wszystkie przerożnice z Camonii. Obchodziły dziwaczne święto i tańczyły w korytarzach, które były jego wnętrznościami. Zaczęły zdierać z siebie szaty, a ich roztańczone stopy łaskotały jego kiszki i żołądek, aż obudził go własny śmiech.

Słońce już nisko. Przespałem pół dnia pełnego okazji, by podać przerożnikowi napój! - przestraszył się.

Pobiegł spiesznie w stronę laboratorium i zajął do środka. Przerożnika nie było. Śmierdziało potwornie siarką i fosforem. Ale tam, obok otwartej książki, stał wypełniony do połowy kieliszek czerwonego wina.

Co zrobić? Było już późno. Być może była to ostatnia okazja dzisiejszego dnia. Być może jednak wino Eisspinowi nie smakowało i już więcej go nie ruszy. Gdzie w ogóle podziwiera się ten staruch? I kiedy wróci? Za godzinę? Za minutę? - przez głowę Echa przelatywały setki pytań: Co zrobiłaby na jego miejscu przerożnica? Ale kogo to teraz interesowało? Sam muszę podjąć decyzję. Dlaczego Izanuela nie uwarzyła napoju w ilości wystarczającej na więcej prób? Teraz albo nigdy!

Echo wskoczył na stół i niezdecydowany krążył wokół kieliszka. Czy wino wyglądało na zwiędzale? Właściwie nie. Podszedł bliżej i powąchał. Hm, niezły rocznik. A może nie? Nie posiadał Eisspinowskiej umiejętności rozróżniania gatunków i smaków i doświadczenia ze szlachetnym trunkiem. Być może była to ostatnia lura. Albo najlepsza odmiana. Tego Echo nie wiedział.

Krotek usiadł, a przednią łapkę bez problemu oparł na krawędzi kieliszka. Wystarczająco długo ćwiczył tę akrobatyczną sztuczkę. No, teraz zatyczka od bukłaka... bardzo ostrożnie zębkiem... plop! Udało się!

Zupełnie nieoczekiwanie uderzyła go potężna moc wywaru miłosnego. Całkowicie o tym zapomniał! Poczul się dziwnie. Miałby zmarnować tak cenny trunek na to stare straszdyło? To w ogóle nie wchodzi w rachubę, należy tylko do niego!

Echu zakręciło się w głowie, zachwiał się, kieliszek się zakołysał, wino z chlupotem przelewało się to na jedną, to na drugą stronę. Niewiele brakowało, a przewróciłby się z kieliszkiem i otwartym bukłakiem. Echo puścił kieliszek i wylądował na łapkach, a na obrus

trysnęła odrobina bezcennego wywaru.

Nieźle się zaczyna! - pomyślał. - O mało nie zawałem wszystkiego. Weź się w garść! Napój jest dla Eisspina i nikogo więcej.

Nagle rozległ się stukot butów przeraźnika! Był już na schodach. Jeszcze raz! Szybko! Siąść na tylnych łapkach, unieść się, łapka na brzegu kieliszka, druga na bukłaku. A teraz wycisnąć! Przezroczysta ciecz sływa już cienkim łukiem do wina.

Ale chyba nie wszystko, prawda? - pomyślał Echo. - Na jeden łyżeczek chyba mogę sobie pozwolić. Tylko jedną kropelkę.

Wystawił język, wyciągnął głowę do przodu - i wszystko znów zaczęło się chwiać. Sam Echo. Kieliszek. Cały piękny plan. Odepchnął się, bryznęła mała resztką wywaru miłosnego. Kieliszek obracał się z brzękiem wkoło, wino przelewało się niemal za krawędź, a potem naczynie przetoczyło się do pierwotnej pozycji.

Echo nasłuchiwał z bijących sercem. Mistrz był tuż przed drzwiami. Misja wypełniona. Zmarnowała się tylko odrobina wywaru miłosnego. Nie pozostawił śladów. Jednak na ucieczkę było już za późno. Nie mógł też pokazać się z bukłakiem. Pozostawało jedynie ukryć się w laboratorium. Echo zeskoczył ze stołu i pobiegł w stronę regału, z którego, jak wiedział, Eisspin rzadko bierze książki. Prześliznął się przez szparę pomiędzy dwoma grubymi księgami i położył się za nimi na podłodze. Potem ostrożnie zaczął podglądać przez książki. Do pomieszczenia wszedł przeraźnik - w ręce niósł butelkę w winem.

Cholera! - pomyślał Echo. - Wino mu nie smakowało. Wiedziałem! Przyniósł sobie inne.

Mistrz podszedł do kieliszka z winem. Uniósł go, spojrzął na nie pod światło bolejących świec. Powąchał.

Nie wyczuje chyba wywaru miłosnego tym swoim wrażliwym kinolem? - myślał Echo. - Proszę, tylko nie to!

Mina Eisspina nie zdradzała żadnych reakcji. Odstawił kieliszek z powrotem. Uniósł butelkę. Przeczytał etykietę. Postawił butelkę obok kieliszka. I poszedł prościutko do regału, w którym ukrył się krotek.

Zauważył mnie! - myślał Echo. Z trudem udało mu się stłumić pragnienie ucieczki.

Eisspin pochylił się. Sięgnął po grubą książkę, która stała dokładnie przed krotkiem. Wyciągnął ją. Gdyby pochylił się nieco niżej, spojrzeliby sobie w oczy. Lecz Eisspin odwrócił się i zagłębił w starym leksykonie.

Przez kolejne godziny przeraźnik nie przymierzał się ani do wypicia wina, ani do

opuszczenia laboratorium. Dokonał termometrem paru pomiarów bulgoczącej zupy, oglądał preparaty pod mikroskopem i spacerował w tę i z powrotem, klepiąc liczby. Robił notatki. Pił wszystko, co możliwe: herbatę, wodę, kawę i swoją obrzydliwą czarną breję, lecz nie wino.

Im dłużej Echo trwał w swojej kryjówce, tym większa wzbierała w nim wściekłość na przeraźnika. - Wypij wreszcie to przekłete wino, ty stary upiorze! - wykrzyczałby najchętniej. - Robisz to jedynie po to, żeby mnie dręczyć. Doskonale wiesz, że tutaj jestem.

Jednak opanował się, nawet jeśli przyszło mu to z trudem. Zniósł obrzydliwy smród wygotowywanych kul tłuszczu. Przettrzymał ostatnie tchnienia. Niewygodne położenie. Strach i niepewność. Przez godzinę. Dwie godziny. Trzy. Teraz był zmuszony walczyć jeszcze ze zmęczeniem. Duszne powietrze i unieruchomienie ciała sprawiły, że zrobił się senny.

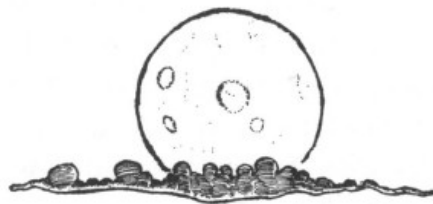
Byle tylko nie zasnąć! - myślał Echo. Nikt nie chrapał głośniej niż krotek.

Eisspin podszedł znów do kieliszka z winem. Ponownie go uniósł. Przysunął do ust. I nagle go natchnęło! Odstawił z powrotem kieliszek i pośpieszył do tablicy. Gorączkowo pokrywał ją formułami. Zmazywał je. Dopisywał nowe. Cofnął się i długo się im przyglądał. Zwariować można! Echo skręcał się w swej kryjówce.

Po chwili Eisspin podszedł szybkimi krokami do kieliszka. Podniósł go. Przystawił do ust. I wypił jednym haustem!

Echo zerwał się z przejęcia i trzasnął głową o półkę nad sobą. Przewróciła się jedna z książek. Eisspin nadstawił uszu. Po jego minie nie było widać żadnej reakcji na miłosny wywar. Odstawił kieliszek. Wziął jedną z kul tłuszczu i wrzucił ją do kotła. Chwycił koszyk i wybiegł do spiżarni po zaopatrzenie.

A Echo, stękając, wygrzebał się ze swej kryjówki.



Suknia ślubna

Echo niósł pusty bukłak poprzez najbardziej ruchliwe ulice Sledwai, aby nie natknąć się raz jeszcze na jakieś uliczne kundle. Paru przechodniów spojrzało na niego bezmyślnie, lecz większość była zajęta sobą, swymi bolączkami i podagrą, bólami brzucha i zgagą, kaszlem i katarem. Echo zauważył ponownie, że prawie wcale nie brakowało mu tego chorego świata.

Kiedy wszedł do domu przeraźnicy, po raz kolejny znalazł otwarte drzwi do piwnicy. W powietrzu unosiła się dziwna muzyka, lecz tym razem rozbrzmiewał w niej uroczysty, podniosły motyw.

- Zejdź na dół! - zawołała Izanuela. - Zejdź na dół i ucałuj pannę młodą!

- Ale bez jęczyczka! - odpowiedział Echo, schodząc po schodach. - Dobra wiadomość!

Misja wypełniona! Podanie wywaru miłosnego Eisspinowi zwieńczone sukcesem.

- Nie oczekiwałam niczego innego - powiedziała przeraźnica - lecz ja również nie próżnowałam.

Pod sufitem piwnicznego ogrodu rozpięty był długi sznur, na którym niczym kurtyna wisiał wielki czerwony materiał. Izanuela była ukryta za nim. - Jeszcze chwileczkę! - zaszczebotała. - Zaraz będę gotowa.

- Z czym? - zapytał zdziwiony Echo. Co znowu wykombinowała ta szalona przeraźnica? - zastanawiał się.

- **Veitsmutzki!** - zawołała i muzyka Dębu Przerażnic przybrała dramatycznie na sile.

Kurtyna odsunęła się na bok, a Izanuela wyszła naprzód.

- Tadaa! - krzyknęła.

Przerażnica zamiast niepozornej sukni miała teraz na sobie szatę, jakiej Echo jeszcze nigdy nie widział. Całą utkaną z kwiatów i innych roślin. Z pączków czerwonych i czarnych róż, żółtych i białych tulipanów, margerytek i maków polnych, biało-różowych marmurkowatych goździków, płomiennie czerwonych orchidei, białych fiołków i fioletowych hiacyntów. Stokrotek i kwiatów mirabelki. Przebiśniegów i lilii. Astrów i biskupiego serca. Lawendy i kwiatów lotosu. Belladonny i świetlików. W ornamentykę wpleciono również zioła i trawy, listki i łodygi: marzanki wonne i miłki, koniczynę i rzeżuchę, melisę i mirt, konietlicę łąkową i srebrne trawy. Izanuela założyła do tego kapelusz ocieniający twarz, który upleciony był z białych lilii wodnych. Wokół niej unosiły się motyle, przysiadając to tu, to tam, by podjeść z jakiegoś kwiatka. Wyglądało to, jakby w kierunku Echa zmierzała żywa łąka. Pachniała jak wiosna.

- Co sądzisz? - spytała kokieteryjnie przeraźnica i wykonała piruet, od którego zaszumiały listki. - Czy odpowiednia na tę okazję? Najpierw chciałam wykonać suknię ślubną z czerwonej kapusty*, ale ona zbyt mocno pachnie.

Echo nie mógł oderwać od niej oczu. W sukni tkwiła wciąż ta sama stara przeraźnica, ale teraz sprawiała wrażenie odmienionej. Pachniała ładniej. Kroczyła majestatycznie. Promieniała wewnętrznym pięknem. Przepychniętych kwiatów przyćmił wszystkie jej niedoskonałości.

- Powalające - powiedział Echo.

- Dziękuję. A nawet nie użyłam jeszcze perfum.

- Zdobędziesz Eisspina szturmem.

- Jak zareagował na wywar miłosny? - zapytała Izanuela, poprawiając sukienkę.

- Trudno powiedzieć. Właściwie w ogóle. Nie miałem okazji, żeby go obserwować.

Wypił to i zaraz sobie poszedł.

- Wywar potrzebuje czasu, żeby ukazać całą swą skuteczność. Za jakąś godzinę będzie po wszystkim.

Przeraźnica zabrała się za uwalnianie Echa od bukłaka z winem. - Ciężko było? - zapytała, rozplątując rzemienie.

- Wieczność to trwało, zanim się napił - odpowiedział Echo. - Ale potem wszystko jednym łyżkiem. Hop i siup.

- To dobrze. Jestem taka zdenerwowana.

- Do tej pory wszystko szło cacy - powiedział Echo. Wypiął się i rozciągnął, szczęśliwy, że pozbył się uciążliwego bukłaka. - Ale musimy być gotowi na wszystko. Co zrobimy, jeśli napój nie zadziała?

- Też już o tym myślałam - powiedziała przeraźnica. - Jeśli Eisspin nie zareaguje na moje pojawienie się tak, jak się tego spodziewamy, wtedy powiem po prostu, że przyszłam złożyć mu wizytę. Z okazji, ee..., Księżyca Przeraźnic. Stary zapomniany przeraźnicowy zwyczaj, który pragnę wskrzesić. Stąd też ta odświętna suknia. Albo coś w ten deseń. Za to nie usmaży mnie chyba na Grillu na Przeraźnicy, co?

- Ty byś się wykaraskała - powiedział Echo. - A co będzie ze mną?

Zapadło długie milczenie.

Wreszcie Izanuela machnęła rękami i zawołała:

- Precz z mrocznymi myślami! Jakoś to będzie! Muszę się jeszcze wypindrzyć. I

* Nieprzekładalne nawiązanie do niemieckiego łamańca językowego Blaukraut bleibt Blaukraut und Brautkleid bleibt Brautkleid. Przyp. Katarzyna Bena.

skropić perfumami.

Zniknęła za zasłoną, nucąc i brzęcząc niczym ul, podczas gdy Echo cierpliwie czekał. Kiedy wyszła ponownie, wyglądała jeszcze atrakcyjniej. Jej usta lśniły ciemną czerwieńią, wszystkie brodawki zniknęły pod makijażem. Miała długie jedwabiste rzęsy, których Echo jeszcze u niej nigdy nie widział. Jej policzki pokrywał zdrowy rumieniec.

- No! - zawołała. - A teraz kropka nad i! Wisienka na deserze!

Wzięła parę kropli z flakonika z perfumami z krocimiętki i rozprowadziła je na dekolcie. Potem uśmiechnęła się do Echa w oczekiwaniu na jego reakcję.

Krotka przeszła fala bezgranicznej sympatii. Zaczął ocierać się o stopy Izanueli, tak jak ocierał się zawsze na dachu o krocimiętkę, mruczał i miauczał równie uszczęśliwiony.

- W takim razie ruszajmy na zamek! - zawołała przeraźnica. - Do Eisspina, by go zdobyć!

Nadzwyczajna i dziwna para, którą tworzyli, wzbudziła pewną sensację na ulicach Sledwai. Kiedy wspinali się ulicą Apteczną, szpaler gapiących się przechodniów stawał się coraz gęstszy. Przeraźnica uniosła wysoko głowę i wcale nie przyśpieszyła kroku. W przeciwieństwie do Echa zdawała się rozkoszować tą sytuacją.

- Nie zwracaj na nich uwagi, mały! - powiedziała. - To same kołtuny.

Nikt nie odważył się podążyć za nimi ścieżką do zamku.

- I na dodatek są tchórzliwi - sapnęła pogardliwie Izanuela. Chwyciła się za pierś. - Do licha, serce mam w gardle.

Zatrzymali się dopiero przed wejściem do zamku. Przeraźnica spojrzała na budowlę, która z bliska wyglądała jeszcze starzej niż z oddali.

- Gdzie, twoim zdaniem, znajduje się teraz Eisspin? - zapytała.

- Myślę, że w laboratorium - odpowiedział Echo.

- Przeraźnica poczuła, że w gardle całkiem jej zaschło. Wychrypiała więc z trudem: - W takim razie miejmy to już za sobą.

Mistrz i przeraźnica

Duma i pewność siebie, jakimi emanowała Izanuela na ulicach Sledwai, uleciały w atmosferze panującej na zamku. Z drżeniem pokonywała kolejne stopnie. Patrzyła ze strachem na wypchane mumie, jak mała dziewczynka podczas pierwszej przejażdżki tunelem strachów. Po twarzy spływały jej strumienie potu, splukując cały makijaż w dekolt.

Na środku schodów zatrzymała się nagle.

- Nie dam rady - biadoliła. - Nie poradzę sobie.

- No chodź - zachęcał ją Echo. - Dotarliśmy już tak daleko!

- Boję się.

Echo zaczął się gorączkowo zastanawiać. W jaki sposób mógłby ją uspokoić?

- W którym miejscu skali umieściłabyś swój strach? - zapytał po chwili. - Skali od jeden do dziesięciu

- Na stu. Nie, na tysiącu. Nie, na milionie. Nie, na stu milionach - przeraźnica oddychała ciężko.

Echo pomyślał, że tym razem daleko na tym nie zajędzie.

- No chodź! - powiedział - Dajmy radę. Wyglądasz powalająco.

- Tak - powiedziała. - Przecież rozumiem, że musisz w to wierzyć. To twoja jedyna szansa. Ale ja nie muszę tego robić. Muszę jedynie zawrócić i wszystko będzie znów jak wcześniej.

- Ale masz przecież plan, na wypadek gdyby miało się nie udać. Opowiesz mu wtedy coś o starym przeraźnicowym zwyczaju i po prostu się ulotnisz.

- Zupełnie nie o to chodzi. Myślisz, że boję się Eisspina? Albo tych makabrycznych postaci? Phi! - przeraźnica machnęła ręką.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Spojrzała na niego przeciągle. W jej spojrzeniu widać było prawdziwe zwątpienie. W oczach pojawiły się łzy.

- Boję się samej siebie - powiedziała drżącym głosem.

- Mówisz zagadkami. Nie mogłaś wybrać na to lepszej chwili?

Echo był zmieszany. Doprowadzała go do wściekłości, lecz równocześnie było mu jej żal.

- Dopiero sobie to uświadomiłam. Jak z tym lękiem wysokości na dachu. Nie rozumiesz? To nie tylko ostatnia szansa dla ciebie. To również moja ostatnia szansa.

- Nie rozumiem.

- Wiesz, ile mam lat? - zapytała przeraźnica. - Nie, na szczęście tego nie wiesz. A ja nie zamierzam ci też tego powiedzieć. Nie powiem ci również, ile szans na miłość sknociłam w moim życiu. Lecz jedno jest pewne: ta jest ostatnia.

Otarła łzy.

- Tym razem wykorzystałam wszystko: wywar miłosny. Perfumy. Tę sukienkę. Jeśli teraz nie uda mi się zdobyć jakiegoś serca, nigdy więcej nie odważę się, by ponownie

spróbować.

Echo zaczął powoli pojmować.

- Jeśli teraz zawrócę - wyszeptała Izanuela - zawsze będę mogła sobie jeszcze powiedzieć: być może by mi się udało. To przecież lepsze niż gorzka pewność, prawda?

- Trudno mi to ocenić - powiedział Echo. - Brak mi życiowych doświadczeń. Nie przegapiłem jeszcze żadnej szansy na miłość. Bo żadna mi się nie nadarzyła.

Zapadło długie, smutne milczenie.

- W takim razie daj mi perfumy! - powiedział Echo. - Wylej je po prostu na moje futro i zmywaj się stąd! Ja zaryzykuję.

- Wiesz, że to nie zadziała. Wtedy to dopiero będzie chciał cię przy sobie zatrzymać. A kiedy ulotni się działanie perfum, wiesz, co będzie? Ciach - przesunęła swymi długimi paznokciami po gardle.

Znów zapadła niezręczna cisza.

- No dobrze! - westchnęła wreszcie przeraźnica, a jej masywną postacią wstrząsnął dreszcz, który wprowadził wszystkie listki w drżenie. - Zrobię to! Ale niech ci się nie zdaje, że ruszę jeszcze kiedykolwiek dla ciebie palcem, jeśli to się nie powiedzie - zaczęła wspinać się schodami w górę, a Echo podążał za nią.

Kiedy dotarli do laboratorium, krotek zajrzał ostrożnie do środka. Kociołek z tłuszczem bulgotał, lecz Eisspina nie było. Przeraźnica zerknęła zza rogu.

- Och, nie ma go! - zawołała z ulgą. - Co za pech. Chodź, idziemy.

- Nic z tego, zaczekamy! Na pewno jest w spiżarni tłuszczu, poszedł po zaopatrzenie. Zaraz wróci.

Echo wbiegł do laboratorium, a przeraźnica szła za nim z ociąganiem.

- Jak myślisz, gdzie powinnam stanąć? - zapytała. - Gdzie sprawię najlepsze wrażenie?

- Stań koło okna! Nie śmierdzi tam tak mocno, a perfumy łatwiej się rozproszą.

Podeszła do okna i zaczęła się szykować na spotkanie z Eisspinem. Starła pot i nałożyła jeszcze nieco różu. Potem wyciągnęła flakonik i zrosiła się hojnie perfumami z krocimiętki.

- Pewności nigdy za wiele - zaśmiała się nerwowo.

- Mało oszczędnie się z tym obchodzisz - powiedział Echo. - Co właściwie zrobisz, kiedy perfumy się skończą?

- Na jakiś czas wystarczy. Niebawem uda mi się, mam nadzieję, zdobyć nową krocimiętkę. Poinstruowałam już moje siostry, żeby miały oczy otwarte.

Echo nadstawił uszu.

- Słyszę, że nadchodzi. Jest na schodach.

Przeraźnica wygładziła sukienkę.

- Powiedz - zapytała - kiedy właściwie mam go poprosić o to, żeby cię wypuścił?

- Jeszcze nie wiem - powiedział Echo. - Chcę najpierw odczekać i zobaczyć, co zrobi.

Nie będziemy przecież walić prosto z mostu. Musimy być absolutnie pewni, że owiniesz go sobie wokół palca.

Stukot kroków Eisspina rozbrzmiewał w korytarzu.

- Oto ona! - wyszeptał Echo. - Chwila prawdy.

Przeraźnik ukazał się w drzwiach. I zamarł.

- Aaaach, dobry wieczór, panie przeraźniku - zaczęła paplać Izanuela. - Proszę wybaczyć, że wdarłam się tu bez zaproszenia, lecz to stary zwyczaj. Ech, to znaczy, nie żeby stary zwyczaj polegał na wdzieraniu się tutaj bez zaproszenia, tylko, ech, księżyc przeraźnic. Nie, na odwrót, jestem tu po to, żeby ożywić stary księżyc przeraźnic, to znaczy, stary zwyczaj przeraźnic, ech, ożywić, który polega na złożeniu wizyty przeraźnikowi podczas księżyc przeraźnic, i to w sukience z kwiatów, tak, bo właśnie na tym polega ten zwyczaj.

Przez chwilę wyglądało na to, że Izanuela zemdleje. Przeraźnik stał sztywno i mierzył ją wzrokiem niczym wąż króliczka. Echa nie zaszczycił ani jednym spojrzeniem. Jak po sznurku szedł przez laboratorium, zbliżał się małymi kroczkami do Izanueli, która stała chwiejnie przy oknie. Tych parę chwil zdawało się trwać dla Echa dłużej niż godziny, które spędził pod regałem. Eisspin zatrzymał się tuż przed przeraźnicą i spojrzał na nią uważnie z miną, której Echo nie był w stanie określić. Padł na kolana, pochylił głowę i szepnął:

- Czy wyjdiesz za mnie?

- Tak - wyszeptała Izanuela. Po czym zemdląca i osunęła się w rozłożone ramiona przeraźnika.

Uczta weselna i ostatnia wieczerza

- Czyż nie powiada się, że dobrego kucharza poznaje się dopiero po deserze? - zapytał przeraźnik. - A czy podczas posiłku nie czeka się właściwie przez cały czas jedynie na deser?

Echo i Izanuela skinęli gorliwie głowami, jak przytakiwali właściwie wszystkiemu, co w ostatnim czasie wypowiedział Eisspin. Kiedy przeraźnica wróciła do zmysłów, przeraźnik wśród pochlebstw i komplementów poprowadził tych dwoje do zamkowej kuchni, nakrył do stołu i zabrał się za rozpalanie w piecu.

- Dlatego dla uczczenia dzisiejszego dnia chciałbym stworzyć menu, składające się wyłącznie z deserów. Symfonię samych punktów kulminacyjnych. Jeden słodki grzech za drugim, to co najlepsze na początku, w środku i na zakończenie. Czy zgadzacie się na to, ty mój kwiecie, i ty Echo, mój honorowy gościu?

Izabela siedziała sztywno u szczytu stołu, Echo przysiadł na blacie na swym stałym miejscu. Oboje obserwowali z zafascynowaniem wysiłki przeraźnika, który zdawał się odmieniony.

Eisspin z najwyższą naturalnością zachowywał się niczym małżonek, który choć od lat żonaty, jest wciąż zakochany po uszy w swej żonie tak jak pierwszego dnia. Nie przepuścił żadnej okazji, by komplementować przeraźnicę lub posyłać jej płomienne spojrzenia.

- Myślałem, że jesz tylko ser - Echo syknął w stronę Izabeli, kiedy przerażnik wybiegł z kuchni, by przynieść produkty ze spiżarni.

- Dla niego zjadłabym ten talerz razem ze sztućcami - wyszeptała przeraźnica. - I w dodatku obrus. Tylko mnie teraz nie denerwuj!

- To, że jest w tobie zabujany, to żaden powód, by rezygnować ze swych zasad. Nie popuszczaj za mocno cugli! To on powinien jeść *tobie* z ręki, a nie na odwrót.

- Czyż to nie wspaniałe? - zapytała przeraźnica i klasnęła w ręce. - Wywar działa lepiej, niż przypuszczałam.

- Pamiętaj, proszę, że mamy pewien cel - przypomniał Echo - i że nie został on jeszcze osiągnięty.

Eisspin wrócił obładowany koszami pełnymi mąki, cukru, masła, jaj, strąkami wanilii, czekoladą i owocami.

- Chcę przyrządzić wszystko świeże, moja najdroższa, dlatego proszę o nieco cierpliwości - zawołał. - Pozwólcie, że skrócę wam czas słodką opowieścią, podczas gdy ja będę tyrał przy piecu jako niewolnik! Traktuje ona o najlepszym cukierniku Camonii.

Izabela i Echo ponownie skinęli gorliwie głowami.

Słodka opowieść o cukierniku - myślał Echo. - Starucha kompletnie pokręciło. - Zawsze opowiadał tylko historie o krwiopijcach, szalonych seryjnych mordercach i Śnieżnobiałych Wdowach.

Przerażnik ubijał białko w wielkiej misie.

- Dobrze, najpierw należy jednak wiedzieć, że ten cukiernik był dość kwaśnym gościem. Gardził wszystkimi gatunkami słodczy, nienawidził ciast i puddingów, nie cierpiał parfetów i placuszków, desery budziły w nim odrazę, a słodka śmietana była dla niego czymś przerażającym. Kochał kiszone ogórki i rolmopsy, śmierdzący ser i solone śledzie, rybią ikrę i

kiszoną kapustę z Kwaśnego Lasu, marynowaną w kwaśnej śmietanie.

Opowieść zaczyna się bądź co bądź od kwaśnej nuty - pomyślał Echo. - To już bardziej do niego pasuje.

- Ale najchętniej to niczego nie jadł - kontynuował Eisspin. - Był długi i wychudzony jak przecinek.

Ten opis brzmi dość znajomo - pomyślał Echo.

- Opowieść rozgrywa się zresztą, o czym zapomniałem wspomnieć, w Żelaznym Mieście - powiedział Eisspin, krojąc morelę w plasterki tak cienkie, że można było czytać przez nie książkę.

- W Żelaznym Mieście? - zapytał zdumiony Echo.

- Tak - powiedział Eisspin. - Coś nie pasuje z Żelaznym Miastem?

- Co niby z nim nie tak? - wtrąciła się przeraźnica.

- Nic, zupełnie - zawołał śpiesznie Echo. - Opowiadaj dalej!

- Cóż, Żelazne Miasto jest, jak wiadomo, najbrzydszą i najbrudniejszą, najniebezpieczniejszą i najbardziej zniechęconą metropolią w całej Camonii. Miasto składa się całkowicie z metalu, z pordzewiałego żelaza i ciężkiego ołowiu, pokrytej nalotem miedzi i mosiądzu, ze śrub i nakrętek, maszyn i fabryk.

Dziwne - pomyślał Echo. - To dokładnie te słowa, których użyłem kiedyś do opisu Żelaznego Miasta.

Na żeliwnej patelni przeraźnik dusił zielone pomidory razem z rodzynkami, łupinkami pomarańczy, brązowym cukrem i octem z sherry.

- Tak, powiada się, że całe miasto jest jedną olbrzymią maszyną - kontynuował - która bardzo, bardzo powoli porusza się w stronę nieznanego jeszcze celu. Ma tam swoją siedzibę większość metalowego przemysłu przetwórczego i nawet tworzone przez nich produkty są paskudne: broń i drut kolczasty, garoty i Miedziane Dziewice, klatki i kajdany, zbroje i miecze katowskie. Ci, którzy tam mieszkają, gnieźdzą się przeważnie w blaszanych chałupach, trawionych przez padające niemal nieustannie kwaśne deszcze, poczerniałych od pyłu węglowego. Ci zaś których na to stać, ołowiani i złoci baronowie, handlarze bronią i fabrykanci armat, mieszkają w stalowych twierdzach, w ciągłym strachu przed swymi przymierającymi głodem i niezadowolonymi podwładnymi oraz robotnikami. Żelazne Miasto - miasto poprzecinane potokami kwasu i oleju. Wiecznie zadaszone kopułą złożoną z sadzy i chmur burzowych, przesywanych nieustannie błyskawicami i dudniących grzmotami. Jego pełne sadzy powietrze wypełnia tłuczenie i syczenie, skrzypienie pordzewiałych zawiasów i brzęk łańcuchów. Wielu jego mieszkańców jest samych maszynami. Podłe miasto. Być może

najpodlejsze w całej Camonii.

To moje słowa, co do sylaby - myślał zdziwiony Echo. To zdumiewające, jak dobrze je zapamiętał. Do czego on zmierza?

- Któregoś dnia nasz kwaśny gość spotyka pośrodku tego brzydkiego miasta najpiękniejszą dziewczynę, jaką kiedykolwiek widział.

- Och, historia miłosna! - zawołała Izanuela i klasnęła w ręce.

To również wydaje mi się znajome - pomyślał Echo, lecz nic mówił.

- Wyobraźcie sobie po prostu najpiękniejszą dziewczynę, jaką jesteście sobie w stanie wyobrazić - polecił przerażnik. - Była bowiem tak piękna, że w obliczu mych miernych zdolności narracyjnych, najmniejszego sensu nie miałyby nawet próba uchwycenia słowami jej piękności. Ja w każdym razie zupełnie bym temu nie sprostął, dlatego pomnę milczeniem, czy była blondynką, brunetką, czy miała rude włosy.

Opowiada inną historię moimi słowami - rozmyślał Echo. - Co to ma znaczyć?

- Czy były kręcone, długie, krótkie, kędzierzawe czy jedwabiste gładkie - kontynuował Eisspin. - Powstrzymam się również od pospolitych porównań jej skóry z mlekiem, aksamitem, jedwabiem, brzoskwinia, miodem czy kością słoniową. Zamiast tego zdam się całkowicie na waszą wyobraźnię, byście w tym pustym miejscu umieścili obraz swego ideału kobiecego piękna.

Patrząc na zamglone spojrzenie Izanueli i jej idiotyczny uśmiech, Echo uznał, że w miejsce pięknej dziewczyny wstawiła swe własne lustrzane odbicie.

Moja opowieść musiała wywrzeć na nim o wiele większe wrażenie, niż przypuszczałem - zastanawiał się - skoro wryła mu się w pamięć do tego stopnia.

Eisspin zaserwował właśnie z gracją pierwsze danie. Była to sałatka na ciepło, składająca się z cieniuteńkich plasterków moreli z konfiturą z zielonych pomidorów, ukoronowana brzemienym w wanilię białkiem o godnej uwagi stabilności. Rzucił Izanueli tak płomienne spojrzenie, że mogłoby ono stopić Zimne Kawerny w Podświecie, po czym powrócił do opowieści.

- Wiadomo było, że ta piękność jest nie tylko najpiękniejszą istotą w Żelaznym Mieście, lecz również że szaleje wręcz za słodkościami. Kochała cukierki i pralinki, czekoladę i marcepany, nugat i turecki miód. Była łasa na torciki i słodką śmietankę, omlet cesarski z rodzynkami i tartę cytrynową.

Skwaszony młody człowiek przeklinał swój los: Pracuję w fabryce octu, gdzie zbieram śmietanę z kadzi z ogórkami. Jak ktoś taki jak ja mógłby zdobyć serce tak słodkiej dziewczyny?

No wreszcie - pomyślał z ulgą Echo. - Teraz mu się udało. Używa wreszcie własnych słów.

Przeraźnik obierał gruszkę, a przed nim w garnku dusiły się w śmietanie cukrowane kasztany.

- Ta konfitura z pomidorów to poezja - szczebiotała przeraźnica. - A waniliowa pianka, można ją wręcz gryźć! Jak się to robi?

- Dziękuję, mój kwiecie - odpowiedział z uśmiechem Eisspin. - Trzeba jedynie naprawdę mocno ubijać. Ale to ledwie przekąska, by rozluźnić twój uroczy język. Spieszę już z kolejnymi pysznościami.

Ściągnął z ognia kasztany i zaczął rozgniatać je widelcem.

- Kiedy pogrążony w mrocznych myślach młody człowiek włóczył się w kwaśnym deszczu po Żelaznym Mieście - kontynuował swą opowieść - dotarł do cukierni. Wśród monotonnej rdzy i szarej blachy Żelaznego Miasta był to rzadki widok: witryna zastawiona była śmietanowymi i owocowymi tortami w wesołych kolorach, ciastami czekoladowymi, cynamonowymi ślimaczkami, kandyzowanymi owocami, lukrowanymi torcikami i lakierowanymi placuszkami. Każdemu innemu wystawa tego sklepu wydałaby się oazą na pustyni, senną marą głodującego. Lecz na naszym młodym człowieku wywarła wrażenie wręcz przeciwne. Czuł wstręt do tego słodkiego przepychu.

Eisspin wrzucił na patelnię wiórki czekoladowe i roztopił je. Potem dodał nieco śmietany i likieru jajecznego, przyprawiając cynamonem.

- Chciał już ruszać dalej, gdy ów młody człowiek ujrzał w sklepie swoją ukochaną. Kupowała tam z błyszczącymi oczami wskazywała to jedną, to drugą rzecz na wystawie. Promieniała z radości na myśl o spożywaniu smakowitości, które właśnie nabywała, a nasz młody człowiek był absolutnie przekonany, że nigdy nie wyglądała tak pięknie, jak w tym momencie.

Eisspin zdjął z pieca biały sos. Pachniał kusząco.

- W młodym człowieku wezbrała dziwna złość i zauważył ze zdumieniem, że jest zazdrosny o kawałek ciasta. Zawistny o torcik. Wściekły na wafelka.

- Chcę umieć przyrządzać jej o wiele większe przysmaki niż te pospolite słodkości - postanowił. - Chcę zostać najlepszym ciastkarzem, najsłynniejszym cukiernikiem, największym mistrzem słodkiego uwodzenia w całej Camonii. Chcę przygotowywać najpyszniejsze desery i najbardziej wyrafinowane torty, jakie kiedykolwiek wymyślono. Chcę tworzyć pralinki, które łamią serca. Fondanty, o które się walczy. Bezy, za które się zabija. Deserową velouté, za który będzie mnie ubóstwiać.

Przeraźnik przerwał, bo wyciągnął coś z pieca i nakładał na talerze. Zapachniało pieczonymi gruszkami i marcepanem.

- Uważam, że robi to naprawdę świetnie - wyszeptała przeraźnica. - Wiedziałaś, że potrafi tak dobrze opowiadać?

- Tak - szepnął Echo.

- To człowiek o wielu talentach - sapnęła przeraźnica.

Eisspin podał następne danie. Był nim upieczony na złoto strudel z gruszek i marcepanu, pokryty kremem kasztanowym i pływający w ciepłym lustrze białej czekolady.

- Smacznego! - życzył z ukłonem Eisspin.

To nie wyrafinowane potrawy, jakie serwował, wywarły na Echu największe wrażenie - do tych przywykł wręcz do przesytu - lecz fakt, że Eisspin tak karygodnie zaniedbywał swą właściwą pracę w laboratorium, tak, najwyraźniej całkowicie o niej zapomniał. Jutro była pełnia, noc, do której tak długo się przygotowywał, a on piekł strudla, opowiadał bajeczki i gruchał z Izanielą.

- Ach, mniam... - rozplynęła się przeraźnica, gdy ugryzła pierwszy kęs. - To nie-wia-ry-god-ne! Smakuje jak... jak...

- Miłość? - dokończył z uwodzicielskim spojrzeniem Eisspin.

- Tak, miłość - podjął swą historię. - To miłość właśnie zmieniła całkowicie naszego młodego człowieka. Ta, która zmienia melancholię w radość, kwasek w słodycz, a z Żelaznego Miasta czyni Florynt. Pojął, że aby zdobyć serce tej dziewczyny, musi się stać zupełnie inną osobą. Opuścił Żelazne Miasto, bo tu mógł się nauczyć co najwyżej odlewania armat, lecz nie perfekcyjnego przyrządzenia crème caramel. Ruszył do Floryntu, gdzie za jego czasów kulinarna dekadencja była w największym rozkwicie. Can ogłosił cukiernictwo samodzielną sztuką, a dziewięciu jego ministrów było z zawodu cukiernikami. Jeśli chciało się coś osiągnąć w tej dziedzinie, Florynt był właściwym fundamentem, można powiedzieć jedynym prawdziwym biszkoptem pod tort.

Przeraźnica roześmiała się - nazbyt głośno jak na gust Echa - z mdłego żarciku Eisspina. Przeraźnik zabrał się do przygotowywania kolejnego dania. Wyciskał czerwone pomarańcze oraz limonki i posiekał garstkę migdałów.

- Najpierw wyrzekł się wszystkiego co kwaśne - opowiadał dalej - i bezwarunkowo oddał się słodyczy. Stał się członkiem melistów, tajnego stowarzyszenia, które ubóstwiała miód i wierzyło w bóstwo o imieniu Gnorkx i które miało ponoć mieszkać na Słońcu i żyć wiecznie, a podczas pełni księżyca zażywać kąpieli w miodzie.

Echo poczuł, jak dreszcz przebiegł mu po plecach na dźwięk imienia Gnorkx. Eisspin

obdarzył go konspiracyjnym spojrzeniem, doprowadzając pudding do wrzenia.

- Słodkiego rzemiosła uczył się od podstaw. Najpierw pracował w fabryce buraków cukrowych, potem w mleczarni, a ostatecznie w kakaowym młynie. Na florentryńskim wydziale kulinarnym zapisał się na takie kierunki, jak mieszanie, obtaczanie, dekorowanie, a prócz tego pobierał nauki w największej cukierni w mieście. Całymi dniami uczył się, a nocami zdobił torty. Przez trzy lata zgłębiał cukiernictwo zaawansowane u mistrza Gargantuela, naczelnego deserowego u cana Floryntu. Gargantuel rozpoznał nadzwyczajny talent młodego człowieka i wtajemniczył go w sekrety najwyższych sztuk cukierniczych.

Eisspin uprzątnął i podał od razu kolejne danie: chłodnik pomarańczowy z puddingiem piernikowym i masłem cytrynowym. Izanuela rzuciła się nań, jak gdyby nie jadła od wielu dni.

- Na uroczystość urodzinową cana Floryntu upiekł największego sękacza, jakiego kiedykolwiek widziano. Potem otworzył własną cukiernię, czym doprowadził do bankructwa pozostałych cukierników we Floryncie, ponieważ ludzie chcieli jeść wyłącznie jego ciastka. Can zaferował mu posadę ministra deserów. Lecz nasz młody człowiek ją odrzucił, uznał bowiem, że nadszedł czas, by powrócić do Żelaznego Miasta i zdobyć serce ukochanej tacy jego najwyśmienitszych kreacji. Kiedy wreszcie zobaczył ją ponownie, była pięć razy grubsza niż wcześniej, miała męża i troje dzieci. Nasz młody człowiek rzucił się do najbardziej trującej z rzek miasta i utonął w rtęci.

Echo i Izanuela popatrzyli na przeraźnika w zdumieniu.

- I to była ta opowieść? - zapytał Echo.

- No cóż - westchnął Eisspin. - Przecież wiecie, że wszystkie camońskie opowieści kończą się tragicznie. Nauki, jakie można z niej wyciągnąć są dwie. Po pierwsze: nie czekaj zbyt długo, by poślubić swą ukochaną! A po drugie: zbyt wiele słodyczy prowadzi do tycia.

- Tak, tak - powiedział Echo. - A każdy krok to chudszy bok. Głupia historia.

- A moim zdaniem ta opowieść była piękna - powiedziała przekornie przeraźnica. - Koniec był dość nieoczekiwany, ale doskonale pasował do deseru. To masło cytrynowe jest po prostu powalające! - zaczęła wylizywać talerz swym długim językiem.

- Och, daj mu spokój mój kwiecie - powiedział Eisspin. - Echo czuje przesyt moimi opowieściami i dobrze go rozumiem. Niedługo się od nich uwolni. Na zawsze.

Serce Echa ogarnęło lodowate zimno. Być może była to uczta weselna Izanueli, lecz również jego ostatnia wieczerza. Przez moment o tym zapomniał.

Również Izanuelę uderzyła nietaktowna uwaga Eisspina, widział to w jej spojrzeniu. Przestała wylizywać talerz i odłożyła go na bok.

Eisspin rzucił się Izanueli do stóp.

- Ja przynajmniej chcę wyciągnąć naukę z tej opowieści i poślubić cię tak szybko, jak będzie to możliwe. Pobierzmy się jeszcze w tym tygodniu!

Przeraźnica zarumieniła się gwałtownie, szukając słów:

- Jeśli tego chcesz... - wydusiła wreszcie.

Eisspin zerwał się.

- W takim razie świętujmy dalej! Chcę przyrządzić dla ciebie wszystkie te niebiańskie rozkosze, których nie mógł przygotować swej ukochanej nasz biedny cukiernik.

Przeraźnik pośpieszył z powrotem do pieca, wywołując przez kolejne godziny takie eksplozje smaków, jak gdyby sam studiował we Floryncie u mistrza Gargantuela: malinowe mille-feuilles w kremie szampańskim, mus jabłkowy z czekoladowym sabayonem i cynamonowymi babeczkami, kokosowy parfait z racuchami truskawkowymi, limonkowy sorbet z szafranem, pączki pralinkowe z czereśniami nasączonymi porto, ciasteczka z kwiatów czarnego bzu w piance pistacjowej, crèmeux z czekolady z orzechami laskowymi i marakują oraz z połączanymi jagodami z Midgardu.

Wśród tych smakowitości uleciały wkrótce wszystkie ponure myśli. Echo i przeraźnica byli tak najedzeni jak jeszcze nigdy w życiu, mimo to czuli się lekko i radośnie, co zapewne miało związek z zastosowanymi w deserach likierami, winami i nalewkami. Przeraźnica miała czkawkę, a Echa dzieliły już tylko chwile od rozpoczęcia śpiewów, gdy Eisspin uczynił nagle uwagę:

- No, późno już, a droga z Żelaznego Miasta była zapewne długa i uciążliwa. Chciałbym pokazać ci twą komnatę, mój kwiecie.

Żelazne Miasto? - pomyślał Echo, lecz tym razem strzegł się, by nie wypowiedzieć tego na głos. Przeraźnica również była zdumiona.

- Co on tak ciągle z tym Żelaznym Miastem? - wyszeptła do krotka, kiedy podążali korytarzami za Eisspinem.

Echo miał się na baczności. Za każdym razem, kiedy Eisspin prowadził go w odległe obszary zamku, na końcu czekała niemiła niespodzianka. Mimo że przeraźnik znalazł się teraz pod urokiem wywaru miłosnego, wciąż był niebezpieczny i nieobliczalny.

- Opowiedziałem też tę historię właśnie dlatego, moja najukochańsza - rozpoczął nagle Eisspin - że zawiera pewne podobieństwo do naszej.

- Ach tak? - dziwiła się Izanuela, niewiele rozumiejąc.

- Tak, w pewnych punktach. Nasza miłość także rozpoczęła się w Żelaznym Mieście. Ja również mieszkałem w nim jako młody człowiek, zanim stałem się zupełnie inną osobą w

innym mieście. Ale na tym podobieństwa się kończą. Nasza historia ma szczęśliwe zakończenie.

Przeraźnica spojrzała pytająco na Echo i wzruszyła ramionami. Nie miała najmniejszego pojęcia, o czym mówi Eisspin.

Mistrz zatrzymał się przed drzwiami. Ich ramy tworzyła polerowana stal, a oba skrzydła były z masywnego żelaza. Wyglądały jak wejście do skarbcza. Albo do więzienia - przyszło na myśl krotkowi.

Eisspin wyciągnął z peleryny wielki klucz i otworzył drzwi.

- Oto one! - powiedział uroczyście. - Twe komnaty. Mam nadzieję, że znajdziesz tu wszystko dla swej wygody, mój kwiecie.

Eisspin otworzył oba skrzydła drzwi i wszedł do środka. Echo i Izanuela podążyli za nim.

Krotek był zdumiony. Takiego pokoju nie było nigdzie indziej na zamku. Cały został zrobiony z metalu. Ściany, sufit i podłoga z porzewiałego żelaza, meble z lśniącej stali z miedzianymi okuciami. Wielkie łóżce z mosiądzu. Żadnych okien. Wszystko jasno oświetlone bolejącymi świecami. Na ścianach wisiały obrazy w srebrnych i złotych ramach, namalowane zapewne przez samego Eisspina. Ukazywały posępne widoki z Żelaznego Miasta. Fabryczne kominy we mgle, porzewiałe maszyny skąpane w deszczu, zazębające się koła zębate, wielkie jak kamienie młyńskie. Nawet róże w wazonie były zrobione z żelaza.

- Powinnaś czuć się jak w domu - powiedział z uśmiechem przeraźnik. - Witaj w twym nowym domostwie, Florio!

FLORIA - pomyślał Echo. - FLORIA Z ŻELAZNEGO MIASTA. Przed oczami stanął mu nagle nagrobek jego zmarłej pańci z cmentarza w Kumaczym Lesie.

- Floria? - zapytała przeraźnica. Echo delikatnie ją nadepnął.

Echo rozumiał teraz wszystko. Słodka trucizna wywaru miłosnego połączona z mocą perfum z krocimiętki omamiła Eisspina, który uwierzył, że jego ukochana, zmarła właścicielka Echa, wreszcie go odnalazła. Floria z Żelaznego Miasta. Przyoblekł Izanuelę w swój ideał kobiecego piękna, który nosił w sobie od czasów młodości, i ujrzał w niej miłość swego życia.

Przeraźnica właściwie zrozumiała nadeptanie Echa i nie stawiała więcej pytań.

- To przecież... wspaniale... - wydusiła. Przeraźnik uśmiechnął się.

Teraz wszystko układa się do kupy - pomyślał Echo. - Miłość czyni ślepym, lecz w tym przypadku doprowadziła do szaleństwa.

Być może szaleństwo Eisspina zaczęło się, kiedy Echo opowiedział historię swojej

pańci, być może jednak dużo wcześniej. Chory umysł Eisspina ostatecznie się zagubił. Opowiedział swoją baśń słowami Echa, bo uważał je za swoje. Wydawało mu się, że widzi przed sobą swą ukochaną, bo pomylił Izanuelę z Florią. Kiedy patrzył w lustro, widział być może młodego człowieka, którym niegdyś był. Porządek czasu i przestrzeni, rozsądku i wrażeń stanęły u Eisspina na głowie.

Góra jest dołem, a właściwe jest niewłaściwe - pomyślał Echo. - Czy to w ogóle było działanie wywaru? Jeśli tak, to dokończyło jedynie dzieła. Przeróżnik zapewne już od dłuższego czasu tracił rozum.

- Chodź, Echo! - powiedział Eisspin. - Floria potrzebuje spokoju. A nas obu czeka jutro ciężki dzień.

Ostatnie śniadanie

Kiedy Echo przebudził się następnego ranka, coś tamowało mu dopływ powietrza. Pomacał łapkami wokół gardła i spostrzegł z przerażeniem, że wokół szyi ma łańcuch. Przeróżnik stał obok koszyczka i uśmiechał się łagodnie do krotka.

- Dzień dobry! - powitał go. - Dzisiaj jest nasz wielki dzień. Pełnia! Księżyc przeraźnic! Mam nadzieję, że okażesz zrozumienie, iż w tak ważnym dniu nie pozwolę ci już na swobodne paradowanie. Nie mam zamiaru przeszukiwać systemów wentylacyjnych zamku w chwili, kiedy będę cię potrzebował najbardziej.

Eisspin założył krotkowi podczas snu obrozę z masywnych stalowych oczek. Przymocował ją za pomocą kolejnego łańcucha do swego nadgarstka. Teraz był nie tylko pod jego hipnotycznym urokiem, ale też dosłownie przywiązany do przeraźnika.

- Jeśli nie będziesz tak szarpał za swą ozdóbkę - powiedział Eisspin - nie będzie ci odcinać powietrza. Przywiązuję wielką wagę do twojej wygody.

Poprowadził Echo do metalowej komnaty przeraźnicy, gdzie oczekiwało go śniadanie. Izanuela siedziała wyprostowana na łóżku w swej sukience z kwiatów, przed nią leżała olbrzymia taca z pustymi talerzami, na których pozostały jedynie okruszki. Filiżanka w jej dłoni również była już pusta.

- Och! - zawołał zachwycony Eisspin. - Śniadanie najwyraźniej ci smakowało, mój kwiecie. Czy mogę przynieść ci jeszcze nieco kawy ze śmietanką?

Przeróżnica skinęła nieśmiało głową.

- To było wyśmienite - wyszeptała.

Eisspin przymocował łańcuch Echa do mosiężnego łóżka za pomocą małej stalowej kłódki, postawił przed nim miskę mleka i talerz z przypieczonym tuńczykiem, pokrojonym w łatwe do przełknięcia kosteczki. Potem zniknął.

- Możesz już znowu jeść? - zapytał Echo, kiedy przeraźnik znalazł się poza zasięgiem słuchu. - Ja nie. Wszystkie te słodkości leżą mi jeszcze na żołądku.

Przeraźnica otarła okruszek z kącika ust.

- O rety! Te omlety ze słoninką są naprawdę dobre! - zachwycała się. - A rogaliki na listkowym cieście z gorącym serem... Jadłeś już marmoladę truskawkową z masłem orzechowym na białym chlebie? Smakuje niebiańsko! Szynka truflowa. Wędzony łosoś z koperkowym rémoulade. Tatar z wołowiny na razowym chlebie. Nie miałam pojęcia! Mogę się uzależnić od tego wszystkiego. Możesz sobie wyobrazić, że bez Eisspina przez całe życie żarłabym tylko głupi ser?

- Tatar z wołowiny? - zapytał Echo. - Jesz już nawet surowe mięso? Wczesnym rankiem? Do tego już doszło?

- A ty to niby nie? - nadąsała się przeraźnica.

- Ale ja do wczoraj nie byłem jeszcze zdeklarowaną serianką! Ave Sezar! Tu mnie pocałuj! Co będzie następane? Wyrzekniesz się przeraźnicyzmu?

Izauela spuściła głowę. - Nic przecież nie poradzę na to, że on tak dobrze gotuje. To męzczyzna...

- ...o wielu talentach - jęknął Echo. - Tak, tak, wiem. Ale wciąż jest tym samym przeklętym przeraźnikiem! Twoim arcywrogiem. Już zapomniałaś?

Przeraźnica skupiła wzrok na pokrytej okruszkami narzucie. - Trzeba też umieć przebaczać... - wymamrotała cicho.

Echo przewrócił oczami. Zupełnie nie przebiegało to tak, jak sobie założył. Izauela coraz bardziej ulegała przeraźnikowi, a jego czas uciekał. Nie było już mowy o tygodniach i dniach, lecz jedynie godzinach i minutach.

- Nie daję ci do myślenia, że nazywa cię Florią i sądzi, że pochodzisz z Żelaznego Miasta? - zapytał groźnie Echo.

- Mam gdzieś, co myśli o moim pochodzeniu - powiedziała opryskliwie przeraźnica. - Może mnie nazywać, jak chce, dopóki nosi mnie na rękach. Floria to przecież piękne imię! Floria, kwiat! Pasuje do mnie o wiele lepiej niż Izauela. Zawsze uważałam, że Izauela to głupie imię. Od dziś rozpoczyna się moje nowe życie. Dlaczegoż nie od razu z nowym imieniem?

Echo nie miał serca, aby powiedzieć jej, że Eisspin w rzeczywistości wcale jej nie

kocha, tylko stracił rozum. I tak nie uwierzyłaby mu w swym miłosnym odurzeniu, a być może wbiłoby się to nawet klinem pomiędzy nich. Była to trudna sytuacja. Eisspin oszalał, Izanuela była chora z miłości, a Echo stał jedną łapką w grobie. O normalnej komunikacji nie było nawet mowy. Każde jego słowo musiało być wyważone.

- Powinniśmy zacząć powoli zastanawiać się nad tym, w jaki sposób skonfrontujemy Eisspina z twoim życzeniem - powiedział ostrożnie.

- Hm? Jakie znowu życzenie? Ach tak, masz na myśli liliowe zasłony? No wiesz, nie śpieszy się, ja...

- Nie, nie mam na myśli liliowych zasłon! Mówię o życzeniu uwolnienia mnie! Uratowania mojego życia! O tym życzeniu mówię! - głos Echa zaczął się łamać.

- Ach tak, to życzenie. O mało nie zapomniałam. Ale to żaden powód, żeby od razu tak krzyknąć...

- Zakuł mnie w łańcuchy! - wyszczał Echo. - Dziś wieczorem chce poderżnąć mi gardło, a potem wygotować mój tłuszcz! Wybacz proszę, jeśli nieco się tym denerwuję!

A jednak go poniosło. Echo starał się uspokoić.

- Już dobrze - powiedziała zakłopotana Izanuela. - Jestem trochę zdezorientowana. Coś takiego jeszcze nigdy mi się nie przytrafiło. Burza uczuć, he, he!

- Dobrze - powiedział Echo. - Ale musimy zachować trzeźwy umysł. Czas ucieka.

- Wiem - powiedziała przeraźnica. - Mam go zapytać, kiedy wróci?

- Nie. Nie chcemy robić niczego pochopnie. Słuchaj, mam plan...

- Ach tak?

- Tak. Myślę, że powinniśmy go zwabić na dach.

- Na dach? Akurat tam? - Izanuelą wstrząsnął dreszcz.

- Myślę, że działa na niego w pewien sposób. Eisspin jest... chciałem powiedzieć, że jest teraz pod dużą presją. Trzeba wyrwać go z niezdrowego otoczenia. Ze żrących oparów i oszałamiających gazów. Z całej tej pracy i stresu, który sam sobie narzucił.

- Dobry pomysł. Wygląda na nieco bladego.

- Dach działa na mnie zawsze odprężająco i uspokajająco. Świeże powietrze. Światło. Panorama. To zupełnie inny świat. Na niektóre rzeczy patrzy się innym okiem. Pomaga zrozumieć powiązania. Krótko mówiąc: leczy. Być może zadziała również w przypadku Eisspina. Tam właśnie powinniśmy skonfrontować go z tym życzeniem.

- Twierdzisz, że mam go poprosić, żeby pokazał mi dach? - zapytała przeraźnica.

- Lepiej nie. Być może zabrzmiało to dziwnie, a on nabierze podejrzeń. Nie - ja to zrobię. Ja go poproszę, żeby zabrał mnie raz jeszcze na dach dachów. Zanim mnie..., no sama wiesz.

Zauważył, jak bardzo podoba mi się tam w górze. Jeśli ja to zrobię, będzie to brzmiało wiarygodniej.

- Dobrze. I co potem?

- Musisz po prostu pójść z nami. Kiedy będziemy na górze, skropisz się porządnie perfumami.

- Znowu? - zapytała przeraźnica. - Muszę oszczędnie gospodarować tymi drogocennymi perfumami. Jeśli Eisspin ma przez dłuższy czas...

- Izanuela! - Echo syknął tak ostro, że przeraźnica wstrząsnął dreszcz. - Chodzi o moje życie! Pomyśl czasem o czymś innym niż o gruchaniu z przeraźnikiem!

- Przepraszam - przeraźnica zarumieniła się. - A więc skropię się perfumami i...

- I potem zadasz pytanie - uzupełnił Echo. - Tak mimochodem, jak tylko będzie to możliwe. Bez błagania. Bez żebrania. Tak, jakbyś poprosiła go o buziaczka.

Przeraźnica zachichotała jak podłotek, a potem drgnęła. Stukot butów przeraźnika przybliżał się. Śpieszył z kawą. Już stał w drzwiach.

- Cóż za cudowny dzień! - zawołał. - Wiatry są dzisiaj w gwałtownym nastroju i robi się coraz cieplej. Wieczorem zapewne będzie burza.

- Jak miło - powiedział Echo.

- Wspólne śniadanie z moimi bliskimi, na których mi najbardziej zależy - słodził Eisspin, dolewając przeraźnicy. - Nie uwierzylibyście, ile to dla mnie znaczy.

W rzeczy samej - pomyślał Echo. - Nie wierzę. Eisspin odstawił dzbanek i wyprostował się jak świeca.

- Dzisiaj mamy wyjątkowy dzień pod tak wieloma względami - powiedział. - Rozpocznijmy go należycie. Co powiecie na to, bym pokazał wam najlepiej strzeżoną tajemnicę tych murów?

Złoto

Jaką tajemnicę może mieć na myśli? - Echo zadawał sobie bez końca to pytanie. Śnieżnobiałą Wdowę? Tajemnicę spiżarni z tłuszczem? Lecz nie zmierzali w stronę piwnicy. Wspinali się po schodach na wyższe piętro.

- Kiedy mężczyzna honoru poślubia swą ukochaną, ujawnia jej najpierw swój stan majątkowy - powiedział Eisspin, jak zwykle krocząc przodem i ciągnąc przykutego do łańcucha krotka, Izanuela zaś grzecznie za nimi podążała. - Cóż, w moim przypadku da się to

szybko załatwić. Jestem jedynie miejskim przeraźnikiem w małym biednym mieście, nie otrzymuję nawet uposażenia, a mój niewielki spadek wkrótce się wyczerpie. Jasne, należy do mnie największa posiadłość w Sledwai, lecz któż, prócz skóroperzy, zechciałby w niej zamieszkać?

- Ja! - wyszeptała przeraźnica.

Echo stłumił westchnienie.

Eisspin uśmiechnął się.

- Tak - powiedział. - Ty. I za to będę ci po wieki wdzięczny. I któż prócz ciebie? Z daleka zamek wygląda być może imponująco, ale przy bliższych oględzinach każdy potencjalny kupiec pewnie uciekłby stąd z wrzaskiem. A już z całą pewnością z chwilą, kiedy dowiedziałby się o mrocznej historii tego budynku. W gruncie rzeczy jestem więc biednym nieszczęśnikiem, koczującym w grożącej zawaleniem ruinie, prawda?

- Ależ - zaprotestowała przeraźnica - majątek to nie wszystko.

Eisspin zatrzymał się w pomieszczeniu, w którym Echo był już dziesiątki razy. Nie było w nim niczego szczególnego, jedynie przykurzone meble.

Przeraźnik podszedł do nagiej ściany z czarnych cegieł i zatrzymał się przed nią. Przez parę chwil zdawał się koncentrować lub próbował sobie coś przypomnieć. Potem zaczął naciskać kamienie, raz tu, raz tam, niczym organista dręczący klawisze swego instrumentu.

Jest szalony - pomyślał Echo. - Izanuela też powinna zacząć powoli to pojmwować.

Eisspin zrobił krok w tył. Rozległ się odgłos, jak gdyby uruchomił się olbrzymi zegar, pobrzękiwało i stukało, metalowe pióra napinały się i rozciągały ze śpiewem. Kamienie w ścianie zaczęły się poruszać, wsuwały się ze zgrzytem do środka, wyjeżdżały na zewnątrz i ustawiały jeden za drugim, tworząc coraz bardziej powiększający się otwór w kształcie trójkąta.

- Starożytny mechanizm, który pozostawiły po sobie Rdzawe Gnomy - wyjaśnił Eisspin. - Nadal funkcjonuje, lecz nie mam pojęcia, w jaki sposób.

Przeraźnik wiedział więc o istnieniu rasy krasnoludów, których szkielety krotek odkrył w murach. Echo nie powiedział ani słowa na ten temat, ponieważ o wiele bardziej zafascynowany był tym, co właśnie się rozgrywało. Z otworu wydobywało się światło, z początku niewiele, ale im był większy, tym stawało się jaśniejsze.

- Co to jest? - spytała trwożliwie przeraźnica.

- To wejście do mojego skarbcza, mój kwiecie - odpowiedział Eisspin. - Czy raczej do naszego skarbcza. Zakładasz zapewne, że poślubiasz biednego nieboraka. Tym bardziej czuję się zaszczycony, że mimo wszystko chcesz przyjąć moje oświadczenia. Moja miłość urosła

przez to do niewyobrażalnych rozmiarów! Chciałbym więc ujawnić ci mój prawdziwy majątek. Chodźcie za mną, moi drodzy! Nasyćcie swoje oczy tym pięknem! Spójrzcie na największy skarb w Sledwai!

Eisspin ruszył przodem przez otwór, który osiągnął już rozmiary drzwi, pociągając Echa delikatnie za sobą. Przeraźnica podążała za nimi z ociąganiem. W jednej chwili zalało ich, otaczając ze wszystkich stron, złote światło. Była to ogromna sala, jakich wiele w tym zamku, lecz zarazem wyjątkowa: bo cała wykonana ze złota. Złota podłoga. Złote tapety. Złoty sufit złożony z potężnych złotych kamieni. Olbrzymi złoty dywan utkany ze złotych nici. Świecznik wykonany ze złota i złote świece. Złoty kominek ze złotymi węglami na złotej kracie. Na ścianach złote obrazy w złotych ramach. Złota biblioteka z tysiącami złotych książek. Szafy, fotele, krzesła, wielki długi stół były wykonane ze złota. W złotej popielnicy leżała złota fajka, nawet wytrzepany z niej popiół i spalona zapalka były ze złota. Obok leżało nadgryzione jabłko, okulary odłożone na otworzonej książce - wszystko ze złota.

Echo i przeraźnica byli oślepieni tym przepychem, Eisspin również zasłaniał ręką oczy. Przez pomieszczenie pełzały dziesiątki bolejących świec - stały na stołach, regałach i szafach, potęgując ten bajeczny blask.

- Czy to nie najpiękniejszy ze wszystkich pierwiastków? - zapytał przeraźnik, nie oczekując odpowiedzi. - Wcale nie najzadszy. Nie najpozyteczniejszy. Nie najskuteczniejszy, lecz jednak najpiękniejszy.

Echo spróbował postawić łapkę na dywanie, lecz szybko cofnął ją ukłuty jego włosiem niczym igłą.

- Pokryłeś złotem całe pomieszczenie? - zapytała Izanuela. - Dlaczego?

Eisspin uśmiechnął się.

- Nie pokryłem złotem, to wszystko jest czystym złotem. Stół, regały, książki, każdy znajdujący się w ścianach kamień. Podejdź i dotknij!

Przeraźnica podeszła do stołu i podniosła jabłko. Uczyniła to z wielkim trudem.

- Ależ to ciężkie - wysapała. - To czyste złoto!

Eisspin kroczył przez salę, rozkładając szeroko ramiona.

- Dokładnie! - zawołał. - Całe cetnary i tony złota. Setka mężczyzn nie byłaby w stanie go wynieść.

- Czy było tutaj od zawsze? - zapytał Echo. - Odkryłeś to pomieszczenie?

- Pomieszczenie i tajemny mechanizm - owszem. W piwnicy znalazłem stary pergamin, który udało mi się rozszyfrować. Zdradził mi formułę, za pomocą której można było je otworzyć. Mowę kamieni. Jednak ściany i meble, sufit i podłoga, dywan oraz książki

składały się wówczas jeszcze z materiałów, z których zazwyczaj się je wykonuje. Z kamienia. Drewna. Żelaza. Włosa. Skóry. Papieru.

- Nie rozumiem - powiedziała przeraźnica. Przyglądała się ze zdumieniem swemu odbiciu w brzuchatej złotej wazie. - Jak wszystkie te rzeczy mogły stać się złotem?

- Echo, wymień mi najwyższe cele alchemii! - rozkazał Eisspin.

Ten nie musiał się długo zastanawiać.

- Odnaleźć kamień filozoficzny. Stworzyć perpetuum mobile. Osiągnąć nieśmiertelność. Zamienić ołów w złoto.

Eisspin skinął z dumą, słysząc to ostatnie.

- Naprawdę umiesz zamienić ołów w złoto? - zapytała Izanuela.

- Więcej! - chełpił się Eisspin. - Umiem zamienić w złoto niemal wszystko! Każdą substancję mającą określoną stałość. Naturalnie wszelkie metale poza rtęcią. Lecz również drewno. Kamień. Proch. Wosk, kiedy już zastygnie. Ołów naturalnie także.

- Dlaczego powiedziałeś mi kiedyś, że to niemożliwe? - spytał Echo.

- Musiałem to naturalnie trzymać w tajemnicy, mój drogi. Masz zwinny język, znający wszystkie mowy świata. Wyobraź sobie, że się rozejdzie wieść, iż potrafię wytwarzać złoto, i to w każdej upragnionej ilości! Ten zamek od razu znalazłby się w stanie oblężenia! Przed bramami stanęliby wszyscy żołdacy z Camonii. Każdy złoczyńca ścigałby mnie, aby torturami wydrzeć mi tę tajemnicę. Każdy ogarnięty manią wielkości władca posłałby na mnie swych siepaczy.

Eisspin zaśmiał się bez radości.

- Dlatego też sztukę wytwarzania złota ograniczyłem do tego tajemnego pomieszczenia. Najpierw zamieniałem w złoto rzeczy małe, książkę, talerz, kamień w ścianie. Potem coraz większe, krzesło, ławę, stół - aż wszystko stało się czystym złotem. Od czasu do czasu zdarza mi się przynieść tu jakiś przedmiot i zamienić go w złoto. Ale w pewnej chwili stało się to nudne.

- To dlaczego zdradzasz nam tę tajemnicę? - zapytał Echo.

Eisspin uśmiechnął się.

- Wobec mojej przyszłej małżonki uważam to za obowiązek - pociągnął lekko za łańcuch. - A ty, kochany Echo, nie będziesz już mógł roztrąbić tej tajemnicy. Bardzo niedługo zabierzesz ją ze sobą do grobu.

Dziękuję bardzo - pomyślał Echo - że mi o tym przypominasz. Przez cały ten przepych zapomniałem już, jak szybko ucieka czas.

- Musicie wiedzieć, że na tę formułę wpadłem przez czysty przypadek - powiedział

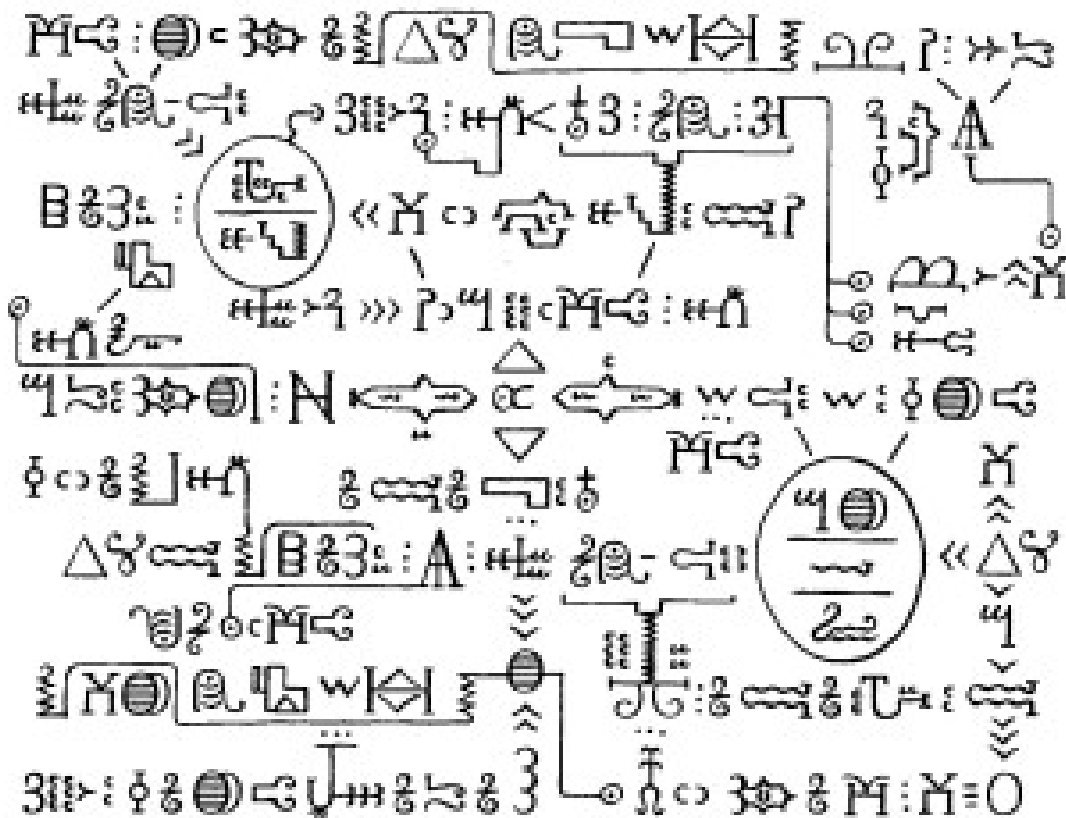
Eisspin. - Ciebie, Echo, nie zdziwi zapewne fakt, że rozwiązanie największej z tajemnic alchemii znalazłem w rzeczy najmniejszej. W zasuszonej liście z Małego Lasu, małym niczym pyłek kurzu. Wystarczy jedynie podmienić parę molekuł, lecz trzeba również wiedzieć, które to molekuły. A sposób, w jaki się je podmienia, to już sztuka sama w sobie.

- Jesteś w takim razie bardzo zamożnym człowiekiem - powiedział Echo. - Nieustannie udaje ci się mnie zaskakiwać.

- Można powiedzieć, że zapewnia mi to pewną niezależność finansową - powiedział, szczerząc zęby w uśmiechu. - Ale możecie mi wierzyć w tej jednej kwestii: całe to złoto nie znaczy dla mnie nic w porównaniu z tym, co zamierzam ukończyć dzisiaj wieczora. Gdybym mógł zamienić to całe złoto i formułę za pewność, że mi się powiedzie - zrobiłbym to od razu. Cóż bowiem znaczy bogactwo wobec nieśmiertelności? Co mi po wszystkich tych gratach, jeśli mimo wszystko muszę umrzeć? A to prowadzi nas do przyczyny, dla której się tutaj znalazłeś, Echo.

- Co masz na myśli? - zapytał krotek.

- Nappełniłem twą małą główkę moją wiedzą alchemiczną - powiedział Eisspin - Lecz tę ostatnią informację, formułę wytwarzania złota, zachowałem na sam koniec. Naturalnie nie może jej zabraknąć w twym mózgu, kiedy będę go wygotowywał.



Eisspin wyciągnął z peleryny pergamin i podstawił go Echu przed nos. Pokrywały go

alchemiczne znaki.

- Czy mógłbyś to zapamiętać? - zapytał uprzejmie przerażnik.

- Hmm... - wydobył z siebie Echo i zaczął studiować kartkę. Chodziło o siły kohezji i adhezji. O atomy chlorofilu. Gaz cmentarny. Klej. Krew skóroperzy. Pięciokrotną rektyfikację.

Echo nie zrozumiał niczego z formuł, które wbijał sobie w pamięć, lecz z chwilą, kiedy doczytał pergamin do końca, wiedział, w jaki sposób zrobić złoto.

- Wszystko jasne - powiedział. Kręciło mu się w głowie.

Eisspin wziął kartkę i podarł ją na maleńkie skrawki.

Musi być dość pewny mego zgonu - pomyślał Echo - skoro powierza mi taką tajemnicę, by zaraz potem zniszczyć formułę. Nadeszła właśnie ta chwila.

Echo odchrząknął.

- Teraz to *ja* miałbym prośbę, mistrzu.

Eisspin wyprostował się.

- Która brzmi? - spytał ostro.

- Chciałbym pójść raz jeszcze na dach dachów. Po raz ostatni.

Eisspin rozluźnił się.

- Jeśli chodzi jedynie o to - powiedział - to przecież oczywiste! A tobie, mój kwiecie, i tak chciałem pokazać jedyny w swym rodzaju widok, jaki się stamtąd roztacza. Zapiera dech w piersiach.

Prawdziwa miłość

Cała trójka wspięła się do Skórzanego Mauzoleum, w którym o tej porze wampiry twardo spały. Towarzyszyło im zwielokrotnione po stokroć chrapanie i smród, który spowodował, że chcieli jak najszybciej wydostać się na dach.

Izabela zastygła na zewnątrz tak samo, jak za pierwszym razem. Chwyciła się za piersi.

- Czyż to nie cudowne? - powiedział Eisspin. - Widać stąd nawet Błękitne Góry. Wydają się tak blisko, na wyciągnięcie ręki.

- Tak, cudowne - wydyszała Izabela. Chwiała się, a jej powieki trzepotały.

Widok był powalający, lecz tym razem zmroził krota. Wszystko było postawione na jedną kartę. Jak w tej sytuacji rozkoszować się krajobrazami?

- Dopiero gdy pokona się duszne mauzoleum - powiedział Eisspin - dach objawia pełnię swej mocy. Za każdym razem, kiedy jestem tutaj, na górze, czuję się jak odmieniony. Najlepsze rzeczy są za darmo! Niestety, w ostatnim czasie rzadko tutaj przychodzę.

- To... naprawdę wspaniale - wychrypiła przeraźnica. Palce miała zaciśnięte na kwiecistej sukni.

Musi najpierw pokonać strach - pomyślał Echo - zanim wypowie swoje życzenie. Musi mówić z pewnością siebie. A nie o suchym gardle.

Eisspin odetchnął głęboko parę razy. Potem wskazał na dół.

- Widzisz Sledwayę? - zapytał Izanuelę. - Miasto wygląda tak spokojnie. Tu, w górze, odnosi się wrażenie, jakby nie istniało żadne zło na tym świecie. A przecież w każdym z tych domów mieszka ktoś, kto mnie nienawidzi.

Roześmiał się.

- A dlaczego mnie nienawidzą? Ponieważ się mnie boją. Ja z kolei muszę szerzyć strach i trwogę, by trzymać ich w ryzach, aby nie przyszli tu na górę i nie rozerwali mnie na strzępy. Odwieczne błędne koło. Gdybyś wiedziała, jak bardzo mam tego dość. Jak bardzo mnie to męczy.

Przeraźnik wpadł najwidoczniej w nastrój filozoficzny.

Na to liczyłem - pomyślał Echo. - Byle nie postąpić teraz pochopnie! Trzymać nerwy na wodzy! Przeraźnica musi się uspokoić. Właściwy moment musi zgrać się idealnie.

- Czy mogę raz jeszcze popatrzeć na morze mleka? - zapytał nieśmiało Echo.

Eisspin zerknął na niego z góry.

- Spodobało ci się, nieprawdaż? - wyszczerzył zęby. - Tak sobie pomyślałem, że zechcesz jeszcze raz je odwiedzić. Jest wypełnione świeżym mlekiem - odwrócił się do przeraźnicy. - Chcesz z nami pójść, mój kwiecie? Droga tam prowadząca jest nieco uciążliwa.

- Nie, dziękuję! - spiesznie odmówiła Izanuela. - Zostanę tutaj i... będę rozkoszować się widokami.

- W takim razie chodźmy! - rozkazał Eisspin. Poluźnił łańcuch i pozwolił Echu iść przodem po schodach. Robiło się coraz cieplej, a wiatr stawał się porywisty, dokładnie tak, jak przewidział to przeraźnik.

- Zapewne mi nie uwierzysz - powiedział staruch - ale będę tęsknił za twoim towarzystwem. Twoja obecność miała na mnie kojące działanie i naprawdę niechętnie z niej rezygnuję.

- Pochlebiasz mi - odparł Echo. - Możesz to przecież jeszcze przemyśleć.

- Gdyby to było takie proste - westchnął Eisspin - ale decyzja zapadła. Dzisiaj wywar

ma być świeży!

- Czy jesteś naprawdę pewny, że to zadziała? Że eksperyment się powiedzie? - odważył się zapytać Echo.

- Nigdy nie można być pewnym. W każdym przedsięwzięciu kryje się możliwość porażki. Każdy eksperyment może się nie powieść.

Echo przypomniał sobie moment słabości Izanueli na schodach. Powiedziała wówczas coś bardzo przekonującego.

- Cóż, czasami lepiej zrezygnować z jakiegoś przedsięwzięcia, niż ponieść porażkę - powiedział. - Nie wspinać się na szczyt, aby z niego nie zlecieć. Nie przekraczać pustyni, aby nie umrzeć na niej z pragnienia. Potem zawsze można sobie jeszcze powiedzieć: to mogło mi się udać.

- Dość wygodne podejście do obowiązków - zaśmiał się Eisspin. - Lecz to nie dla mnie. Ja wiecznie bym sobie wyrzucał, że nie spróbowałem. Nie, nie jesteś w stanie skłonić mnie do zmiany decyzji. Nie ty!

Ja nie - pomyślał Echo - ale ktoś inny być może tak.

Dotarli do morza mleka. Echo nie zachwyił się tym razem idyllicznością i urokiem tego miejsca. I wcale nie miał apetytu. Udawał jednak, że pije łąpczywie mleko. Wyłowił sobie nawet chrupiącą przepiórkę, którą długo obgryzał. Musiał zyskać na czasie, aby Izanuela mogła się uspokoić.

- Ja sam o mało nie skończyłem jako wampir - wyznał Eisspin, prowadząc Echo dookoła na łańcuchu. - Dopiero czas spędzony z tobą pokazał mi, że prócz nocy istnieje również dzień. Chciałbym teraz wynagrodzić Florii wszystko. Naprawdę znaczyłoby to dla mnie wiele, gdybyś udzielił nam swego błogosławieństwa.

Ten to ma pomysły! - pomyślał Echo. - Za chwilę ma mnie ukatrupić, ale wcześniej chciałby jeszcze mojego błogosławieństwa. Krot włączył się jednak do upiornej gry i powiedział:

- Otrzymujesz je ode mnie.

- Dziękuję! - powiedział Eisspin. - To było dla mnie ważne. W innym świecie na pewno zostalibyśmy dobrymi przyjaciółmi.

- Tak - przytaknął Echo. - W innym świecie.

Słońce paliło z góry już mocno, a trawą poruszały duszne powiewy wiatru. Na dachu robiło się coraz bardziej nieprzyjemnie.

- No! - zawołał w końcu Eisspin i pociągnął za łańcuch. - Teraz musimy wracać do zamku. Czas minął. Praca wzywa.

Kiedy wrócili, Echo spostrzegł już z daleka, że w Izanueli zaszła jakaś zmiana.

Drżące spojrzenie i nerwowa gestykulacja zniknęły. Lecz było tam coś jeszcze. Obezwładniający zapach perfum z krocimiętki unosił się w powietrzu z siłą większą niż wcześniej. Ustawiła się w taki sposób, że wiatr niósł go już w kierunku przeraźnika, kiedy jeszcze znajdowali się wysoko na schodach.

No, nareszcie - pomyślał Echo. - Znów jest przy zdrowych zmysłach.

- Jeden! - powiedziała przeraźnica, kiedy obaj do niej dotarli.

Na skali - dodał w myślach Echo. - Bardzo dobrze. Pokonała swój strach.

- Co proszę? - zapytał Eisspin.

- Ech, jeden... - wyjąkała Izanuela. - Jeden jedyny w swym rodzaju widok tu w górze. Wielce podniosły. Czuję, jak opadają wszystkie troski. I unosi je z sobą wiatr.

Eisspin stał w strumieniu powietrza, który owiewał Izanuelę, przenosząc na niego jej perfumy. Wyglądał jak zahipnotyzowany, jego spojrzenie było szkliste, chwiało się lekko. Na twarzy widać było błogi uśmiech.

Teraz *moja* kolej - pomyślał Echo. - Muszę zaapelować do uczuć Eisspina. Wzbudzić jego litość.

- To musi być piękne uczucie, stać sobie tutaj na górze i być świeżo zakochanym - powiedział nieśmiało krotek. - Chciałbym się dowiedzieć, jak to jest. Jeszcze nigdy nie byłem zakochany.

- Nigdy nie byłeś jeszcze zakochany? - zapytała przeraźnica. - To smutne.

Echo westchnął i popatrzył w dal.

- Tam daleko, za Błękitnymi Górami żyje ponoć gatunek krotków, które mogłyby mi pokazać, na czym polega miłość. Ale na pewno już nic z tego nie wyjdzie.

Rzucił ukradkowe spojrzenie w kierunku przeraźnika. Eisspin stał tam niewzruszony. Czy naprawdę był niewzruszony? A może kłębiły się w nim emocje? Czy szaleństwo, współczucie, miłość i zło walczyły właśnie ze sobą o to, co weźmie górę? A może dawno już przejrzał komedię, odgrywaną przez Echa i Izanuelę? I myśli po prostu o jakiejś formule alchemicznej, związanej z odłuszczeniem krotka? Nikt nie był w stanie tego stwierdzić. I tak jest to teraz nieistotne - zdecydował Echo. Oto nadszedł ten moment! Perfumy musiały już teraz osiągnąć pełnię mocy. Teraz albo nigdy! Skinął zdecydowanie w stronę Izanueli.

- Chciałabym cię o coś prosić - powiedziała, wciąż zwrócona w stronę przeraźnika.

Eisspin nadstawił uszu.

- O cóż to? - zapytał. - Wszystko, czego zapagniesz, mój kwiecie.

- Moim życzeniem jest, abyś uwolnił krotka. Nie mogłabym znieść, że ktoś umrze w

dniu naszego szczęścia.

Właśnie tak - pomyślał Echo. - Śmiało i pewne siebie przedstawienie sprawy, z pełnym zaufaniem w moc oddziaływania mięty. Przeróżnik popatrzył uważnie na Izanuelę.

Echo czuł, że serce podeszło mu do gardła. Co zrobi teraz Eisspin? Roześmieje się histerycznie? Padnie na kolana? Zamieni się w czarnego ptaka? Trzeba być przygotowanym na wszystko.

- Czy takie jest twoje życzenie? - zapytał Eisspin - żebym wypuścił krota?

Izanuela skinęła głową. Patrzyła mu zdecydowanie w oczy.

- Wiesz, co to dla mnie oznacza? Dla mnie i mojej pracy?

- Tak - powiedziała przeraźnica.

- Nie - zawołał Eisspin i wyprostował się. - Za pozwoleniem, mój kwiecie, nie jesteś w stanie tego ocenić. Nikt nie jest w stanie tego zrobić. To tak, jakbyś poprosiła słońce, by przestało palić. Zabroniła wiać zawiei. Całe moje życie, całe moje dzieło straciłoby swój sens. Po prostu tak! - pstryknął palcami. - To tak, jakbyś wyrwała mi serce z piersi i zjadła je na mych oczach. Zrobiłabyś mi coś takiego? Czy naprawdę jest to twoim życzeniem?

Przeraźnica była kompletnie bezradna. Nie liczyła się z taką reakcją. Nie odważyła się nawet rzucić Echu błagalnego spojrzenia. Gapiła się nadal na Eisspina i starała się nie zemdleć.

Zapadło długie, męczące milczenie. Echo w tym czasie nie odważył się nawet odetchnąć.

- Lecz - rzekł po chwili poważnie Eisspin - właśnie z tego powodu to zrobię. Pokażę ci, czym jest prawdziwa miłość! Już raz w życiu straciłem prawdziwą miłość i omal przez to nie oszalałem. Tym razem jej nie wypuszczę, nawet za cenę mego dzieła. Niech będzie.

Eisspin wyciągnął z peleryny mały kluczyk do obroży i nachylił się nad Echem. Po czym wyszeptał krotkowi do ucha:

- I jak wypadłem?

Echo był zmieszany.

- Co masz na myśli? - zapytał.

- No mój monolog - wyszeptał Eisspin. - Nie jestem zawodowym aktorem. - Wyprostował się i przemówił mocniejszym głosem. - Czy było to choć trochę wiarygodne? Jak sądzisz... Izanuelo?

Izanuela - przemknęło przez myśl Echu. Przemówił do przeraźnicy, używając jej prawdziwego imienia! Nie była już kwiatem. Nie była już Florią.

W Eisspinie nastąpiła tymczasem zdumiewająca przemiana. Cała dobroć, miłość,

zakochanie i uprzejmość zniknęły z jego mimiki i głosu. Znów miał tę despotyczną i bezduszną gębę, pojawiającą się w jego najmroczniejszych chwilach. Był przeraźnikiem takim, jakim był naprawdę.

- Wiecie - zapytał Eisspin - w jaki sposób przekonywano się co do winy lub niewinności przeraźnicy we wczesnocamoańskim średniowieczu? Zrzucano ją z dachu. Jeśli przeżywała, unosząc się w powietrzu, oznaczało to jej winę. Jeśli spadała w dół i umierała, wówczas była niewinna. Proste i sprawiedliwe.

Eisspin podszedł bardzo blisko Izanueli i szturchnął ją. Bardzo lekko, lecz wystarczyło, by pozbawić ją równowagi.

- Hopla! - powiedział.

Izanuela wykonała na dachówkach parę niezgrabnych kroków, zmierzając ku krawędzi dachu. Wypadła poza nią w milczeniu. Dopiero gdy całkowicie zniknęła Echo z pola widzenia, rozległ się jej długi, wysoki wrzask, który słyhać było zapewne w całej Sledwai.

Echo rzucił się do krawędzi dachu, lecz łańcuch Eisspina raptownie go zatrzymał. Z przerażeniem patrzył w otchłań. Izanuela spadała w głębię niczym bukiet weselny, wirując i koziółkując, pozostawiając za sobą długi ślad wielobarwnych płatków. Zanurzyła się w morzu dachów Sledwai i jej krzyk zamarł. Później słyhać było jedynie szum wiatru.

- Była niewinna! - zawołał Eisspin i przybrał zdumioną minę. - Kto by pomyślał? - Schował z powrotem klucz. Potem odciągnął Echo od krawędzi dachu. - Musimy pilnie rozpiścić konkurs na stanowisko nowej przeraźnicy - powiedział. - Bo czymże jest przeraźnik bez jednej choćby przeraźnicy?

Niewłaściwe serce

- Nie jestem w stanie stwierdzić, czym bardziej obraziliście moją inteligencję: brakiem wiary, że zabezpieczyłem się przed wodą z ziółek, czy twoją głupią nadzieją, iż przeraźnica będzie w stanie pokonać alchemię? Naprawdę trudno mi zdecydować. Nauczyłem cię przecież tylu rzeczy o alchemii, matce wszelkich nauk! A ty latasz za przeraźnicową zielarką. Jestem bezgranicznie rozczarowany. - Eisspin przykuł Echo do pieca alchemicznego. Przeraźnik biegał po całym laboratorium i manipulował przy aparaturach, prawiąc kazanie swemu więźniowi. Przez okna widać było pędzące w pośpiechu grube, waciane chmury. Stawały się coraz cięższe i ciemniejsze, jedynie gdzieś tam przebijało się przez nie słońce. Bolejące świece, których Eisspin zapalił dziesiątki, dbały o niespokojne oświetlenie.

- Kto, twoim zdaniem, zasadził na dachu krocimiętkę? - zapytał.

- I naprawdę wydawało ci się, że nie znam na pamięć przeraźnicowej książki kucharskiej? Jestem przeraźnikiem! Osiemnaście przerazi jaskra lodnikowego! Dwa przerazie starca górskiego! Cztery i pół przerazia glonów śrubowatych! Jeden przeraż szpaczych szparagów! Kwiatowych pąków czar! Zielarskie czary-mary! Bo zaraz pękne!

Echo milczał. Ledwo dostrzegł Eisspina, jego głos docierał do niego przytłumiony. Był w szoku, nie czuł ani strachu, ani też wściekłości. Oczyma duszy widział wciąż jedną i tę samą scenę: upadek Izanueli, pozostawiającej za sobą smugę wielobarwnych płatków.

- Miałem dużo uciechy, obserwując cię przez lunetę - kontynuował kazanie Eisspin - kiedy wymykałeś się na te wasze idiotyczne konspiracyjne spotkania. Wydaje ci się, że nie zauważyłem, jak zakradliście się na mój dach? A ta żalosna scenka w piwnicy! Musieliście mieć mnie naprawdę za wariata, skoro pomyśleliście, że nie jestem sobie w stanie przypomnieć, czy ją zamykałem.

- Miałem nadzieję, że miłość zatriumfuje nad szaleństwem - odpowiedział Echo, gdy wreszcie wrócił mu głos. - To było jednak naiwne. - Zauważył również nowy zapach unoszący się w laboratorium, w nieprzyjemny sposób był on słodki i przenikliwy zarazem.

- Wrzący tłuszcz i gotująca się woda nie są w stanie mi zaszkodzić - zawołał Eisspin ponad przetaczającym się w oddali grzmiotem. - Dlaczego miałyby to zrobić miłość? Serce również można otoczyć rogowatą skórą, to tylko kwestia praktyki. A tej praktyki nabyłem przez wszystkie te noce, wygotowując w tym oto kotle zwierzęta, których esencje dziś połączę. Nie myśl tylko, że na początku mi to nie przeszkadzało! Ich przepelnione męką wrzaski i wszystkie te ostatnie westchnienia! Lecz za każdym razem kładły się one cienką warstwą wokół mego serca, aż powstał pancerz, który je teraz otacza. Chroniąc przed wszystkimi tymi głupotami, jak miłość, współczucie, smutek albo litość. Zaprawdę, wybraliście sobie niewłaściwe serce.

Eisspin odkręcił jeden z zaworów, zamknął inny i wypuścił niebieską chmurkę pary ze szklanego balonu. Zapukał do wielu butelek, w których znajdowali się cierpiący człęcy. Potem znów zwrócił się do Echa.

- Musisz jednak przyznać, że nieźle grałem w tym waszym teatryku. Sprawdzenie moich zdolności aktorskich sprawiło mi wiele radości. Przyznaję, że ten napój, a szczególnie perfumy, w jakimś stopniu na mnie działały i musiałem zadać sobie sporo trudu, by to zwalczyć. Rzeczywiście czułem do przeraźnicy pewną sympatię, co jednak ostatecznie ułatwiło mi tylko grę. Tam na dachu, gdy perfumy działały najsilniej, musiałem się wręcz przełamać, żeby ją popchnąć, o wiele chętniej bym ją objął. Możesz w to uwierzyć?

Przeraźnicę! To jednak coś znaczy, pod tym względem należy się jej szacunek. Toast za Izanuelę!

Eisspin chwycił za szklankę z czarnym szlamem i wypróżnił ją jednym haustem. Niebo przeszła pierwsza błyskawica, rozjaśniając okno, zaraz za nią rozległ się niedaleko grzmot. Przeraźnik uniósł szklankę do góry.

- To było moim antidotum - koncentrat z krwi skóroperzy. Pobieram im ją, kiedy pogrążają się w najgłębszym śnie. To budzi w tobie wampira! Wzmacnia twą ciemną stronę! Zabija uczucia. Skóroperz na łowach nie może pozwolić sobie na współczucie albo miłość. To również najlepsza rzecz, by przetrwać długie noce. Smakuje obrzydliwie, skutków ubocznych też lepiej nie lekceważyć. Ale jeśli je przetrzymasz, żadna krocimiętka ci nie zaszkodzi - odstawił szklankę i zaczął rozpalać pod kotłem.

- W przypadku osoby normalnej ten wywar na pewno by zadziałał - kontynuował. - Ale ja nie jestem przecież nikim normalnym! Być może oparłbym się tym perfumom nawet bez antidotum. Dzień w dzień wdycham trujące substancje. Eter, kwasy, rozpuszczalniki, spirytus, olejki hipnotyczne, chloroform, gazy gnilne. Gdyby mogły mi zaszkodzić, już dawno byłbym martwy. Ale najwidoczniej czynią wręcz na odwrót. Nie była mnie w stanie powalić setka mieczy w Górach Midgardu. Żadna z chorób, które rozprzestrzeniam, nigdy mnie samego nie zaraziła. Nic prawie nie jem, rzadko śpiam, marnuję swoją energię, piję alkohol i palę najsilniejszą tabakę - ale jestem silny i zdrowy jak koń. Nie jestem nieśmiertelny, lecz od dawna już nie tak podatny na zranienia i wrażliwy jak reszta. A dziś wykonam ów ostatni krok, dzielący mnie jeszcze od odporności na zranienia i od nieśmiertelności.

Eisspin podszedł do stołu, na którym leżało coś otulonego czarnym płótnem. Być może było to nowe urządzenie alchemiczne albo jakaś inna maszyna. Potężna błyskawica sprawiła, że światło świec przybladło, natychmiast po niej rozległ się grzmot. Eisspin przybrał odpowiednią postawę i zaczął deklamować:

To co było, choć już nie jest

Niech na nowo się zadzieje!

Potem zerwał płótno i z szerokim uśmiechem spojrzął na to, co kryło się pod spodem. Nie było to urządzenie alchemiczne, jak przypuszczał Echo, lecz częściowo zgniłe zwłoki. Rysów twarzy nie dało się rozpoznać, tu i tam widoczne były już białe kości. Echo jednak wiedział natychmiast, o kogo chodzi. Po sukience poznał Florię z Żelaznego Miasta, swą byłą

właścicielkę. Stąd ten słodkawy zapach rozchodzący się po całym laboratorium.

Eisspin uniósł ramiona w górę i zawołał:

*Czego nie ma już - a było
Znów w wywarze będzie żyło
Na dnie kotła się pojawi
By alchemii sławę sławić*

Opuścił ramiona i popatrzył na Echo.

- Jak zapewne z obrzydzeniem zauważyłeś, nic mnie już nie odstręcza. Zszedłem pomiędzy rabusiów grobów! Tak, byłem w Kumaczym Lesie, z motyką i szpadlem. Swoją drogą wielkie dzięki za cynk o kumaku! Skoro znalazłem się już na cmentarzu, złapałem go sobie. Łatwo było go znaleźć. Pachnie mchem kumaczym. Co to była za cegła! Potrzebowałem całej nocy, żeby go wygotować.

- Całkiem już zwariowałeś - powiedział Echo.

Eisspin uśmiechnął się.

- Powtarzasz się. Wiem, że masz mnie za wariata. Ale to nie jest w stanie mnie obrazić. Budzi we mnie dumę. Udowadnia jedynie, że nie jesteś w stanie myśleć w moich kategoriach, to o parę rozmiarów za duże jak na twój kroci rozumek. Umiesz jedynie gromadzić fakty, lecz nie jesteś w stanie połączyć ich na nowo i stworzyć z nich czegoś odmiennego. Potrafię to tylko ja! Trzeba być do tego zdolnym, jeśli planuje się zmierzyć z największym z przeciwników, ze śmiercią.

Z czułością położył na zwłokach swe chude palce.

- Myślałeś sobie zapewne, że zabiegam o nieśmiertelność jedynie dla siebie. Lecz pragnę jej również dla Florii. Chciałbym, aby wróciła z tego zimnego królestwa, i to dzisiejszej nocy! Do tego jest mi potrzebna twa pomoc.

Eisspin wziął nożyczki, uciął pasmo siwych włosów Florii i rzucił je do kotła z tłuszczem. Deklamował dalej:

*Duchu, wiem ja, iż mnie słyszysz
Daj przywołać się wśród ciszy
Opuść zimnych łez królestwo
I przez ciasną bramę przestąp
Której miano tkwi w niebycie*

Między śmiercią gdzieś a życiem

Wiatr dął przez okna coraz natarczywiej, z każdą chwilą robiło się ciemniej. Rozpętała się burza, tak jak to Eisspin przepowiedział. W powietrze wzbiły się pergaminy, kurz, proszki chemiczne i kłęby dymu zawirowały, mieszając się ze sobą. Lecz przeraźnik najwyraźniej ponownie rozkoszował się faktem, że pogoda tak nieskrępowanie wdziera się do jego laboratorium. Manipulował przy zaworach swego konserwatora, odwracając się w trakcie tej czynności do Echa plecami, który korzystał z okazji, by szarpać za łańcuch. Lecz nic nie dało się zrobić. Jedynie sam Eisspin byłby w stanie go uwolnić.

Głos przeraźnika zrobił się teraz bardzo spokojny.

- Byliśmy razem przez cały miesiąc. Mam nadzieję, że nie uważasz, że był to mało pasjonujący czas.

- Nie, w istocie tak nie jest - powiedział zgodnie z prawdą Echo. Szklane kolby w konserwatorze zaczęły lekko pobrzękiwać, tu i tam zaczęły bulgotać substancje.

- Ja również uczyłem się od ciebie - stwierdził Eisspin. - Spokoju. Opanowania. Wewnętrznej równowagi.

Echo stłumił gorzki śmiech. Stary wariat i morderca mówi o wewnętrznej równowadze, szykując się na przebudzenie zwłok ze snu wiecznego i wygotowanie tłuszczu z krotka. Szaleństwo było w istocie chorobą, która pozostawała niezauważona dla swych ofiar - pomyślał.

- W tym duchu powinniśmy również urządzić nasze pożegnanie. Spokojne. Opanowane. W wewnętrznej zgodzie. W harmonii.

Eisspin odwrócił się od zaworów. Podeszedł do stołu, chwycił za skalpel i uniósł go do góry.

- Zrobię to szybko i bezboleśnie, jak ci obiecałem - powiedział.

Gdyby Eisspin trzymał w rękach olbrzymi nóż bądź zakrwawiony topór katowski, Echo nie przeraziłby się chyba bardziej niż tego małego, precyzyjnego narzędzia chirurgicznego. Była to jedynie maleńka klinga, niewiele dłuższa niż jeden z paznokci Eisspina. Jednak ostrzejsza niż jakikolwiek przyrząd do cięcia, ostrzejsza niż katowski miecz, ostrzejsza niż brzytwa. Tak niewiele stali trzeba, by przenieść go na tamten świat.

- Myślę, że już zrozumiałeś, iż nie chcę ci uciąć głowy, czy w jakikolwiek inny sposób cię okaleczyć. To będzie jedno maleńkie cięcie w gardło, aczkolwiek w jedynym właściwym miejscu. Krew opuści cię tak szybko, że zaśniesz na wieki, zanim jeszcze zdołasz poczuć ból rany.

Zasnąć na wieki - pomyślał Echo. - Co za okropne i ostateczne słowa! Nigdy wcześniej pragnienie życia nie było w nim tak potężne, jak w tej chwili.

- Obaj chcemy przecież, by zostały po tobie ładne zwłoki - powiedział Eisspin, zbliżając się powoli. - Widzisz ten worek z tyłu? Zawiera trociny, którymi cię potem wypcham. To trociny z Lasu Nurneńskiego, co oznacza, że są wyjątkowo wytrzymałe i drogie. Nie szczędziłem kosztów. Wytrzymają setki lat do czasu, kiedy trzeba będzie wypchać cię na nowo. Bo z pewnością trzeba będzie to zrobić. Sposób, w jaki zabalsamuję twoje ciało sprawi, że futro będzie lśniło nawet wówczas, gdy trociny rozpadną się już na proch. Co swoją drogą zawdzięczamy tłuszczowi, którego pozbawiłem pewnego tysiącletniego żółwia. Ty również wyciągniesz więc korzyści z moich badań.

On mówi to całkowicie poważnie - pomyślał Echo. - W jego głosie nie ma nic sarkastycznego czy ironicznego. On naprawdę myśli, że zainteresuję się, jak zabalsamuje moje ciało.

Eisspin oczyma wyobraźni pozbawiał go już wnętrzości i wypychał odpadkami po drewnie.

Echo uczynił instynktownie to, co czynią krotki, gdy czują się zagrożone. Postawił ogon, nastroszył go i prychnął dziko. To jednak nie wywarło na Eisspinie żadnego wrażenia.

- Tak, pryčaj sobie - powiedział. - Skoro czujesz się po tym lepiej. Możesz też drapać i gryźć. To jednak nie ułatwi mi zadania, może co najwyżej doprowadzić do tego, że przerodzi się w męczącą i mało apetyczną sprawę. Mogę chybić cięcie. Ominąć aortę. Będę musiał przymierzyć się od nowa. Ciąć raz jeszcze. Zrujnować ci futro. Przysporzyć ci bezsensownego bólu. Obaj przecież tego nie chcemy. Prawda?

Echo przestał pryčaj, wciągnął grzbiet i opuścił ogon. Tak, to było całkowicie bezsensowne. Dlaczego pogarszać tylko to wszystko? Na swój sposób Eisspin naprawdę chciał dobrze.

- Najlepiej będzie, jeśli się położysz i zamkniesz oczy - powiedział przeraźnik słodkim głosem. Aby uspokoić krotka, trzymał skalpel w taki sposób, aby ten nie mógł go dostrzec. - W mgnieniu oka będzie po wszystkim. Powinniśmy się teraz pożegnać. Zakończmy tę sprawę honorowo!

Ma rację - pomyślał Echo. Po co odstawiać pozbawiony godności, krwawy i bolesny spektakl? Po prostu zamknąć oczy. Zasnąć.

- Nie! - krzyczał w nim inny głos. - W żadnym wypadku! Walczyć! Pryčaj! Gryźć! Drapać! Do ostatniej chwili!

Coś białego i przezroczyściego uniosło się przed Echem w górę i oddzieliło go od

Eisspina niczym kurtyna ciągnięta powoli do góry na niewidzialnej nici. Echo myślał przez moment, że traci zmysły. Że wzrok go zawodzi i że zaraz zemdleje. Potem pojął, że to Gotowany Upiór, unoszący się powoli ze szpar w podłodze, cudownie lśniąca mgła z zaświatów.

Rewolucja

Przeraźnik patrzył zdumiony. Poprzez transparentny, upiorny welon Echo był w stanie dostrzec zadziwione oblicze Eisspina, który mimowolnie cofnął się o kilka kroków, skalpel jednak trzymał w ręku.

Serce Echa radośnie podskoczyło. Koszula przyszła mu na ratunek! A może nie? Nieważne, samo uczucie, że nie staje na wprost przeraźnika samotnie, napełniło go nową nadzieją. Lecz cóż takiego będzie mogło działać to niematerialne prześcieradło w świecie, w który nie jest w stanie zaingerować fizycznie?

- Co robisz tu ten Gotowany Upiór? - zapytał poirytowany Eisspin.

- Myślałem, że dawno już zniknął.

Oślepiające szable błyskawic spadały z chmur na Sledwayę, a przez laboratorium przetoczył się ryczący grzmot. Do środka przez okna zaciął deszcz. Nieproszony gość unosił się nad tym wszystkim niewzruszenie, parę stóp nad podłogą, przenikały go delikatne fale światła. Przypominał chorągiew na wietrze.

Eisspin szybko otrząsnął się ze strachu.

- No, czego tutaj szukasz? Jesteś w złym miejscu o złej porze. Mamy robotę. Leć sobie stąd!

Potem roześmiał się, uderzając otwartą dłoń w czoło.

- O czym ja gadam z czymś, co nie ma nawet uszu, żeby usłyszeć? Żadnych ust, aby przemówić?

Zrobił krok w stronę upióra i zamachał rękami.

- A kysz! - wrzasnął. - Znikaj!

Prześcieradło nie ruszyło się z miejsca. Rozrosło się przed krotkiem niczym mur obronny.

Eisspin zdębiał. Potem zapał się pięściami pod boki i uśmiechnął szeroko.

- Chyba nie zawarłeś jakichś innych przyjaźni za moimi plecami, co? - zapytał. - Najpierw Izanuela, potem Gotowany Upiór... Chora z miłości przeraźnica i starożytny kawał

alchemików... Doprawdy, wyszukałeś sobie potężnych sprzymierzeńców!

Echo uznał, że najlepiej będzie nie odpowiadać. Eisspin zrobił energiczny krok naprzód, lecz upiór również się poruszył. Nie uciekł jednak, tylko skierował się wprost na przeraźnika. Urósł przy tym do podwójnych rozmiarów i w tej samej chwili ukazała się owa przerażająca gęba, którą Echo widział już nieraz. Teraz jednak była tak ogromna i tak przeraźliwa, jak jeszcze nigdy wcześniej, i podziałała na Eisspina w taki sposób, że ten skulił się, zatoczył parę kroków do tyłu, zasłaniając ręką twarz w obronnym geście. Widok gęby był naprawdę trudny do zniesienia, nawet dla przeraźnika.

I zastygli tak na parę chwil niczym aktorzy absurdałnej sztuki teatralnej. Deszcz ściekał z szumem z okien, w oddali grzmiało. Maska powoli bladła, upiór zaś skurczył się do poprzednich rozmiarów.

Echo znów upadł na duchu. Czy to wszystko, co chciał zdziałać na tym świecie ten nieszkodliwy upiór? Przestraszyć kogoś? Z pewnością nie wystarczy to, by odwieść Eisspina od jego planów.

- Do kroćset! - zaśmiał się Eisspin. - To było imponujące! Brawo! Naprawdę się przeraziłem! - chwycił się za serce. - Uf! Powinieneś występować w tunelu strachów.

Echo spostrzegł ze zdumieniem niespokojny blask, który rozkwitł za plecami przeraźnika. Najpierw słaby, potem coraz jaśniejszy, aż wreszcie zauważył go sam Eisspin. Wydobył z siebie ostry wrzask, upuścił skalpel i skoczył do przodu, jego peleryna stała w płomieniach! Przeklinał i krzyczał, starając się zrzucić ją z ciała, lecz zaplątał się w nią, a jego dzikie łamańce tylko podsycały płomień.

A teraz Echo zobaczył również, jak do tego doszło. Gotowany Upiór zapędził Eisspina w obszar laboratorium, do którego przypięzł pół tuzina bolejących świec, czekając, by podpalić jego szaty.

Nagle w całym laboratorium rozkwitły małe ogniki. Bolejące świece podpaliły stopy pergaminów i książek, spróchniałą chruścianą miotłę i stare drewno do kominka. Kręciły się wokół wypełnionego alkoholem szklanego balonu i wspólnie doprowadziły go swym żarem do pęknięcia. Oswobodzona substancja zapaliła się i popłynęła szeroką, płonąca rzeką poprzez stół, ogarnęła parę butli z cierpiącymi człękami, powodując ich wybuch.

Jedna z bolejących świec rzuciła się ze straceńczą odwagą z regału wprost do beczki z siarczanym proszkiem, na skutek czego pod sufit wystrzelił płomień na wysokość człowieka. Preparat krokodyla o dwóch ogonach ogarnęły płomienie.

Echo skakał w podnieceniu to tu, to tam. Chaos, panika, rewolucja pałacowa - wspaniale! Najmniejsze z dręczonych przez Eisspina stworów podjęły próbę powstania,

podjudzone przez Gotowanego Upiora, który powiewał nad wszystkim niczym rewolucyjna flaga na wietrze. Echo zupełnie się tego nie spodziewał. Nareszcie wyrównywano tu rachunki i spłacano długi. Eisspin płaci za potworne obchodzenie się z bolejącymi świecami, które dziękowały teraz Echu za to, że niejedną z nich uratował od męczarni. Czyż Eisspin sam nie powiedział kiedyś, że największych rozwiązań powinno się szukać w rzeczach najmniejszych?

Kilku oswobodzonych cierpiących człeków również chciało „odwdzińczyć się” Eisspinowi. Przewracali butle i naczynia, których płyny i proszki stawały w płomieniach lub wybuchały. Odkręcali zawory, wypuszczając gazy, które zamieniały się w prychające słupy ognia, gdy tylko dotarły do nich płomienie. Fruwały odłamki szkła, wszędzie unosił się kolorowy dym i smród siarki, trzaski i syki, jak przy fajerwerkach. Pucz, rewolta, morderstwo tyrana! A w samym środku płonący i płasający przeraźnik, wrzeszczący wniebogłosey. Wreszcie rzucił się w stronę drzwi, niczym żywa pochodnia.

Echo kaszlał i kichał jednocześnie. Zaraz obok pieca alchemicznego zapalił się czerwony proszek, którego dym nieomal pozbawił go zmysłów. Daremnie ciągnął za swój łańcuch i dopiero teraz pojął, w jak wielkim niebezpieczeństwie sam się znalazł. Całemu laboratorium groził pożar i przeobrazenie się w ogień piekielny. Zapalenie najniebezpieczniejszych substancji, fosforu, nafty i prochu, było tylko kwestią paru chwil. Mieszkanka ta zdoła wysadzić w powietrze cały zamek. Z tłącego się krokodyla skapywała na krota płonąca żywica.

I wtedy Eisspin powrócił. Kopał się jak zagaszona pochodnia, jego twarz była czarna od sadzy. Pelerynę zrzucił, za to przyciągnął za sobą przemoczony do suchej nitki koc. Żądza mordy skrzyła się w jego oczach, mokrym kocem atakował wszystko, co się paliło bądź tliło.

- No! - zawołał. - A teraz wy. - Miał na myśli bolejące świece i cierpiących człowieczków, na których rozpoczął właśnie polowanie. Bezlitośnie, jedno po drugim, miażdżył szpadlem małe stworzenia lub rozdeptywał je swymi żelaznymi podeszwami. - A! Macie! Wy! Piekielne! Nasienie! A masz! Masz! I masz! Eisspin nie oszczędził nikogo i niczego. Pozostały po nich jedynie nieruchome kupki wosku lub torfu.

Wreszcie zatrzymał się, kaszląc pośrodku pola bitwy pełnego szarych, czarnych i jadowicie żółtych kolumn dymu, pomiędzy gruzami, wygaszonymi ogniskami pożaru i odłankami szkła. Rozejrzał się. Laboratorium było mocno uszkodzone, lecz niezniszczone. Przeraźnik stłumił rewolucję za pomocą mokrej ścierki i łopaty.

- Ty! - zawołał dudniącym głosem, wskazując ostrym palcem na Gotowanego Upiora, który unosił się nad tym wszystkim. - Teraz twoja kolej!

Rzucił łopatą niczym włócznią w kierunku koszuli, która szybkim ruchem uskoczyła na bok. Łopata huknęła o regał z probówkami.

- Ty! - wrzasnął ponownie Eisspin i ruszył z gołymi rękoma na Gotowanego Upiora. Echo czuł niemal namacalnie tę złą energię, bezgraniczną wściekłość i żądzę zemsty, jakie emanowały od przeraźnika. Koszula wzdrygnęła się jak pod uderzeniem bicia, obleciała Eisspina szerokim łukiem, potem uniosła się pod sufit, gdzie zastygła z drzeniem na parę chwil. Wreszcie rzuciła się w dół i zanurkowała we wrzącym kotle z tłuszczem, z którego niegdyś się wynurzyła. I zniknęła.

Odroczenie

Egzekucja Echa została tymczasowo przesunięta. Eisspin zabrał się do pracy, by przygotować laboratorium, przynieść zastępczą aparaturę i chemikalia, wymieszać na nowo porozlewane płyny, naprawić instalację - odroczenie, jakie zostało dane delikwentowi, rozciągnęło się na całe godziny. Burza w tym czasie oddaliła się, ustępując miejsca ponurej monotonii deszczu. Zrobiło się chłodniej, zapadał wieczór.

Przeraźnik tymczasem nie odezwał się do Echa ani słowem. To, co mieli sobie do powiedzenia, zostało już powiedziane. Wysilek Eisspina, by stworzyć odświętny nastrój, został zniweczony, tyle przynajmniej dało to powstanie. Staruch był w ponurym nastroju, powarkiwał i kłął, dokonując uciążliwych napraw. Echo strzegł się, aby jakimikolwiek uwagami nie pogorszyć humoru Eisspina. Skulił się obok pieca alchemicznego i wyczekiwał tego, co miało się wydarzyć. Cóż innego zresztą mu pozostało?

Wreszcie Eisspin znowu rozpałił pod kotłem na tłuszcz, a ponieważ zapadał coraz większy mrok, zapalił świece, lecz tym razem zwyczajne, chora radość z cierpienia bolejących świec najwidoczniej mu minęła.

- No! - zawołał, gdy wszystko już prowizorycznie ponaprawiał. - Teraz znów panuje porządek. Te małe bestie pozbawiły mnie niemal dorobku całego życia. Do nikogo nie wolno odwracać się plecami! Do nikogo!

Przeraźnik zniknął za drzwiami i teraz Echo naprawdę zaczął się bać. Ostatnie odroczenie upłynęło, laboratorium gotowe do działania. Jasna, pełna tarcza księżycy była już widoczna na niebie. Oto nadszedł ten moment, nieodwołalnie. Wszyscy przyjaciele i sprzymierzeńcy uciekli lub zginęli. Znikąd nie można już było oczekiwać pomocy.

Eisspin powrócił. Zmył z siebie sadzę, przywdział odświętną ciemnoczerwoną szatę i

założył kapelusz z czarnych piór, istny księżę ciemności. Podsycił raz jeszcze ogień pod kotłem i udał się w stronę zwłok Florii.

- Tym razem się powiedzie, o ukochana - wyszeptał do niej, jak gdyby przemawiał do żywej. - Przelewając krew Echa, odnowię twoją. Do tej pory byłem jedynie marionetką na scenie życia, jak wszyscy pozostali, lecz od dzisiejszej nocy to ja będę współtworzył księgę przeznaczenia. Ja i wszechświat popatrzymy sobie w oczy. A śmierć będzie kundlem warującym na mój gwizd.

Pośpieszył w stronę Eisspinowskiego Konserwatora i odkręcił zawory.

- Soki i kwasy - zawołał przerażnik - tłuszcze i ługi, połączcie się! Niech rozpocznie się taniec elementów! Wkrótce wypełni was mój własny duch i podyktuje tempo.

W kolbach i balonach poczęło znów bulgotać, a im gwałtowniej burzyły i pieniały się chemikalia, w tym większą ekstazę popadał Eisspin. Podszedł do stołu. Z jednego z pojemników wyciągnął kulę tłuszczu i wrzucił ją do kotła.

- Tłuszcz kumaka! - triumfował, gdy ten się roztopiał. - Przedostatni składnik. Teraz brakuje jedynie tłuszczu krota.

Nietrudna do rozpoznania woń kumaka rozlała się po laboratorium. Echa zemdlilo.

- Byłoby miło, gdybyśmy się jeszcze kiedyś spotkali! - wołało za nim na pożegnanie to stare zwierzę.

A więc w taki *oto sposób* znowu się spotkamy - pomyślał Echo. Kumak stał się już tylko zapachem, ulotną wonią. Echo czuł się winny, bo zwrócił na niego uwagę Eisspina. Oczami wyobraźni widział go siedzącego nadal tam w dole, ściśniętego w ciasnym grobie.

*I przez ciasną bramę przestąp
Której miano tkwi w niebycie
Między śmiercią gdzieś a życiem*

Dlaczego akurat teraz przypomniał mi się ten wers? - zastanawiał się.

- Ciasna brama, czy był nią grób kumaka? Niezajęta jeszcze mogiła, *której miano tkwi w niebycie*. A cóż oddzielało lepiej życie od śmierci niż grób?

Coś skrywało się w zapachu kumaka. Z kotła z tłuszczem wydobyło się coś, co skłoniło go do wypowiedzenia tych wersów.

- *Duchu, wiem ja, iż mnie słyszysz* - zawołał głośno Echo.

- Co? - zapytał Eisspin.

- *Daj przywołać się wśród ciszy* - kontynuował krotek. - *Opuść zimnych łez królestwo.*

- Dlaczego deklamujesz ten wiersz? - przerażnik był poirytowany. W kotle z tłuszczem zabulgotało nagle mocniej niż uprzednio. Na powierzchni pojawiły się grube pęcherze, które pękały z hukiem. Zapach kumaka stawał się coraz intensywniejszy.

- *I przez ciasną bramę przestąp* - wołał Echo. - *Której miano tkwi w niebycie.*

Między śmiercią gdzieś a życiem.

We wnętrzu kotła coś głośno się zakotłowało, breja zaczęła kipieć i przelała się. Wylewała się poprzez krawędź szerokimi strugami, spływała w dół po czarnym kotle i gasła z sykiem w ogniu. Czegoś takiego Echo jeszcze nie widział. Eisspin najwyraźniej również nie, bo rzucił się w stronę kotła i począł krążyć wokół niego ze zmartwioną miną.

- Co tu się wyprawia?! - krzyczał. - Substancja się marnuje! Drogocenna substancja!

- *Camomin, tłuszcz z karaluchów!* - wołał Echo. - *Z katafalku wstawaj duchu!*

- Zamknij pysk! - prychnął wściekle Eisspin. Zerwał kapelusz i cisnął nim o ziemię. - Wszystko pomieszaleś!

- *Wzleć nad wrzące z kotła pluchy* - deklamował Echo tak głośno, jak tylko mógł. - *Tamtej strony zrzucić łańcuchy!*

- Przestań natychmiast! - wrzeszczał Eisspin. - Jeszcze jedno słowo, a poderżnę ci gardło - chwycił za skalpel, chwiał się jednak niezdecydowany pomiędzy kotłem a Echem. Zbyt alarmujące wydały mu się wydarzenia zachodzące w garze, aby mógł spełnić swą groźbę natychmiast.

- *Oddziel się od świata swego!* - wołał niewzruszenie Echo. - *Nie masz w nim już szukać czego! Wkrocz niniejszym w wymiar mój! W nim się jak u siebie czuj!*

Z kotła wylewało się coraz więcej brei, która wielokrotnie zmieniała przy tym barwę i wypuszczała mieniające się bańki unoszące się po laboratorium, tak jak wówczas, gdy narodził się Gotowany Upiór.

- Wszystko stracone! - skrzeczał Eisspin, który w dalszym ciągu skakał bezradnie wokół kotła. - Wszystko się zmarnuje!

Zawartość kotła wzburzyła się teraz jeszcze bardziej. Dobiegał przy tym ryk niczym z podwodnego wulkanu, zadzwoniło całe zgromadzone w laboratorium szkło. Całe pomieszczenie wibrowało, małe przedmioty leżące na stołach wędrowały w rytm wstrząsów. Z regału spadła książka, a potem rozległ się głośny, wysoki ton, od którego Echa rozboleły uszy. Krotek nagle sobie uświadomił, że gdzieś w tym pomieszczeniu, otworzyło się przejście do innego świata. Tak zapowiadała się wizyta z zaświatów.

Ze spienionej brei uniósł się Gotowany Upiór, lśniący jak nigdy wcześniej. Nie musiał oddzielać się od niej z trudem, jak za pierwszym razem, przeobraził się po prostu w lśniący

opar, unoszący się po laboratorium. Podążał za nim kolejny, otoczony równie wielkim blaskiem. Potem trzeci. Czwarty. I jeszcze jeden. I jeszcze jeden.

Eisspin umknął spod kotła. Wyływały z niego, jedno za drugim, mieniące się koszule. Zgromadziły się i poczęły krążyć pod sufitem laboratorium, tworząc kopułę upiornego światła.

- Co ty narobiłeś? - zapytał drżącym głosem zrozpaczony Eisspin.

- Nie mam zielonego pojęcia - odpowiedział Echo.

Demony

Breja w kotle znów się uspokoiła. W pomieszczeniu królowała osobliwa, nawet jak na warunki laboratorium, różnorodność zapachów. I choć Echo w ogóle nie znał większości tych woni, mimo wszystko był w stanie je wymienić.

- Pachnie szponamandrą - powiedział półgłosem. - Jaskółką śnieżną. Ropuchą kraterową. Ubufantem. Camingiem.

- Prawidłowo - wyszeptał Eisspin. Z poważną miną obserwował dziwną procesję, zgromadzoną pod sufitem. - I wieloma innymi zwierzętami, które ugotowałem. Wszystkie powróciły jako upiory. Tą samą drogą, którą odeszły. Poprzez kocioł.

- Czego tutaj chcą?

- Nie wiem - odparł przerażnik. - Wiem jedynie, że nie mogą mi niczego zrobić.

- W takim razie, dlaczego tak drżysz?

Eisspin nie odpowiedział.

- Wąż platynowy - wyliczał ponownie Echo. - Niedźwiedź piżmaczy. Żelazny orzeł. Hukkan dwugłowy. Cinoceront. Yagg.

- Uspokój się! - syknął Eisspin.

Echo zamilkł.

Jeden z Gotowanych Upiorów odłączył się od pozostałych i zaczął wirować po pomieszczeniu, niczym liść na wietrze. Nagle ruszył lotem nurkowym w stronę wypchanego lisa karłowatego, tego, który tak bardzo przeraził Echa podczas pierwszej nocy. Stojący na regale lis rozbłysnął jasno, zaczęło trzeszczeć i chrupać niczym w baterii alchemicznej. Po czym upiór wyleciał z wnętrza preparatu, wykonał jedno okrążenie wokół laboratorium i dołączył do swych wirujących towarzyszy.

- Co to było? - wyszeptał Echo. - Dlaczego on to zrobił?

Eisspin nie odrywał wzroku od sufitu.

- Nie mam pojęcia - powiedział. - Przestań zadawać głupie pytania!

Upiory zaczęły wirować coraz szybciej, aż Echu zakręciło się w głowie od samego patrzenia. Potem jeden po drugim poczęły się odłączać od wirującego roju i wylatywać za drzwi na korytarz. Krotek i przerażnik zostali znowu sami.

Eisspin potarł oślepienie oczy.

- Ustalę, co tu się wyprawia - krzyczał. - Mam nadzieję, że nie zamierzają się tutaj zagnieździć! Mój zamek to nie gołębnik dla Gotowanych Upiorów! - podwinął pelerynę i pośpieszył za świetlnymi zjawiskami.

Echo znowu został sam w laboratorium. Wydało mu się to jeszcze bardziej zdumiewające niż te wszystkie wydarzenia. W zasadzie od dawna powinien już być martwy, wygotowany do małej kulki tłuszczu. Pociągnął za swój łańcuch. Trzymał mocniej niż poprzednio. Co robić? Echo nadstawił uszu i nasłuchiwał. Stukot kroków Eisspina oddalił się. Słyszał było jedynie monotony szum deszczu, nic więcej.

Nie, chwileczkę, jest tu coś jeszcze! Echo uniósł głowę. Jeszcze bardziej nadstawił uszu. Trzask. Chrupot. I to nie na zewnątrz, na korytarzu, tylko tu, w laboratorium. Gdzieś słyszał już takie trzeszczenie? Dopiero co, kiedy Gotowany Upiór wbił się w wypchanego lisa. Echo spojrzał w kierunku preparatu zwierzęcia - i sierść na grzbiecie mu się zjeżyła.

Lis się poruszał. Z początku powoli, jego głowa obróciła się lekko z trzaskiem, a oczy rozbłysły jasnym blaskiem. Zgasły ponownie, za to zaczął poruszać się ogon. Lis zamknął rozwarty pysk i uniósł z cokołu przednią lewą łapę. Futro lisa przeszył elektryzujący trzask, sierść się zjeżyła, posypały się iskry - i wtedy zwierzę wykonało parę kroków do przodu, zeskoczyło z regału i stanęło na środku laboratorium.

Tego już za wiele - pomyślał Echo. - Zaraz zemdleję.

Lis przebiegł trzy, cztery kroki, zatrzymał się i zaczął wietrzyć z nosem wysoko w górze. Próbował zorientować się pośród tych wszystkich, unoszących się w powietrzu, obcych woni. Wyłowił najbardziej interesującą. Obrócił głowę w stronę Echa. Obnażył zęby. I zaczął cicho warczeć.

- Tylko spokojnie! - powiedział mimo woli Echo. - Przecież niczego ci nie zrobię.

Jednak lis nie wykazywał żadnego zainteresowania konwersacją. Jego oczy rozbłysły upiornie, kiedy zbliżał się powoli, z pyska kapą mu ślina. Czymkolwiek było to, co napęliło go życiem, przekazało mu porządną dawkę żądy mordy.

Echo ciągnął łańcuch we wszystkie strony, lecz bezskutecznie. Przecież nie przetrwałem tego wszystkiego po to, żeby rozszarpał mnie teraz jakiś kundel niższego

gatunku! - przeleciało mu przez głowę. - Nie tutaj! Nie teraz!

Lisa dzieliły od niego jeszcze tylko dwie, może trzy długości ciała, zaczął szykować się do skoku. Ugiął tylne łapy. Obnażył jeszcze więcej zębów. Przymrużył oczy do wąskich szparek.

Echo wygiął grzbiet i postawił nastroszony ogon. Zaprezentował swoje zęby i szeroko otwarty, wściekły pysk. Wyglądał, jakby urósł drugie tyle. Prychał do tego tak głośno, jak tylko potrafił.

Lis na ten widok skulił się ze skomleniem i wystrzelił za drzwi niczym czerwona błyskawica. Krotek ponownie przykucnął.

Znów przybliżał się stukot kroków Eisspina! Echo słyszał jeszcze inne odgłosy, których nie był w stanie określić. Niepokojące odgłosy. Dziwnie obce dźwięki, jakby dzikich i niebezpiecznych zwierząt.

Eisspin wparował do środka.

- Szybko! - powiedział bardziej do siebie niż do swego więźnia. - Musimy się pospieszyć!

- Co się dzieje? - zapytał Echo, skacząc w zdenerwowaniu to w jedną, to w drugą stronę. - Tutaj ożył ten lis, w którego wleciał upiór.

- Jedyne lis? - wysapał, łapiąc oddech Eisspin. - Nie masz pojęcia, jakiego tu narobiłeś bigosu.

Podszedł spieszenie do jedynej w laboratorium ściany, która nie była zastawiona regałami. Nacisnął parę czarnych kamieni, a mur zaczął poruszać się w ten sam sposób, jak w złotym skarbcu.

- Upiory nie są w stanie zaingerować w świat żywych - powiedział Eisspin, spiesząc w kierunku Echa. - Ale najwyraźniej w świat martwych owszem. Suną przez cały zamek i budzą mumie, jedną za drugą.

- Budzą twoje wypchane demony? - Echo zdenerwował się jeszcze bardziej.

- Tak. Wystarczy, że wleci w nie jeden z upiorów. Czasami wlatują dwa lub trzy. Ale budzą się wszystkie. I każda z tych wypchanych bestii uwzięła się na mnie. Serdeczne dzięki ci za to!

Echo nie wiedział, co sądzić o tej sytuacji. Eisspin się bał. To dobrze. Liściołaki i leszczynowe wiedźmy szalały po zamku. To niedobrze. Eisspin otworzył drzwiczki pieca alchemicznego.

- Co tam robisz? - zapytał Echo.

- Może mi nie uwierzysz - powiedział Eisspin, chwytając krotka i podnosząc go do

góry - ale nie uciekam, tylko śpieszę ci na ratunek. Tak łatwo się nie poddam - schował krotka w zimnym piecu.

- Ukryj się tu w środku! Zachowuj się tak cicho, jak to możliwe. - Eisspin zamknął drzwi od pieca tak mocno, jak mu pozwalał wystający przez drzwi łańcuch.

- Dlaczego mnie nie uwolnisz i nie zabierzesz ze sobą? - zapytał przez kraty strwożony Echo. - Dokąd idziesz?

- Wierz mi - przekonywał Eisspin. - To, co zamierzam, mogę uczynić tylko sam. Po prostu zachowuj się cicho, być może nic ci się wtedy nie stanie. I módl się, żeby mi się udało.

Eisspin podbiegł do muru, w którym otworzyły się drzwi, prowadzące do małego pomieszczenia.

- Co to za pokój? - zapytał Echo. - Kryjówka?

- To żaden pokój - odparł Eisspin. - To winda. Życz mi szczęścia!

Kamienie zasunęły się z powrotem. Wyglądało to tak, jakby ktoś niewidzialny zamurował przeraźnika żywcem. Po czym zniknął.

Echo skulił się na podłodze pieca alchemicznego. Pachniało w nim zimnym popiołem, siarką i fosforem. Wolał nie wyobrażać sobie wszystkich tych rzeczy, które spalił w nim Eisspin. Zza krat obserwował w napięciu laboratorium.

Nagle zrobiło się jasno. Upiory nadleciały gęstym rojem, zanurzając wszystko w srebrzystym świetle. Wykonały parę okrążeń pod sklepieniem i jeden po drugim, zaczęły nurkować do kotła z tłuszczem.

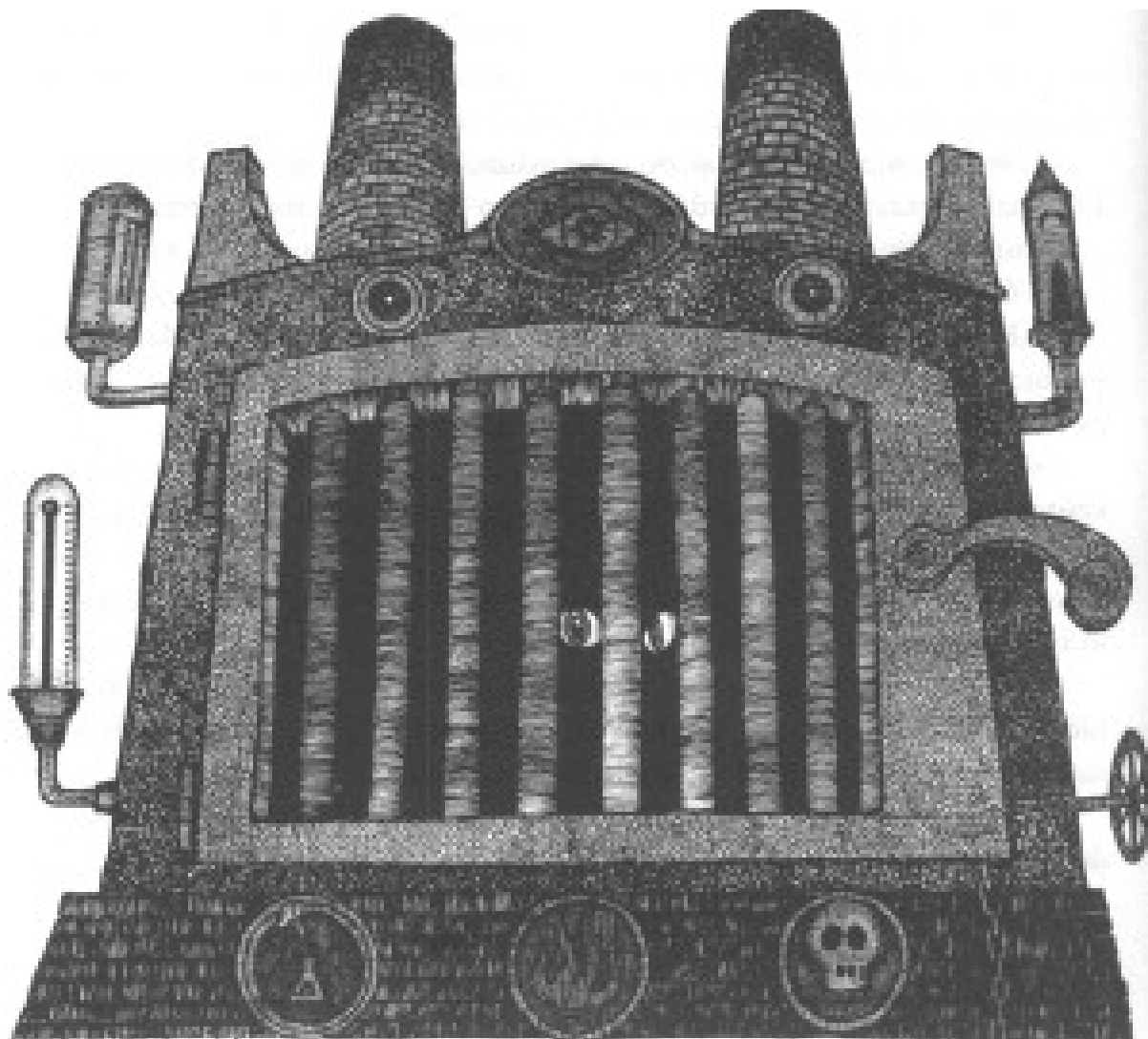
- Jaskółka śnieżna - wyliczał Echo. - Ropucha kraterowa. Ubufant. Caming. Szponamandra. - Oto odchodziły. Do zimnych łez królestwa.

Na koniec pozostał tylko jeden jedyny upiór. Była to koszula, niemy przyjaciel Echa. Obrócił się raz jeszcze powoli wokół własnej osi, jak gdyby kogoś szukał. Potem rozbłysnął jasno, rzucił się w dół i zniknął w kotle.

Trzymaj się! - pomyślał Echo i znów nadstawił uszu. Chętnie pożegnałby się godniej, lecz te groźne dźwięki stały się tak głośne, że miał teraz inne zmartwienia na głowie. Sapanie i powarkiwania. Syki i szepty. Echo wstrzymał oddech.

I wtedy weszli do środka. Jako pierwsza przygarbiona wiedźma leszczynowa o członkach z sękatego drewna i sukience z zielonych liści. Skrzyżowała długie drewniane palce z gałęzi, wysuwając co chwila z ust żółtawy język, niczym u węża.

Podążała za nią żytnia zmora, wślizgując się upiornie, zdająca składać się jedynie ze stęchłego całunu. W jej kapturze, tam gdzie właściwie powinna się znajdować twarz, ziała



czarna dziura. Wydała z siebie dźwięk przypominający wycie i jęki wiatru w kominach zamku.

Następna weszła mumia cyklopa, cała spowita w cmentarny muślin. Cuchnęła tak potwornie, że Echo odsunął się od krat. Była powolna i poruszała się niczym lunatyk, oznaczało to jednak, że dysponuje niezwykłą siłą fizyczną. Mumie cyklopie uwielbiały ponoć łamać wszystkie członki swym ofiarom, a potem patrzeć, jak powoli zdychają.

Do laboratorium wkroczył szary żniwiarz. Jego łysa czaszka lśniła w świetle świec, a Echo nie byłby w stanie stwierdzić, czy była to prawdziwa twarz, czy może maska.

Wraz z nim wszedł liściołak, jeden z najgroźniejszych potworów camońskiej przyrody. Biegł na czterech łapach, zaraz obok żniwiarza, z pyska skapywała mu żywica. On właśnie był tym, który wydawał z siebie to przerażające warczenie.

Na końcu do środka wpełzł również Złoty Ghoul, ziemnowodna poczwara z bagien Dullsgardu, o złotej łusce i stalowozielonych oczach, pozostawiając za sobą długie pasmo śluzu.



Straszydła te przerażały krota, nawet kiedy były martwe. Teraz naprawdę miał wszelkie powody, aby się bać. Przybyły, żeby rozszarpać przeraźnika swymi pazurami i szponami, by udusić go mackami, zatruć śmiertelnościami oddechem, by wyprawić go na tamten świat w każdy możliwy do wymyślenia sposób - jednak w laboratorium go nie było. Wściekle poczęły przewracać ławy i stoły, obalały na ziemię regały i grzebały w szafach. Ogarniała je coraz większa złość.

Echo przeczołgał się na brzuchu w najdalszy kąt pieca alchemicznego, uważając przy tym, by jego łańcuch nie wydał żadnego dźwięku. Leżały tu zwęglone kości i zęby, lecz było

mu to w tej chwili obojętne. Bał się, że upiory otworzą drzwi pieca i go odkryją.

Przynajmniej nie musiał teraz patrzeć na te potwory, lecz niestety słyszał je nadal, i to aż za dobrze. Dźwięki, jakie z siebie wydawały, były nie z tego świata, stworzone, by prześladować ludzi w koszmarach. Prychanie i powarkiwania, ochryply chichot, groźne pochrząkiwania. Od czasu do czasu wpadały na siebie, rozlegało się wówczas dzikie syczenie i jazgot - jakże musiałyby brzmieć, gdyby naprawdę nawzajem się zaatakowały?

Jak Eisspin zamierza sobie z tym poradzić? - zadawał sobie pytanie Echo. - Z półtuzinem najniebezpieczniejszych potworów w Camonii. I z wszystkimi pozostałymi, które prawdopodobnie błędziły jeszcze po zamku. Niewykonalne! Być może staruch dawno się już ulotnił, a krota zostawił na przynętę dla tych bestii. Był przecież wystarczająco podstępny i podły, aby to zrobić.

Coś przeorało po pancerzu pieca alchemicznego. Czy były to zaszuszone palce wiedźmy leszczynowej? Albo pazury liściołaka? Ktoś pociągnął za jego łańcuch! Odkryli go!

Echo zapał się łapkami, lecz nadaremnie, nieznaną siłą ciągnęła go za obrozę ku drzwiom pieca, prześlizgiwał się coraz bardziej do przodu. Krata została otwarta, światło świec wpadło do środka i Echo spojrział w pusty kaptur żytniej zmory. W ziejącą czarną dziurę. Zmora chuchnęła na niego, a jej zatęchły i równocześnie lodowaty oddech nieomal pozbawił go zmysłów.

To już koniec - pomyślał.

Żytnia zmora chuchnęła po raz drugi. Echo uderzył smród eteru i chłód grobu. Ugięły się pod nim łapki. Zakręciło mu się w głowie i poczuł się bardzo zmęczony, jak po tańcach i biesiadzie z Eisspinem.

Chcę zasnąć - pomyślał. - Wreszcie zasnąć.

Zmora nabrała powietrza, by obdarzyć Echa trzecim i ostatecznym technieniem śmierci.

Nagle rozległ się tumult. Z korytarza dochodziły skrzekliwe wrzaski, a po chwili w laboratorium coś zaczęło prychać i warkotać. Żytnia zmora odwróciła się. Echo spojrział na laboratorium. Wiedźma leszczynowa, liściołak, szary żniwiarz, mumia i Ghoul - wszyscy wpatrzeni byli w drzwi.

Na zewnątrz znów rozległy się rozpaczliwe wrzaski. Czy to okrzyki śmierci? Czyje? Kto tam ginął? Kto zabijał? Echo odważył się teraz wychylić głowę zza drzwi pieca. Na szczęście nikt się nim nie interesował.

Ani Echu, ani nieobecnemu Eisspinowi nie przysługiwało już zainteresowanie ogółu, lecz jedynie istocie, która pojawiła się nagle niczym wyczarowana i przepływała właśnie nad progiem drzwi. W zjawie tej Echo rozpoznał Śnieżnobiałą Wdowę.

Taniec śmierci

Echo przylgnął płasko do podłogi pieca. Eisspin uwolnił Śnieżnobiałą Wdowę, a ta na jego rozkaz urządziła właśnie polowanie na przebudzone demony. Powycinała w pień jednego za drugim i teraz przybyła tutaj, by dokończyć swego dzieła. Lecz gdzie był przeraźnik?

Echo odważył się wyrzec ostrożnie zza krat. Czy tak wiele niebezpiecznych potworów spotkało się kiedykolwiek w jednym pomieszczeniu? Pewnie nigdy, z pewnością był to rekord. A on znajdował się w środku tego wszystkiego!

Śnieżnobiała Wdowa zdawała się rozkoszować tym, że skupiła na sobie uwagę wszystkich. Okręciła się w kokietyjnym piruecie, unosząc do góry swe białe włosy. Tanecznym krokiem przesunęła się po progu w lewo, potem w prawo i z powrotem do środka. Potem uniosła się w górę rytmicznie jak meduza i niczym kłęb mgły lekko wpłynęła do laboratorium. Kierowała się na sam środek pomieszczenia, do centrum demonicznego kręgu.

Jak pewna musi być siebie - pomyślał Echo. - Cóż takiego mówił o niej Eisspin?

Kiedy cię użądli, jesteś niechybnie martwy. Nie istnieje żadne antidotum, ponieważ codziennie zmienia skład swego jadu. A to, co ta trucizna robi z twoim ciałem, nie ma precedensu w świecie substancji toksycznych. Śmierć zadana przez Śnieżnobiałą Wdowę jest najpiękniejsza i najstraszliwsza zarazem, największą męką i najwyższym zachwytem. Jest królową strachu.

Królowa strachu - również demony wydawały się odczuwać majestat wdowy i jej pewność siebie, trzymały się bowiem w pełnej szacunku odległości. I tak jak krotka, zahipnotyzował je pełen potwornego piękna taniec tej jedynej w swym rodzaju istoty, która najwidoczniej nie podporządkowywała się żadnym prawom przyrody. Wydawało się, że laboratorium wypełniała substancja, w której to unosiła się w górę, to opadała w dół. Jej białe pasma rozdzielały się i łączyły, tworząc gęstą zasłonę, lub rozsypywały się na tysiące pojedynczych włosów powiewających we wszystkich kierunkach.

Liściołak był tym, który przełamał czar. Głupi dziki drapieźnik, który nie wiedział, co to strach, chciał przekonać się, jak też smakuje Śnieżnobiała Wdowa. Wykonał błyskawiczny skok w jej kierunku, który został jednak raptownie zatrzymany. Śnieżnobiała Wdowa znalazła się bowiem przy liściołaku wcześniej, niż on był w stanie dotrzeć do niej. Zanim zorientował się, co się z nim dzieje, siedziała już na nim, ściskając pasmami włosów gardło i pysk. Przeszyła jego ciało setkami ukłuć. Po chwili znów unosiła się majestatycznie na środku

pomieszczenia. Wszystko trwało nie dłużej niż parę uderzeń serca.

Liściołak stanął na tylnych łapach i wyprostował się, aby udowodnić wszystkim, że jest panem sytuacji. Sądził, iż przetrwał atak. Jednak jego kroki były ociężałe, potykał się o własne nogi. Złapał się mocno krawędzi stołu i rozpaczliwie chwycił powietrze. Wszyscy patrzyli jak urzeczeni na to, co się dzieje.

Wilk zgiął się od nagłego bólu. Zawył rozdzierająco, po czym jęknął niemal z rozkoszą. W oczach stanęły mu łzy. Ponownie się skulił, z pyska pociekła mu zielona, spieniona ciecz. Rozejrzał się zdumionymi, bezradnymi oczyma, całe jego ciało drżało. Liście, które pokrywały go od stóp do głów, stały się kamiennoszare i zaczęły wypadać. Raz jeszcze skulił się i jęknął, ogarnęły go gwałtowne dreszcze. Wył niczym katowany pies. Teraz stracił już resztki swych kolorów, a jego liście stały się białe. Spadały jeden za drugim, niczym płatki śniegu pokryły podłogę wokół niego. Po potężnym drapieźniku pozostał jedynie goły szkielet, w którym wciąż pracowały szare organy. Po chwili upadł na kolana. Rozległ się delikatny chrzęst, przypominający kruszenie się lodu. To jego kości i organy rozpadły się na setki białych płatków. Pozostała jedynie kupka, wyglądająca jak świeżo opadły śnieg.

Złoty Ghoul, stojący najbliżej drzwi, próbował uciec. Jednak nie zrobił nawet kroku, gdy Śnieżnobiała Wdowa znalazła się na jego plecach. Oplotła pasmami włosów jego członki, niczym ośmiornica chwytająca swą ofiarę. Uniosła go aż pod sufit i zacisnęła się wokół niego tak mocno, że Ghoul napiął się niczym łuk, aż kręgosłup pękł mu z potwornym trzaskiem. Darł się jak żywcem odzierany ze skóry, a Śnieżnobiała Wdowa upuściła go po prostu na podłogę, gdzie pozostał targany dreszczami. Opadła powoli i wykonała elegancki taniec nad swą ofiarą, kręcąc piruety i co chwila zadając ukłucia końcówkami swych włosów. Po czym lekko niczym piórko poszybowała z powrotem na środek laboratorium.

Ghoul potrząsał ramionami w gwałtownych dreszczach - bo tylko nimi mógł jeszcze ruszać - skrzecząc przy tym wysokim falsetem. Jego łuskowa skóra odbarwiała się, zrobiła się jasnożółta, potem szara i biała, a wkrótce również i po nim pozostał tylko szkielet, który zawrotnie szybko rozpadł się w pył.

Następna w kolejce była żytnia zmora. Śnieżnobiała Wdowa skokiem szybkim jak błyskawica odcięła jej drogę ucieczki. Przez dziurę w kapturze wśliznęła się do środka i zniknęła. Była to najbardziej zdumiewająca rzecz, jaką do tej pory uczyniła, pozostałe demony oniemiały z zaskoczenia.

Teraz to żytnia zmora zatańczyła. Wydała kilka westchnień wypełnionych tak wielkim bólem, że nietrudno było się domyślić, co dzieje się w jej wnętrznościach. Drżała przy tym na

całym ciele, a zatęchła, szara chusta, która ją spowijała, robiła się coraz jaśniejsza i prześwitująca. Rozerwała się w wielu miejscach, uwalniając syczący strumień zielonkawej pary. Wreszcie resztki szaty rozpadły się w śnieżnobiały pył. Pozostała jedynie zabójcza wdowa, kołysząca się miękko w miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stała żytnia zmora. Najprawdopodobniej zastanawiała się właśnie, kogo wybrać na kolejną ofiarę.

Echo zobaczył już więcej, niż by chciał. Skulił głowę i zaszył się w najdalszej części pieca. Zamknął oczy, lecz to nie uchroniło go przed przerażającymi dźwiękami, towarzyszącymi kolejnym egzekucjom - ostrym wrzaskiem i kwikiem leszczynowej wiedźmy. Trzaskiem i chrobotem, z jakim wdowa połamała mumii cyklopiej wszystkie kości. Obląkańczymi krzykami szarego żniwiarza.

Po czym wreszcie zapadła cisza.

Echo otworzył oczy, leżał jednak nadal i nie poruszał się. Migoczące światło świec, rozcięte kratami drzwi od pieca, tańczyło na sklepieniu jego żelaznego więzienia. Niczego więcej nie było widać.

Gdzie, do diabła, podziewa się Eisspin? Echo nadstawił uszu, nasłuchując jego stukającego kroku. Panowała cisza. Nawet deszcz przestał padać. Wiatr nie zawodził. Absolutny spokój. Co porabia Śnieżnobiała Wdowa? Czy wciąż znajduje się w laboratorium? A może gdzieś dalej szuka kolejnych ofiar? Może siedzi na piecu alchemicznym albo unosi się, przemierzając korytarze zamku. Może czai się na Echo. Albo może o nim zapomniała. W każdym razie najrozsądniej jest siedzieć cichutko jak myszka - stwierdził Echo.

Gdzie jest Eisspin?

To nie w porządku, że istota żywa nie wydaje z siebie żadnego dźwięku - pomyślał Echo - żadnych zapachów. Coś takiego jak Śnieżnobiała Wdowa powinno zostać wykluczone z camońskiej przyrody.

Gdzie podziewa się ten przeraźnik? Czy staruch nadal żyje? Być może był pierwszym, który zginął od jadu Śnieżnobiałej Wdowy zaraz po jej oswobodzeniu. To nawet bardzo prawdopodobne. Bo w jaki sposób można było ujarzmić taką bestię? Tę, która nie podporządkowywała się żadnym prawom, nawet przyrody? Eisspin sam ocenił swój zamiar jako niebezpieczny. Przypuszczalnie leżał teraz w piwnicy, zaraz obok otwartej szklanej klatki Śnieżnobiałej Wdowy, zredukowany do kupki białych płatków. Być może tańczył teraz po korytarzach wraz z wszystkimi pozostałymi zamienionymi w pył demonami, w rytm niesamowitej muzyki zamku. Być może i był wytrzymały, lecz nieodporny na ukłucia Śnieżnobiałej Wdowy.

Kraty pieca zaczęło oplatać coś wyglądającego na bluszcz. Nie, to nie był żaden

bluszcz, to nie był również wąż. Było to pasmo włosów Śnieżnobiałej Wdowy.

Echo chciał wycofać się jeszcze głębiej, lecz za nim znajdowała się już tylko żeliwna ściana. Srebrzyste pasmo znalazło po omacku drogę pomiędzy kratami i wpełzło do wnętrza pieca. Wiło się po podłodze niczym strumyk, kierując się dokładnie na Echa. Drugie pasmo prześliznęło się przez kraty. Potem trzecie.

Dawno już mnie znalazła - pomyślał Echo. - Bawi się mną tylko.

Trzecie pasmo oplotło się wokół jednego z prętów w kracie i otworzyło skrzypiące drzwi od pieca. Do środka wpadło więcej światła. Śnieżnobiała Wdowa uniosła się powoli w górę. Sprawiała wrażenie tak delikatnej i wrażliwej na zranienia jak meduza. Ale nie była w stanie go omamić, Echo wiedział już, do czego była zdolna. Uniósł się na swych drżących łapkach. Nawet gdyby próba ucieczki miała jakiegokolwiek szanse powodzenia, ze strachu prawdopodobnie nie byłby w ogóle w stanie ruszyć się z miejsca.

Zasłona srebrnobiałych włosów otworzyła się nagle i Echo ponownie ujrzał to potworne oko. Tym razem nie przeraził się aż tak bardzo, bo wiedział, co zobaczy. Mimo wszystko trudno było mu stawić czoła temu spojrzeniu.

- Ty - powiedziała Śnieżnobiała Wdowa. - Znam cię - przemówiła do niego poprzez myśli. Jej głos, rozbrzmiewający w głowie Echa, był delikatny i kruchy.

- Wiem - odpowiedział Echo. - Ja też ciebie znam.

- Miło, że znów się spotykamy. Miło, że wreszcie możemy porozmawiać. Więzienie, które zbudował dla mnie Eisspin, było z antytelepatycznego szkła. Nie mogła się przez nie przedostać ani jedna myśl.

- Chciałabyś ze mną porozmawiać? - zapytał drżącym głosem Echo.

- Nie, tak właściwie to nie. Chciałabym cię zabić, to moje najgorętsze pragnienie. Lecz kiedy nadarza się okazja kulturalnej rozmowy, zadaję sobie ten trud i tłumię mą morderczą naturę. Staram się rozmawiać z większością mych ofiar.

- Naprawdę?

- Tak, o ile jest na to czas. Ale mówią mniej więcej o tym samym: „Nie, proszę, nie! Nie chcę umierać! Och, ten ból! Ach, te męki!”. I tak dalej. Nic szczególnie interesującego.

- Posiadam szeroki wachlarz tematów do konwersacji - zapewnił spieszenie Echo. - O czym chciałabyś porozmawiać?

- To miło z twojej strony, lecz jestem zbyt niecierpliwa na przydługawe

pogaduszki. Zazwyczaj pozwalam moim ofiarom na zadanie jednego pytania i staram się na nie odpowiedzieć zgodnie z moją najlepszą wiedzą. Potem przystępujemy do rzeczy.

- Tylko jedno pytanie? - Echo próbował przełknąć ślinę, lecz gardło miało zbyt suche, by to zrobić.

- Tak. Jedno jedyne. Możesz je teraz zadać - Śnieżnobiała Wdowa zasunęła kurtynę swoich włosów.

Echo zauważył to z ulgą, ponieważ nie musiał już patrzeć w to przerażające oko. Nie potrzebował też wiele czasu, by zastanowić się nad swoim pytaniem.

- Gdzie jest przeraźnik? - zapytał. Jeśli wszelka nadzieja była stracona, chciał przynajmniej mieć tego pewność.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała Śnieżnobiała Wdowa. - Ostatni raz widziałam go przed moją klatką. Kiedy ją otwierał.

- I nie zabiłaś go?

- To już drugie pytanie. Ale zależy mi, aby na nie odpowiedzieć. Nie myśl sobie, że okazałam Eisspinowi jakiegokolwiek miłosierdzia. Jestem bezlitosna. Ale zawarłam z nim umowę.

- Umowę? - zapytał Echo. - Ja też mam umowę z Eisspinem.

- Ach tak? To dopiero interesujące. A jaką to?

Echo urwał. Wciąż z trudem mógł o tym mówić.

- No cóż, żeby nie przedłużać... Zawarliśmy umowę, że ma prawo mnie zabić. Podczas tej nocy.

- Jak miło! Ale nic z tego nie będzie. Ponieważ ja zabiję cię szybciej.

- A jaką ty zawarłaś z nim umowę? - zapytał Echo, by zboczyć z drażliwego tematu.

- To już trzecie pytanie - powiedziała chłodno Śnieżnobiała Wdowa. - Za dużo jak dla mnie. Muszę cię teraz zabić. I przykro mi, że muszę to powiedzieć, ale będzie to niezwykle bolesne. A co tam, w ogóle nie jest mi przykro. Jest mi to obojętne.

- Ale tylko Eisspin ma prawo mnie zabić. - Echo spróbował raz jeszcze. - Spełnił swoją część umowy.

- Moja umowa z nim nic na ten temat nie wspomina. Kto pierwszy przyjdzie, pierwszy zgładzi. Mógł się pospieszyć. Nie myślał zapewne, że jestem aż taka szybka.

- Jesteś naprawdę szybka - powiedział Echo. - Nigdy nie wiedziałem kogoś tak

szybkiego.

- Och, dziękuję - powiedziała ułagodzona Śnieżnobiała Wdowa. - Czasami chciałabym umieć pohamowywać nieco mój pośpiech. Miałabym wtedy z tego więcej przyjemności.

- No to zrób to! - zalecił Echo.

- Co?

- No, pohamuj się.

Śnieżnobiała Wdowa zdawała się zastanawiać.

- Ja mam się pohamować? Kiedy? Teraz? - zapytała.

- Dokładnie. Musisz przecież kiedyś w końcu zacząć.

- Naprawdę mały spryciarz z ciebie. Jeszcze nigdy nie zdarzyło mi się rozmawiać tak długo z którąś z mych ofiar. Ale jeśli wydaje ci się, że tą wygadana gębą uda ci się odwieść mnie od zrobienia tego, co potrafię najlepiej, to grubo się mylisz. Posłuchaj: jestem uzależniona od śmierci. Po prostu lubię patrzeć, jak umierają inni, cóż mogę poradzić? To sprawia, że czuję się żywa. I dlatego powiem ci teraz to, co mówią wszyscy uzależnieni, jeśli ktoś chce przekonać ich do walki z nałogiem.

- Czyli? - zapytał strwożony Echo.

- Mówią: „jasne, pohamuję się. Bezwzględnie! Od jutra! Ale dzisiaj strzelę sobie tak porządnie, jeszcze jeden raz”.

Echu nie przychodziło już nic więcej do głowy.

- Miło było z tobą pogawędzić - powiedziała Śnieżnobiała Wdowa. - Ale patrzenie na twoją śmierć będzie jeszcze miłsze.

Spuściła na Echa jedno ze swoich pasm.

- Założę się - powiedziała - że do twarzy ci w białym.

Włosy Śnieżnobiałej Wdowy splotły się z krocim futrem. Dotarły do skóry Echa i zaczęły już badać, poszukując żył, z których trucizna rozprzestrzeni się najszybciej.

- Nie potrafię zdecydować, którą żyłę mam wybrać - wyszeptwała. - Wszystkie pulsują jak oszalałe, bo twoje serce wali tak mocno.

- Stój! - zagrzmiął w laboratorium jakiś głos. - On należy do mnie!

Śnieżnobiała Wdowa błyskawicznie wyciągnęła swe pasma z pieca i zawirowała ponad nim.

- Uuuff - sapnął Echo i nabrał głęboko powietrza. Jak długo wstrzymywał już oddech?

Opryskliwy głos Eisspina był jak muzyka dla jego uszu.

- Czego chcesz? - wysyczała Śnieżnobiała Wdowa.

Echo przydreptał do krawędzi pieca i wyciągnął szyję, aby zobaczyć, co dzieje się na zewnątrz.

Przeraźnik znajdował się w drzwiach otwartej windy. Śnieżnobiała Wdowa unosiła się nad piecem alchemicznym, kierując całą swą uwagę na Eisspina. Ten podkasał szatę i szybkimi krokami przemierzał laboratorium.

- Z całym szacunkiem - zawołał. - Miałaś już wystarczająco dużo okazji, by zaspokoić swój głód, królowo strachu. Zniszczyłaś całą armię demonów. W całym zamku tańczy biały pył, jakby śnieżycy tu przeszła. Zostaw mi przynajmniej tego małego krotka!

Śnieżnobiała Wdowa okręciła się powoli, wykonując piruet. Eisspin zatrzymał się parę kroków przed nią. On też dbał o zachowanie pełnego szacunku odstępów.

- No dobrze - powiedziała. - Oszczędzę małego. I tak nie ma w nim za wiele śmierci. Zostawię go przy życiu, żeby zrobić ci tę przyjemność.

- Dziękuję bardzo! - powiedział Eisspin.

- Pod jednym warunkiem - dodała Śnieżnobiała Wdowa.

- Warunek? - zapytał przeraźnik. - Mów!

- Wiem, że będę mogła uciec od ciebie tak daleko, jak będę chciała, lecz wiem również, że stale powracać będę do mojego więzienia. Bo wmówiłeś to we mnie, kiedy spałam.

- Ona też nosi klątwę! - przemknęło przez myśl Echu.

- Wiem też, że z tego samego powodu nie mogę cię też zabić - kontynuowała.

- Moje ubezpieczenie na życie - wyszczerzył zęby Eisspin.

- To jest właśnie sedno sprawy. Chcę abyś zniszczył nasz kontrakt i mnie uwolnił!

Eisspin zdumiał się. - Ale to niemożliwe! - zawołał. - Jeśli zniszczę nasz kontrakt, będziesz nie tylko wolna. Będziesz zdolna do tego, by mnie zabić. Nie mogę tego zaryzykować.

- No dobrze. W takim razie zabiję tego krotka. Tego nie zabrania mi żaden kontrakt.

Śnieżnobiała Wdowa zawirowała i wystrzeliła jednym z pasm w stronę pieca. Oplotła się wokół gardła Echa niczym pętla katowska i mocno zacisnęła.

- Agh! - zdołał jedynie wydobyć z siebie Echo. Nie mógł wydać już żadnego innego dźwięku.

- Przestań! - rozkazał Eisspin.

- Ten mały musi mieć dla ciebie ogromną wartość, skoro do tego stopnia się o niego martwisz. Za chwilę jednak będzie już bez jakiegokolwiek wartości, bo będzie martwy.

Zacisnęła mocniej pętlę. Przed oczyma Echa zatańczyły białe iskry.

- No dobrze - powiedział Eisspin. - Zgadzam się. Zniszczę kontrakt. Puść go!

- Zgadzasz się? No więc dobrze!

Śnieżnobiała Wdowa poluźniła pętlę i wyciągnęła pasmo. Echo znów mógł nabrać powietrza.

- Huh! - sapnął i usiadł, dysząc, na podłodze pieca.

- Zniszczę kontrakt - powtórzył Eisspin. - Ale pod pewnym warunkiem.

- Ty też masz jakiś warunek? - roześmiała się Śnieżnobiała Wdowa. - Jeśli chodzi o negocjowanie kontraktów, jesteś naprawdę nie do pobicia. Mów! Czego chcesz?

- Kiedy porwę ten kontrakt i uwolnię cię od klątwy, będziesz miała wolną rękę, by zabić wszystko, co wejdzie ci w drogę. Wszystko! - obiecał Eisspin.

Śnieżnobiała Wdowa jęknęła z rozkoszą.

- Z trzema wyjątkami! Po pierwsze: ja!

- Zgoda.

- Po drugie: krotek.

- Tak, wiem. Co jeszcze?

- Wszyscy mieszkańcy Sledwai. W tym mieście to ja dbam o umieranie.

Śnieżnobiała Wdowa jęknęła raz jeszcze, tym razem jednak nie z rozkoszą, lecz udręką.

- Będzie ciężko! - powiedziała. - Jestem tak wygłodniała po tym długim czasie. Ale w porządku. Opanuję się do chwili, aż znajdę się po drugiej stronie Błękitnych Gór.

Eisspin wyjrzał przez okno i spojrzał ku mlecznobiałemu księżycowi.

- Nie wiem, czy wiesz, czym jest honor - powiedział poważnie. - Ale wychodzę z założenia, że jego iskra tli się w każdej istocie żywej. Nawet w Śnieżnobiałej Wdowie.

Eisspin podarł kontrakt na małe kawałeczki i rzucił je w ogień pod kotłem z tłuszczem. W górę wzbily się błękitne iskry, kiedy te spalały się z sykiem.

- A teraz klątwa! - zażądała Śnieżnobiała Wdowa.

Eisspin klasnął trzy razy w ręce.

- To już wszystko?

- To już wszystko - odpowiedział Eisspin.

Jego głos drżał, a na czoło wystąpił mu pot. Śnieżnobiała Wdowa nie poruszała się.

- Teraz twoja kolej, żeby wywiązać się z zobowiązań - zawołał zniecierpliwiony Eisspin. - Zmywaj się stąd.

Śnieżnobiała Wdowa stanęła bez ruchu.

- Zobowiązania? - spytała z góry po dręcząco długiej chwili. - Jakie zobowiązania masz na myśli? Nie mam już żadnych do wypełnienia. Co najwyżej obietnice.

Znów wyglądało to jak magiczna sztuczka. Śnieżnobiała Wdowa w jednej chwili unosiła się jeszcze nad piecem alchemicznym, a w kolejnej siedziała już Eisspinowi na gardle. Wokół szyi zacisnęła mu gęste pasmo włosów. Potem uniosła się powoli w górę, ciągnąc za sobą charczącego i trzepoczącego się przeraźnika.

- Nic, naprawdę nic nie powstrzymuje mnie teraz od tego, aby cię zabić! - powiedziała. - Ciebie i tego twojego małego przyjaciela. A potem każdego cholernego mieszkańca twojego cholernego, schorowanego miasta. Wierz mi, to, co określasz mianem honoru, jest mi nieznane. Co to niby ma oznaczać? Strach przez przyznaniem się do kłamstwa? Respekt przed sobą samym? To uczucia dla dzieci i szaleńców.

Twarz Eisspina nabiegła błękitem. Bezskutecznie starał się stawiać kroki w pustce.

- Musisz wziąć jeszcze pod uwagę fakt, że ryzykuję reputacją. Jak to mnie nazwałeś? Królowa Strachu - cóż, mój drogi, szlachectwo zobowiązuje! Za bezwzględnych uchodzą jedynie ci, którzy postępują bezwzględnie.

Gałki oczne wyszły Eisspinowi na wierzch, z nosa leciała mu krew. Niemal już przestał się miotać, opuszczały go siły. Śnieżnobiała Wdowa uniosła go jeszcze odrobinę wyżej.

- Mogłabym cię teraz powiesić. Mogłabym też zatruć cię moją trucizną, jak wszystkich pozostałych. Mogłabym wyrzucić cię po prostu za okno, jak śmieci. Trzasnąć tobą o ścianę laboratorium jak mokrą ścierką. Rozerwać cię na drobne strzępy. Albo wygotować w kotle z tłuszczem. Masz wybór! Czego chciałbyś najbardziej?

Ciało Eisspina zwiotczało. Już się nie bronił. Jedynie jego cienkie dłonie drżały nadal lekko.

- Tak, mogłabym zabić cię na różnorodne sposoby. Torturować cię i dręczyć

tak długo, jak będzie mi się to podobało. Zamiast tego odstawię cię teraz z powrotem.

Śnieżnobiała Wdowa rzuciła Eisspina na ziemię, niczym dziecko znudzone swoją lalką. Nogi ugięły się pod nim i wylądował na czworakach. Czołgał się, nie przestając charczeć. Echo nigdy nie widział go do tego stopnia upokorzonego.

- Pozwolę ci żyć - powiedziała Śnieżnobiała Wdowa. - Co ty na to?

Eisspin nic nie odpowiedział, tylko łapczywie wciągał powietrze.

- Nie musisz mi dziękować. Nie czynię tego z litości. Robię to z miłości.

- Co? - zaskrzeczał przeraźnik. Podciągnął się do góry, opierając o stół, wziął szmatkę i zaczął ścierać krew spod nosa. Starał się stać prosto.

- Ponieważ trochę się w tobie zakochałam, dlatego. Bądź co bądź uratowałam mi życie. I bezwstydnie wykorzystałam moją beznadziejną sytuację, żeby użyć mnie do własnych celów. Jesteś pierwszą osobą, która jest niemalże równie niegodziwa jak ja - ale jeszcze mi nie dorównujesz. A już na pewno nade mną nie górujesz. Jestem Królową Strachu! Lecz ty, ty mógłbyś być księciem. Brakuje ci tylko paru piórek. Być może jednak zdobędziesz je dzisiejszej nocy.

Śnieżnobiała Wdowa przeleciała ponad Eisspinem w stronę okna, na którego parapecie osiadła. Drżała ledwie zauważalnie, jak gdyby marzła tej ciepłej letniej nocy.

- Niestety zbyt mocno się różnimy, a nasze plany zmierzają w całkiem przeciwnych kierunkach. Ty masz dwie nogi, ja mam ich tysiące. Ty chcesz stworzyć nowe życie, ja pragnę zniszczyć wszystko, co żyje. To mogłoby prowadzić do konfliktów. Dlatego też musimy się rozstać.

Przeraźnik stał przez ten cały czas w bezruchu, a Echo tkwił w kryjówce. Obaj myśleli o tym samym: Czy była to jedynie nowa gra z jej strony? Czy za chwilę nie siądzie znów któremuś z nich na gardle? Co miałyby ją przed tym powstrzymać?

- To miłości - szepnęła Śnieżnobiała Wdowa - a nie litości zawdzięczasz swe życie. Nigdy o tym nie zapomnij! I nigdy nie zdawaj się na honor innych. Adieu!

Wykonała wdzięczny skok z okna i pozwoliła się ponieść wieczornej bryzie, lekko i bez określonego celu, niczym niewinne nasionko dmuchawca na wietrze.

Muzyka Domów

- Wygotowywałem w tym kotle węże dusiciele rozmiarów drzew - mówił Eisspin, rozpalając ponownie pod kotłem. - Poradziłem sobie z Czerwonym Gorylem, który przebudził się z narkozy. Z ośmiornicą, która chciała wciągnąć mnie do brei. Ale żadne bydlę nie sprawiło mi tylu kłopotów, co ty dzisiejszego dnia. Mały, bezbronny krotek.

- Dziękuję bardzo - powiedział Echo. Znów siedział na podłodze obok pieca alchemicznego, naturalnie przykuty łańcuchem.

- To nie miał być komplement - powiedział Eisspin i cisnął w stronę więźnia rozgniewane spojrzenie. - Chciałem jedynie powiedzieć, że zabawa się skończyła. Jeszcze nigdy nie znalazłem się tak blisko śmierci, jak przed chwilą.

Wziął miech i tchnął w płomienie świeży tlen. Zapłonęły jasno.

- Co to za umowa, którą zawarłeś ze Śnieżnobiałą Wdową? - zapytał Echo. - Jakim cudem zyskałeś władzę nad tak potężną istotą?

- Znalazłem ją głęboko pod zamkiem - powiedział Eisspin i dołożył polan do ognia. - W katakumbach pod piwnicami. Była bardzo chora, umierająca, a ja znałem lek na jej cierpienia. W zamian musiała zawrzeć ze mną umowę, która na dziesięć lat czyniła z niej mego więźnia. Z początku była jeszcze bardzo słaba, ale w miarę jak wracała do sił, dla pewności nałożyłem na nią klątwę, kiedy spała. I wybudowałem jej niemożliwe do sforsowania więzienie.

- Chętnie ubijasz interesy ze zwierzętami - zauważył Echo. - Nawet z tymi najgorszymi.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy może się przydać Śnieżnobiała Wdowa - roześmiał się Eisspin. - No i przecież się opłaciło. Sam skorzystałeś na tej umowie. Możesz być mi za to wdzięczny. A to, co ja zrobię z tobą, to pestka w porównaniu z tym, co mogłyby zrobić ci demony.

Eisspin odwrócił się od kotła, wziął ze stołu skalpel i ruszył w kierunku Echa.

- Nie będziemy już tracić czasu - powiedział.

Instynktowną reakcją Echa była ucieczka, lecz łańcuch go od tego powstrzymał. Rozpaczliwie pociągnął za niego raz jeszcze, ale jedynie odciął sobie przez to dopływ powietrza. Po chwili się poddał. To było bezcelowe.

- Zabij mnie szybko - powiedział.

- Obiecuję ci to - odparł Eisspin.

Niespodziewanie rozległa się muzyka. Wdzierała się przez okna, głośna, natarczywa, wyprowadzająca z równowagi, pojawiając się jak grom z jasnego nieba. Dziwaczna muzyka.

Eisspin zatrzymał się. Zaczął nasłuchiwać.

- Co to jest? - zapytał.

Echo znał tę muzykę, chociaż nie słyszał jej nigdy w tym rytmie. Kiedy usłyszał ją po raz pierwszy, miała w sobie coś spokojnego i od razu pragnęło się tańczyć. Jak nazywała ją Izanuela?

Veitsmutzki

Muzyka dębów przeraźnic. Tym razem kryła w sobie coś groźnego. Takimi dźwiękami armie zapowiadały przeciwnikom zdecydowany opór.

W rytm takiej muzyki ruszano na pole bitwy. W tym rytmie należało maszerować, należało też zabijać.

- Wiem, co to jest - powiedział Echo.

- Wiesz? - zapytał Eisspin.

- Wystarczy, że wyjrzysz przez okno - serce Echa znów poczęło dziko walić. Miał ogromną nadzieję, że wyciąga odpowiednie wnioski z tego, co się dzieje. Od tego zależało w tej chwili być może jego życie. Wsłuchał się uważniej. W dźwiękach było coś więcej niż zdecydowanie. Była to najsmutniejsza muzyka, jaką kiedykolwiek słyszał. Marsz żałobny.

Eisspin rzucił się do okna i wyrzwał na zewnątrz.

- Do kata! - krzyknął i chwycił się za piersi. - To nie może być prawda.

- To dom Izanueli, prawda? - spytał Echo. - To dom Izanueli z Zaułka Przeźnic. Jego muzyka jest łatwa do rozpoznania.

- To *wszystkie* domy z Zaułka Przeźnic! - wrzasnął Eisspin. - Musi ich być ponad setka! Otoczyły cały zamek.

Wszystkie domy? Echo był zaskoczony. Ale dlaczego nie? Izanuela wspominała, że wszystkie domy w Zaułku są żywe. Ale o tym, że są do tego stopnia żywe i ruchliwe, jakoś nic nie powiedziała. Przybyły, aby pomścić przeźnicę.

- Na... naturalnie, że to wszystkie domy - poprawił się. - Wiem o tym. Chodziło mi o to, że jest tam też dom Izanueli. Przewodzi im, prawda?

Echo znów był zdany jedynie na spekulacje. I nadzieję, że ma rację. Ten cholerny łańcuch!

Eisspin wziął do ręki lunetę, jak gdyby nie mógł już ufać swym własnym oczom.

- Skąd mam wiedzieć? Wszystkie wyglądają tak samo.

- Dom Izanueli jest większy niż pozostałe.

- Co? - Eisspin spojrział raz jeszcze przez lunetę. - Tak. Jeden jest większy. Co to za straszidła? Czy to rośliny? Znam rośliny, które się poruszają. Lecz żadnych osiągających tak

wielkie rozmiary.

- To dęby przeraźnic - powiedział Echo, jak gdyby była to dla niego najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. - Najstarsze rośliny Camonii.

Jak bardzo chciałbym wyrzeć teraz przez to okno! Jak wyglądały dęby w ruchu? - zastanawiał się. - Czy miały nogi z korzeni? Ramiona z gałęzi? Czy ich smutne oczy spozierały z dziur po sękach? Nieważne! Trzeba wykorzystać zamęt, w jaki popadł teraz Eisspin. - A więc przeraźnica dotrzymała swej części umowy - powiedział cicho.

- Jakiej umowy? - zapytał Eisspin, nie odwracając wzroku od tego zdumiewającego widowiska.

- Izanuela również lubiła ubijać interesy z przyrodą. Ze zwierzętami i roślinami. - Echo musiał znaleźć teraz odpowiednie słowa. - Ale nie po to, by zdzierać z nich futra czy wygotowywać tłuszcz.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Eisspin. Położył lunetę na parapecie i przeszył krotka przenikliwym wzrokiem.

- To, co widzisz tam, w dole, to klątwa Izanueli! - zawołał Echo. - Twój pojedynek z nią nie dobiegł jeszcze końca, przeraźniku, on dopiero się rozpoczął. Jej moc sięga ponad śmierć! To coś, czego ty nigdy nie osiągniesz.

- Co ty bredzisz? - syknął Eisspin. - Co za klątwa?

Jego ręce zaczęły drżeć - zauważył Echo. - Jest zdezorientowany. Byle tylko nie przesadzić.

- Te, tam w dole, przybyły po mnie - łął bezczelnie. - Przeważnica poinstruowała je na wypadek, gdyby miało się jej coś stać. Tak brzmiała nasza umowa. Domy z Zaułka Przeważnicy usłyszały śmiertelny krzyk Izanueli. To był sygnał. Powstały, aby wypełnić jej ostatnią wolę.

Eisspin nie odpowiadał. Wyglądał przez okno i przysłuchiwał się smutnej muzyce. Po chwili odwrócił się z powrotem w stronę Echa.

- No pięknie - powiedział. - Dęby przeważnic. Rozśpiewane rośliny. Poradziłem sobie już dzisiaj z całkiem innymi rzeczami. Niech sobie śpiewają! Są zbyt wielkie, aby przedostać się przez drzwi. I niech sobie oblegają zamek! Zapasów mam do świętego Dygdy. A kiedy będę chciał opuścić zamek, znam jeszcze inne drogi prócz drzwi. Kontynuujmy!

Eisspin podszedł do kotła z tłuszczem i rzucił okiem do środka. To, co tam ujrzał, najwidoczniej mu się spodobało, ponieważ mlasnął z zadowolenia. Wziął wielką łyżkę i dla spokoju ducha zamieszał raz jeszcze w kotle, chociaż muzyka na zewnątrz coraz bardziej przybierała na sile. Potem odłożył łyżkę na bok i chwycił za skalpel.

- Zupa jest już gotowa! - zawołał. - Ty też już powinieneś być gotowy.

Kiedy przechodził przez laboratorium, muzyka rozbrzmiewała już tak głośno i przenikliwie, że całe zgromadzone tu szkło drżało.

- Tak, śpiewajcie sobie! - krzyczał Eisspin. - Śpiewajcie! To wręcz idealna muzyka do zdzierania skóry z krotka.

Bum! Potężny wstrząs przeszył mury. Ze sklepienia posypała się zaprawa, a podłoga laboratorium zadrżała. Zbaraniały Eisspin stanął, z wielkim trudem udało mu się utrzymać równowagę.

- Hej! - zawołał.

Echo również chwiał się na nogach. Czy to trzęsienie ziemi?

Bum! Jeszcze jedno uderzenie! Jedna ze szklanych spirali alchemicznych zaczęła się chwiać, runęła ze stołu i roztrzaskała na podłodze.

Bum! I jeszcze jeden! Z regałów zaczęły wypadać książki, wzbili się kurz.

Bum! Z sufitu oderwał się globus księżycy i potoczył przez laboratorium.

- Do kata! - wrzeszczał Eisspin. - Co to?

Ściany i podłogę przeszywał wstrząs za wstrząsem. Mury i belkowanie zaczęło trzeszczeć i pękać. Eisspin zataczał się to w jedną, to w drugą stronę jak pijany.

Bum! Z komina wypłynęła gęsta chmura sadzy.

Bum! Piec alchemiczny zaczął się niepokojąco chwiać.

Przeraźnik odwrócił się, rzucił skalpel na stół, podbiegł z powrotem do okna i wychylił się mocno na zewnątrz.

- To te przeklęte olbrzymy! - ryczał z wściekłością. - Uderzają o ściany zamku olbrzymimi pięściami z drewna! Drzewami, które wyrwały z korzeniami! - Wziął lunetę, by przyjrzeć się temu bliżej. - Wyciągają z ziemi skały i ciskają nimi! One oszalały! - jego głos zaczął się łamać.

Echu również zaczynała cierpnąć skóra. Nikt nie był już bezpieczny w tych rozpadających się murach. Koniecznie musi uwolnić się od tego cholernego łańcucha!

- Musisz pokazać mnie dębom przeraźnic! - zawołał do Eisspina, przekrzykując hałas.

- To wszystko, czego chcą. To je uspokoi.

Eisspin nie zareagował. Stał w milczeniu przy oknie, trzymał się mocno parapetu i gapił na zewnątrz.

Bum! Przewrócił się cały regał, na podłogę wylała się rzeka prastarych ksiąg.

Bum! Eisspinowski Konserwator brzęczał i podzwaniał. Z jednego z zaworów zaczął wydobywać się z sykiem gaz.

Bum! Od ścian odpadły kamienie rozmiarów pięści, roztrzaskując naczynia alchemiczne.

Eisspin oderwał się wreszcie od okna. Zbliżał się chwiejnie do Echa poprzez targane wstrząsami laboratorium, pochylił się nad nim i uwolnił go z obroży.

- Ostrzegam cię! - syknął. - Jeden fałszywy ruch i ukręcę ci głowę.

Złapał krotka mocno za kark i zaniósł w stronę okna. Tam uniósł go do góry i krzyknął:

- Oto on! Oto ten, którego pragniecie! A teraz przestańcie!

Echo zobaczył wreszcie po raz pierwszy stojące pod zamkiem dęby przeraźnic. Cóż za widok! Izanuela opowiadała, że nigdy nie widziała rozgniewanych dębów. A teraz były naprawdę wściekłe! Kroczyły jak na szczydłach na swych grubych, czarnych, splecionych z korzeni nogach, do których wciąż jeszcze kleiła się ziemia, kołysały się na boki, trzaskając sękatymi pięściami o mury zamku. Inne chwyciły za pnie drzew i młóciły nimi niby maczugami o jego fundamenty. Jeszcze inne wyrywały z ziemi olbrzymie monolity i ciskały nimi z mocą miotaczy. Oczy w sękatych dziurach przewracały się z wściekłością. Pogrążone w szale trzeszczały i skrzypiały tak potwornie, że niemal zagłuszały swą smutną muzykę. Robiły to tak zapamiętale, że nie zwracały uwagi ani na Eisspina, ani tym bardziej na to, co krzyczał.

- To istne piekło! - wyszeptał Echo. Nie był pewien, czy zachwycać się tym, czy też przerażać. Olbrzymy w każdym razie nie przyszły mu na pewno na ratunek. Przybyły, aby niszczyć.

- Wcale się nie uspokajają! - zawołał Eisspin. - Są coraz wścieklejsze! - złapał silniej krotka.

Zamiast odpowiedzieć, Echo okręcił głowę do tyłu i wgryzł się Eisspinowi w rękę tak mocno, jak jeszcze nigdy nie gryzł. Cienka skóra pękła niczym papier, a zęby zanurzyły się tak głęboko, że dosięgły kości. Takiego bólu nie był w stanie zignorować nawet przeraźnik. Wrzasnął i poluźnił uchwyt, co od razu wykorzystał krotek, kręcąc się i wijąc, przy tym prychnął dziko i drapał. Przejechał pazurami po twarzy, pozostawiając na policzku starucha cztery głębokie rany. Pazurem drugiej łapki wbił się w długi nos, przecinając go z góry na dół. Echo szalał, bił i drapał wokół siebie z wściekłością. Przeraźnik trzymał nagle w rękach furie o setkach zębów i tysiącu pazurów. Upuścił krotka na parapet okna i odskoczył parę kroków.

- Nigdy więcej mnie nie dotykaj! - prychnął Echo i nastroszył grzbiet, stając się jakby dwa razy większy. W jego oczach skrzyła się agresja. - Nigdy więcej!

Rozległo się potężne uderzenie, podłogę laboratorium przecięło długie pęknięcie. Eisspin zatoczył się tyłem w jego kierunku, potknął i upadł jak długi.

- Ty diable! - wrzeszczał, podnosząc się z niej. - Powiedziałaś, że przestaną, jeśli się im pokażesz.

- No to skłamałem! - odparł Echo, przekrzykując hałas. - Nauczyłem się tego od ciebie! Mogłeś posłuchać Śnieżnobiałej Wdowy! Nie zdawaj się nigdy na honor innych!

Ta uwaga zraniła przeraźnika chyba bardziej niż wszystkie ugryzienia i zadrapania. Wściekłość zniknęła z jego twarzy, ustępując miejsca zmieszaniu.

- Nie przyszły, żeby cię uwolnić?! - zawołał. - To po co w takim razie?

- Żeby pomścić Izanuelę! - odkrzyknął Echo. - I żeby przegnać cię do piekła. Ona pokona cię zza grobu!

Potężne uderzenie uwolniło jedną z belek sklepienia, która spadając, zahaczyła o głowę przeraźnika. Zachwiał się, złapał się za krwawiące ucho, jednak wciąż trzymał się na nogach. Kolejna belka runęła z hukiem na Eisspinowski Konserwator, niszcząc liczne szklane urządzenia. Po pomieszczeniu rozprysły się chemikalia. Sponad drzwi wejściowych uwolniła się z gruchotem lawina kamieni. Jakakolwiek próba ucieczki została w okamgnieniu uniemożliwiona przez kupę gruzu.

- A więc pójdziesz do piekła razem ze mną! - zawołał Eisspin, wskazując na przysypane wyjście. - Dębom przeraźnic najwyraźniej nie zależy na twoim życiu.

Echo był przygotowany do walki, jeśli przeraźnik spróbuje raz jeszcze do niego podejść. Lecz ten nie wykazywał już żadnej ku temu woli. Stał tylko, chwiejąc się od uderzeń wstrząsających jego zamkiem, jak gdyby trafiały one jego samego.

Kolejny potężny wstrząs wyrzucił kocioł na tłuszcz. Alchemiczna breja rozlała się po podłodze laboratorium, wsiąkając we wszystkie pęknięcia.

Eisspin zatoczył się w kierunku zwłok Florii. Złapał ją za ramiona, uniósł do góry i zaszlochał:

- Florio! Co mam teraz zrobić?

Przeraźnik błagał trupa o pomoc! Echo chciałby cieszyć się swym triumfem, ale nie był to odpowiedni moment na świętowanie. Dookoła walił się świat, a obawiał się, że zginie razem z nim. Pytanie Eisspina było jak najbardziej słuszne, nawet jeśli stawiał je martwej. Cóż można było zrobić?

Laboratorium można było opuścić trzema drogami. Jedna wiodła przez drzwi, a te były do szczytu zasypane. Druga prowadziła przez kocioł na tłuszcz w inny, mało kuszący świat. I istniała jeszcze trzecia droga - skok z okna, aby runąć z murów Eisspina na miasto i

roztrzaskać się u jego stóp.

Droga Izanueli.

Echo zdecydował się na tę ostatnią. Popatrzył jeszcze chwilę w kierunku przeraźnika. Ten potrzasał zwłokami, które odpowiadały mu jedynie skinieniami czaszki.

- Florio! - krzyczał. - Co mam robić?

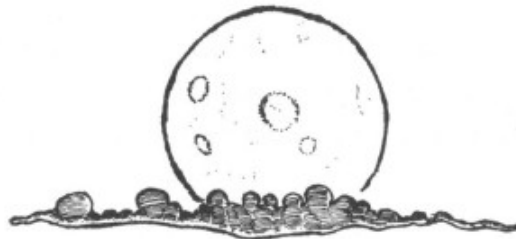
Wokół rozpadało się alchemiczne uniwersum Eisspina. W całym pomieszczeniu szalał ogień karmiony chemicznymi miksturami wylewającymi się z popękanych naczyń. Spadały kamienie, wirowały proszki, szkło pękało, gazy posykiwały. Ściany przecinały coraz większe pęknięcia. Ten świat znajdował się w stanie upadku, wkrótce przestanie istnieć, znikając wśród huku.

Echo po raz ostatni spojrział przeraźnikowi w oczy. W jego twarzy nie było już nic z dawnej wielkości i niegodziwości, jedynie zamęt i strach. Chciał zapamiętać go właśnie takiego. Jako biednego wariata.

Potem odwrócił się na okiennym gzymsie i skoczył.

- Nie! - podążył za nim rozpaczliwy krzyk Eisspina.

Lecz Echo spadał już swobodnie.



Droga Izanueli

Przebiegało to szybko, o wiele szybciej, niż Echo to sobie wyobrażał. Potężny szum w uszach, wirujący dookoła niego świat, przekreślił się cztery czy pięć razy w powietrzu i to wszystko. No dole, niedaleko już, w świetle księżyca lśniły dachy Sledwai. Droga Izanueli. Zamknął oczy.

Poczuł potworny ból w karku w chwili, kiedy upadł.

Ale dziwne, że ból się utrzymywał, stawał się nawet coraz silniejszy. Jak mogło się tak dziać, skoro był już przecież martwy? Czy ostatni ból zabieramy ze sobą do grobu?

Echo otworzył oczy. Ponad nim frunęli Vlad Siedemset Siedemdziesiąty Czwarty i Vlad Dwunasty, wiedział to, choć skóroperze wcale się nie przedstawiły. Chwyciły go mocno za kark szponami, unosząc coraz wyżej i wyżej.

- Au! - jęknął Echo. - I wielkie dzięki! Znów uratowaliście mi życie. Gdzie mnie niesiecie?

- Musisz to zobaczyć! - powiedział Vlad Dwunasty. - Takich widoków nie uświadczysz co dzień.

- Wali się nasz piękny domek - westchnął Vlad Siedemset Siedemdziesiąty Czwarty.

Uniosły go wysoko, wyżej niż kiedykolwiek się znajdował. Spojrzał w dół, w stronę zamku Eisspina, który zdawał się teraz dziecięcą zabawką, tak jak Sledwaya, która spoczywało u ich stóp. W górze, w nocnym powietrzu unosiły się setki skóroperzy, niektóre tańczyły na tle księżyca w pełni.

Z niektórych okien wydobywała się sadza, mury osnuwały długie chorągwie ciemnego pyłu. Zamek się walił, zanurzał się w ziemi niczym tonący statek. Gęste, przesywane przez błyskawice czarne chmury obróconych w pył kamieni kłębiły się ku górze. Mury trzeszczały i wyły zarazem, kiedy prastare drewniane belki pękały w ich wnętrzu, podziemne tunele i komnaty wypełniały się gruzem. Chemikalia eksplodowały, wysadzając mury, na miasto spływał deszcz kamieni. Z otwartych okien wydobywały się płomienie, brązowe grzyby dymu wyrastały we wszystkich kierunkach.

- Mówiłem przecież, że trzeba było to obejrzeć! - wychrypiął Vlad Dwunasty.

- Nasz piękny domek - powtórzył Vlad Siedemset Siedemdziesiąty Czwarty.

Zamek przeobraził się teraz w wieloręki krakena. Jego wieże stały się gibkimi mackami, które młóciły wokół siebie bezradnie, nim pochłonęła je głębia. Echu wydało się przez chwilę, że rozpoznaje twarz przeraźnika w samym środku opadających ruin,

wykrzywioną potwornym strachem gębę wśród czarnych cegieł. Po chwili budowla zapadła się w sobie i wchłonęła ją ziemia. Waliły się piętro za piętro: dach dachów. Skórzane Mauzoleum. Laboratorium. Cudowna kuchnia. Ukryta komnata ze złota. Sala z malowidłami Eisspina. Opustoszałe sale domu wariatów, biblioteki. Pełna labiryntów piwnica. Kolekcja tłuszczów przeraźnika. Więzienie Śnieżnobiałej Wdowy. Wszystko to zniknęło w ciągu paru uderzeń serca. Wyglądało, jak gdyby jeden z obrazów Eisspina przebudził się do życia, arcydzieło, które pochłonęło swego własnego twórcę. Pozostał jedynie dymiący krater, na którego zboczu spoczywało w cudowny sposób nienaruszone miasto Sledwaya.

- Nigdy nie znajdziemy już takiego strychu - powiedział smutno Vlad Siedemset Siedemdziesiąty Czwarty. - Będziemy musieli wegetować teraz po stodołach i jaskiniach.

Echo nie był w stanie dostrzec, gdzie podziały się dęby przeraźnic, dym był zbyt gęsty. Ich muzyka w każdym razie zamilkła. Czy wycofały się w porę? Czy może runęły razem z murami?

- Musimy się teraz pożegnać - powiedział Vlad Dwunasty.

- Tak - przytaknął drugi skóroperz. - Musimy poszukać nowego schronienia.

- No jasne - odpowiedział Echo. - Odstawcie mnie po prostu gdziekolwiek w mieście. Ból w karku stawał się powoli nie do zniesienia.

- Nie - powiedział Vlad Dwunasty. - Musimy się pożegnać tu i teraz. Natychmiast. Puścił kark Echa. Trzymał go teraz już tylko drugi skóroperz.

- Hej! Co jest grane? - krzyknął Echo.

- Sami do końca nie wiemy! - powiedział Vlad Dwunasty.

- Dwa razy mnie uratowaliście! - krzyknął Echo. - A teraz chcecie mnie puścić? Wy chyba żartujecie, prawda?

- Nie żartujemy - odpowiedziały chórem oba wampiry.

- Ale to nie ma najmniejszego sensu! - zaskrzeczał Echo. - Nic nie rozumiem.

- Nikt nie rozumie skóroperzy - stwierdził ponuro Vlad Siedemset Siedemdziesiąty Czwarty i też puścił krota.

- Nawet same skóroperze! - dodał Vlad Dwunasty.

- Nikt!

- Nikt!

Wampiry odleciały z jazgotem, podczas gdy Echo spadał w otchłań.

Tym razem jego upadek trwał naprawdę długo. Uniosły go daleko, daleko, niemal do samych chmur. Echo koziółkował raz za razem, przed jego oczami wirował księżyc i nocne niebo, aż wreszcie nie mógł znieść tego dłużej i zamknął oczy.

Ale nie zrobiło się przez to ciemniej, tylko jaśniej. Rozbłysło złote światło, jaśniejsze niż to w skarbcu Eisspina, a w samym jego środku Echo ujrzał Złotą Wiewiórkę, która przyjaźnie się do niego uśmiechała. Rejestrował również kojące mruczenie, które towarzyszyło już jego poprzednim oświeceniom.

- Tym razem naprawdę mamy kłopoty! - powiedziała wiewiórka. - Przybyłam tu, aby przynieść ci trzecie oświecenie.

- W tym zdenerwowaniu całkowicie o tobie zapomniałem - odparł Echo. Opanował go nagle całkowity spokój, nie czuł też, że spada. Czy w ogóle jeszcze spadał? Było mu to obojętne.

- Dumające Jaja wykazują szczególne zainteresowanie twoim losem - powiedziała wiewiórka. - Czuję to w ich wibracjach sympatycznych. Pracują gorączkowo nad pewną strategią, aby wszystko dobrze się skończyło.

- Ach tak? - powiedział Echo. Zauważył, że mruczenie było bardziej przenikliwe niż poprzednim razem. - Skąd to zainteresowanie?

- W ostatnim czasie stałeś się niezwykle cennym krotkiem. Najcenniejszym w całej Camonii. Twoja wiedza może stać się kiedyś przydatna.

- W takim razie te twoje Dumające Jaja muszą się pospieszyć - powiedział Echo. - Za chwilę roztrzaskam się o bruk Sledwai.

- O to martwiłabym się wtedy, gdy będzie to konieczne. Czas zatrzymał się na czas trwania twego ostatniego oświecenia. Dumające Jaja czynią to, wstrzymując duchowo powietrze czy jakoś podobnie. Czujesz wiatr w swoim futrze? Brutalną siłę ciężenia?

- Nie.

- No widzisz! Zrelaksuj się! Rozkoszuj się swym trzecim oświeceniem.

Echo rzeczywiście czuł się odprężony. Mruczenie Dumających Jaj rozbrzmiewało kojąco w jego uszach. Pełen zaufania złożył w ich ręce swój los. Złote światło i przyjazny głos wiewiórki pogłębiały jedynie tę przyjemną atmosferę. Był bliski tego, by zacząć mruścić.

- Jak ono brzmi, to oświecenie? - zapytał ze spokojem.

- Tym razem nie jest to taki rodzaj poznania. Nie da się tego streścić w jednym zdaniu. To wizja.

- Wizja? Wizja czego?

- No cóż, musisz ją zobaczyć, w końcu to przecież wizja. Dumające Jaja pracują właśnie nad poprawkami w twoim przeznaczeniu. Ale niczego nie jestem w stanie obiecać! To zawsze mieszanina przypadku i precyzji! Przypadku i precyzji! Nigdy nie można być

pewnym!

- A jak ją otrzymam, tę moją wizję? - zapytał Echo.

- Tak jak zazwyczaj otrzymuje się wszystkie wizje. Otwierając oczy - zaleciła wiewiórka.

Echo otworzył oczy. Zrobił się nagle jasny dzień, tak jasny, że oślepiło go światło. Spadał nadal, jednak wydarzyło się coś, czego nie był w stanie zrozumieć. Zamek znów się pojawił! Podobnie jak zapach krocimiętki, który całkowicie go otulał! Wszędzie dookoła latały płatki! Kielichy czarnych i czerwonych róż, margerytek i maku polnego, ognistoczerwonych orchidei i błękitnych fiołków. Stokrotki i kwiecie mirabelki. Przebiśniegi i ogniste lilie. Astry i biskupie serca. Ciągnęły się za nim długą smugą, znacząc drogę, jaką spadał. I wreszcie zrozumiał: widział to, co w ostatnich sekundach widziała Izanuela - była to droga Izanueli!

Dachy miasta zbliżały się coraz bardziej, wkrótce się z nimi zderzy. Tam w dole, mała parszywa uliczka obok krematorium - oto jej cel. Izanuela wciągnęła raz jeszcze głęboko powietrze, odetchnęła krocimiętką tak głęboko, jak tylko się dało. Zatrzymała ją w płucach, znów odetchnęła i wraz z zapachem opuściła swe ciało. Ono z kolei uderzyło z hukiem gdzieś za jej plecami, podczas gdy ona unosiła się lekka i wolna ponad dachami Sledwai. Balast, który wreszcie z siebie zrzuciła. Tam z przodu był Zaułek Przeróżnic, jej właściwy cel! Była upojona własnym zapachem, uskrzydłona i szczęśliwa, kiedy zaczęła opadać w dół, by zanurzyć się w gliniastym podłożu uliczki. Zatonęła w niej i wymieszała się z wilgotną glebą. Niezliczone korzenie, zgromadzone dookoła korzenie dębów przeróżnic natychmiast wchłonęły ten zapach, wypełniając nim swój krwioobieg.

W Zaułku Przeróżnic powstało pęknięcie. Sięgało od jego początku aż po dom Izanueli Anacaci. Była to niepozorna rysa, ledwie na szerokość kciuka, lecz wkrótce zaczęły tworzyć się wokół niej nowe, najpierw dziesiątki, potem setki, rozbiegając się we wszystkich kierunkach. W ziemi zagruchotało, podłoże zaczęło drżeć, a cały pełzający owadzi ludek, jaki ją zamieszkiwał, spłoszył się i uciekł z uliczki.

Dom Izanueli podniósł się pierwszy. Rozległ się chrupot i trzask, wilgotna ziemia mlaskała, kiedy wynurzał z niej swe potężne korzenie. I tak stało się z każdym domem w Zaułku Przeróżnic - jeden po drugim uwalniały się ze swych miejsc, w których tkwiły przez tak wiele lat. Trwało to długo, do późnej nocy, aż ostatni dąb wydobył swoje ciało z królestwa ziemi. Potem zaintonowały swą smutną pieśń i wyruszyły.

Droga Izanueli.

A potem Echo znalazł się znów wysoko w powietrzu. Wizja się skończyła,

rzeczywistość znów objęła go w posiadanie. Nie było już żadnej przeraźnicy ani żadnej wiewiórki. Żadnych wibracji sympatycznych i złotego światła, które dawały mu poczucie złudnego bezpieczeństwa.

Ponownie była noc, rozrywały go wiatr i przyciąganie ziemskie. Znajdował się teraz tak blisko dachów Sledwai, jak blisko była Izanuela, kiedy opuściła swe ciało. Lecz on nie rozpuścił się w zapachu, by umknąć śmierci jak ona. Uderzył w ten dach tam na dole, dach niepozornego domku z małym ogrodem, który... I wtedy Echo rozpoznał dom, w którym spędził swe dzieciństwo. Dom Florii z Żelaznego Miasta. Choć los jest okrutny - pomyślał Echo - ma przynajmniej poczucie humoru.

- Au! - krzyknął Echo, czując potężny ból w karku. Nie spadał już, unosił się w nocnym powietrzu niesiony silnymi pazurami.

- Skóroperze wróciły! - pomyślał. - To był tylko głupi żart. Odwrócił głowę i spojrzał w górę. Rzeczywiście, za kark trzymały go silne pazury. Ale nie należały do żadnego skóroperza. Tylko do Fiodora F. Fiodora.

- Naprawdę nie można zostawić cię samego - powiedział puchacz, lecąc z Echem nisko nad domami. - Tylko spuścić cię z oka na parę dni, a ty znów pakujesz się w najgorsze ratapaty.

Miłość od pierwszego wejrzenia

- Gdzie byłeś przez cały ten czas? - zapytał Echo, kiedy lecieli nad parkiem miejskim Sledwai. Zamiast go od razu odstawić, Fiodor zmierzał właśnie dokładnie w tę część miasta.

- Zaraz zobaczysz - stęknął. - Wprawdzie trochę ci się schudło, ale nadal niezła z ciebie cegła.

Pośrodku parku, zaraz obok stawu, rosła potężna wierzba płacząca. Fiodor wleciał razem z Echem, który wisiał pod nim jak worek kartofli, wprost pomiędzy opadające w dół gałęzie. Potem go upuścił, a ten klapnął wprost do wielkiego, miękko wyścielonego gniazda. Fiodor wylądował obok niego.

- To moje gniazdo - wysapał. Rozłożył jedno ze skrzydeł. - Mój nowy docymil.

Echo usiadł i rozejrzał się dookoła.

- Duże jest - zdumiał się. - O wiele większe niż komin. Mieszkasz tu całkiem sam?

- Ach, nie - mruknął Fiodor. - Zaraz zobaczysz.

- Zaraz zobaczysz, zaraz zobaczysz - przedrzeźniał go Echo. - Co zaraz zobaczę? O co

chodzi z tymi sekretami? Co robiłeś przez ten cały czas?

- No na przykład budowałem to gniazdo - mruknął Fiodor. - Pieściłem się dzióbkami. Wysiadywałem jaja. Cud miłości, zaraz zresztą zobaczysz.

Spojrzał na Echa przenikliwie.

- A ty mi lepiej powiedz, co się tutaj działo? Przez parę godzin byłem na polowaniu w Błękitnych Górach, wracam, a zamku nie ma! A ty spadasz właśnie z nieba. Potrzebuję onfirmacji! No, opowiadaj! Co z Eisspinem?

- Eisspin nie żyje. Poszedł do piekła razem ze swoim zamkiem. Przeraźnica... Śnieżnobiała Wdowa... to dość długa historia. Daj mi najpierw zaczerpnąć powietrza!

- Odszukałeś przeraźnicę? Pomogła ci?

- Tak. Nie. No więc w pewnym stopniu... - Echo starał się ułożyć zdarzenia we właściwej kolejności. Tak wiele się wydarzyło.

Nad gniazdem coś zaszumiało, spojrzał w górę. Dwa puchacze podchodziły właśnie do lądowania, jeden większy, a drugi całkiem mały. Kiedy zobaczyły krotka, zawahały się, czy mają lądować.

- Bez strachu! - zawołał Fiodor. - To przyjaciel. Chodźcie na dół.

Oba puchacze wylądowały na krawędzi gniazda. Mniejszy przytulił się do nogi tego większego.

- Czy mógłbym przedstawić - powiedział Fiodor. - To mój przyjaciel Echo. Jest krotkiem. A to moja małżonka Feodora - wskazał na większego puchacza i spojrzał nań z miłością.

A więc samiczka - pomyślał Echo.

Feodora skinęła przyjaźnie.

- A to mój syn, Fiodor F. Fiodor Drugi - z pęczniejącą z dumy pierśią puchacz wskazał na mniejszego ptaka, który uprzejmię schylił głowę.

Echo również się uklonił.

- Bardzo mi miło - powiedział. - To prawdziwy zaszczyt móc was poznać.

Mały ptaszek zwrócił się do matki.

- On potrafi prowadzić konserwację - wyszeptał.

Fiodor F. Fiodor położył krotkowi na ramieniu skrzydło i odciągnął go na bok.

- Nie daj nic po sobie poznać - powiedział cicho - ale on ma broplem z wyrazami obcymi. Nie mam pojęcia, po kim to ma.

- Czyli założyłeś rodzinę - powiedział Echo. - Teraz rozumiem wszystko.

- Tak to bywa - powiedział Fiodor. - Zew natury. Trzeba za nim podążyć, kiedy już cię

dopadnie. Mnie dopadł późno, ale jednak dopadł. Mój zegar biogoliczny wskazywał już za pięć dwunasta. Spotkaliśmy się w Kumaczym Lesie. To była miłość od pierwszego wejrzenia.

Fiodor popatrzył tklawie w stronę Feodory, wchodzącej właśnie z synem do gniazda.

- No! - zawołał po chwili. - Już mniej więcej wiesz. Teraz twoja kolej!

I Echo zaczął opowiadać. Opowiadał o swym spotkaniu i przyjaźni z ostatnią przeraźnicą Sledwai, o swych przygodach pod postaciami skóroperza i demonicznej pszczoły, o warzeniu napoju miłosnego i destylowaniu krocimiętki. O gotowanych upiorach i przebudzonych demonach. O tym, jak rzekomo zjadł Fiodora. O tańcu śmierci Śnieżnobiałej Wdowy. O śmierci Izanueli i jej zmartwychwstaniu w dębach z Zaułka Przeraźnic. O zagładzie zamku i podróży do piekła Sukkubiusa Eisspina, byłego przeraźnika miasta Sledwaya. Dopiero gdy skończył wyczerpany, uświadomił sobie, jak wiele w ostatnim czasie przeżył.

- Do cholery! - zakrzyknął Fiodor. - To dopiero trynigująca historia! Materiał, z którego tworzy się camoński kolflor! A więc byłeś nie tylko skóroperzem, byłeś też demoniczną pszczołą. To dziwne. Ostatnio o mało nie połknąłem demonicznej pszczoły.

- Naprawdę? - zapytał Echo.

- Tak. Byłem na polowaniu nad soczystą i piękną letnią łąką. Kiedy zorientowałem się, że to demoniczna pszczoła, było już za późno, miałem ją już w dziobie! W ostatniej chwili zdołałem ją wypluć. Wiesz, do czego może doprowadzić ugryzienie demonicznej pszczoły w przętyk?

- Tak - wyszczerzył zęby Echo. - Wiem.

Feodora nakarmiła małego puchacza i kołysała go teraz do snu, chowając pod skrzydłem i nucąc cicho piosenkę. Z Echa zaczęło powoli opadać napięcie. Znajdował się wśród przyjaciół w ciepłym, bezpiecznym gnieździe. Przeraźnik był martwy. Klątwa została zdjęta. Poczł się nagle bardzo zmęczony.

- A w jaki sposób wytłumaczysz mi - zapytał Echo, składając głowę na miękkiej trawie - jak znalazłeś się tam na miejscu, żeby mnie złapać?

- Czysty przypadek! - powiedział Fiodor. - Jak już mówiłem, wracam właśnie z polowania w Błękitnych Górach. W pazurach dźwigam martwą mysz skalną, wspaniałą eplemgarz. Dolatywałem do Sledwai. I wtedy coś mnie nagle ogarnęło...

- Coś cię ogarnęło? - Echo uniósł głowę raz jeszcze.

- Tak. Takie dziwaczne uczucie... zaufania. Nie umiem określić tego inaczej. I usłyszałem, no cóż, jakieś mruczenie... jakieś brzęczenie... Takie... ech... takie...

- Wibracje sympatetyczne? - dopomógł Echo.

- Dokładnie! Tak można by to nazwać! Wibracja sampetytyczna! Czułem się, jakbym leciał w złotym strumieniu światła, który prowadzi mnie do celu, idealnie pomiędzy wszystkimi kominami Sledwai. I równocześnie byłem skołowany tym, że zamek zniknął pod moją nieobecność, martwiłem się o moją rodzinę. Bardzo dziwaczny stan sampytii i fonkuzji. I wtedy ty spadłeś mi prosto z nieba. Zdążyłem ledwie rzucić mysz i złapać ciebie. To był przypadek. I prycezyjna robota zarazem.

- Dokładnie - powiedział ze śmiechem Echo. - Przypadek. Przypadek i precyzja. - Po czym opuścił znów głowę na trawę i zapadł w przypominający omdlenie sen.

Sledwaya się budzi

Kiedy Echo otworzył następnego ranka oczy, czuł się wspaniale - wyspany i rześki. Fiodor F. Fiodor pozwolił mu dłużej pospać, a sam z rodziną poleciał prawdopodobnie na łowy. Echo uznał to za dobrą okazję, by zniknąć bez robienia większego szumu. Chciał oszczędzić im i sobie sentymentalnych pożegnań. Zszedł z drzewa, opuścił park miejski i po raz ostatni przebiegł ulicami miasta, które było do tej pory jego światem.

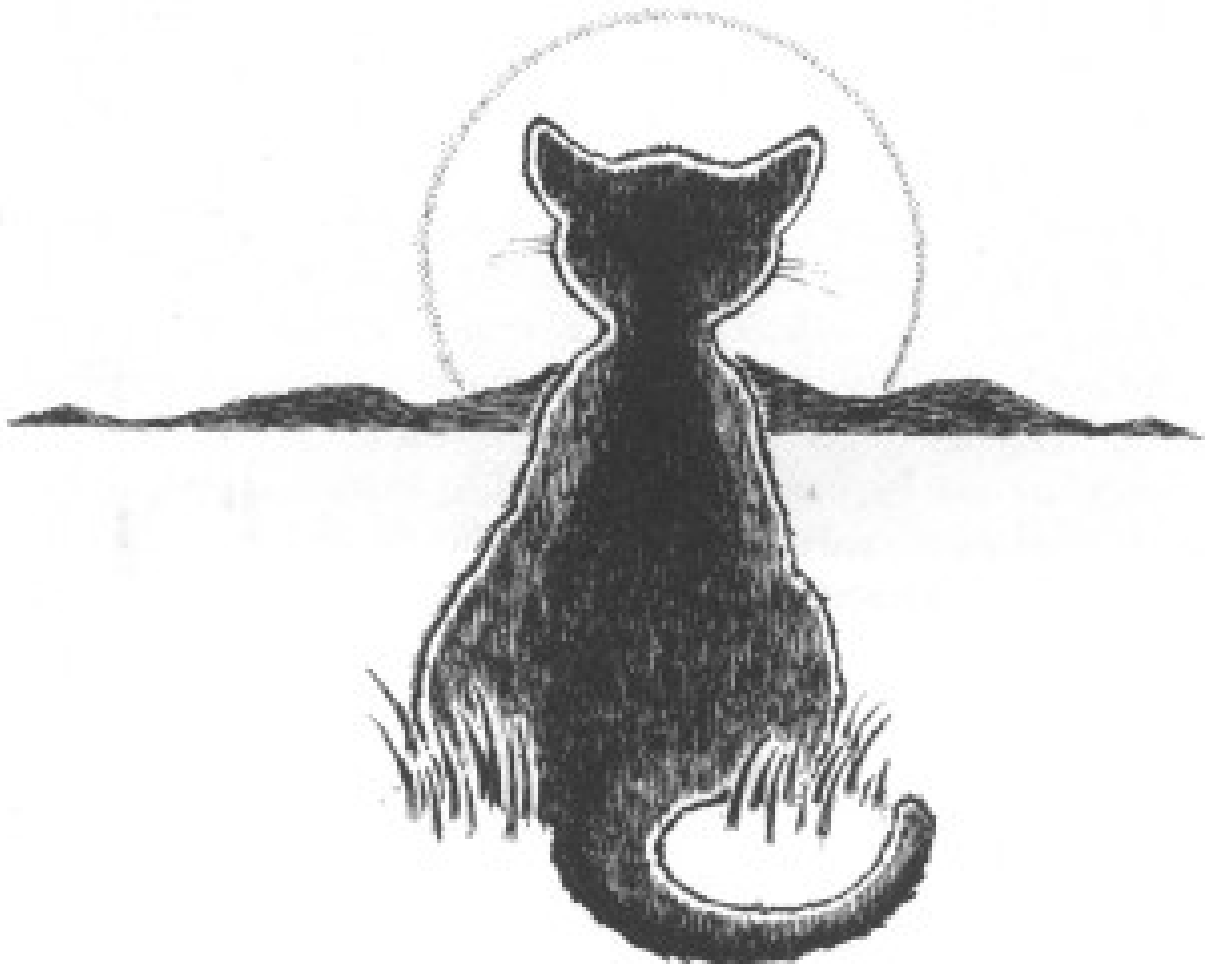
Sledwaya właśnie się budziła, na porannym niebie wisiał wciąż blady księżyc w pełni. Miasto i jego mieszkańcy wstawali niczym człowiek po długiej chorobie i ostatniej, przespanej w gorączce nocy, podczas której wypocił z siebie pozostałości choroby. Niepewnie, z dreszczami, na miękkich nogach, z podkrążonymi oczami i białą skórą. Lecz również z nową nadzieją i pewnością, że najgorsze już minęło.

Ludzie wyszli z domów i spoglądali z niedowierzaniem w stronę, gdzie stało niegdyś ponure zamczysko Eisspina. Unosiła się tam jeszcze tylko cienka, szara zasłona kamiennego pyłu. Znienawidzony prastary budynek runął z hukiem w samym środku nocy. Zniknęły też domy z uliczki, na której nikt już nie mieszkał. W jednym z zaułków znaleziono roztrzaskaną przeraźnicę. Ale kogo to w ogóle interesowało? Wkrótce będą ledwie o tym pamiętać, niczym o złym śnie.

Bandaże i chusteczki wyrzucono do rynsztoków, aby splukał je deszcz. Aptekarze stali bezradnie przed swymi sklepami, bo nie mieli żadnych klientów. Tu i ówdzie słychać było śmiech, rzecz niesłychana w tym chorym mieście. I pojawiły się wszystkie te nowe wonie, nakładając się na wstrętne odory chorób i lekarstw, wydzielin ropnych i jodu, eteru i śmierci. Składały się nań tymianek i czosnek, bekon i rosół. Pieczone ziemniaki i sos pomidorowy. Pieczeń wieprzowa i zupa rybna. Naleśniki i pieczony chleb. Szałwia i cytryna. Kolendra i

curry. Szafran i wanilia. W Sledwai zabierano się do gotowania, bo cóż czyni się w pierwszej kolejności po zdrowym przebudzeniu z długiej choroby? Przygotowuje się swój ulubiony posiłek. I dlatego też wszyscy ci ludzie, którzy znaleźli się na ulicach, nie spieszyli już do swego lekarza czy do apteki, ani też do szpitala czy cyrulika, tylko do piekarza lub rzeźnika, do warzywniaka czy handlarza owoców. Nie mieli ochoty na herbatę z rumianku, plastry lecznicze czy krople na żołądek. Chcieli świeżego makaronu, dojrzałego sera i oliwy z oliwek.

Nikt nie zwracał większej uwagi na przemykającego między ich nogami małego krotka. Ludzie w Sledwai nie wiedzieli o umowie, o krocim tłuszczu i gotowanych upiorach, o Prima Caterii i największym złotym skarbie w Camonii. Nie mieli najmniejszego pojęcia o bolejących świecach i mumiach demonów, nigdy nie zjedli niczego z Drzewa Orzechowienia. Nie wiedzieli niczego o Atramencie Cienia i Posiłkach Przemian. Ani o Śnieżnobiałej Wdowie.

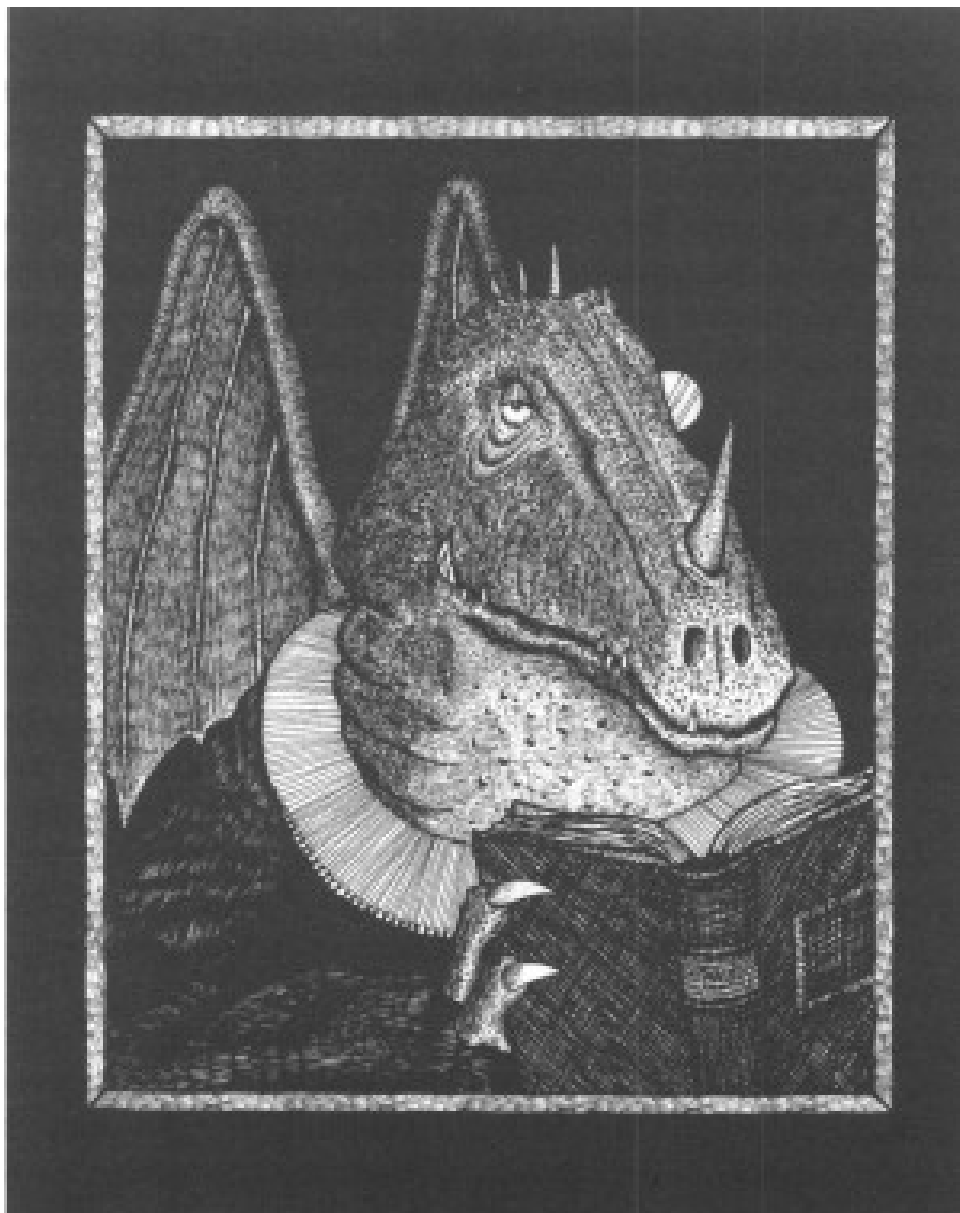


Echu było to obojętne, tak jak obojętne było mu całe to miasto ze wszystkimi jego mieszkańcami. Nie miał już nic wspólnego ze Sledwayą. Z każdym krokiem zostawiał za sobą kawałeczek najbardziej schorowanego miasta w Camonii, które powracało właśnie do zdrowia, lecz bez niego. Echo był tu jedynym, który nie odczuwał głodu. Zjeść chciał dopiero wówczas, kiedy księżyc zaokrągli się podczas kolejnej pełni, do tego czasu będzie pościł. Miał na to na zebrach wystarczającą ilość krociego tłuszczu. Kiedy dotarł do granic miasta, jeszcze raz przystanął.

Przed nim rozciągała się nieobliczalna camońska dzicz. Korzenie dusiciele na skraju dróg. Dzikie psy na polach, jadowite węże i skorpiony wśród wysokich traw. Wściekłe lisy. Liściołaki. Żytnie zmory. Rwęce rzeki i zdradliwe bagna. Wiedźmy mgielne i demony z Przepaści. Śnieżnobiała Wdowa. Wszystko to żyło ponoć tam, na zewnątrz.

Lecz również ów inny rodzaj krotków, o których opowiadał Fiodor. Echo pobiegł więc przed siebie w kierunku Błękitnych Gór. Za nimi musiał gdzieś czekać na niego Cud Miłości.

KONIEC



Hildegust Rzeźbiarz Mitów

Postówie

Ten, kto zna nieco mnie oraz moje dzieła, wie, że nigdy nie czyniłem tajemnicy z głębokiego szacunku, jakim darzę Gofida Letterkerla. Jego powieść *Zanilla i Murch* wciąż jest dla mnie jednym z najwybitniejszych dokonań literatury camońskiej. Również większość pozostałych książek jego autorstwa cieszy się moim dużym uznaniem.

Mój ojciec poetycki Dancelot Tokarz Sylab za młodych lat na okrągło czytał mi *Krotka Echo* Letterkerla i od tego czasu mam szczególne upodobanie do tej baśniowej nowelki. Nie zamierzam usprawiedliwiać się tu z tego upodobania bądź je wyjaśniać, pozwolę jedynie przemawiać historii, którą to łaskawi czytelnicy mieli właśnie możliwość odczytać. Chodzi mi bowiem tylko i wyłącznie o to, aby nowela o Echu i przeraźniku została przeczytana przez możliwie największą liczbę osób.

Krotek Echo był pierwszą z tak zwanych *Baśni kulinarnych*, napisanych przez Gofida Letterkerla, a każda z nich rozgrywała się w camońskim mieście Sledwaya. Baśń kulinarna to z kolei gatunek powołany do życia przez samego Letterkerla, który znalazł licznych naśladowców - by wspomnieć tylko *Księżniczkę w grochówce* Vloriana Gekko, *Nietkniętą kielbasę* Haimo von Pfirsinga, czy *Kartoflanego króla* Knulfa Spakkenhautha. Letterkerl nie tylko jest twórcą tego gatunku, lecz także doprowadził go do pełnego rozkwitu. Żadnemu z jego naśladowców nie powiodło się nigdy stworzenie tak ścisłego splotu sztuki kulinarnej i literatury. Nawet w dzisiejszych czasach niektórzy lekarze odradzają pacjentom z nadwagą historie o Sledwai, wierzą bowiem, że tyje się od samej ich lektury.

Spójrzmy jednak prawdzie w oczy: Gofid Letterkerl jest klasykiem, a nawet Klasykiem literatury camońskiej. Osiągnął wielką popularność przed setkami lat, a jego styl jeszcze za życia - piszę to z całą ostrożnością i szacunkiem - był zwalisty niczym szafa i wymagający przyzwyczajenia tak jak muzyka trąbuzonowa. Styl ten wprawiał mnie zawsze w najwyższy zachwyt, czuć w nim bowiem najczystsze Orma. Lecz w przypadku naszych współczesnych czytelników, przede wszystkim najmłodszych, domyślam się, że ta ekscentryczność językowa Letterkerla skłania raczej do rzucenia się w ramiona pewnemu autorowi literatury trywialnej, którego nazwiska nie chcę tu wymieniać. Powiem jedynie - powieści o *Księżciu Zimnej Krwi*.

Pozwoliłem sobie zatem przełożyć *Krotka Echo* na zgodny z duchem czasu nowocamoński, by nowela ta zagościła ponownie w świadomości zbiorowej i by, mam nadzieję, dopomóc jej nieco w zyskaniu nowej popularności. Jeśli wam się spodobała,

przeczytajcie tekst pierwotny - oplaca się, ponieważ lektura Letterkerla to prawdziwa lekcja pisarstwa!

Poza tym pozwoliłem sobie na nieznaczne przerobienie baśni i opatrzenie jej nowym tytułem. Przyznam też chętnie, że nazwałem ją *Przeraźnik* dla lepszej sprzedaży - bo ktoś kupi dziś książkę traktującą o nieszkodliwym krotku?* Przeraźnik już na pierwszy rzut oka zapowiada tajemnicze wydarzenia, pasjonującą alchemię i jeżącą włos na głowie grozę. Przyznajcie się więc bez obaw, jeśli wzięliście do rąk tę książkę tylko ze względu na tytuł! I wstyďte się, że nie ruszaliście dotychczas tryskającego wręcz Ormem dzieła, bo tytuł nie wydał się wam wystarczająco porywający!

Ponadto uzupełniłem też dzieło Gofida Letterkerla, improwizując tu i ówdzie. Bo gdzież byłoby miejsce na własną kreatywność?

I jeszcze coś, słyszę już bowiem tych krytyków, którzy mojej śmiałej adaptacji zarzucać będą ograbianie trupów i kradzież intelektualną. Na ten temat powiem tylko tyle: dzieła Gofida Letterkerla nie obejmują już prawa autorskie! A poza tym, jak można ukraść coś, co należy do wszystkich?

A zaskarżcie mnie!

Hildegunst Rzeźbiarz Mitów

□ Biedny Hildegunst, gdyby tylko wiedział, co uczyniono za miedzą państwa, w którym odbywa swe tajne międzywymiarowe spotkania z Walterem Moersem. Przyznaję bez bicia, iż *Kot alchemika* to chwyt w celu poprawy sprzedaży. Któż bowiem skusiłby się na książkę o straszliwym tytule... *Przeraźnicoksiężnik?* - przyp. Katarzyna Bena.



Uwagi od tłumacza

Na końcu ostatniego przekładu powieści Hildegunsta Rzeźbiarza Mitów zwróciłem się do czytelników z prośbą o pomoc przy podjęciu decyzji, którą z jego książek powinienem przetłumaczyć jako następną: kontynuację *Miasta Śniących Książek* czy drugi rozdział monumentalnych *Wspomnień z podróży sentymentalnego dinozaura*, rozgrywających się w cmentarnym mieście Dullsgard.

Głosowanie to nie zakończyło się jednak jednoznacznym wynikiem. Wielu czytelników radziło, aby przetłumaczyć obie rzeczy, mniejsza o kolejność. Aby uciec od tego dylematu, nie namyślając się długo, postanowiłem odroczyć sprawę i zabrać się za zupełnie inne dzieło Rzeźbiarza Mitów. Przyznaję, że dokonałem tego wyboru w sposób przypadkowy. Stałem przed regałem obładowanym tomiszczami Hildegunsta, zamknąłem oczy i wyciągnąłem rękę.

Książką, którą chwyciłem, był *Przeraźnik* Rzeźbiarza Mitów, mistrzowska adaptacja klasyka Gofida Letterkerla.

Dopiero w trakcie pracy stało się dla mnie jasne, że mój wybór mógł być nieco bardziej przemyślany. *Przeraźnik* to dzieło o największej ilości „hildegunstowych dygresji”, a z listów od czytelników wiem, że owa stylistyczna oryginalność Mistrza nie wszystkim przypada do gustu. W tym przypadku sam byłem zmuszony przyznać, że dygresje te w znacznym stopniu szkodzą czytelności tekstu, mało tego: doprowadzały mnie do takiej wściekłości, że na okrągło wrzeszczałem na książkę, opluwałem ją, rzucałem nią o podłogę, a raz nawet wyrzuciłem szerokim łukiem za okno. Dzieło pochodzi z najgorszego hipochondrycznego okresu Rzeźbiarza Mitów, co ma być może związek z miejscem akcji powieści, ze Sledwayą, „najbardziej schorowanym miastem Camonii”. Owe dygresje były wielostronicowymi opisami urojonych schorzeń bądź następującymi po sobie skrupulatnymi informacjami na temat temperatury ciała i frekwencji pulsu, barwy moczu i właściwości stolca. Nie mogłem wymagać od nikogo tak wiele, zdecydowałem więc wyrzec się tradycyjnej wierności oryginałowi, wyciąć wszystkie dygresje i skrócić książkę o 700 stron.



To, co wygląda na ułatwianie sobie pracy, było w rzeczywistości prostą drogą do bezrobocia. Trud, z jakim przychodziło mi wypełnianie i sklejanie powstałych dziur i pęknięć, zmuszał mnie do wielokrotnego przesuwania terminu wydania książki.

Myślę jednak, że się opłaciło choćby z powodu Gofida Letterkerla - aby mógł on zyskać ponownie na popularności. To jeden z tych Wielkich, to jemu należy dziękować, że kulinaria stały się środkiem stylistycznym w literaturze camońskiej, bez niego Rzeźbiarz Mitów nie stworzyłby swego *Przeraźnika*. Za sam ten fakt należy się Gofidowi Letterkerlowi nieśmiertelność. „Lektura Letterkerla to prawdziwa lekcja pisarstwa!” - mówi z własnego doświadczenia Hildegunst Rzeźbiarz Mitów. Zakończmy więc te uwagi i książkę cytatem starego mistrza we własnej osobie, który udowadnia w nim, że był udzielnym władcą w dziedzinie pisarstwa kulinarnego, a przy okazji ujawnia, iż humor stanowił jeden z motywów jego twórczości. Cytat pochodzi z listu do pewnej przyjaciółki, która poinformowała go, że niedługo spodziewa się dziecka.

„Cieszę się na Pani dzieciątko, milutkie będzie to zwierzątko! Kiedy będzie już porządnie odkarmione, upieczemy je i zjemy, gdy tylko pojawię się w Gralsundzie. Do tego pyszna sałatka ziemniaczana, małe cebulki i goździki. Ach, należy też dodać pół cytryny!”

Walter Moers



Tłumaczki tłumacza słów kilka

Gwoli wyjaśnienia zmuszona jestem odnieść się do słów mych zacnych przedmówców i przybliżyć nieco polskiemu czytelnikowi, o czym mowa. Gofid Letterkerl, znany w naszym wymiarze pod pseudonimem artystycznym Gottfried Keller, nie szczyci się w Polsce oszałamiającą popularnością, chociaż jego chlubny życiorys tryska propolskimi sympatiami, by wspomnieć tylko przewodniczenie komitetowi na rzecz pomocy polskim siłom powstańczym czy *Polenlieder*. Któż odpowie dumnie, iż zna oryginalny tekst Kellera *Spiegel, das Kätzchen*? Germaniści rączki w dół. Dziękuję. A więc kto? Któż natknął się na wydane przez Drukarnię Współczesną w roku 1921 *Kotka Lusterko* lub opublikowanych przez Państwowy Instytut Wydawniczy *Ludzi z Seldwili* (1952), gdzie również znaleźć można tę nowelę? Trudno oczekiwać lasu rąk. Skoro jednak przeczytaliście wariacką wariację Waltera Moersa, pamiętajcie, aby sięgnąć kiedyś do niej z szacunku, że też pozwolę sobie na przyciężki żarcik, dla dinozaurów literatury światowej. Główną inspiracją dla stworzenia tej noweli, jak pisał Keller, była ponoć chęć wyjaśnienia genezy szwajcarskiego przysłowia o „odkupowaniu sadła od kota”, będącego mniej więcej odpowiednikiem polskiego „kupowania kota w worku”, słowem: ubicia marnego interesu, lecz skrywa się w niej coś więcej. Nowelka ta jest w gruncie rzeczy odpryskiem najbardziej zaciętej potyczki pomiędzy autorem a wydawcą w dziejach literatury niemieckiej. Młody poeta Keller podpisał bowiem umowę na wydanie rzekomo niemal już gotowej powieści *Zielony Henryk*, podczas gdy istniała ona jedynie w jego głowie. Uczynił to, by zmusić się wreszcie do napisania planowanego od lat dzieła oraz dla zapewnienia sobie środków do życia rzecz jasna. Przez pięć lat trwały przepychanki o zaliczki i terminy oddawania kolejnych fragmentów. Wydawca uważał *Zielonego Henryka* za arcydzieło, płacił jednak marnie. I tak Keller, choć dał słowo honoru, że do zakończenia powieści nie zajmie się niczym innym, wymyślił w tym czasie cykl nowel *Ludzie w Seldwili*. Wśród nich znalazła się opowieść o głodującym kocie, który sprzedaje bezwzględnemu czarnoksiężnikowi tłuszcz, chociaż go jeszcze nie posiada. Keller swoją drogą słowa dotrzymał, a *Zielony Henryk* rozrósł się do 1700 stron.

Moers osadził tę znaną w Niemczech nowelkę w realiach camońskich, zamienił czarnoksiężnika Pineissa na Eisspina, Seldwylę na Sledwayę, a kotkiem Lusterko został krotek Echo. W efekcie naraził się nie tylko czytelnikom, zarzucającym mu pójście na łatwiznę i bezczelne korzystanie z cudzego pomysłu, ale i samemu Hildegunstowi, który pofatygował się wręcz do naszego wymiaru, by na łamach FAZ zrugać Moersa za partackie tłumaczenie i kastrację tekstu o 700 stron (wspomnianych już opisów dolegliwości gastrycznych i kiszenia ogórków, za co tak naprawdę winniśmy Moersowi wdzięczność). Cóż jednak zrobić ma biedny tłumacz, dysponując tak ograniczonym 26-literowym narzędziem, jakim jest język niemiecki, podczas gdy camoński liczy sobie 888 liter? Nie wspominając już o cierpieniach niżej podpisanej, próbującej przełożyć wymyślne wersje niemieckie na nieprzychylny wielowyrazowym zlepkom język polski. W *Mieście Śniących Książek* dumna byłam niezmiernie ze stworzenia przeraźnicy (*Schreckse*) do czasu, aż pojawiła się leżąca przed Wami książka, czyli *Der Schreckenmeister*. I choć przywykłam z czasem do przeraźnika, przeraźnicoksiężnikowi mówiąc stanowcze nie, *Kot alchemika* wydał mi się jednak tytułem trafniejszym. Korzystając z okazji, chciałabym po raz kolejny gorąco zaapelować. Pamiętajcie, że Walter Moers jest autorem niemieckim. Nie ma na imię Łolter, jak zdarza mi się czasem słyszeć, a Camonia absolutnie nie jest Kamonią! W nieskończonej swej naiwności kierowałam się fonetycznym oddaniem nazwy, nie przypuszczając nawet, jak silnie zanglicyzowane mamy społeczeństwo. Mówcie już Zamonia, ale błagam, nie Kamonia. Jeśli chodzi zaś o inne mniej lub bardziej akceptowane wybory nazw, cóż, swoboda artystyczna, a co! Poza tym, na litość boską, to przekład przekładu adaptacji! Nikt nie jest doskonały.

Moers chwilowo pogrążył się w kolejnych tomach wspomnień Hildegunsta, nie zdradzając, jak zwykle, o jakiej rasie lub miejscu będzie tym razem mowa. Pozostaje nam czekać lub zabrać się za przekład nieznanych jeszcze w Polsce dzieł Rzeźbiarza Mitów. A co powiecie na camońską wersję *Jasia i Małgosi*?

Katarzyna Bena

GRUPA WYDAWNICZA **PUBLICAT S.A.**

Firma rozpoczęła swoją działalność w 1990 roku pod nazwą **Podsiedlik-Raniowski i Spółka**. W 2004 roku przyjęto nazwę **PUBLICAT S.A.**, w tym samym roku w skład grupy **PUBLICAT** weszło wrocławskie **Wydawnictwo Dolnośląskie**.
W 2005 roku dołączyło do niej katowickie **Wydawnictwo Książnica**.
Rok 2006 to objęcie nazwą **Papilon** programu książek dla dzieci.
W roku 2007 częścią grupy stała się warszawska **Elipsa**.

Papilon - baśnie i bajki, klasyka polskiej poezji dla dzieci, wiersze i opowiadania, książki edukacyjne, nauka języków obcych dla dzieci

Publicat - książki kulinarne, poradniki, książki popularnonaukowe, literatura krajoznawcza, hobby, edukacja

Elipsa - albumy tematyczne: malarstwo, historia, krajobrazy i przyroda, albumy popularnonaukowe

Wydawnictwo Dolnośląskie - literatura faktu i poradnikowa, historia, biografie, literatura współczesna, kryminał i sensacja, fantastyka, literatura dziecięca i młodzieżowa

Książnica - literatura kobieca, powieść historyczna, powieść obyczajowa, fantastyka, sensacja, thriller i horror, beletrystyka w wydaniu kieszonkowym, książki popularnonaukowe

Publicat S.A., 61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24, tel. 061 652 92 52, fax 061 652 92 00,
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział w Katowicach: Wydawnictwo Książnica, 40-160 Katowice, Al. W. Korfatego 51/8,
tel. 032 203 99 05, fax 032 203 99 06, e-mail: ksiaznica@publicat.pl

Oddział we Wrocławiu: Wydawnictwo Dolnośląskie, 50-010 Wrocław, ul. Podwale 62,
tel. 071 785 90 40, fax 071 785 90 66, e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Oddział w Warszawie: 00-466 Warszawa, ul. Polna 46/7